

**BRIAN HERBERT  
KEVIN J. ANDERSON**

# **PAUL Z DIUNY**

*TOM II cyklu KRONIKI DIUNY*

PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ JANKOWSKI



*Historia jest poruszającym się celem, który zmienia się, w miarę jak odkrywa się nowe szczegóły i poprawia błędy, w miarę jak zmieniają się powszechne postawy. Rzeźby, którą jest Prawda, historycy nie wykuwają z granitu, lecz formują ją z wilgotnej gliny.*

— ze wstępu do I tomu **Życia Muad’Diba** pióra księżnej Irulany

*Wybacz mi moją impertynencję, Matko Przełożona, ale nie rozumiałaś, co jest moim celem. Pisząc o życiu Paula Atrydy, Imperatora Muad’Diba, nie zamierzam po prostu zapisać historycznych wydarzeń. Czy nie wyciągnęliśmy wniosków z działań naszej Missionaria Protectiva? Zręcznie wykorzystywane, mity i legendy mogą się stać narzędziami lub bronią, natomiast czyste takty są tylko... taktami.*

— księżna Irulana, list do szkoły Matek Wielebnych na Wallachu IX



**CZEŚĆ I**  
**IMPERATOR MUAD'DIB**  
**10 194 EG**  
**ROK PO UPADKU SZADDAMA IV**



*Po moim ojcu zostało dużo więcej niż tylko tych kilka okruchów. Jego krew, jego charakter i jego nauki uczyniły mnie tym, kim jestem. Dopóki wszechświat będzie pamiętał mnie jako Paula Muad'Diba, dopóty nie zaginie również pamięć o księciu Leto Atrydzie. Syna zawsze kształtuje ojciec.*

— napis na kaplicy na przełęczy Harga

Spokojny ocean piasku rozciągał się jak okiem sięgnąć cichy i nieruchomy, ale zawsze mógł się na nim zrodzić straszny sztorm. Arrakis — święta Diuna — stawała się okiem galaktycznego cyklonu, krwawego dżihadu, który rozszaleje się na planetach rozpadającego się Imperium. Paul Atryda przewidział to, a teraz wprawiał w ruch maszynę wojenną.

Od obalenia przed rokiem Szaddama IV do armii Paula, składających się z fremeńskich wojowników, którzy przysięgli oddać za niego życie, dołączyły miliony konwertytów. Dowodzeni przez fanatycznych tedajkinów i innych zaufanych oficerów bojownicy świętej sprawy zaczęli już wyruszać z miejsc, w których stacjonowali, ku konkretnym układom gwiazdowym i celom. Tego ranka Paul wysłał Stilgara i jego legion z poruszającą mową, która zawierała słowa: „*Dam wam siłę, moi wojownicy. A teraz idźcie i wykonajcie moje święte polecenie*”. Był to jeden z jego ulubionych wersetów z Biblii Protestantcko-Katolickiej.

Potem, w popołudniowym upale, wyrwał się z Arrakin, zostawiając za sobą zgiełk miasta, podekscytowane oddziały i wrzawę wyznawców. Tutaj, w odludnych górach, nie potrzebował fremeńskiego przewodnika. Pustynia była cicha i czysta i dawała mu złudzenie spokoju. Towarzyszyły mu ukochana Chani, jego matka Jessika i mała siostra. Niespełna czteroletnia Alia była kimś o wiele potężniejszym, niż wskazywała na to jej dziecięca postać — przednarodzoną, ze wszystkimi wspomnieniami i całą wiedzą Matki Wielebnej.

Wspinając się ze swymi towarzyszami po zboczach surowych, brązowych gór ku przełęczy Harga, Paul starał się wzbudzić w sobie uczucie spokojnej nieuchronności. Pustynia napępiała go pokorą; czuł się mały, co stanowiło ostry kontrast z miastem, w którym czczono go jako mesjasza. Cenił sobie owe ciche chwile z dala od wyznawców krzyczących: „*Muad'Dib! Muad'Dib!*” za każdym razem, kiedy go ujrzeni. Wkrótce, gdy zaczną napływać wieści o jego sukcesach militarnych, będzie jeszcze gorzej. Ale tego nie można było uniknąć. W końcu dżihad go porwie. Wyzaczył już jego kierunek, jak wielki nawigator ludzkości.

Wojna była jednym z narzędzi, którymi dysponował. Teraz, kiedy zesłał Padyszacha na Salusę Secundusa, musiał skonsolidować swoją władzę pośród członków Landsraadu. Wysłał dyplomatów na negocjacje z niektórymi rodami, natomiast przeciw tym, którzy mu się sprzeciwiali, skierował swoich najbardziej fanatycznych wojowników. Pewna liczba lordów nie złożyła broni i przysięgła, że stawi zaciekle opór, twierdząc, że nie pójdzie za buntownikiem albo że ma już dość wszelkich imperatorów. Ale armie Muad'Diba i tak ich zmiotą i będą posuwać się dalej. Chociaż Paul chciał możliwie najbardziej ograniczyć przemoc, a nawet ją wyeliminować, podejrzewał, że krwawa rzeczywistość okaże się znacznie gorsza, niż ujrzał to w jakiegokolwiek wizji.

A jego wizje były przerażające.

Stulecia dekadencji i złych rządów doprowadziły do tego, że w Imperium było mnóstwo uschniętych drzew, wskutek czego wzniesiony przez niego pożar będzie się rozprzestrzeniał z oszałamiającą szybkością. W bardziej cywilizowanych czasach spory między rodami rozstrzygnięto by, wszczynając staromodną wojnę asasynów, ale teraz wydawało się to zbyt staroświeckie i dżentelmeńskie, niemożliwe do zastosowania. Stanąwszy w obliczu zalewającej ich planety tali żaru religijnego, niektórzy przywódcy po prostu się poddają, zamiast narażać się na atak, którego nie będą w stanie odeprzeć.

Ale nie wszyscy będą tak rozsądni...

Paul i jego trzy towarzyszki mieli na sobie nowe filtrfraki, na które narzucili plamiaste płaszcze kamuflujące ich na pustyni. Chociaż stroje te wyglądały na bardzo zniszczone, przewyższały wszystkie, które Paul nosił, kiedy był uciekinierem ukrywającym się wśród Fremeniów. Producenci utrzymywali, że te trwałe ubrania importowane z innych światów są lepsze od prostszych wersji, które tradycyjnie wytwarzano w ukrytych siczach.

„*Producenci chcą dobrze — pomyślał. — Robią to, żeby pokazać poparcie dla mnie, nie zdając sobie sprawy, że ich «ulepszenia» są pośrednią krytyką*”.

Wybrawszy idealne miejsce w łańcuchu górskim, mały, naturalnie ukształtowany amfiteatr strzeżony przez wysokie skały, Paul położył tremsak na ziemi. Rozpiął paski i odwinął ochronne zwoje welwatyny z czcią porównywalną z tą, którą widział na twarzach swych najbardziej zagorzałych wyznawców.

W pełnym szacunku milczeniu wyjął czaszkę koloru kości słoniowej i kilka fragmentów kości — dwa żebra, kość łokciową i brutalnie złamaną na pół kość udową — które Fremeni przechowywali przez lata po wypadnięciu Arrakin w ręce Harkonnenów. Były to szczątki księcia Leto Atrydy.

Paul nie widział w tych kościach nic ze swego czulego i mądrego ojca, ale były one ważnym symbolem. Rozumiał wartość i niezbędność symboli.

— Już dawno powinna tu stanąć świątynia — powiedział.

— Zbudowałam świątynię dla Leto w swoim umyśle — rzekła na to Jessika — ale byłoby dobrze złożyć go do grobu.

Ukląkwszy obok Paula, Chani pomogła mu oczyścić miejsce między głazami; na niektórych zaczęły się już pokazywać plamy porostów.

— Powinniśmy utrzymać to miejsce w tajemnicy, Usul — powiedziała. — Nie zostawiać żadnego znaku, nie dawać żadnych wskazówek. Musimy chronić miejsce spoczynku twego ojca.

— Tłumów nie da się utrzymać na dystans — rzekła Jessika z niechęcią. Potrząsnęła głową. — Choćbyśmy nie wiadomo co zrobili, turyści znajdą drogę do tego miejsca. To będzie cyrk z przewodnikami w podróbkach fremenińskich strojów. Sprzedawcy pamiątek będą odłupywać kawałki skał, a niezliczeni szarlatani oferować odłamki kości pochodzące rzekomo z ciała Leto.

Chani wyglądała zarówno na zaniepokojoną, jak i pełną podziwu.

— Usul, przewidziałeś to? — zapytała. Tutaj, z dala od tłumów, używała jego siczowego imienia.

— Przewidziała to historia — odpowiedziała za niego Jessika — i to niejedyn raz.

— I trzeba to zrobić, zbudować stosowną legendę — powiedziała surowo Alia do matki. — Bene Gesserit planowały wykorzystać w ten sposób mojego brata do własnych celów. Teraz on sam tworzy legendy, dla swoich celów.

Paul rozważył już różne możliwości. Niektórzy pielgrzymi będą tu przybywać powodowani szczerą pobożnością, inni odbędą tę podróż tylko po to, by się tym chwalić. Tak czy inaczej, przybędą. Wiedział, że próba powstrzymania ich byłaby szaleństwem, musiał więc znaleźć inne rozwiązanie.

— Każę moim fedajkinom pełnić całodobową wartę — oznajmił. — Nikt nie zbezcześci tej kapliczki.

Ułożył kości i ostrożnie umieściwszy na nich czaszkę, przechylił ją nieco do tyłu, by puste oczodoły patrzyły w bezchmurne błękitne niebo.

— Alia ma rację, matko — rzekł, nie patrząc ani na siostrę, ani na Jessikę. — Chociaż prowadzimy wojnę, tworzymy też mit. To jedyny sposób, by dokonać tego, co konieczne. Odwoływanie się tylko do logiki i rozsądku nie wystarczy, by porwać ludzkość. Irulana ma w tej dziedzinie wyjątkowy talent, co już udowodniła swoją historią o moim dojściu do władzy.

— Jesteś cyniczny, Usul. — Chani była wyraźnie zmartwiona wzmianką o tym, że — nominalna tylko — żona Paula odgrywa jakąkolwiek użyteczną rolę.

— Mój brat jest pragmatyczny — sprzeciwiła się Alia.

Paul patrzył przez moment na czaszkę, wyobrażając sobie twarz ojca: orli nos, szare oczy i rysy, które mogły w jednej chwili zmienić się z miny pełnej złości na wrogów w wyraz niezrównanej miłości do syna czy Jessiki.

„Tak wiele nauczyłem się od ciebie, ojcze — rzekł w duchu. — Pokazałeś mi, co to honor i przywództwo. Mam tylko nadzieję, że twoje nauki były wystarczające”.

Wiedział, że to, czemu będzie musiał stawić czoło w nadchodzących latach, daleko wykracza poza największe kryzysy, z jakimi zmagał się książę Leto. Czy lekcje ojca będą miały zastosowanie w tak wielkiej skali?

Paul podniósł duży kamień i umieścił go przed czaszką, rozpoczynając budowę kurhanu. Potem skinął na matkę, by położyła drugi kamień. Trzeci dodała Alia.

— Brakuje mi ojca — powiedziała tęsknym głosem. — Tak nas kochał, że umarł za nas.

— Niedobrze, że właściwie go nie poznałaś — rzekła cicho Chani, kładąc swój pierwszy kamień.



— Ależ poznałam — zachnęła się Alia. — Moje wspomnienia przednarodzonej obejmują wycieczkę do kaladańskiej dziczy, na którą matka i ojciec wybrali się po tym, jak zabito małego Victora. Wtedy został poczęty Paul. — Alia często wygłaszała dziwaczne, niepokojące komentarze. Stłoczone w jej umyśle istnienia sięgały daleko. — Mignęli ci nawet wtedy prymitywni Kaladańczycy — powiedziała, spojrzawszy na matkę.

— Pamiętam — potwierdziła Jessica.

Paul nadal układał kamienie w stertę. Kiedy zakryły całkowicie kości jego ojca, cofnął się i chwilę stał w przejmującym milczeniu z tymi, którzy najbardziej kochali Leto.

W końcu dotknął przycisku komunikatora na kołnierzu filtrfraka.

— Korba, jesteśmy gotowi — rzucił do mikrofonu.

Prawie natychmiast ciszę pustyni zburzył głośny warkot silników. Zza grzbietu góry wyrosły dwa ornitoptery z zielono-białym godłem Imperatora Muad'Diba i opuściły skrzydła. Lecząc na przedzie maszynę pilotował przywódca fedajkinów Paula, Korba, człowiek, który okazywał swą wierność z religijnym żarem. Nie był jednak zwykłym pochlebcą; był na to zbyt sprytny. Wszystkie jego działania miały starannie wykalkulowane konsekwencje.

Za małymi niskolotami nadleciał sznur ciężkich transportowców z podwieszonymi na uchwytach dryfowych wypolerowanymi kamiennymi blokami. Bloki te pokryte były wyrzeźbionymi misternie przez rzemieślników z Arrakin scenami, które po złożeniu utworzą tryz przedstawiający wielkie wydarzenia z życia księcia Leto Atrydy.

Teraz, kiedy przerwana została pełna szacunku cisza, dowódcy oddziałów rzucali rozkazy ekipom robotników, wzywając ich do rozpoczęcia pracy w nowym świętym miejscu.

Jessika patrzyła w stoickim milczeniu na małą stertę kamieni, jakby wypalała w pamięci obraz kapliczki Leto, zupełnie odmiennej od okropieństwa, które miało tu powstać.

Hałas maszyn odbijał się echem od ukształtowanych amfiteatralnie skał. Korba posadził ornitopter na ziemi i wyłonił się z niego, upajając się rozmachem prac, dumny, że to on to zorganizował. Spojrzał na wzniesiony ręcznie kurhan i najwyraźniej myślał, że jest on staroświecki.

— Muad'Dibie, zbudujemy tutaj pomnik godny twojego ojca — powiedział. — Wszyscy muszą stać w nabożnym lęku przed Imperatorem i każdym, kto jest lub był ci bliski.

— Owszem, muszą — rzekł Paul, ale wątpił, czy dowódca tedajkinów usłyszał kpinę w jego głosie. Korba stał się niemal badaczem tego, co nazywał „*religijnym impetem*”.

Brygady robotników rzuciły się do pracy niczym psy gończe na zwierzynę. W małej, naturalnej niecce u szczytu przełęczy było za mało miejsca, by mogły tam wylądować transportowce, więc piloci odłączyli dryfy i złożyli rzeźbione bloki na płaskim skalnym terenie, po czym odlecieli. Doradcy Paula opracowali komisyjnie projekt świątyni i dostarczyli jego kopie szefom brygad. Solidna piramida miała symbolizować fundament, jakim był książę Leto dla Muad'Diba.

Jednak w tej chwili, przyglądając się projektowi tego pretensjonalnego pomnika, Paul nie był w stanie myśleć o niczym innym niż o dychotomii między swoimi uczuciami a swoim publicznym wizerunkiem. Chociaż nie mógł uchylić się od roli, jaką odgrywał w mechanizmach władzy i religii, tylko kilka ukochanych osób widziało go takim, jaki rzeczywiście był. I nawet z tą wybraną grupą nie wszystkim mógł się podzielić.

Jessika cofnęła się i spojrzała na niego. Widać było, że podjęła jakieś postanowienie.

— Paul, uważam, że zrobiłam na Arrakis wszystko, co do mnie należało. Czas, żebym stąd odleciała — oznajmiła.

— Dokąd się udasz? — zapytała Chani, jakby nie mogła sobie wyobrazić lepszego miejsca.

— Na Kaladan. Już zbyt długo pozostaję poza ojczyzną.

Paul poczuł tęsknotę. Kaladan poddał się już jego władzy, ale on nie zawitał tam ani razu, odkąd ród Atrydów przybył na Arrakis. Popatrzył na matkę, dostojną zielonooką piękność, która tak zauroczyła jego pełnego galanterii ojca. Chociaż był teraz Imperatorem całego znanego wszechświata, powinien sobie uświadomić ten prosty fakt.

— Masz rację, matko — powiedział. — Kaladan jest częścią mojego Imperium. Będę ci towarzyszył.



*Do najwierniejszych przyjaciół Muad'Diba należał Gurney Halleck, trubadur, wojownik, przemytnik i gubernator planety. Bardziej niż wszystkie zwycięstwa Halleck cenił sobie grę na balisecie i śpiewanie piosenek. To było dlań największą radością. Jego heroiczne czyny dostarczyły innym trubadur-om materiału do wielu utworów.*

— z *Historii dzieciństwa Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

Fremeńscy rekruci z głębi pustyni nigdy nie widzieli tak dużego zbiornika wodnego i rzadko zbiornik tak beztrzesko otwarty. Na Kaladanie mógłby on co najwyżej służyć jako wiejski staw, do tego bez wyrazu. Ale tutaj nieopierzeni komandosi Gurneya patrzyli na pomarszczoną powierzchnię i wdychali zapach parującej, a więc trwonionej wilgoci, z zabobonnym lękiem i podziwem.

— Będziecie wskakiwać jeden po drugim — powiedział Halleck tubalnym, szorstkim głosem. — Zanurzcie się. Zanurzcie głowy. Zanim tu dzisiaj skończycie, chcę, żebyście przepłynęli na drugi brzeg.

P ł y w a n i e. Sama myśl o tym była im obca. Kilku zamruczało niespokojnie.

— To rozkaz Muad'Diba — rzekł chudy jak patyk żołnierz Enno. — Dlatego zrobimy to.

„Tak” — pomyślał Gurney. Wystarczyło, by Paul coś zasugerował, a już się to działo. W innych okolicznościach mogłoby się to wydawać przyjemne, a nawet zabawne. Ci fremeńscy żołnierze wyskoczyliby z luku statku kosmicznego albo ruszyli boso w środek kurzawy Coriolisa, gdyby Muad'Dib kazał im to zrobić.

Ostrym jak odłamek szkła spojrzeniem niebieskich oczu lustrował nowych wojowników. Codziennie napływali z pustyni następni; wydawało się, że sicze produkują rekrutów na blechu. Wiele planet w galaktyce wciąż nie miało pojęcia, czemu wkrótce będą musiały stawić czoło.

Ci nieokiełznani młodzi ludzie bardzo się różnili od zdyscyplinowanych żołnierzy Atrydów, krórych tak dobrze pamiętał. Ich dzikiemu stylowi walki daleko było do wojskowej precyzji armii wielkiego rodu, ale mimo to byli diabelnie dobrymi wojownikami. Ta „*pustynna halastra*” obaliła Bestię Rabbana, położyła kres panowaniu Harkonnenów tutaj, na Diunie, i pokonała Imperatora Szaddama Corrina i jego potężnych sardaukarów.

— Ten zbiornik ma tylko trzy metry głębokości i dziesięć szerokości. — Gurney chodził w tę i z powrotem po brzegu basenu. — Ale na innych planetach możecie się natknąć na oceany czy jeziora, które są głębokie na setki metrów. Musicie być przygotowani na wszystko.

— Setki metrów! Jak moglibyśmy to przeżyć? — spytał zakurzony młody rekrut.

— Sztuczka polega na tym, żeby utrzymać się na powierzchni. Żeby płynąć.

Fremeńscy rekruci o twardych spojrzeniach nie zareagowali na tę dowcipną uwagę.

— Czyż Muad'Dib nie powiedział: „*Bóg stworzył Arrakis, by ćwiczyć wiernych*”? — rzekł Gurney. — A zatem przygotujcie się.

— Muad'Dib — powiedzieli mężczyźni pełnym szacunku tonem. — Muad'Dib!

Paul polecił zbudować basen, by jego pustynni wojownicy mogli ćwiczyć przed nieuchronnymi bitwami na wodach odległych światów. Nie każda wodna planeta tak łatwo pogodzi się z jego panowaniem jak Kaladan. Niektórzy w Arrakin traktowali basen treningowy jako przejaw hojności Muad'Diba, podczas gdy inni widzieli w tym tylko marnotrawstwo wilgoci. Gurney rozumiał, że jest to konieczność podyktowana względami militarnymi.

— Przystudiowaliśmy informacje podane przez Muad'Diba — rzekł Enno. — Wzięliśmy sobie każde jego słowo do serca. Te słowa pokazały nam, jak się pływa.

Gurney był pewien, że każdy z tych mężczyzn ślęczał nad podręcznikiem nauki pływania tak pilnie jak kapłan nad tekstem religijnym.

— A czy przeczytanie księgohlnui o czerwiach zrobi z kogoś jeźdźca czerwi? — zapytał.

Absurdalność pytania sprawiła, że zasadniczy Fremeni w końcu zachichotali. Z przejęciem, ale i ociąganiem grupa podeszła na brzeg głębokiego basenu. Sama myśl o zanurzeniu się w wodzie przerażała tych ludzi bardziej niż perspektywa stawienia czoła jakiemukolwiek wrogowi na polu bitwy.

Gurney sięgnął do kieszeni filtrfraka i wydobył złotą monetę, imperialnego solarisa z wybitą podobizną wyniosłej twarzy Szaddama IV. Uniósł go tak wysoko, że wypolerowana powierzchnia zaślniła w blasku słońca.

— Ten z was, który pierwszy podniesie tę monetę z dna basenu, otrzyma specjalne błogosławieństwo Muad'Diba — oznajmił.

Żołnierze każdej innej armii rywalizowaliby ze sobą o podwyżkę żołdu, awans albo dodatkowy urlop. Fremeni nie dbali o takie rzeczy, ale daliby z siebie wszystko, by otrzymać błogosławieństwo Paula.

Gurney rzucił solarisa. Moneta błysnęła w słońcu i wpadła do wody prawie na środku basenu, gdzie nadal migotała jak rybka, kiedy opadała na dno. Wydobyć jej z głębokości trzech metrów nie byłoby wyzwaniem dla dobrego pływaka, ale Gurney wątpił, czy uda się to Fremenom z suchej jak pieprz pustyni. Chciał jednak sprawdzić siłę charakteru tych ludzi; ciekawiło go, którzy będą się starali najbardziej.

— „I rzekł Bóg: «Czynami pokażą swoją wiarę — zaintonował. — Pierwsi w moich oczach będą pierwszymi w moim sercu»”. — Spójrzal na nich i warknął: — Na co czekacie? To nie kolejka do bufetu.

Szturchnął pierwszego i Fremeni wpadł z pluskiem do wody. Zaczął kastać i młócić rozpaczliwie rękami, zanurzając się i znowu wynurzając na powierzchnię.

— Pływaj, człowieku! — ryknął Gurney. — Wyglądasz, jakbyś miał atak padaczki.

Wojownik machał ramionami, aż wreszcie oderwał się od brzegu.

Gurney wepchnął do basenu następnych dwóch Fremenów.

— Wasz towarzysz ma kłopoty — powiedział. — Może tonie. Dlaczego mu nie pomagacie?

Kolejna para wpadła do wody. Na koniec do basenu wskoczył z własnej woli Enno. Obserwował poprzedników, więc był od nich mniej spanikowany i wykonywał bardziej regularne ruchy. Gurney z zadowoleniem stwierdził, że pierwszy dopłynął do przeciwnego brzegu. Po godzinie większość pustynnych rekrutów pływała albo przynajmniej unosiła się na wodzie. Kilku, trzęsąc się, trzymało się kurczowo skraju basenu i nie chciało go puścić. Gurney będzie musiał zmienić im przydział albo pozbyć się ich. Fremeni, urodzeni pustynni wojownicy, odnieśli niezrównane zwycięstwa na Diunie, ale w rozszerzającym się konflikcie będą musieli walczyć w różnych środowiskach. Nie mógł polegać na ludziach, których sparaliżują nieoczekiwane sytuacje. Pływanie mogło być najłżejszą z prób, przed którymi staną.

Kilku rekrutów zanurzyło się, próbując wydobyć monetę, która błyszczała kusząco na dnie, trzy metry niżej, jak łacha przyprawy na otwartej pustyni, ale żadnemu nie udało się do niej zbliżyć. Gurney przypuszczał, że sam będzie musiał ją wyciągnąć. Wtedy z drugiego brzegu basenu podpłynął Enno i zanurkował, ale nie zszedł dostatecznie głęboko.

„To jeszcze nie to, ale nieźle” — pomyślał Gurney.

Fremeni wypłynął na powierzchnię i chwycił łapczywie powietrze, po czym, nie poddając się, zanurkował ponownie.

Poprzez pluski i krzyki Gurney słyszał warkot statków lądujących w porcie kosmicznym w Arrakin: setek szybowców wojskowych, transporterów o zwiększonej liczbie miejsc i podobnych do grubych trzmieli towarowców wyladowanych dostawami dla armii Paula. Jeśli Gildia Kosmiczna chciała przyprawy dla swoich nawigatorów, musiała dostarczać Muad'Dibowi statki, których potrzebował. Zadaniem Gurneya było obsadzenie ich załogami, a najlepsi wojownicy pochodzili z Arrakis. Wkrótce przekonają się o tym wszyscy w Imperium.

Nagle zorientował się, że chłopot i okrzyki dochodzące z basenu są bardziej gorączkowe. Fremeni wzywali pomocy. Zauważył ciało unoszące się na wodzie twarzą w dół. Enno.

— Przyciągnijcie go tutaj, chłopcy! — zawołał.

Ale Fremeni sami z trudem utrzymywali się na powierzchni. Jeden z nich chwycił Enno, drugi pociągnął go za rękę, lecz rezultat był taki, że jego głowa zanurzyła się jeszcze głębiej.

— Obróćcie go, durnie, żeby mógł oddychać!

Widząc, jacy są nieporadni, Gurney wskoczył do basenu. Doznał wstrząsu, kiedy jego wysuszona jak pergamin skóra zetknęła się z ciepłą wodą. Szybko dopłynął do kłębowiska mężczyzn i roztrzącił ich. Chwyciwszy Enno za kołnierz, obrócił go na plecy i doholował do brzegu basenu.

— Wezwijcie lekarza. Natychmiast! — krzyknął, wypluwając wodę.

Enno był bezwładny i nie oddychał. Jego usta zsiniały, oczy miał zamknięte, a skórę ziemistą. W przyływie adrenaliny Halleck wyciągnął go na nagrzaną przez słońce płytki. Woda ściekała z niego strumieniami, szybko wysychając.

Gurney wiedział, co robić, nie czekał więc, aż przybędzie pomoc. Zaczął rytmicznie unosić jego nogi i stosować procedury reanimacyjne, znane każdemu z Kaladanu równie dobrze jak rtłtrak Fre-

menowi. Widząc, co spotkało ich towarzysza, pozostali rekruci gramolili się bezładnie z basenu. Kiedy medyk o podpuchniętych oczach pojawił się z zestawem pierwszej pomocy, zabiegi Gurneya przywróciły już topielcowi przytomność. Enno zakaszłał, po czym przekręcił się na bok i zwymiotował połkniętą wodę. Lekarz, kiwnąwszy z uznaniem głową Halleckowi, dał Enno zastrzyk pobudzający i owinał go kocem, żeby nie dopuścić do wstrząsu.

W końcu Fremeni odrzucił koc i zmusił się, by usiąść. Potoczył wokół szklistymi oczami. Uśmiechnąwszy się słabo, podniósł rękę, otworzył mocno zaciśniętą dłoń i pokazał mokrą monetę.

— Według rozkazu, dowódco. — Ze zdziwieniem dotknął ociekających wodą włosów. — Żyję?

— T e r a z tak — odparł Gurney. — Zostałeś przywrócony do życia.

— Umarłem... wskutek zbyt dużej ilości wody. Zaprawdę zostałem pobłogosławiony jej nadmiarem.

Rekruci zaczęli szeptać z nabożną trwogą. Fremeni topielec!

Ich reakcja zaniepokoiła Gurneya. Ci uduchowieni ludzie byli podziwu godni, ale też niezrozumiali. Wiele odszczepieńczych grup wyznawało religię Muad'Diba, posiłkując się zasadami zaczerpniętymi z fremeńskiego mistycyzmu; inne uprawiały kult wody. Bardzo możliwe, że gdy zbiurokratyzowane duchowieństwo Paula, kwizarat, dowie się o tym, iż Enno omal nie utonął, otoczy go nimbem natchnionej postaci.

Rekruci stali wokół basenu, ociekając wodą, jakby właśnie zostali ochrzczeni. Wydawali się zdeteminowani jak nigdy dotąd. Gurney wiedział, że bez kłopotu zapełni statek Gildii zażartymi wojownikami, takimi jak najlepsi z tych mężczyzn.

Fremeni byli gotowi do drogi i przelewania krwi w imię Muad'Diba.



*Wszechświat jest starożytną pustynią, rozległym pustkowiem, na którym tylko gdzieś istnieją, jak oazy, nadające się do zamieszkania planety. My, Fremeni, dobrze czujemy się na pustyni, wyruszymy więc na podbój następnej.*

— Stilgar, *Z siczy do gwiazd*

Do niedawna naib nie wychylił nawet nosa poza ojczystą planetę, więc eksploracja nieznanego budziła w nim zarówno dreszczyk emocji, jak i strach. Wielkie odległości, które przebywał na czerwiu na pustkowiu Tanzerouft, były niczym w porównaniu z bezmiarem pustki między gwiazdami.

Odkąd pomógł zgromadzić bojowników Sw dżihadu, zobaczył tyle nowych rzeczy, że niezwykle i zdumiewające widoki zdawały mu się teraz niemal czymś pospolitym. Dowiedział się, że większość zamieszkałych światów ma dużo więcej wody niż Diuna i że ich mieszkańcy są znacznie miększy od Fremeni. Wygłaszał mowy, inspirował ludzi i werbował ich do armii, które miały prowadzić świętą wojnę. Teraz jego najlepsi tremeńscy wojownicy zajmą Kaitaina, perłę w koronie upadłego Imperium Corrinów.

Pociągnął łyk wody... nie dlatego, że był spragniony, lecz dlatego, że tam była.

„*Od jak dawna uważam, że woda jest na zawołanie? — pomyślał. — Kiedy zacząłem ją pić, ponieważ mogę to robić, a nie dlatego, że jest niezbędna do przeżycia?*”

Już od kilku dni sprowadzano z powierzchni Diuny fregaty, umieszczano je w kołyskach w ładowni liniowca i przygotowywano się do odlotu. Nie można było rozpocząć takiej bitwy bez starannych, czasochłonnych przygotowań. Jednak kiedy statek Gildii zostanie załadowany, sama podróż przez zagiętą przestrzeń będzie krótka.

Stilgar zszedł na otwarty pokład towarowy fregaty. Chociaż w tych wojskowych jednostkach było wiele indywidualnych kabin dla pasażerów, tremeńscy bojownicy woleli jadać i spać w przypominającej atmosferę jaskinię dużej ładowni o metalowych ścianach. Fremeni nadal uważali standardowe wyposażenie statku — gotową żywność, przestronne kwatery, obfitość wody, której mogli nawet używać do kąpieli, wilgotne powietrze, dzięki któremu niepotrzebne były filtrfraki — za luksus.

Stilgar oparł się o gródź i zlustrował swoich ludzi, wdychając dobrze znany zapach kawy przyprawowej, jedzenia i znajdujących się blisko siebie ludzkich ciał. Nawet tutaj, w metalowym wnętrzu statku w przestrzeni kosmicznej, zarówno on, jak i jego ludzie starali się odtworzyć podnoszący na duchu klimat siczy. Podrapał się po pokrytej czarnym zarostem brodzie i popatrzył na tremeńskich komandosów, którzy tak palili się do walki, że nie musiał wygłaszać zagrzewających do niej mów.

Wielu siedziało pogrążonych w lekturze pierwszego tomu *Życia Muad’Diba*, książki Irulany opisującej, jak Paul Atryda opuścił Kaladan, by udać się na Diunę, jak niegodziwi Harkonnenowie zabili mu ojca i zniszczyli jego dom, jak uciekł z matką na pustynię, do Fremeni, i jak w końcu stał się żywą legendą, Paulem Muad’Dibem. Wydrukowane na tanim, ale trwałym papierze przyprawowym egzemplarze książki rozdawano wszystkim obywatelom, którzy o nią pytali, a ponadto stanowiła ona część ekwipunku każdego nowego żołnierza. Irulana zaczęła pisać tę kronikę, zanim jeszcze jej ojciec udał się na wygnanie na Salusę Secundusa.

Stilgar nie potrafił zgłębić motywów, którymi kierowała się ta kobieta, pisząc taką opowieść, ponieważ widział, że myli się w niektórych szczegółach, ale nie mógł zaprzeczyć, że książka robi wielkie wrażenie na czytelnikach. Bez względu na to, czy była to czysta propaganda, czy natchniony tekst religijny, opowieść o najpotężniejszym człowieku w galaktyce cieszyła się ogromnym powodzeniem w Imperium.

Dwóch młodzieńców zobaczyło Stilgara i podbiegło do niego.

— Wkrótce ruszamy? — zapytał młodszy, którego gęste, ciemne włosy sterczały na wszystkie strony.

— To prawda, że lecimy na Kaitaina? — Starszy ostatnio gwałtownie podrosł i był teraz wyższy od swego przyrodniego brata.

Orlop i Kaleff byli synami Dżamisa. Odpowiedzialność za ich wychowanie spadła na Paula Atrydę, który zabił ich ojca w pojedynku na noże. Nie żywili jednak za to do niego urazy; przeciwnie, ubóstwiali Paula.

— Walczymy dla Muad’Diba, gdziekolwiek poniesie nas dżihad. — Stilgar sprawdził harmonogram i wiedział, że liniowiec odlatuje za godzinę.

Bracia z trudem panowali nad ekscytacją. Pogaduszki bojowników zgromadzonych na pokładzie towarowym przybrały inny ton, kiedy Stilgar poczuł drzenie ogarniające kadłub ogromnego liniowca. Uruchomiono silniki zaginające przestrzeń. Wspomnienia z wielu wypraw przeciw Harkonnenom, po których nastąpił skok adrenaliny spowodowany zwycięstwem nad Szaddamem IV, były lepszym środkiem pobudzającym niż największa nawet dawka przyprawy.

W przyływie podniecenia Stilgar uniósł brodę i krzyknął:

— Na Kaitaina!

Wojownicy zaczęli wiwatować i tupać w płyty podłogi, czyniąc taką wrzawę, że naib prawie nie poczuł zmiany, kiedy zagięła się wokół nich przestrzeń kosmiczna.

STATEK GILDII WYPLUŁ tysiące wojskowych fregat na rozpieszczoną planetę, która przez tysiące lat była stolicą Imperium. Kaitain nie mógł odeprzeć tego ataku.

Wojownicy Muad'Diba niewiele wiedzieli o historii Imperium i nie żywili szacunku dla muzeów i pomników legendarnych postaci: Faykana Butlera, następcy tronu Raphaella Corrina czy Hassika Corrina III. Od czasu klęski i wygnania Szaddama IV na Kaitainie trwały ciągłe zmiany; jedne szlacheckie rody, których członkowie wchodziłi w skład Landsraadu, napływały, by wypełnić próżnię powstałą w kręgach władzy, inne zwiły swoje ambasady i uciekały na bezpieczniejsze światy. Ci, którzy pozostali, starali się zachować neutralność, ale fremeńscy żołnierze nie stosowali się do tych samych zasad.

Stilgar poprowadził z pasją i determinacją swoich ludzi do walki na ulicach byłej stolicy. Z mieczem w jednej ręce i krysnożem w drugiej biegł na czele oddziałów do pierwszego starcia, krzycząc:

— Niech żyje Imperator Paul Muad'Dib!

Chociaż ten świat powinien być najmocniej ufortyfikowany i najlepiej broniony ze wszystkich, na które spadła nawałnica džihadu, bezpieczeństwo Imperium opierało się na powiązaniach rodzinnych i sojuszach, małżeństwach, traktatach, podatkach i grzywnach. Na rządach prawa. To wszystko nic nie znaczyło dla fremeńskich armii. Kaitaińskim oddziałom bezpieczeństwa — garstce sardaukarów, którzy nie mieli już obowiązku chronić pokonanego Imperatora — brakowało zgrania. Szlachta z Landsraadu była zbyt wstrząśnięta i zdumiona, by podjąć prawdziwą walkę.

Komandosi pędzili ulicami z imieniem swojego młodego Imperatora na ustach. Na ich czele Stilgar widział uśmiechniętych synów Dżamisa, pragnących wykazać się męstwem i pokryć krwią. Podbój tej planety będzie zwycięstwem o ogromnym znaczeniu, ważnym elementem w toczącej się w Imperium grze politycznej o najwyższą stawkę. Tak, Muad'Dib będzie zadowolony.

Wiodąc swoich ludzi do boju, Stilgar krzyczał w języku Fremenów:

— *Ja hja chauhada!* Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib! *Ja hja chauhada!*

Sam jednak czerpał niewielką satysfakcję z walki, ponieważ jego ludzie tak łatwo zmiotli przeciwników. Ci kulturalni członkowie Landsraadu nie byli zbyt dobrymi wojownikami.



Kiedy księżę Leto Atryda objął w lenno Arrakis, hrabia Hasimir Fenring przestał piastować na niej godność regenta Imperatora i otrzymał w zamian tymczasową kontrolę nad ojczystym światem Atrydów, Kaladanem. Chociaż urzędował tani (na rozkaz Szaddama IV) jako siridar in absentia, niezbyt interesował się swoim nowym, zaściankowym lennem, a lud Kaladanu odplacał mu takim samym brakiem zainteresowania. Kaladańczycy zawsze byli dumni i niezależni i bardziej obchodzili ich połowy morskie niż polityka galaktyczna. Nie bardzo też zdawali sobie sprawę ze znaczenia bohaterów, których wydała ich planeta. Po upadku Szaddama i wstąpieniu na tron Muad'Diba rządy nad tym światem objął z kolei Gurney Halleck, ale obowiązki związane z dżihadem często zmuszały go do przebywania z dala od niego.

— ustęp biograficznego szkicu Gurneya Hallecka

Zostawiwszy za sobą krwawy dżihad, który rozpętał, Paul nie mógł się doczekać powrotu na Kaladan, miejsce, z którym łączyło go tyle miłych wspomnień. Wiedząc, że w całym Imperium toczą się teraz krwawe bitwy, i mając dzięki prekognicji świadomość, że będą jeszcze bardziej zażarte, doszedł do wniosku, że ta krótka wizyta odnowi go.

Kaladan... morza, smagane wiatrem wybrzeże, wioski rybackie, kamienne baszty starożytnego rodzinnego zamku. Zatrzymał się w połowie trapu prowadzącego ze statku na lądowisko w porcie kosmicznym w Kala, zamknął oczy i wziął długi, głęboki wdech. Czuł zapach przesyconego solą powietrza, woń jodu wydzielanego przez schnące krasnorosty, fetor rozkładających się ryb, rześką wilgoć deszczu i drobnych kropeł unoszących się nad falami rozbijającymi się o brzeg. To wszystko było tak dobrze znane. Tu był kiedyś jego dom. Jak mógł o tym tak szybko zapomnieć? Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Kiedy przypomniał sobie świątynię, którą polecił zbudować, by umieścić w niej czaszkę ojca, zaczął się zastanawiać, czy księżę Leto nie wolałby zostać pogrzebany tutaj, na planecie, która przez dwadzieścia sześć pokoleń była ojczyzną Atrydów.

„Ale chciałem, by był blisko mnie — pomyślał. — *Na Diunie*”.

Pozornie wydawało się, że ten świat nic a nic się nie zmienił od odlotu jego rodziny, lecz oddalając się od statku, Paul uświadomił sobie, że on sam się zmienił. Opuścił Kaladan jako piętnastoletni chłopiec, syn ukochanego księcia. Teraz, zaledwie po kilku latach, wracał jako święty Imperator Muad'Dib, który miał miliony wojowników gotowych walczyć — i umrzeć — dla niego.

Jessika położyła mu dłoń na ramieniu.

— Tak, Paul — powiedziała. — Jesteśmy w domu.

Potrząsnął głową i rzekł cicho:

— Chociaż bardzo kocham to miejsce, moim domem jest teraz Diuna. — Nie było powrotu do przeszłości, bez względu na to, jak mogłoby to być przyjemne. — Kaladan nie jest już całym moim wszechświatem, a jedynie drobnym punktem w rozległym imperium, którym muszę władać. Są ode mnie zależne tysiące planet.

— Twoim ojcem był księżę Leto, a to był jego lud — zgaśniła go Jessika, używając lekkiej nuty Głosu. — Możesz panować nad Imperium, ale Kaladan jest nadal twoim ojczystym światem, a jego mieszkańcy są tak samo twoją rodziną jak ja.

Wiedział, że matka ma rację. Uśmiechnął się, tym razem szczerze.

— Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś, kiedy tego potrzebowałem. — Obawiał się, że jego zaabsorbowanie sprawami Imperium może się pogłębić, kiedy będzie musiał stawić czoło kolejnym kryzysom. Szaddam IV traktował wiele swoich planet lekceważąco, postrzegając je tylko jako nazwy w katalogu albo numery na mapach gwiazdnych. On nie może wpaść w tę pułapkę. — Każda łódź rybacka na Kaladanie musi mieć kotwicę.

Stojące na skraju portu kosmicznego tłumy zaczęły wiwatować, kiedy zobaczyły idącą ku nim parę. Paul zlustrował setki twarzy — mężczyzn w kombinezonach i koszulach w pasy, handlarki rybami, wytwórców sieci, skutników. Nie odziali się w śmieszne dworskie szaty ani nie starali się przybierać wyniosłych min.

— Powrócił Paul Atryda!

— To nasz księżę!

— Witaj, ladyJessiko!

Paulowi towarzyszyła ochrona osobista pod dowództwem człowieka zwanego Chattem Skoczkiem. Fedajkini stali blisko Paula, wypatrując w tłumie ewentualnych asasynów. Czuli się nieswojo w tym dziwnym miejscu, które pachniało rybami i krasnorostami i w którym po niebie przesuwwały się kłębiaste chmury, cyple były zasnute mgłą, a o brzeg biły morskie fale.

Chłonąc głośnie powitania, Paul nie potrafił zapanować nad podnieceniem ani powstrzymać skurczu serca na myśl o cudownym życiu, jakie mógłby wieść, gdyby stąd nie wyjechał i przejął z radością obowiązki księcia, kiedy nadeszłaby jego pora. Napłynęły wspomnienia z dzieciństwa — spokojnych dni spędzanych na łowieniu ryb z ojcem, wypraw w głąb lądu, które podejmowali, czasów, kiedy ukrywał się z Duncanem w dżungli podczas strasznej wojny asasynów, w którą zostali wypłątani Atrydzi i Ekazowie, wystąpiwszy przeciw Moritanim. Ale nawet ów krwawy konflikt bladł w porównaniu z jego dżihadem, w którym gra będzie się toczyć o znacznie większą stawkę, a działania wojenne i masakry osiągną niespotykane w dziejach rozmiary.

— Powinniśmy byli zabrać Gurneya — powiedziała Jessika, przerywając jego rozmyślania.  
— Powrót na Kaladan dobrze by mu zrobił. Tutaj jest jego miejsce.

Paul wiedział, że matka ma rację, ale nie mógł zrezygnować z usług tak bezsprzecznie wiernego i utalentowanego oficera.

— Gurney wykonuje dla mnie niezbędną pracę — rzekł.

Oficjalnie w ramach zrzeczenia się tronu przez Imperatora Gurney otrzymał tytuł earla i dobra na Kaladanie, ale Paul nie dał mu jeszcze szansy osiedlić się tam. Na razie Hallecka zastępował przedstawiciel pomniejszego rodu szlacheckiego z Ekaza, książę Xidd Orleaq. Dopóki nie skończy się dżihad, Paul będzie potrzebował Gurneya, Stilgara i najlepszych Fremenów na liniach frontu.

Pulchny i rumiany książę Orleaq powitał Paula i Jessikę, wymieniając z nimi energiczne uściski dłoni. Wydał się Paulowi oddany, również raporty przedstawiały go w dobrym świetle, chociaż lud Kaladanu odnosił się do niego powściągliwie. Mógł być sprawnym i kompetentnym przedstawicielem władzy, ale dla tych ludzi zawsze pozostanie obcoświatowcem.

— Przygotowaliśmy dla was zamek — powiedział. — Staraliśmy się w miarę możliwości przywrócić waszym apartamentom dawny wygląd. Mieszka w nim moja rodzina, ponieważ sprawujemy tu tymczasowe rządy, ale wiemy, że jesteśmy tylko sługami. Chcielibyście, żebyśmy opuścili zamek na czas waszego pobytu?

— Niekoniecznie — odparł Paul. — Wystarczą nam pomieszczenia, które przygotowaliście. Nie mogę pozostać tutaj długo. Moja matka... jeszcze nie do końca zdecydowała, co będzie robić.

— Ryc może zostanie trochę dłużej — rzekła Jessika.

Orleaq spoglądał to na niego, to na nią.

— Cokolwiek postanowicie, będziemy gotowi. — Podniósłszy głos, zwrócił się do tłumu, który pogodnie przyjął jego ponaglenie. — Dopilnujcie, żeby wszędzie był porządek! Nazajutrz książę Paul Atryda odwiedzi wioskę. Może uda nam się namówić go, by spędził popołudnie na tronie i wysłuchał waszych trosk, jak zwykł robić jego ojciec. Może urządzimy nawet walki byków na arenie? Od zbyt dawna była pusta. — Nagle zaczerwienił się, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że Stary Książę został zabity na arenie przez saluskiego byka. — Możemy znaleźć mnóstwo spraw, żeby go czymś zająć.

Tłum gwizdał i klaskał, kiedy Paul podniósł rękę, nieco zakłopotany.

— Proszę — powiedział — mój harmonogram nie jest jeszcze ustalony. — Czuł już, że wzywają go obowiązki, i zastanawiał się, jakie trudności mogą napotykać Alia i Chani, sprawując pod jego nieobecność rządy w Arrakin. Chociaż miał przed sobą lud Kaladanu, myślami był w odległych układach gwiazdnych, które w końcu — czasami w bolesny sposób — znajdują się pod jego sztandarem. — Zostanę tak długo, jak będę mógł.

Ludzie znowu zaczęli wiwatować, jakby powiedział coś ważnego, a Orleaq pospiesznie zaprowadził ich do luksusowego pojazdu naziemnego, który miał zabrać szlachetnych gości i ich świtę do zamku przodków na nadmorskich skałach. Siedzący naprzeciw Paula w przedziale pasażerskim Chatt Skoczek był bardzo podejrzliwy wobec Kaladańczyków, dopóki Paul nie dał mu znaku, by się trochę odprężył. Pamiętał, jak Stary Książę, Paulus, tłumaczył mu, że nie musi się obawiać poddanych, bo go kochają, ale Muad'Diba chciało już zabić wielu konspiratorów? Nawet na tej planecie niekoniecznie był bezpieczny. A poza tym dawno temu zjawili się w zamku kaladańskim polujący na niego zabójcy...

— Dla mieszkańców Kaladanu jesteś wszystkim, panie — powiedział Orleaq. — Kochali księcia Leto i pamiętają cię z czasów, kiedy byłeś chłopcem. Jesteś jednym z nich, a teraz zostałeś Imperatorem i poślubiłeś córkę Szaddama. — Uśmiechnął się szeroko. — Zupełnie jak w bajce. Czy to prawda, że zamierzasz uczynić światem stołecznym Kaladan, a nie Kaitaina czy Arrakis? Ludzie byliby zaszczyceni.

Paul wiedział, że nie mógłby mieć innej stolicy niż Diuna, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wtrąciła się jego matka.

— Plotki są tylko plotkami — rzekła. — Paul nie podjął jeszcze... ostatecznej decyzji.

— Piastuję teraz stanowisko, które daleko wykracza poza obowiązki księcia Kaladanu — powiedział Paul nieco przepraszającym tonem, patrząc przez okno na tłum, który mijał długi pojazd. — Na co najmniej trzydziestu planetach toczą się pierwsze bitwy džihadu. W każdej chwili mogą zostać gdzieś wezwani.

— Oczywiście, panie. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jesteś Imperatorem Paulem Muad'Dibem, człowiekiem, który ma obowiązki nie tylko wobec jednego świata. — Niemniej Orleaq najwyraźniej tego nie rozumiał. — Mimo to tutejsi ludzie wiedzą, że masz ich we wdzięcznej pamięci. Pomyśl, ile by to znaczyło dla Kaladanu, gdybyś uczynił go stolicą Imperium.

— Muad'Dib odwiedził wasz świat — powiedział szorstko Chatt Skoczek. — Skapaliście się już w blasku jego majestatu.

Wieczorem, w dobrze znanym starym zamku, Paul znowu mógł się rozkoszować snem w swoim pokoju z lat chłopięcych. Na ścianie wisiał wspaniały, ręcznie tkany w kwadraty kilim; Paul pamiętał, że został zrobiony i подарowany księciu Leto przez przedstawicieli miejscowych wiosek, ale nie mógł sobie przypomnieć, z jakiej to było okazji.

— Powinienem był zabrać Chani — mruknął do siebie. Ale ona nie chciała opuszczać Diuny. Może któregoś dnia...

W chwili rozproszenia, kiedy pozwolił sobie zapomnieć o džihadzie, rozmyślał, jak by to było, gdyby osiadł po abdykacji na Kaladanie i spacerował z Chani po nadmorskich skalach, patrząc, jak na jej brązowych policzkach i czole osiadają drobne diamenty kropel rozbryzgujących się o brzeg fal. Mogliby nosić proste ubrania i cieszyć się nieskomplikowanymi przyjemnościami, przechadzając się po ogrodach i wioskach rybackich. Kiedy odpływał w sen, oddając się tym nieprawdopodobnym marzeniom, zmęczony umysł przekonywał go, że to możliwe. Ale jeszcze nie przez wiele lat. Nieobliczalna prekognicja nie ukazywała mu spokojnych momentów.

Kiedy obudził się następnego dnia, zobaczył, że główna sala audiencyjna zamku jest przystrojona kwiatami i wstęgami, a jej ściany z kamiennych bloków, upstrzone listami i rysunkami. Na jego powitanie uradowani ludzie przynieśli prezenty: kolorowe muszle, duże, pływające w oliwie perły i kosze ryb. Prości tubylcy mieli dobre chęci, ustawiając się przy murach okalających dziedziniec, w bramie i wzdłuż drogi biegnącej ze wzgórza, by choć przez chwilę go zobaczyć.

Ale już czuł się niespokojny.

Matka zdążyła wstać i doglądała wszystkiego, powitawszy ciżbę za główną bramą.

— Długo czekali na powrót swego księcia — powiedziała. — Chcą Paula Atrydy. Kto będzie odgrywał tę rolę, kiedy znowu staniesz się Imperatorem Muad'Dibem? Nie opuszczaj tych ludzi, Paul. Są dla ciebie dużo warci.

Paul wziął jeden z ręcznie napisanych listów i przeczytał wiadomość od młodej kobiety, która pamiętała, jak przed laty spotkała go w wiosce, kiedy spacerował z księciem Leto. Miała wówczas sztandar ze srebrnych i niebieskich wstęg. Przeczytawszy to, Imperator spojrzał na matkę.

— Przykro mi, ale nie pamiętam jej — powiedział.

— Za to ona na pewno pamięta ciebie, Paul. Nawet najmniejsze rzeczy, które robisz, mają wpływ na tych ludzi.

— Na wszystkich ludzi.

Paul nigdy nie mógł całkowicie uciec od wizji straszliwych skutków ubocznych džihadu, nie myśleć o tym, jak trudno będzie zapanować nad tym potworem, który uwolniłby się z jego pomocą albo bez niej. Jedyna prawdziwa droga do przetrwania rodzaju ludzkiego była wąska jak ostrze brzytwy i śliska od krwi.

— Zatem teraz jesteś zbyt ważny, żeby się zajmować Kaladanem?

Uwaga matki zabolala go. Czyż nie widziała, że tak właśnie jest?

Im większy był entuzjazm tych ludzi, tym bardziej nieswojo czuł się wśród nich. Księżę Orleaq wydał wystawne śniadanie, ale poganiał służbę, chcąc przejść paradnie z Paulem przez miasteczko. Nominalny przywódca Kaladanu skończył jeść, po czym otarł usta koronkową chusteczką.

— Na pewno nie możesz się doczekać ponownych odwiedzin w miejscach, których tak bardzo ci brakowało, panie — powiedział. — Wszystko zostało przygotowane specjalnie na twoją wizytę.

Paul wyszedł z matką i pozostałymi osobami na zewnątrz. Gdy kroczył przez portowe miasteczko, nie mógł się pozbyć dziwnego, ale przemożnego wrażenia, że jego miejsce nie jest już tu. Było wilgotno i parno, każdy haust wdychanego powietrza przesycony był wilgocią. Chociaż kochał swoją ojczyznę, wydawała mu się teraz na swój sposób równie obca jak cywilizacja tremeńska.

Czuł się jednocześnie związany z tym ludem — swoim ludem — i całkowicie od niego oderwany. Nie był już człowiekiem jednego czy nawet dwóch światów. Był Imperatorem tysięcy światów. Rozbrzmiewające wokół rozmowy o łowieniu ryb, księciu Leto, zbliżającym się sezonie sztormów, Starym Księciu i jego widowiskowych walkach z bykami... wszystko to wydawało się błahe, pozbawione rozmachu. Jego myśli kierowały się ku pierwszym kampaniom wojennym, które — o czym wiedział — trwały właśnie w różnych rejonach Imperium.

Co teraz robił Gurney? A Stilgar? A jeśli potrzebowały go w pilnych sprawach państwowych Alia i Chani? Dlaczego opuścił Diunę w tak wczesnym stadium tej wojny?

Jedną z pierwszych swych ustaw zwiększył podatki na każdym świecie, który natychmiast nie uznał jego władzy, i wiele planet szybko się mu podporządkowało, choćby tylko z powodów ekonomicznych. Paul był przekonany, że ten przymus finansowy ocali wiele istnień ludzkich, zapobiegając niepotrzebnym walkom. Nie można jednak było uniknąć znacznej części zmagania wojennych, a on nie mógł uciec od swoich obowiązków i odpowiedzialności, nawet tutaj, na planecie, na której spędził dzieciństwo.

Wieczorem, stojąc z matką, księciem Orleakiem i innymi miejscowymi dygnitarzami na platformie widokowej, ledwie był w stanie się skupić na kaladańskich tancerzach w barwnych strojach, którzy występowali specjalnie dla niego. Czuł się wykorzeniony, jak drzewo, które przewieziono na drugi koniec galaktyki i tam zasadzono. Na Diunie rośliny nie rosły tak łatwo jak na Kaladanie, ale on na pustynnym świecie świetnie się rozwijał. Nikt się nie spodziewał, że będzie się tak czuł.

Nagle z portu kosmicznego w Kali przybyła na szybkim jednoślądzie kurierka. Widząc zaczerwienioną kobietę i opaskę na jej ramieniu, Paul ciał Chattowi Skoczowski znak, by ją przepuścił.

Wieśniacy z ociąganiem zareagowali na tę nieoczekiwaną przerwę. Tancerze najpierw zawahali się, po czym stanęli z boku sceny, czekając, aż będą mogli wznowić występ. Orleaq wyglądał na zatroskanego. Paula interesowała tylko wiadomość przywieziona przez kurierkę. Pilne wiadomości rzadko były dobre.

— Imperatorze Muad'Dibie, przynoszę wiadomość z pola bitwy od Stilgara — powiedziała zdyszana kobieta. — Uznaliśmy, że jest tak ważna, że zmieniliśmy kurs liniowca, żeby ci ją jak najszybciej przekazać.

— Zawróciliście liniowiec tylko po to, żeby przekazać wiadomość? — wykrztusił Orleaq. Przez umysł Paula przemknęło tysiąc scenariuszy. Czyżby Stilgarowi przydarzyło się coś strasznego?

— Mów — rzeki do kurierki. Prekognicja nie ostrzegła go przed żadną bliską katastrofą.

— Stilgar kazał przekazać ci te słowa: „*Usul, zrobiłem, o co prosileś. Twoje armie zajęły Kaitaina i czekam na ciebie w pałacu obalonego Imperatora*”.

Nie będąc w stanie zapanować nad przepełniającą go radością, Paul wstał i krzyknął do tłumu:

— Kaitain jest nasz!

W odpowiedzi na jego podniecenie rozległy się niepewne oklaski. Jessika podeszła do niego.

— A zatem odlatujesz?

— Muszę. — Nie mógł przestać się uśmiechać. — Matko... to Kaitain!

Zaniepokojony Orleaq uniósł ręce, wskazując tancerzy.

— Ależ, panie, wszystkie łodzie rybackie zostały przystrojone na jutrzejsze regaty. Myśleliśmy też, że będziesz chciał złożyć wieńce pod pomnikami księcia Paulusa i młodego Victora.

— Wybaczcie mi, proszę. Nie mogę zostać. — Kiedy zobaczył zawiedzioną minę księcia, dodał: — Przykro mi. — Podniósł głos, żeby usłyszał go cały tłum. — Mieszkańcy Kaladanu, wiem, że chcieliście odzyskać waszego księcia, ale obawiam się, że nie mogę teraz odgrywać tej roli. W zamian, nie tylko jako wasz księżę, ale również Imperator, zostawiam tutaj moją matkę, żeby czuwała

nad Kaladanem i kierowała w moim imieniu tym światem. — Uśmiechnął się, zadowolony, że wpadł na takie rozwiązanie. — Ona będzie waszą nową księżną. Wyznaczam jej oficjalnie tę rolę.

— Dziękuję ci, Paul — powiedziała Jessika znacznie ciszej.

Zebrani zaczęli klaskać, początkowo nieco niepewnie, potem z rosnącym entuzjazmem, kiedy wystąpiła, by wygłosić zaimprovizowaną mowę.

Podczas gdy widzowie przyglądali się i przysłuchiwali jego matce, Paul szybko odwrócił się do kurierki.

— Czy liniowiec jest gotowy do odlotu? — zapytał szeptem.

— Nawigator czeka na twoje rozkazy, Muad'Dibie.

— Wyruszam za godzinę. Najpierw wyślijcie wiadomość na Arrakis, żeby Irulana spotkała się ze mną na Kaitainie. Jej obecność jest obowiązkowa.

Kurierka spiesznie odjechała, żeby wszystko przygotować, a Paul zwrócił się do przygnębionego Orleaqa.

— Zdenerwowaliśmy cię, panie? — zapytał księżę łamiącym się głosem. — Spodziewaliśmy się, że zostaniesz trochę dłużej.

— Nie mogę. — Paul wiedział, że atrydzka część jego osobowości będzie zawsze lgnęła do Kaladanu, podczas gdy serce ciągnęło go do Diuny, a ta część jego „ja”, która była Muad'Dibem, ogarnie całą galaktykę.



*Ludzie mają skłonność do narzekania, ilekroć stare musi ustąpić miejsca nowemu. Ale zmiana jest nieodłączną właściwością wszechświata, musimy się więc nauczyć z tym żyć i opowiadać się za nią, zamiast jej się bać. Proces przemian i dostosowywania się wzmacnia nas.*

— Matka Przełożona Raquella Rerto–Anirula, założycielka szkoły Bene Gesserit

Przybyła delegacja Gildii. Jej członkowie szli przez budynek z płyt harmonium, który był tymczasową „salą audiencyjną” Imperatora. Wyniosli gildianie wydawali się poirytowani tym, że zatrzymywano ich w każdym punkcie kontrolnym, ale musieli się stosować do protokołu i zasad bezpieczeństwa, jeśli chcieli uzyskać audiencję u Imperatora Muad’Diba.

Trójce wkraczającej do wielkiej sali o metalowych ścianach przyglądała się stojąca obok tronu w pozie odpowiedniej do jej godności zimna, jasnowłosa księżna Irulana. Mężczyźni wyglądali godnie w szarych uniformach, z symbolem nieskończoności, godłem Gildii Kosmicznej, na rękawach. Szli jeden za drugim, od najniższego do najwyższego. Mieli cechy odbiegające nieco od normy.

Niski, na przedzie, miał przerośniętą głowę. Lewa jej strona nakryta była metalową płytką z zadziornymi, a prawa porośnięta zmierzwionymi pomarańczowymi włosami, które powiewały, gdy szedł. Drugi był niezwykle chudy i miał pociągłą twarz, która nosiła ślady rekonstrukcji, natomiast najwyższy, zamykający ten pochód, zerkał nerwowo na wszystkie strony metalowymi oczami. Irulana zauważyła nagłą zmianę, kiedy gildianie jednocześnie spostrzegli czekającą na nich na imponującym tronie Imperatora małą Alię.

U podnóża tronu Paula stał niczym strażnik Korba z miną świadczącą o jego ważności. Tradycyjny filtrfrak i płaszcz Fremena zdobiły insygnia rangi: tajemnicze religijne symbole skopiowane z archaicznych inskrypcji Muadru. Irulana wątpiła, by Korba spodziewał się, że ktokolwiek zauważy ten wpływ, ale dzięki szkoleniu Bene Gesserit doskonale wiedziała, dlaczego to robi. Logiczną częścią umysłu rozszlifowała plan Korby.

„Religia daje większą moc niż pozycja okrytego chwałą strażnika” — pomyślała.

Może powinna stworzyć podobną rolę dla siebie.

Jako najstarsza córka Szaddama Corrina IV Irulana zawsze wiedziała, że pewnego dnia poślubi kogoś z powodów politycznych i ekonomicznych. Przygotowywał ją do tej roli zarówno Imperator, jak i Bene Gesserit, a ona się z tym pogodziła i sama zaproponowała to rozwiązanie, kiedy po bitwie pod Arrakin Paul stanął twarzą w twarz z jej ojcem.

Chociaż nigdy nie spodziewała się, że Paul Atryda się w niej zakocha, miała nadzieję, iż powije mu dziecko. Domagały się tego Bene Gesserit dla potrzeb swojego programu eugenicznego. Jednak Paul jej nie tknął, a wyznaczając jej pozycję niższą od tych, które zajmowały Alia i Chani, wysłał jasny sygnał dla całego dworu.

Irulana wykonywała właśnie ledwie widoczne dla postronnych obserwatorów ćwiczenie oddechowe Bene Gesserit, by pozbyć się napięcia. Nie odczuwała już ironii losu z powodu tego, że Muad’Dib urządził salę audiencyjną w ogromnym budynku koszar, który jej ojciec przewiózł na Arrakis, by zadać Paulowi obezwładniający cios. Minęły dni chwały Corrinów, a ona została sprowadzona do tej podrzędnej roli, która była swoistą formą wygnania.

„Jestem tylko pionkiem na szachownicy Imperium” — pomyślała.

W pomieszczeniu tłoczyło się wielu ludzi — przedstawiciele zarządu KHOAM, drobna szlachta, która miała nadzieję, że dzięki publicznemu poparciu udzielanemu Muad’Dibowi wzmocni swoją pozycję, bogaci sprzedawcy wody, byli przemytnicy, którzy uważali się teraz za ludzi godnych szacunku, oraz inni czekający na posłuchanie u Muad’Diba. Jednak dzisiaj, kiedy Paul był na Kaladanie, spotkają się z jego siostrą Alią. Zwodniczo mała, czteroletnia dziewczynka usadowiła się jak ptak na grzędzie na przezroczyście zielono–niebieskim tronie, na którym siadał niegdyś Szaddam IV.

Obok Alii siedziała na wysokim fotelu rudowłosa Chani. Po drugiej stronie stała Irulana, która nie miała tronu. Chociaż Irulana była żoną Imperatora, Paul nie skonsumował tego małżeństwa i zarzekł się, że nigdy tego nie robi, ponieważ darzy uczuciem wyłącznie swoją fremeńską konkubinę. Pozbawiona możliwości małżonki i potencjalnej matki, Irulana starała się określić swoją rolę.

— Mamy wyznaczoną audiencję u Muad’Diba — oznajmił najniższy gildianin. — Przybyliśmy z Węzła.

— Dzisiaj w imieniu Muad’Diba mówi Alia — powiedziała Chani i czekała.

— To jest Ertun, a ja jestem Loyxo — rzekł skonsternowany drugi gildianin. — Przylecieliśmy prosić z ramienia Gildii Kosmicznej o zwiększenie przydziału przyprawy.

— A kim jest ten wysoki? — Alia prześliznęła się wzrokiem po dwóch pierwszych.

— Crozeed — odpowiedział, składając lekki ukłon.

— Bardzo dobrze. Będę rozmawiała z Crozeedem, bo ma przynajmniej tyle rozsądku, żeby się nie odzywać niepytany.

Oczy Crozeeda rozbłysły.

— Jak powiedział mój towarzysz, jeśli Gildia ma funkcjonować właściwie, wspierając podboje Muad'Diba, potrzebujemy więcej przyprawy.

— To interesujące, że Gildia nigdy nie potrzebuje mniej przyprawy — zauważyła Chani.

— Mój brat wykazał się już wobec was szczodrobliwością — dodała Alia. — Wszyscy musimy ponosić ohary na rzecz większego dobra.

— Zarekwirował wiele naszych liniowców i nawigatorów z myślą o wojnie — wtrącił Ertun. — Gildia potrzebuje tych statków, żeby prowadzić interesy na światach należących do Imperium. KHOAM donosi już o drastycznym zmniejszaniu się zysków.

— Jesteśmy w trakcie wojny — zauważyła Irulana, chociaż równie dobrze mogła to powiedzieć dziewczynka. — Co warte są wasze interesy, jeśli nie macie przyprawy do podtrzymania prekognicji nawigatorów?

— Nie chcemy niezadowolenia Muad'Diba. — Loyxo odgarnął opadające mu na oko pomarańczowe włosy. — Zgłaszamy tylko nasze potrzeby.

— A zatem módlcie się, żeby ten dżihad szybko się skończył — powiedziała Alia.

— Powiedz nam, jak moglibyśmy zadowolić Imperatora — poprosił Ertun.

Alia zastanawiała się nad tym pytaniem, jakby łączyła się telepatycznie z bratem.

— Boski Muad'Dib zwiększył przydział dla Gildii o trzy procent rocznie, jeśli oddacie do jego dyspozycji jeszcze dwieście statków — powiedziała.

— Dwieście liniowców?! — wykrzyknął Crozeed. — Aż tyle?

— Im szybciej mój brat utrwali swoją władzę, tym szybciej odzyskacie swój cenny monopol.

— A skąd mamy wiedzieć, że nie zostanie pokonany? — zapytał Loyxo.

Alia spiorunowała go wzrokiem.

— Poproście waszych nawigatorów, by zajrzeli w przyszłość i sprawdzili, czy rządzi nią Muad'Dib.

— Już zajrzeli — rzekł Ertun — ale jest wokół niego za dużo chaosu.

— A więc pomóżcie mu zmniejszyć ten chaos. Pomóżcie mu wszystko uporządkować, a będzie wam dozgonnie wdzięczny. Hojność Muad'Diba, podobnie jak wściekłość na wrogów, nie zna granic. Chcacie się znaleźć po tej samej stronie co te głupie rody, które mają czelność występować przeciw nam?

— Nie jesteśmy wrogami Imperatora — rzekł z naciskiem Ertun. — Naszą siatką bezpieczeństwa jest stała neutralność Gildii.

— Przyjmując taką postawę, nie macie żadnej siatki bezpieczeństwa — powiedziała Alia. Jej słowa były oszczędne, wyważone. — Zrozumcie to i przemyślcie dobrze. Wszyscy, którzy nie popierają otwarcie Muad'Diba, mogą zostać uznani za jego wrogów. — Odprawiła ich gestem. — Posłuchanie skończone. Inni długo czekają na rozmowę ze mną. Gildia Kosmiczna otrzyma zwiększony przydział przyprawy dopiero po dostarczeniu statków.

Kiedy rozczarowani przedstawiciele Gildii wymaszerowali niezgrabnie, do sali wkroczył w towarzystwie kobiety wiekowy, łysy mężczyzna o wysokim czole. Szedł niepewnie, pomagając sobie laską dźwiękową, która była dla niego raczej przedmiotem użytkowym niż oznaką godności.

Zaskoczony Irulanie zaparło dech w piersi. Chociaż nie widziała go od lat, poznała szambelana swojego ojca, Beely'ego Ridonda. Był niegdyś osobą o wielkich wpływach, przewodniczył Landsraadowi i ustalał harmonogram zajęć Padyszacha Imperatora. Udał się z Szaddamem IV na wygnanie na Salusę Secundusa, ale teraz wrócił.

Może powinna dać mu egzemplarz swojej książki z dedykacją... a może rozwścieczyłoby to tylko jej ojca?



Szambelan zbliżył się do tronu, stukając ozdobną laską o krwistoczerwoną marmurową posadzkę, a Irulana zauważyła, że czas nie obszedł się z nim łagodnie. Jego biało–złoty garnitur był zakurzony, rękawy marynarki zaś pogniecione; kiedyś pokazałby się jedynie w nieskalanym stroju. Zostawiwszy asystentkę z tyłu, stanął przed tronem.

— Czekam, że zostanę zapowiedziany — rzekł po długim i niezręcznym milczeniu.

— Sam możesz się zapowiedzieć — stwierdziła piskliwym tonem Alia. — Jako szambelan Szaddama masz wystarczające doświadczenie.

Irulana widziała jego oburzenie.

— Przynoszę ważną wiadomość od Jego Ekscelencji Szaddama Corrina i domagam się, by traktowano mnie z szacunkiem.

Wystąpiwszy pół kroku do przodu, Korba położył dłoń na rękojeści krysnoża u pasa, zachowując się jak dobry tedajkin, ale odprężył się na gest Alii.

Dziewczynka wyglądała na znudzoną.

— Zapowiem cię — powiedziała. — Oto Beely Ridondo, szambelan wygnanego Imperatora. — Spojrzała na niego niebieskimi fremeńskimi oczami osadzonymi w twarzy, która dopiero zaczęła tracić dziecięcą pulchność.

Ridondo zwrócił się do Irulany, jakby miał nadzieję, że od niej dozna lepszego przyjęcia.

— Ojcu będzie miło dowiedzieć się, że masz się dobrze, księżno — rzekł. — Czy wciąż taki nosisz tytuł?

— Księżna wystarczy. — Bardziej odpowiednia byłaby Imperatorowa Irulana, ale nie oczekiwała tego. — Powiedz, proszę, co cię sprowadza.

Wyprostowawszy się, Ridondo stanął bez pomocy laski dźwiękowej.

— Przekazuję słowa Padyszacha Imperatora, który...

— Byłego Padyszacha Imperatora — przerwała mu Chani.

— Dobrze — odezwała się Alia. — Co Szaddam ma do powiedzenia?

— Z całym szacunkiem... pani... kiedy Imperator Paul Muad’Dib zesłał Padyszacha Imperatora na Salusę Secundusa, obiecał, że zostaną poprawione warunki na tym świecie — rzekł Ridondo, przerwawszy tylko na chwilę, by dojsć do siebie. — Szaddam IV pyta, kiedy zaczną się zmierzające do tego kroki. Żyjemy w brudzie i nędzy, wydani na pastwę surowego środowiska.

Irulana wiedziała, że nieprzychylność otoczenia na Salusie była katalizatorem hartującym ludzi, spośród których jej ojciec rekrutował swoich sardaukarów. Łagodząc warunki panujące na tym poligonie, Paul zamierzał zmiękczyć potencjalnych żołnierzy Imperatora. Najwidoczniej teraz, kiedy został tam zesłany z resztką rodziny i służby oraz niewielkim oddziałem pełniących funkcję policji sardaukarów, Szaddam nie dostrzegał już zalet owych wyrzeczeń.

— Jesteśmy zajęci dżihadem — powiedziała Alia. — Szaddam musi być cierpliwy. Odrobina niewygód mu nie zaszkodzi.

Szambelan nie dawał za wygraną.

— Imperator obiecał nam! Oto słowa wypowiedziane przez Muad–Diba, kiedy skazał Szaddama Corrina na wygnanie: „*Złagodzę surowość tego miejsca, wykorzystując wszelkie dostępne mi środki. Stanie się ono planetą–ogrodem pełną miłych rzeczy*”. Wydaje się, że Muad’Dib nie wykorzystuje wszystkich dostępnych środków. Czyżby złamał dane słowo?

Wtedy Korba skoczył, wyciągając z pochwy krysnoż. Irulana krzyknęła, starając się go powstrzymać, ale tremeński dowódca jej nie słuchał. Ani Alia, ani Chani nie powiedziały słowa, kiedy podciął szambelanowi gardło, zanim starzec zdążył się zasłonić laską dźwiękową.

Tłum zablokował drogę ucieczki asystentce szambelana. Korba ruszył ku niej, wyraźnie chcąc pozbyć się również jej, ale zatrzymała go Alia.

— Dość, Korba — powiedziała. Wstała z tronu i spojrzała na ciało szambelana. Na wypolerowanych kamieniach tworzyła się kałuża krwi, którą można było zebrać i przetworzyć.

Dowódca fedajkinów podniósł brodę.

— Wybacz mi, lady Alio. Moja chęć obrony honoru Muad’Diba nie zna granic.

Wypowiedział szybko modlitwę, do której przyłączyła się część zebranych w sali audiencyjnej.

Irulana patrzyła z przerażeniem na martwego szambelana. Potem odwróciła się powoli, spoglądając gniewnie, do Alii i Chani.

— Przybył tu jako ambasador, z posłannictwem od byłego Imperatora — powiedziała. — Miał immunitet dyplomatyczny i nie powinna mu się była stać żadna krzywda!

— To nie jest stare Imperium, Irulano — odparła Alia, po czym podniosła głos. — Odeślijcie asystentkę bezpiecznie na Salusę Secundusa. Niech powie Szaddamowi i jego rodzinie, że Imperator Muad'Dib przyśle specjalistów od zmiany środowiska i konieczny do tego sprzęt, jak tylko będzie to możliwe.

— Muad'Dib! Muad'Dib! — zaczął skandować tłum.

Korba, wyraźnie pragnąc jeszcze kogoś zabić, popatrzył dzikim wzrokiem na Irulanę, ale zaraz wytarł nóż i wsunął go do pochwy. Choć robiło się jej niedobrze na widok krwi, księżna odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem. Biorąc pod uwagę szkolenie Bene Gesserit, z nią nie poszłoby mu tak łatwo.

Podbiegli służący, by usunąć zwłoki Ridonda i wytrzeć krew. Alia usiadła z powrotem na tronie.

— Kto chce być zapowiedziany następny? — spytała.

Nikt nie wystąpił.

*Zostawiam ślady w historii nawet tam, gdzie nie chodzę.*

— z *Powiedzeń Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

Na Kaitainie wylądował prom z liniowca. Z sali widokowej statku Paul przyglądał się hordom zwycięskich fedajkinów na lądowisku. Nawet dudnienie silników nie zagłuszało ich wrzawy. Krzyczące tłumy i wiwatujący żołnierze paradoksalnie wzmagali tylko jego osamotnienie.

Na Kaladanie miał krótko nadzieję, że znowu poczuje się jak zwykły człowiek — jakim według jego ojca powinien być książę — ale szybko przypomniano mu, że jest nieodwołalnie inny. Tak jak musiało być. Nie był już po prostu Paulem Atrydą. Był Muad'Dibem, którą to rolę odgrywał tak łatwo i dobrze, że sam już nie zawsze był pewien, co jest maską, a co jego prawdziwą osobowością.

Z nieprzejednanym wyrazem twarzy wziął głęboki oddech i zarzucił za ramię połę swojej niby-filtrfrakowej peleryny. Zszedłszy dostojnym imperatorskim krokiem z pokładu promu, stanął przed tłumem. Fedajkini zwarli szeregi, tworząc przesadną eskortę. Bohater i zdobywca.

Fala okrzyków i braw omal go nie odrzuciła. Rozumiał teraz tyranów, którym zbytnia pewność siebie dawała poczucie, że są nieomylni. Miał świadomość, że wystarczy jedno jego słowo, a ci wojownicy zabiją każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko na Kaitainie. Niepokoiło go to.

Podczas nauk w dzieciństwie widział niezliczone obrazy wspaniałej stolicy Imperium, teraz jednak zauważył na niebie ciemny słup dymu. Pożary spustoszyły wyniosłe białe budowle, majestatyczne pomniki zostały obalone, a urzędy i prywatne rezydencje splądrowane. Paul pamiętał z lekcji historii spustoszenie przez barbarzyńców Rzymu, które położyło kres jednemu z pierwszych imperiów ludzkości i zapoczątkowało ciemne wieki. Jego krytycy mówili to samo o jego rządach, ale robił tylko to, co było konieczne.

Przed swoim dowódcą stawiał się Stilgar w poplamionym i zmiętym mundurze. Na rękawach i piersi widniały zacieki, które musiała utworzyć zaschnięta krew. Na lewym ramieniu naiba była rana przewiązana kolorowym pasem kosztownej tkaniny, prawdopodobnie oderwanym z szaty jakiegoś szlachcica, ale dla Stilgara był to tylko jarmarczny opatrunek.

— Kaitain padł, Usul — powiedział. — Twój dżihad jest burzą, której nie można powstrzymać.

Paul popatrzył na zniszczoną działaniami wojennymi byłą stolicę.

— Czy ktoś może powstrzymać burzę nadciągającą z pustyni? — rzekł.

Jeszcze przed rozpoczęciem dżihadu wiedział, że będzie zbyt wiele pól bitewnych, by walkami kierował jeden dowódca. Jakże żałował, że nie żyje Duncan. Mógłby poprowadzić wiele uderzeń, towarzysząc Stilgarowi, Gurneyowi Halleckowi, a nawet kilku dowódcom sardaukarów o kamiennym spojrzeniu, którzy zmienili barwy i przysięgli wierność człowiekowi, który ich pokonał. Po klęsce na równinie pod Arrakin doborowi żołnierze Szaddama byli tak wstrząśnięci, że wielu oddało swe usługi temu, który okazał się od nich lepszy. Chociaż zaciekłość sardaukarów nie brała się z pasji religijnej, był to i tak fanatyzm. Użyteczny fanatyzm. Paul nie poprosił ich jednak, by wzięli udział w oblężeniu Kaitaina. Było to mądre posunięcie.

— Kiedy przybędzie Irulana? — zapytał Paul. — Dostała moje wezwanie?

— Mam wiadomość od Gildii, że liniowiec przywiezie ją tutaj w ciągu doby. — W głosie Stilgara słyhać było wyraźny niesmak. — Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, po co ją chcesz. Chani się wścieknie.

— N i e c h c ę Irulany. Ale mimo wszystko jest potrzebna, zwłaszcza tutaj. Sam się przekonasz.

Do Stilgara dołączyli Orlop i Kalefi, synowie Dżamisa.

— Pozwól nam coś pokazać, Usul! — powiedział Orlop, który był bardziej gadatliwym z braci. — Ta planeta jest pełna cudów i skarbów. Widziałeś kiedyś coś podobnego?

Paul nie chciał gasić entuzjazmu młodzieńców, mówiąc im, że widział tyle zarówno cudownych, jak i strasznych rzeczy, że już jest tym znużony.

— W porządku, pokażcie mi, co was tak podnieciło — powiedział.

W centrum wspaniałego niegdyś miasta fremieńscy wojownicy zdarli flagi Landsraadu i rozbili witrażowe szczyty domów szlachty. Jako zdobywcy, polowali na przerażonych obywateli, biorąc niektórych do niewoli, a innych zabijając. Była to dzika, krwawa orgia, która choć pełna przemocy, przypo-

minała orgię przyprawową, jaką urządziłaby Sajjadina, gdyby Fremeni zapragnęli świętować w swoich siczach. Rozglądając się, Paul wiedział, że próby zapanowania nad uczczeniem zwycięstwa na dłuższą metę pogorszyłyby tylko sytuację. Była to cena, z którą musiał się pogodzić, a najgorsze było już za nim...

Miał doradców, ale tęsknił do mądrych rad księcia Leto, Thufira Hawata czy Duncana Idaho... którzy niestety od dawna nie żyli. Był pewien, że książę Leto nie pochwaliłby tego, co się tutaj stało. Mimo to musiał podejmować własne decyzje.

„Stworzyłem świat, w którym nie obowiązują już stare zasady — pomyślał. — Nowy paradygmat. Przykro mi, ojcze”.

Widział zniszczenia w gmachu posiedzeń Landsraadu, muzeach i ambasadach odległych planet. Stary, zwieńczony kopułą ogród skalny, zbudowany przez ród Thorvaldów w prezencie ślubnym dla Imperatora Szaddama, został wysadzony w powietrze i leżał w gruzach. Paul nie pojmował, co w ten sposób chcieli osiągnąć jego bojownicy. Było to zniszczenie dla samego zniszczenia.

Na placu publicznym wisiało nogami do góry, niczym trofea w altanie, siedmiu uduszonych mężczyzn z pętlami nadal zaciśniętymi na purpurowych gardłach. Sądząc po wykwintnych strojach, byli przywódcami szlachty, którzy nie poddali się wystarczająco szybko. Paul poczuł przypływ złości; lincze jeszcze bardziej utrudnią zawarcie sojuszy, a przynajmniej pokoju, z rodami skupionymi w Landsraadzie.

Z gmachu Landsraadu wybiegła z wrzaskiem i śmiechem grupa Fremenów, ciągnąc długie proce. Rozpoznał barwy rodowe Ekazów, Richese'ów i Tonkinów. Fremeni nie słyszeli o historycznych wielkich rodach i nic ich one nie obchodziły. Dla nich Landsraad zachwiał się, padł i roztrzaskał.

— Teraz nawet Szaddam nie chciałby tu wrócić — mruknął Paul do siebie.

Fremeni nieśli prowizoryczne kosze i torby wypełnione łupami. W zamieszaniu gubili bezcenne artefakty. Czterech muskularnych wojowników rzuciło się do szerokiej, płytkiej fontanny ozdobionej posągami. Pili wodę, aż zrobiło im się niedobrze, i pluskali się, jakby znaleźli się w raju.

Do Paula podbiegi Kalefi z twarzą lepką od soku. Trzymał naręcz idealnie okrągłych portugli, pomarańcz o twardej skórce i słodkim miąższu.

— Usul, znaleźliśmy sad! — krzyknął. — Są tam zielone drzewa pełne owoców... owoców, które tylko czekają, by je brać! Chcesz jeden? — Wyciągnął do niego ręce z pomarańczami.

Paul wziął jedną pomarańczę, przegryzł gorzką skórkę i wycisnął do gardła sok. Przypuszczał, że są to portugle Imperatora Szaddama, a to sprawiało, że były jeszcze słodsze.

KIEDY PRZYBYŁ DRUGI liniowiec, przywożąc lodowato powściągliwą Irulaną, Paul kazał ją sprowadzić na stopnie starego pałacu Imperatora. Domyślał się, że będzie wstrząśnięta tym, co zobaczy, ale potrzebował jej.

Córka Szaddama miała na sobie intensywnie niebieską suknię uszytą w stylu, który niegdyś był szczytem mody na imperatorskim dworze. Złote włosy miała ufryzowane w pierścieniu, które opadały na jej długą szyję. Po klęsce ojca wypełniała swoje obowiązki z wdziękiem; nie była żadną władzą, za to wystarczająco inteligentna, by pogodzić się z nową rzeczywistością.

Początkowo Irulana myślała, że techniki uwodzenia Bene Gesserit pozwolą jej łatwo wśliznąć się do łóżka Paula i spłodzić z nim potomka, który połączyłby linie rodowe Corrinów i Atrydów, prawie na pewno na polecenie zgromadzenia żeńskiego. Na razie jednak nie ulegał jej sztuczkom. Całe jego serce i całą miłość posiadała Chani.

Nie mogąc osiągnąć głównego celu, Irulana postępowała zgodnie z podstawową zasadą Bene Gesserit: przystosuj się albo giń. A zatem starała się znaleźć nową funkcję we władzy i szybko zdobyła sławę, wydając pierwszy tom *Życia Muad'Diba*. Książka została błyskawicznie napisana, opublikowana i rozprowadzona i cieszyła się dużą popularnością. Większość fremeńskich wojowników Paula nosiła jej zaczytane egzemplarze.

Jednak tutaj, po upadku Kaitaina, księżna mogła odegrać bardziej tradycyjną rolę.

Za Paulem wszędzie podążały tłumy, spodziewając się, że w każdej chwili wyda jakieś ważne oświadczenie. Ludzie zebrali się już przed pałacem.

Irulana, krocząc z królewską godnością i bez jakiegokolwiek eskorty, weszła z placu po wypolerowanych stopniach na pierwszy podest, gdzie stał Paul. Stilgar pozostał u podnóża opadających jak kamienny wodospad schodów i patrzył na królewską parę. Irulana, z całą dumą małżonki Imperatora, na jaką mogła się zdobyć, zajęła miejsce u boku Paula i wzięła go posłusznie pod rękę.

— Wezwałeś mnie, mężu? — zapytała. Wydawała się bardzo nieufna, rozgniewana widokiem zniszczeń.

— Potrzebowałem cię tutaj. Prawdopodobnie widzisz Kaitaina po raz ostatni.

— To już nie jest mój Kaitain. — Popatrzyła na pałac, wyraźnie nie potrafiąc pogodzić tego, co widziała, z tym, co pamiętała. — To zgwałcony i ograbiony trup miasta, które było kiedyś najwspanialsze we wszechświecie. Już nigdy nie będzie takie samo.

Paul nie mógł zaprzeczyć temu stwierdzeniu.

— Dokądkolwiek wkracza Muad'Dib, nic już nie jest takie, jak było. Czyż sama nie napisałaś tego w swojej książce?

— Napisałam to, co mi opowiedziałeś — odparła. — Oczywiście w mojej interpretacji.

— A oto ciąż dalszy tej opowieści. — Wskazał ręką tłum.

Paul wydał już instrukcje Kalełłowi i Orłopowi, wyświadczywszy im tym szczególny zaszczyt, i na jego znak wbiegli na schody, powiewając długimi zielono-białymi i zielono-czarnymi sztandarami jego armii. Popatrzy! na morze twarzy. Z tysięcy gardeł wydobył się ogłuszający ryk, który po chwili przeszedł w pełne oczekiwania milczenie.

— To jest Kaitain, a ja jestem Imperatorem. — Ujął dłoń Irulany, a księżna spoglądała przed siebie kamiennym wzrokiem. Oboje wiedzieli, dlaczego jej obecność jest tam konieczna. — Ale jestem kimś znacznie potężniejszym niż następcą Padyszacha Imperatora Szaddama Corrina IV. Jestem Muad'Dib i nie przypominam żadnej siły, jaką kiedykolwiek widziała galaktyka.

Za nimi płomienie zaczęły trawić pałac Imperatora. Posłuszni jego rozkazom, wierni bojownicy podłożyli ogień w dziesiątkach miejsc w ogromnej budowli. Widział to w swoich wizjach i walczył z tym, ale widział też swój obowiązek i wielką rangę tego symbolu. Przynajmniej ten pożar szybko ugaśnie.

Większość szlacheckich rodów nie darzyła Szaddama miłością i nie pochwałała jego ekscesów. Teraz będą się bały Paula Muad'Diba. Splądrowanie Kaitaina powinno na tyle wstrząsnąć resztą Landsraadu, by podporządkowała mu się, dzięki czemu nie byłoby potrzeby rozszerzania dżihadu. Westchnął, ponieważ w swoich przerażających wizjach zobaczył, że nic nie powstrzyma ogarniania kolejnych planet przez tę fanatyczną wojnę, którą rozpętał. Miał ograniczoną liczbę rozwiązań, które na długą, bardzo długą metę okażą się najbardziej korzystne.

Och, ten nieznośny ciężar, który spoczywał na jego barkach! Tylko on mógł przeniknąć wzrokiem zasłony rozlanej krwi, bólu i smutku. Jakże ludzkość go znienawidzi... ale przynajmniej przetrwa, by żywić tę nienawiść.

Tłumy patrzyły z trwogą, jak płomienie pochłaniają ogromny pałac. Pożar przybierał na sile i Paul patrzył nań, jakby stał na progu piekła.

Irulana zadrżała.

— Nigdy ci tego nie wybaczę, Paulu Atrydo. Corrinowie nigdy ci nie wybaczą. — Powiedziała coś jeszcze, ale jej słowa zostały zagłuszone przez ryk tłumu i trzaski płomieni.

Nachylił się do niej.

— Nie prosiłem nikogo o wybaczenie — rzekł z wielkim smutkiem. A potem odwrócił się do tłumu i zawołał, przekrzykując huk pożaru: — Ten pałac był symbolem starego reżimu! Jak wszystko inne w dekadentycznym starym Imperium, musi zostać zmieciony. Kaitain nie jest już stołecznym światem. Teraz jest nim Diuna. Rozkażę wznieść w Arrakin nowy pałac, który przewyższy rozmachem największe dzieła poprzednich władców.

Zerknąwszy przez ramię, zobaczył, jak w ogniu i dymie ginie dziedzictwo Szaddama IV. Budowa nowego pałacu będzie wymagała wielkich poświęceń, mnóstwa robotników i niewyobrażalnego bogactwa.

Mimo to nie miał wątpliwości, że jego wspaniała wizja się urzeczywistni.



*Są zasady, ale ludzie nieodmiennie znajdują sposoby ich obejścia. Tak sarno jest z prawem. Prawdziwy przywódca musi rozumieć takie rzeczy i wykorzystywać każdą sytuację.*

— Imperator Elrood IX, *Rozmyślania o sukcesie*

Szaddam Corrino łypnął gniewnie na twarz, która spoglądała na niego z lustra w złotej ramie, zauważając wyraźne oznaki przedwczesnego starzenia się. Jego ojciec, przebiegły Elrood IX, miał 157 lat, kiedy Szaddam i Fenring w końcu go otruli.

„*Jestem o połowę młodszy od niego!*” — pomyślał.

Wiek oznaczał słabość. Przed paroma laty w gęstwinie jego rudych włosów mogło być ledwie parę siwych, za mało, by to w ogóle dostrzegał. Ale od wygnania na ten ponury świat siwizna coraz bardziej rzucała się w oczy. Być może spowodowana była jakimś skażeniem powietrza lub wody. Zastanawiał się nad ufarbowaniem włosów, ale nie mógł się zdecydować, czy dzięki temu wydawałby się silniejszy czy po prostu próżny.

Kiedy był Padyszachem Imperatorem, szczycił się młodzieńczym wyglądem i energią; miał na dworze wiele konkubin, a po śmierci Aniruli kilka rozczarowujących żon. Ale, niestety, wszystko to należało już do przeszłości i Szaddam czuł się, jakby wyszano z niego większą część życia. Teraz sam widok zmarszczek na twarzy sprawiał, że był znużony. Nawet melanz nie mógł wiecznie przedłużać mu życia, choćby o tyle, by zdołał odzyskać Tron Złotego Lwa. Niemniej jednak na wygnaniu towarzyszyły mu cztery córki, które urodzą mu wnuki, nawet jeśli nie zrobi tego Irulana. Tak czy inaczej, ród Corrinów przetrwa.

„*Jakiś atrydzki parweniusz śmie się nazywać Imperatorem!*” — pomyślał.

Bał się, że Irulana mogła się stać jedną z nich, chociaż nie był pewien, jaką odgrywa rolę. Czy jest jego sojuszniczką, ulokowaną na dworze wroga, i pomoże mu, czy też odstępczynią, która zdradziła ojca? A może jest zakładniczką? Dlaczego nie miałyby poprawić losu własnej rodziny? I ta jej godna potępienia książka, gloryfikacja „*bohaterskiego*” życia Paula Muad'Diba Atrydy! Nawet czarownice były na nią oburzone.

Nieważne. Nie potrafił sobie wyobrazić, by władza uzurpatora, opierająca się na religijnych bzdurach i prymitywnym fanatyzmie, mogła przetrwać. Landsraad nie będzie tego tolerował i chociaż wielu spośród szlachty stchórzyło, reszta wytrwa. Wkrótce wezwą go z powrotem na tron, by przywrócić porządek. Ponad dziesięć tysięcy lat historii i osiemdziesięciu jeden imperatorów z rodu Corrinów od zakończeniu Dżihadu Butleriańskiego, galaktyczne Imperium obejmujące niezliczone układy gwiazdne... opanowane przez prostych ludzi pustyni, którzy nadal nazywali siebie p l e m i o n a m i. Na myśl o tym robiło mu się niedobrze. Za panowania jednego władcy cofnięto się ze złotego wieku w mroki średniowiecza.

„*A teraz jestem tutaj i rządę światem, którego nikt nie chce*” — dumął z goryczą.

Szaddam zostawił lustro i przygnębiający obraz i podszedł do dużego fałszywego okna, w którym wyświetlany był przekazywany przez kamery widok. Niebo nad Salusą miało mdlą, pomarańczową barwę i upstrzone było ciemnymi sylwetkami padlinożernych ptaków, które wypatrywały rzadkiej zdobyczy.

Satelity pogodowe powinny były poprawić warunki w tym regionie planety, ale nadzór pogody nie był konsekwentny. Na początku krótkiej pory wegetacji, kiedy drzewa i inne rośliny dawały nieco zieleni, satelity się zepsuły. Zanim je naprawiono, straszliwe burze zniszczyły nasadzenia i prawie uniemożliwiły dalsze prace nad poprawą klimatu.

Podczas swego panowania Szaddam z własnych powodów podtrzymywał tutaj surowe warunki. Salusa Secundus był za Corrinów planetą więzienną, opuszczonym miejscem, w którym sroga przyroda dokonywała selekcji wśród malkontentów i skazańców. W owych czasach umierało ponad sześćdziesiąt procent z nich, a silniejsi stawiali się kandydatami do elitarnych oddziałów rzekomo niezwycięzonych sardaukarów. Jednak w odróżnieniu od zsyłanych tam nieprzygotowanych więźniów, Szaddam miał wygody, zapasy, służbę, rodzinę, a nawet kontyngent wiernych żołnierzy. Mimo to Salusa była więzieniem.

Tymczasem zamiast prowadzić, jak obiecał, rekultywację tego świata, Paul Atryda najwyraźniej wyłączał owe systemy. Czyżby miał nadzieję, że zostawi Szaddama z kurcząca się liczbą żołnierzy rekrutujących się spośród zahartowanych trudami więźniów... a może tylko chciał, żeby zhańbiony Imperator pocierpiał kilka lat?

Szaddam dowiedział się właśnie, że jego oddany, wieloletni szambelan Beely Ridondo został zgładzony na dworze Muad'Diba tylko za to, że prosił, by fanatyczny nowy Imperator dotrzymał danego słowa. Szaddam nie spodziewał się, że ta misja da jakiś rezultat, ponieważ nie wierzył już, że uzurpator ma choćby odrobinę honoru. Kiedy fremeńska hałastra wzięła szturmem obóz warowny na równinie pod Arrakin, zmuszając Padyszacha Imperatora do zaakceptowania warunków kapitulacji, ten parweniusz stwierdził, że „*Muad'Diba*” nie wiąże obietnice złożone przez „*Paula Atrydę*”, jakby były to dwie różne osoby!

„*Jakie to wygodne*” — pomyślał.

A teraz otrzymał doniesienia, że fremeńscy fanatycy zdobyli Kaitaina. Jego piękny stołeczny świat plądrowali barbarzyńcy!

„*Czy naprawdę oczekuje się, że będę siedział tutaj zadowolony, kiedy całą galaktykę ogarnia szal?*” — irytował się były Imperator.

Co gorsza, stale napływały nowe edykty, sformułowane w słowach tej parodii religii, która powstała wokół postaci Muad'Diba, wszystkie podpisane przez zarozumiałego funkcjonariusza Korbę.

„*Rozkazuje mi jakiś fremeński dowódca!*” — myślał z oburzeniem Szaddam.

To była zniewaga. Zakosztowawszy przerażającej krwawej łaźni, jaką zgotował im Muad'Dib, ludzie powitają Szaddama śpiewem i różami. Przyrzekł sobie, że za pomocą intryg, kanły czy zwykłych zabójstw pozbędzie się, jednego po drugim, swoich wrogów. Ale na razie nie widział takich możliwości.

W minionym roku Szaddam przedsięwziął pewne kroki, by przechytrzyć swych odległych ciemniźcyeli. Dowódcy jego sardaukarów znaleźli wśród zahartowanych więźniów ludzi ze smykałką do mechaniki i pełnych pomysłów. Zaprzągnął ich do prac nad budową nowego miasta, które będzie w stanie oprzeć się kaprysom pogody. Niektórzy byli zatwardziałymi przestępcami — mordercami, przemytnikami, złodziejami — ale inni zostali zesłani na tę planetę z powodów politycznych, część przez corrinów, wielu więcej przez Muad'niba. ci, ciesząc się, że zaproponowano im lepsze warunki życiowe, pracowali teraz z radością dla Szaddama.

Nową stolicę otaczały trzy potężne pierścienie odpadków i gruzu, a każdy z nich był większy od najwyższych prowizorycznych budynków. Szaddam kazał ekipom zbieraczy pozyskiwać materiał na całej planecie, w innych obozach więziennych i nielicznych starożytnych, ale solidnych ruinach, które przetrwały atak jądrowy przed wiekami. Jednak działania te przynosiły mizerne rezultaty.

Kopuła nad miastem nie została jeszcze zamknięta, ale w końcu w kontrolowanym środowisku zaczęła się rozwijać rośliny. W rozgardiaszu prac budowlanych Szaddam czuł się jak kierownik dużego złomowiska ratujący części, z których można wznieść dzielnicę skleconych z czego popadnie ruder. Nawet największe wysiłki przyniosły jedynie marną imitację pałacu Imperatora na Kaitainie.

Jego prywatna rezydencja była wzmocnioną konstrukcją pod cały czas budowaną kopułą. Dzięki rzekomej szczodrości Muad'Diba była bardzo bogato wyposażona w antyki, ręcznie tkane kaitainiejskie dywany i inne przedmioty przewiezione z pałacu imperialnego. Cenne rodowe ruchomości — szydercze wspomnienie rzeczy, które stracił. Miał wszystkie swoje szaty, nawet broń osobistą. Dziwnym trafem, choć może był to świadomie wymierzony mu policzek, jego „*dobroczyńcy*” przysłali nawet kontener jego zabawek z dzieciństwa, włącznie z wypchanym saluskim bykiem.

Kilka oddzielnych, ale dających się połączyć donizonów służyło za pomieszczenia dla jego rodziny i najwyższych doradców, którzy towarzyszyli mu na wygnaniu. Donzon Szaddama znacznie różnił się od pozostałych. Był największy i zaopatrzony w układ dryfowy, który umożliwiał konstrukcji latanie nad jałowym krajobrazem Salusy, by Szaddam mógł się przyglądać panującym tam warunkom. Dawało mu to przynajmniej złudzenie mobilności.

„*Imperator nie powinien błagać o środki na przeżycie.* — Dotknął panelu ściennego i zastąpił obraz w oknie przesuwającymi się widokami Kaitaina, elektronicznym dziełem sztuki, które pozwolono mu zatrzymać. — *Są dla mnie tacy dobrzy*”.

Odwrócił się do stojącego w drzwiach oficera w sardaukarskim szarym mundurze ze srebrnym i złotym szamerunkiem. Pułkownik baszar, starszawy, ale potężnie zbudowany mężczyzna, trzymał w jednej ręce helm, a drugą salutował. Miał ogorzałą i pobrużdżoną twarz, jakby wyrzeźbioną na Salusie, gdzie ćwiczy i służył tak wiele lat.

— Wzywałś mnie, panie? — zapytał.

Szaddam ucieszył się na widok jednego ze swoich niezłomnie wiernych dowódców.

— Tak, baszarze Garon — odparł. — Mam dla ciebie ważne zadanie.



Zum Garon dowodził kiedyś wszystkimi legionami sardaukarów Szaddama, ale pozostała już tylko znikoma część tej wspaniałej siły bojowej — marnych parę tysięcy, które pozwolił mu zatrzymać Paul Atryda. Usta Garona drgnęły, kiedy czekał na dalsze słowa swojego pana.

Szaddam podszedł do sekretery i wyjął z niej ozdobny sztylet ze złotą, wysadzaną szlachetnymi kamieniami rękojeścią.

— Tyran Muad’Dib i jego fanatyczni zwolennicy nie zważają na zasady dyplomacji i przyzwoitości — powiedział. — Ci z nas, którzy opowiadają się za cywilizacją i stabilnością, muszą odłożyć na bok dzielące ich różnice. Sam nie mogę wszystkiego zrobić. — Klepnął na płask ostrzem o wnętrze dłoni, po czym wręczył broń baszarowi, rękojeścią do przodu. — Odnajdź mojego drogiego przyjaciela Hasimira Fenringa i powiedz mu, jak pilnie potrzebuję teraz jego pomocy. Opuścił nas zaledwie parę miesięcy temu, nie mógł więc jeszcze okopać się gdzie indziej. Daj mu ten sztylet w darze ode mnie. Zrozumie znaczenie tego gestu.

Garon wziął broń. Za kamienną miną dowódca sardaukarów zdawał się często skrywać mnóstwo emocji.

— Nie rozmawiałem z nim, odkąd wyjechał z zesłania. W od różnieniu ode mnie przebywał tutaj z własnej woli — dodał Szaddam. — Chcę, żebyś zapytał o jego drogą żonę i dziecko. Ależ ono musi mieć już trzy lata! I nie zapomnij mu powiedzieć, że moja córka Wensicja wyszła właśnie za jego kuzyna, Dałaka Zora–Fenringa. Może mój przyjaciel jeszcze o tym nie wie.

Starął się zmusić do uśmiechu, przełknąć gorycz. Tak wiele małych porażek! Na zesłaniu jego średnia córka, Wensicja, nie miała widoków na zaręczyny z żadnym innym kandydatem, więc po wyjeździe hrabiego Hasimira Fenringa Szaddam zaaranżował jej małżeństwo z jego kuzynem. Żywił w skrytości nadzieję, że druh z chłopięcych czasów przyjmie to przychylnie i znowu stanie u jego boku. Jakże mu brakowało Fenringa! Był pewien, że pomimo rozdźwięku, do którego doszło między nimi, stara przyjaźń zblizni rany. Przez większość życia Corrino i Fenring byli nierozzerwalnie złączeni. Miał nadzieję, że wkrótce będzie dziecko w drodze, co umocni ich więź.

Garon odchrząknął.

— Może nie być łatwo zlokalizować hrabiego Fenringa — powiedział.

— A odkąd to dowódca sardaukarów uchyla się przed trudnym zadaniem?

— Nigdy, panie. Zrobię co w mojej mocy.



*Łatwiej jest osądzać obcą kulturę, niż ją zrozumieć. Mamy skłonność do patrzenia przez filtry naszych rasowych i kulturowych uprzedzeń. Czy potrafimy wyciągnąć do obcych rękę? A jeśli tak, to czy jesteśmy w stanie ich pojąć?*

— fragment raportu Bene Gesserit o osadach galaktycznych

Pracując dla Szaddama I V, hrabia Hasimir Fenring spotkał wiele niezwykłych ras, ale Bene Tleilax rozszerzyli samą definicję ludzkości. Za pomocą manipulacji genetycznych rządząca kasta mistrzów tleilaxańskich przybrała celowo dziwne cechy fizyczne: czujne małe oczy, ostre zęby i ukradkowy sposób poruszania się, jakby stale mie' li się na baczności przed drapieżnikami. Pozostali Tleilaxanie byli wyżsi i wyglądali jak zwykli ludzie, ale w ich postawionym na głowie społeczeństwie najwyższą kastę tworzyli owi podobni do gryzoni mężczyźni.

A teraz hrabia i jego rodzina osiedli wśród nich.

Czując się obco w tym otoczeniu i starając się je ignorować. Fenring przechadzał się ze swą żoną Margot nadbrzeżną promenadą w mieście Thalidei, w którym pozwolili im pozostać mistrzowie tleilaxańscy. Ponad szczytami domów hrabia widział wysoki, ufortyfikowany mur otaczający kompleks przemysłowy zbudowany na skraju martwego i cuchnącego jeziora, które było niemal tak duże jak morze. Dla tych ludzi zanieczyszczenia, mieszanina chemikaliów i niezwykle reakcje organiczne przedstawiały możliwości, eksperymentalną zupę, która dostarczała interesujących związków do badań.

Inaczej niż w świętym mieście Bandalongu wpuszczano tutaj obcych, chociaż Tleilaxanie podjęli kroki, by izolować Fenringów. Przed wieloma budynkami o gładkich ścianach widać było urządzenia monitorujące, które zalewały wejścia perłowym światłem i uniemożliwiała niewiernym dostanie się do środka. W Thalidei realizowano część najważniejszych programów Tleilaxan, włącznie z finezyjnym i tajemniczym procesem wypaczania niektórych kandydatów na mentatów. Fenring przyrzekł sobie, że wcześniej lub później pozna jego szczegóły.

Zaledwie miesiąc po zesłaniu przez Paula Atrydę zdetronizowanego Imperatora na Salusę Secundusa Fenring zdał sobie sprawę, że nie zdoła już dłużej znieść przebywania na wygnaniu z wiecznie narzekającym i ponurym Szaddamem. Nieustannie się kłócili, więc hrabia podjął przygotowania do odlotu. Obawiał się, że gdyby musiał pozostać tam dłużej, mógłby zabić starego przyjaciela, a tego morderstwa nie miał szczególnej ochoty popełnić.

Wydany przez Muad'Diba rozkaz wygnania nie odnosił się bezpośrednio do niego, Fenring mógł więc się łatwo wymknąć z Salusy. Przenosił się w przebraniu z planety na planetę, ale wykawił swą tożsamość Tleilaxanom, z którymi wcześniej współpracował. Margot miała ukochaną córeczkę, a Salusa Secundus nie był dobrym miejscem na jej wychowywanie. A zatem hrabia wybrał Tleilaxa jako nieoczekiwaną siedzibę — względnie bezpieczny, dyskretny zakątek, gdzie mogli uczyć i szkolić córkę z dala od wścibskich oczu. Tleilaxanie byli wprawdzie irytujący, ale potrafili dotrzymać sekretów. Na pewno mieli wiele własnych.

Fenring zażądał przysługi, napomykając o niebezpiecznej wiedzy, którą zdobył podczas kontaktów z nimi, a którą upowszechniłby, gdyby stała mu się jakakolwiek krzywda. Trochę tylko burcząc na to, Tleilaxanie pozwolili Fenringom się osiedlić, a ci planowali pozostać u nich kilka lat. Ale nie pasowali do otoczenia. Byli *powindah*.

— Popatrz na tych mężczyzn, którzy stoją na rogach ulic i nic nie robią — powiedziała cicho Margot. — Gdzie są kobiety?

— To mężczyźni z wyższej kasty — wyjaśnił Fenring. — Uważają się, hmm, za uprawnionych do tego, żeby nic nie robić, chociaż dla mnie jest to raczej nudne.

— Nigdzie nie widziałam nawet kobiet ani dziewczynek z niższej kasty. — Lady Margot rozejrzała się uważnie. Oboje podejrzewali, że Tleilaxanie traktują swoje kobiety jak niewolnice albo dokonują na nich eksperymentów.

— Moja droga, jesteś, hmm, bez wątpienia najpiękniejszą kobietą w Thalidei.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie, kochany. — Pocałowała go szybko w policzek i ruszyła dalej, stale czujna. Zawsze miała przy sobie ukrytą broń i była przygotowana do walki; nie pozwalali, by córka chociaż przez chwilę była niestrzeżona.

Fenringowie bardzo na sobie polegali, ale żadne z nich nie wkraczało na prywatne terytorium drugiego. Hasimir pogodził się nawet z tym, że Margot zaszła w ciążę z Feydem-Rauthą Harkonnenem.

To były tylko interesy. Kiedy przed kilkudziesięcioma laty zdecydował się pojąć za żonę Bene Gesserit, przyjął pewne rzeczy za oczywiste.

Mała Marie przebywała teraz w ich odległym o parę przecznic mieszkaniu pod opieką utalentowanej kobiety, którą Margot znalazła w zgromadzeniu żeńskim. Akolitka Tonia Obregah-Xo była zarówno nianią, nauczycielką jak i oddaną strażniczką dziecka. Chociaż Fenring był pewien, że jest również szpiegiem i przesyła na Wallacha IX raporty o postępach Marie, nie wątpił również, że w razie potrzeby broniłaby dziewczynki nawet za cenę własnego życia. Zgromadzenie żeńskie chciało mieć geny dziecka dla własnych celów.

Wiatr zmienił kierunek i odegnał nad wodę smród bijący z zanieczyszczonego jeziora. Trałowce bagrowały osady denne, wydobywając nieliczne gatunki organizmów wodnych, które przetrwały w tak skażonym środowisku. Co jakiś czas daleko od brzegu wynurzały się ogromne macki, ale na takie głębiny nie zapuszczały się żadne łodzie, więc nie złapano ani nie skatalogowano tajemniczego stworzenia, do którego należały.

Linie fabryczne dostarczały świeży szlam do odstojników i zbiorników oddzielających, w których brodzili Tleilaxanie z niższej kasty, pobierając próbki związków chemicznych. Wokół nich krążyły z wrzaskiem czarne mewy. Dźwigi podnosiły pokryte algami ekrany z rozpuszczonych na płyciźnie roztworów wzrostu.

Fenringowie doszli do miejsca, z którego widać było ośmiokondygnacyjny — osiem było dla tej przesądnej rasy szczęśliwą liczbą — biały budynek.

— Hmm, początkowo mistrz Ereboam nie zgadzał się, bym przy prowadził cię tutaj, moja droga — rzekł hrabia — ale w końcu na to przystał. Postanowił nawet pokazać nam coś szczególnego.

— Może powinnam była włożyć na tę okazję suknię wizytową — odparła z sarkazmem lady Margot.

— Bądź miła — powiedział hrabia. — Wiem, że potrafisz. Nie obrażaj naszego gospodarza.

— Jeszcze go nie obraziłam. — Zdobyła się na uśmiech. — Ale wszystko zdarza się kiedyś po raz pierwszy. — Wzięła męża pod ramię i ruszyli w stronę budynku.

Tleilaxański doktor czekał na nich obok pola ochronnego głównego, sklepionego wejścia do ośrodka. Kieszenie jego tradycyjnego, białego kitla laboratoryjnego były wybrzuszone, jakby wypchane sekretami. Z mlecznobiałą skórą i włosami oraz białą kozią bródką mistrz Ereboam był zaskakującym wyjątkiem — albinosem — wśród szaroskórych i czarnowłosych członków swojej rasy, niepokojącym dziedzicznym wypadkiem, który zdarzył się między specjalistami od genetyki.

— Moi obserwatorzy powiedzieli, że wybraliście dłuższą drogę — rzekł Ereboam radosnym głosem. — Skorzystanie z bocznego przejścia skróciłoby czas dotarcia tutaj co najmniej o pięć minut.

— Nie lubię bocznych przejść — odparł Fenring i pomyślał: „*Za dużo zacienionych miejsc, gdzie można urządzić zasadzkę*”.

— Dobrze, przyjmuję pańskie usprawiedliwienie. — Ereboam klepnął Fenringa w plecy, zachowując się w sposób nietypowy dla powściągliwych Tleilaxan. Całkowicie zignorowawszy — jak zawsze — Margot, przeprowadził ich przez pole ochronne i korytarz do pozbawionego okien pomieszczenia, w którym stało tyłem do nich trzydziestu wysokich, szczupłych mężczyzn. Wszyscy odziani byli, zgodnie z charakterystyczną dla Tleilaxan pruderią, w foliowe, przylegające do ciała stroje; Fenring wątpił, czy mistrzowie kiedykolwiek o g l ą d a l i się nago.

Wszyscy, jak na komendę, odwrócili się do nich i Fenring, podobnie jak Margot, zachichotał. Chociaż byli w różnym wieku, wyglądali identycznie — byli kopiami wypaczonego mentata barona Harkonnena, Pitera de Vriesa, i patrzyli przed siebie oczami osadzonymi w pociągłych twarzach.

Prawdziwego de Vriesa zabiła na Kaitainie czarownica Mohiam. Później baronowi służył ghola mentata, który rzekomo zginął na Arrakis wraz z pojmanym księciem Leto Atrydą w wyniku tajemniczego rozpylenia trującego gazu.

— Ghole? — zapytał Fenring. — Dlaczego jest ich aż tylu?

— Baron Vladimir Harkonnen złożył u nas stałe zlecenie, żebyśmy w każdej chwili mieli kilku gotowych do dostarczenia. Hodowla i proces wypaczania zajmują dużo czasu.

— Baron już od roku nie żyje — zauważyła Margot.

Ereboam zmarszczył czoło.

— Tak i dlatego nie mają już wartości handlowej — odpowiedział łaskawie. — Skontaktowaliśmy się z innymi rodami, próbując ich sprzedać, ale baron zepsuł im reputację. Taka strata czasu i zasobów, a teraz zamknęliśmy tę linię. Mogą nam przynajmniej posłużyć jako obiekty doświadczalne do prób z nową trucizną działającą na układ nerwowy. Przyjrzyjcie się. Właśnie dlatego was tutaj przyprowadziłem.

Na twarzach wszystkich gholi de Vriesa pojawił się jednocześnie grymas potwornego bólu i jak na komendę chwycili się za głowy. Następnie jeden po drugim, jakby przygotował to choreograf, zaczęli padać, wijąc się, na podłogę. Stopień reakcji poszczególnych gholi zależał od stężenia trucizny. Zaczęli mamrotać, wypowiadając długie ciągi liczb pierwszych i bezużytecznych zestawień faktów. Fenring wymienił z żoną lekko zdziwione spojrzenia.

— Ta nowa trucizna jest chodliwym narzędziem zabójstwa — powiedział Ereboam. — Jakież to zachwycające: w ich mózgach wybuchają myśli. Wkrótce wszyscy oszaleją, ale to tylko skutek uboczny, aczkolwiek interesujący. Naszym głównym celem jest uśmiercenie.

Z ust, uszu i nosów gholi zaczęły wypływać gęsta krew i śluz. Niektóre ofiary wyły, inne jęczały.

— Te wycofane z produkcji ghole — ciągnął Ereboam — dają nam okazję do sprawdzenia różnych stężeń neurotoksyny, ponieważ są praktycznie identyczne. Eksperyment kontrolowany.

— To barbarzyństwo — stwierdziła Margot, nie starając się ściszyć głosu.

— Barbarzyństwo? — rzekł Ereboam. — To nic w porównaniu z tym, co rozpętał we wszechświecie Muad'Dib.

Hrabia Fenring skinął głową, zdając sobie sprawę, że Tleilaxanin mówi sensownie — na własny, pokrętny sposób.



*O wiele lepiej jest wygrać bitwę dzięki umiejętnemu dowodzeniu i mądrym decyzjom niż dzięki przemocy i rozlewowi krwi. Niewtajemniczonym może się to wydawać niechwalebne, ale w ostatecznym rozrachunku powoduje mniej wszelkiego rodzaju ran.*

— Thufir Hawat, mistrz asasynów rodu Atrydów

Były to proste obliczenia, ale liczby się nie zgadzały.

Przez wiele lat przed rozpoczęciem dżihadu Paul miał wizje jego przebiegu, przetaczającej się przez układy gwiazdne nawałnicy uzbrojonych, fanatycznych Fremenów, którzy zatykają na nich sztandary Muad'Diba i wyrzynają wszystkie stawiające im opór populacje. Chociaż historia przedstawi ponury obraz jego rządów, Paul widział, co się kryje za następną wydmą na pustyni czasu i za kolejną, i za jeszcze dalszą. Wiedział, że jego dżihad będzie tylko łagodnym podmuchem w porównaniu z burzami, które ludzkość napotka na swej drodze, ze wstrząsami, które nastąpią, jeśli on teraz zawiedzie.

Jeszcze na Kaitainie, wysławszy fremeńskich wojowników na inne pola bitew i wezwawszy ekipy robotników do uprzątnięcia śladów walk i odbudowy byłej stolicy Imperium, zaczął się zastanawiać nad następnym posunięciem. Bardzo brakowało mu Chani, ale miał tutaj do wykonania niezbędną pracę.

Aby wygrać dżihad, będzie musiał ustanowić nowe, trwałe rządy. Musi wyprowadzić ludzkość z kolein, w które wpadła. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie są to koleiny, lecz spirala śmierci.

Ale te liczby...

Paul wiedział, że na całej Arrakis żyje rozproszonych w licznych siczach może dziesięć milionów Fremenów. Dziesięć milionów, z czego połowa to mężczyźni, z których mógł powołać pod broń jako wojowników swojego dżihadu nie więcej niż jedną trzecią. Dawało to niespełna dwa miliony żołnierzy... a jego sny, obliczenia i chłodna logika mówiły, że zanim zakończy się ta wojna, będzie musiał podbić — może nawet zgładzić — niezliczone rzesze.

Nawet z wszystkimi, którzy w niego wierzyli, nie miał po prostu dość wojowników, by dokonać czysto wojskowego podboju. Jego żołnierze, bez względu na to, jak mu oddani, nie byli w stanie zabić wszystkich, którzy mu się przeciwstawiali. Poza tym nie chciał być imperatorem obejmującej całą galaktykę kostnicy.

Chociaż dzięki zdolności jasnowidzenia wiedział, że musi odnieść wiele zwycięstw, miał nadzieję, że większość przywódców Imperium uda mu się pozyskać za pomocą subtelnych środków perswazji. Matka zaczęła już torować mu drogę i wykonywać wobec nich pewne gesty. Teraz on musiał pokazać, że poddanie się Muad'Dibowi i zawarcie z nim sojuszu jest mądrą decyzją, najlepszym wyjściem. Jedynym wyjściem. Ale by tego dokonać, musiał zamiast surowej, fremeńskiej części swego umysłu wyteńczyć tę, którą charakteryzował się Paul Atryda. Wszelkimi dostępnymi sposobami musiał zdobyć kontrolę nad tym, co pozostało z Landsraadu. Potrzebował sprzymierzeńców.

Chociaż w pierwszym odruchu chciał wrócić do Arrakin i wezwać tam członków najważniejszych szlacheckich rodów, doszedł do wniosku, że byłby to zły sygnał, ponieważ w tym mieście mogliby uznać go za przywódcę pustynnych bandytów. Na Diunie Paul darzony był fanatycznym uwielbieniem niezrozumiałym dla kogoś, kto nie pojmował potęgi niezachwianej wiary i religijnego oddania. Po latach błógiego samozadowolenia pod świeckimi rządami Corrinów wielu członków Landsraadu poświęcało religii mało uwagi, postrzegając Biblię Protestancko-Katolicką jedynie jako dokument, bardzo ciekawy z historycznego punktu widzenia, ale pozbawiony prawdziwej pasji religijnej.

Nawet gdyby Paul powołał się na stare rodowe sojusze i zgromadził politycznych przyjaciół ojca, byłoby ich za mało. Jego dżihadyści mogliby nawet zabić część krnąbrnej szlachty, pokazując jej innego rodzaju pasję, której być może nie zdołałby powściągnąć nawet on. Miałoby to potencjalne konsekwencje drugiego i trzeciego stopnia, których chciał uniknąć, a wiedział, że nawet jego prekognicja nie pozwoli mu dostrzec wszelkich możliwych pułapek.

A zatem Imperator Paul Muad'Dib postanowił wezwać ich na Kaitaina. Było to znane wszystkim miejsce i symbol tego, ile zdobył w tak krótkim czasie.

Pałac Imperatora był spalony, a wspaniałe miasto splądrowane, więc Paul wysłał zespoły z pilnym zadaniem przygotowania tego spotkania. Doprowadziły one do porządku wywróconą do góry nogami Salę Przemówień Landsraadu i wywiesiły tam flagi wszystkich rodów, które zgodziły się wziąć w nim udział.

Paul starannie wybrał przedstawicieli zaproszonych domów. Książę Leto był lubiany wśród ważnych rodów, i to na tyle, że wzbudziło to zawiść Szaddama, który doprowadził do jego usidlenia i zamordowania na Arrakis. Ale nawet wszyscy przyjaciele jego ojca nie wystarczą. Będzie musiał również uzyskać pomoc wielu władców planet, którzy mieli własne powody, by żywić wrogię uczucia do Szaddama... a było spośród kogo wybierać. Kiedy lista gości została ustalona, podwładni Paula załatwili z Gildią przewóz zaproszonych członków Landsraadu na Kaitaina. Muad'Dib osobiście zagwarantował im bezpieczeństwo i zaproponował odpowiednie korzyści.

Podczas gdy czekał na delegatów, fedajkini przeczesywali byłą stolicę Imperium. Wygarnęli wszelkie „podejrzane” osoby i zamknęli je dla zapewnienia bezpieczeństwa władcy. Paulowi nie dawała spokoju świadomość, że jego ludzie uciekają się do taktyki bardzo podobnej do tej, którą stosowali Harkonnenowie, ale rozumiał też, że istnieje bardzo realne zagrożenie ze strony zamachowców i konspiratorów. W imię wyższego dobra musiał pozwolić na pewne przesadne środki, chociaż wątpił, by jego wyjaśnienia przyniosły pociechę rodzinom tych niewinnych ludzi, którzy padli ofiarą gorliwości Fremenów...

W dniu pierwszego oficjalnego posiedzenia Landsraadu za nowych rządów Paul wszedł na główną mównicę i potoczył wzrokiem po niespokojnych i gniewnych twarzach zebranych wielmożów. Po obu jego bokach wisiały okazałe flagi Atrydów. Zamiast filtrfraka i fremeńskiej burki wybrał na tę okazję staroświecki czarny mundur Atrydów z ich herbowym jastrzębiem na piersi. Wykąpano go też i poddano zabiegom kosmetycznym, żeby wyglądał jak przystało na dumnego i pełnego godności syna dostojnego księcia.

Nie mógł jednak usunąć błękitu ze swych oczu, opalenizny, bruzd ze skóry poranej przez niesiony wiatrem pył ani chudości twarzy, która przystosowała się do klimatu o dużo mniejszej niż gdziekolwiek wilgotności.

Ponad sześćdziesiąt szlacheckich rodów przysłało przedstawicieli. Zauważył wśród nich znajome twarze. Dostrzegł jednorękiego arcyksięcia Armanda Ekaza, który nie miał prawowitego następcy i którego włóściami zarządzał jego mistrz miecza, a także głównego administratora ixańskich technokratów (zważywszy na ich przeszłość, nie był zdziwiony, że spadkobierca rodu Verniusow nie przybył osobiście). Poza tym wyłuskał z tłumu O'Garee ego z Hagala, Sora z Anbusa IV, Thorvalda z Ipyra, Kalara z Ilthamonta, Olina z Rispa VII i innych.

Chociaż jego lojalni fremeńscy strażnicy byli w Sali Przemówień, Paul stanął naprzeciw członków Landsraadu sam. Kiedy przemówił, podniósł głos, wykorzystując nie tylko umiejętności, których nauczyła go matka, ale również gruntowną znajomość niuansów wydawania rozkazów, którą nabył, dowodząc plemionami Fremenów i atrydzkimi żołnierzami. Wiele zawdzięczał Gurneyowi Halleckowi, Duncanowi Idaho, Thufirowi Hawatowi, a przede wszystkim ojcu. Musiał przypomnieć tym ludziom, że jest synem księcia Leto.

— Padyszach Imperator został pokonany — rzekł i zrobił krótką pauzę, by pozwolić im się zastanowić, co powie dalej. — Pokonany przez własną arogancję, zbytnią pewność siebie swoich sardaukarów i pajęczą sieć machinacji politycznych, która oplotła go w taki sam sposób, w jaki zamierzał opleść ród Atrydów. — Kolejna pauza, podczas której zlustrował twarze zebranych, szukając na nich emocji, złości. Dojrzał ich trochę, ale jeszcze więcej strachu. — Większość z was znała mego ojca, księcia Leto. Wpoił mi zasady honoru i przywództwa, którym zamierzam pozostać wierny na tronie Imperium... jeśli mi pozwolicie.

Spojrzenie Paula spoczęło na wątłym Armandzie Ekazie, który siedział nieruchomo jak głaz na swym fotelu. Niektórzy szlachcice i dygnitarze robili notatki, ale większość pochylała się z zaciekawieniem do przodu, chcąc się dowiedzieć, jakie korzyści mogą wyciągnąć z tej sytuacji.

— Szaddam nie miał synów z prawego łoża, a ja pojąłem za żonę jego najstarszą córkę, Irulanę, więc jestem prawowitym następcą Tronu Złotego Lwa. Ale moje rządy nie będą zwykłą kontynuacją rządów Corrinów. Wyciągnęliśmy z nich wnioski! Niektórzy postrzegają to przejście władzy jako okres chaosu, ale wy możecie mi pomóc przywrócić stabilność.

— Stabilność?! — krzyknął mężczyzna z wyższego rzędu. — Niewiele zostało stabilności... dzięki tobie!

Paul zauważył, że mówiący bez ogródek ma długie, siwe włosy, związane z tyłu i opadające mu na plecy, lwią, szpakowatą brodę i przeszywające spojrzenie bladoniebieskich oczu. Rozpoznał earla Memnona Thorvalda, zgorzkniałego brata jednej z ostatnich żon Szaddama. Zaprosił go, myśląc, że Thorvald



może żywić urazę do Corrinów, co uczyni zeń jego sojusznika. Jednak gniew earla wyraźnie wskazywał, że należy on do innej kategorii. Być może trzeba go będzie odizolować.

— Możesz mówić swobodnie, earlu Thorvald! — krzyknął Paul w stronę górnego rzędu.  
— Chociaż niewielu szlachetnych przywódców zgodzi się z tobą.

Thorvald, choć zaskoczony, skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

— Twoje fremeńskie armie są jak watahy wilków — ciągnął. — Wszyscy widzimy, co Fremeni zrobili z Kaitainem. Spalili pałac Imperatora, a ty na to pozwoliłeś! — Zatoczył ręką łuk. — Nazywasz to przywróceniem stabilności?!

— Nazwij to ceną wojny... wojny, której nigdy nie pragnąłem. — Paul rozłożył ręce. — Możemy natychmiast położyć kres temu rozlewowi krwi. Twoje posiadłości będą bezpieczne i chronione, jeśli zawrzesz ze mną sojusz. Wiesz, że prawo jest po mojej stronie. Poza tym — dodał, wyciągając swoją najmocniejszą kartę — kontroluję rynek przyprawy. Stoją za mną Gildia Kosmiczna i KHOAM.

Słowa te wzmogły tylko złość Thorvalda.

— A zatem mamy wybrać krwawą niestabilność lub poddanie się religijnej tyranii?

Podniósł się Bolig Avati, główny administrator ixanskich technokratów.

— Jeśli zgodzimy się na proponowany przez ciebie sojusz, Paulu Atrydo, czy będziemy musieli czcić cię jako boga? — spytał stanowczym tonem. — Niektórzy z nas wyrosli z wieku, w którym odczuwa się potrzebę bicia pokłonów przed fałszywymi bóstwami.

W sali rozbrzmiewały gniewne pomruki, których część skierowana była przeciw malkontentom, część zaś była wyrazem poparcia dla nich. Z Thorvaldem zgadzało się więcej przywódców, niż Paul się spodziewał.

— Moi najlepsi wojownicy wychowali się na surowych pustyniach Arrakis — rzekł, podnosząc głos, by przekrzyczeć narastający gwar. — Walczyli z bezwzględными Harkonnenami i sardaukarami. Przekonywali się na własnej skórze, jak wyglądają sprawiedliwe rządy Imperatora. Ale jeśli się do mnie przyłączycie, armie mojego dżihadu nie tkną waszych planet. Pewnego dnia, kiedy nie pozostanie już żaden wróg, z którym trzeba by walczyć, zniknie konieczność utrzymywania potężnej armii. — Nabrał tchu, a wyraz jego twarzy stał się surowszy. — Jeśli nie przekonują was moje słowa, mogę użyć tradycyjnych bodźców: embarga, podatków, blokady. Ustanowiłem już wysokie cła na wszelkie loty statków towarowych Gildii na planety, które nie chcą uznać mojej władzy. — Kiedy pomruki się wzmogły, jeszcze bardziej podniósł głos. — Nie wprowadziłem całkowitego moratorium na transport na te planety, ale rozważam również tę możliwość. Wolę współpracę od przymusu, lecz zamierzam położyć szybko kres temu wyniszczającemu konfliktowi.

— Od początku snułeś plany, by zostać tyranem, co?! — krzyknął Thorvald, opierając potężne ręce na balustradzie wyższego rzędu. — Mam już dość imperatorów. Ma ich dość cała galaktyka. Moja planeta poradzi sobie bez twoich szalejących fanatyków i nie znajdzie się pod twoim butem, nawet jeśli łaskawie zgodzisz się nie przydeptywać jej zbyt mocno. Landsraad popełnił błąd, pozwalając Corrinom o wiele za długo sprawować rządy! A my wciąż nie możemy wyciągnąć z tego wniosków. Mam tylko nadzieję, że reszta obudzi się wkrótce z semutowego transu! — krzyknął przez ramię, zmierzając gwałtownie do wyjścia.

Ruszyli ku niemu fedajkini, ale Paul dal im znak, żeby zostawili go w spokoju. Była to delikatna sytuacja. Zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się skłonić Memnona Thorvalda do zmiany zdania i że straci wielu potencjalnych sprzymierzeńców, jeśli zachowa się jak tyran i użyje wobec niego siły.

— Cieszę się, że do tego doszło — powiedział, chcąc zaskoczyć zebranych. — Nie mogę udawać, że nie jestem rozczarowany tym, że earl Thorvald odrzucił moją ofertę, ale cieszę się, że zostali wysłuchali mnie i postanowili postąpić racjonalnie. — Zerknął na flagi Atrydów wiszące po obu stronach podium i ponownie zwrócił się do słuchaczy: — Rozumiecie, jakie są moje warunki.



Miesiąc po powrocie z podbitego Kaitaina i spotkania z członkami Landsraadu Paul stał na skraju równiny pod Arrakin, patrząc na miejsce, gdzie odniósł najważniejszą wiktoryę. Dołączył do niego Stilgar, by wziąć z nim udział w obchodach dnia zwycięstwa, po których mieli się spotkać z innymi doradcami wojskowymi i omówić najskuteczniejsze sposoby wykorzystania elitarnych fremeńskich oddziałów. Gurney Halleck zabrał już regiment pełnych entuzjazmu żołnierzy na Galację, ale trzeba było zaplanować wiele innych podbojów.

A Paul wiedział, że jego dżihad dopiero się zaczyna.

Zażądał — i otrzymał — od Gildii Kosmicznej współrzędnych tysięcy układów planetarnych, tak wielu światów, że nazwy ich wszystkich mógł zapamiętać jedynie mentat. Miał również kompletne rejestry KHOAM, ponieważ dysponował większością pakietem akcji, a jego przedstawiciele w kierownictwie firmy usuwali w cień wszystkich pozostałych.

Wątpił, czy Szaddam IV zdał sobie kiedykolwiek w pełni sprawę z rozległości swojego Imperium, z bogactwa terytoriów, którymi rzekomo władał. Był pewien, że zarówno Gildia, jak i KHOAM ukrywały część zysków, że całe planety, niezaznaczone na żadnych mapach, a znane tylko najlepszym sternikom, wykorzystywane były jako tajne składy broni, być może nawet skonfiskowanych wysokim rodem pocisków atomowych. Wszystkie te planety musiały się znaleźć pod rządami Muad'Diba.

W porównaniu z następnymi bojami, które toczono w imię Paula, bitwa o Arrakin wydawała się teraz drobnym starciem. Owszem, poniosło tutaj śmierć wiele tysięcy ludzi, ale był to ledwie ułamek liczby tych, którzy wciąż ginęli w trwających w całej galaktyce walkach.

Mimo to odniesione tutaj zwycięstwo miało kluczowe znaczenie. Tutaj zginął cieszący się złą sławą baron Harkonnen. Tutaj po raz pierwszy w historii doznali porażki sardaukarzy. Tutaj poddał się dumny Imperator z rodu Corrinów.

Teraz na niebie wisiało bezlitosne słońce, prażąc piaszczyste i skaliste zbocza, na których zebrał się tłum, by zobaczyć Muad'Diba. Widzowie odziani byli w filtrfraki, z których większość — w odróżnieniu od sprzedawanych pielgrzymom replik — uszyta została w tradycyjnym fremeńskim stylu. W hałaśliwym tłumie krążyli sprzedawcy wody i pamiątek, zachwalając głośno swój towar. W gorących podmuchach wiatru łopotały kolorowe sztandary. Wszyscy czekali, aż Paul zwróci się do zgromadzonych rzesz.

— Kiedy walczyliśmy na równinie pod Arrakin, granica między dobrem a złem była wyraźnie nakreślona — powiedział cicho do Stilgara tkwiącego nieruchomo jak omszała skała. — Wiedzieliśmy, na czym stoimy, występując przeciw sprzymierzonym wysokim rodem, i wykorzystywaliśmy naszą wyższość moralną do mobilizowania wojowników i wzbudzania w nich zapału do walki. Natomiast w moim dżihadzie zginęło już tak wielu ludzi, w tym sporo niewinnych. Za jakiś czas będą mówić, że byłem gorszy od Corrinów i Harkonnenów.

Stilgar zrobił zgorzsną minę. Nawet po tym, co widział podczas plądrowania Kaitaina, trwał niezachwianie przy swoich przekonaniach.

— Usul! — powiedział. — Stosujemy przemoc tylko po to, by oczyścić galaktykę, usunąć zło i ocalić ludzi. Gdyby nie twój dżihad, zginęłoby ich znacznie więcej. Wiesz o tym. Powiedziała ci to twoja prekognicja.

— Jest, jak mówisz — odparł Paul — ale obawiam się, że istnieje coś, czego nie rozważyłem, inna droga, którą powinienem był wybrać zamiast tej. Nie mogę po prostu zgadzać się na wszystko. Muszę nadal szukać.

— W snach?

— Również za pomocą świadomej prekognicji i mentackiej logiki. Ale wszystko sprowadza mnie z powrotem na tę samą drogę.

— A zatem nie ma żadnej innej drogi, Usul.

Paul uśmiechnął się. Gdyby tylko mógł być tak pewien jak Stilgar. Naib zawsze wierzył w prawdy absolutne.

Kiedy nadszedł czas, by przemówić do tłumu, Paul wszedł na stopnie prowadzące do ogromnego, wzniesionego na jego cześć pomnika. Przedstawiał naturalnej wielkości czerwia, a wykuł go znany — będący obecnie żarliwym konwertytą — rzeźbiarz z Chusuka. Na umieszczonych na postumencie płytach

widniały nazwy wszystkich światów, które poddały się dotąd Muad'Dibowi. Wiele tablic było pustych — czekały na kolejne zwycięstwa.

Tłum pragnął widowiska. Trzymając w ręku hak stwórcy, który w tej sytuacji był tylko rekwizytem, Paul wszedł po schodach w boku wykonanej z szarego plastonu bestii, której bezoki łeb zwrócony był w stronę leżącą w dole niecki i rozciągającego się szeroko Arrakin. Podążył za nim, z własnym symbolicznym hakiem, Stilgar.

Kiedy stanęli bok w bok na głowie posągu czerwia, włożyli haki w wyrzeźbione tam pierścienie i przybrali pozy, jakby znowu parli na olbrzymim stworzeniu do zwycięstwa. Za nimi, na grzbiecie rzeźby, stali w podobnych pozach prawdziwi fremenscy żołnierze. Ich radosne okrzyki, podchwytywane przez tłum, niosły się gromkim echem aż do miasta.

Przed laty, przygotowując syna do stawienia czoła niebezpieczeństwom czyhającym na Arrakis, książę Leto poradził mu, by wykorzystał panujący wśród miejscowej ludności przesąd, zgodnie z którym może on być od dawna wyczekiwany Mahdim, Lisanem al-Gaibem. Ale tylko, jeśli będzie musiał. Paul zrobił to w takim stopniu, jakiego ojciec nigdy by się nie spodziewał.

— Przybyłem tu dzisiaj z pokorą, by oddać cześć Fremenom i żołnierzom Atrydów, którzy zginęli na Murze Zaporowym i w położonym niżej basenie, walcząc o wyzwolenie nas spod tyranii — zagrział Paul przez głośniki umieszczone na rzeźbie czerwia. Tłum wydał ryk aprobaty, ale Paul podniósł ręce, uciszając go. — Usłyszcie o tym od Muad'Diba. Wygraliśmy pierwsze bitwy džihadu, ale czekają nas następne, a będzie ich dużo więcej.

Święta wojna stała się żywym organizmem i toczyła się własnym rozpędem, on zaś był jej katalizatorem. Wiedział, że trzeba wygrać również starcia moralne, których wynik trudno było przewidzieć. Pewnego dnia, kiedy zakończy się ta faza džihadu, przyjdzie czas na refleksję, czas, w którym ludzie dostrzegą jego wady i słabości jako władcy, zdadzą sobie sprawę, że nie jest bogiem. Będzie to początek zrozumienia... ale potrwa to bardzo długo.

Wykonawszy to, czego wymagał od nich ceremoniał, Paul i Stilgar zeszli na dół. Brodaty Fremen przekazał mu dobrą nowinę.

— Muad'Dibie, tak jak się spodziewałeś, Ekaz poddał się od razu, bez rozlewu krwi. Twoje przemówienie w Landsraadzie przypomniało starymu arcyksięciu o jego zobowiązaniach wobec Atrydów. Przysłał swojego przedstawiciela, by ten osobiście złożył ci hołd lenny. Ów delegat twierdzi, że pamięta cię z czasów, kiedy byłeś jeszcze chłopcem.

Zaciekawiony Paul spojrzął na stojącego u stóp posągu smukłego mężczyznę w stroju typowym dla mistrza miecza — z ozdobami, epoletami i w wydętych lawendowych pantalonach — który sprawiał, że wyglądał na dandysa. Człowiek ten wydał mu się znajomy, zwłaszcza kiedy zdjął przybrany kwiatami kapelus z szerokim rondem i złożył teatralny ukłon.

— Muad'Dib może mnie nie pamiętać... ale Paul Atryda powinien — powiedział.

W tym momencie Paul poznał łysiejącego Whitmore a Bludda, mężczyznę z purpurowym znamieniem na czole. Był on jednym z najsprawniejszych wojowników w dziejach Ginaza. Pod jego kierunkiem szkolił się Duncan Idaho, a sam Bludd wiele lat służył jako ronin rodowi Ekazów.

— Mistrz miecza Bludd! — wykrzyknął Paul. — Jak mógłbym cię zapomnieć! Podczas wojny asasynów walczyłeś po stronie mojego ojca z Grummanem.

— Ach, to były wspaniałe czasy, heroiczne walki. — Fircykowaty mężczyzna rozwinął pergaminowy zwój z podpisanym przez arcyksięcia poddaniem się Muad'Dibowi. — Ekaz zawsze popierał Atrydów.

Mamy wobec ciebie dług honorowy i dług krwi. Oczywiście uznajemy cię za nowego Imperatora.

Odrzuciwszy formalności, Paul — ku przerażeniu strażników — objął mistrza miecza.

— To wy pomogliście nam — powiedział. — Broniliście nas.

Sploniony Bludd cofnął się o krok.

— Upieram się, że było odwrotnie, panie — rzekł. — Niestety, jestem wszystkim, co zostało z wielkiego niegdyś rodu, starym wojownikiem, którego dni chwały istnieją jedynie w pamięci. Ostatnia podróż na Kaitaina okazała się zbyt wyczerpująca dla arcyksięcia. Wycofał się z życia publicznego. — Następnie Bludd podał mu małą, ozdobną szkatułkę. — Przywiozłem ci jednak, jako symbol mojej lojalności, podarunek z Ekaza.

— Szkatułka została już zbadana, Usul — powiedział cicho Stilgar.

Paul uniósł wieczko i zobaczył fragment różowawej muszli wielkości swojej dłoni.

— To szczątek konchy z matki Ziemi — wyjaśnił z uśmiechem Bludd. — Zobacz, jak światło tańczy na jej powierzchni. Przez wiele lat należała do arcyksięcia Armanda, a teraz jest twoja.

Paul przebiegł dłonią po gładkiej perłowej skorupie. Dotknięcie jej nappełniło go dziwnym, ale przyjemnym wrażeniem, że nawiązał kontakt z kolebką ludzkości. Wręczył szkatułkę stojącemu obok fedajkinowi.

— Każ to dostarczyć do moich apartamentów — powiedział.

— Potwornie gorąco na tej planecie — rzekł Bludd swobodnie. — Na szczęście nie należę do ludzi, którzy obficie się pocą, bo wysechłbym na wiór.

— To Diuna, mistrzu miecza. Postąpiłbyś mądrze, gdybyś od tej chwili zaczął nosić filtrfrak — stwierdził Paul.

Bludd był bez wątpienia dandysem, ale mimo to Paul zawsze go podziwiał, nie tylko za umiejętność walki i lojalność, ale również z powodu jego talentów organizacyjnych. Dostrzegł w tym interesujące możliwości.

W minionych tygodniach zaczął gromadzić robotników i materiały do budowy ogromnego nowego pałacu. Chociaż Korba wyrażał chęć pokierowania pracami „*dla chwały Muad’Diba i na potrzeby legendy o nim*”, Paul nie był pewien, czy żarliwy fedajkin jest dostatecznie dobrym zarządcą i ma wystarczające doświadczenie w budownictwie, by nadzorować realizację tak gigantycznego projektu. Natomiast Whitmore Bludd, pomimo swego ekstrawaganckiego gustu, był rzeczowym i bardzo utalentowanym człowiekiem. Umiał doprowadzić każdą sprawę do końca. Duncan Idaho zawsze wyrażał się o nim z najwyższym uznaniem.

— Chciałbym, żebyś został z nami, mistrzu miecza — powiedział Paul. — Mogę skorzystać z usług kogoś o takich talentach jak twoje przy nadzorowaniu prac nad wznoszeniem gmachu przewyższającego wszystko, co kiedykolwiek zbudowali Corrinowie. — Wyjaśnił pokrótce jakie ma życzenia, co do wyglądu i wyposażenia nowego pałacu, po czym rzekł: — Potrzebuję twojej wizji i zaangażowania.

Bludd cofnął się o krok z komicznym zdziwieniem.

— Powierzyłbyś mi takie fantastyczne przedsięwzięcie, panie? Oczywiście przyjmuję to wyzwanie! Ha, stworzę tak wspaniałą twierdzę, że sam Bóg nie będzie mógł wyjść z podziwu na jej widok!

— Myślę, że to dobrze zrobi Korbie — rzekł Paul z cierpkim uśmiechem.



*Tak wiele światów opiewano niegdyś w pieśniach i wierszach. Niestety, wydaje się, że teraz są one raczej inspiracją do elegii i epitafiów.*

— Gurney Halleck, *Poezja bitewna*

W spokojniejszych czasach Gurney często wykonywał ballady o pięknych i rzekomo rozpustnych Galatkach, ale nigdy jeszcze nie odwiedził tego małego, chłodnego świata. Aż do tej pory. Niestety, zobaczył tam więcej jatek niż piękna. Była to po części jego wina, gdyż za szybko — po tym, jak młody żołnierz omal nie utonął w basenie treningowym — awansował Enna na porucznika.

Na nowym stanowisku Enno wykazywał skłonność do wydawania rozkazów, żądając, by podwładni wykonywali to, co jego zdaniem było urzeczywistnieniem wizji Muad'Diba. Odkąd powrócił z krainy umarłych, przekonany był, że ma do spełnienia świętą misję. Wyraźnie wzrosły jego pewność siebie i charyzma, a fremeńscy towarzysze patrzyli na niego z podziwem. Okazało się to źródłem problemów dla Gurneya.

Kiedy ich fregaty wylądowały na Galacji, wojownicy rozbiegli się po rynku i ulicach wioski wokół otoczonej kolumnadą willi lorda Colusa, przedstawiciela planety w Landsraadzie. Ujrawszy żołnierzy Muad'Diba pędzących ku nim jak D-wilki, wieśniacy zabarykadowali się w domach. Nieliczni śmiałkowicie stanęli przeciw nim z prowizorycznym orężem, starając się bronić swoich rodzin, ale Fremeni rozprawili się surowo ze wszystkimi, którzy próbowali stawiać opór.

Chociaż Gurney formalnie był dowódcą, stracił kontrolę nad wojownikami, kiedy tylko poczuli zapach krwi. Zdierali i niszczyli wszelkie znaki rodu rządzącego Galacją, zatykając, gdzie się dało, zielonobiałe sztandary. Halleck przedzierał się między żołnierzami, nawołując ich gromkim głosem do opamiętania.

Jakiś żołnierz bił raz po raz w zakrwawione usta kobietę, która nie przestawała wrzeszczeć. Jej mąż leżał martwy obok niej, z gardłem poderżniętym krysnożem. Gurney chwycił brutalnego wojownika za kołnierz i walnął jego głową o ościeże drzwi, roztrzaskując mu czaszkę. Kobieta spojrzała na Gurneya i zamiast okazać jakąkolwiek wdzięczność, znowu wrzasnęła, bryzgając krwią z miejsc po wybitych zębach. A potem wbiegła do domu i zabarykadowała drzwi.

Gurney był czerwony na twarzy, a biegnąca przez całą szczękę blizna po krwawinie nabrzmiała i pulsowała. Wokół działy się rzeczy podobne do tych, które wyczyniali żołdacy Harkonnenów podczas wypraw po niewolników, kiedy przemieszczali się z wioski do wioski, traktując brutalnie mieszkańców.

— Stanąć w szyku! — ryknął. — Na Siedem Piekieł, dajcie Galatom szansę się poddać!

— Stawiają opór, komendancie Halleck — powiedział Enno z nieznośnym spokojem. — Musimy im pokazać, że ich sytuacja jest beznadziejna. Poznają rozpacz, w którą Muad'Dib wpędza wszystkich, którzy mu się przeciwstawiają.

Wojownicy zaczęli podpalać domy, których mieszkańcy śmieli zamknąć drzwi i okna przed najeźdźcami. Ludziom wewnątrz groziło spalenie żywcem. Gurney słyszał ich wrzaski i widział zwierzęcą dzikość niesfornego wojska.

Chociaż sam wyszkolił tych żołnierzy, ich bestialstwo doprowadziło go do furii. To wszystko było zupełnie niepotrzebne! Obawiał się jednak, że jeśli będzie za bardzo naciskał, by zapanowali nad żądzą mordy, mogą się zwrócić przeciw niemu i okrzyknąć go heretykiem i zdrajcą.

Tego rodzaju działania wojenne były sprzeczne z kodeksem moralnym, który książę Leto Atryda wpajał swoim ludziom, i prawością, której od nich wymagał. Jak Paul mógł na to pozwolić?

Dzihadyści ciągnęli przez wieś na wznoszące się pośrodku wzgórze, na którym stała rządowa willa. Lord Colus zabarykadował się w niej i przy wszystkich drzwiach postawił strażników. Jego prywatna armia mogła odpierać ataki znacznie przewyższających ją sił, ale niezbyt długo. Wydawało się, że nawet obłączony szlachcic zdaje sobie z tego sprawę. Gurney wysforował się naprzód, by zapanować nad sytuacją, zanim tłuszcz wyrządzi jeszcze większe szkody.

Strażnicy ani razu nie strzelili, ale trwali na pozycjach. Colus zdjął proporce ze złoto-czerwonym herbem swego rodu. Kiedy wywiesił białą flagę, Fremeni powitali to wyciem i radosnymi okrzykami i rzucili się ku zabarykadowanemu wejściu. Ale choć uderzali w nie coraz mocniej, wrota się nie otwierały.

Lord Colus wyszedł na znajdujący się wysoko balkon. Zapadł zmierzch i pożary we wsi zabarwiały niebo na pomarańczowo, a powietrze wypełniał dym. Twarz szlachcica była poorana głębokimi bruzdami,

gęste siwe włosy zaś tak długie, że — rozpuszczone — opadałyby mu na plecy, ale były ciasno zaplecione w warkocz. Wyglądał na zmęczonego i zrozpaczonego.

— Poddalbym się, ale nigdy zwierzętom! — krzyknął. — Wyrznięliście moich ludzi, a wieś płonie. Za co? Nie byli dla was żadnym zagrożeniem.

— Poddaj się nam, to przestaniemy walczyć! — zawołał Enno, uśmiechając się szeroko do Gurneya. Mundur wisiał luźno na chudym jak szczapa młodym oficerze.

— Tobie nie ufam! Poddam się wyłącznie Gurneyowi Halleckowi, który wie, co to honor. Widzę go wśród was. Domagam się określenia warunków kapitulacji. Trzeba przestrzegać pewnych zasad!

Gurney przepchnął się naprzód.

— Jestem Halleck i przyjmuję twoją kapitulację — powiedział, po czym odwrócił się do Fremenów. — Trzeba przestrzegać zasad. Koniec z rozlewem krwi. Ta planeta jest nasza, już odnieśliśmy zwycięstwo. Idźcie ugasić te pożary!

— Stare imperialne zasady nic dla nas nie znaczą, komendancie Halleck — burknął Enno.

— Taka jest wola Muad'Diba — rzekł Gurney i pomyślał: „*Niech się tym gryzą*”.

Zbliżył się do bramy i strażnicy lorda Colusa podnieśli sztaby, by go wpuścić. Atrydzki weteran przeszedł pod jej łukowatym sklepieniem, a dumny wielmoża zszedł na parter, by go powitać.

Ale fremeńscy żołnierze przebiegli obok Gurneya, ten zaś nie był w stanie zatrzymać ich rwącego strumienia. Wdarli się do ufortyfikowanej willi, pochwycili galackich strażników i ujęli lorda Colusa. Szlachcic wydawał się zasmucony, lecz zachował godność, gdy go zabierali.

NIM NASTAŁ RANEK, ugaszono pożary i podporządkowano wieśniaków nowej władzy, a fremeńscy żołnierze wybrali sobie na tymczasowe kwatery domy, jakie im się podobały. Nieustraszeni pustynni wojownicy wiedzieli, jak walczyć, ale nie mieli pojęcia o rządzeniu ani odbudowie.

Gurney spędził bezsenność, wpatrując się w surowy sufit jednego z budynków gospodarczych w majątku i zastanawiając się, co robić. Dla ludu Galacji byłoby najlepiej, gdyby czym prędzej powiódł Fremenów na inne pole bitwy, nie pozwalając zdobywcom zostać tutaj i jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Ten pokonany świat nie będzie stwarzał Paulowi żadnych problemów. Prawdę mówiąc, Gurney wątpił, czy w ogóle stwarzałby jakieś problemy, nawet gdyby nie został podbity...

Wyłonił się z sypialni w bladym świetle świtu i stanął jak wryty, patrząc z niedowierzaniem na zatkniętą na palu wbitym przed dworem głowę lorda Colusa. Na twarzy wielmoży zastygł wyraz raczej rozczarowania niż strachu. Jego martwe oczy spoglądały na świat, do którego już nie należał.

Wstrząśnięty i pełen odrazy, ale — o dziwo — bynajmniej niezaskoczony tym widokiem, Gurney ruszył naprzód ze smutną rezygnacją. Z napiętymi mięśniami i zaciśniętymi w pięść dłońmi, wierny sługa Atrydów wpatrywał się w ściągniętą twarz Colusa.

— Przepraszam... nigdy nie zamierzałem tego zrobić — powiedział. Wyrecytował werset z Biblii Protestancko-Katolickiej, stare jak świat pytanie: — „*Kto jest gorszy: łgarz czy głupiec, który mu wierzy?*”

Dał słowo lordowi Colusowi, który ufał, że można polegać na obietnicy Gurneya Hallecka. Teraz Gurney poczuł do siebie odrazę.

„*Nie jestem człowiekiem, który szuka wymówek, a już z pewnością nie dla swoich czynów* — myślał. — *To ja dowodzę tymi żołnierzami. Służę Paulowi z rodu Atrydów*”.

Atrydzi uważali, że „*dług honorowy*” jest równie wiążący jak dla Fremena dług wody. Jego podwładny, porucznik Enno, okrył hańbą cały oddział i swego dowódcę, uczynił z Gurneya łgarza.

„*To ja ponoszę za to odpowiedzialność*” — stwierdził.

Widział w poprzednich starciach ślełą furję dżihadystów. Odrzucając ogólnie przyjęte zasady prowadzenia wojny, nacierali z żądzą zniszczenia. Tratowali wszystkich, których postrzegali jako wrogów, niczym rozwścieczone byki saluskie. Ci najbardziej zażarci stronnicy Paula nigdy nie zastanawiali się nad tym, co robią, racjonalizując sobie własne działania jako zgodne z życzeniami Muad'Diba. Próba powstrzymania ich przypominałaby próbę zatrzymania wydm przemieszczających się podczas burzy piaskowej...

Brwi Gurneya ściągnęły się, a jego twarz przybrała wyraz, który przejmował trwogą. Nie zamierzał uspokajać sumienia miałym tłumaczeniem, że przecież nikt nie oczekiwał od niego, iż zapanuje nad fanatykami.

Był dowódcą, oni zaś byli jego żołnierzami.



A żołnierze muszą wykonywać rozkazy. Enno i pozostali Fremeni słyszeli je wyraźnie. Nie mogli udawać, że nie zrozumieli lub opacznie pojęli jego przyrzeczenie. Enno dopuścił się buntu. Przeciwstawił się jasno sformułowanym poleceniom przełożonego.

Nawet się nie odwróciwszy, by zobaczyć, kto go słucha, Gurney ryknął głosem, który niegdyś wypełniał gwarne sale dźwiękami piosenek:

— Sprowadzić mi tu Enna! Natychmiast! I zakuć go w kajdany!

Chociaż wciąż patrzył na głowę lorda Colusa, usłyszał, jak kilku Fremenów czmycha w coraz jaśniejszym świetle dnia, by wykonać jego rozkazy.

Jako dowódca fremeńskich oddziałów Gurney Halleck miał u pasa krysnoź w pochwie, ale nie sięgnął po niego. Wyciągnął inne ostrze, wysłużony handżar z wyrytym na rękojeści jastrzębiem Atrydów. Atrydzka broń najlepiej się do tego nada, ponieważ była to sprawa honoru.

W końcu czterech Fremenów przyprowadziło Enna. Młodzieniec kroczył z powściągliwą i dumną miną, a jego wzrok pałał przekonaniem o słuszności tego, co robi. Chociaż dwóch żołnierzy trzymało go za ramiona, wbrew rozkazowi Gurneya nie był skuty. Cienie Thufira Hawata i Duncana Idaho musiały się teraz śmiać z Hallecka, że pozwolił swoim podkomendnym wymknąć się spod kontroli.

— Dlaczego ten człowiek nie jest w kajdanach?! Czy nie wydałem jasnych poleceń?! — krzyknął i fremeńscy wojownicy zachnęli się, obrażeni jego tonem. Dwóch z nich położyło dłonie na rękojeściach krysnoży. Gurney podszedł do nich z pociemniałą blizną po krwawinie. — Jestem waszym dowódcą! Muad'Dib dał wam rozkaz, byście wypełniali moje polecenia. Odpowiadacie za to głową, psiakrew! Występuję w imieniu Muad'Diba. Kim wy jesteście, żeby kwestionować moje rozkazy?

Głównym problemem był jednak Enno. Pozostałymi przypadkami niesubordynacji zajmie się później.

— Czy nie przyjąłem kapitulacji tego człowieka? — zapytał, wskazując makabryczne trofeum na słupie bramy. — Czy nie zagwarantowałem mu, że dotrzymam jej warunków?

— Zagwarantowałem pan, komendancie Halleck. Ale... — zaczął Enno.

— Rozkazy wykonuje się bez żadnego „ale”! — przerwał mu Gurney. — Jesteś moim podwładnym i zignorowałeś mój rozkaz. Tym samym zignorowałeś rozkaz Muad'Diba.

Chociaż Fremeni zaczęli mrużyć na te słowa, Enno odparł z wielką pewnością siebie, jakby poddawano go próbie:

— Muad'Dib wie, że musi się wydawać miłosierny. Muad'Dib wie, że musi pokazywać, że potrafi być pobłażliwy i łaskawy. — Jego głos stwardniał. — Ale jego wojownicy wiedzą, co myśli w głębi duszy: że niewierni muszą paść pod kosą jego kary. Obiecując łaskę lordowi Colusowi, komendancie Halleck, mógł pan mówić w imieniu Imperatora... ale wszyscy żołnierze Muad'Diba rozumieją, co trzeba robić z niewiernymi. Colus stawiał opór i rozkazał swoim ludziom, by stawiali opór. Był ciemną siłą, która próbowała przesłonić światło Lisana al-Gaiba. — Spojrzał na głowę na palu i potaknął z zadowoleniem. — Jak pan dobrze wie, zrobiłem to, co było konieczne.

Gurney z trudem panował nad wściekłością.

— Wiem jedynie tyle, że mi się sprzeciwiłeś — powiedział. — Karą za złamanie moich rozkazów jest śmierć. Uklęknij.

Oczy Enna błysnęły. Podniósł brodę w jeszcze jednym geście nieposłuszeństwa.

— Ja tylko postąpiłem zgodnie z wolą Muad'Diba — rzekł.

— Klękaj!

Enno nie wykonał natychmiast rozkazu, więc Gurney skinął na czterech eskortujących go żołnierzy, ci zaś po krótkim wahaniu nacisnęli ramiona porucznika, zmuszając go do opadnięcia na kolana. Halleck, z atrydzkim handżarem w dłoni, przyjął postawę bojową.

— Wykonywałem wolę Muad'Diba — wyrecytował Enno jak modlitwę.

— Wykonywał wolę Muad'Diba — potwierdził jeden z żołnierzy. Ale zarówno on, jak i jego towarzysze cofnęli się, schodząc Gurneyowi z drogi.

Zanim wydarzenia wymknęły mu się spod kontroli, Gurney machnął ostrym jak brzytwa handżarem. Ostrze weszło głęboko w gardło Enna, przecinając naczynia i rozplątując tchawicę.

Normalnie w takim wypadku z krtani trysnęłaby czerwona fontanna krwi, niczym rozpostarty ogon żarptaka, ale zakodowane we fremeńskich genach gęstość krwi i jej szybkie krzepnięcie spowolniły wypływ, tak że szkarłatny płyn tylko zabulgotał i wyciekł na pierś Enna i galacką ziemię. Arogancki

młodzieniec dostał drgawek i charczał, ale dopóki nie osunął się, ani na chwilę nie spuścił wzroku z Gurneya.

Kiedy fremeńscy żołnierze patrzyli na to, co zrobił, Gurney poczuł, że zagrożenie dla jego życia wzrosło tysiąckrotnie. Trudno. Nie mógł pozwolić, by taki brak dyscypliny uszedł bezkarnie. Chwilę stał, patrząc na krew na handźarze i na rękę, po czym odwrócił się do zaskoczonych i gniewnych mężczyzn.

— On tylko wykonywał wolę... — mruknął jeden z nich.

— Ja jestem wolą Muad'Diba! — uciął Gurney. Spojrzał chmurnie na zwłoki Enna, a potem na trofeum na palu. — Zdejmijcie głowę Colusa i dopilnujcie, żeby jego ludzie urządzili mu właściwy pogrzeb.

Co do Enna, możecie zabrać jego ciało i wodę na Diunę, ale głowa pozostanie tutaj. — Wskazał ręką. — Na tym palu.

Z niespokojnych pomruków wywnioskował, że zabobonni Fremeni obawiają się, iż może ich zacząć prześladować rozszluszczony duch towarzysza.

— A jeśli cień Enna ma mi coś do powiedzenia, może pójść za mną — dodał. — Wy tylko wykonywaliście moje rozkazy, co jest obowiązkiem każdego żołnierza.

Odszedł sztywnym krokiem, ale obrzydzenie, od którego wywracał mu się żołądek, jedynie wzrosło. Podejrzewał, że Fremeni przedstawią Enna jako męczennika, człowieka, który nie tylko był błogosławiony, skoro utonął i zmartwychwstał, ale wręcz święty, gdyż nie posłuchał nefremeńskiego dowódcy i zrobił to, czego chciałby Muad'Dib.

Gurney również dobrze znał Paula Atrydę i wiedział, że młody Imperator nie jest tak żądny krwi i brutalny, jak uważają jego zwolennicy. W każdym razie nie w głębi duszy.

Modlił się żarliwie, by się nie okazało, że w głębi duszy to on się myli.

Zarówno *Bene Gesserit*, jak i *Tleilaxanie* są zbikowani na punkcie swoich programów hodowlanych. Archiwa zgromadzenia żeńskiego zawierają zapiski z tysięcy lat, podczas których siostry starały się udoskonalić dla swoich celów ludzki rodzaj. *Tleilaxanie* prowadzą badania genetyczne w bardziej komercyjnym celu — z myślą o wytwarzaniu *gholi*, wypaczonych *mentatów*, sztucznych oczu i innych biologicznych produktów, które sprzedają z ogromnym zyskiem w całym Imperium. Radzimy zachować najwyższą ostrożność przy zawieraniu transakcji handlowych z obiema tymi grupami.

— fragment sprawozdania KHOAM

Na *Tleilaxa* przyleciał niespodziewanie oficer armii, oświadczył, że przybywa „z polecenia *Imperatora*”, i zażądał widzenia z hrabią *Hasimirem Fenringiem*.

*Fenring* nie lubił niespodzianek. Poruszony, pojechał kolejką tunelową, która pędziła z *Thalidei* przez równinę, oddalając się od rozległego zatrutego jeziora, do odizolowanego portu kosmicznego, gdzie pozwolono wylądować gościowi. Co mogła oznaczać ta wizyta? Hrabia dołożył wszelkich starań, by utrzymać miejsce swojego pobytu w tajemnicy, ale najwyraźniej *Muad'Dib* miał nieograniczone wpływy i zasięg oddziaływania.

Kolejka zatrzymała się przed wysokim, jednokondygnacyjnym budynkiem z czarnego plazmeldu, przez którego ścianę frontową biegł rząd przyciemnionych okien. Wypukłe płaszczyzny i organiczny kształt sprawiały, że gmach wyglądał jak odchody czerwia.

*Fenring* wszedł do holu i dwóch *Tleilaxan* z niższej kasty poprowadziło go po lśniącej czarnej posadzce. Wyglądali na równie jak on niezadowolonych z tej niezapowiedzianej wizyty. W małym, dusznym bufecie *Fenring* ujrzał ze zdumieniem mężczyznę o znajomej, pobrużdżonej twarzy. Minęły lata, odkąd się ostatni raz widzieli, musiał więc pogrzebać w pamięci, by przypomnieć sobie jego nazwisko.

— Baszar *Zum Garon*? — powiedział po chwili.

Oficer podniósł się zza stolika, przy którym popijał oleisty napój.

— Trudno pana znaleźć, hrabio *Fenring* — rzekł.

— Hmm, taak, robię to celowo. Ale powinienem wiedzieć, że nie można nie doceniać zaradności oficera *sardaukarów*.

— Owszem, nie można — zgodził się z nim *Garon*. — Przybywam na polecenie *Imperatora Szaddama*.

— Hmm, nie tego *Imperatora*, o którym myślałem. Jak mnie pan znalazł?

— Z rozkazu *Szaddama*.

— A wierny *sardaukar* zawsze wykonuje rozkazy, hmm? Nadal jest pan dowódcą ochrony osobistej *Szaddama*?

— Tego, co z niej zostało, a jest to zaledwie odrobinę więcej niż oddział policji. — *Garon* nie wyglądał na zadowolonego. — Dowodziłem najpotężniejszą formacją wojskową w Imperium, dopóki nie pobił nas *Muad'Dib* ze swoimi fanatycznymi *Fremenami*. Teraz jestem odpowiednikiem ochroniarza. — Odzyskał panowanie nad sobą, ale *Fenring* zdołał jeszcze dostrzec w jego spojrzeniu błysk nienawiści. — Proszę usiąść ze mną. Ta *tleilaxańska herbata* jest dość strawna.

— Dobrze znam to świństwo.

*Fenring* nie cierpiał tego napoju. Zabarwiony lekką nutką *lukrecji*, napelniał go równym niesmakiem jak wszystkie jego kontakty z *Szaddamem*. *Imperator* co rusz wpadał we własne sidła, *Fenring* zaś co rusz naprawiał za pomocą swoich sztuczek wyrządzone przez niego szkody. Nawet po aferze *arakańskiej*, kiedy to *Harkonnenowie* i *sardaukarzy* powinni byli zetrzeć w proch ród *Atrydów*, *Fenring* wydał ponad miliard *solarisów* na upominki, niewolnice, łapówki w przyprawie i awanse. Trwonił pieniądze i zasoby. Teraz jednak jego były przyjaciel wpadł do tak głębokiego dołu, że nigdy się z niego nie zdoła wygrzebać.

*Fenring* wsunął się na twarde plazmeldowe krzesło. Było dla niego zbyt niskie, bo zaprojektowane dla drobnych mistrzów *tleilaxańskich*.

Czekał, aż *baszar* wyjaśni, w jakiej przybył sprawie. Oprócz ich stolika zajęty był tylko jeden, przez *Tleilaxanina*, który szybko i niechlujnie jadł duszone mięso z warzywami.

*Garon* pomieszał herbatę, ale nie podniósł jej do ust.

— Spędziłem wiele lat w służbie Imperium — powiedział. — Po śmierci mojego syna *Cando*, który poległ w obronie wymyślonego przez *Szaddama* projektu *amal...* — *Umilkł*, ale po chwili

odzyskał panowanie nad sobą. — Z własnej woli zerwałem wszystkie dystynkcje i opuściłem Kaitaina, nie spodziewając się tam kiedykolwiek wrócić. Na pewien czas osiadłem w mojej posiadłości na Balucie, ale wkrótce Muad'Dib przywrócił mnie do służby i przydzielił do ochrony Szaddama. Zdaje się, że były Padyszach Imperator nalegał, żebym zapewniał mu bezpieczeństwo na wygnaniu. Nie tylko przyczynił się do śmierci mojego syna, ale też przez swoją głupotę doprowadził do pierwszej w dziejach klęski sardaukarów.

Hrabia dobrze pamiętał katastrofę, którą zakończył się projekt amal.

— Pański syn zginął, dzielnie broniąc Ixa — powiedział. — Wykazał się wielką odwagą, prowadząc natarcie sardaukarów na przeważające siły.

— Zginął, starając się bronić idiotycznego pomysłu, jakim była dyktowana chciwością próba zmonopolizowania produkcji sztucznej przyprawy — rzekł Garon.

— Hmm... a czy Szaddam wie, że tak pan to ocenia?

— Nie. Gdybym miał odwagę mojego syna, powiedziałbym mu, co o tym sędzę. Szaddam twierdzi, że miło wspomina moje bezgraniczne oddanie. — Baszar odchrząknął i zmienił temat, ale ton jego głosu pozostał gorzki. — Tak czy inaczej, wysłał mnie, bym pana odnalazł i przekazał wiadomość od niego. Pragnie, by pan wiedział, że nadal darzy go wielkim szacunkiem. Przypomina, że pozwolił swojej córce Wensicji poślubić pańskiego kuzyna Dalaka.

— Tak, wiem. — Fenring sięgnął pamięcią wstecz, próbując przywołać obraz kuzyna. — Ostatni raz widziałem Dalaka, kiedy był jeszcze chłopcem. Nauczyłem go paru technik walki, a nawet poświęciłem nieco czasu na wprowadzenie go w tajniki polityki Imperium.

To dobry chłopak. Nie był najbystrzejszym uczniem, ale niezłe się zapowiadał.

Szaddam pozwolił swojej trzeciej córce wyjść za niego? To prawdziwa oznaka desperacji, krok najwyraźniej podjęty z myślą o wpłynięciu na Fenringa. Czy znaczyło to, że wkrótce może przyjść na świat spadkobierca Corrinów, w którego żyłach będzie płynęła krew Fenringów? Spochmurniał.

— Nie lubię być manipulowany — powiedział.

— Nikt tego nie lubi — stwierdził Garon. — Mimo to Szaddam prosi, by pan do niego wrócił. Potrzebuje pańskich rad i przyjaźni.

Fenring nie miał wątpliwości co do zamiarów Szaddama. Podobnie jak baszarowi Garonowi, nie podobało mu się uparte trzymanie się przez obalonego Imperatora nierozważnych planów.

„Szaddam odznacza się niebezpiecznym rodzajem inteligencji, który każe mu uważać się za mądrzejszego, niż jest w istocie — pomyślał. — *Sprawia to, że popełnia poważne błędy*”.

Garon wyjął z rękawa ozdobny sztylet o rękojeści wysadzanej szlachetnymi kamieniami. Hrabia napiął mięśnie. „Przysłano go, by mnie zabił?” — przemknęło mu przez głowę. Położył dłoń na ukrytym w rękawie miotaczu igieł.

Ale baszar przesunął tylko sztylet po blacie, zwrócony rękojeścią w stronę Fenringa.

— Teraz jest pański — rzekł. — To dar od przyjaciela z chłopięcych czasów. Powiedział, że pan go pozna, że będzie pan wiedział, jakie jest jego znaczenie.

— Owszem, znam tę broń. — Hrabia wziął sztylet i obrócił go, by przyjrzeć się ostrej klindze. — Szaddam dał ją w prezencie księciu Leto podczas procesu konfiskacyjnego, a później księżę zwrócił mu ją.

— Co ważniejsze, jest to sztylet, którym Feyd Rautha–Harkonnen walczył z Muad'Dibem — zauważył Garon.

— Aaa, i gdyby ten harkonneński szczeniak bił się lepiej, nie byłoby nas tu. Co nie znaczy, że Szaddam nie byłby dalej niczym niewyróżniającym się władcą.

— Ale przynajmniej Imperium byłoby stabilne, a nie rozdierane przez nasilający się Dżihad Muad'Diba — powiedział cicho Garon.

I żyłby Feyd... prawdziwy ojciec Marie. Ale o tym wiedziało niewiele osób.

— Honor i legion — rzekł w zamyśleniu Fenring. Była to dewiza sardaukarów.

— No właśnie. Sardaukar nigdy nie okryje się hańbą, nawet jeśli Szaddam okrył nią nas. Jest nieświadomy tego, jak wielką urazę czują do niego sardaukarzy, którzy mu pozostali.

Po pociągłej twarzy Fenringa przebiegł uśmiech.

— Sprawami, o których Szaddam nic nie wie, można by zappełnić całe planety biblioteki.

Garon pociągnął w końcu łyk herbaty.

— Obaj zapłaciliśmy za jego głupotę — stwierdził. — Po utracie syna albo honoru mężczyzna nigdy nie dojdzie całkowicie do siebie.

— I teraz jest pan rozdarty między pragnieniem dotrzymania przysięgi sardaukarów, wypełnienia obowiązku służenia Corrinom i dochowania wierności pamięci o synu — skomentował to hrabia.

— Rozumie mnie pan aż nazbyt dobrze — rzekł Garon.

— Gdybyśmy to my podejmowali decyzje, być może zdołalibyśmy zapobiec dojściu Muad'Diba do władzy. Ale nadal możemy coś zrobić, hmm? Stwarza to nam, panu i mnie, pewną szansę. Gdyby udało nam się usunąć go z tego równania, to — przy naszym sprycie i zaradności — moglibyśmy z łatwością wykorzystać chaos, który by po tym nastąpił, do własnych celów.

Stary baszar przyjrzał się badawczo Fenringowi.

— Proponuje pan, byśmy działali razem? — zapytał. — A zatem wróci pan na Salusę?

Fenring utkwiał wzrok w sztylcie z wysadzaną szlachetnymi kamieniami rękojęcią.

— Niech pan powie Imperatorowi, że chociaż jestem wdzięczny za złożoną mi propozycję, moja odpowiedź musi na razie brzmieć: „*Nie*”. Mam tutaj inne... możliwości i zamierzam z nich skorzystać.

— Szaddam będzie zły, że nie wywiązałem się z zadania — rzekł Garon.

— Hmm, niech więc pan przekona go, że sprawa nie jest zamknięta i że mogę zmienić zdanie — powiedział hrabia. — Niech trwa w niepewności. Dla podtrzymania tej iluzji przyjmę sztylet, który mi podarował. Znam jego sposób myślenia. Będzie uważał, że w zamian jestem mu coś winien. Na razie muszę odpowiednio ukształtować i wyszkolić moją kochaną córeczkę.

— A co ona ma z tym wspólnego?

Sardaukarzy mieli skłonność do postrzegania wszystkiego w czarno-białych barwach.

— Dużo, drogi baszarze. A gdybyśmy tak pominęli tego głupca z Salusy i sami znaleźli sposób obalenia Muad'Diba?

Garon poprawił się na krześle, usiłując ukryć wstrząs, jaki wywołała ta propozycja.

— Trudne czasy wymagają trudnych działań — powiedział ostrożnie.

— Nieudolność Szaddama jako Imperatora doprowadziła do tego, że ludzie tak bardzo chcieli, by go ktoś zastąpił, iż w tę próżnię mógł wkroczyć Muad'Dib wspierany przez swoich fanatycznych zwolenników. — Fenring kuł żelazo, póki było gorące. — Teraz jednak widać coraz wyraźniej, że Muad'Dib może być gorszy niż Szaddam, a my musimy za wszelką cenę położyć kres tym jatkom i ustanowić nowy porządek.

Garon wziął głęboki oddech, po czym skinął głową.

— Musimy obrać drogę honoru — rzekł. — Podążając nią, możemy naprawić wielkie zło, które wyrządza się ludzkości. Do podjęcia tego wysiłku zmusza nas poczucie honoru.

Fenring wyciągnął do niego rękę ponad stołem, a baszar mocno ją uściśnął. Hrabia nie dbał aż tak bardzo o honor, ale z pewnością zależało na tym staremu wiarusowi. Był to zarówno silny, jak i słaby punkt baszara Zuma Garona. Fenringowi pozostawało jedynie dopracowanie szczegółów i wprowadzenie planu w życie.



*Imperium jest ogromne, a jego granice odległe, tymczasem naprawdę skuteczną władzę nie sięga poza planetę, kontynent czy wioskę. Ludziom trudno jest dojrzeć to, co leży za horyzontem.*

— Muad'Dib, *Polityka i biurokracja*

Stał na balkonie, samotna postać.

Późną nocą światła Arrakin przygały i w blasku wschodzącego pierwszego księżyca budynki rozrastającego się miasta rzucały długie cienie na leżące na pustyni obozowiska. Wysoko na linii grzbiętów gór delta piachu przedzierała się przez masyw Muru Zaporowego w miejscu, gdzie Paul rozbił za pomocą broni jądrowej tę przeszkodę, by wpuścić atakujące czerwie do basenu. Mur był tworem naturalnym rozsadzonym podczas bitwy przez człowieka. Tylko człowieka.

Ludzie nie postrzegali go tak. Młody Imperator wrócił do łóżka, ale leżał tylko, pochłonięty myślami. Pozostało jeszcze do przeprowadzenia wiele kampanii w całej galaktyce, a inspiracji do nich dostarczał Muad'Dib, krocząc drogą do wiecznej chwały. Fremeni nie dostrzeżeliby żadnej słabości swojego mesjasza.

Jego prorocze wizje były niekiedy jedynie ogólnymi wyrażeniami, kiedy indziej zaś przybierały kształt żywych obrazów i szczegółowo przedstawionych scen. Sam džihad był zawsze jak wysoka góra wznosząca się na drodze jego życia — groźna przeszkoda, której nie mógł ominąć. Początkowo buntował się przeciwko temu, ale potem ruszył naprzód, napotykał trudności, zdradliwe urwiska, niespodziewane burze. Był przewodnikiem ludzkości, chciał ją przeprowadzić przez bezpieczne przełęcze, ale wiedział, że nie uda mu się uniknąć wszystkich lawin, gwałtownych powodzi, osuwających się skał i piorunów. Wymagała tego świadomość zagrożeń, przed którymi stał rodzaj ludzki. Wymagało tego straszliwe przeznaczenie. Bez względu na to, jakich będzie dokonywał wyborów, wielu ludzi zginie, zanim dotrą do ziemi obiecanej leżącej za tą górą.

Patrząc w przyszłość, Paul widział pompę, pretensjonalność i biurokrację, które go otoczą. Już można było dostrzec pierwsze tego oznaki. Początkowo przybierze to pozory potężnego i niezbędnego mechanizmu, ale w końcu rozrośnie się jak rak. Wiedział, że przez pewien czas będzie się musiał godzić na ten złośliwy nowotwór, gdyż będzie on napędzał džihad.

Diuna była już pępkiem nowego wszechświata. Będą tu przybywały na hadzdz miliony pielgrzymów. Na tej świętej ziemi będą podejmowane ważne decyzje, stąd wysyłane będą w najdalsze zakątki galaktyki legiony Muad'Diba, by spełniać jego życzenia.

Nowa twierdza Muad'Diba w Arrakin będzie promieniowała światłem na całą galaktykę. Jego pałac będzie tak ogromny, że widok będzie zapierał dech w piersiach. Wymagali tego ludzie i historia.

Wyburzono już stare dzielnice i chaotycznie rozrzucone slumsy, by zrobić miejsce dla gigantycznej budowli. O świcie miały się zacząć prace nad jej wznoszeniem.

TRZONEM OGROMNEGO GMACHU miała się stać stara rezydencja arrakińska, ale wkrótce nowy pałac pochłonie wszystkie zewnętrzne ślady pierwotnej siedziby Atrydów na Arrakis, która była również przez długi czas domem hrabiego Fenringa i lady Margot. Paul stał ze skupionym Korbą i pełnym entuzjazmu Whitmoreem Bluddem w sklepionej komnacie, obserwując reakcje Chani i Irulany.

Mistrz miecza z dumą pokazywał połyskujące projekty budynków, ogrodów i alej przyszłej twierdzy Muad'Diba. Same plany były tak duże, że zajmowały większą część pomieszczenia. Pod bacznym okiem architektów technicy starannie dopieszczały niektóre modele.

Bludd spisał się znakomicie, harmonijnie godząc życzenia i pomysły wielu osób, a jednocześnie realizując swoją wizję „*największego osiągnięcia architektonicznego ludzkości*”. Wiele lat był faktycznym zarządcą wszystkich dóbr arcyksięcia Ekaza, a teraz miał koordynować armie robotników, dostawy materiałów budowlanych i budżet całego przedsięwzięcia (choć nawet najuboższe z bezdomnych dzieci śpiących na suchych ulicach Arrakin chętnie oddałyby Muad'Dibowi swoje ostatnie monety).

Występując w imieniu kwizaratu, Korba wniósł wkład na cztery ogromne świątynie, które miały być zbudowane na tym terenie i połączone z głównym kompleksem twierdzy rozpościerającym się wokół starej rezydencji. Jeszcze zanim wzniesiono pierwsze potężne mury, nalegał na ozdobienie wielkiej niczym miasto budowli religijnymi rzeźbami i przedmiotami o charakterze duchowym.

— Każdy aspekt twierdzy musi wywyższać Imperatora Muad'Diba i rozwijać legendę o nim, by osiągnął odpowiednią wielkość — argumentował.

Zerknąwszy na Korbę, Paul pomyślał o pozostałych fedajkinach, o ich oddaniu. Kiedy bitwy były proste, a wrogowie jasno określani — Harkonnenowie, sardaukarzy — przysięgli bronić go nawet za cenę własnego życia. Wielu z tych stanowiących elitę jego armii wojowników — wierni Otejm, Tandis, Radzifiri i Saadżid — nawet w tej chwili brało udział w walkach dżihadu. Znając ich umiejętności i męstwo, zachował Fremenów — ułamek swoich sił zbrojnych — dla potrzeb najtrudniejszych podbojów, najkrwawszych starć.

Natomiast Korba, chociaż też był fedajkinem, wybrał inną drogę do chwały. Motywy jego działania, mimo iż je skrywał, były dla Paula oczywiste: podczas gdy wojownik był tylko wojownikiem, przywódca religijny miał trwalszą władzę w stale poszerzającym się kręgu wpływu Muad'Diba i w rosnących rzeszach podbitych lub zjednanych poddanych. Budując i umacniając kwizarat, udzielając nowym, żarliwym kapłanom nauk i nakazując im wprowadzać ustanowione przez siebie reguły, Korba tworzył — w imieniu Muad'Diba — własne wartości i zasady moralne.

Mimo że rozwój tej religii napędliał go niesmakiem, Paul potrzebował energii, którą mogła dać tłumom. I wiedział, że on też musi zachowywać pozory. Z Chani u boku przechodził od stołu do stołu i oglądał modele budynków, skupiając wzrok na licznych kopułach i wyniosłych łukach. Przekrój Niebiańskiej Sali Posłuchań pokazywał, gdzie będzie stał jego tron.

— Niektóre komnaty będą tak duże, że w każdej z nich mógłby się zmieścić królewski pałac — powiedział Bludd. — Cały ten kompleks został tak zaprojektowany, by był rozległym, ufortyfikowanym miastem, co ma zarówno chronić mieszkańców, jak i wywierać wrażenie na ludziach z zewnątrz.

Ekstrawagancki mistrz miecza użył swojego rapiera jako wskaźnika, by pokazać Irulanie, jak zostaną rozmieszczone jej ogrody, włącznie z „*gabinetami kontemplacji*”, w których będzie mogła kontynuować pracę pisarską. Paul zauważył dumę, która go rozpierała, kiedy wyjaśniał szczegóły swojej wspaniałej wizji. Księżna sprawiała wrażenie, że jest — jak przystało — pod urokiem jego słów.

Chani zerknęła z ukosa na Irulanę.

— Być może takich rzeczy oczekiwano w Starym Imperium, ale nam nie jest to potrzebne, Usul — powiedziała. — Fremeni uznaliby tego rodzaju luksusy za... przejaw chciwości charakterystycznej dla obcoświatowców.

— Żadne luksusy nie są zbyt wielkie dla Muad'Diba — rzekł z uporem Korba. — Lud nie zadowolony jest niczym innym niż największa budowla w dziejach.

Paul wiedział, że Korba ma — niestety — rację.

Bludd głośno odchrząknął.

— To ja wydałem instrukcje, a oto, jak będzie to wyglądało — powiedział. — Z jądra tej budowli reszta będzie wykwiłała niczym piękny kwiat na pustyni.

Chociaż on i Korba mieli przeciwstawne osobowości, we wczesnych stadiach realizacji projektu zaczął się między nimi wykluwać wzajemny niechętny szacunek. Równowagę zapewniały takie same ambicje i wspólny cel.

— Te luksusy są konieczne, ukochana — powiedział Paul, biorąc Chani za rękę. — Sam ten przepych może poruszyć najzatwardziały niedowiarek i świeżo nawrócony. Samą wielkością, zasięgiem i wspaniałością moja nowa twierdza musi wzbudzać nabożny lęk w sercach wszystkich, którzy ją zobaczą... nawet w nas, chociaż znamy jej projekt i wnętrze. Być może zwłaszcza w nas, ponieważ musimy dobrze odegrać swoje role, a ja najlepiej jak to możliwe. — Klepnął uszytą ze wspaniałej tkaniny kamizelkę mistrza miecza. — Masz moją całkowitą aprobatę, Bludd — rzekł. — Tak, ten pałac powinien być zbudowany zgodnie z twoimi planami. Z każdym położonym kamieniem i z każdą tkaniną, którą obite zostaną ściany, wmacniamy dżihad... i przyspieszamy jego zakończenie. Będę się pojawiać publicznie na tronie i na balkonach, spoglądając na tłumy. Te miejsca muszą przyćmiewać wszystkie inne wystawnością i przepychem. Jednak moje prywatne apartamenty będą urządzone prosto. — Wskazał lekceważąco plany królewskich pomieszczeń, które zdawały się wprost tryskać ostentacją. — Kiedy udam się z Chan i do naszych pokoi, ma tam być tylko tradycyjne wyposażenie, jakie można znaleźć w siczy, rzeczy, których używałby normalny Fremen. Za zamkniętymi drzwiami będziemy pamiętać o naszych korzeniach.

Bludd i Korba spojrzeli na niego z niepokojem, Irulana podeszła bliżej.

— Mężu — powiedziała — ludzie oczekują, że będziesz mieszkał jak Imperator, nie jak naczelnik plemienia. Cała ta twierdza, włącznie z twoimi prywatnymi apartamentami, powinna pokazy-



wać ludzkości, jak wielki i potężny jest Muad'Dib. Królewskie skrzydło pałacu mojego ojca mogłoby być dla ciebie wzorem.

— W prywatnych pokojach wystarczy nam prostota siczy — upierała się przy swoim Chani. Paul zgodził się z nią, kończąc tym samym dyskusję. Jego konkubina zawsze czuła się gorzej w miastach, w ogromnych zdobionych budowlach. — Chociaż Muad'Dib jest Imperatorem, pozostaje jednym z ludu.

„*Tak* — pomyślał Paul. — *Podobałoby się to memu ojcu*”.



Częścią obfitych łupów, które wojska Muad'Diba przywoziły już na Arrakis, była zawartość piwnicy drogich win. Whitmore Bludd znalazł te nieskatologowane skarby podczas nadzorowania dostaw materiałów na budowę ogromnej twierdzy.

Przejrzał etykiety na butelkach, odnotowując z rosnącym podziwem i zdumieniem roczniki. Wątpił, by nieokrzesani Fremeni mieli pojęcie o tym, co zdobyli. Zwalili butelki na kupę, nie sporządzwszy ich inwentarza ani nie zapewniwszy odpowiedniej temperatury.

Tym pustynnym fanatykom brakowało umiejętności doceniania tego, co dobre, smaku i finezji. Nie zauważyliby żadnej różnicy między świeżym, delikatnym białym winem kaladańskim a mocnym, treściwym chianti z Anbusa IV. Przeglądając, skrzynka po skrzynce, owe wina, Bludd doszedł do wniosku, że za nic nie pozwoli, by ten skarb się zmarnował.

Natrafiwszy na czerwonego stołowego cienkusza, który wyprodukowano raczej z myślą o tym, by pić go w dużych ilościach, niż się nim delektować, skonstatował, że nadaje się on dla Fremenów bardziej niż jakiś szlachetny trunek. To albo może słodki jak syrop muszkat. Kiedy odkrył butelkę oryginalnego kirańskiego szampana, odstawił ją razem ze świetnymi markami. Nie mógł dopuścić, by trunek ten zmarnował się w gardle jakiegoś pustynnego szczura o niewysublimowanym podniebieniu.

Na ten wieczór Bludd wybrał mocny claret, którego kosztował przed wieloma laty, kiedy ze swoim druhem, mistrzem miecza Riwym Dinarim, wznosił toasty za ich służbę u arcyksięcia Armanda Ekaza. Korpulentny Dinari uznał, że rocznik jest wyjątkowy, Bludd zaś miło wspominał to spotkanie, ale bardziej ze względu na biesiadę z przyjacielem niż na jakość wina. Mimo swojej tuszy Dinari twierdził, że ma delikatne podniebienie i nie smakuje mu byle co, chociaż najwyraźniej lubił nie tylko jakość, ale i ilość.

Bludd przebrał się już w strój wieczorowy: uszytą na miarę rdzawoczerwoną marynarkę, ściśniętą pasem czarną tunikę z kryzą, obcisłe czarne spodnie i wysokie do kolan zamszowe buty w tym samym kolorze co marynarka. Jak zawsze, u jego biodra wisiał długi rapier, broń tyleż ozdobna, co zabójcza. Podniósł skrzynkę wina, oparł ją na drugim biodrze i wyszedł z magazynu z taką gracją, na jaką mógł się zdobyć, niosąc ten ciężar. Jeśli ci pustynni wojownicy potrafili docenić dobre rzeczy — co nie było bynajmniej pewne — zjedna ich sobie i spędzą miłe chwile, opowiadając o swoich przewagach.

W świątecznym nastroju zaniósł wino i własny korkociąg oraz skrzynkę kieliszków na wysokich nóżkach do koszar Fremenów. Uśmiechnięty, podniósł butelki, by mogli się razem uraczyć trunkiem, ale Fremeni patrzyli na niego podejrzliwie. Zaakceptowali Bludda jako jednego ze specjalnych doradców i starego znajomego Muad'Diba, lecz wystrojony mistrz miecza nie pasował do ich koncepcji wojownika.

Szybko ukrył obrzydzenie, jakim napełniły go panujące tam zapachy. Jako członkowie elitarnych oddziałów stacjonujących w Arrakin mieli pod dostatkiem wody, by przynajmniej raz na jakiś czas się wykapać!

— Przyniosłem znakomite wino z zapasów Imperatora Paula Atrydy czy też — wzruszył szybko ramionami — Muad'Diba, jeśli tak wolicie go nazywać. Czy ktoś chce się nim pokrzepić? — Zaczął napełniać kieliszki i skinął na zakurzonych Fremenów, by się częstowali. — U mistrzów miecza jest taka tradycja, że przy kielichu dobrego wina dzielą się opowieściami o stoczonych bojach. Byłem głównym instruktorem w ginaskiej szkole, a potem zostałem jednym z dwóch najwyższej rangi mistrzów miecza na dworze Ekazów.

Pół tuzina Fremenów podniosło kieliszki i popatrzyło na nie. Jeden, fedajkin Elias, pociągnął tęgi łyk i skrzywił się.

— Nie tak! — warknął Bludd, straciwszy cierpliwość. — Przyjrzyj się jego wspaniałemu kolorowi, powąchaj i rozkoszuj się bukietem. Weź mały łyk. Pozwól, by aromat rozszedł się po podniebieniu. To nie jest jedno z waszych ostatnich piw przyprawowych. — Elias wyglądał, jakby obraziło go to napomnienie, ale Bludd udawał, że tego nie widzi. — A zatem... opowieści. Skoro tak uwielbiacie Paula, Muad'Diba, to może opowiem wam o tym, jak moi druzhowie, mistrzowie miecza Rivvy Dinari i Duncan Idaho, i ja udaliśmy się z młodym Paulem Atrydą — miał wtedy chyba dwanaście lat — do ginaskiej dżungli, gdzie zostaliśmy zaatakowani przez gigantyczne gąsienice...

— Wiemy wszystko o Duncanie Idaho — przerwał mu jeden z Fremenów. — Zginął, broniąc Muad'Diba podczas jego ucieczki przed Harkonnenami. Wtedy on i jego matka zamieszkali wśród nas.

— A zatem Paul opowiedział wam tę historię? — Bludd rozejrzył się, ale nie znalazł na twarzach Fremenów odpowiedzi na to pytanie.

— Czytaliśmy książkę księżnej Irulany — rzekł jeden z nich. Pozostali mruknęli na znak zgody.

Bludd również ją czytał i uważał, że Irulana nie wspomniała o bardzo wielu ważnych rzeczach, a nawet sugerowała, że przed przylotem na Arrakis Paul nie wychylił nosa z Kaladanu! Jakby nigdy nie dokonał tych wyczynów na Ekazie. No i były inne błędy. Rozmawiał już o nich z księżną.

Fremeni pili wino, chociaż raczej z obowiązku niż dla przyjemności. Bludd spróbował jeszcze raz, proponując inną opowieść, której Irulana nie umieściła w swojej kronice.

— A może mam wam opowiedzieć, jak od haniebnej napaści Grummańczyków na zamek kaladański zaczęła się wojna asasynów? Zginęło wówczas kilka osób, w tym... — Pociągnął nosem i zaczerpnął tchu. — Choć może nie opowiem wam również tej historii.

Spodziewał się, że niektórzy będą się chełpić swoimi czynami i opowiadać o nich. Ale ci Fremeni byli ponurymi milczkami.

— To wino smakuje jak nieprzefiltrowane siki! — warknął Elias, którego Bludd obraził. — Jeśli przepuścimy je przez rekultywator, to przynajmniej odzyskamy wodę.

— Drogi panie, to znakomity i drogi rocznik — rzekł Bludd. — Nie dziwi mnie jednak, że nie czuje pan smaku...

— Obrażasz mnie! — krzyknął Elias i wyciągnął krysnoż, a pozostali natychmiast znieruchomieli.

Bludd popatrzył wokół i westchnął ze znudzeniem.

— Co znowu? — zapytał.

— To sprawa honoru — odparł jeden z towarzyszy Eliasa.

— Tak naprawdę nie chcesz tego zrobić, drogi panie — rzekł Bludd.

— Wyciągnij broń! — Elias przyjął bojową pozycję.

Bludd z najwyższym spokojem wyjął rapier.

— Czy nie przedstawiłem wystarczająco jasno, że jestem znakomitym mistrzem miecza z Ginaza? — zapytał. — Twój sztylet z zęba czerwia jest ładny, ale ja mam cztery razy większy zasięg. — Dla podkreślenia tego machnął bronią.

— A więc jesteś tchórzem?

— Jednym słowem... nie. — Bludd obciągnął marynarkę i wygładził czarną kryzę. — *En garde*, skoro nalegasz.

Przy krzykach i gwizdach kamratów Elias skoczył na niego. Chociaż Bludd był wytwornie ubrany, dobrze dopasowana odzież dawała mu absolutną swobodę ruchów. Zszedł z linii ataku przeciwnika, a potem błyskawicznie obrócił się i pchnął Fremena w ramię.

— Pierwsza krew — powiedział. — Poddajesz się?

— Bufon Bludd więcej się chełpi, niż walczy — zachichotali przyglądający się pojedykowi Fremeni. — Bufon Bludd!

— Marna gra słówek — skwitował to sarkastycznie mistrz miecza.

Rozeźlony Fremen machnął krysnożem i z zadziwiającą szybkością ponownie skoczył na niego. Przerzucił broń do drugiej dłoni.

„*A więc potrafi walczyć obiema rękami* — pomyślał Bludd. — *Przydatna umiejętność!*”

Sparował cios, wykonał fintę i dźgnął Fremena w drugie ramię.

— Masz szczęście, że postanowiłem się powściągnąć — powiedział.

Bawił się z nim jeszcze kilka minut, popisując się, wykonując wspaniałe parady, których zawsze radził unikać swoim uczniom. Pokaz sprawności to jedno, ale najważniejsze było zwycięstwo. Wspaniała forma na nic by się zdała, gdyby przeciwnik odciął ci głowę.

Jednak ten przeciwnik nie zdradzał żadnych oznak zmęczenia i niezmordowanie nacierał, chociaż bez polotu. Kiedy Bludd zdał sobie sprawę, że sam zaczyna odczuwać zmęczenie, postanowił położyć kres temu głupiemu tańcowi. Już wcześniej słyszał, jak łatwo jest urazić dumę Fremena, i nie chciał, by ten człowiek pałał żądzą krwawej zemsty. Musiał mu pozwolić ocalić twarz.

Napałszy na niego w wirze misternych zwodów, Bludd ciął giętym ostrzem i oszołomił Eliasa. A potem celowo za bardzo się do niego zbliżył. Przejrzał jego styl walki i wiedział, jak zareaguje. Kiedy stworzył mu okazję, a właściwie cień okazji, krysnóż zrobił płytkie nacięcie na jego lewym ramieniu. Teraz przeciwnik będzie mógł mieć satysfakcję, że też upuścił mu krwi. Elias odpowiedział mu dzikim uśmiechem.

— No to dosyć tego. — Bludd uderzył płazem w grzbiet dłoni, w której Fremen trzymał nóż. Palce mężczyzny się rozwarły i puściły rękojeść. Sztylet z zęba czerwia upadł na podłogę.

Jeden z przyglądających się temu fremeńskich żołnierzy dał krok do przodu i kopnięciem odsunął krysnóż od Eliasa.

— Pobił cię w uczciwej walce, Elias — powiedział — ale ty też utoczyłeś mu krwi.

Fremen sprawiał wrażenie oszołomionego i rozzłoszczonego.

— Muad'Dib zabronił nam wszelkich waśni plemiennych — dodał cicho inny żołnierz.

— Ten paw nie należy do żadnego z fremeńskich plemion — rzekł Elias.

— Muad'Dib chce, żeby jego żołnierze walczyli z wrogiem, nie między sobą.

— I jest to znakomita rada. — Bludd wsunął rapier do pochwy, chwycił jedną z zakorkowanych butelek wina i zabrał ją ze sobą, wychodząc z koszar. — Następnym razem może przyniosę tylko piwo przyprawowe.



Lady Margot Fenring siedziała z córką na tylnym siedzeniu pojazdu naziemnego, który jechał krętymi ulicami Thalidei. Poleciała kierowcy, by zawiózł je na jeden z targów przy dokach. Rzadko wybierała się dokądkolwiek bez męża, ale mała Marie musiała odetchnąć od czujnie ją obserwującej niani z Bene Gesserit. Chociaż Margot mogłaby bez trudu pokonać dziesiątki Tleilaxan, zabroniono jej, dla jej własnego „bezpieczeństwa”, podróżować bez eskorty.

Marie siedziała na grubej poduszce przeznaczony dla tleilaxańskiego mistrza. Chłonęła szczegóły tego, co na zewnątrz, a w jej szeroko otwartych oczach widać było mnóstwo pytań, była już jednak na tyle mądra, że sama szukała na nie odpowiedzi. Fenringowie opracowali plany wychowania tej wyjątkowej dziewczynki i byli zdecydowani dopilnować, by Marie miała szeroki zakres doświadczeń i zdolności. Musiała być przygotowana na to, co było jej przeznaczeniem.

Przydzielony im tleilaxański kierowca z kasty robotniczej wprawnie unikał drobnych mistrzów, którzy wychodzili na ulice z wyniosłymi minami, nie patrząc przed siebie. Wyraźnie źle się czując w towarzystwie kobiet, nie rozmawiał z pasażerkami; być może nawet otrzymał polecenie, by je ignorować. W przeciwieństwie do wszystkich innych pojazdów w mieście, ten, którym jechały Margot i jej córka, miał przyciemniane szyby, jakby Tleilaxanie nie chcieli, by w miejscu publicznym można było zobaczyć kobietę.

Kiedy Margot podróżowała z mężem, traktowano ją zupełnie inaczej. Wprawdzie nie witano serdecznie, ale — choć niechętnie — godzono się z jej obecnością. Gdy jednak wybierała się dokądś bez niego, Tleilaxanie wydawali się oburzeni tym rażącym zachowaniem.

Tym razem nie dbała o to. Niech się obrażają. Straciła już rachubę, ile docinków usłyszała od gospodarzy. Znienawidziła tych bigotów z wyższej kasty, ale jako doświadczona Rene Gesserit nauczyła się też ukrywać swoje uczucia.

Jasnowłosa dziewczynka uśmiechnęła się do niej, po czym wyjrzała przez niskie, przyciemnione okno po lewej stronie, nieświadoma trosk matki. Podobnie jak Margot, była w czarnej sukience, ale jej oczy nie były szarozielone, lecz bładoniebieskie.

„*Kolor Feyda* — przypomniała sobie Margot — *choć nie ma tak posępnego spojrzenia jak on*”.

Na–baron z rodu Harkonnenów był odpowiednim kochankiem, chociaż nie tak sprawnym, jak powinien, biorąc pod uwagę zastępy kobiet, które dostarczyły mu przyjemności. W świetle późniejszych wydarzeń stało się jasne, że nie był też tak wprawnym szermierzem, za jakiego się uważał. Niemniej jednak Margot przyjęła jego nasienie i zgodnie z poleceniem zgromadzenia żeńskiego, pozwoliła sobie począć córkę. Doskonałe geny otrzymane przez pokolenia Bene Gesserit poprawiających genom rodzaju ludzkiego. Tak, mała Marie była naprawdę wyjątkowa.

W ciągu roku, który Fenringowie spędzili na Tleilaxie, lady Margot pozostawała w kontakcie ze zgromadzeniem żeńskim, wymieniając z siostrami sekretne wiadomości listownie albo ukryte w przedmiotach przekazywanych przez kurierów kursujących między Tleilaxem a Wallachem IX. Nie miała wątpliwości, że niania Marie, Obregah–Xo, również wysyła tajne raporty.

Pomimo osobistego zainteresowania Matki Przełożonej córką Feyda–Rauthy Margot miała własne plany. Nie zamierzała pozwolić, by ta dziewczynka stała się pionkiem w rękach Rene Gesserit. Z chwilą pojawienia się Muad’Diba — Kwisatz Haderach, nad którym zgromadzenie żeńskie nie miało kontroli — i jego siostry Alii, Złego Ducha, Margot Fenring zaczęła tracić wiarę w niezwykle i niezbyt udane intrygi Rene Gesserit.

Ona i Hasimir mieli wiele innych pomysłów.

Lady Margot uśmiechnęła się do córki. Dziecko miało bystry, dociekliwy umysł i szybko się uczyło. Dzięki naukom matki, hrabięgo Fenringa i Obregah–Xo dziewczynka posiadała już umiejętności Bene Gesserit znacznie wykraczające poza możliwości osoby w jej wieku.

Pojazd przejechał obok tętniącego życiem rynku, pełnego namk> tów i bud, które ciągnęły się aż do doków. Handlarze sprzedawali tu żywność i artykuły użytku osobistego.

— Kierowco, stań — powiedziała Margot. — Chciałybyśmy pochodzić po targu.

— To zabronione — odparł szorstko szofer, co tylko spotęgowało determinację lady Margot.

— Mimo to wysiadziemy tutaj i przejdziemy się.

— Mam was tylko obwieźć po mieście.

Margot miała już powyżej uszu sekretów i ograniczeń narzucanych im przez Tleilaxan.

— Zatrzymasz pojazd i zrobisz, co każę — przemówiła z całą mocą Głosu.

Kierowca drgnął mimowolnie, a potem zatrzymał pojazd naziemny przy najbliższych kramach.

— Zaczekasz na nas tutaj, a my obejrzymy sprzedawców i ich towary — dodała lady Margot.

Chociaż szofer siedział, trzęsąc się, poszperał w małym schowku za swoim fotelem. Spocony z wysiłku, ale uparty, wyjął małą czarną kulę, którą ścisnął w dłoni. Wydawało się, że wykwitły z niej dwie czarne chusty, jedna duża, druga mała.

— Musicie się zakryć — powiedział. — Obie. Ubierzcie się jak mężczyzna i chłopiec.

Zdumiona, że będąc pod wpływem Głosu, kierowca ma siłę na tak niezależne myślenie, Margot wzięła chusty i szybko owinęła jedną z nich głowę w sposób, jaki widziała u niektórych mężczyzn ze średniej kasty. Marie bez wahania zakryła twarz drugą chustą, którą związała na karku.

— Lubię się przebierać — oznajmiła.

Margot wysiadła z córką z pojazdu. Od głównych alejek biegły liczne boczne uliczki i kobieta szła nimi to tu, to tam, cały czas pamiętając drogę, którą przebyły. Wiedziała, że mimo zawoju na głowie wyróżnia się wzrostem, obcoświatowym ubraniem i karnacją. Mała Marie zdawała się nie zauważać mężczyzn, którzy się na nie gapili.

Chociaż hałaśliwe targowisko, pełne egzotycznych zapachów gotowanego jedzenia, ostro przyprawionego mięsa świmaków i kiszonych jarzyn, tętniło życiem, zanim tam weszły, lady Margot zauważyła, że dokądkolwiek idą, otacza je cisza. Handlarze i klienci milkli na widok tej pary.

Jedną z rozrywek lady Margot, odkąd przybyła na tę planetę, było badanie egzotycznych tleilaxańskich trucizn. Oprócz specjalistycznej wiedzy z zakresu biologii Bene Tleilax wyróżniali się umiejętnością sporządzania toksycznych związków chemicznych, które mogły w różny sposób zabić albo sparaliżować. Ten targ natomiast był istnym rogiem obfitości owych użytecznych substancji. Niektóre skutecznie unieruchamiały człowieka podczas kontaktu z nimi, inne natomiast wymagały wyjątkowych sposobów podania, ponieważ degustatorzy mogli wykryć zabójcze związki w potrawach lub napojach. Margot podziwiała rozłożone na straganach błyszczące klejnoty nasycone neurotoksynami, które można było uwolnić w odpowiednich okolicznościach. Widziała niewinnie wyglądające tkaniny, których włókna — po rozciągnięciu lub podgrzaniu — zamieniały swoje długie łańcuchy polimerowe w cząsteczki zabójczej trucizny. Tik, Tleilaxanie mieli ciekawe zabawki.

Przystanąwszy przy straganie, dziewczynka oglądała szeroki asortyment wyłożonych tam lalek. Wszystkie przedstawiały mężczyzn, ale z przeróżnych światów, w tradycyjnych dla nich strojach. Marie wskazała jedną, która wyglądała jak młody Paul Atryda i była wyidealizowaną podobizną Muad'Diba w chłopięcym wieku.

— Chcę tę — powiedziała.

Sprzedawca spojrzał na nią gniewnie, ale podał niską cenę, wyraźnie chcąc się jak najszybciej ich pozbyć. Gdy kilka solarisów przeszło z ręki do ręki, lady Margot wręczyła lalkę córce, ale ta od razu jej ją oddała.

— To prezent dla ciebie, mamó — powiedziała. — Ja nie bawię się lalkami.

Margot przyjęła lalkę z uśmiechem i szturchnęła córkę.

— Musimy wracać — powiedziała.

Trochę przesadziła i było bardzo prawdopodobne, że tleilaxańscy oficjele wystosowali skargę do hrabiego Fenringa. Poprowadziła córkę do pojazdu, nie wahając się ani przez chwilę, w którym iść kierunku. Kierowca czekał na nie, niemiłosiernie się pocąc.

W drodze do domu Marie była bardzo podekscytowana i nie mogła się doczekać, kiedy opowie ojcu o tym, co zrobiły. Lady Margot uznała, że choćby dlatego warto było pojechać na tę wyprawę.



Odgłosy budowy były w Arrakin równie stałymi dźwiękami jak westchnienia pustynnego wiatru i szept piasku. Kompleks twierdzy zaczynał się na obrzeżach miasta zaludnianego już przez miliony pielgrzymów i tych, którzy na nich żerowali. Po ukończeniu pałac miał się rozciągać od przedmieść po ścianę klifu na północy, gdzie stało wiele domów pospiesznie wzniesionych ze szczątków statków wojennych Szaddama.

Zanim upał stał się zbyt męczący, Paul spotkał się ze swymi doradcami w częściowo przebudowanej arrakińskiej rezydencji. Wybrał rzekomo małą salę konferencyjną, miejsce, w którym kamienne ściany były na tyle blisko, by dawać mu pewne poczucie zacisza. Nazywał je „*wygodnym pomieszczeniem do prowadzenia niewygodnych dyskusji*”.

Dobrał sobie doradców bardziej ze względu na ich zdolności niż na polityczną proveniencję czy znaczenie. Należały do nich Alia i Chani, a również Irulana nalegała, by włączyć ją do kręgu dyskutantów. Chociaż Paul nie był całkowicie pewien lojalności księżnej, cenił jej inteligencję i wiedzę, zarówno jako Bene Gesserit, jak i najstarszej córki obalonego Imperatora. Rzeczywiście mogła wiele wnieść do rozmów.

Dołączyli do nich Korba oraz Chatt Skoczek, inny fedajkin, którego determinacji nigdy nie można było kwestionować. Po przyjęciu przez Alię delegacji Gildii Kosmicznej, podczas gdy on był na Kaitainie i Kaladanie, Paul zlecił Chattowi zajmowanie się jej częstymi żądaniem, prośbami i skargami. Chociaż przedstawiciele Gildii mieli nadzieję, że uda im się nakłonić jego rzecznika do ustępstw, Chatt po prostu przekazywał ich życzenia Muad’Dibowi i nie chciał ustąpić nawet na milimetr. Paul żałował, że nie ma więcej takich negocjatorów.

Służący wnieśli małe filiżanki gorzkiej kawy przyprawowej. Dzięki łupom wojennym i ofiarom, które codziennie dostarczano na Diunę, Muad’Dibowi i jego najbliższemu otoczeniu nigdy nie brakowało wody. Paul rozpoczął obrady, siadając na swoim miejscu.

— Ustaliłem porządek dzienny, Usul — powiedział Korba, prostując się na krześle. Dla podkreślenia swojej zażyłości z Imperatorem często używał imienia, które nadano Paulowi w siczy Tabr. Rozłożył na stole arkusze papieru klejnotowego z taką czcią, jakby to były święte pisma. Mógł użyć zwykłego papieru przyprawowego, ale wybrał materiał, który implikował trwałość i doniosłą wagę. Paul pomyślał, że prawdopodobnie przechowa te dokumenty jak relikwie.

„*Fremen ze spisaniem porządkiem obrad*”. Sama myśl o tym była absurdalna.

— Mamy wiele spraw do omówienia, Korba. Porządek spotkania więzi nas w idiotycznie sztywnym gorsecie. — Nie mógł zapanować nad szorstkim tonem, który wkradł się do jego głosu. Biurokracja coraz głębiej zapuszczała korzenie.

— Ja tylko starałem się ułożyć tematy, by dyskusja przebiegała sprawnie, Usul — rzekł Korba. — Twój czas jest bezcenny.

— Mój brat może układać tematy według swojego życzenia — pisnęła Alia. — Twierdzisz, że jesteś w tym lepszy od niego?

Paul zauważył, że mięśnie Korby się napięły. Gdyby nie to, że słowa Alii złagodził jej dziecięcy wygląd, fremeńska duma mogłaby — jak zdarzyło się już zbyt wiele razy — skłonić go do wyciągnięcia krysnoża.

— Co chcesz najpierw omówić, ukochany? — zapytała Chani, kierując rozmowę na inny tor.

Chatt Skoczek siedział w milczeniu, przysłuchując się uważnie każdemu słowu Muad’Diba i w mniejszym stopniu temu, co mówią pozostali. Irulana z kolei była zaabsorbowana spotkaniem i czekała na okazję, by włączyć się do rozmowy.

— Chcę porozmawiać o rozroście Arrakin — odparł Paul — i potrzebuję szczerych odpowiedzi. W miarę jak kolejne światy składają mi przysięgę wierności, w takim tempie przybywa ludzi w mieście, że nie może za tym nadążyć jego infrastruktura. Codziennie przylatują na Diunę pielgrzymi, uchodźcy i wszelkiego rodzaju wysiedleńcy, a ograniczone zasoby naturalne nie pozwalają na ich utrzymanie.

— Nie przywożą wystarczającej ilości własnej wody — rzekła Alia.

— W dawnych czasach — burknął Korba, zgadzając się z nią — plemiona fremieńskie musiały instalować tysiące oddzielaczy wiatru, zakładać baseny łowne i zbierać każdą kroplę rosy, byśmy mogli przetrwać. Teraz przybywa tu zbyt wielu obcoświatowców, którzy nie znają żadnego sposobu, by zaspokoić spragnione wody ciała i usta, i nie wiedzą nic o pustyni.

— Kupują podrabiane ńltraki od szarlatanów — Chani przyznała mu rację. — Są przekonani, że mogą po prostu nabyć wodę, kiedy tylko będą jej potrzebowali, albo że spadnie ona z nieba, jak na ich rodzinnych planetach. Zgodnie z fremeńską tradycją można by powiedzieć, że zasługują na to, by umrzeć i oddać wodę swoich ciał inteligentniejszym ludziom.

— Na Murze Zaporowym, mimo szczątkowego promieniowania po użytej przez was broni jądrowej, wzniesiono wiele tymczasowych osiedli — odezwała się Irulana.

— Robią to bez zezwoleń — powiedział Korba.

— Niemniej jednak robią — stwierdził Paul. — Brak zezwoleń nic nie znaczy dla desperowanych i zdeterminowanych.

— Promieniowanie nie jest jedynym zagrożeniem — ciągnęła Irulana. — Czytam cotygodniowe raporty. Każdego dnia usuwa się stamtąd ciała. Mnożą się morderstwa i rabunki, a kto jest w stanie powiedzieć, ilu zwłok nigdy nie znaleziono? Wiemy o istnieniu gangów, które spożywają żywych i umarłych dla ich wody.

Ta wiadomość nie zdziwiła Paula.

— W tych okolicznościach można się było tego spodziewać — rzekł.

Zerknąwszy na swój harmonogram, Korba przedstawił rejestr wyeksportowanych ładunków przyprawy. W miarę rozszerzania się Imperium Paul odczuwał coraz pilniejszą potrzebę znalezienia silniejszego bodźca, którym mógłby wpływać na Gildię i KHOAM, poprosił więc o zwiększenie pozyskiwania przyprawy. A Muad'Dib dostawał to, czego sobie zażyczył.

Następnie Paul przejrzał meldunki z najnowszych pól bitewnych. Wielu wchodzących w skład Landsraadu wielmożów, którzy sprzymierzyli się z nim, pomagało nieść jego sztandary na inne światy i ujarzmić nadal stawiające mu opór planety. Zauważył jednak zastanawiającą prawidłowość: niewiele z podbijanych światów stanowiło autentyczne zagrożenie dla jego panowania. Przyjazna mu szlachta miała raczej skłonność do wybierania celów na podstawie dawnych zatargów i waśni rodowych, wykorzystując dżihad do wyrównywania starych rachunków. Paul zdawał sobie z tego sprawę, ale wiedział, że te pożałowania godne ekscesy są niezbędnym paliwem, dzięki któremu płomienie dżihadu wznoszą się wyżej.

— Nie minie wiele czasu, a ludzie zaczną wzdychać za panowaniem mojego ojca — rzekła ostrzegawczo Irulana, słuchając listy zwycięstw i beznamiętnie recytowanych liczb ofiar.

— Chaos zawsze rodzi tęsknotę za porządkiem — rzekł Paul. „*We mnie też*” — pomyślał i dodał: — Pokój zapanuje, kiedy usunięte zostanie próchno starego, zmurszałego Imperium. Nie potrafię jednak powiedzieć, kiedy się to stanie.

— Widzę, jak nabiera kształtów twoja władza, Imperatorze Paulu Atrydo — odparowała Irulana. — Naprawdę uważasz, że twoje metody pomogą stworzyć coś lepszego od Imperium Corrinów? Z niewielkimi przerwami mój ród rządził ludzkością dziesięć tysięcy lat. Wyobrażasz sobie, że twój będzie władał równie długo?

Korba poderwał się na nogi.

— Muad'Dib będzie trwał wiecznie! — wyrzucił z siebie zdanie, które jego kwizarat śpiewał na ulicach.

— Och, dość tego, Korba — powiedział Paul znużonym głosem. — Głoś swoje maksymy tłumom, nie tutaj, na zebraniu zaufanej rady.

Dowódca fedajkinów opadł na krzesło, jakby przybity tymi skv wami.

— Mów dalej, Irulano — zachęcił ją Paul. — Uważam, że to interesujące.

Ściągnęła różane usta, zadowolona i zdziwiona, że traktuje się ją poważnie.

— Twierdzisz, że masz najlepsze intencje, ale pod wieloma względami stałeś się zbyt fremeński, by rządzić obejmującym wiele planet Imperium. Rządzenie wymaga finezji. Polityczne sojusze nie są statyczne. Musisz ciągle obserwować swoich sprzymierzeńców ze szlachetnych rodów i opiekować się nimi i ich planetami. Właśnie dlatego earl Thorvald jest takim mistrzem w gromadzeniu zwolenników swojej polityki oporu wobec ciebie. Opuściwszy salę posiedzeń Landsraadu na Kaitainie, zaczął

budować sojusze i wielu postrzega go jako jedyną realną alternatywę. Ty stosujesz brutalną siłę, natomiast on wykorzystuje złożoną machinę biurokratyczną.

— Jego bunt polega głównie na składaniu śmiałych oświadczeń, a potem ukrywaniu się — zauważył Paul.

— Na razie. — Potrząsnęła głową. — Okaze się, że w tej sprawie mam rację. Fremeńska prostota i prymitywna przemoc nigdy nie zapewnią ci władzy nad Imperium.

— Jestem też synem księcia, Irulano. Mogę zrównoważyć obie strony i w miarę potrzeby czerpać z każdej z nich. Jestem Paulem Atrydą oraz Paulem Muad'Dibem.

— I jak często korzystasz z tego, czego nauczył cię ojciec? — Księżna ostro na niego spojrzała. — Nie widzę żadnej przewagi tego, co tworzysz, nad starym systemem. Zjednoczona fanatyzmem ludność pod rządami charyzmatycznego przywódcy, ludność kierująca się dogmatem, a nie deklaracją praw. Pozbyłeś się zawiłej — owszem, nieudolnej — biurokracji Landsraadu. Ale nie możesz zastąpić jej anarchią! Potrzebujemy siatki bezpieczeństwa, jaką jest prawo, jednolitego kodeksu, zgodnie z którym będzie się podejmować decyzje na wszystkich planetach. A mimo to odrzucasz wszystko, co było przed tobą!

— Sugerujesz, że powiniennem pozwolić mojej administracji zamienić się w nieruchawego, zadufanego kolosa, który rozkoszuje się stworzonymi przez siebie zasadami? — zapytał Paul.

— Tym właśnie jest władza, mężu... o czym dobrze wiesz.

Chani, obrzuciwszy Irulanę groźnym spojrzeniem, zaczęła się podnosić, ale Paul powstrzymał ją gestem. Dobrze panował nad irytacją.

— Po pokonaniu władców tyłu planet nie oddam Imperium biurokratom — powiedział.

— Twoim celem nie powinna być biurokracja, lecz skuteczność — upierała się Irulana. — Mamy dobrych przywódców i kompetentnych administratorów, ludzi, którzy nad utrzymanie status quo i własnego znaczenia przedkładają osiągnięcie wyników. Każdy, kto może opóźnić tworzenie się pewnej formy, ma władzę nad tymi, którzy jej potrzebują.

Paul był zadowolony, że pozwolił księżnej wziąć udział w spotkaniu. Na tle wszystkich punktów widzenia prezentowanych w jego nowym Imperium jej był wyjątkowy, ale Irulanę trzeba było trzymać na krótkiej smyczy.

Chociaż jego matka niedawno odleciała, być może będzie musiał sprowadzić ją z powrotem. Mogła zająć ważne miejsce we władzach centralnych. Jeszcze jedna silna kobieta w gronie jego zaufanych.

— Możesz ufać, że będę spełniał twoje życzenia, Usul — zapewnił go Korba.

— Ja też — dodał Chatt, odzywając się po raz pierwszy.

— I ja. — W głosie Irulany brzmiała gorycz. — Wiem, że nie cenisz mnie jako żony czy partnerki, ale nie możesz nie uznać mojego talentu dyplomatycznego.

— Och, mam dla ciebie duże uznanie, Irulano. Masz rozliczne talenty, ale nie zaryzykuję i nie dam ci zbyt wielkiej władzy. Jako wyszkolona przez Bene Gesserit córka Padyszacha Imperatora wiesz dlaczego.

— A zatem co mam robić z wszystkimi moimi zdolnościami? — odparła księżna z chłodną irytacją. — Mam być po prostu ozdobą na dworze mojego męża, niczym jedna ze świeżo posadzonych palm daktylowych?

Paul zastanawiał się chwilę.

— Znam twoje zainteresowania i twoją użyteczność — rzekł. — Twoja pierwsza książka o moim życiu, chociaż przedstawia je niekompletnie i nieco niedokładnie, okazała się niezwykle popularna i przekonująca. Uczynię cię moim oficjalnym biografem.



Jako księżniczkę starego Imperium wprowadzono Irulanę w tajniki *savoir vivre*'u, nauczono ją ładnie siedzieć podczas dworskich ceremonii oraz wykonywać utwory muzyczne i deklamować. Zachęcano ją też do pisania wierszy o rzeczach bez znaczenia, które to utwory podobałyby się dobrze urodzonym ludziom o płytkich zainteresowaniach.

W dodatku, podobnie jak wszystkie jej siostry, została wyszkolona przez Bene Gesserit. Miała dużo więcej do zaoferowania i nie zamierzała płodzić głupawej poezji. Zajmowała niezwykle pozycję, umożliwiającą jej opisanie tego niezwykle chaotycznego okresu w dziejach ludzkości. Jako żona Muad'Diba i córka Szaddama IV miała do tego niepodważalne kwalifikacje.

Rozbudowując *Życie Muad'Diba*, zamierzała zbadać dopływy rzeki jego niezwykle życia. W procesie tym znowu odczuje potrzebę zmienienia tu i tam paru szczegółów, chociaż zauważy to niewiele osób, jeśli właściwie przedstawi sedno tej historii. Propagandyści Paula i naiwni wyznawcy stworzonej przez niego religii nie zdawali sobie sprawy, że mają klapki na oczach, i nie chcieli widzieć mrocznych postaci, które się wokół niego kręciły.

Czcili pierwszą, napisaną przez nią w pośpiechu kronikę, jakby to była święta księga, ale ona widziała wyraźnie jej braki. Ostatnie rozmowy z mistrzem miecza Bluddem ujawniły, że sam Paul pominął dużo faktów, opowiadając o swych młodych latach, lecz Irulana nie zamierzała niczego zmieniać w tym, co już napisała. Przeciwnie, każde z jej dzieł o Paulu będzie stanowiło odrębną całość, a wszystkie razem staną się kamieniami, o ostrych krawędziach i nierównościach, umożliwiającymi przejście przez tę wodę.

Siedząc na twardej plażowej ławce obok fontanny, która chociaż sucha, wydawała kojące dźwięki tryskającej wody, Irulana uśmiechnęła się do siebie. Miała potrzebne w pracy pisarskiej natchnienie. Mimo że Paul często zdawał się lekceważyć jej rady, pozwalał jej obecnie uczestniczyć w wielu naradach.

Ostatnio dręczyła go myśl o nieoczekiwanej porażce sił dżihadu. Na planetę Ipyr przybył liniowiec pełen upojonych serią niekwestionowanych zwycięstw żołnierzy, którzy spodziewali się kapitulacji miejscowego władcy. Ale nie docenili determinacji earla Memnona Thorvalda.

Tymczasem Thorvald zebrał na swoim świecie siły militarne jedenastu planet, które również miały wkrótce stać się celami dżihadystów. Zjednoczył ich władców i przekonał, by stawili zaciekły opór i stali się bastionem starego Imperium. Z zaskakującym impetem rzucili swoje armie na żołnierzy Muad'Diba, co odbiło się szerokim echem w galaktyce.

Fakt, że Paul, mimo swoich profetycznych wizji, nie przewidział tego, zdumiał jego zwolenników. Jednak dla niego szokujący zwrot w kampanii był sygnałem, że knowania zbuntowanego earla z jedenastoma lordami musiały nastąpić pod osłoną zacierającego obraz przyszłości potężnego nawigatora. Dzięki temu, że udało im się utrzymać plany w tajemnicy, odnieśli to zaskakujące zwycięstwo.

Wierni nie mogli pogodzić się z tym, że nieomylny rzekomo Muad'Dib popełnił błąd. Uważali, że porażka ta jest znakiem, że ich pycha i nadmierna pewność siebie nie spodobały się Bogu i że teraz muszą walczyć jeszcze bardziej żąrcie, by uzyskać odkupienie.

Pozostawiwszy szczątki rozbitego zgrupowania dżihadystów na Ipyrze, earl Thorvald zniknął i niesiony wiatrami gwiazdnymi schronił się ze swoimi sprzymierzeńcami w jakiejś kryjówce. Niektórzy twierdzili, że buntownicy ukrywają się na planecie osłanianej przez Gildię, ale wszyscy jej przedstawiciele, których Paul wypytywał — posuwając się, jeśli to było konieczne, do ostateczności — zaprzeczali, że mają z tym coś wspólnego i że w ogóle cokolwiek o tym wiedzą.

Irulana sporządzała staranne notatki, zdając sobie sprawę, że ta niezwykle porażka i reakcja Paula na nią są interesującym materiałem na wyczerpującą biografię. Postawiła sobie również za cel dowiedzieć się więcej o Paulu Atrydzie, synu księcia Leto i wnuku Starego Księcia, Paulusa. W jego genealogii i w tradycjach pielęgnowanych przez szlachetny ród Atrydów należało się doszukiwać ważnych elementów jego charakteru, mimo iż Paul obrał radykalnie odmienną drogę niż ojciec.

Powołując się na święte imię Muad'Diba, księżnej z rodu Corrinów udało się zebrać relacje osób, które znały Paula w latach jego młodości, chociaż wiele tych opowieści było ewidentnie przesadzonych. Mimo to spisała owe niewiarygodne historie i skupiła się na znalezieniu w nich źdźbła prawdy.

Właśnie otrzymała z Kaladanu liczne dokumenty, w tym długi list od samej lady Jessiki. Kilku pozostałych jeszcze technokratów, którzy służyli rodowi Verniusow na Ixie, dostarczyło stare zapisy świad-

czące o przyjaźni księcia Rhombura z księciem Leto i wspomnienia ixańskiego wielmoży o młodym Paulu.

Ze względu na udział Paula w programie stworzenia Kwisatz Haderach Bene Gesserit z Wallacha IX dokładnie obserwowały go w młodości. Stara Matka Wielebna Mohiam nie była bynajmniej przyjaciółką Paula, ale poważała Irulanę i przekazała jej wiele dokumentów, mając nadzieję, że księżna wykorzysta je przeciw temu „*parweniuszowi*”.

Irulana wchłonęła to wszystko i szybko uświadomiła sobie, że jej projekt może się przerodzić w niewiarygodne przedsięwzięcie, które zostanie poddane tak dokładnej analizie jak żadna inna książka, nawet Biblia Protestancko–Katolicka podczas Kongresu Ekumenicznego Federacji. Myśl o tym wcale jej jednak nie onieśmiała. Jej pierwsze dzieło dowiodło już potencjału drzemiącego w tym, co może napisać.

A Paul dokładnie wiedział, co księżna robi.

Chociaż odmówił przydzielenia jej prominentnego stanowiska w rządzie, Irulana przyjęła swoją nową funkcję raczej z entuzjazmem niż z rozczarowaniem. Cokolwiek opublikuje, stanie się to w dosłownym sensie tego słowa historią czytaną przez dzieci na tysiącach planet.

Wydawało się, że tego w końcu mąż naprawdę od niej chce...

Pewnego ranka poszła z egzemplarzem pierwszego tomu *Życia Muad'Diba* pod pachą do imperialnego gabinetu Paula, by z nim porozmawiać. Położyła ciemnoniebieską książkę na blacie jego biurka z wypolerowanego elakkańskiego krwiodrzewa.

— Ile dokładnie brakuje w tej historii? — zapytała. — Rozmawiałam z Bluddem. W opowieściach ze swojego życia pominąłeś istotne szczegóły.

Uniósł brwi.

— Historię mojego życia określiła twoja publikacja — odparł.

— Mówiłeś mi, że przed przeniesieniem się twojego rodu na Arrakis nigdy nie opuściłeś Kaladanu. Wypadły całe fragmenty twojej młodości.

— Bolesne fragmenty. — Spojrzał na nią, marszcząc brwi. — Ale, co ważniejsze, nieistotne. Wygładziliśmy tę historię na potrzeby konsumpcji masowej, na przykład tam, gdzie napisałaś, że urodziłem się na Kaladanie, nie na Kaitainie. W tej postaci lepiej to brzmi, nieprawdaż? Usunęliśmy niepotrzebne komplikacje, wycięliśmy niepotrzebne pytania i wyjaśnienia.

Nie potrafiła ukryć zawodu.

— Czasami prawda jest skomplikowana — powiedziała.

— Owszem.

— Ale jeśli opowiem o czymś stojącym w sprzeczności z tym, co opublikowano wcześniej...

— Jeśli ty to napiszesz, uwierzą w to. Zaufaj mi.

**CZEŚĆ II**  
**MŁODY PAUL ATRYDA**  
**12 LAT**  
**10 187 EG**





*Kiedy Paul Atryda miał dwanaście lat, omal nie zginął podczas wojny asasynów, która wyniszczała szlachetne rody Atrydów, Ekazów i Moritanich.*

*Wydarzenia te przyspieszyły jego przemianę z chłopca w mężczyznę, z syna szlachcica w prawdziwego spadkobiercę książęcej dynastii, ze zwykłego człowieka w czczonego Muad'Diba. Dzięki ludziom, których spotykał od wczesnego dzieciństwa — przyjaciółom i zdrajcom, bohaterom i nieudacznikom — poznał podstawy przywództwa i konsekwencje decyzji.*

*W swej podróży przez życie Paul zaznał nienawiści wrogów, z którymi się nigdy nie zetknął. Od narodzin omotany był siecią polityki. Otworzył oczy na rozległe Imperium, które obejmowało wiele światów poza Kaladanem.*

*W młodości obserwował przemiany, jakim ulegał jego ojciec w wyniku toczonych walk, i wyciągał z tego wnioski. Księcia Leto Atrydę niełatwo było poznać ani zrozumieć. Miał do wielu spraw i ludzi chłodny stosunek, który od czasu do czasu — i to tylko nieznacznie — się ocieplał, by ponownie zlodowacieć. Lady Jessika znała te aspekty jego osobowości lepiej niż ktokolwiek i ona też uczyła ich syna.*

*Stając w obliczu tragedii, które czekały ród Atrydów, książę Leto złagodził swój stalowy charakter, z którego był najbardziej znany. Nauczył się raczej działać, niż czekać, i opanował sztukę przetrwania.*

*Nasza opowieść zaczyna się w przeddzień piątego ślubu mojego ojca, kiedy wydawało się, że życie młodego Paula Atrydy będzie jedną wielką przygodą.*

— ze wstępu do II tomu *Życia Muad'Diba* pióra księżnej Irulany



*Życie kształtuje życie. Każde wydarzenie i każda osoba pozostawiają na nim ślad, zarówno w postaci drobnych szczegółów, jak i szerokich pociągnięć pędzla.*

— aksjomat Bene Gesserit

Służba Atrydów czyniła gorączkowe przygotowania do odlotu z Kaladanu. W porcie kosmicznym w Kali szorowano i polerowano osobistą fregatę księcia Leto, aż zaczęła lśnić w przymglonym słońcu; jej wnętrze wyczyszczono i wyperfumowano. Za dwa dni miał przybyć liniowiec, by zabrać ich w podróż kosmiczną, ale nikt nie chciał powiedzieć dwunastoletniemu Paulowi, dokąd się udaje, co tylko zaostrzyło jego ciekawość.

— Lecimy na Ixa z wizytą do Verniusow? — zadręczał Thufira Hawata podczas treningów.

Paul Atryda był szybki i sprawny, ale niski jak na swój wiek. Jednak według mentata i asasy (który nie był skory do prawienia komplementów) chłopiec posiadał umiejętności walki w takim stopniu, że mógłby pokonać dwukrotnie starszego i większego przeciwnika.

— Nie wiem, dokąd lecimy, paniczu — odpowiadał niezmiennie Thufir.

Kiedy Paul zapytał o to Gurneya Hallecka, pewien, że zwalisty, wesoło usposobiony wojownik da mu jakąś wskazówkę, która pozwoli odgadnąć cel podróży, ten tylko wzruszył ramionami.

— Lecę, gdzie każe mój książę, chłopcze — odparł.

Potem Paul usiłował wyciągnąć informacje od Duncana Idaho, swojego trenera i przyjaciela.

— Lecimy na Ginaza zobaczyć starą szkołę mistrzów miecza? — zagadnął.

— Od napaści Grummańczyków przed dwunastu laty ginaska szkoła nie jest już tym, czym była. Moritani nazwał to wojną asasynów, ale sugeruje to stosowanie się do pewnych zasad, tymczasem wicehrabia jest niegodziwcem, który robi, co mu się podoba.

Uraza Duncana do Moritaniego była oczywista; przebywał w słynnej szkole, kiedy upadła.

— Ale tak czy inaczej, lecimy tam? — Paul nie dawał za wygraną. — Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Szczerze mówiąc, sam nie wiem.

Chłopak przyglądał się badawczo reakcji i minie każdego z nich, starając się zorientować, czy mówią prawdę. Doszedł do wniosku, że nikt nie wie, dokąd zabiera ich książę Leto...

W wyznaczonym czasie jego matka, Jessika, zeszła z gracją długimi promenadowymi schodami do głównego holu, skąd roztaczał się widok na opadające zbocze wzgórza. Służba skończyła pakowanie jej ubrań i przyborów toaletowych i umieściła stos bagaży na dryfowym transporterze z platformą, który miał zabrać je do portu kosmicznego i załadować na fregatę księcia.

Długimi krokami nadszedł Gurney w mokrym od potu ubraniu, z przyklepionymi do głowy niesfornymi jasnymi włosami. Jego szeroki uśmiech był zaraźliwy.

— Liniowiec właśnie wszedł na orbitę — oznajmił. — Gildia daje nam cztery godziny na bezpieczne przycumowanie w ładowni.

— Jesteś już spakowany? — zapytała Jessika. Wyglądała na udręczoną.

— Większość tego, czego potrzebuję, noszę w swoim ciele i głowie. A dopóki mam moją balisetę, wszystko jest w porządku.

— Nauczysz mnie śpiewać, Gurney? — zapytał Paul.

— Mogę nauczyć cię słów, paniczu, ale melodyjny głos jest darem od Boga. Musisz go sam ułożyć.

— Zrobi to razem z innymi rzeczami — powiedziała Jessika. — Chodź, Paul, pora jechać do portu kosmicznego. Ojciec już tam będzie.

BIAŁE CUMULUSY ZGĘSTNIAŁY, kiedy nadeszły popołudniowe burze. Na wiejskim targu rybnym sprzedawcy wykrzykiwali obniżone ceny resztek porannego połowu; wszystko, co nie zostanie sprzedane w ciągu godziny, trafi do zakładów przetwórczych, skąd wysłane będzie na inne planety. Miejscowi nie jadali niczego, co leżało dłużej niż dzień.

W porcie kosmicznym czekał na nich Leto. Jego długie czarne włosy rozwiewała bryza, a orli nos miał uniesiony, jakby starał się złapać ostatni zapach morza zamiast spalin wydobywających się z urządzeń statku.

— Przykro mi, Gurney, ale nastąpiła zmiana planów — rzekł, gdy zobaczył Gurneya, z przewieszoną przez ramię balisetą, wlokącego się obok Jessiki.

Momentalnie zwiększywszy czujność, wierny sługa zmarszczył czoło.

— Czy coś się stało, mój panie? — zapytał.

— Nie i chcę mieć pewność, że będzie tak dalej. Ty i Thufir zostaniecie tutaj, by pilnować interesów Atrydów, kiedy nas nie będzie. To raczej prywatna sprawa.

Gurney nie pokazał po sobie, że jest zaniepokojony.

— Jak sobie życzysz, mój panie — rzekł. — Wydałeś Thufirowi jakieś specjalne polecenia?

— On sam wie, co robić... tak jak ty, Gurney.

Na prywatnych lekcjach Paul uczył się polityki, psychologii i zasad osobistych kontaktów, wiedząc, że któregoś dnia pomoże mu to być lepszym władcą. Książę Leto Atryda uznał go za swojego prawowitego syna, mimo iż Jessika nie była jego żoną, a jedynie oficjalną konkubiną. Niemniej jednak toczyły się wciąż dynastyczne gry. Młodzieniec wiedział, że być może będzie musiał stawić czoło zagrożeniom i intrygom, których przeciętny chłopiec w jego wieku nie był nawet w stanie sobie wyobrazić.

— Ojczy, czy będziemy bezpieczni bez Gurneya i Thufira? — zapytał, nim wszedł na trap prowadzący do fregaty.

— Duncan jest już na pokładzie. On będzie pilotował. — Tylko tyle Leto musiał powiedzieć. Jeśli Paula nie obroni Duncan Idaho, nie zdoła tego zrobić nikt inny.

Z trudem powściągając ciekawość, chłopak wybrał miejsce przy oknie, przez które obserwował inne statki przylatujące i wylatujące z portu. Poczł dreszczyk podniecenia, kiedy fregata wystartowała. Gdy chaty nadmorskiej wioski stały się jedynie drobnymi plamkami, włączyły się cięższe silniki. Prowadzona wprawną ręką Duncana, mała jednostka wzbijała się wysoko nad usianą białymi cętkami powierzchnię oceanu i przedarła przez chmury burzowe w gęstniejący mrok przestrzeni kosmicznej.

W górze Paul zobaczył gigantyczną sylwetkę unoszącego się na orbicie liniowca Gildii, statku wielkiego jak niektóre asteroidy. Fregata Atrydów była drobiną we wnętrzu statku, który przewoził wiele jednostek z licznych planet, więcej, niż port kosmiczny w Kala oglądał w ciągu standardowego roku. Duncanowi polecono zacumować w wyznaczonym miejscu.

Jessika siedziała sztywno blisko dziobu. Powiedziała Paulowi, że niezbyt dobrze znosi loty kosmiczne, chociaż już wcześniej odbywała takie podróże — najpierw ze szkoły Rene Gesserit na Wallachu IX do siedziby księcia Leto, a potem, podczas ciąży, na Kaitaina, gdzie doglądała jej pierwsza żona Imperatora Szaddama.

Paula zdumiała myśl, która nagle przyszła mu do głowy, kiedy te informacje zazębiły się, tworząc jedną całość. Lady Anirula... Imperator Szaddam IV... Kaitain.

Anirula, pierwsza żona Imperatora, zmarła w tajemniczych okolicznościach tuż przed jego narodzeniem. Potem Szaddam żenił się jeszcze kilkakrotnie, ale żadne z tych małżeństw nie było udane. Prawdę mówiąc, jego druga, trzecia i czwarta żona również zmarły, co Paulowi wydawało się dość podejrzane. Teraz Imperator planował kolejny ożenek, z Firenzą z rodu Thorvaldów.

A książę Leto zabierał rodzinę w tajemniczą podróż.

— Wiem, dokąd lecimy — pisał Paul. — Każdy z rodów zasiadających w Landsraadzie wysyła przedstawicieli na Kaitaina. Weźmiemy udział w ślubie Imperatora, prawda?

Rędzie to spektakularne wydarzenie, niepodobne do czegokolwiek, co już widział.

Twarz księcia Leto pociemniała.

— Nie, Paul. — Potrząsnął głową. — Riorąc pod uwagę to, co stało się z poprzednimi małżeństwami Szaddama, w tym ślubie nie weźmiemy udziału. — Jego głos brzmiał chłodno i zdecydowanie.

Chłopiec zmarszczył z rozczarowaniem czoło. Wykorzystał swoje zdolności, zadał wszystkie pytania, które przyszły mu do głowy, i poskładał razem wskazówki, ale nie uzyskał dosyć informacji, by zgadywać na nowo.

Matka również chciała poznać cel ich podróży i wydawała się tak samo zniecierpliwiona jak on.

— Ja też przypuszczałam, że lecimy na Kaitaina, Leto — powiedziała.

Fregata zatrzymała się z głuchym uderzeniem w wyznaczonej kołysce. Paul czuł przenikające kadłub wibrujące dudnienie.

— Nie powiesz nam teraz, dokąd lecimy? — zapytał. — Jesteśmy już w liniowcu.

Leto w końcu usiadł wygodniej i zerknął na Jessikę z miną, która zdawała się świadczyć o tym, że ma lekkie poczucie winy.

— Lecimy na Ekaza — odpowiedział synowi.

— Ślub Imperatora musi być bardzo ekscytującym wydarzeniem, baronie.

Bardziej zainteresowany nagim ciałem ślicznego chłopca niż jego próbami podjęcia rozmowy, Vladimir Harkonnen balansował na mechanizmie drytowym, który utrzymywał go w pionie podczas przygotowań do mającej się odbyć w tym tygodniu tety.

Przyciemniane szyby plażowe ustawiono tak, by wpuszczały odpowiednią ilość naturalnego światła do apartamentu dla gości w luksusowym kaitaińskim pałacu Imperatora.

— Ach, zaślubiny... czyż mógłbym nie cieszyć się ogromnie? — odparł sarkastycznie baron.

Właśnie wysłał służącego, by natychmiast dostarczył mu inny — tym razem w ł a ś c i w y — wybór strojów na próbę przyjęcia weselnego. Jego krawcy ciągle przygotowywali alternatywne ubiory, ale wkrótce będzie się musiał na coś zdecydować. Na razie wszystkie ubrania wyglądały jak wiszące na jego cielsku namioty nomadów.

— Mogę rządzić Arrakis, ale nie mogę się pokazać, wyglądając jak Fremeni!

Chłopiec zamrugał ciemnymi, podobnymi do sarnich oczami.

— Chciałbyś wziąć masaż, panie, zanim wdziejesz ten ograniczający swobodę ruchów strój?

— Po co pytasz? — odparł baron. — Po prostu zrób to.

Chłopiec posłusznie wtarł wonną masę w miękkie ramiona barona, po czym kontynuował intymny masaż tak, jak go nauczono.

Jednak kiedy skończył, Harkonnen czuł się mniej usatysfakcjonowany, niż się spodziewał. Może nadszedł czas, by wyszkolić następcę.

Wiele dni trwała na Kaitainie świąteczna atmosfera: rozentuzjasmowane tłumy, pokazy sztucznych ogni i imprezy sportowe, w których brali udział najlepsi zawodnicy reprezentujący wielkie i pomniejsze rody. Na tle błękitnego nieba powiewały w podmuchach lekkiego, ciepłego wiatru zawieszane na wszystkich budynkach wiecznego miasta szkarłatno-złote flagi Corrinów. Na czas zaślubin Szaddama z Firenzą Thorvald rezerwowe satelity i pracujący na długich zmianach technicy zapewnili doskonałą pogodę.

Na trasie, którą imperatorski orszak miał jechać do Teatru Wielkiego, biwakowały tłumy. Wszyscy chcieli zająć miejsca, z których będzie najlepiej widać Padyszacha Imperatora i jego przyszlą żonę. W każdej chwili miały się pojawić dwie karoce zaprzężone we wspaniałe złote lwy z Harmonthepa.

Z fotela w sali jadalnej, zaprojektowanego specjalnie tak, by mogło się w nim zmieścić jego rozdęte ciało, baron obserwował otoczenie. Stół bankietowy wydawał się równie długi jak ulica w Harko. Po obu jego stronach siedzieli przedstawiciele praktycznie wszystkich rodów, które miały miejsca w Landsraadzie. Chociaż barona nic nie obchodziło wymyślne widowisko, był pewien, że nadgorliwy szambelan Ridondo i chmara podległych mu funkcjonariuszy starannie odnotują, które rody uchylły się od udziału w tym doniosłym wydarzeniu. Zdziwił się nieco i zgorszył, a jednocześnie ucieszył, ujrzawszy puste miejsca pod flagą Atrydów. A zatem książę Leto miał ważniejsze sprawy.

„Ja też mam... a jednak jestem tutaj” — pomyślał.

— Strata czasu, co? — Jego rozmyślania przerwał dochodzący z lewej głos z silnym akcentem. — Ta nowa nie wie, w co się pakuje. Skończy w trumnie, tak jak poprzednie żony Szaddama.

Zaskoczony, baron obrócił się i zobaczył potężnego mężczyznę sadowiącego się w zarezerwowanym fotelu z wysokim oparciem. Nowo przybyły miał gęste brwi, bladoniebieskie oczy i pomimo wytwornego stroju grubo ciosane rysy. Kłapę jego biało-niebieskiego żakietu zdobiło godło przedstawiające stylizowanego konia, z którego majestatycznego łba wyrastały ostre kolce. Baron zachował chłodną wyniosłość; nie interesowała go towarzyska pogawędka.

— Nie sądzę, byśmy się kiedykolwiek spotkali — powiedział.

— Niemniej jednak powinniśmy się znać, Vladimir — odparł przybysz. — Jestem wicehrabia Hundro Moritani z Grummana.

Baronowi nie podobała się taka poufałość.

— Znane mi są twoje dzieje, panie — rzekł. — Jesteś wrednym typem, nieprawdaż? Wojna z Ekazem, napaść na ród Ginazów, zniszczenie szkoły mistrzów miecza. Czy nagana udzielona ci przez Imperatora jest nadal w mocy, czy też została uchylona?

O dziwo, wicehrabia zareagował na to gardłowym, ostrym chichotem.

— Cieszę się, że zainteresowałaś się moimi działaniami — odparł. — Robię to, co konieczne, by chronić mój ród i moje dobra.

Nie mogąc się doczekać, kiedy będzie mógł jeść, baron skinął upierścienioną dłonią na służącego, by przyniósł tacę z przystawkami. Chociaż nad stołem wisiały w regularnych odstępach wykrywacze trucizny, wyjął z kieszeni własny przyrząd i przeciągnął nim nad różnymi przekąskami, zanim czegokolwiek spróbował.

— Obserwowanie, jak daleko możesz się posunąć, zanim Imperator cię powstrzyma, było interesujące — powiedział. \*

Moritani uważnie na niego spojrzali.

— I do jakiego doszedłeś wniosku? — zapytał.

Baron napychał usta małymi kanapkami, delektując się różnymi smakami i egzotycznymi przyprawami.

— Przekonałem się, że chociaż Imperator ostentacyjnie potępiał twoje czyny, nie wyrządził trwałej szkody rodowi Moritanich. Dlatego osiągnąłeś większość swoich celów i zapłaciłeś za to niską cenę.

Wicehrabia burknął coś pod nosem i baron wyczuł, że może lada chwila wybuchnąć.

— Nic nie osiągnąłem. Arcyksiążę Ekaz nadal żyje i odmawia mi dostępu do rzadkiego leku, który mógłby przywrócić zdrowie mojemu synowi.

Baron pochłonął niezgrabnie jeszcze jedną kanapkę. Zupełnie nie interesowały go osobiste zatargi Moritaniego ani jego rodzinne kłopoty. Ród Harkonnenów miał własnych wrogów.

Moritani skinął na swojego strażnika, stojącego nieopodal rudowłosego mężczyznę. Wysoki, proporcjonalnie zbudowany, bladego sługa był młodszy od swojego pana. Brakowało mu połowy jednego ucha.

— Baronie, oto mój osobisty mistrz miecza, Hiih Resser.

Teraz Vladimir okazał większe zainteresowanie.

— W obecnych czasach niewiele rodów ma własnych mistrzów miecza — powiedział.

Usta wicehrabiego wykrzywił okrutny uśmiech.

— Bo ginaska szkoła już ich nie przygotowuje — odparł.

— Ród Atrydów nadal ma Duncana Idaho — zauważył Resser. — Poznałem go na Ginazie.

— Nie interesuje mnie ród Atrydów! — Moritani podniósł ze złością głos. — Pora przyprowadzić Woltrama. Zaraz zacznie się ucztą, ale on będzie musiał wcześniej wyjść. Dopilnuj, żeby się nie nadwreżył.

Resser skłonił się i wyszedł.

Sala zaczęła się zapełniać i wzmógł się gwar. U szczytu stołu zajęli miejsca Szaddam Corrino i hrabia Hasimir Fenring, a obok nich usiadły przyszła żona Imperatora i lady Margot Fenring.

— Powiedziałbym, że hrabia wziął lepszą z tych dwóch kobiet — rzekł cicho Moritani, patrząc z podziwem na lady Margot.

Ujrawszy po raz pierwszy księżniczkę Firenzę, baron był zdumiony, że jest tak nieładna. Miała gruszkowatą figurę i obwisły podbródek, a zbyt mocny makijaż miał najwyraźniej ukryć skazy na jej skórze.

— Wygląda jak chłopka — stwierdził.

— Ale ma szerokie biodra — rzekł wicehrabia. — Może urodzi mu synów, których pragnie.

— Nawet jeśli tak, to jest za brzydka. Nie będzie jej długo trzymał. — Baronowi zaczęła się podobać szczerą rozmowa z tym szorstkim człowiekiem. — A mimo to wszyscy przybyli tutaj, by się uśmiechać i świętować to wydarzenie. Ja w każdym razie uważam, że te kolacje i przyjęcia są nudne i niewiele jest z nich pożytku. Czy nikt nie zdaje sobie sprawy, że mamy mnóstwo zajęć?

— Uczestniczenie w tym daje nam pretekst do zajęcia się innymi sprawami, Vladimir — rzeki wicehrabia Moritani, po czym wyraźnie się rozpromienił, spojrzawszy na główne wejście, przez które Hiih Resser wprowadzał do sali bankietowej chorowicie wyglądającego chłopca. Wolfram miał około dziesięciu, jedenastu lat i z twarzy był bardzo podobny do ojca. Wydawał się zdezorientowany, nafaszerowany środkami odurzającymi.

— Powiadasz, że jest chory? Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe? — Baron musiał się zmagać z własnymi schorzeniami.

— Chłopiec cierpi na rzadką chorobę, wskutek której stale marnieje. Jego matka też to miała. Droga, kochana Cilla. Żyła jeszcze rok po urodzeniu Wolframa, ale wysiłek związany z porodem miał tragiczny wpływ na jej zdrowie.

Twarz Hundra Moritaniego zalała fala smutku; jego emocje wydawały się tak zmienne jak pogoda na Arrakis. Resser przyprowadził półprzytomnego chłopca do stołu i posadził go obok wicehrabiego. Moritani poklepał ciepło bladą dłoń syna, po czym odwrócił się do barona.

— Wolfram znajduje pociechę w semucie — powiedział. — Tylko głęboki trans i muzyka przynoszą mu ulgę w cierpieniach. Tylko w taki sposób mogę mu pomóc. Oczywiście jest na to lek: *esoit-poay*, jak nazywają go Ekazanie. — Jego głos stał się ostry jak brzytwa. — W nałożonym embargu arcyksiążę wyraźnie zastrzegł, że ani kropla tego leku nie może opuścić Ekaza, mimo iż w całym Imperium jest bardzo mało osób, którym jest on potrzebny. — Tak mocno zacisnął dłoń na srebrnych sztućcach, że aż się wygięły. — Robi to tylko po to, by się na mnie zemścić.

„*No cóż, jeśli dobrze pamiętam, urządziłeś nalot dywanowy na jego centrum rządowe i zabiłeś mu najstarszą córkę i brata*” — pomyślał baron.

— To godne pożałowania — rzekł jednak tylko. — Nie możesz kupić tego leku na czarnym rynku?

— Ani mikrograma. Nawet podaż semuty została tak ograniczona, że płacę za nią niebotyczne sumy. Arcyksiążę wie, czego potrzebuję, i na każdym kroku usiłuje torpedować moje starania! A wszystko po to, żeby zrobić mi na przekór! — Jego twarz znowu poczerwieniała ze złości, ale miewał tak zmienne nastroje, że szybko przybrała wyraz spokoju i miłości. — Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Niech ich szlag, muszę zapewnić synowi wszystko, co potrzebne, żeby złagodzić ten straszny ból.

Baron wyczuł, że przywódca Grummana chce zaproponować Harkonnenom jakiś układ.

— Mam własne kanały, którymi mogę zdobyć leki na czarnym rynku, wicehrabio — powiedział, zwietrzywszy okazję zysku — ale Ekazowie nie są również moimi przyjaciółmi. Arcyksiążę jest sprzymierzony z rodem Atrydów.

Moritani właśnie pomagał oszołomionemu synowi zjeść jedną z małych przystawek. Jego oczy rozbłysły, jakby za żrenicami rozpałono ogień.

— Zauważyłeś, że nie ma tutaj ani księcia Leto Atrydy, ani arcyksięcia Armanda Ekaza? — zapytał. — Moi szpiedzy donoszą, że Leto udał się na Ekaza na tajne spotkanie. Niewątpliwie knują coś przeciw nam obu.

— Nie ma tu wielu szlachciców — skomentował baron. — Nie jestem jedynym, którego nużą te kolejne wesela. Wszystkie zaślubiny Imperatora są do siebie podobne.

— Ale te, baronie, pozwalają mi zaprosić cię na Grummana jako mojego szacownego gościa. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Być może możemy sobie nawzajem pomóc osiągnąć nasze cele.

Baron, nieufny, lecz zaciekawiony, przyjrzał się badawczo wicehrabiemu.

— Może i są warte zbadania możliwości — powiedział. — Owszem, wizyta na Grummanie może być interesująca i korzystna dla nas obu. Moi ludzie poczynią przygotowania do niej.





*Po haniebnej napaści na szkołę mistrzów miecza na Ginazie ród Moritanich z Grummana został surowo zganiony. Jako agresor, wicehrabia Moritani zapłacił wysokie odszkodowania, ale dzięki zakulisowym działaniom Imperator Szaddam potraktował tę sprawę jako drobne przewinienie. Tymczasem została wyrządzona wielka krzywda. Chociaż można było odbudować gmachy, zwerbować nowych instruktorów i ponownie otworzyć ośrodki szkolenia, jednego nie sposób było naprawić — mistrzowie miecza, ci budzący trwogę wojownicy, zostali p o k o n a n i. Czegoś takiego nigdy nie da się wymazać.*

— **Upadek rodu Ginazów**, analiza ekonomiczna KHOAM

Kiedy atrydzką fregatę wypuszczono z ładowni liniowca Gildii, Duncan Idaho poprowadził ją ku upstrzonemu kolorowymi plamami Ekazowi. Na niebie było pełno chmur, główne kontynenty mieniły się różnymi odcieniami zieleni. Paul widział liczne oceany, ale żaden z nich nie był tak ogromny jak kaladańskie morza.

Odkąd książę Leto wyjaśnił, co jest celem ich podróży, Paul wyczuwał niewytłumaczalny chłód między rodzicami. Duncan nie chciał mówić na ten temat.

— To nie moja sprawa, paniczu — skwitował jego pytania. — A gdyby była twoja, ojciec sam by ci powiedział.

Tak więc podczas krótkiej podróży chłopiec zajął się studiowaniem księgofilmów z ubogiej biblioteki fregaty, chcąc się czegoś dowiedzieć o Ekazie, żywej planecie pokrytej dżunglami, lasami deszczowymi i dobrze nawodnionymi równinami, na których kwitło rolnictwo. Głównymi towarami eksportowymi były różne gatunki twardego drewna, egzotyczne owoce leśne oraz niezwykle maści, rzadkie leki i zabójcze trucizny.

— Zwiedzimy las mgielnicowy? — zapytał Paul. Widział ich wspaniałe obrazy, a także czytał, że większość delikatnych i cennych mgielnie na Elakce, kontynencie, którym rządził książę Prad Vidal, zniszczyła zaraza.

— Nie — odparł Leto. — Czeka na nas arcyksiążę Ekaz. Mamy sprawę tylko do niego.

— Czy on wie, że ci towarzyszę? — Paul usłyszał lekką gorycz w słowach matki.

— Jesteś moją oficjalną konkubiną, matką mojego syna. Musisz ze mną pójść.

Oddając się lekturze, Paul zwrócił szczególną uwagę na powiązania ojca z arcyksięciem Armandem i na krwawą waśń między rodami Moritanich i Ekazów. Bardzo się zdziwił, dowiedziawszy się, że jego ojciec był zaręczony z najstarszą córką arcyksięcia, Sanyą, która została — wraz z wujem — zamordowana przez żołnierzy Moritanich.

Duncan skierował fregatę Atrydów w stronę małego, ładnego miasta, w którego centrum stała duża budowla złożona z eleganckich zakoli i łuków oraz pasaży łączących wieże i grube stare drzewa rosnące przy murach. Pałac był baśniową syntezą gałęzi, winorośli i paproci oraz mieniącego się perłowo białego kamienia. Paul wątpił, by nawet Kaitain wywierał na gościach większe wrażenie niż ten gmach.

Jednak zanim zdolali wylądować, w powietrze wzbily się dwa potężnie uzbrojone statki, zatoczyły koło nad pałacem i przeleciały przed fregatą, dając oczywisty pokaz siły. Rozsierdzony Duncan włączył nadajnik.

— Tu mistrz miecza Duncan Idaho w służbie rodu Atrydów — powiedział. — Przybywamy na zaproszenie arcyksięcia Ekaza. Wyjaśnijcie, o co wam chodzi.

Obie jednostki bojowe oderwały się od nich, wystrzeliły swawolnie w górę, po czym przemknęły pod fregatą. Paulowi przypomniało to delfiny dokazujące w oceanach na Kaladanie.

— Wymawiasz swój tytuł z wielką dumą, mistrzu miecza Idaho — zagrzmiało z głośników. — Musiałeś mieć świetnych instruktorów.

— Będzie nam wolno pozbawić go tego tytułu, jeśli nie zrobi na nas wystarczająco korzystnego wrażenia, Riwy? — zawtórował mu inny, cienki, nosowy głos.

Duncan rozpoznał oba głosy.

— Mistrz miecza Whitmore Bludd? — zapytał z niedowierzaniem. — I Riwy Dinari?

Mężczyźni zachichotali.

— Przylecieliśmy was poprowadzić. Nie byliśmy pewni, czy wasz pilot jest na tyle biegły w swoim fachu, by wylądować we właściwym miejscu — rzekł jeden z nich.

Paul znał te nazwiska. Duncan często opowiadał mu o swoich ginaskich instruktorach.

— Musieli zostać roninami po rozwiązaniu szkoły na Ginazie — wyjaśnił Idaho z rozpromienioną twarzą. — Nie zgadłbym, że arcyksiążę Ekaz potrzebował ich obu.

— Ród Moritanich nie wykonywał ostatnio żadnych agresywnych ruchów — powiedział Leto — ale w każdej chwili może się to zmienić. Nie wierzę, żeby ten konflikt został kiedykolwiek rozwiązany w sposób satysfakcjonujący którąkolwiek stronę.

— Tak to zwykle bywa z waśniami rodowymi, mój panie — zauważył Duncan.

Kiedy statki wylądowały na owalnej, wybrukowanej polanie otoczonej potężnymi pierzastymi drzewami, dwaj mistrzowie miecza wyłonili się ze swoich jednostek, by ich powitać. Whitmore Bludd miał długie, falujące włosy koloru złota przetykanego srebrem, pociągłą twarz i różane usta, które wyglądały na odęte. Riwy Dinari był ogromnym mężczyzną z wydatnym brzuchem, lecz stąpał bardzo lekko, jego cera zaś zarumieniała się pod wpływem panującego w dżungli upału.

Duncan zbiegł ze schodów fregaty, chcąc się z nimi przywitać, ale miał się na baczności, jakby się spodziewał, że obaj nauczyciele rzucą się na niego, by w żartobliwy, ale groźny sposób sprawdzić jego umiejętności.

— Książę Leto jest tutaj w oficjalnej sprawie — rzekł Dinari do Bludda tubalnym głosem, który brzmiał jak kocioł. — Czas na zabawę mieczami będziemy mieć później.

Bludd skrzywił się.

— Z mieczami nie ma zabawy — sprostował. — Zrobimy sobie sesję treningową. Sprawdzian.

— Jak zniesiecie hańbę, jeśli pokonam was obu? — zażartował Duncan.

— Poradzimy sobie — odparł Dinari. — Jeśli do tego dojdzie.

Z fregaty wyłonił się Leto w czarnym kaftanie z czerwonym jastrzębiem herbowym Atrydów. Za nim wyszedł Paul, wciąż starając się zrozumieć, co się dzieje.

Powietrze pachniało kwiatami, żywicą i słodkim sokiem ciekącym z popękanej kory ogromnych drzew, które górowały nad pałacem. Wzdłuż wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki stały niczym wartownicy sięgające mu do głowy paprocie.

Leto położył dłoń na ramieniu syna.

— Chodź ze mną, musimy zrobić wejście — powiedział.

— A matka? — Paul zerknął przez ramię na Jessikę, która podążała w pewnej odległości za nimi, nie okazując żadnych emocji.

— Ona zrobi własne wejście — odparł Leto. — Zwracaj na wszystko baczność. Jest tutaj wiele subtelności, w których będziesz się musiał rozeznac. W kilku najbliższych dniach dostaniesz parę ważnych lekcji tego, co to znaczy być księciem... a niektóre mogą się okazać trudne.

Wydawało się, że w pałacu arcyksięcia jest tyle samo bujnej zieleni, co na dziedzińcach i w ogrodach. W wąskich akweduktach biegnących wzdłuż ścian płynęła woda, napełniając komnaty uspokajającym szemraniem. Nie był to wprawdzie dźwięk tak kojący jak majestatyczny szum oceanu na Kaladanie, ale Paul stwierdził, że i tak wprawia w dobry nastrój.

Kiedy weszli do sali audiencyjnej, arcyksiążę Armand siedział tam na masywnym fotelu z guzowca za długim, wypolerowanym na niewiarygodny połysk stołem. Stół zrobiony był z największego fragmentu elakkańskiego krwadrzewa, jaki Paul kiedykolwiek widział;

słoje nakładały się, tworząc barwne wzory. Arcyksiążę był wysokim, szczupłym mężczyzną, który — mimo srebrzystych włosów — nie wyglądał staro. Miał wąską twarz i spiczastą brodę.

Kiedy Leto podszedł, arcyksiążę wstał, by go powitać, i pokleпали się nawzajem po przedramionach.

— Ty i ja jesteśmy optymistami, Armand — rzeki Leto. — Spróbujemy tego ponownie. Jeśli nie będziemy próbować, to jaki sens ma życie?

— To twój naturalny syn Paul? — Arcyksiążę wyciągnął dłoń. Była mała i szczupła, ale jej uścisk był krzepki. Paul ujął ją.

— Pozwól też, że przedstawię jego matkę, lady Jessikę — powiedział Leto, skinąwszy głową w jej stronę. Złożyła oficjalny ukłon, ale pozostała z boku, zmarginalizowana.

— Również ja muszę ci kogoś przedstawić, Leto. Prawdopodobnie nie pamiętasz jej. — Armand krzyknął, zwróciwszy się w stronę drzwi, i weszła smukła młoda kobieta. Wydawała się dobrze wychowana, miała duże brązowe oczy i ciemne włosy splecione w warkocz. Na jej szyi wisiał na cienkim złotym łańcuszku idealnie czysty, ale nieregularnego kształtu kojoty. — Książę Leto, oto moja córka llesa.

Grzecznie dygnęła, chociaż sprawiała wrażenie nieśmiałej.

— Bardzo mi miło poznać cię, księżę — odezwała się.

Ojciec Paula odpowiedział niskim, oficjalnym ukłonem.

— Widziałem ją raz, dawno temu. Nie przesadziłeś, mówiąc o jej urodzie, Armand. — A potem zwrócił się do Paula i jego matki. — Wszystko zostało już załatwione. Ilesa będzie moją żoną.



*Duncan Idaho nie był jedynym mistrzem miecza w życiu Paula Atrydy. Jest natomiast jedynym, o którym będzie się długo pamiętać.*

— II tom *Życia Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

Po odprowadzeniu ich do osobnych kwater w pałacu Ekazów Paul złożył wizytę w pokoju matki. Jessica siedziała bez słowa, pogrążona w myślach; nauczyła go odczytywać subtelne niuanse, widział więc, jaka jest zatroskana. Widocznie ojciec nie rozmawiał z nią wcześniej o swoich zaręczynach.

Z logicznego i politycznego punktu widzenia umowa ta miała dobre strony. Małżeństwo było w Imperium jednym z narzędzi władzy, bronią równie potężną jak każda rusznica laserowa w arsenale Atrydów. Ale najwyraźniej książę Leto utrzymywał realia polityczne w tajemnicy nawet przed ukochaną konkubiną.

— Wszystko będzie dobrze, Paul — powiedziała Jessica, a jej słowa brzmiały szczerze. — Zostanę w pokoju i będę kontynuowała ćwiczenia Bene Gesserit, ale ty — bez względu na to, co się dzieje — potraktuj to jako okazję do nauczenia się czegoś. Chcę, żebyś — kiedy nadejdzie dla nas czas odlotu z Ekaza — miał szerszą wiedzę i lepiej rozumiał pewne sprawy. Posegreguj wszystkie szczegóły i uporządkuj swoje myśli, używając technik, których cię nauczyłam.

Paul nie mógł się jednak oprzeć rozpraszającym jego uwagę i skupienie dziwom Ekaza. Oglądał słoneczne pomieszczenia o trapezoidalnych ścianach odległych od doskonałości prostopadłych płaszczyzn. Na pałacowych terenach znajdował się niezwykle ogród, w którym bujna roślinność, przyszyżona na kształt ludzi, zwierząt i potworów, poruszała się z gracją, zwracając w stronę słońca podczas jego wędrówki po niebie. Na ogrodzonej siatką arenie pełno było mieniących się jak klejnoty dużych motyli, które dwa razy dziennie, gdy robotnicy wnosili naczynia z gęstym jak syrop nektarem, ogarnięte gorączką żerowania dawały wspaniały spektakl.

Poszedł poszukać ojca, ale książę Leto zamknął się w sali konferencyjnej z Armandem Ekazem. Stojący przed drzwiami strażnicy i jeszcze gorsi od nich biurokraci nie pozwolili mu wejść. Jednak przed południem, kiedy służący przynieśli do sali napoje, Paulowi udało się w końcu wślizgnąć tam i zwrócić na siebie uwagę ojca. Książę Leto wyglądał na zmęczonego, ale uśmiechnął się, ujrawszy chłopca.

— Przepraszam, Paul, że cię zaniedbuję — powiedział. — Te negocjacje są bardzo skomplikowane.

Armand Ekaz rozparł się wygodnie w fotelu.

— Daj spokój, Leto, nie są wcale takie trudne — rzekł.

— Znajdź Duncana, Paul. On zadba o jakieś zajęcie dla ciebie... i o twoje bezpieczeństwo.

Na znak księcia Leto sztywny kapitan straży wziął młodzieńca za rękaw i wyprowadził z sali, tłumacząc się gęsto arcyksięciu i przepaszając go za to wtargnięcie. Paul wiedział, że straży Thufira Hawata w zamku kaladańskim nigdy nie udałoby mu się ominąć.

Znalazł Duncana, Rivvy'ego Dinarię i Whitmorea Bludda na placu treningowym, gdzie urządzili sobie bijatykę. Byli bez koszul, uzbrojeni w tępo zakończone miecze pulsacyjne, którymi można było zadawać potężne, bolesne jak wstrząsy elektryczne ciosy; cała trójka miała czerwone, zaognione pręgi na rękach, piersiach i ramionach. Przyglądając im się, Paul nie mógł się zorientować, kto z kim walczy: Duncan rzucił się na Bludda, Dinari zaatakował Duncana, a potem Bludd i Duncan natarli na grubego mistrza miecza. W końcu wszyscy, wyczerpani, ociekając potem i z głupimi uśmiechami, opuścili broń.

— Dużo nie zapomniiał — przyznał Dinari, zwracając się do szczupłego, firecykowatego Bludda. — Od czasu do czasu musi ćwiczyć.

Zmęczona trójka wyłączyła tarcze i stała na stratowanym placu treningowym, opierając się na mieczach pulsacyjnych. Bludd zwrócił się ku Paulowi, robiąc gest, jakby uchylał kapelusza.

— Daliśmy temu młodzieńcowi wspaniały pokaz — rzekł.

— Przynajmniej zabawny — powiedział Riwy Dinari. — Byłeś dzisiaj niezdarny jak wół.

— Zostawiłem ci pięć paskudnych pręg — prychnął Bludd. — No, ale z drugiej strony, twoje ciało ma większą powierzchnię niż u przeciętnego przeciwnika.

Duncan wytarł się mechatym materiałem utkany z elakkańskiego puchu. Paul wyczytał w księgo-filmach, że substancję tę uzyskuje się z pękniętych owocni pewnego wysokiego drzewa o fioletowych liściach.

Podszedł do mistrzów miecza.

— Matka powiedziała mi, żebym poznał co się da na Ekazie, a ojciec, że postarasz się czymś mnie zająć — oznajmił.

— Oczywiście, paniczu, ale teraz nie ma mowy o ćwiczeniu walki na miecze — rzekł Duncan. — Po treningu, który odbyłem z tymi dwoma, być może nawet ty zdołałbyś mnie pokonać.

— Już trzy razy byłem lepszy od ciebie.

— Dwa. Jednego razu nie uznaję.

— To, że tego nie uznajesz, nie zmienia faktów.

Ta rozmowa najwyraźniej bawiła Dinariego i Bludda. Duncan wprowadził Paula do pałacu, by pooglądał sobie grzeczne księgofilmy.

Co jest bardziej honorowe — iść za potworem, któremu przysięgło się wierność, czy złamać przysięgę i odejść ze służby?

— Jool Noret, pierwszy mistrz miecza

W drodze powrotnej z wesela Imperatora na Grummana wicehrabia Moritani dużo czasu spędzał w głównej kabinie rodzinnej fregaty z chorym synem i jego medyczną siostrą.

Idący z raportem do swojego pana Resser zatrzymał się w jej otwartych drzwiach. Wicehrabia siedział w połączonym fotelu bezwładnie, jakby zostało z niego tylko rzucone niedbale ubranie, i patrzył na brzuchatego lekarza Akademii Suka i pielęgniarkę, którzy zajmowali się Wolframem. Ostry zapach semuty i dźwięki towarzyszącej podawaniu narkotyku niesamowitej, hipnotyzującej muzyki uspokoiły chłopca. Mimo to cicho kwilił z nieustannego bólu.

Masywny doktor Vando Terbali miał wytatuowany na czole romb, a jego długie, złociste włosy ujęte były w pierścień Akademii Suka.

— Nie jest to wprawdzie nieuleczalna choroba, wicehrabio, ale już dawno należało rozpocząć leczenie — stwierdził. — Pogarszający się stan Wolframa nie jest winą bractwa Suka.

— Gdybym cię winił, doktorze, już byś nie żył — rzekł znużonym głosem Moritani.

Pielęgniarka zeszywniała ze strachu, tymczasem lekarz Akademii Suka popatrzył twardo.

— Groźby pod moim adresem nie zapewnią mi lepszej opieki — oświadczył Terbali.

Wicehrabia zmarszczył brwi.

— A czy możesz go leczyć jeszcze gorzej? — zapytał. — On umiera. Twoje starania nie przedłużają mu życia, nie złagodziły też znacznie jego bólu.

— On potrzebuje *esoit'poay*, panie, a Ekaz odmawia ci go. Ergo, nie możemy pomóc twemu synowi.

Ramiona wicehrabiego stężały.

— Za pewną cenę książę Prad Vidal okazał nieco współczucia, ale nawet jemu nie udało się skłonić arcyksięcia do zmiany zdania. Prośba Vidala w sprawie mojego syna została z miejsca odrzucona z powodu nienawiści Armanda do mnie. — Podniósł się z fotela z grymasem wściekłości, jakby za moment miał wybuchnąć niczym zbiornik ciśnieniowy, i nagle zauważył, że tuż za drzwiami stoi Resser. Wyraz jego twarzy się zmienił. — Jeśli nie możesz go uleczyć, to chociaż... ulżyj jego cierpieniom — powiedział ostro do Terbalego.

Moritani dołączył do rudowłosego mistrza miecza na korytarzu fregaty i zamknął za sobą drzwi głównej kabiny. Resser widział, jak grają mięśnie jego szczęki, kiedy zaciskał zęby.

— Ach, Resser — rzekł wicehrabia — nie mogę się zdecydować, kto jest godzien większej pogardy: arcyksiężę Ekaz czy Imperator z rodu Corrinów. Może zresztą nie muszę dokonywać wyboru. Obu nienawidzę jednakowo.

Resser zdziwił się. Ważną częścią jego pracy była wiedza o wrogach rodu Moritanich.

— Dlaczego nienawidzisz Imperatora, mój panie? — zapytał.

— Chodź do mojego gabinetu. Pokażę ci starożytne dokumenty, które otrzymałem od Bene Gesserit. Poznasz rzeczywisty powód, dla którego polecieliśmy na Kaitaina.

— Myślałem, że prawdziwym powodem było nawiązanie kontaktów z baronem Harkonnenem — rzekł Resser.

— Jest kilka prawdziwych powodów, a żaden z nich nie ma nic wspólnego z Szaddamem i jego przeklętym ślubem.

Resser stanął na baczność w prywatnej kabinie wicehrabiego, patrząc na człowieka, któremu przysięgł służyć. Kiedyś, pośród dymiących zgliszcz na Ginazie, Duncan Idaho zaproponował mu stanowisko na dworze Atrydów. Chociaż większość grummańskich uczniów została wyrzucona ze szkoły mistrzów miecza, gdyż nie chciała potępić haniebnych postępów wicehrabiego, Resser uparł się, że zostanie do końca nauki. Uważał, że jedynym sposobem przywrócenia szacunku Moritanim będzie nakłonienie ich do powrotu na drogę honoru. Na Grummanie stał się z upływem lat najbardziej zaufanym człowiekiem wicehrabiego i robił co w jego mocy, by hamować porywczego przywódcę.

Uśmiechnąwszy się smutno, wicehrabia Moritani przyłożył kciuk do zamka papilarnego i wyciągnął pancerną szufladę wbudowaną w gródź fregaty. Wyjął z niej długi zwój papieru klejnotowego, na którym wypisano drobnym drukiem niezliczone nazwiska i daty.

— To bardzo mały fragment akt eugenicznych Bene Gesserit — powiedział. — Drzewo genealogiczne.

Resser zmrużył oczy, starając się odczytać niewielkie litery, ale nie wiedział, po co wicehrabia pokazuje mu te nazwiska. Było tam coś o r o d z i e T a n t o r ó w i o i n c y - d e n c i e s a l u s k i m.

— Jak zdobyłeś prywatne akta eugeniczne, mój panie? — zapytał.

Moritani uniósł krzaczaste brwi i chłodno mu się przyjrzał. Mistrz miecza wiedział, że nie powinien więcej o to pytać.

— Ojciec opowiedział mi kiedyś o pewnej pogłosce — kontynuował wicehrabia — o niewiarygodnej historii, którą usłyszał od swojego ojca, i tak dalej. Według mnie, było w niej żdźbło prawdy, poświęciłem więc wiele lat, by się do niej dokopać. — Postukał palcem w długi arkusz papieru. — To jest dowód na to, że moje podejrzenia były słuszne... pokolenie po pokoleniu, tysiące lat wstecz.

— Dowód na co, mój panie?

— Ten ród nie zawsze nosił nazwisko Moritani. Kiedyś zwano nas Tantorami. Jednak po i n c y d e n c i e s a l u s k i m tropiono i zabijano wszystkich Tantorów. To znaczy wszystkich członków tego rodu, których tropicielom udało się odnaleźć.

Po plecach Resslera przebiegł dreszcz. Teraz zaczynało się to układać w sensowną całość.

— Incydent saluski? — powiedział. — Czy nie chodzi tu o ten atak jądrowy, który omal nie zmiotł Corrinów i nie zniszczył całego Salusy Secundusa?

— Właśnie o to. Jesteśmy rodziną renegata, której nazwisko wymazano z kart historii. — Szlachcic zmrużył oczy. — Dzięki Bene Gesserit mam teraz na to dowód. Wiem, co Corrinowie zrobili wielu moim przodkom... i co arcyksiążę Ekaz robi mojemu jednemu synowi.

— I nikt inny nie ma pojęcia o tej genealogii? Na pewno wszyscy zapomnieli o tych krwawych łowach.

— Ja nigdy nie zapomniałem. Jesteś teraz jedną z pięciu osób, włącznie ze mną, które choćby podejrzewają, że są takie powiązania — rzekł wicehrabia. — To znaczy pięciu osób, które jeszcze żyją. Musiałem przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności, żeby zapewnić sobie milczenie osoby, która zdobyła te informacje, i łowcy okazji, któremu zawierzyła. — Włożył dokument do pancерnej szuflady. — Gdyby nie systematyczna eksterminacja moich przodków — powiedział — biedny Wolfram nie byłby ostatnim z rodu.

W umyśle Resslera kłębiły się implikacje tego, o czym usłyszał. Z tego, co wiedział, dekret o zgładzeniu niewymienionej z nazwiska rodziny, która zrzuciła bomby atomowe na Salusę Secundusa, nigdy nie został formalnie uchylony.

— Ale czy nie powinieneś zniszczyć tego dokumentu, mój panie? — zapytał. — Przechowywanie go stwarza zagrożenie.

— Przeciwnie, chcę go zatrzymać, by stale przypominał mi, jakich zniszczeń jest w stanie dokonać mój ród... bez względu na noszone nazwisko. — Zacisnął ponuro usta. — Pewnego dnia wyrzemy w końcu zemstę. Na rodzie Corrinów i na rodzie Ekazów.

Resser miał wrażenie, jakby przetworzone powietrze w kabinie nagle się ochłodziło, ale przysięga i honor wymagały, by służył swojemu panu, nie podając w wątpliwość jego zamiarów.

— Żyję tylko po to, by służyć tobie i twojemu szlachetnemu rodowi, mój panie — powiedział.



*Mogą powstawać i upadać imperia, mogą się przez tysiące lat wypalać gwiazdy, ale nic nie jest tak trwale jak nienawiść.*

— *Kronika rodzinna Ekazów*

Administratorzy prowadzący interesy arcyksięcia przedstawiali różne warianty sojuszu Atrydów i Ekazów, ale książę Leto nie słuchał uważnie, gdyż bolało go serce. Trudno mu się było skupić na niuansach negocjacji, chociaż wiedział, że jeśli popełni błąd, jego ród przez wiele lat będzie ponosił tego konsekwencje. Przydałby mu się mentat, który orientowałby się w szczegółach, ale — niestety — Thufir Hawat miał ważniejsze zadanie: strzeżenie Kaladanu.

Układu tego pragnęli zarówno Ekazowie, jak i Atrydzi, ale życie Leto komplikował fakt, że miał konkubinę i syna, którego ogłosił swoim prawowitym dziedzicem. Przymierze między oboma rodami, małżeństwo i syn urodzony przez Ilesę zupełnie zmieniłyby sytuację.

Na szczęście negocjacje były w dużej części podobne do tych sprzed szesnastu lat, kiedy to Leto zaręczył się ze starszą córką Armanda Ekaza. Przyniesiono z archiwum podpisane wówczas porozumienia, by posłużyły za punkt wyjścia, ale od napaści Grummańczyków, w wyniku której poniosła śmierć Sanya, wiele się zmieniło. Kiedy ostatnim razem Leto starał się wżenić w ród Ekazów, miał innego syna, Victora, z inną konkubiną — Kaileą Vernius. Podobnie jak Sanya, oboje już nie żyli.

— Wyglądasz na zatroskanego, przyjacielu — rzekł Armand. — Nie spałeś dobrze? Może twój pokój nie jest wygodny?

Leto uśmiechnął się.

— Jesteś wzorem gościnności, Armand — powiedział, lecz pomyślał: „*Nie spałem przez rozmowę, która trwała do późnej nocy, a potem nie dawała mi zasnąć świadomość, że głęboko zraniłem Jessikę*”.

Siedząc na brzegu łóżka w pokoju Jessiki, Leto patrzył na jej piękną, owalną twarz i wspominał chwilę, kiedy Rene Gesserit przywiodły ją do niego. Była wtedy młodą kobietą. Rodząca się w nim miłość do niej stała się klinem, który odsunął od niego Kaileę. Próbowwała go zabić z zazdrości, ale skończyło się to śmiercią ich niewinnego syna i okrutnym okaleczeniem księcia Rhombura Verniusa. Leto przysięgł sobie, że nie pozwoli, by Ilesa wbiła klin między niego i Jessikę.

— To interesy i polityka — powiedział, żałując, że zabrzmiało to tak, jakby się bronił. Przez wiele godzin mógłby wymieniać korzyści płynące z zawarcia takiego sojuszu, ale podobne wyjaśnienia nigdy nie trafiłyby do Jessiki. Zapewniał ją, że nie kocha Ilesy... że nawet jej nie zna.

Jessika jedynie siedziała i patrzyła na niego z chłodną miną.

— Doskonale to rozumiem, mój książę — powiedziała — i jestem przekonana, że podjąłeś słuszną decyzję. Jestem tylko twoją konkubiną, która nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie.

— Niech to szlag, Jessiko, możesz mówić ze mną otwarcie!

— Tak, mój panie.

Nie powiedziała nic więcej. Cisza się przedłużała. Czekał, mając nadzieję, że Jessikę to zmęczy, ale nie mógł się mierzyć z Rene Gesserit.

— Przykro mi. Naprawdę — rzekł w końcu. Chociaż jej kamienna mina była nieprzenikniona, wyglądała tak ślicznie.

— Nie oczekuję od ciebie niczego innego, Leto — powiedziała. — Ojciec wpoił ci, byś nie żenił się z miłości, lecz dla korzyści politycznych. To, że nie darzył miłością swojej żony, lady Heleny, znalazło odbicie w twoim stosunku do wygnanej matki. Ty też jej nie kochałeś. Widziałam portret Starego Księcia. Wiem, co ci mówił i czego ci nauczył. Czy mógłbyś nie mieć takich przekonań jak on?

— Musisz go nienawidzić.

— A czy ktoś nienawidzi przyływu za to, że wymywa piasek? Czy ktoś nienawidzi burzy za to, że sprowadza pioruny? — odparła.

Leto zaczął się zastanawiać, czy Jessika żałuje, że nie widziała Starego Księcia, kiedy jeszcze żył, by móc mu powiedzieć parę słów do słuchu.

— Zaopiekuję się tobą i Paulem — rzeki z naciskiem. — Zawsze będziesz członkinią dworu na zamku kaladańskim. Zawsze będziesz ze mną.

— Wierzę obietnicom mojego księcia. — Jessika szybko się odwróciła.

Powiedziawszy jej „*Dobranoc*”, Leto wyszedł, ale potem długo nie mógł zasnąć...

Słudzy wnieśli tace z „*drobnymi przekąskami*”: plaster srebrzystego miodu, nadrzewne kraby z różną, z—orzeczy, które okazały się zaskakująco gorzkie. Leto jadł, słuchając sprawozdań ze sprzedaży głównych towarów eksportowych Ekaza, przynoszących największe zyski surowców leśnych. Armand mówił, że ogromne sumy przeznaczone są na badania farmaceutyczne. Chemicy medyczni i biofarmaceuci Akademii Suka stale odkrywali nowe liście, porosty, jagody, korzenie i grzyby.

Co najważniejsze jednak, arcyksiążę ustanowił całkowite embargo na handel z wicehrabią Hundro Moritanim z Grummana. Przekazał Leto oświadczenie: „*Żadne użyteczne artykuły nie będą sprzedawane rodowi Moritanich*”.

Armand wskazał oficjalny dokument.

— Jeśli masz poślubić llesę, musisz przyjąć ten warunek, Leto — powiedział. — Nie mogę nagiąć tej zasady. Ani jednego liścia z drzewa, ani jednej jagody z krzewu. Ten potwór nie dostanie z mojej planety ani grama pocieszenia.

Leto próbował kiedyś położyć kres wzajemnej nienawiści Ekazów i Moritanich, a Imperator umieścił nawet na dwa lata siły rozjemcze sardaukarów na Grummanie, ale gdy tylko odlecieli, wicehrabia Moritani ponownie zaatakował i urządził publiczną egzekucję córki Armanda, Sanyi, oraz brata arcyksięcia, dając początek otwartej wojnie.

— Czy to się nigdy nie skończy? — zapytał Leto.

— Ostatnio musiałem udzielić reprimendy księciu Prądowi Vidałowi, ponieważ wbrew moim wyraźnym rozkazom próbował wysłać czarnorynkową dostawę. Kiedy go przyłapano, zaoferował mi połowę zysków z tej transakcji, ale plunąłem mu w twarz. Naprawdę plunąłem mu w twarz! — Arcyksiążę zamrugał, jakby sam się sobie dziwił. —

Przesłał mi oficjalnie przeprosiny i spodziewał się, że zrobię to samo. Moi administratorzy twierdzą, że tracimy potencjalne zyski z powodu tego embargo, ale cóż znaczą pieniądze? Nienawidzę Moritanich.

— Słyszałem, że syn wicehrabiego cierpi na straszną chorobę i że lek na nią można uzyskać na Ekazie — powiedział cicho Leto. — Gdybyś okazał współczucie, dostarczając mu ten środek, czy nie doprowadziłoby to do pokojowego rozwiązania waszego konfliktu?

— Jak mógłbym uratować jego żalosego syna, skoro on z a m o r d o w a ł m o j ą c ó r k ę? Odmawiając Moritanii tego leku, sprawię, że poczuje choćby w części ból, jaki zadał mojemu rodowi. Ta waśń nie skończy się, dopóki jeden ród nie wybije drugiego. — Podniósł kryształową fiolkę, która stała obok niego na stole. — To ten rzadki lek, którego tak rozpaczliwie pragnie wicehrabia. Trzeba wielu miesięcy, by wydobyć, przerafinować i poddać odpowiedniej obróbce *esoit'poay*. Owszem, mógłbym to dostarczyć Moritanii. M o g ł o b y to ocalić życie jego synowi. — Zacisnął dłoń na fiołce, po czym rzucił ją na kamienne płyty posadzki. Rozbiła się na błyszczące w słońcu okruchy. — Wolę, żeby to lekarstwo wyschło na ziemi, niż by tknęły go usta tego niegodziwego potomka Grummana. — Spojrzał ponuro na Leto. — Wyobraź sobie, że miałbyś możliwość ulżenia w bólu młodemu siostrzeńcowi barona Harkonnena albo uratowania go. Skorzystałbyś z niej?

— Wątpię. — Leto westchnął ciężko. — Harkonnenowie przyczynili się do śmierci mego ojca i jest bardzo prawdopodobne, że brali udział w spisku, który kosztował życie mojego pierworodnego syna. Nie, raczej udusiłbym Feyda—Rauthę gołymi rękami.

— Wobec tego rozumiesz mnie lepiej niż większość ludzi.

Leto skinął głową.

— Zgadzam się na te warunki — powiedział.

Reszta negocjacji przebiegła gładko i wkrótce nadeszła pora, by Leto wrócił do domu z Paulem i Jessiką i zaczął przygotowania. Ślub miał się odbyć za dwa miesiące na zamku kaladańskim.

*Byli przyjaciele stają się najhardziej żądnymi krwi wrogami. Któż wie lepiej, jak zadać największy ból?*

— z *Mądrości Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

W ciągu wieków Harkonnenowie wyczerpali prawie wszystkie zasoby naturalne Giedi Prime. Przyznawał to nawet baron. Jednak rodzinna planeta Moritanich, Grumman, była w jeszcze gorszym stanie.

Ród Moritanich od pokoleń wykorzystywał ją niemiłosiernie, aż w końcu stała się wrakiem żywnego niegdyś świata, na którym ledwie rosły najodporniejsze nawet na surowe warunki rośliny jadalne. Tubylcy niewiele mogli wycisnąć z planety, więc Moritani pragnęli nowego lenna. Wicehrabia składał kilkakrotnie Imperatorowi petycję w tej sprawie, wskazując głównie na Ekaza, ale jego prośby zostały oddalone.

„*Nic dziwnego, że ten człowiek jest stale w podłym nastroju*” — pomyślał baron, patrząc na ciągnące się wokół stopy. Nawet owiewane przez lekki wiatr resztki roślinności wydawały dźwięki podobne do przedśmiertnego szcęknięcia zębami.

Odziany w czerń baron przestępował niecierpliwie z nogi na nogę koło szeregu połączonych ze sobą ocieplonych jurt i namiotów wielkości stajni. Przez trzepoczące poły namiotów widział wysokie drewniane wrota i mężczyzn w skórzanych ubiorach. Ze stajni dobiegało rżenie i echa kopnięć specjalnie hodowanych rumaków oraz głosy starających się je uspokoić masztalerzy.

Po przylocie z Giedi Prime z portu kosmicznego zabrał barona i jego mentata, Pitera de Vriesa, poobijany otwarty pojazd naziemny. Kudłaty kierowca o szerokich barach i długim wąsie oznajmił, że wicehrabia Moritani spotka się tu z nimi, ale nie powiedział kiedy. Przywódca rodu Harkonnenów postawił kołnierz płaszcza. Powietrze wydawało się pełne kurzu, gorsze niż na Arrakis. Vladimir Harkonnen nie przywykł na kogokolwiek czekać.

Piter miał minę, jakby był w jego imieniu oburzony.

— Baronie, to jest grummańskie g u m n o — powiedział. — Niezbyt odpowiednie miejsce na spotkanie, jeśli wicehrabia chce wyrzucić na tobie wrazenie.

Vladimir spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

— Użyj swoich umiejętności dedukcji, mentacie — rzekł. — Hundro Moritani kocha swoje pieczołowicie hodowane ogiery. Prawdopodobnie uważa, że wyświadcza mi zaszczyt.

Słyszał, że te wspaniałe konie są wielkie i niebezpieczne. Na pewno powstała wokół nich spora wrzawa.

Podczas schodzenia z orbity pilot wskazał ogrodzone murami miasto, Ritkę, leżące na skraju wyschniętego morza i przytulone do niskiego łańcucha górskiego. Większość ludności Grummana stanowili nomadzi przemierzający surowy krajobraz, by z resztek zasobów naturalnych zdobyć środki zapewniające przeżycie. Mieszkańcy Ritki zależeli prawie całkowicie od dostaw z innych planet.

Ziemia pod wyschniętym morzem i otaczającymi je równinami zryta była łączącymi się ze sobą tunelami i szybami wywierconymi przez grummańskich górników, którzy drążyli ją jak termyty, zgarniając każdą drobinę nadających się do użytku minerałów. Baron denerwował się, że cała ta równina może się zapaść pod ciężarem lądującego obok Ritki statku kosmicznego.

Ród Moritanich był zdesperowany, i nie bez powodu. Baron bardzo chciał usłyszeć, co ma mu do zaproponowania wicehrabia... Szczerze by się ucieszył, gdyby udało mu się wykorzystać zadawnioną nienawiść Grummańczyków do Ekazów i sprowadzić nieszczęście na ród Atrydów. Nie podobało mu się jednak, że musi tak długo czekać.

Jego wzrok przyciągnęło coś, co pojawiło się w oddali na niebie — maszyna powoli lecąca tuż nad wzgórzami. Po chwili usłyszał stałe, stłumione buczenie silników. Na metalicznym pasie zwisało z niej duże, ciężkie stworzenie o długich nogach, czarnej skórze, powiewającej grzywie i z młóącym powietrze ogonem. Czyżby był to jeden z tych monstrualnych koni?

Niskolot zawisł nad lądowiskiem nieopodal jurt i namiotów i opuścił czarne zwierzę na ziemię. Baron widział wystające z łba ogiera złowrogie kolce. Mężczyźni na szybkocyklach okrążyli stworzenie i wystrzelili w jego stronę jaskrawożółte strumienie energii, które je spętały. Wstęgi tarczowe, uświadomił sobie baron; słyszał o nich. Odczepiwszy uprzęż, stajenni odesłali linę w górę. Kiedy się uwijali, baron rozpoznał w jednym z nich grummańskiego mistrza miecza, Hiiha Resslera. Wyglądało na to, że rudzielec

jest wszechstronnie utalentowany. Nieopodal wylądował stałopłat i wyłonił się z niego zarumieniony i uśmiechnięty Moritani.

— Chodź, Piter, przywitajmy się z naszym gospodarzem — powiedział baron. Podtrzymywany przez pas dry łowy, ruszył wielkimi krokami w stronę lądowiska, trzymając się z dala od wierzgającego zwierzęcia i stajennych, którzy zmagali się z nim, usiłując zaciągnąć je do zagrody.

Wicehrabia Moritani zszedł po schodkach niskolotu. Miał na sobie kamizelkę z brązowej skóry, spiczastą czapkę i błyszczące buty do jazdy konnej.

— Ufam, że podobał ci się ten pokaz, Vladimirze! — powiedział. — Powinieneś zobaczyć, co potrafią moje ogiery w krwawym turnieju.

— Może później... po omówieniu naszych interesów — rzekł baron. — Dostyc długo tutaj czekałem.

— Przyjmij moje przeprosiny. W stepie wypatrzone cennego dzikiego rumaka. Zmusił nas do długiej pogoni, ale w końcu złapaliśmy go. To bardzo wartościowy rozplodowiec, czystej krwi genga... koni naszej rasy nie ma w żadnym innym miejscu w galaktyce. To jedna z niewielu przynoszących zyski rzeczy, jakie zostały na Grummanie.

Zanim mężczyznom udało się zapędzić ogromnego konia do boksu, uwolnił się z krępujących go wstęg tarczowych i z dzikim wzrokiem zaszarżował na barona i wicehrabiego. Dwaj szlachcice rzucili się ku wątpliwemu schronieniu, które dawał niskolot. Wzmocniony pasem dryfowym baron pierwszy dopadł schodków. Dzikie ogier wskoczył w wąskie metalowe przejście, akurat kiedy wicehrabia starał się wyminąć barona, i obaj wpadli na siebie.

— Piter, powstrzymaj tę bestię! — krzyknął baron.

Mentat nie bardzo wiedział, co zrobić z rżącym kolcogłowym koniem.

Podjechali stajenni na szybko cyklach i rzucili wstęgi tarczowe, ale chybili. Stojąc samotnie, bez ruchu, mistrz miecza Resser wystrzelił serię strzałek oszałamiających do pędzącego teraz na niego ogiera, ten zaś w końcu zwałił się z głuchym łomotem na ziemię.

Baron otrzepał się i próbował odzyskać opanowanie, kierując swoją złość na Pitera de Vriesa. Wicehrabia Moritani ryknął śmiechem.

— Gengi to najbardziej ogniste konie w Imperium! Każdy jest wielki i szybki, a to śmiercionośne połączenie, dzięki któremu może pokonać najpotężniejszego saluskiego byka.

Gdy oszołomionego konia bezpiecznie odciągnięto, do wicehrabiego podszedł pospiesznie współpracownik z prognozą pogody. Zmarszczywszy brwi, Moritani odwrócił się do barona.

— Zamierzałem urządzić dla ciebie pokaz koni, ale niestety nasze metody kontrolowania pogody są w powijakach w porównaniu z tymi, których używa się na innych światach — oznajmił. Nad górami zaczęły się zbierać czarne chmury. — Będziemy musieli się udać do mojej fortecy w Ritce.

— To niedobrze — rzekł baron, ale wcale tak nie myślał.

ARCHITEKTURA CIEMNEJ i zakurzonej fortecy wicehrabiego sprawiała, że wyglądała ona jak namiot z kamieni, z sufitami z ułożonych ukośnie płyt. Kiedy szlachcice usiedli przy stole z ciemnego, pokrytego ze starości plamami drewna, baron wyciągnął rękę do Pitera. Mentat podał mu pokazną paczkę, którą Harkonnen wręczył Hundro Moritaniemu.

— Przywożę podarunek dla twojego syna, melanz nasycony semutą. Może mu pomóc — powiedział. Z tego, co widział, Wolframowi i tak zostało już niewiele życia.

Piter de Vries wysunął się do przodu, by wyjaśnić.

— Jak się zdaje, połączenie tych narkotyków ma taki sam euforyczny skutek jak semuta, ale bez tej irytującej muzyki.

— Miły gest, biorąc pod uwagę, jak trudno jest teraz, odkąd Armand Ekaz wstrzymał eksport towarów ze swojej planety, zdobyć semutę nawet na czarnym rynku — rzekł wicehrabia, kiwając ze smutkiem głową. A potem, z pociemniałą twarzą i coraz bardziej ochryplym od wzrastającej złości głosem, wicehrabia zaczął przedstawić swoją propozycję. Nie kazał nawet podać nic do picia, co skłoniło barona do refleksji, że do fortecy w Ritce przybywa niewielu szlachetnie urodzonych gości.

— Vladimir, możemy sobie nawzajem pomóc. Ty nienawidzisz Atrydów, a ja Ekazów. Mam sposób na rozwiązanie obu tych problemów.

— Już podoba mi się twój styl myślenia — odparł baron. — Co proponujesz?

— Wiadomość jest świeża, ale sprawdzona. Książę Leto Atryda zamierza poślubić Ilesę Ekaz, łącząc oba rody. Ceremonia ma się odbyć za sześć tygodni na zamku kaladańskim.

— Moi szpiedzy już mi o tym donieśli. Jak ma to nam pomóc? Po ostatnim spektaklu Szaddama nużą mnie wesela. Zresztą i tak żaden z nas nie może się spodziewać zaprosin na te zaślubiny.

— Co nie znaczy, że nie możemy przesłać specjalnego podarunku, czegoś, dzięki czemu ta uroczystość zapadnie wszystkim w pamięć. Mamy broń jądrową. — Wicehrabia uniósł krzaczaste brwi. — Przypuszczam, że ty też.

Baron odsunął się spłoszony.

— Broń jądrowa jest zakazana najsurowszymi z możliwych zapisami Wielkiej Konwencji — powiedział. — Każde jej użycie przez jeden ród przeciwko drugiemu to podstawa do natychmiastowej zagłady tego rodu...

— Dobrze o tym wiem, baronie — przerwał mu Moritani. — I jeśli mam choćby odrobinę nadziei, że Ekaz stanie się moim nowym lennem, to przecież nie chciałbym zamieniać go w zwęgloną kulę, prawda? Wspomniałem o tym tylko mimochodem.

„*Jaki przywódca wspomniałby w taki sposób o broni jądrowej?* — pomyślał baron. — *Mimochodem?*”

Chociaż otwarta wojna, z udziałem dużych sił wojskowych i bitwami na skalę planetarną, była w tych czasach prawie nie do pomyślenia, reguły konfliktu między rodami zasiadającymi w Landsraadzie nadal dopuszczały w konkretnych okolicznościach próby zabójstwa.

Ta kontrolowana agresja pozwalała władcom ukazać swoje ciemne strony bez ryzykowania życia całych populacji. Kompromis ów, pod ochroną Wielkiej Konwencji, utrzymywał się od dziesięciu tysięcy lat.

— Ach, Vladimir... możemy wysłać Atrydom i Ekazom zupełnie inne przesłanie, dużo bardziej osobiste. Chcę, żeby arcyksiążę Ap mand wiedział, że to ja jestem napastnikiem.

Baron zwęził oczy.

— Ja natomiast wolałbym, żeby jakikolwiek udział w tym Harkonnenów pozostał tajemnicą. — Nie miał czasu ani cierpliwości wszczynać teraz wojny asasynów. — Możesz przypisać to wszystko sobie, drogi wicehrabio.

— A zatem doskonale się zgadzamy — podsumował Moritani.



Po powrocie na Kaladan młody Paul zamknął się w sobie. Po tym, co zobaczył i czego się dowiedział w pałacu arcyksięcia, miał wiele pytań, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi w księgofilmach.

Zszedł do portu, minął stragany sprzedawców ryb i ruszył na cypel. Szukając pociechy, a przynajmniej sensownych odpowiedzi, zatrzymał się przy ogromnych posągach Paulusa Atrydy i Victora, pierworodne\* go syna księcia Leto. „*Mój brat*” — pomyślał w przyływie smutku. Popatrzył na rzeźby. Znając rzeczywisty wygląd obu, wiedział, że te przedstawienia są wierne, chociaż nieco wyidealizowane. Leto wznosił posągi u wejścia do portu, by widać je było ze wszystkich statków i łodzi wpływających i wypływających z Kali.

Śmierć ich obu położyła się cieniem na życiu Leto, a Jessika zaszła w ciążę w okresie jego największego przygnębienia po zgonie Vicuwa. Paul uświadomił sobie, że w pewnym sensie zawdzięcza istnienie tej tragedii...

Zobaczył matkę wchodzącą po czarnych skalnych stopniach. Niebawem stanęła obok niego na esplanadzie u podnóża posągów. Słony wietrzyk zwiewał jej brązowe włosy na twarz.

— Pomyślałam, że możesz tutaj być, Paul — powiedziała. — Czasami sama tutaj przychodzę, żeby się uporać z dręczącymi mnie pyta\* niami.

Spojrzał na kamienne figury, na płonące przed nimi znicze.

— Czy kiedykolwiek odpowiadają na nie? — zapytał.

— Nie. Odpowiedzi musimy znaleźć w sobie. — Uśmiechnęła się do niego. — Chyba że wolałbyś porozmawiać ze mną.

— Czy nadal będę jego dziedzicem, kiedy mój ojciec ożeni się z Ilesą Ekaz? — wypalił bez zastanowienia. — Jaka jest moja pozycja w rodzie Atrydów?

— Leto wyznaczył cię, Paul — odparła Jessika. — Jesteś jego synem.

— Wiem, ale jeśli będzie miał dziecko z Ilesą, prawowitą żoną, to czy dziedzicem nie stanie się zamiast mnie ten chłopiec?

— Masz dynastyczne marzenia, Paul? — zapytała cicho Jessika. — Chcesz być księciem?

— Thufir mówi, że ten, kto chce być księciem, nie będzie dobrym władcą.

— To ironia realiów politycznych. Ojciec przyrzekł, że ani twoja, ani moja pozycja się nie zmieni. Zaufaj mu.

— Jak on może to przyrzekać? Nie składał obietnic również arcyksięciu Ekazowi?

— Twój ojciec złożył wiele obietnic. Zrównoważenie i dotrzymanie ich to dla niego wyzwanie... Wiesz, że będzie się starał. Jego największym majątkiem jest honor.

— Uważasz, że ojciec zdradza cię lub nas, żeniąc się z inną kobietą? — Paul uważnie przyglądał się twarzy matki. Widział subtelne oznaki zakłopotania i mieszanych uczuć, kiedy jej wyćwiczony przez Bene Gesserit umysł starał się pogodzić ze smutną rzeczywistością. Bez względu jednak na to, jak bardzo próbowała wmówić sobie, że to konieczne, była też kobietą, człowiekiem. Miała uczucia.

— W podobnych okolicznościach przyszło mi zaakceptować Kaileę Vernius — powiedziała. — Znałam swoje miejsce i Leto o tym wiedział.

— Ale Kailea nie pogodziła się z tym. Wiem, co się stało.

— Podobnie jak twoja babka Helena. Twój ojciec wie, że stąpa po grząskim gruncie, ale nie będę próbowała wyperswadować mu tego. — Odwróciła się od posągów i zaskoczyła Paula, mocno go obejmując. W jej oczach pojawiły się łzy, lecz wytarła je. — Zawsze pamiętaj o jed\* nym, Paul — powiedziała. — Ojciec cię kocha, naprawdę.

Owszem, wiedział o tym. Wykraczało to poza politykę i logikę.

— Nigdy o tym nie zapomnę — rzekł.

Minął miesiąc. Zbliżał się dzień ślubu. Paul robił, co mógł, by skupiać się na licznych obowiązkach spoczywających na nim jako na synu księcia.

Codziennie trenował z Thufirem Hawatem. Zbrojmistrz stopniowo nastawiał ćwiczebnego meka na coraz wyższe poziomy umiejętności, jakby chciał w ten sposób wyrazić swoją złość. Ten mentat weteran

służył rodowi Atrydów od pokoleń; widział legendarne walki starego Paulusa i Heleny i obserwował, jak wali się w gruzy związek Leto i Kailei, ale pełniąc na dworze funkcję mistrza asasynów, przymykał oczy na sprawy osobiste, jeśli tylko nie zagrażały bezpieczeństwu księcia.

Paul walczył z mekiem. Zrobił unik przed jego tnącymi metalowymi ramionami i sparował cios krótkim mieczem. Bezmyślne, reagujące tylko na ruchy urządzenie wytwarzało własną tarczę, więc mógł ćwiczyć powolne ciosy nożem, dostosowując ich szybkość tak, by ostrze przechodziło przez nią. Po każdym wyczerpującym treningu Thufir odtwarzał zarejestrowane kamerą holograficzną ruchy Paula, by skrytykować niedociągnięcia i ocenić zalety i wady młodzieńca.

Zgodnie z tym, czego nauczyła go matka, Paul poszufladkował myśli, by móc prowadzić rozmowę, a jednocześnie wykorzystywać maksymalnie umiejętności walki. Zwyczaj ten zawsze zdumiewał jego nauczycieli; tym razem zrobił to tylko po to, by zobaczyć, jakie wrażenie wywrze na starym mentacie.

— Opowiedz mi, jak zginął mój dziadek, Thufir — poprosił.

— W walce z bykiem. Zabił go saluski byk.

Paul wykonał cięcie i unik. Jedna z kończyn meka zbliżyła się bardzo do jego lewego ramienia, omal go nie raniąc.

— Byłby z ciebie marny bard — powiedział. — Brakuje ci umiejętności snucia opowieści.

Thufir dalej go obserwował i w końcu powiedział więcej.

— Stary Książę Paulus zginął w wyniku zdrady, a twoja babka musiała przywdziać habit Sióstr w Odosobnieniu.

W umyśle Paula połączyły się elementy układanki. Nigdy nie zadał sobie trudu porównania dat. Według opowieści i plotek krążących w kaladańskim zamku lady Helena zamknęła się w warownym klasztorze z czystego smutku. To była nowa, wstrząsająca informacja.

— To ona uknuła spisek? — zapytał.

— Nie mnie o tym mówić... ale pozostaje na wygnaniu — odparł Thufir. — Duncan był w owym czasie zwykłym chłopcem stajennym. Przez pewien czas nawet on był zamieszany w ten spisek.

— D u n c a n? — Paul o włos uniknął ciosu meka i zszedł mu z dn> gi, pozwalając, by ramię maszyny spadło na tarczę. — Duncan zamieszany w śmierć mojego dziadka? Ależ on nosi miecz Starego Księcia.

— Został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. — Thufir zakończył trening i wyłączył meka. — Dość tego, skoro upierasz się przy paplaniu. Możesz udawać, że robisz równocześnie jedno i drugie, ale widziałem twoje błędy, które mogłyby się zakończyć fatalnie, gdyby nie moja obecność. Starannie je przeanalizujemy, paniczu. Na razie umyj się, przebierz i przygotuj do przyjęcia naszych gości. Dziś po południu przybędą pierwsi weselnicy.



Kilka tygodni po odlocie barona Harkonnena z Grummana, gdzie zaczęto nadawać bieg planom, wicehrabia stracił wszelkie powody do powściągnięcia wściekłości.

Hiih Resser stał z tuzinem członków dworu Moritanich, ściśniętych ramię przy ramieniu, w pokoju umierającego chłopca.

— Lekarze Akademii Suka mówią, że mój syn wyda wkrótce ostatnie tchnienie — rzekł do nich wicehrabia głosem przypominającym dźwięk rozrywanego papieru. — To już kwestia dni, może godzin. Gdybyśmy mieli lek, który przywróciłby mu zdrowie — zakończył urywanym szeptem, który wbił ostrze smutku w serce Resslera.

„Gdybyśmy mieli” — pomyślał mistrz miecza.

Na łóżku, cuchnąc melanzem i dymem semuty, przy dźwiękach zawodzącej, atonalnej muzyki, stale mu towarzyszącej bez względu na to, czy trans, w który go wprowadzała, był konieczny, leżał Wolfram, nie słysząc zrozpaczonego ojca.

Niektórzy obecni cicho szlochali, ale Resser nie był w stanie osądzić, czy ich łzy są szczerze. Przyglądając się temu, był przekonany, że ten niezdamny pokaz jest w dużej mierze podyktowany chęcią zaskarżenia sobie życzliwości władcy Grummana.

Zaabsorbowany swoją pracą, doktor Terbali podkreślił kroplówki Wolframa, natomiast po drugiej stronie łóżka wicehrabia pochylił się z rozczochranymi włosami nad synem, pocałował jego zapadnięty policzek i przemówił do niego cicho.

Nieszczęsny chłopiec nie odpowiedział. Patrzył pustym wzrokiem w sufit, jedynie od czasu do czasu mrugając przekrwionymi oczami.

Zmarł tak spokojnie, że nawet Moritani, chociaż trzymał bezwładną rękę syna, dopiero po paru sekundach zorientował się, że chłopiec nie żyje. Z jego piersi wydobył się w spóźnionej reakcji zwierzęcy głos, który był w połowie zawodzeniem, a w połowie rykiem.

Doktor Terbali sprawdził oznaki śmierci i wyprostował się.

— Przykro mi, mój panie — powiedział.

Hundro Moritani zrzucił machnięciem ręki tacę z instrumentami medycznymi, te zaś posypały się z brzękiem na podłogę. Ukrył twarz w dłoniach i szlochał.

Wicehrabia był twardym, okrutnym człowiekiem, łatwo ulegającym żywiołowym emocjom i skorym do gwałtownych reakcji. Resser nieraz widział, jak jego pan nagina zasady moralne, by osiągnąć swoje cele, stwarzając przy tym fałszywe pozory dla swoich motywów. To jednak nie był udawany żal. Rzeczywiście cierpiał z powodu śmierci jedyne syna.

W oczach Moritaniego zapłonęły jasno jak gwiazdy płomienie wściekłości. Resser był przerażony i zastanawiał się, czy śmierć Wolframa nie stanie się katalizatorem wyzwalamym burzę, którą wicehrabia tak długo powściągał. Przywódca Grummana przejdzie nad grobem syna, by dostać to, czego chciał dla swego rodu. Skoro Wolfram odszedł, wicehrabia zdobędzie poparcie, by zagarnąć dla siebie Ekaza, i postara się o nowego potomka płci męskiej. A może ma jeszcze bardziej dalekosiężny plan? I czy to tylko zemsta?

„Nie mnie szukać odpowiedzi na to pytanie — pomyślał Resser. — Moją rolą jest słuchać rozkazów mego pana i oddać za niego życie, jeśli będzie to konieczne”.

Wicehrabia, którego emocje zmieniły się w mgnieniu oka, zwrócił się przeciwko lekarzowi Akademii Suka. Ze łzami ciekącymi po policzkach ruszył jak burza wokół łóżka zmarłego.

— Znałeś lek dla Wolframa! — krzyknął. — Rozkazałem ci go zdobyć!

— To nie było możliwe, panie! Ekazanie...

Moritani cisnął korpulentnym lekarzem w stłoczonych i mamroczących coś widzów, ale nie skończył na tym. Wyciągnawszy spod podbitej futrem kamizelki cienki, zakrzywiony handżar, podszedł sztywnym krokiem do Terbalego. Pozostali zaczęli się cofać, nie n> biąc nic, by pomóc ofierze wściekłości wicehrabiego.

— Jestem lekarzem Suka... mam immunitet!

Z wykrzywioną odrazą twarzą Moritani wbił i szybko wyciągnął, niczym wąż zęby, sztylet w pierś doktora, po czym odsunął śmiertelnie rannego na bok, jakby był on odwracającym jego uwagę przedmiotem.

— Więc się ulecz — powiedział.

Starając się ukoić smutek agresją, ruszył z zakrwawionym handżarem ku drzwiom komnaty, w której zmarł jego syn. Zareagował tak samo, jak wcześniej na wiele problemów. Resser już to widział.

— Gdzie pozostali? Sprowadźcie mi przemytników... co do jednego! — Odwrócił się do Ressera. — Mistrzu miecza, znajdź ich.

— Tak, panie.

W ciągu godziny przyprowadzono przed oblicze rozwścieczonego, zrozpaczonego wicehrabiego jedenastu przemytników leków z Ekaza. Hundro Moritani zapłacił im, by złamali embargo wprowadzone przez arcyksięcia i bez względu na koszt, uzyskali *esoit-poay*. Po kilku nieudanych próbach zdobycia go nielegalnymi kanałami starali się ukraść ładunek leku, ale zawsze wracali z pustymi rękami.

Jednego po drugim przywiązano ich linami za kostki do grummańskich ogierów, te zaś ciągnęły ich po wyschniętym, skalistym dnie morza, dopóki nie wyzionęli ducha.

— Nie mogę znieść widoku Ekazów! — warknął Moritani po makabrycznym widowisku do Ressera, patrząc na zakrwawione ciała. — Usuń te trupy sprzed moich oczu i spal je.

Resser zrobił, co mu kazano, przypuszczając, że wicehrabia dopiero zaczyna.

Chociaż ślub księcia Leto nie mógł się w żaden sposób równać z niedawnym widowiskiem urządzonym przez Szaddama, wiadomo było, że z różnych zakątków Imperium przybędą nań reprezentowane w Landsraadzie rodziny, które chciały okazać szacunek domom Atrydów i Ekazów.

Na dwa tygodnie przed wyznaczoną datą ceremonii w porcie kosmicznym wylądowały trzy duże lichtugi z księciem Armandem Ekazem i jego świtą. Na powitanie wyjechał Duncan Idaho i zawiózł ich do zamku w sunących wolno wśród tłumów pojazdach naziemnych. Za nimi podążały platformy towarowe z bagażami i zapasami.

Paul czekał w zamku, nadal niepewny, jaka jest jego rola w tych wydarzeniach. Miejsce, które uważał za solidną skalistą wyspę na morzu galaktycznej polityki, okazało się zmienną piaszczystą łachą. Nigdzie nie mógł znaleźć matki, która postanowiła usunąć się w cień i zająć obowiązkami domowymi.

W pierwszej grupie przybyszów byli arcyksiążę i jego córka Ilesa oraz towarzyszący im mistrzowie miecza Rivvy Dinari i Whitmore Bludd. Paul patrzył na nich z okna wieży, szczególnie ciekaw przyszłej panny młodej. Ilesa była piękna, choć odznaczała się inną urodą niż lady Jessika. Chłopak zastanowił się nad niechęcią, którą od razu poczuł do tej młodej kobiety, i doszedł do wniosku, że byłoby niesprawiedliwie nie lubić jej tylko za to, że nagle miała wejść do rodziny. W końcu ona też była pionkiem w tej dynastycznej grze.

Księżę Leto wyjaśnił mu, że to polityczna konieczność, w pełni zdając sobie sprawę, że pewnego dnia Paul sam może się znaleźć — i prawdopodobnie się znajdzie — w podobnej sytuacji.

— To brzemię szlachcica — powiedział — wystarczająco ciężkie, by złamać kręgosłup mężczyźnie i serce kobiecie.

Paul poszedł do głównej sali, w której ojciec witał Armanda Ekaza. Ogromny Riwy Dinari stał na baczność, udając, że trzyma straż, natomiast Whitmore a Bludda najwyraźniej dużo bardziej interesowała rozmowa z szambelanem Atrydów o przydziale pokoi.

Księżę Prad Vidal przysłał cały transport ogromnych roślin w donicach — mieniących się tęczowymi barwami paproci, lilii o kwiatach jak trąbki i kolczastych zimozielonych drzew elakkańskich. Donice były kunsztownej roboty, zdobione mozaikowym wzorem z szerokich sześciokątnych płytek. Przez chwilę sytuacja była niezręczna, gdyż Thufir Hawat uparł się, że trzeba zbadać te rośliny, by się przekonać, czy nie są trujące. Niektórzy członkowie ekaskiej świty poczuli się urażeni, ale arcyksiążę rozkazał, by pozwolili na dokonanie najbardziej nawet drobiazgowej inspekcji.

— Nie podejmiemy żadnego ryzyka — powiedział.

Paul spostrzegł, że księżę Leto przygląda się Ilesie stojącej obok swego ojca.

— Te rośliny są bardzo odpowiednim prezentem ślubnym — rzekł Leto. — Ustawcie je w wielkim holu, żeby były fragmentem Ekaza na Kaladanie. Dopóki będzie tutaj mieszkała Ilesa, będą jej przypominały o ojczyźnie.

Mistrz miecza Bludd pokierował rozmieszczeniem donic, po czym zajął się innymi przygotowaniami do spektakularnego ślubu, a księżę Leto miał wreszcie czas poznać przyszłą żonę.

FALE KALADAŃSKIEGO MORZA szumiały, ocierając się o łódź, kiedy Leto wypłynął z portu i pożeglował wzdłuż wybrzeża, mając cały czas w zasięgu wzroku zasnutą mgłą plażę i skały. Satelity pogodowe zapowiadały na najbliższe dwa dni znakomite warunki, więc bez problemu sam zastępował załogę. Na jego prośbę towarzyszyła mu Ilesa, jakby ta wycieczka była jakąś formą dyplomatycznego spotkania.

— Nigdy jeszcze nie płynęłam łodzią — powiedziała. Odchyliła się do tyłu i zaczerpnęła haust wilgotnego powietrza. Zamiast patrzeć na poszarpaną linię brzegową, spoglądała na fale, które ciągnęły się aż po kraniec tego świata.

— Na Kaladanie od urodzenia obcujemy z wodą — rzekł Leto. — Każdy uczy się pływać, żeglować, oceniać czas przyływu i obserwować morze.

— Wobec tego ja też muszę osiąść te umiejętności, skoro ma to być moja nowa ojczyzna.

Przez zalegającą nisko mgłę przebiło się słońce, nadając niebu niezwykłą, intensywnie niebieską barwę. Jasne światło załało twarz Ilesy, a kobieta zamknęła swe ciemnobrązowe oczy. Leto przyglądał się jej. Czarnowłosa, skromna, z niepewnym śmiechem, bardzo różniła się od Jessiki, a nawet od Kailei.

Przechyliła się przez reling i spojrzała na dziób łodzi, na którym wymalowane było imię VICTOR.

— Leto, opowiedz mi o swoim synu — poprosiła.

— Paul jest wspaniałym młodzieńcem — powiedział. — Inteligentnym i dzielnym. Jestem z niego bardzo dumny. Poznałaś go, możesz więc sama ocenić jego możliwości.

— A Victor, jeśli nie masz nic przeciwko temu, by o nim porozmawiać? — zapytała. — Wiem tylko tyle, że umarł w dzieciństwie.

— Był niewinną ofiarą zamachu na moje życie. — Głos księcia stwardniał. — Victor... Rhombur... ofiary zazdrości i złości Kailei.

Ilesa uniosła brwi.

— A więc nie były to rozgrywki polityczne?

— To byłoby mi łatwiej znieść — odparł. — Nie, to była sprawa osobista. Kailea wraz z kapitanem straży, którego uważałem za wiernego sługę, umieściła bombę w procesyjnym statku powietrznym, ale zamiast mnie jej wybuch zabił naszego syna. — Głos mu się załamał. — N a s z e g o s y n a! I okaleczył brata Kailei, Rhombura, tymczasem ja wyszedłem z zamachu bez szwanku.

Ilesa patrzyła na niego z przejęciem. Łódź płynęła dalej, kołysząc się łagodnie.

— Co się stało z Kaileą i tym kapitanem? Myślę, że mój ojciec urządziłby im publiczną egzekucję... Może kazałby ich rozciągnąć na szybko rosnących pędach birabu, żeby wbiły im się w ciało. — Nawet się nie wzdrygnęła, mówiąc o takiej strasznej karze.

— Kailea rzuciła się z wysokiej wieży. A co do Goire'a... zemściłem się na nim srożej, niż gdybym nakazał go stracić. Pozwoliłem mu żyć. Zesłałem go na wygnanie, żeby przez resztę swoich dni rozpamiętywał tę zbrodnię.

Długą chwilę milczeli. Ilesa nadal patrzyła na tale.

— Oboje mamy blizny, Leto — powiedziała w końcu. — Wiem, że masz w sercu głęboką ranę, i myślę, że zdajesz sobie sprawę, że ja też. Czy jesteśmy na tyle dzielni, by wykorzystać te tragedie z przeszłości do tego, żeby stać się silniejsi... czy też powinniśmy się poddać i żyć z urazami psychicznymi?

Leto zastanawiał się przez moment.

— Nie łączy nas głupi romans, Ileso — odparł w końcu. — Oboje wiemy, dlaczego mamy wziąć ślub. Może nie tego oczekiwałaś od życia.

— Przeciwnie, Leto: dokładnie tego oczekiwałam. Tak zostałam wychowana. Odkąd Grummańczycy zabili Sanyę, jestem najstarszą córką arcyksięcia Ekaza. Zawsze byłam imieniem przypisanym do posagu. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że zakocham się w jakimś dzielnym mężczyźnie, a potem — jak w bajce — będziemy żyli długo i szczęśliwie. Jestem całkiem zadowolona z mojego położenia.

Leto doszedł do pewnego wniosku, wiedząc, że będzie to trudne, ale zdając sobie również sprawę, że to najlepsze wyjście. Miał nadzieję, że z czasem Ilesa może się stać kimś więcej — i kimś znośniejszym — niż tylko partnerką polityczną, co zalecałby książę Paulus.

— Chcę, żebyś polubiła Jessikę i Paula — powiedział. — I chcę, żeby oni polubili ciebie. Twoim zadaniem jest postarać się, żeby tak się stało, Ileso. Możesz to zrobić?

— Stanie się, jak każe mój książęcy małżonek — odparła.

*Do Imperatora Szaddama: Przyjmij, Panie, ten dar rodu Harkonnenów z okazji Twojego ślubu z lady Firenzą Thorvald. Ów naturalnej wielkości, wykonany z melanzu posąg lwa z Harmonthepa symbolizuje nie tylko lwa rodu Corrinów, ale również trwale bogactwo samej przyprawy z Arrakis, którą Twój ojciec tak wspaniałomyślnie dał nam w lenno. Niezmiennie jesteście Twoimi pokornymi sługami.*

— baron Vladimir Harkonnen

— Imperator zabiera tak dużą część naszej przyprawy, że puści nas z torbami. — Baron pociągnął nosem i omal nie kichnął z powodu przekłętego, wszechobecnego na Arrakis kurzu. — Za piekło, które ród Harkonnenów musi znosić na tej okropnej planecie, powinniśmy zatrzymywać dla siebie dużo więcej.

— I od dzisiaj będziemy, baronie. — Piter de Vries, zadowolony z siebie, spojrzął na niego z uśmiechem. — Pod samym nosem inspektorów KHOAM.

Przed dwunastu laty, kiedy oskarżono Harkonnenów o rozrzędzanie melanzu i fałszowanie przesyłanych Imperium danych o jego wydobywaniu, rejestry barona przestudiowała armia audytorów i księgowych mentatów, ale nie znalazła znaczących nieprawidłowości. Przez pewien czas Vladimir trzymał się z dala od kłopotów, ale nieustannie szukał metod sekretnej gromadzenia przyprawy. W końcu de Vries wpadł na znakomity pomysł ukrywania nadwyżek przyprawy na oczach wszystkich, a teraz wprowadzał go w życie.

Skład przyprawy na obrzeżach Kartagin był dobrze strzeżony przez żołnierzy Harkonnenów i skanery. Dziesięć olbrzymich silosów piekło się w promieniach popołudniowego słońca. Czarne ornitoptery szturmowe patrolowały ten obszar, stale wypatrując bremeńskich złodziei, którzy mogli się czaić w piaskach i czekać na sposobność do napadu na zapasy Harkonnenów.

Baron i de Vries wjechali windą umieszczoną na zewnętrznej ścianie największego z nowych silosów. Kabina zatrzymała się i baron wyszedł na platformę na szczycie zbiornika, skąd mógł przeprowadzić oględziny całego terenu. W silosach złożone były zapasy melanzu, które miał obowiązek przechowywać, by zapewnić regularne dostawy do Landsraadu, Gildii i KHOAM, oraz strategiczne rezerwy gwarantujące, że Imperator dostanie swój udział.

— Wszystkie te silosy zbudowane są z tego nowego materiału? — zapytał baron.

De Vries wytarł dłonią poplamioną na czerwono usta.

— Zbiorniki zostały przebudowane co do jednego — powiedział z wyraźną dumą — włącznie z platformą, na której stoimy, i otaczającą ją barierką, z nasączonych melanzem polimerów. W ich konstrukcji ukryte są całe tony nieujętej w wykazach przyprawy. A ponieważ w silosach znajduje się pozyskana legalnie przyprawa, odczyty wskazują wszędzie obecność melanzu. Żadne skanery nie dostrzegą nigdy różnicy. Naturalny jest nawet lekki zapach cynamonu. W końcu to składnica przyprawy. Ukrywamy ją na oczach wszystkich.

Baron przeciągnął pulchną dłoń po barierce i polizał koniuszki palców, ale wyczuł tylko kurz.

— Pomysłowe, to pewne — rzekł. — Ale jak mamy zabrać ten skarb, skoro jest wtopiony w konstrukcję? Jeśli rozbierzemy i usuniemy wszystkie silosy, KHOAM to zauważy.

Piter machnął lekceważąco ręką.

— Mamy mechanizm oddzielania polimerów, panie — odparł. — W każdej chwili możemy wydobyć przyprawę, zastąpić ją obojętnym wypełniaczem, zabrać, dokąd będziemy chcieli, i zgarnąć zyski bez płacenia Imperatorowi niebosiężnych podatków. Możemy ściągnąć kubek albo tonę przyprawy, kiedy nam się tylko spodoba.

Baron, w niezwykłym u niego wesołym nastroju, poklepał mocno po plecach szczupłego mentata. Sięgnął niedbale do kieszeni kurtki i wyjął słodkie ciasteczko z melanzu. Rzucił opakowanie za barierkę i przyglądał się, jak z trzepotem spada, po czym, żując ciasteczko, ruszył do windy.

De Vries poszedł szybko za nim.

— Może powinniśmy trochę więcej porozmawiać o zbliżającym się ślubie Atrydy? — zasugerował. — Od śmierci syna wicehrabia Moritani zrobił się dość porywczy.

Kiedy winda zakończyła bieg, baron pomaszerował do czekającego pojazdu.

— Wyznam, że to mnie niepokoi, Piter — rzekł. — On jest taki... wybuchowy. Nie chcę zbyt mocno wiązać się z rodem Moritanich. To tak, jakby mieć wściekłego psa.

— Masz rację, niepokojąc się jego zachowaniem, panie. — De Vries uśmiechnął się. — Niemniej jednak nie można zaprzeczyć, że jego skłonność do przemocy działa na naszą korzyść. Pozwól, że wyjaśnię...

Baron uniósł rękę, wsiadając do chłodnego pojazdu naziemnego.

— Nie chcę znać szczegółów, Piter. Żadnych. Chcę tylko twojego zapewnienia, że się nie rozczaruję. I że nie zostanę w to wplątany.

— W obu tych sprawach masz moje słowo, baronie. W ramach planu wysłałem naszych agentów, którzy zostali tak przygotowani, by w razie wykrycia wyglądali na Grummańczyków. Niczego nie zostawiamy przypadkowi.

Pojazd popędził w stronę twierdzy Harkonnenów. Baron zjadł drugie ciasteczko przyprawowe. Wycierał lepkie palce w nogawkę zakurzonych spodni.

— Musimy mieć czyste ręce — powiedział. — Nie możemy sobie pozwolić na żaden błąd.

— Nie będzie żadnego błędu, panie. Wicehrabia z radością weźmie odpowiedzialność na siebie. Najwyraźniej upaja się perspektywą rozlewu krwi.

— Tak jak ja, Piter. Ale ja robię to prywatnie.

*Dobrzy przyjaciele skupiają nasze wspomnienia w taki sposób, że nawet bolesne wydarzenia widzimy w pozytywnym świetle.*

— księżę Leto Atryda

Prośba księcia wydawała się zimna i nieczuła, była jak policzek. Chciał, by wzięła Ilesę pod swoje skrzydła, by została towarzyszką tej kobiety i współpracowała ze służbą zamku kaladańskiego i planistami Ekazów w przygotowaniach do ślubu. Jessica musiała przywołać wszystkie nauki wpojone jej podczas szkolenia Bene Gesserit, żeby oficjalnie skinąć głową.

— Tak, Leto — powiedziała. — Jak sobie życzysz.

Pomimo lat ćwiczeń nienawidziła siebie za zranione uczucia. Była przecież konkubina, którą przysłano tu, by została jego nałożnicą, towarem. Zmuszono ją do wyrzeczenia się prawa do ludzkich emocji. Była szczęśliwa, że Leto okazał jej tyle miłości i był jej tak oddany, ale nie powinna oczekiwać, że będzie to trwało wiecznie.

Mimo to ta prawda dotknęła ją do głębi.

Była zbyt inteligentna, by potraktować to jako bezmyślną zniewagę albo rzucone mimochodem słowa. Leto dokładnie wiedział, o co prosi, zastanawiała się więc nad motywami, które kazały mu poprosić ją, by została opiekunką Ilesy.

W końcu udało jej się odsunąć zasłonę emocji i wpuścić światło, w którym dostrzegła, czego naprawdę księżę chciał od niej. Szczerze pragnął, by zaprzyjaźniła się z Ilesą, a jego rozkazy miały zmusić je obie do pogodzenia się z rzeczywistością. Nie zamierzał odsuwać od siebie ani Jessiki, ani Paula, lecz raczej włączyć ich do rodziny. Był to zarazem wyraźny sygnał dla córki Ekaza, że Leto uważa konkubinę za ważną osobę w swoim domu. Będą musiały współpracować, chociaż każda będzie odgrywała inną rolę.

Kiedy Jessica uświadomiła to sobie, wyjaśniła sytuację Paulowi, by pomóc mu zrozumieć jej złożony charakter. W życiu będzie jeszcze potrzebował tej wiedzy.

— Zona i kochanka to dwie różne sprawy — powiedziała. — Najlepiej, jeśli obie te funkcje pełni jedna osoba, ale miłość i polityka różnią się tak jak umysł i serce. Zapamiętaj tę lekcję, Paul. Jako syn księcia możesz pewnego dnia znaleźć się w takiej samej sytuacji.

I tak Jessica i Ilesa spędzały razem całe dni, przygotowując sale i pokoje gościnne zamku kaladańskiego na wesele. Tworzyły plany, przeglądały listy gości, omawiały ustępy z Biblii Protestantcko-Katolickiej i niuanse różnych odmian liturgii ślubnej. Niektóre ceremonie mogły trwać kilka minut, natomiast inne, bardziej tradycyjne, ciągnąć się wiele godzin. Jessica czytała nawet o przypadkach, w których ceremonia ślubna trwała dłużej niż samo małżeństwo. Jessica i Ilesa opracowały wspólnie scenariusz pięknej i złożonej ceremonii.

Wśród służby, która nie mogła się nadziwić, jak dobrze najwyraźniej ze sobą żyją, krążyły na ten temat różne plotki. Początkowo Jessica uważała, że to obowiązek wymaga od niej odgrywania roli osoby chętnej do współpracy, ale pewnego dnia, siedząc przy stole z Ilesą, spojrzała na nią i uświadomiła sobie, że zaczęła o niej myśleć jak o o s o b i e, o kimś, z kim naprawdę mogłaby się zaprzyjaźnić.

Ilesa odpowiedziała jej nieśmiałym uśmiechem.

— Był kiedyś młodzieniec o kędzierzawych, słomkowych włosach i szerokim uśmiechu — rzekła. — A jakie piękne miał ciało! Należał do straży leśnej. Przyglądałam mu się, kiedy trenował na dziedzińcu z mistrzem miecza Dinarim.

— Jak miał na imię? — zapytała Jessica.

— Vaerod. — W sposobie, w jaki wymówiła to imię, skrywała się cała symfonia emocji. — Spacerowaliśmy i gawędziliśmy. Raz nawet się pocałowaliśmy. — Uśmiech zniknął. — Potem ojciec przeniósł go, a ja musiałam wysłuchiwać kazań o moich obowiązkach wobec rodu Ekazów. Śmierć mojej siostry i wuja sprawiła, że zaciął się w sobie. Stałam się nadzieją i przyszłością naszej rodziny. Nie wolno mi było się zakochać ani planować własnego życia.

Podniosła głowę i Jessica pomyślała, że Ilesa wydaje się niewinna, ale jej słowa dowodzą przenikliwego umysłu.

— Jak sądzisz — zapytała księżniczka — dlaczego my, szlacheckie córki, nie możemy brać sobie konkubentów? Skoro wymaga się od nas, byśmy wychodziły za mąż z powodów politycznych, dlaczego nie możemy wybrać sobie kogoś, kogo mogłybyśmy kochać, jak księżę Leto ciebie?

Jessika zastanawiała się, jak odpowiedzieć.

— Czy Leto powiedział ci, że mnie kocha? — rzekła w końcu.

Ilesa tylko prychnęła.

— Każdy głupiec to widzi.

Jessika zamrugwała.

„*Być może nie jestem wystarczająco głupia*” — pomyślała.

— Książę Leto poślubi mnie, bo taka jest polityczna konieczność — ciągnęła Ilesa. — Dzięki temu przymierzu dostanie to, czego pragnie, i nadal będzie miał ciebie. Wiem o tym i godzę się z tym, ale co ze mną? Co z moim Vaerodem?

Przez długi czas Jessika myślała tylko o tym, dlaczego Leto zdecydował się na ten sojusz. Jego zmienny ojciec był stanowczy w jednej sprawie: małżeństwo jest sprawą polityczną. Lady Helena Atryda pogodziła się ze swym losem, choć nie bez goryczy.

— Jedną z pierwszych zasad, których uczy się w szkole Bene Gesserit na Wallachu IX, jest ta, że wszechświat nie jest sprawiedliwy — powiedziała z prawdziwym współczuciem. — Prawie codziennie widzę tego dowody.

Kiedy w porcie kosmicznym wylądowała ixańska fregata z gośćmi z rodu Verniusow, Paul pojechał z Thufirem Hawatem i Gurneyem Halleckiem powitać ich. Obaj wojownicy opowiadali mu dużo o księciu Rhomburze.

Z fregaty wysunęły się schody i wymaszerowali z niej strażnicy, niosąc szkarłatno–miedziane porce ze znakiem helisy. Potem ukazały się trzy postacie, jakby robiły wielkie wejście. Młoda, szczupła kobieta o krótkich brązowych włosach i dużych oczach trzymała za rękę chłopca o miedzianych włosach i kwadratowej twarzy, który sprawiał wrażenie skrupowanego oficjalną ceremonią powitalną. Paul widział u niego wyraźne podobieństwo do matki.

Za nimi wyszedł potężny mężczyzna, którego mechaniczne ruchy cechowała pewna starannie wykalkulowana gracia. Twarz Rhombura pokryta była bliznami i już na pierwszy rzut oka widać było, że ma sztuczną rękę. Przymocowana została polimerowymi wiązkami do ciała tuż obok szyi. Podniósł ją w powitalnym geście, a na jego pokierszowanej twarzy pojawił się szczery uśmiech.

— Gurney Halleck! — wykrzyknął. — Nadal jesteś brzydszy ode mnie! — Zbiegł z łomotem po schodach. — 1 Thufir Hawat... wciąż, jak widzę, dźwigasz na swych barkach brzemię odpowiedzialności za wszechświat.

Podjechał szybki pojazd naziemny, z którego wyskoczył z szerokim uśmiechem książę Leto.

— Rhombur, stary druhu! — zawołał. — Tak się cieszę, że przyleciałeś.

Ixański szlachcic zachichotał.

— Ty też byłeś na moim weselu, Leto — powiedział. — Jak mógłbym nie przylecieć na twoje?

— Nie mógłbym nie być na twoim, Rhombur, skoro odbyło się na zamku kaladańskim.

Zginając, o dziwo, delikatnie palce, Rhombur ujął dłoń stojącej obok niego kobiety.

— Oczywiście pamiętasz Tessję — rzekł.

Leto roześmiał się.

— Jeszcze się całkiem nie zestarzałem — odparł. — A to twój syn? — Wyciągnął rękę do chłopca o miedzianych włosach.

— Tak. Leto, poznaj Bronsa. Nie mógł się doczekać, kiedy opuści ixańskie jaskinie i zobaczy oceany, które tak pokochałem. — Pokierszowany mężczyzna ściszył głos. — I bardzo pragnie poznać Paula. To twój syn?

Paul wysunął się do przodu.

— Miło mi cię poznać, Rhombur — rzekł. — A może powinienem się do ciebie zwracać „książę”?

— Mógłbyś do mnie mówić „ojcze chrzestny”, chłopcze. — Rhombur pchnął syna w stronę Paula. — Zostaniecie wielkimi przyjaciółmi, jak twój ojciec i ja, kiedy byliśmy młodszy.

— Może powinniśmy zrobić wymianę, jak nasi ojcowie — zaproponował Leto. — Wysłać Paula na Ixa, a Bronsa zostawić tutaj, na Kaladanie. To bez wątpienia zmieniło moje życie.

Książę Rhombur wydawał się nieco zakłopotany.

— Ix nie jest już całkiem taki, jak go zapamiętałeś, Leto — powiedział. — Pod rządami mojego ojca był to wspaniały świat, ale tleilaxanska okupacja zraniła naszego ducha i wyrządziła ogromne



szkody. Choć ród Verniusow znowu jest u władzy, niektóre rzeczy nieodwracalnie się zmieniły. Zresztą zawsze byliśmy bardziej ludźmi interesu niż szlachtą, a technokracja jeszcze urosła w siłę. Mam mniejszy wpływ na decyzje niż dawniej.

— Teraz na łxie rządzą arkusze kalkulacyjne i kwoty eksportowe — dodała Tessja, nie wstydząc się mówić za męża. — Zwiększanie produkcji za cenę zmniejszania humanitaryzmu.

W tym momencie z fregaty wyłonił się inny mężczyzna — drobnej postury, szczupły, o ziemistej cerze i z wytatuowanym na czole rombem absolwenta Akademii Suka. Długie włosy ujęte miał w srebrny pierścień. Złożył oficjalny ukłon.

— Przywiozłem wszelki sprzęt medyczny, który może być potrzebny — oznajmił. — Cyborgowe wspomaganie księcia Rhombura działa całkiem dobrze, ale regularnie je sprawdzam.

— Wellingtonie Yueh, zawsze jesteś tu mile widziany — rzekł Leto. — Zawdzięczam ci życie, podobnie jak Rhombur. Gdybym znalazł równie oddanego medyka, zatrzymałbym go na Kaladanie jako osobistego lekarza.

Yueh sprawiał wrażenie zakłopotanego, ale nim zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Tessja.

— Polityka, lekarze, narzekania? — powiedziała. — To tak ród Atrydów przygotowuje się do wesela?

— Tessja ma rację — przyznał Rhombur. — Nie powinniśmy sterczeć w hałasie i upale w porcie kosmicznym. Zabierz nas do zamku. Jestem pewien, że moja żona chce się znowu spotkać z Jessiką, a wszyscy pragniemy zobaczyć twoją narzeczoną.

Na zamku powitała ich Jessika, stojąc u boku Ilesy. Paul podziwiał zachowanie matki. Pomyślał, że jest niezwykle opanowana i elegancka.

Cały frontowy hol i salę audiencyjną udekorowano kaladańskimi proporcami, ozdobnymi wstęgami i dużymi roślinami z Ekaza w donicach. Paul czuł ich zapach. Choć od przywiezienia ich minęło niewiele dni, zaczynały już kwitnąć.

— Obiecujący początek. — Rhombur pogładził rośliny sztuczną ręką. — Spójrzcie na te pączki!

— Ślubny prezent od księcia Prada Vidala — wyjaśnił Leto. — Sądzę, że Ilesa jest zachwycona.

— Powinna być zachwycona tym, że wychodzi za ciebie, Leto — rzekł Rhombur. Zerknął na Jessikę i wydawało się, że się speszył. — Wszystko będzie dobrze — powiedział. — Leto, wydaje się, że ty zawsze potrafisz załatwić wszystko tak, jak trzeba.



*Czy to możliwe, by silni i potężni byli tak szczęśliwi jak prosty lud? Ryc może tak, ale jest to niezwykle trudne.*

— następca tronu Raphael Corrino, *Medytacje*

W dniu wesela zamek kaladański wyglądał magicznie. We wstęgach w symbolicznym splocie łączyły się barwy Atrydów i Ekazów. W holu odbijały się od siebie wysadzane szlachetnymi kamieniami zwierciadła z Richese. Na stole przed każdym krzesłem pyszniły się kryształowe puchary z Baluta, czekając na wspaniałą ucztę po ceremonii zaślubin. Co godzina ixanskie zegary biły melodyjne kuranty. Stoły w bocznych pomieszczeniach wypełnione były elegancko zapakowanymi prezentami ślubnymi od niezliczonych rodów Landsraadu, a na każdym z nich widniało nazwisko darczyńcy. Wielka sala udekorowana była bujnymi donicowymi roślinami z Ekaza.

Księcia Leto najbardziej wzruszył pokrywający całą ścianę ręcznie tkany przez mieszkańców planety kilim. Każda rodzina z wioski rybackiej i handlowej dzielnicy Kali wykonała jeden z tworzących go kwadratów. Zrobili to w pocie i trudzie nie dlatego, że szukali politycznych względów albo że chcieli się wkupić w łaski, lecz dlatego, że kochali swego księcia. Leto powiedział Paulowi, aby wyciągnął z tego wnioski, i zażądał, aby kilim zawisł na zawsze w zamku kaladańskim.

Od wielu dni Paul przyglądał się przybywającym gościom, przedstawicielom szlachetnych rodów. Wykorzystując to, czego nauczono go w dziedzinie etykiety, polityki i protokołu dyplomatycznego, dokładał starań, by powitać każdego gościa, odnotowując w pamięci ich zwyczaje, nastroje i inne cechy. Został wychowany na następcę książęcego tronu i pomimo nowego ożenku ojca chciał wierzyć, że nim będzie.

Wymagały tego zasady, więc Leto zaprosił swego kuzyna Szaddama IV, ale nie zdziwił się, kiedy ani Imperator, ani żaden z jego ważnych przedstawicieli nie zadał sobie trudu, by przybyć z Kaitaina. Niemniej władca przysłał kuriera z życzeniami i podarunkiem — zestawem ozdobnych sztucców. Początkowo Paul zastanawiał się, czy Szaddam nie żywi urazy do księcia Atrydy za to, że nie przybył na jego ślub, ale uświadomił sobie, że ktoś tak potężny jak Padyszach Imperator nigdy nie mógłby się gniewać o takie drobnostki.

Ojciec był tak zajęty przygotowaniem, że przed ceremonią Paul rzadko go widywał.

Na Kaladanie zaświtał słoneczny ranek. Rozdzwoniły się dzwony, a rybacy rozwinęli na swoich łodziach barwne wstęgi, by uczcić ślub księcia.

Paul ubierał się w sypialni z wielką dbałością o godny wygląd. Strój, który przywdział — Irak z ostrym jak brzytwa kołnierzem i gustownymi połami, biała koszula ze sztywnymi mankietami i czarne spodnie — został starannie dobrany przez najlepszego krawca na Kaladanie. Elegancki starszy pan przypiął mu nawet do klapy plakietkę z herbem Atrydów — jastrzębiem. Kiedy Paul przejrzał się w lustro, stwierdził, że wygląda jak dziecko, które bawi się w przebieranki.

Ale księżę Leto uważał inaczej. Paul odwrócił się i zobaczył ojca stojącego w drzwiach z dumną miną.

— Ma to być dla mnie szczególny dzień, Paul, ale to ty możesz skupić na sobie uwagę wszystkich. Wyglądasz, jakbyś miał zostać Imperatorem.

Paul nigdy nie umiał przyjmować komplementów, zwłaszcza wyszukanych.

— Oczy wszystkich będą zwrócone na ciebie, ojcie — powiedział.

— O nie — rzekł księżę. — Oczy wszystkich będą zwrócone na 11 esę. Głównym obiektem zainteresowania podczas takiej ceremonii jest panna młoda.

— A dzisiaj wszyscy mamy zadania do wykonania, prawda? — Chłopak nie był pewien, czy chciał, by ta uwaga dotknęła ojca, ale widząc, że zrzędną mu mina, podszedł do niego i poprawił mu kołnierz. — Jestem gotowy do powitania gości. Powiedz, co mogę zrobić, żeby ci pomóc.

Goście zebrali się w głównej sali. Stroje, twarze, egzotyczne rysy i tradycyjne ozdoby tak wielu szlachetnych rodów oszołomiły Paula. Nawet ten skromny wycinek przedstawicieli ludności dowodnie świadczył o tym, jak rozległe jest Imperium, iloma różnymi planetami i grupami etnicznymi włada Imperator. Paul nie posiadał się ze zdziwienia, że wszyscy mogą się znaleźć pod rządami jednej osoby.

Arcyksiążę Ekaz, z długimi srebrzystymi włosami ujętymi wąskim diademem, uśmiechał się i promieniował radością. Jego oficjalny strój, ozdobiony koronkami i kamieniami szlachetnymi, był tak okazały, że przewyższało go jedynie odzienie jego żyłastego mistrza miecza Whitmorea Bludda.

Bez względu na to, jak ubrałyby się Ilesa, Paul nie wyobrażał sobie, żeby wyglądała piękniej od jego matki. Widok lady Jessiki w długiej, złoto–czarnej sukni zapierał dech w piersiach. Zastanawiał się, czy zrobiła to celowo, chcąc przypomnieć księciu Leto o tym wszystkim, co ma do zaoferowania.

Thufir Hawat był w starym mundurze wojskowym, z medalami, które dostał przed laty, podczas służby u księcia Paulusa i earla Dominica Verniusa, za stłumienie rewolty ekaskiej. Ród Atrydów od dawna pomagał rodowi Ekazów.

Hawat raz jeszcze zlustrował wzrokiem wielką salę i rozstawił we wszystkich miejscach publicznych członków ochrony. Zgodnie z rutynową procedurą bezpieczeństwa sprawdzono wszystkich gości weselnych. Żaden szlachcic nie obraził się z tego powodu, ponieważ sam zastosowałby takie środki wobec własnych gości. Przy każdym drzwiach stali ramię w ramię ze swoimi ekaskimi odpowiednikami żołnierze Atrydów.

Również Duncan Idaho wystroił się na ten dzień. Jako mistrz miecza często występował w roli zuchwałego wojownika, darzonego szczególnymi względami reprezentanta i osobistego strażnika księcia, a zatem teraz miał u pasa ozdobny, ceremonialny miecz księcia Paulusa, broń, której wielokrotnie używał w walkach w służbie Atrydów. Paul wiedział, że nikt nie może się równać z Duncanem, chociaż dwaj mistrzowie miecza rodu Ekazów mogliby również wykazać się umiejętnościami i duchem walki, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Chociaż Gurney Halleck próbował się ogarnąć, uroczysty strój wyraźnie na nim nie leżał. Jego ciało było zdeformowane wskutek zbyt wielu obrażeń, a blizny po krwawinie na szczęce nie można było zakryć żadnym makijażem. Bardziej przywykł do zwykłego ubrania, w którym nie wyróżniał się z pospólstwa. Wolałby siedzieć wśród szlachty z dziewięciostrunową balisetą na kolanie i śpiewać, zamiast udawać, że jest jednym z nich. Ale jego szeroki uśmiech wynagradzał wszelkie niedostatki ubioru.

— No, mały, wyglądasz jak przyszły dyrektor KHOAM — powiedział, zobaczywszy Paula.

— Och, starałem się tylko wyglądać jak syn księcia.

Księżę Leto wybrał syna na družbę, a więc o tym, jak ma się zachowywać, pouczyła go nie tylko matka, lecz również oficjalni planiści i choreografowie uroczystości. Właśnie jeden z nich wskazał mu, by zajął miejsce na przystrojonej girlandami scenie, którą wzniesiono specjalnie na uroczystość ślubną. Paul przeszedł koło ogromnych roślin donicowych do głównego podium. Leżała na nim przesadnie wielka Biblia Protestancko–Katolicka, ta sama, z której korzystano podczas ceremonii ślubnej Paulusa i Heleny, jak również osiemnastu pokoleń Atrydów przed nimi. Po jednej stronie podium stał Armand Ekaz z mistrzami miecza Dinarim i Bluddem, po drugiej księżę Leto, Thufir, Gurney i Duncan, do których dołączył Paul.

Zwróciwszy się do pełnej obcych twarzy sali, Paul utkwiał wzrok w potężnej postaci księcia Rhombura, ciele cyborga okrytym uroczystym strojem. Mimo tego odzienia jego pokiereszowana, surrealistyczna twarz sprawiała, że wyraźnie się odróżniał od pozostałych uczestników ceremonii. W przedniej ławie siedzieli obok niego Tessja i ich powściągliwy syn. Paul nie był w stanie stwierdzić, co wyraża dziwny grymas Rhombura, ale pomyślał, że być może jest to uśmiech ixańskiego księcia.

Na dany znak zabrzmiały fanfary i goście umilkli. Głowy wszystkich zwróciły się w kierunku zwieńczonego łukiem wejścia, po obu stronach którego stały paprocie. Ilesa wkroczyła z gracją w sukni z opalizującego jedwabiu, której gorset mienił się błyszczącymi tęczowo perłami. Jej czarne włosy ułożono w zdobioną szlifowanymi muszlami koafiurę.

Paul zerknął na ojca. Księżę był zdumiony, jakby się nigdy nie spodziewał, że jego przyszła żona będzie wyglądała tak pięknie.

Podczas gdy oczy wszystkich były zwrócone na Ilesę, z bocznego pomieszczenia wyłonił się kapłan w ornacie i zajął miejsce przy mównicy, na której leżała starożytna księga. Chociaż inne szlachetne rody, a nawet dostojnicy Kościoła, włącznie z kaitaińskim arcybiskupem, zaproponowały, że ceremonię poprowadzi ich kapłan, księżę Leto poprosił o to jednego z cieszących się największym poważaniem miejscowych duchownych. Arcyksiężę Ekaz dał mu w tej kwestii wolną rękę. Po tragediach, które go spotkały, i cierpieniach, których jego ród zaznał od Grummańczyków, stracił wiarę.

Wysunęła się z gracją uśmiechnięta Ilesa. Arcyksiężę Armand, mający po bokach swoich mistrzów miecza, patrzył na nią z pełnym zachwytem uśmiechem. Księżę Leto wyprostował się, okazując całą swoją postawą szacunek dla wybranki, ta zaś stanęła obok niego przed proboszczem z miasteczka. Kapłan najciszej, jak mógł, otworzył księgę na słowach ślubnej liturgii i wydobył kryształowy dzwonek, by oznajmić rozpoczęcie ceremonii. Leto ujął dłoń Ilesy, a Paul wiedział, że ojciec wstrzymuje oddech.

Kapłan potrząsnął dzwonkiem, wydobywając z niego czysty ton.

— Przyjaciele rodu Ekazów, rodu Atrydów i Imperatora Szaddama IV, witamy was w tej radosnej chwili — powiedział i zadzwonił drugi raz.

Kiedy zaczął ponownie mówić, Paul usłyszał ostry brzęk, a potem szum. Nie chciał odrywać oczu od państwa młodych, podczas gdy wszyscy słuchali tak uważnie, ale potem dotarł do niego inny dźwięk. Wyczuł też słaby ruch. Skupił się, ignorując szum tła, i odkrył źródło tego dźwięku — ogromne donice z elakkańskimi roślinami.

Thufir Hawat szarpnął głową w bok. Stary mistrz asasynów również to usłyszał.

Duże sześciokątne płytki mozaiki poluzowały się, odsuwając nieco na jakichś osiach od krzywizn donic, i zaczęły wirować.

— Duncan! — krzyknął Paul, nie dbając o to, że przerywa ceremonię.

Ale Duncan był już w ruchu. Gurney przykucnął ze sztyletem w dłoni, wypatrując napastnika, Rivvy Dinari i Whitmore Bludd wyciągnęli miecze i rzucili się chronić arcyksięcia Ekaza i Ilesę. Paul jeszcze nigdy nie widział ich poruszających się tak szybko.

Dekoracyjne sześciokątne płytki — cienkie arkusze metalu — wzbily się w powietrze, tnąc je niczym okrągłe tarcze pił. Ich krawędzie, wtopione poprzednio w glazurowaną glinę donic, były ostre jak brzytwa.

Powietrze wypełniły wirujące ostrza, narzędzia egzekucji, mknąc ku uczestnikom uroczystości ślubnej, wszystkim osobom, które stały na podium.

Duncan zatoczył łuk mieczem Starego Księcia i zbił jeden z dysków z toru, odrzucając go na kamienne bloki ściany. Pocisk zrobił w nich głębokie wyłobienie, zanim opadł z brzękiem na posadzkę. Thufir chwycił księcia Leto za kołnierz smokinga i pociągnawszy go na podłogę, przykrył go własnym ciałem. Inne ostrze rozcięło głęboko plecy starego weterana.

W powietrzu śmigwały następne ostrza. Zebrani zaczęli krzyżeć. Gurney rzucił się jak szarżujący byk w stronę Paula.

— Paniczu, p a d n i j!

Paul przykucnął już, robiąc uniki przed ostrzami. Gurney zasłonił go przed zabójczą płytką. W ostatniej chwili chłopak chwycił go za jasne włosy i szarpnął jego głowę do dołu. Ostry dysk minął czaszkę Hallecka o milimetry, obcinając mu mały kosmyk.

— Ilesa! Ratuj ją! — ryknął Riwy Dinari. — Mam arcyksięcia!

Whitmore Bludd skoczył ku pannie młodej, wywijając swym cienkim rapierem. Trafił jeden z dysków, który rykoszetował w sufit.

Tymczasem, wbrew wysiłkom mistrza Sw miecza, inny dysk uderzył niczym topór katowski w ramię arcyksięcia i uciął mu rękę powyżej łokcia. Wydobywszy się spod Gurneya, Paul patrzył, jak odcięta kończyna pada koszmarnie wolno w strugach krwi na podłogę.

Dinari ryknął, uświadomiwszy sobie, że zawiódł. Wywijając mieczem, stanął jak żywa blokada przed swoim poważnie rannym panem. Arcyksiążę dyszał, trzymając się za kikut.

Na przywódcę Ekaza posypały się następne pociski. Korpulentny mistrz miecza strącił jeden z nich, a drugi odbił częściowo chybionym ciosem. Potem jednak w jego potężne ciało wbiły się z odgłosem tasaków siekających mięso kolejne cztery, zatapiając się w płucach, przebijając przez mostek i rozcinając na pół serce. Ostatni zagłębił się w jego brzuchu. Wielkie cielsko Dinariego osunęło się na podłogę, ale wojownik przechwycił wszystkie pociski wymierzone w jego pana.

Wyjący z wściekłości Bludd starał się bronić Ilesę. Jego rapier odtrącił jeszcze jeden tnący dysk. Poruszając się szybko i precyzyjnie, machnął cienką klingą, by odparować następną płytkę, ale chybił.

Chociaż Ilesa się cofała, nie zdołała wystarczająco się odchylić i wirujący dysk poderznął jej gardło. Wyrzuciła w górę delikatne dłonie, jakby chciała złapać deszcz szkarłatnych kropli, ale z jej szyi trysnęła fontanna krwi, zabarwiając na czerwono śliczną suknię.

Rhombur rzucił się naprzód z rykiem ze swoich sztucznych płuc, roztrzając gości w przednim rzędzie.

— L e t o!

Uwolniony spod Gurneya, Paul znowu padł na czworaki, myśląc tylko o tym, by zapewnić bezpieczeństwo ojcu. Księżę Leto, jak można się było spodziewać, wykrzykiwał rozkazy, organizował natychmiastową reakcję, rozkazywał strażnikom rozbijanie śmiercionośnych donic i wzywał medyków, dając wyraz trosce o wszystkich, tylko nie o siebie.

Działając instynktownie, jakby przewidział, co ma się stać, Paul skoczył w stronę ojca. Czas jakby nagle zwolnił, chwile wydłużyły się i płynęły wolno niczym strużka gęstego, kleistego syropu. Książę Leto odwrócił się, a jego szare oczy się rozszerzyły, gdy zobaczył ostry wirujący dysk...

Ale Paul zbił go w bok i furkoczący dysk minął księcia, przy czym z głuchym łomotem uderzył w ścianę. Kątem oka, niezwykle świadomy każdego szczegółu, Paul zobaczył matkę biegnącą ku podium.

Rhombur miotał się jak mechaniczny wół i rozbijał donice, niszcząc mechanizmy celownicze i nie dopuszczając do wystrzelenia pozostałych płytek. Duncan strącił ostatnie trzy wirujące dyski.

Arcyksiążę Ekaz siedział na podłodze. Z kikuta ręki ciekła krew, chociaż naczynia krwionośne zwiotczały, dzięki czemu zmniejszył się jej wpływ. Z trudem utrzymywał pionową pozycję obok okaleczonego ciała grubego mistrza miecza.

Whitmore Bludd wyszedł z tego bez szwanku, chociaż jego wspaniały strój upstrzony był szkarłatnymi plamkami. Stał i patrzył, nie wierząc własnym oczom, na Ilesę, która leżała w ostatnich drgawkach, już martwa, na podium.

Z roztrzaskanych donic uniósł się drgający hologram. Jakiś mały generator, który musiał być tam umieszczony, odtworzył z mikroskopijnego kryształka nagraną wiadomość i obraz wicehrabiego Moritaniego w strojnych — lecz żałobnych, nie ślubnych — szatach.

— Arcyksiążę Ekazie! — rozległ się jego głos. — Przyjmij, proszę, ten pokorny hołd z Grummana. Zjawiłbym się osobiście, ale musiałem wziąć udział w pogrzebie syna. Mojego syna! Gdyby nie ty, Wolfram by żył. Powinieneś być przekazać mi w darze lek dla niego. Teraz ja przekazuję ci w darze wspomnienia. Mam nadzieję, że ta rzeź była tak udana, jak to sobie wyobraziłem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa już nie żyjesz i nie słyszysz tego. Ale żyją inni. Weźcie pod rozwagę cenę, jaką trzeba zapłacić, gdy robi się sobie wrogów z rodu Moritanich. Z tytułu należnych mi praw i poczucia sprawiedliwości jest to m o j a wojna asasynów.

**CZEŚĆ III**  
**IMPERATOR MUAD'DIB**  
**10 197 EG**  
**CZTERY LATA PO ROZPOCZĘCIU DŻIHADU**





*Kiedy żołnierz ginie na polu bitwy i nikt nie pamięta, jak się nazywał, to czy jego służba idzie na marne? Wierzący w Muad’L)iba ufają, że tak nie jest, ponieważ w sercu czci on ich poświęcenie.*

— z *Historii dzieciństwa Muad’Diba* pióra księżnej Irulany

W wystrzępionym, połatanym mundurze, zdjętym z poległego wojownika i wyczyszczonym, Muad’Dib walczył nierozpoznany ramię w ramię z towarzyszymi broni. Po wielogodzinnym boju bolała go ręka, w której trzymał nóż, a w uszach dzwoniło mu od wybuchów i krzyków. Nos piekł go od wciągania przyprawiającej o mdłości mieszaniny zapachów: gryzącego dymu materiałów wybuchowych, rozlanej krwi, spalonych ciał, unoszącego się w powietrzu, wzbitego tysiącami nóg kurzu.

W ciągu czterech lat dżihadu stoczono bitwy na tyłu planetach i odniesiono tyle zwycięstw, że zamaskowany Imperator nie znał nawet nazwy świata, na którym ginęło teraz tak wielu jego zwolenników. Jakie znaczenie miały nazwy podczas strasznych walk i po nich? Był pewien, że to miejsce niewiele się różni od niezliczonych miejsc, które opisali mu Gurney i Stilgar.

Musiał jednak zobaczyć je na własne oczy, walczyć własnymi rękami, rozlewać krew własną bronią.

„*Jestem im to winien*” — myślał.

Żadne szczegółowe raporty jego generałów, żadne narady nie mogły oddać prawdziwego obrazu tego piekła. Owszem, uciekł z matką owej nocy, kiedy Harkonnenowie zajęli Arrakin, owszem, walczył ze swoimi Fremenami podczas razzia przeciw Bestii Rabbanowi, owszem, poprowadził ich do zwycięstwa nad Imperatorem Szadda<sup>em</sup> i jego sardaukarami, ale tylko nieliczni rozumieli szlachetny cel obecnej wojny. Szczególnie mało było ich wśród zwykłych żołnierzy. Tylko on widział tę trąbę powietrzną i o wiele gorszy los, który czekał rodzaj ludzki, gdyby dżihad nie zakończył się zwycięstwem.

Kiedy posuwał się do przodu i patrzył w przyszłość, dostrzegał ryzyko, jakie niosła ze sobą każda decyzja, każda śmierć i cierpienie na każdym kroku. Przypominało mu to starożytną opowieść o Odyseuszu, który musiał wytyczyć drogę pomiędzy dwiema śmiertelnymi pułapkami: potworem Scyllą i wirem Charybdą — wodnymi zagrożeniami, których nie mógł pojąć nikt wychowany na Diunie. Ale tutaj, teraz, droga wydawała się jeszcze mniej wyraźna, spowita mgłą niepewności. Paul wiedział tylko, że gdzieś za bezmiarem dżihadu leży bezpieczny port, do którego ludzkość dopłynie być może za wiele pokoleń. Nadal wierzył, że potrafi poprowadzić ją właściwą, wąską ścieżką. **M u s i a ł** w to wierzyć.

Dla tych jednak, którzy nie byli w stanie dostrzec wielkiego, miśternie tkanego arrasu losu, bitwa ta była rzezią niemal bezbronnych cywilów na spokojnej wcześniej planecie.

W raportach zostanie to nazwane zwycięstwem.

Ale po latach coraz większego oddalania się od rzeczywistości dżihadu Paul doszedł do wniosku, że potrzebuje czegoś więcej niż tylko raportów. Meldunki nie ukazywały w dostatecznym stopniu tego, co się naprawdę działo w Imperium... Co on wprowadził w ruch.

Pewnej nocy, w swojej cichej, chronionej arrakińskiej siedzibie, dopiero co ukończonej przez Bludda, śnił o Gurneyu Hallecku, Stilgarze i dziesiątkach innych dowódców legionów fremeńskich wojowników i konwertytów. Cenił każdego z tych mężczyzn i był im wdzięczny, ale sam pozostawał bezpiecznie na Diunie, podczas gdy oni walczyli i ginęli.

Czy to wystarczało? Nie sądził. W trakcie wojny asasynów książę Leto osobiście poprowadził siły Atrydów przeciw Grummańczykom. Paul wiedział, że czytanie podsumowań bitew nie może się równać z ich dogłębnym zrozumieniem, które bierze się z doświadczenia na własnej skórze, razem z podległymi mu żołnierzami, trudnych warunków, braku snu, huku wybuchów, nieustannego zachowywania czujności, widoku i zapachu krwi. Wysyłał armie, by miażdżyły kolejne światy, i wojownicy umierali z jego imieniem na ustach, tymczasem on pozostawał w wygodnym pałacu w Arrakin.

„*To nie wystarcza*”? — pomyślał.

*Gdyby jednak oszalał, że zamierza osobiście poprowadzić swe wojska do boju, jego generałowie znaleźliby sposób, by go chronić, wybierając chociażby słabą planetę, której mieszkańcy stawiliby niewielki opór. Bitwa byłaby równie sztuczna jak rzekomo tradycyjne filtrfraki sprzedawane naiwnym pielgrzymom. Nie mógł już dłużej kryć się w swojej stale rozrastającej się twierdzy i być traktowany jak bóg. Ojciec dał mu dobrą szkołę. Przywódca zapominał o sobie, gdy zapominał o swoim ludzie.*

„*To nie wystarcza*” — powiedział sobie ponownie. Musiał to zrobić na własnych warunkach i pozwoli w jego głowie zaczął się rodzić pewien plan...

Wiedział, że gdyby któryś z wojowników rozpoznał go za sprawą profilu umieszczonego na wielu sztandarach i na nowo bitych monetach, utworzono by wokół niego ochronną barierę z pięćdziesięciu szeregow ludzi. Dowódcy nie chcieliby rozpocząć zmagania z wrogiem, dopóki w obawie o bezpieczeństwo Muad'Diba nie umieściliby go w krążącym na orbicie liniowcu Gildii.

Dlatego przed rozpoczęciem tej maskarady, w której udawał zwykłego żołnierza, obciął i przefarbował włosy oraz wystarał się o używany mundur. Nie powiedziawszy nikomu oprócz Chani, dokąd się udaje, zaciągnął się w tłumie rekrutów do armii szykującej się do nowej operacji. Celowo wybrał oddział jednego z niższych dowódców, Dzeurata, który nie znał go osobiście. Przeszedł pobieżną inspekcję i zademonstrował Fremenowi, który miał najwyżej osiemnaście lat, podstawowe techniki walki. Potem jego oddział stłoczył się w wojskowej fregacie i odleciał z Diuny.

Wiedział, że ludzie, których zostawił, będą odchodzić od zmysłów z niepokoju, chociaż Chani zapewni ich, że żyje, nie ujawniając jednak, dokąd się udał ani co robi. Mimo to będą lamentowali, że go nie ma, kiedy musi podjąć tysiąc rzekomo ważnych decyzji. Ale chciał, żeby pozbyli się dziecięcego uzależnienia od Muad'Diba. Jeśli będą tęsknili za dającą poczucie bezpieczeństwa osłoną, mogą sobie wyświetlić jego obraz holograficzny i szukać w nim pociechy.

Obawiał się, że jeśli nie zrealizuje postanowienia, może stracić rozeznanie w rzeczywistych kosztach, których poniesienia wymagał od całkowicie nieświadomej tego ludzkości.

Tylko raz usłyszał nazwę planety, która była ich celem — Ehknot. Nigdy nie widział jej na żadnej mapie gwiazdnej i zastanawiał się, dlaczego uznano ją za takie zagrożenie. Wątpił, by Imperator Szaddam wiedział o jej istnieniu.

Na Ehknocie zmieniły się zasady prowadzenia bitew džihadu, więc jednostka Paula zmuszona była stosować inną niż dotychczas taktykę. Na dwóch poprzednio obleganych światach zdesperowani buntownicy, którzy nie uznawali władzy Muad'Diba, podżegani przez earla Memnona Thorvalda, zaczęli — złośliwie i lekkomyślnie — używać rusznic laserowych przeciw chronionym tarczami wojownikom. Chociaż każdego Strzelca zabijało uderzenie zwrotne, pseudojądrowy wybuch wywołany zetknięciem promieni lasera z polem Holtzmana był tak silny, że zmiatał z powierzchni ziemi tysiące džihadystów. W takich starciach śmierć zbierała przerażające żniwo. Ten sposób walki był od tysięcy lat zabroniony jako sprzeczny z obowiązującymi w cywilizowanym wszechświecie regułami prowadzenia wojny. Ale rebelianci odrzucali te reguły. Złamane zostało jedno z największych tabu.

Ludzie stosowali tę taktykę tylko wtedy, kiedy nie mieli nic do stracenia. Dostawszy nauczki, żołnierze Muad'Diba stali się ostrożni. Aby bronić się przed samobójczymi atakami, zaniechali używania tarcz osobistych i na Ehknocie bili się w bardziej prymitywny sposób. Fremeni, którzy nigdy nie lubili polegać na tarczach osobistych, powrócili do krysnoży podczas walki wręcz i broni miotającej do niszczenia odległych celów. Niektórzy starzy dowódcy, pamiętający napaść Harkonnenów na Arrakin, zaczęli nawet używać armat do rozbijania barykad.

Paul prawie nie pamiętał tego, co robił podczas walki. Kiedy się zaczęła, stracił panowanie nad sobą. Oczy przesłoniła mu czerwona mgła i wpadł w szal bitewny, bardziej porywający niż najsilniejsza wizja przyprawowa. Nie skupiał się już na wąskiej jak ostrze brzytwy drodze do przyszłości, nie rozmyślał o szerokim obrazie historii ani o wymogach, które narzucała mu prekognicja, tylko zabijał.

Umiejętnościami nadal przewyższał większość wojowników, bo uczyli go najlepsi: Duncan Idaho, Thufir Hawat i Gurney Halleck. Matka pokazała mu metody walki Rene Gesserit, a żyjąc wśród Fremenów, poznał kolejne techniki.

Bitwa była dla niego jedną długą, trudną chwilą szaleństwa, chociaż towarzysze broni zaczęli uważać go za błogosławionego, fanatyka nad fanatykami. Zanim walka się skończyła, ocalali spoglądali na niego z podziwem i trwogą, jakby byli przekonani, że wszedł w niego święty duch.

Stojąc na dymiącym poboju, usłyszał głosy zawodzące:

— Muad'Dibie, ocal mnie! Muad'Dibie!

Drgnąwszy nerwowo, Paul zaczął się zastanawiać, czy ktoś go nie rozpoznał, ale potem zdał sobie sprawę, że ranni po prostu wzywali wszelkiej pomocy, jaką mogli sobie wyobrazić.

Nic dziwnego, że chociaż zahartowany w bojach, Gurney reagował bez zapału, kiedy proszono go o poprowadzenie kolejnych ofensyw. Planety padały jedna po drugiej i dopiero teraz Paul uświadomił sobie, jaki ciężar złożył na barki przyjaciela. Życzliwego Gurneya, wojownika i trubadura, równie zn-

anego z talentu do balisety, jak z umiejętności posługiwania się mieczem. Wprawdzie uczynił go earlem Kaladanu, ale potem nie dał mu czasu, by się tam zadomowił i zaczął wieść prawdziwe życie.

„Gurney, przepraszam — rzekł w myślach. — *A ty ani razu się nie poskarżyłeś*”.

Z tego, co wiedział, Stilgar nadal uważał, że jego miejsce jest wśród fremeńskich wojowników, ale co do Gurneya, postanowił, że znajdzie mu jakieś nowe zadanie związane z przebywaniem na jednej planecie, rolę, która mogłaby dać mu poczucie spełnienia, coś innego niż... to. Halleck zasługiwał na coś lepszego.

Paul był zakrwawiony, a jego pożyczony mundur podarty, ale odniósł jedynie powierzchowne obrażenia. Lekarze Akademii Suka i posługacze przeczesywali pole bitwy, opatrując rannych i zbierając martwych. Paul widział grupy Tleilaxan przesuających się ukradkiem od jednego poległego do drugiego. Najdłużej zatrzymywali się przy największych wojownikach. Tleilaxanie zawsze zajmowali się zmarłymi, ale ci mężczyźni najwyraźniej pobierali próbki zwłok...

Była to jedna z wielu okropności.

Paul podniósł oczy, błękitne w błękicie wskutek uzależnienia od przyprawy, ale suche. Zobaczył mężczyznę z ogoloną głową, byłego Fremena, a obecnie kapłana, członka kwizaratu. Kapłan trwał w zachwycie. Uniósł ręce nad chmury kurzu i dymu, chłonąc całym sobą okropieństwo pola bitwy. Spojrzał wprost na Paula, ale go nie poznał. Paul zastanawiał się, czy w tym stanie — z błędnym wzrokiem, twarzą spryskaną krwią, i pokrytego od stóp do głów pyłem — rozpoznałaby go nawet Chani.

— Bóg cię pobłogosławił i chroni, możesz więc kontynuować nasze święte dzieło — rzekł do niego kapłan. Przesunął powoli wzrokiem po pobojuwisku i na jego ustach pojawił się uśmiech. — Ehknocie, ujrzyj niewyciężoność Muad'Diba.

Paul patrzył, ale nie widział tego, co kapłan. I w tej chwili, bez względu na to, co tamten mówił, w ogóle nie czuł się niewyciężony.



*Płynąc po niebezpiecznych wodach Imperium, mądrze jest obliczać prawdopodobieństwo różnych skutków, jakie mogą mieć ważne decyzje. To nie nauka, lecz sztuka, jednak na najbardziej podstawowym poziomie to metodyczny proces i kwestia równowagi.*

— **Podręcznik akolitek Bene Gesserit**

Lady Margot Fenring złożyła wizytę na macierzystym świecie Bene Gesserit po raz pierwszy od paru lat, ale nic się tam nie zmieniło. Dachy rozległego kompleksu szkoły Matek Wielebnych, który otaczał główne, liczące tysiące lat budynki, nadal pokryte były dachówkami w kolorze sieni. Dla zgromadzenia żeńskiego Wallach IX był symbolem stałości, statkiem pływającym po ogromnym i stale zmieniającym się kosmicznym morzu.

Jak na organizację intensywnie badającą ludzką naturę i społeczeństwo, zgromadzenie było niezwykle konserwatywne. Jeden z głównych aksjomatów Bene Gesserit brzmiał: „*Przystosuj się albo zgiń*”, chociaż wydawało się, że siostry zapomniały, jak się do niego stosować. Margot stopniowo uświadomiła to sobie. Wcale nie były od niej lepsze. Niespodziewana katastrofa, którą spowodował Paul Atryda, i prawie całkowita utrata władzy politycznej Bene Gesserit poważnie nadwątlily jej szacunek dla nich.

Oboje z mężem spędzili wiele lat w odosobnieniu, wśród Tleilaxan, wychowując Marie i opracowując ogólny plan. A teraz Matka Przełożona wezwała ją, nakazując przywieźć córkę „*na badanie*”.

Lady Margot od dzieciństwa uczono wykonywania rozkazów przełożonych — rozkazów, zgodnie z którymi musiała przede wszystkim urodzić to dziecko — ale zgromadzenie może dostać inną odpowiedź niż ta, której oczekiwało. Margot przybyła na Wallacha IX na własnych warunkach.

Miała nadzieję, że Bene Gesserit nie mają wobec niej dalszych planów rozrodczych. Owszem, wyglądała znacznie młodziej, niż wskazywałby na to jej wiek, a regularne spożywanie przyprawy i wykonywanie ćwiczeń prana i bindu jeszcze dodało jej urody. Gdyby los jej sprzyjał, uwodzicielski wygląd i zdolności rozrodcze mogłyby się utrzymywać jeszcze kilkadziesiąt lat... a Hasimir był taki wyrozumiały.

Ale jej ostatnim osiągnięciem powinna pozostać mała Marie. Musi się postarać, by dotarło to do zgromadzenia.

Margot kazała niani, Tonii ObregalvXo, zostać w Thalidei, chociaż było wyraźnie widać, że ta spodziewa się, iż będzie im towarzyszyła w podróży na Wallacha IX. Tonią wysyłała regularnie raporty do szkoły Matek Wielebnych, używając sekretnych sposobów, które Margot sama знаła aż nazbyt dobrze. Przechwyciła kiedyś jej wiadomość do zgromadzenia i ukradkiem dodała swoje post scriptum. Wywołało to wrzawę wśród Bene Gesserit i zmianę procedury ich tajnego informowania, ale Margot zrobiła to, by dać im znać, że jest samodzielna i że spełnia swoje, nie ich, zachcianki.

Niemniej jednak zgodziła się odbyć tę podróż i pozwolić Matkom Wielebnym „*zbadać*” pięcioletnią Marie, jak będą chciały. Zgromadzenie nie będzie jednak kierowało losem jej córki. Stawka była zbyt duża.

Siedziała teraz z hrabią Fenringiem na ogrodowej ławce, a dziewczynka między nimi. Wszyscy troje czekali. Czekali. Była to łatwa do przejrzania i dziecinna gra siostr. Za ich plecami stała stylizowana rzeźba z czarnego kwarcytu przedstawiająca klęczącą kobietę — Raquellę Berto-Anirulę, założycielkę starożytnej szkoły. Nad budynkami wisiały ciężkie chmury deszczowe i było chłodno, chociaż nie był to dokuczliwy ziąb. Mury dziedzińca chroniły ich przed wiatrem.

W końcu podeszła do nich z grupą pięciu siostr Matka Wielebna Gaius Helena Mohiam. Utkwiła w małej Marie jastrzębi wzrok.

Lady Margot wstała.

— Zgodnie z waszym życzeniem przywiozłam córkę, Matko Wielebna — powiedziała i pomyślała: „*Automatyczna reakcja*”.

— Nieczęsto pozwalamy mężczyznom wkraczać na teren szkoły Matek Wielebnych — rzekła Mohiam, patrząc znacząco spod zmarszczonych brwi na hrabię Fenringa.

— Wasza gościnność jest... aaach... znana — odparł z uśmiechem, trzymając opiekuńczą dłoń na ramieniu dziewczynki.

Rene Gesserit bardzo dobrze wiedziały, że hrabia Hasimir Fenring jest groźnym zabójcą i mistrzem szpiegowania, więc lady Margot nie miała wątpliwości, że obecność jej męża spowodowała w zakonie wielką konsternację.

Hasimir sam był nieudanym Kwisatz Haderach, genetycznym eunuchem i ślepy m zaułkiem tuż przed linią końcową realizowanego od tysięcy lat planu eugenicznego. Ale prawdziwy Kwisatz Haderach, Paul Atryda, obrócił się przeciw Rene Gesserit, co miało niewyobrażalnie fatalne konsekwencje. Od tego momentu, biorąc pod uwagę zadziwiające zdolności Marie, hrabia Fenring i lady Margot mogli snuć i wcielać w życie własne plany dynastyczne.

Zarówno ona, jak i jej mąż pracowali dla nieudolnych zwierzchników. Niepowodzenia Szaddama Corrina IV nie różniły się od niepowodzeń zgromadzenia żeńskiego. Dziwnym i okrutnym zrządzeniem losu połączyły się, dając ogólny straszny rezultat, dwie linie głupiego postępowania. Rodzaj ludzki nieprędko dojdzie do siebie po czasach Muad'Diba.

Matka Wielebna Mohiam pochylała się, przenosząc uwagę na dziewczynkę.

— Zatem to jest to dziecko. — Wyciągnawszy rękę, przesunęła nią po jasnych włosach Marie. — Widzę, że masz piękne rysy matki.

„Zauważyła też podobieństwo do Feyda-Rauthy Harkonnena” — pomyślała Margot.

— I taką gładką, mlecznobiałą skórę. — Mohiam potarła przedramię dziewczynki. Marie znosiła w milczeniu jej zainteresowanie. — Zupełnie jak matka.

Po tych słowach ręka Mohiam powędrowała szybko do kieszeni jej sukni i złożyła tam ukradkiem pobrane przed chwilą próbki. Była to kwestia procedury, stałej obserwacji i dokumentowania, dodawania informacji do akt eugenicznych, umieszczania w nich danych wraz z nazwiskami osób, od których je uzyskano, i nazwami miejsc, w których tego dokonano.

— A jak wygląda szkolenie dziecka? — Mohiam spojrzała na Margot.

— Jest połączeniem wiedzy mojej i męża oraz nauk udzielanych jej przez niańkę z ramienia Bene Gesserit. Tonia z pewnością przesyła wam szczegółowe raporty.

Mohiam zignorowała tę uwagę.

— Dobrze — powiedziała. — Cieszymy się, że przywiozłaś ją tutaj, by można było właściwie kontynuować jej edukację. Oczywiście zatrzymamy ją.

— Obawiam się, że to... aaach... nie będzie możliwe — rzekł mąż Margot głosem napiętym jak garota.

Mohiam była zaskoczona. Jej towarzyszki patrzyły na niego.

— Decyzja nie należy do ciebie — stwierdziła stara Bene Gesserit.

— Nie przywieźliśmy tu Marie, żeby zostawić ją w szkole Matek Wielebnych — powiedziała Margot, uśmiechając się pięknie. — Całkiem dobrze radzi sobie u nas.

— Aaach, całkiem dobrze — dodał Fenring.

Margot wyczuła napięcie, zauważyła cienie przesuwające się ukradkiem za oknami i spostrzegła, że z portyków spieszenie wychodzą inne siostry. Podczas gdy tych pięć bardzo uważnie przyglądało się dziewczynce, innym przydzielono zadanie baczego obserwowania hrabiego Fenringa i lady Margot. Nieznaczące ruchy całej trójki zostaną nagrane i przeanalizowane w najdrobniejszych szczegółach. Będą to kolejne dane. Gdzieś z tyłu czaiła się sama Matka Przełożona.

— Skąd ta nagła nieustępliwość? Staliście się sojusznikami Muad Di ba?

Kiedy Mohiam zadawała to pytanie, jej towarzyszki przysunęły się bliżej, niczym stadko czarnych ptaków, jakby chciały ją bronić przed atakiem.

Hrabia Fenring roześmiał się, ale nic nie powiedział. Podobnie roześmiała się mała Marie.

— Nie naśmiewamy się z ciebie, Matko Wielebna — rzekła Margot. — Moją rodzinę po prostu rozbawiło twoje przypuszczenie, że moglibyśmy współpracować z człowiekiem, który obalił Szaddama Corrina. Wiecie, że mój Hasimir uważał byłego Imperatora za dość bliskiego przyjaciela. — Wymieniwszy spojrzenia z mężem, dodała: — Przybyliśmy tu raczej w odpowiedzi na wasze wezwanie, z interesującą propozycją.

— Imperium ma głowę potwora, którą trzeba odciąć — pisnęła Marie.

Siostry były wyraźnie zaskoczone tak śmiałą wypowiedzią dziecka.

— Muad'Dib jest potworem — lady Margot poparła córkę. — Wasz Kwisatz Haderach wyrwał się spod kontroli i to wy jesteście temu winne. Nie uwzględniliście w waszych planach szkód, które wyrządza wszechświatu. Musimy opracować alternatywny plan, by się nim zająć.

Fenring pochylał się do przodu, nie wstając z kamiennej ławki.

— Czy jest ktoś bardziej zniechęcony niż Imperator Paul Muad'Dib, hmm? — zapytał.

Mohiam nie odpowiedziała, ale lady Margot zdawała sobie sprawę, że staruszka nie cierpi Paula bardziej niż większość ludzi.

— Może na tronie zamiast niego mogłaby zasiąść Marie? — zasugerowała Margot. — Czy jest ktoś lepiej urodzony? Bardziej odpowiedni?

— Nigdy nie zgodzą się na dziecko... do tego dziewczynkę! — warknęła wiekowa Matka Wielebna. Bene Gesserit nigdy nie przejmowały władzy tak otwarcie.

— Po Muad'Dibie będą skłonni przystać na wiele rzeczy, jeśli tylko oznaczać to będzie jego kres — rzekł Fenring.

Staruszka zaczęła chodzić w tę i z powrotem, nie zważając na pozostałe siostry ani na Marie. Dziewczynka stała nieruchomo, bacznie się przyglądając i przysłuchując wszystkiemu.

— Jesteś intrygującym połączeniem motywów i metod, Margot — powiedziała w końcu Mohiam. — Naprawdę intrygującym. Sprzeciwiasz się naszym metodom i wytykasz nam błędy, starając się wciągnąć nas do niebezpiecznego spisku.

— Zgromadzenie musi się przystosować i przetrwać — rzekła na to Margot. — To prosty, rozsądny wniosek. Mój mąż, dzięki swemu doświadczeniu i wyjątkowym zdolnościom, opracował scenariusz, który przyniesie korzyści nam wszystkim.

Fenring skinął głową.

— Są sposoby, dzięki którym możemy się dostać w pobliże Muad'Diba, sposoby, by skłonić go do opuszczenia gardy — wyjaśnił.

Mohiam przyjrzała się Fenringowi z nowym zainteresowaniem.

— To prawda, istnieje potrzeba przystosowania — zgodziła się. — Jest również potrzeba utrzymania równowagi... to inna z naszych zasad. Wysłuchałabym waszej propozycji, ale upieram się przy tym, by tę dziewczynkę przygotować jak najlepiej. W ramach naszego porozumienia musi zamieszkać tutaj i zostać przeszkolona w szkole Matek Wielebnych.

— To nie wchodzi w rachubę. — Margot otoczyła córkę ramieniem, a dziecko przytuliło się do niej.

Również Fenring objął dziewczynkę.

— Stare sposoby zgromadzenia żeńskiego kompletnie zawiodły, hmm? Spróbujmy teraz naszych — powiedział.

— Zaryzykowałabyś życie Marie podczas tego przedsięwzięcia? — spytała Mohiam.

Lady Margot uśmiechnęła się.

— Skądże. Nasz plan jest doskonały, podobnie jak metoda ucieczki po jego wcieleniu w życie.

Oczy Matki Wielebnej rozbłyły.

— A szczegóły?

— Szczegóły będą artystycznym popisem — powiedziała Margot. — Skoro nie bierzecie w tym udziału, poznacie je po fakcie.

Zerknąwszy na zacienioną postać w oknie wychodzącym na dziedziniec, Mohiam rzekła:

— Dobrze. Będziemy się przyglądały z zainteresowaniem.





*Dom jest czymś więcej niż tylko siedliskiem. Dom jest tam, gdzie człowiek pragnie hyc bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Ta okropna planeta, której nigdy więcej nie chcę oglądać, z pewnością nie jest domem.*

— Gurney Halleck, depesza do lady Jessiki przebywającej na Kaladanie

Kiedy Gurney, zmęczony i podenerwowany, wrócił na Arrakis po bitwach z partyzantami Thorvalda, chciał tylko odpocząć w swojej zakurzonej kwaterze. Ledwie jednak zdążył wyjąć wtyki nosowe i rozwiązać płaszcz, w drzwiach pojawił się pompatyczny ambasador kwizaratu odziany w strój dyplomaty zamiast w tradycyjny filtrfrak. Ze zmarszczonym czołem Gurney wziął od funkcjonariusza dekret, złamał pieczęć i przeczytał go, nie dbając o to, że mężczyzna może rzucić okiem na pismo.

Obwieszczenie zaparło mu na chwilę dech w piersiach.

— Dłaczego, na siedem piekieł, Paul to zrobił?! — wykrzyknął.

Imperator oficjalnie nadawał mu baronię Giedi Prime. Zwalisty mężczyzna z blizną stał nieruchomo, szybko oddychając przez rozdęte nozdrza. Uświadomił sobie, że Paul prawdopodobnie zamierzał nagrodzić go, ochronić przed dalszymi okropieństwami dżihadu, wysyłając na planetę jego dzieciństwa, tak jak sam odwiedził Kaladan. Ale chociaż Giedi Prime poddała się Paulowi niemal natychmiast po upadku Harkonnenów, dla Gurneya miejsce to było nadal polem bitwy, pobojuwiskiem, z którym wiązały się straszne wspomnienia.

Przegonił funkcjonariusza i raz jeszcze przeczytał dekret, odruchowo mnąc papier przyprawowy, a potem znowu wygładzając dokument.

„*Możesz uleczyć tę planetę, wierny druhu* — dodawał Paul bardziej osobistym tonem. — *Miną tysiące lat, zanim ktokolwiek będzie mógł uznać, że Giedi Prime jest pięknym miejscem. Postaraj się przynajmniej, żeby ta ropiejąca rana się zabiźniła. Zrób to dla mnie, Gurney*”.

— Służę Atrydom — rzekł do siebie Halleck, westchnąwszy. I naprawdę tak myślał. Stawi czoło przeszłości i wykorzysta najlepsze ze swych talentów, by uwolnić lud Giedi Prime od przytłaczającego ciężaru wspomnień o wielopokoleniowym ucisku Harkonnenów i mrokach, w jakich go pograżyli. Ale nie będzie to łatwe.

Miał już w lennie Kaladan, ale Jessika przyjęła tytuł księżnej, a mieszkańcy planety ją uwielbiali. Nie chciał jej niczego odbierać. Ale... Giedi Prime? Paul nie wyrządzał mu żadnej przysługi.

Gurney często snuł fantazje o tym, że po życiu spędzonym na wojaczce osiadzie na wsi, w posiadłości, na którą zasłużył, z piękną żoną i gromadką hałaśliwych dzieci. Jednak jakoś nie widział dla siebie takiej przyszłości.

„*Zrób to dla mnie, Gurney*” — napisał Paul.

Kiedy Gurney Halleck przybył na Giedi Prime, powitano go skromnie, ale z należnymi bohaterowi wojennemu honorami. Niemniej przygnębiona ludność nie wiedziała, co z nim począć. Był nowo mianowanym baronem, co dla niego stanowiło kolejny bolesny zaszczyt. Paul Muad'Dib wyzwolił tę planetę spod buta Harkonnenów, ale ludzie nie potrafili się tym radować. Nie przywykli kochać swych przywódców. Mimo iż zdjęto z nich jarzmo ucisku, nikt nie podniósł głosu, by to świętować.

Widok tłumów w Harko przypomniał Gurneyowi o rozmiarach stojącego przed nim zadania i olbrzym poczuł pustkę w piersi. Patrzył na wymizerowane, blade, pozbawione wyrazu twarze i pamiętał, że to samo widział w obliczach rodziccSw i swojej biednej siostry Bheth, która została w końcu zgwałcona i zamordowana, padając ofiarą okrucieństwa Bestii Rabbana.

Postara się zebrać całą swoją energię i współczucie, by zainspirować tych ludzi do przeobrażenia ich świata, ponownego zasadzenia drzew i przywrócenia mu energii, ale nie był pewien, czy mają do tego serce.

— Teraz jesteście wolni!

Same te słowa, skierowane do załamanej i znękaney ludności, nie naprawią krzywd, których doznawała od pokoleń. Logicznie rzecz biorąc, był to dobry pomysł, ale czy Paul naprawdę wierzył, że dar wolności i samostanowienia zmieni psychikę całej planety?

Jednak na tym właśnie polegało nowe zadanie Gurneya i zamierzał je wykonać... dla Paula.

Zamieszkał ze swoimi ludźmi, w większości pochodzącymi z Kaladanu, w Baronii, w byłej siedzibie Harkonnenów. Miał przed sobą mnóstwo pracy — musiał posprzątać po ich rządach i naprawić, co się da. Olbrzymia rezydencja miała masywne mury i imponujące lary, a wszystko opierało się na liniach

prostych i kątach zamiast na łagodnych krzywiznach. Gurney czuł się w niej źle. Obco. Nawet zniszczony Salusa Secundus, na którym żył kiedyś wśród przemytników, był lepszym, jakby czystszy miejscem. Przynajmniej nie unosił się tam smreki Harkonnenów.

W ogromnym budynku miał dziwne wrażenie, że za każdym rogiem czyha jakieś niebezpieczeństwo. Nie wierzył, by Harkonnenowie nie zostawili nieprzyjemnych niespodzianek dla każdego nowego, niepożądanego lokatora.

Rozkazał, by przeszukano siedzibę barona Harkonnena pokój po pokoju, by otworzono i zlustrowano każdą komnatę. Ekipy jego ludzi odkryły wiele pomieszczeń, które służyły jako izby tortur, puste pokoje z minami pułapkami i kilka zamkniętych piwnic wypełnionych po brzegi solarisami, melanżem i niezwykle cennymi kamieniami szlachetnymi. Fakt, że w ciągu pięciu lat od upadku rodu Harkonnenów nie splądrowano, a nawet nie otworzono żadnego z tych skarbców, świadczył o tym, jak wielki strach musiał wzbudzać baron.

Gurney polecił upłynnić wszystkie te skarby, a dochód z ich sprzedaży rozdzielić między ludność jako zapłatę za zorganizowane w geście dobrej woli roboty publiczne.

Zwołał swój rząd i wezwał administratorów, którzy przez pięć lat, od śmierci barona Harkonnena, sprawowali kontrolę nad Giedi Prime. W tak rozległym imperium żaden władca, nawet Muad'Dib, nie mógł drobiazgowo zarządzać każdą planetą.

Od przybycia Gurneya na Giedi Prime rzucała się w oczy nieobecność starych administratorów Harkonnena, ale nie mogli już dłużej go unikać. Dowiedziawszy się o tym, co spotkało go tutaj w przeszłości, starali się nie patrzeć mu w oczy. Niektórzy, zdawało się, skupiali uwagę na bliźnie po krwawinie na jego twarzy, inni stali się mizdrzącymi się wazeliniarzami, próbując wkupić się w jego łaski, by utrzymać stanowiska. Gurneyowi nie zależało ani na jednych, ani na drugich; mogli być skuteczni w starym reżimie, ale mieli głęboko zakorzenione przyzwyczajenie do surowych metod. Tak jak ludność nie wiedziała, co to wolność, tak ci administratorzy nie mieli pojęcia, co znaczy współczucie. Musiałby użyć całej siły woli, by nie dopuścić do tego, żeby ta bezwładna masa ściągnęła Giedi Prime z powrotem w ciemną otchłań ucisku.

Musiał jasno przedstawić grupie ostrożnych i zdenerwowanych administratorów swoją filozofię. Odkładał to już wystarczająco długo.

— Muszę zobaczyć miejsca, które znam — oznajmił im. — Udam się do kopalń, w których pracują niewolnicy, i do mojej dawnej wsi Dmitri. A wy będziecie mi towarzyszyć.

Choć Gurney panował nad emocjami, był pewien, że dawni administratorzy czekają na wybuch jego gniewu. Nie wyprowadzał ich z błędu.

Najpierw złożył wizytę w kopalni, do której został zesłany za to, że ośmielił się śpiewać piosenki kpiące z barona. Wydobywał tutaj i obrabiał absurdalnie drogi niebieski obsydian, tutaj też Rabban smagnął go krwawinowym biczem. Również tutaj związano go i musiał bezradnie przyglądać się ze zgrozą, jak Rabban i jego siepacze gwałcą nieszczęsną Bheth, a potem ją duszą. W końcu znalazł sposób ucieczki — ukrył się na statku wiozącym ładunek niebieskiego obsydianu dla księcia Leto Atrydy.

Rozejrzawszy się, Gurney pobladł ze złości. Jak mało zmieniło się to miejsce przez te wszystkie lata! Wolałby stawić czoło zbuntowanym fanatykom, niż przeżywać napływ bolesnych wspomnień, które budził ten widok. Ale jeśli on nie uzdrowi tych miejsc, to nie uda się to nikomu.

— Rozkazuję natychmiast zamknąć te kopalnie. — Powiedział to cicho, ale równie dobrze mógł krzyknąć. — Uwolnić tych ludzi i pozwolić im żyć własnym życiem. Niniejszym pozbawiam władzy nadzorców niewolników.

— Lordzie Halleck, wszystko zrujnujesz! Cała nasza gospodarka...

— Guzik mnie to obchodzi. Niech nadzorcy pracują na równi z innymi. — Jego usta wykrzywił uśmieszek. — Przekonamy się, jak im się uda przeżyć.

Postanowiwszy uporać się z najgorszym, pojechał pod Hebanową Górę, w której cieniu znajdowało się skupisko domów uciechy obsługujących niegdyś żołnierzy Harkonnenów. Na Giedi Prime było wiele takich przybytków, ale jego interesował właśnie ten.

Kiedy stanął w drzwiach, poczuł nudności. Wyły w nim wspomnienia pewnej nocy sprzed wielu lat. Towarzyszący mu administratorzy byli wyraźnie przestraszeni wyrazem jego twarzy.

— Kto prowadzi te domy? — zapytał.

Pamiętał starego mężczyznę, który chociaż tkwił w wózku inwalidzkim, prowadził starannie księgi rachunkowe, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje za drzwiami przedsiębiorstwa.

— Z braku innego kierownictwa zarządza nimi Rulien Scheck i doskonale się z tego wywiązuje, lordzie Halleck — odparł jeden z administratorów. — Pracuje tutaj od lat, pewnie nawet od kilkudziesięciu.

— Sprowadźcie go. Natychmiast.

Staruszek wyszedł, prawie się potykając, ale starał się uśmiechać, jakby był dumny z tego, co osiągnął. Wzdłuż jego nóg biegły linie protetyczne, dzięki którym w ogóle mógł nimi poruszać, ale przynajmniej nie był już przykuty do wózka. Miał wielkie brzuszysko, a miękkie, okrągłe pośladki zdradzały, że za dobrze jadał i za dużo siedział. Jego siwe włosy były wypomadowane, jakby uważał, że dodaje mu to elegancji. Gurney od razu go poznał, ale nic nie wskazywało na to, że Rulien Scheck pamięta pewną noc i zrozpaczonego brata pewnej dziewczyny...

— Jestem zaszczycony, że nowy lord Giedi Prime raczył zawitać w moje skromne progi — powiedział Scheck. — Wszystkie dokumenty finansowe są do twojej dyspozycji, panie. Prowadzę czysty i uczciwy interes, z najpiękniejszymi kobietami. Zgromadziłem spodziewane udziały w zyskach na specjalnym rachunku bankowym, otwartym na nazwisko Harkonnenów, a teraz dostępnym dla ciebie. Nie znajdziesz tu żadnych dowodów nieprawidłowości, zaręczam ci, panie. — Złożył ukłon.

— Sam ten dom jest dowodem nieprawidłowości — odparł Gurney.

Przepchnął się do środka, ale nie musiał się zbytnio rozglądać.

Pamiętał te pokoje, te posłania, niekończące się kolejki spoconych żołnierzy Harkonnenów, którzy szukali tutaj przyjemności w ramionach niewolnic, takich jak jego siostra Bheth, ale większą rozkosz znajdowali w pastwieniu się nad nieszczęsnymi kobietami niż w samym seksie. Skauteryzowawszy jej krtań, odebrali Bheth nawet możliwość wykrzyczenia bólu.

Zamknął oczy i nie odwrócił się, by spojrzeć staremu rajfurowi w twarz.

— Zgarotować tego człowieka — powiedział.

Administratorzy zachowali milczenie. Scheck zaskrzeczał i zaczął go przekonywać o swojej niewinności, ale Gurney odwrócił się i skierował w jego stronę palec.

— Bądź wdzięczny, że nie rozkazałem setce żołnierzy, żeby cię najpierw zgwałcili... niektórzy pełnymi kolców pałkami. Ale chociaż na to właśnie zasługujesz, nie jestem Harkonnenem. Umrzesz dość szybko. — Przepchnął się obok zdumionej grupy i wyszedł na zewnątrz, ciężko oddychając, by jak najszybciej wynieść się stamtąd. — A kiedy z nim skończycie — rzucił — dopilnujcie, żeby wszystkie te kobiety zostały uwolnione, żeby każdej znaleziono jakieś miejsce, gdzie będzie mogła zamieszkać, i spalcie doszczętnie te budynki. Spalcie wszystkie domy uciechy na Giedi Prime.

W końcu wrócił tam, skąd pochodził, do Dmitri, ubogiej, beznadziejnej wioski, która w ogóle się nie zmieniła. Jego ojciec i matka nie żyli. Życie znaczyło tak niewiele, więc nie prowadzono rejestru mieszkańców. Na zapuszczonym, przepelnionym cmentarzu Gurney nie znalazł żadnego śladu po rodzicach, jakby nigdy nie istnieli.

Przypuszczał, że któregoś dnia Paul zaproponuje wzniesienie pomnika ku czci ofiar. Nie chciał tego. Rodzice nie zmienili tego świata na lepsze. Ludzie z wioski nie powstali przeciw tyranii. Nie bronili go, kiedy zabierali go siepacze Harkonnenów. Nie chcieli wystąpić przeciw niesprawiedliwości, którą codziennie widzieli.

Gurney smucił się, ale nie czuł potrzeby opłakiwania rodziny.

— Dość tego — powiedział. — Zawieźcie mnie z powrotem do Baronii...

Jednak nawet tam każdy dzień wywoływał wstrętny smak w jego ustach. „*Robię to dla Paula*” — przypominał sobie. Zaczął wydawać proklamacje i rozkazy wprowadzające gruntowne zmiany: miasta miały być przemianowane, wszystkie ślady dawnego stylu życia z czasów Harkonnenów wymazane. Polecił wybudować nowe centrum rządowe, siedzibę władzy, w której nic nie będzie mu przypominało o Harkonnenach.

Ale ludzki ból wniknął głęboko w tę brudną planetę. Nie był pewien, jak długo jeszcze zdoła znieść pobyt na Giedi Prime.



Według kalendarza imperialnego, wyskalowanego na nowo tak, że główne zegary znajdowały się już nie na Kaitainie, lecz na Arrakis, przez którą przechodził też południk, zaczął się 10 198 rok EG. Kolejny rok wielkości Muad'Diba, kolejny rok zwycięstw jego dżihadu. W Arrakin żywiłowe i hedonistyczne obchody nowego roku dorównywały żarowi milenijnemu.

Imperator Paul Muad'Dib stał w rogu otwartego balkonu swojej urządzonej z siczową surowością sypialni. Patrzył na tłumy kłębiące się na ulicach, niezaskoczony bynajmniej manią, która je ogarnęła. Od tysiący lat Fremeni rozumieli ludzką potrzebę dania upustu zwierzęcym popędom i zaspokajali je podczas orgii tau. To, co się teraz działo w Arrakin, było do niej podobne, ale w dużo większej skali, i on sam starannie to zaplanował.

Jego świątobliwość Muad'Dib, ukochany przez lud, otworzył szkatułę, by dostarczyć przyprawy i jedzenia wszystkim suplikantom. Opróżnił cysterny, by w wyciągnięte dłonie płynęła woda, a ludzie rozkoszowali się nią. W kolejnych miesiącach z łatwością ponownie napełni zbiorniki, choćby wodą z alembików śmierci, odzyskiwaną z ciał tych wszystkich bezimiennych zmarłych zgarnianych przez przedsiębiorców pogrzebowych z bocznych uliczek i skupisk ruder.

Chani dołączyła do niego za służą wilgoci, niemal go nie dotykając. Wciąż nie dała mu drugiego dziecka, upragnionego następcy. Oboje wiedzieli, że jest to konieczne, i oboje chcieli mieć dziecko, ale głęboki ból po stracie pierwszego syna, Leto — zabitego przez sardaukarów tuż przed zwycięstwem, które Paul odniósł nad Imperatorem Szaddamem — napełniał ich nieświadomym wahaniem. Lekarze twierdzili, że fizycznie Chani nic nie dolega, ale Paul wiedział, że nie są w stanie zmierzyć ani zbadać złamanego serca matki.

Jednak drugi syn w końcu im się urodzi. Będzie drugi Leto, ale niosło to też ze sobą poważne konsekwencje, zwłaszcza dla Chani.

Oddychali ciepłym wieczornym powietrzem, w którym unosił się zapach dymu, ognisk, na których pieczono jedzenie, kadzidła i niemytych ciał. Głęboko w dole stłoczyło się tak wielu ludzi, falując i kołysząc się w ruchach Browna, które kojarzyły się Paulowi z nieświadomym tańcem w ogromnej skali, równie trudnym cło zinterpretowania jak wiele jego wizji.

— Tak łatwo im mnie pokochać, kiedy okazują hojność — rzekł Paul. — Czy to znaczy, że kiedy przyjdą trudne czasy, równie szybko mnie znienawidzą?

— Znienawidzą kogoś innego, ukochany.

— Czy to sprawiedliwe wobec kozłów ofiarnych?

— Sprawiedliwość nie ma nic do rzeczy, jeśli chodzi o kozły ofiarne — odparła Chani, okazując fremeńską bezwzględność.

Odkąd Ar rak in zaczęło się rozrastać, powstało wiele domów budowanych zgodnie ze sprawdzonymi wzorami tłoczenia się, co pozwalało zachować w żarze pustyni każdą drobinę wilgoci. Inne budynki stały osobno, rzucając dumnie (lub głupio) wyzwanie tradycji — tęskniący za swymi ojczyznami architekci wzniesli gmachy, które przypominały Paulowi Fharris, Wielkiego Haina, Zebulona, a nawet Kulat, planety tak ponure i nędzne, że ich mieszkańcy porzucali je z radością, by przenieść się na Diunę.

Jako kierownik inwestycji Whitmore Bludd nadal nadzorował budowę ogromnego nowego pałacu, a jego projekty stawały się z dnia na dzień coraz okazalsze. Już teraz ukończona część twierdzy Muad'Diba była większa od pałacu Imperatora, który spalili na Kaitainie, Bludd zaś dopiero zaczynał...

Kiedy do ich prywatnego skrzydła wszedł Korba, Paul zauważył, jak łatwo strażnicy go przepuścili, nawet kłaniając mu się z szacunkiem i czyniąc znak jednego z rytów kwizaratu. Nie podejrzewał byłego przywódcy fedajkinów o zdradę — lojalność tego człowieka była równie niezmienna jak jego zapał — nie podobało mu się jednak, że tak łatwo można mu przeszkodzić.

— Wezwałem cię, Korba? — Ostry ton Paula osadził go w miejscu.

— Gdybyś mnie wezwał, Muad'Dibie, byłbym tutaj szybciej. — Najwyraźniej nie rozumiał przyczyny irytacji Paula.

— Cieszyliśmy się z Chani chwilą prywatności. Nie wychowałeś się w siczy? Fremeni powinni wiedzieć, że należy szanować prywatność.

— Wobec tego proszę o wybaczenie za to, że ją naruszyłem. — Korba złożył ukłon i wyrzucił z siebie to, z czym przyszedł, a co nie dawało mu spokoju. — Przepraszam, że to mówię, ale nie podobają mi się te ogromne publiczne zgromadzenia. Oni świętują zgodnie z imperialnym kalendarzem. Powinniśmy odrzucić ten relikw.

— Jest rok 10 198, Korba, licząc od utworzenia Gildii Kosmicznej. Nie ma to żadnego związku ani ze starym Imperium, ani z moim. Obchodzą po prostu nadejście nowego roku, co jest nieszkodliwym, a przy tym niezbędnym daniem upustu energii.

— Ale powinna nastać nowa era: era Muad'Diba — upierał się Korba, po czym wyłożył pomysł, nad którym najwyraźniej pracował już od pewnego czasu. — Proponuję, byśmy zaczęli liczyć czas od dnia, w którym obaliłeś Szaddama IV i Harkonnenów. Poprosiłem już kilku uczonych kapłanów, żeby sporządzili plan wprowadzenia nowego kalendarza i zbadali jego numerologiczne konsekwencje.

Ku wielkiej konsternacji Korby Paul odrzucił ten pomysł.

— Przecież żyjemy w najważniejszym momencie w dziejach. — Korba nie dawał za wygraną. — Powinniśmy to odpowiednio zaznaczyć!

— Nie można oceniać momentu dziejów, w którym się żyje — wyjaśnił Paul. — Gdyby każdy Imperator zerwał kalendarz dlatego, że uważa się za wielkiego, mniej więcej co sto lat mielibyśmy nową erę.

— Ale przecież jesteś Muad'Dibem!

Paul potrząsnął głową.

— Nadal jestem tylko człowiekiem. Moją wielkość oceni historia — powiedziała. „*Albo Irulana*” — dodał w myślach.

Tego samego wieczoru, kiedy leżeli już w łóżku i żadne nie mogło zasnąć, Chani pogładziła go po policzku.

— Coś cię martwi, Usul — powiedziała.

— Rozmyślam.

— Zawsze tylko rozmyślasz. Musisz odpocząć.

— Kiedy odpoczywam, śnię... a to sprawia, że jeszcze więcej rozmyślam. — Usiadł na łóżku, zwracając uwagę na to, jak chłodna i gładka jest droga pościel. Chciał, żeby w jego sypialni umieszczono zwykłe fremeńskie pościel, bez żadnych zbytków, a mimo to wkradły się do niej udogodnienia. Paul bał się, że wbrew jego intencjom i poczuciu honoru, które wpoił mu ojciec, tak łatwy dostęp do tak wielkiej władzy może go w końcu zepsuć.

— Martwisz się czekającymi cię bitwami, Usul? — dociekała Chani. — Thorvaldem i jego rebelia? Wcześniej czy później wszyscy wrogowie ulegną twoim armiom. To nieuniknione... taka jest Boża wola.

Paul potrząsnął głową.

— Należy się spodziewać, że Thorvald i jego jedenastu szlachetnych uzyskają pewne poparcie — powiedział. — Przeciw każdemu Imperium tak potężnemu jak moje powstają buntownicy. Jest naturalne jak słońce i księżyc, że Thorvald zdobędzie zwolenników, a kiedy wzrosną jego wpływy, jeszcze mocniej zjednoczy to przeciw niemu moich stronników. Nie przetrwa długo. Stilgar wyruszył właśnie na Bela Tegeuse ugasić jedno z ognisk tej zarazy. Nie mam wątpliwości, że zwycięży.

Chani wzruszyła ramionami.

— W końcu to Stilgar — powiedziała, jakby stwierdzała oczywisty fakt.

Jak to często robili, jego zwolennicy odpowiedzieliby brutalniej, niż to konieczne. Widział to na własne oczy na polu bitwy na Ehknocie. Oderwał już Gurneya Hallecka od takich obowiązków i dał mu do wyleczenia cały świat Harkonnenów, innego rodzaju pole bitwy, na którym naprawdę mógł wszystko zmienić. Zasłużył na to.

— Czujesz ciężar odpowiedzialności za tych, którymi rządysz, ukev chany — ciągnęła Chani, gładząc go po policzku. — Liczysz zabitych członków ich rodzin jak członków własnej rodziny, ale nie wolno ci nigdy zapomnieć, że ocaliłeś ich wszystkich. Jesteś tym, na którego czekali, Lisanem al-Gaibem, Mahdim. Walczą w twoje imię, bo wierzą w przyszłość, którą przyniesiesz.

Były to dokładnie takie wierzenia, jakie ojciec radził mu wykorzystać w razie potrzeby. A Missionaria Protectiva Bene Gesserit zasiała i rozpowszechniła przesady i prorocstwa, które również dostosowywał do swojej sytuacji. Była to sztuczka, narzędzie.

„*Ale teraz to narzędzie włada tym, który się nim posługuje*” — pomyślał.

— Dżihad żyje własnym życiem — powiedział. — Kiedy jako młody chłopak doznawałem wizji, wiedziałem, że tej wojny nie da się powstrzymać, ale mimo to starałem się zmienić przyszłość, zapobiec szalejącej przemocy. Jeden człowiek nie powstrzyma wędrujących piasków.

— Jesteś kurzawą Coriolisa, która wprawia te piaski w ruch.

— Nie mogę tego powstrzymać, ale mogę tym pokierować. Kieruję tym. Wiem, że to, co ludzie postrzegają jako niewybaczalną przemoc i zniszczenie, jest najlepszym z wielu niemożliwych do przyjęcia rozwiązań.

Odwrócił się z westchnieniem od Chani. Łudził się, że łatwo będzie trzymać cugle i kierować wielkim, żywym stworzeniem, którym był dżihad. Potworem. Podejmował decyzje, wierząc, że wybór właściwego rozwiązania będzie jasny, by się w końcu przekonać, że w większym niż ktokolwiek przed nim stopniu jest więźniem tworzącej się historii. Jego było straszliwe przeznaczenie. Płynął na grzbiecie fali, która mogła pochłonąć jego i wszystkich wokół niego. Nawet kiedy podejmował najlepsze z możliwych decyzje, bez względu na to, czego pragnęło jego serce, widział nieubłagane rozwijającą się krwawą przyszłość.

„Ale alternatywa jest jeszcze gorsza” — pomyślał.

Naprawdę rozważał możliwość usunięcia się z tego równania, wyplątania się z osnowy z krosna Losu. Pozwoliłby sobie stoczyć się w otchłań interpretacji historii i uwznioślenia przez mit.

Ale gdyby wybrał śmierć, M u a d'D i b stałby się męczennikiem. Zajmował poczesne miejsce w sercach i umysłach swoich zwolenników i wyznawców, gdyby więc zaszła taka konieczność, kontynuowałiby świętą wojnę bez niego, ba, wbrew niemu. Czas wziąłby, co swoje. Paul obawiał się, że w razie przedwczesnej śmierci wyrządziłby więcej szkód, niż gdyby żył dalej.

Na stoliku nocnym, obok fragmentu różowej muszli z Ziemi, którą przywiózł mu Bludd z Ekaza, leżały raporty ze szczegółowymi informacjami o ruchach oddziałów i wzorcach statków Gildii oraz długa lista planet, które mógł łatwo podbić. Zniecierpliwiony, zrzucił je na podłogę.

Chani zmarszczyła brwi na widok tej reakcji.

— Nie jesteś zadowolony, widząc tak wielkie postępy? Czyż to nie sukces? — Zwykle rozumiała przyczyny jego nastrojów, ale nie tym razem. — Na pewno dżihad jest już prawie zakończony.

Spojrzał na nią.

— Słyszałaś kiedy o Aleksandrze Wielkim? — odpowiedział pytaniem. — To postać z dawnych dziejów, zapomniana, zatarta przez mgłę czasu. Był wielkim wodzem na Matce Ziemi, powiadają, że najpotężniejszym ze starożytnych imperatorów. Jego wojska przemierzały kontynenty, cały znany mu wszechświat, a kiedy dotarł do morza, zapłakał, bo nie było już ziem do podbicia. Ale historia uważa Aleksandra za wielkiego tylko dlatego, że miał szczęście umrzeć, zanim jego imperium się rozpadło.

Chani zamrugowała.

— Jak to możliwe?

— Aleksander był jak burza. Miał wielu żołnierzy i znakomitą broń, ale po podbiciu każdego ludu ruszał dalej i nigdy nie musiał rządzić. — Paul ujął dłoń Chani. — Nie rozumiesz? Nasze armie ogłaszają zwycięstwo za zwycięstwem, ale pokonanie człowieka różni się od wieloletniej pracy z nim. Irulana ma rację: jak mam przetrwać pokój, kiedy zakończy się Dżihad Muad'Diba, kiedy wygram tę długą wojnę? Czy Aleksandra nadal uznawano by za wielkiego, gdyby musiał zapewniać żywność, wodę, schronienie, wykształcenie i ochronę wszystkim ludom w swoim imperium? Wątpliwe. Dostał gorączki i zmarł, nim jego podboje zaczęły go prześladować.

— Nie jesteś jakimś zapomnianym starożytnym wodzem. Musisz iść za swoim przeznaczeniem, Usul — szepnęła mu Chani do ucha. — Bez względu na to, dokąd prowadzi, to twoje przeznaczenie.

Pocałował ją.

— Jesteś moim pustynnym źródłem, Sihaja — powiedział. — Musimy cieszyć się każdą chwilą, którą spędzamy razem.

Zaczęli się powoli kochać, odkrywając się ponownie i po raz pierwszy.





*Owszem, w rozległym wszechświecie jest wiele cudów, ale — jak na mój gust — za mało pustych.*

— **Komentarze Stilgara**

Na Beli Tegeuse nawet w pełnym świetle dnia zalegała mgła, było mokro i niezbyt jasno. To miejsce ani trochę nie podobało się Stilgarowi. Przy każdym oddechu czuł lepkość w ustach i w nosie. Pod koniec dnia musiał wyżymać ubranie, by usunąć z niego nadmiar wilgoci. Uważał, że przydałby mu się inny filtrfrak — wtyki nosowe i maska na usta, które odfiltrowywałyby wodę z powietrza, żeby mógł oddychać. Chlupotanie wody otaczającej szerokie, wyposażone w ciężką broń kanonierki doprowadzało go do szału.

Stilgar wiedział, że Paul Muad'Dib wychował się nad oceanem. Co noc młodzieniec kładł się spać na Kaladanie, słuchając grzmotu fal za murami zamku. Naibowi trudno było pojąć, jak może być tak dużo wody. To cud, że chłopiec nie oszalał.

A bagna Beli Tegeuse były zdradliwsze niż ocean. Był tego pewien.

Od początku dżihadu, mimo iż na światach Imperium rozproszonych było tak wiele legionów, on sam zatknął zielono-białe sztandary dowodzonych przez Fremenów legionów i zielono-czarne sztandary, pod którymi walczyli inni lojaliści, na czterech planetach. Rozlał mnóstwo krwi, był świadkiem śmierci wielu przyjaciół i wrogów. Ludzie umierali tak samo, bez względu na to, z jakiego świata pochodzili.

Teraz z rozkazu Muad'Diba Stilgar poprowadził te siły, by wytropić i osaczyć zbuntowanego Urquidiego Basque'a, jednego z pozostających jeszcze przy życiu najważniejszych lordów, którzy poparli powstanie earla Thorvalda. Kiedy Basque wylądował na Beli Tegeuse, Stilgar sądził, że zostanie on złapany w pułapkę. Fregaty Muad'Diba rozmieściły flotę kanonierek i łodzi patrolowych zbudowanych przez miejscowych inżynierów, którzy znali teren i byli gotowi schwytać lorda Basque'a i jego bagienne szczury.

Bagienne szczury. Stilgarowi nie podobało się już samo brzmienie tych słów.

Ściganie Basque'a i jego armii przypominało od dwóch tygodni uganie się po wydmach za kulami elektryczności statycznej. Kanonierki posuwały się wolno pod grubą warstwą chmur, napierając na leniwie płynącą brązową wodę. Wkrótce zajdzie przyćmione słońce, a wraz z nadejściem nocy ochłodzi się i zgęstnieje mgła. „*Woda wyciśnięta z powietrza*” — pomyślał.

Stilgar widział tylko dwa z dziesięciu potężnie uzbrojonych statków swojej grupy. Syreny mgłowe i gwizdki brzmiały jak wołanie zagubionych, którzy błagają, by zabrać ich na suchy ląd. Widoczność była gorsza niż podczas burzy piaskowej.

W ubiegłym tygodniu, podczas pościgu za zbuntowanym lordem przez płytkie morze, jedna z ciężkich kanonierek osiadła na mieliźnie. Basque i jego bagienne szczury uciekli, drwiąc z nich, kiedy Stilgar zmuszony był wylądować z unieruchomionej kanonierki ciężką broń i sprzęt, by mogła ruszyć z błotnistej łachy. Zastanawiał się, czy nie porzucić statku i nie kontynuować pogoni, zostawiając ludzi, by sami poradzi sobie na mokradłach, ale połowę z nich stanowili Fremeni i nie chciał opuścić ich w tym wilgotnym miejscu.

Po takiej stracie czasu łodzie zwiadowcze pomknęły naprzód na poszukiwanie śladów. Znalazłszy stare obozowisko, jeden ze zwiadowców powrócił. Pozostali trzej przepadli. Stilgar kazał poprowadzić obserwację z ornitopterów, ale mgła spowijająca ziemię sprawiała, że jednostki powietrzne były bezużyteczne.

W końcu, kiedy zapadł zmrok, nadając niebu siny kolor, wpłynęli w pogmatwaną deltę rzeki i Stilgar nabrał pewności, że dopadną tam Basque'a. Już kilkakrotnie widzieli w oddali zwodnicze światła, szydercze sygnały prawdopodobnie oznaczające miejsca, w których kryła się ścigana przez nich zwierzyna.

Stilgar widział wokół splątane gałęzie i korzenie halacyprysów, drzew tak bardzo różniących się od palm z rzadka rosnących na Diunie. Porastały deltę zwartym gąszczem, jakby były tłumem gapiów patrzących na miejsce wypadku. Cuchnęły jak całe to bagno. Odór ryb i alg przyprawiał go o mdłości. Każdy posiłek, który jadł na Beli Tegeuse, pachniał mułem.

Naib stał na śliskim od mgły pokładzie. Część kanonierek wyposażona była w półtarcze, ale ich dowódcy narzekali, że drgające pole ogranicza widoczność. Czujki nadal wpatrywały się w zasnutą mgłą przestrzeń.

— *Moje mapy są bezużyteczne, mają rok — złościł się stojący obok Stilgara kapitan. — Prądy przenoszą piasek i muł, a halacyprysy chodzą.*

— Jak drzewa mogą chodzić? — zdziwił się Fremen.

— Zapuszczają korzenie w mulistą wodę, przemieszczają się do kanałów i zarastają je. Przesmyk żeglowny w jednym miesiącu, w następnym będzie nie do przebycia. — Kapitan wyrzucił ze wstrętem nieaktualne mapy za burtę i cienkie płachty papieru uniósł prąd. — Równie dobrze mogą zamknąć oczy i zacząć się modlić.

— Wszyscy możemy się modlić — rzekł Stilgar — ale nie powinien to być nasz jedyny plan.

W zapadającym zmroku na bagnach błysnęło sześć świateł, co Stilgar uznał za sygnał, na ktcSry czekał. Na pokładach kanonierek tłoczyli się Fremen, ciskając obelgi na bagienne szczury, które kryły się w upiornych lasach porastających brzegi labiryntu odnóg rzecznych.

— Są w naszym zasięgu! — zawołał naib. — Pora ich dopaść!

— Doradzam ostrożność — powiedział kapitan statku. — Nie lekceważcie lorda Basque a.

— A on nie powinien lekceważyć armii Muad'Diba.

Z mgły wypadło z rykiem, który brzmiał jak łopot skrzydeł ważek nękających ich przez całą drogę przez mokradła, dziesięć płaskodennych, wąskich łodzi, rozpryskując słonawą brunatną wodę. Siedzące w nich bagienne szczury Basque'a uzbrojone były w karabiny, z których dały ognia do Fremenów stłoczonych na pokładach kanonierek. Łodzie zrobiły zwrot, strzelono z nich jeszcze kilka razy na chybił trafił, po czym czmychnęły z powrotem w głąb bagna.

Nie czekając na skoordynowanie akcji, rzuciły się za nimi dwie kanonierki. Stilgar od razu pojął, o co chodzi rebeliantom.

— Pułapka! — krzyknął.

Ale pilot drugiej kanonierki nie usłyszał go. Ogromny statek, napędzany potężnymi silnikami, parł naprzód i po paru chwilach ugrzązł w śliskim mule na płyciźnie.

Siedzący wysoko na gałęziach halacyprysów ludzie Basque'a otworzyli ogień do unieruchomionej kanonierki. Na taką odległość ciężka artyleria była nieprzydatna, ale nie powstrzymało to Fremenów przed wystrzeleniem pocisków burzących, które zniszczyły całe połączenie bagna. Od ognistych kul zapalił się bagieny gaz, co spowodowało eksplozję wtórne. Wielu Fremenów rzuciło się z krzykiem i wyciem do mniejszych łodzi i zanurzyło w labiryncie drzew, ale woda, w której stały te drzewa, bardzo niepokoiła Stilgara.

— Włączyć tarcze! — zawołał kapitan kanonierki. Parę chwil później migocące bariery otoczyły pokład, chroniąc żołnierzy, ale jednocześnie uniemożliwiając im użycie broni miotającej. Tymczasem kil kanonierki szorował w mule. — Nie możemy płynąć dalej — oznajmił kapitan.

Stilgar włączył tarczę osobistą i rozkazał swoim ludziom zrobić to samo.

— Popłyniemy na tratwach, a potem będziemy walczyli pieszo — powiedział.

Jednak zanim zdążyli zejść z kanonierki, z mętnej wody wyłonili się buntownicy w strojach płetwonurków i wolno przeszli przez główną tarczę. Było ich ośmiu; działali sprawnie. Stilgar dostrzegł ich dopiero wtedy, kiedy zaczęli odpływać, przymocowawszy ładunki wybuchowe do kadłuba i znowu przeniknąwszy wolno przez tarczę. Wydał ostrzegawczy okrzyk.

Kilku jego ludzi wskoczyło do wody, tak jak uczył ich Gurney Halleck. Starali się oderwać miny, ale te w ciągu paru sekund wybuchły. Fala uderzeniowa odbiła się od tarczy i uderzyła w kanonierkę, powodując jeszcze większe zniszczenia. Na Stilgara runęła ściana ognia i gorących gazów i przewróciła go na pokład. Oślepiiony, kaszląc, podpełznął do relingu. Czuł, jak tańczy pod nim pokład, kiedy statek podskoczył i z powrotem opadł.

Nie będąc w stanie się pozbierać, Stilgar stoczył się za burtę. Chłodna woda podziałała kojąco na świeże oparzenia. Koło niego pływały dziesiątki ciał i ludzkich szczątków. Kanonierka kołysała się.

Popłynął w stronę drzew, pragnąc przytrzymać się czegoś. Obok niego wynurzył się jeden z płetwonurków Basque a i próbował go zaatakować, ale Stilgar wyciągnął już krysnoź. Przeciął przewód powietrzny nurka, rozplatał mu gardło i jeszcze drgającego pchnął w szkarłatną plamę na kłębiącej się powierzchni bagna.

Do uszu naiba dobiegły stłumione przez mgłę następne odgłosy wybuchów i krzyki. Miny zniszczyły jeszcze dwie kanonierki, a trzecia osiadła na mieliźnie. Wciąż grzmiała ciężka artyleria, powalając las, rozrywając bagno i prawdopodobnie równając z ziemią obóz Basque a, jeśli nie mierzonymi, to przypadkowymi trafieniami.

Teraz, kiedy złość Fremenów została podsyczona, nic nie mogło ich zatrzymać. „*Muad’Dib! Muad’Dib!*” — krzyknęli i parli naprzód, rozpryskując wodę. Stilgar nie miał wątpliwości, że wielu z nich, może nawet większość, utonie, ponieważ wciąż byli nieobeznani z wodą. Inni spuścili na nią małe łódki.

Chociaż rebelianci nadal strzelali do nich jak do kaczek, tala wojowników džihadu okazała się potężniejsza od siły ognia przeciwnika i przełamała jego linie obronne. Żołnierze Stilgara nie wiedzieli, co to znaczy przegrywać czy wycofywać się.

Brnąc z chlupotem w stronę gruzłowatych korzeni halacyprysów, Stilgar stwierdził, że jest zupełnie zdezorientowany chaotycznym przebiegiem bitwy. Choć znał biegle sztukę wojowania na pustyni, zupełnie nie pojmował taktyki walki na wodzie. Był żołnierzem suchego lądu, niepokonanym w walce wręcz. Znał nazwy wszystkich rodzajów pustynnego wiatru, kształtów wydm i wiedział, co oznaczają chmury w oddali. Tymczasem to miejsce było mu zupełnie obce.

Zanim dotarł do środka bagna, stanął w sięgającej ud wodzie i chwycił się śliskich od mchu korzeni, ocalało dość wrzeszczących Fremenów, by wdrzeć się do obozu bagiennych szczurów i rozprawić krwawo z pozostałymi buntownikami. Wiedział, że musiał stracić setki ludzi, ale poległi chwalebną śmiercią, służąc Muad’Dibowi, więc ich rodziny będą twierdzić, że nie pragnęli niczego innego.

Wydobył się z wody i ze wstrętem spostrzegł, że jego nogi, brzuch i pierś pokrywają dziesiątki grubych, oślizgłych pijawek, które pęcznieją, sycąc się jego krwią. Cieszył się, że nikt go nie widzi, bo wrzasnął jak baba i zaczął ciąć pasożyty krysnożem i odrywać je od ciała.

Kiedy się uspokoił i ruszył ciężkim krokiem ku dogasającym zgliszczom obozu, walka miała się już ku końcowi. Słysząc jeszcze było pojedyncze krzyki bólu, gdy Fremen dorzynali każdego bagiennego szczura, który nie miał tyle szczęścia, by paść w bitwie.

— Zwyciężyliśmy, Stil! — zawołał młody Kaleff, który wyglądał, jakby od czasu Kaitaina postarzał się co najmniej o dziesięć lat. — Zmiażdżyliśmy ich w imię Muad’Diba.

— Tak, kolejne zwycięstwo.

Stilgar był zdumiony, jak bardzo ochrypli stał się jego głos. To nie było to samo co razzia na Harkonnenów. Nie sprawiało wrażenia równie wielkiego osiągnięcia jak atak podczas burzy piaskowej na ogromny metalowy obóz Szaddama. Nie, zniszczenie ogniska buntu na tym ponurym bagnistym świecie różniło się diametralnie od walki, do której się urodził.

Pijawki, chodzące drzewa, muł i szlam... nie mógł się opędzić od myśli, jak bardzo tęskni do suchego piasku — do świata takiego, jaki powinien być.



*Zwycięski przywódca sam określa, co jest dla niego sukcesem, i nie pozwala ludziom mniejszego formatu zmienić tej definicji.*

— Imperator Elrood Corrin IX, na krótko przed otruciem

Narodziny pierwszego wnuka Szaddama Corrina — i zarazem jego pierwszego dziedzica pici męskiej — powinny być hucznie fetowane i witane aplauzem tłumów na wspaniałym Kaitainie. Kiedy jednak obalony Imperator stał w izbie porodowej i patrzył, jak podają Wensicji jej nowo narodzone dziecko, myślał tylko o tym, co stracił.

Wszystkie te lata poświęcone przygotowaniu Irulany... zmarnowane. Jak często przypominała mu Wensicja, wiązał nadzieje z niewłaściwą córką.

Trzymając noworodka w ramionach, Wensicja udawała, że jest szczęśliwa, ale nawet ona nie potrafiła ukryć rozczarowania, że jej syn, następny w linii Corrinów, nigdy nie zajmie należnego mu tronu Imperatora.

„*Chyba że uda się coś zrobić...*” — pomyślała.

Owego pamiętnego dnia, po klęsce na równinie pod Arrakin, Irulana zbliżyła się do ojca i zaproponowała rozwiązanie.

— Tu oto jest mężczyzna, ktcSry nadaje się na twego syna — rzekła.

Był głupcem, że jej wtedy posłuchał. Chociaż Irulana poślubiła Paula Atrydę, najwyraźniej nie miała żadnego wpływu na męża, nie pełniła żadnej oficjalnej funkcji w rządzie (nie żeby on sam dał swoim żonom choć trochę więcej władzy, niż miała Irulana). Nie była nawet żoną, którą się chwalił. Stała się marionetką Muad'Diba, wypisującą absurdalne historie propagandowe, które utwierdzały religijnych fanatyków w przekonaniu, że jest on mesjaszem.

Mimo iż od tamtej pory upłynęło już prawie pięć lat, nie udało jej się nawet zająć w ciążę, co przynajmniej wprowadziłoby z powrotem ród Corrinów na tron. Byłby to najzgrabniejszy sposób uprzątnięcia tego bałaganu. Irulana była piękna, zdolna i została wykształcona przez czarownice. Czy trudno by jej było uwieść młodzieńca, w którym buzowały hormony? A może popełniła błąd i uległa urokowi własnych bajek, uwierzyła w mity, które stworzyła?

Szaddam patrzył przez chwilę nieobecny wzrokiem. Najwyraźniej opuścił go nawet Hasimir Fenring. Chociaż baszar Garon wytropił go przed laty i — posłuszny rozkazowi swego pana — wręczył mu w darze cesarski sztylet z wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią, Fenring nie przybył spieszenie na Salusę.

„*Myśli, że z jakiego powodu pozwoliłem jego bezbarwnemu kuzynowi poślubić Wensicję?* — oburzył się Szaddam. — *Co mogłoby być aktem większej skruchy?*”

Nawet Dalak, starając się rozpaczliwie udowodnić Szaddamowi swoją wartość, próbował nawiązać kontakt z Fenringiem, ale bezskutecznie.

Szaddam był pewien, że gdyby tylko Hasimir zaczął znowu działać u jego boku, znaleźliby rozwiązanie tego galaktycznego kryzysu. Ale hrabia nie chciał wrócić, co rodziło niepokojące pytania. Co naprawdę robi Hasimir? Dlaczego z własnej woli mieszka od lat wśród tych odrażających Tleilaxan... i wychowuje tam córkę?

Promieniujący szczęściem jako świeżo upieczony ojciec Dalak Zor-Fenring odszedł od łóżka Wensicji i spojrzał na zatroskaną twarz Imperatora.

— Dobrze się czujesz, ojcze? — Miał niemal kobiecy tembr głosu. Był o pięć lat młodszy od Wensicji.

Szaddam łypnął na niego gniewnie.

— Nie dałem ci pozwolenia, byś się tak do mnie zwracał — powiedział.

Jego zięć cofnął się zaczerwieniony.

— Wybacz mi, panie, jeśli pozwoliłem sobie na zbytnią poufalskość — rzekł. — Jeśli nie podoba ci się przejaw moich uczuć, już nigdy nie nazwę cię ojcem.

— Bardzo mało mi się w tobie podoba, Dalak. Dla ciebie zawsze będę I m p e r - a t o r e m C o r r i n e m — oznajmił Szaddam i dodał w myślach: „*Chyba że sprowadzisz mi Hasimira Fenringa*”.

Kuzyn Fenringa miał szczupłą twarz i duże czarne oczy, ale na tym kończyło się jego podobieństwo do hrabiego. Hasimir zawsze dobrze się prezentował w eleganckim ubraniu, tymczasem Dalak wyglądał

w podobnym stroju jak dandys. Był jedyną osobą na wygnaniu na Salusie, która nosiła jedwabie i koronki. Wensicja chyba nawet go nie lubiła (co było drobną pocięchą).

Pozostawiony samemu sobie, żyjąc w nielasce, Szaddam tracił nadzieję, że znajdzie lepsze partie dla pozostałych trzech córek. Na szczęście w żyłach Dalaka, mimo iż nie miał żadnego oficjalnego tytułu, płynęła błękitna krew i udało mu się przynajmniej począć syna. Nie powiodło się to żadnej z żon Szaddama.

Bez jego pozwolenia — co było kolejnym świadectwem braku dobrych manier — otworzyły się drzwi za jego plecami.

— Przyszliśmy zobaczyć dziecko.

Chalicea, mocno zbudowana i wysoka, była nieco starsza od Wensicji; dwie młodsze córki, Josifa i Rugia, też już były dorosłe, ale mimo iż przeszły wstępne szkolenie pod okiem Bene Gesserit, nadal trzymane były pod kloszem. Wszystkie podbiegły do łóżka Wensicji, by pogruchać do noworodka.

— Wybraliście już imię? — zapytała Rugia, spoglądając to na Wensieję, to na Dalaka. Ze średniej długości kręconymi brązowymi włosami, wysokimi kośćmi policzkowymi i lawendowymi oczami jego najmłodsza córka była całkiem ładna, ale wydawała się infantylna i bezmyślna. Rugia... po prostu była. Pomimo braku wyrazistej osobowości w minionych dniach przystojni młodzi szlachcice staliby w kolejce na ulicach Kaitaina, by móc poprosić o jej rękę. Ale nie teraz.

— Postanowiliśmy nazwać go Farad'n — rzekł Szaddam, używając imperatorskiego „my”. — To zaszczytne imię nosiło wielu Corrinów, z których najslawniejszy był prapradziad następcy tronu Raphaela. Byli również inni znamienici Farad'nowie, poczynając od...

Ucichł, kiedy zorientował się, że nikt go nie słucha. Josifa wzięła dziecko i kołysała je, przemawiając do niego głupio. Szaddam skrzywił się.

„*Mój pierwszy wnuk urodził się w śmierdzącym zaułku wszechświata, a teraz gada do niego idiotka*” — pomyślał.

Podszedł bliżej łóżka.

— Daj mi go, Josito — powiedział, ona zaś zrobiła zaskoczoną minę. — I przestań bablać do niego jak kretynka. Skazisz jego umysł bzdurami, których pełno jest w twoim. Zapewnię Farad'nowi najlepszych nauczycieli, jakich uda mi się znaleźć. Jest dziedzicem Imperium. — Postawiwszy na swoim, wziął niezgrabnie dziecko na ręce. — Pewnego dnia staniesz się prawdziwym Corrinem, Farad'n — przemówił do zawiniątka, jakby przepowiadał wnukowi przyszłość. — Zapamiętaj moje słowa.

— Zor-Fenring-Corrinem — powiedział Dalak, a na jego twarzy cherubina pojawił się uśmiech.

— On jest Farad'nem Corrinem. A ty, Dalak, nigdy już nie sugeruj, że jest inaczej.

W pokoju zapanowała cisza. Słysząc było tylko Szaddama, który głądził noworodkowi, jak wielki stanie się pewnego dnia.

*Jest wiele sposobów uczenia i wiele sposobów oduczania. Często to kwestia precyzyjnego zadawania bólu.*

— mistrz Ereboam, *Podręcznik procedur laboratoryjnych*

— Proces wypaczania jest jednym z najświętszych tleilaxanskich sekretów — powiedział doktor Ereboam z ostrzegawczą nutą — i składa się z wielu subtelnych kroków. — Stał u wejścia do swojego zagraconego gabinetu, spoglądając ze szczególnym gniewem na lady Margot i małą Marie. — Rozumiecie, oczywiście, że mogę wam pokazać tylko drobną część tego długiego procesu.

— Aaach, oczywiście. — Stojąc z żoną i małą Marie, hrabia Hasimir Fenring nawet nie mrugnął. Jego osobowość, sama w sobie, budziła strach niczym naładowana broń. — Wszyscy mamy sekrety, hmm? Przez te wszystkie lata nie powiedziałem mojemu przyjacielowi Szaddamowi ani słowa o waszych prawdziwych planach... i o błędach... które popełnili Tleilaxanie podczas realizacji programu amal. — Przeciągnął palcem po górnej wardze. — A czy Imperator Muad'Dib nie byłby tym zainteresowany? Tak, wiem, że byłby.

— Hidar Fen Ajidica był nieuczciwym naukowcem! Jego plan nie został zatwierdzony przez kehl! — zachnął się doktor.

Wyjaśnienie Ereboama brzmiało nieprzekonująco. Jego mlecznobiała skóra zrobiła się jeszcze bledsza.

— Hmm, aaach, jestem pewien, że Muad'Dib uwierzyłby ci.

Lady Margot wzięła hrabiego pod ramię.

— Nie musisz obawiać się prawdy, doktorze Ereboam... jeśli to prawda — powiedziała.

Zapędzony w róg badacz albinos szarpnął swoją kozią bródkę.

— Korzystałeś już z tego, by nas szantażować, i od lat udzielamy wam schronienia — rzekł. — Dalsze groźby są niepotrzebne.

— Tak, aaach... hmm, nasze losy są ze sobą związane. — Na ustach hrabiego pojawił się przebiegły uśmiezek. — Nie powinniśmy się siebie lękać... i mieć przed sobą zbyt wielu sekretów. Zobaczmy proces wypaczania. Być może moja pani i ja moglibyśmy się nauczyć teclv nik, które można by zastosować w wychowaniu naszej drogiej córki.

Fenring ani przez chwilę nie wierzył w zapewnienia Ereboama o jego altruistycznych motywach, kiedy przed kilkoma miesiącami badacz zaproponował, że procesowi wypaczania można poddać Marie.

— Mogłoby to wyzwolić niewidoczne dotąd możliwości dziecka — powiedział wówczas Ereboam. — Nie chcecie, by dziewczynka była przygotowana na wszelkiego rodzaju wyzwania? — Już samo istnienie wolnych i niezależnych kobiet było dla tleilaxanskich mistrzów obrazą. Wydawało się, że również dziewczynka jest cierniem w ich boku. Nie, hrabia Fenring nie ufał im.

— Hmm, być może powinniśmy najpierw przyjrzeć się temu procesowi. — Kiedy zobaczył, że tleilaxanski badacz wzdraga się przed tym, wiedział, że podjął słuszną decyzję. — Nalegam. Marie uśmiechnęła się anielsko.

— Jestem tylko małą dziewczynką, ale chcę się uczyć — wyszczebiotała.

Biorąc pod uwagę znakomite pochodzenie Marie oraz jej nienaganne wychowanie i szkolenie, Fenring wiedział, że on i Margot mogą z nią wiele osiągnąć. Szpieg, zabójczynie, zbawczynie, dziewczynka Imperator... O wiele więcej, niż pozwoliłyby Bene Gesserit.

Naukowiec albinos był rozczochrany, a pod oczami miał ciemne obwódki, jakby nie spał w nocy. Mimo to mówił energicznym, nawet entuzjastycznym głosem.

— Chodźcie ze mną, ale nie spodziewajcie się, że zrozumiecie wszystkie niuanse. Według mnie jest to bardzo ekscytujący proces.

Ereboam wprowadził ich do laboratorium, w którym znajdowało się wiele sięgających aż do sufitu klarplazowych cylindrów. Otaczały je rury, wsporniki i dwa poziomy kładek. Ponurzy technicy ze średniej kasty doglądali buczącej i pulsującej maszynierii, siedząc przy identycznych panelach kontrolnych. Obok cylindrów stało ośmiu mężczyzn z ogolonymi głowami, ubranych w skromne stroje z błony, które niecałkowicie zakrywały ich różnie ukształtowane ciała. Jeden z nich trząsał się, dwóch wyglądało na przerażonych, natomiast reszta zachowywała stoicki spokój. Fenring nie mógł uwierzyć, że wszyscy są gholami, takimi jak zgładzone kopie Pitera de Vriesa.

Lady Margot i Marie miały miny, jakby szykowały się do obejrzenia występu kuglarza. Niespokojny doktor albinos był kłębkim nerwowej energii, kiedy chodził w tę i z powrotem przed cylindrami.

— Za chwilę będziecie świadkami jednej z chemicznych faz indoktrynacji, niewielkiej części procesu przygotowawczego, który ma zmiękczyć psychikę kandydata na mentata, by można ją było ponownie, właściwie ukształtować — wyjaśnił.

— W jakim stopniu niszczy to jego oryginalną osobowość? — zapytała lady Margot.

Tleilaxanin zrobił urażoną minę.

— Na niektórych obszarach rywalizujemy ze zgromadzeniem żeńskim. Nie możecie oczekiwać, że wyjawimy wszystko. — Margot nadal patrzyła na niego w skupieniu, potęgując jego niepokój, i w końcu dodał: — Proces wypaczania zawiera komponent chemiczny i farmakologiczny, komponent fizycznego nacisku i komponent psychologiczny. Ostatecznie kandydat zostaje złamany i na nowo uformowany, jest całkowicie uległy i niezwykle wyszkolony. To technika szczególnie przydatna wobec mentatów, którzy wymagają zarówno surowych, jak i delikatnych zabiegów, by stworzyć ponadprzeciętną formę umysłu.

— A zatem, aaach, leki, stres i narzucone konflikty, które prowadzą do punktu krytycznego — podsumował Fenring.

Marie przyglądała się wszystkiemu zachłannie, niemal żarłocznie.

— Chcę to widzieć z bliska — powiedziała.

Hrabia popatrzył na Ereboama, upewniając się, że badacz wie, iż nie jest to prośba.

Ośmiu kandydatów na wypaczonych mentatów wprowadzono, niektórych brutalnie, do cylindrów przez boczne włązy, które następnie zamknięto niczym w więziennych celach. Fenring patrzył na wzrastający niepokój na ich twarzach. Jeden z mężczyzn zaczął bezskutecznie uderzać w grubą, wygiętą ścianę.

— Wszystko jest w normie — powiedział lekceważąco Ereboam. — Wszyscy kandydaci mają być zdezorientowani i zaniepokojeni. To część całego procesu.

Rozległ się dźwięk, jakby skądś trysnęła woda, i cylindry zaczęły wypełniać się brązowym płynem o konsystencji syropu. Marie krzyknęła — albo z obawy, albo z radości — gdy ciecz przykryła ośmiu bezwłosych mężczyzn. Chociaż w miarę przybywania płynu starali się unieść, nie mogli już utrzymać głów na powierzchni. Umilkł chłupot i w mrocznych wnętrzach cylindrów widać było szamoczące się cienie. Ereboam nawet się nie ruszył, by przerwać eksperyment.

— Topisz ich? — zapytała lady Margot.

Stojąc u podstawy najbliższego cylindra, doktor uśmiechnął się uspokajająco.

— Kiedy wreszcie otworzą usta, ich płuca wypełni mocno natleniona mieszanka — powiedział. — Będą mogli oddychać... po pełnym poddaniu się temu procesowi. To lekcja duchowości, potrzeby całkowitego zawierzenia czemuś, co przekracza ich pojmowanie. Zaufania nam. Są bezsilni i muszą wiedzieć, że mogliby tam umrzeć... ale kiedy się poddadzą, przekonają się, że my — ich panowie — jesteśmy litościwi. Stanąwszy twarzą w twarz ze śmiercią, przejdą pierwszy etap podporządkowania się. Pierwszy z wielu.

— Hmm... aaach... Rozumiem, jak mogłoby to działać — rzekł Fenring.

Kiedy ośmiu mężczyzn przestało się miotać w cylindrach, w cieczy pokazały się bąbelki. Wdychali ją i wypuszczali powietrze.

— Jest to też klucz do pierwotnego oprogramowania w ich umysłach, sięgającego czasów, kiedy ten gatunek wyszedł z oceanów na ląd — ciągnął Ereboam. — Wystawiamy nasze obiekty na działanie pierwotnych warunków, by obejść płataninę ludzkiego doświadczenia. Wypaczanie jest w pewnym sensie błędną nazwą. Wolę myśleć o tym jako o usuwaniu wypaczenia, prostowaniu, procesie oczyszczania, dzięki któremu uzyskujemy *tabula rasa*, czyste płótno do tworzenia dzieła naszej sztuki genetycznej.

Ereboam uniósł ręce i wskazał przyległe cylindry. Ciecz się wyklarowała i pokazały się zatopione w niej osoby.

— Wyglądają jak ryby w akwarium — zauważyła Marie. — Spójrzcie na ich usta.

— Kiedy uświadomią sobie, że wciąż żyją, że mogą oddychać, zaczniemy zmieniać skład chemiczny cieczy, dodając narkotyki, które wprawiają ich w euforię i spowodują, że staną się jeszcze uleglejsi. Przez powtarzanie i wzbudzanie na przemian bólu i strachu stworzymy wkrótce podstawy ich nowego formatu umysłowego. Naszego formatu. Cały proces trwa lata i dlatego właśnie prawdziwy wypaczony mentat tak dużo kosztuje. Ponad połowa prób kończy się niepowodzeniem.



— Niepowodzeniem? A nie śmiercią? — zapytała lady Margot.

Ereboam spojrział na nią.

— Śmierć jest niepowodzeniem — odparł. — To nie gra ani rozrywka. My, Tleilaxanie, musimy utrzymywać wysoki poziom.

— Tak jak my, hmm. — Fenring położył ojcowskim gestem dłoń na ramieniu dziewczynki. Sam uczył córkę finezyjnych sztuczek stosowanych w walce, subtelnych sposobów zabijania i innych niuansów rzemiosła asasyjna. Wzbogacona o znajomość dyscyplin umysłowych Bene Gesserit, które wpały jej zarówno matka, jak i niania, Marie była już równie biegła jak dwukrotnie starsza od niej akolitka. — Ale nie chcemy narażać naszego drogiego dziecka na takie ryzyko.

— Plan eugeniczny Bene Gesserit rozwijany jest od pokoleń, a w naszej córce skumulowały się wieki starannych manipulacji — dodała Margot. — Ona jest niezwykłym okazem.

Ku ich zaskoczeniu tleilaxański badacz skwitował to prychnięciem.

— Wiemy o eugenicznych wysiłkach zgromadzenia żeńskiego i od dawna mamy taki sam cel: stworzenie Kwisatz Haderach — powiedział.

— A po co Bene Tleilax miałby być potrzebny Kwisatz Haderach? — zapytała lady Margot kpiąco.

— Z tego samego powodu, dla którego chce go mieć zgromadzenie żeńskie — odparł Ereboam. — Być może zrealizowałyście wasze plany wcześniej niż my nasze, ale okazało się, że to zupełnie niewypał. Popatrzcie, co czarownice wypuściły na wszechświat.

— A wasze plany przyniosłyby lepszy rezultat? — Lady Margot spojrzała na albinosa. Jej mąż był nieudanym Kwisatz Haderach, ale — jak ona to widziała — jego „*niepowodzenie*” okazało się w ostatecznym rozrachunku więcej warte niż rzekomy „*sukces*” Paula Atrydy.

— Dopiero się okaże, jaki będzie los naszego kandydata — odparł Ereboam. — Nasz najbardziej obiecujący okaz nie osiągnął jeszcze szczytu swoich możliwości. Potrzebujemy paru miesięcy i będziemy mieli własnego Kwisatz Haderach.

Fenring spojrział na żonę — myśleli o tym samym. Kwisatz Haderach wyhodowany przez Tleilaxan? Był to kolejny sekretny program, który będą musieli zobaczyć. Będą na to nalegać.



*Nie boję się trucizn ani drapieżników, sztyletów ani zagrożeń stwarzanych przez naturę. To ludzi się boję, bo przed nimi trudniej się bronić i dużo trudniej ich zrozumieć.*

— św. Alia od Noża

Zespoły budowlane wzniosły w Arrakin wysokie wieże i pomniki, z których wiele poświęcono Alii Atrydzie, niezwyklej — a jak niektórzy powiadali, świętej — siostrze Muad'Diba. Chociaż Alia nigdy nie prosiła o ten zaszczyt, uważała, że jest to zabawne.

Whitmore Bludd zaprojektował z myślą o niej całe skrzydło znajdującej się na północ od miasta, stale rozbudowywanej twierdzy, ale fircykowaty mistrz miecza miał niezgodne z rzeczywistością wyobrażenie o zainteresowaniach Alii. Nie będąc w stanie pojąć, że nie jest ona zwykłym dzieckiem, wybrał dla niej łagodne, pastelowe kolory, misterne, kwieciste łuki i pokoje z landrynkowatymi ozdobami. Zabawki. Jakby była normalną dziewczynką.

Zamiast do nich, Alia wprowadziła się do ciągu pomieszczeń, które Bludd nazwał „pokojami gościnnymi”. Ku wielkiemu niezadowoleniu mistrza miecza jej bajkowe apartamenty stały puste. Jeśli chodziło o Alię, równie dobrze można je było przekształcić w magazyny.

W pokoju, który wybrała, stał duży zbiornik z płazu, a w nim znajdowało się siedemnaście czarnych stworzeń. Mogła siedzieć godzinami, obserwując ich zachowanie pod panelem cieplnym. Uwielbiały kryć się w cieniu albo wygrzewać na dekoracyjnie ułożonych kamieniach. Przez większość czasu czarne skorpiony rzadko się poruszały; siedziały, czekając na zdobycz, którą Alia dostarczała im, gdy nadchodziła pora karmienia. Mogły tak trwać bez ruchu, dopóki jakiś impuls nie wyzwolił ich instynktownej, genetycznie zaprogramowanej reakcji.

Ze wspomnień niezliczonych istnień wewnątrz niej Alia wiedziała, że dzieci lubią mieć zwierzaki. A zatem świadomie postanowiła też sobie jakieś sprawić, chociaż część jej „ja” rozumiała, że robi to z niewłaściwych powodów.

Zdjęła pokrywę i pochyliła się nad zbiornikiem. Potrafiła rozpoznać każdego z siedemnastu pajęczaków, ale nie zdobyła się na niepoważny krok, jakim byłoby nadanie im imion. Nie miała w sobie aż tak dużo z małej dziewczynki.

Dwa stworzenia poruszyły się, reszta pozostała nieruchoma. Czasami Alia obserwowała, jak toczą walki o swój drobny kawałek zamkniętej w płazowym zbiorniku ziemi. Przypominały pod tym względem czerwie zmagające się na granicach swoich terytoriów... albo armie jej brata toczące bitwy podczas dzihadu. Pojedynki te różniły się tylko skalą.

Sięgnęła do zbiornika i przypomniała sobie o ozdobnym akwarium, które jej matka miała w zamku kaladańskim — wspomnienie z czasów na długo przed jej narodzinami. A k w a r i u m. Słowo nieczęsto wymawiane na Diunie. Pomysł, by używać przezroczystego zbiornika z wodą do trzymania ryb jako ulubionych zwierząt, Fremenowi wydałby się dziwaczny. W tym akwarium nie było wilgoci, tylko stworzenia piasku i skał.

Skorpiony takie jak te były powszechne na pustyniach Diuny. Fremen trzymali je dla jadu, którym smarowali ostrza krysnoży. Kolec jadowy zawierał niezwykle silną wydzielinę, która była groźniejsza od wielu trucizn używanych przez Tleilaxan.

Jednak Alia nie przejmowała się truciznami. Opuściła łono z myślami i umiejętnościami Matki Wielebnej. Kiedy jej matka zażyła Wodę Życia, zmieniło to fundamentalnie biochemię jej ciała oraz ciała nienarodzonej córki. Kolec jadowy skorpiona nie mógł jej nic zrobić.

Palce Alii były małe, jak palce dziecka. Na jej krótkich rękach było niewiele ciała. Kiedy włożyła dłoń do zbiornika, skorpiony cofnęły się, podnosząc zakrzywione odwłoki i przyjmując pozycję obronną. Kolce jadowe przypominały zagięte igły. Dwa pajęczaki najbliższe jej ręki uniosły szczypce, gotowe do walki.

Alia wolno przesuwiała rękę. Chwyciwszy ostrożnie za jeden z segmentowych odwłoków, podniosła skorpiona, a potem drugiego i posadziła je na grzbiecie dłoni. Szybko się tam usadowiły; robiła to często. Kiedy szły po jej ramieniu, ich ostre odnóża łaskotały ją. Nie bały się jej. Alia roześmiała się.

Miała w głowie liczne grono widmowych przyjaciółek, sióstr i przodkiń, ale były one tylko wspomnieniami życia istnień o osobowościach ukształtowanych w ciągu niezliczonych lat i w wyni ku przeróżnych doświadczeń. Jako takie były kiepskimi towarzyszami dziecięcych zabaw i Alia pozostawiała sam-

otna. Nie miała prawdziwych przyjaciółek, żadnej powiernicy, z którą mogłaby chichotać albo dzielić się szeptem pomysłami. Zresztą skorpiony też nie były zbyt miłe.

Usłyszała stłumiony okrzyk przerażenia.

— Dziecko, co ty robisz?

Rozpoznawszy od razu głos Irulany, Alia wzdrygnęła się, ale się nie odwróciła.

— Czy to była próba zabójstwa, droga Irulano? — spytała, nadal zaglądając do zbiornika.

— Mogłaś sprawić, że zaskoczona, poderwałabym rękę, a wtedy skorpiony ukłułyby mnie.

Irulana podeszła ostrożnie.

— Dobrze wiesz, Alio, że nie miałam takiego zamiaru, a skoro — jak mi tak często przypominasz — jesteś Matką Wielebną, mogłabyś unieszkodliwić każdą truciznę.

— To dlaczego się martwiłaś?

— Nic nie mogłam na to poradzić. Bałam się o ciebie.

— Taki brak opanowania dowodzi, że zapomniałaś parę rzeczy ze swojego szkolenia Bene Gesserit. Nie powinnaś teraz pisać nowej książki? Mój brat nie może się jej doczekać.

— Praca nad nią postępuje dobrze, ale natrafiłam na wiele sprzeczności. Trudno mi wybrać wersję, którą wolałabym przedstawić jako prawdziwą. Kiedy napiszę tę historię, większość ludzi zaakceptuje ją, muszę więc być ostrożna.

— Ostrożna w sprawie faktów czy stojącej za nimi polityki? — zapytała szelmowskim tonem Alia.

— Jedno wpływa na drugie. — Irulana podeszła bliżej zbiornika. — Po co trzymasz te stworzenia?

— Lubię się z nimi bawić. Jeszcze mnie nie ukłuły.

Irulana wydawała się skonsternowana, ale nie było to nic nowego. Księżna niezupełnie rozumiała swoją rolę wobec siostry Paula, która z formalnego punktu widzenia była jej szwagierką. Czasami Irulana przejawiała w stosunku do niej dziwnie macierzyńskie uczucia, a Alia nie była pewna, czy są one szczerze. Wydawało się, że Irulana nic dzięki nim nie zyskuje, ale...

— Obnosisz się z tym, że jesteś kimś więcej niż dzieckiem, ale jakaś część ciebie jest — albo chce być — dziewczynką. Miałam cztery młodsze siostry, z którymi mogłam się sprzeczać i dzielić sekretami, kiedy tylko niańki albo strażnicy spuszczały nas z oka w pałacu Imperatora. Przykro mi, że nie masz nawet tyle z dzieciństwa, Alio.

Nagłym ruchem Alia zrzuciła skorpiony na piasek i kamienie w zbiorniku. Rozdrażnione i zdeorientowane, zaczęły ze sobą walczyć, klekocząc szczypcami i dźgając się kolcami jadowymi.

— Mam wiele dzieciństw, wszystkie w Innych Wspomnieniach. — Nie mogła się powstrzymać od złośliwości. — Zrozumiesz to pewnego dnia, Irulano, jeśli zostaniesz Matką Wielebną.

Księżna nie połknęła przynęty.

— Możesz sobie tak mówić, mała Alio — powiedziała. — Wiem, że z Innych Wspomnień potrafisz się dowiedzieć wielu rzeczy, ale nie wszystkiego. Potrzebujesz własnego dzieciństwa.

Sicz Tabr.

Paul i jego matka udali się tam, uciekwszy przed Harkonnenami, przed tak wieloma laty, ale wcześniej ta odosobniona sicz była po prostu jedną z fremeńskich osad, niewiele różniącą się od pozostałych. Teraz uważano ją za święte miejsce.

„Zmieniam wszystko, czego dotknę” — pomyślał Paul.

Dzięki fremeńskiemu tradycjonalizmowi sicz Tabr pozostała niezmienną, podczas gdy w Arrakin nadal rozrastały się pod mistrzowskim kierownictwem Whitmore a Bludda ogromna twierdza i kompleks gmachów rządowych. Stilgar był na Beli Tegeuse, Gurney na Giedi Prime, a Alia została, by pilnować spraw rządu, więc Paul przyleciał tutaj z Chani, by przypomnieć sobie smak pustyni, poczuć zapachy życia, które dawniej wiedli. Przybyli tu, by się ponownie połączyć i by się oderwać od tego nonsensu, który narastał wokół niego. Od dżihadu... potwora, który stawał się jego częścią, niczym druga skóra. Fremeni zrozumieliby mistyczny charakter wezwania do znalezienia schronienia dla duszy.

Kiedy ulokowali się z Chani w swoich starych kwaterach wśród skalnych ścian, gdzie w wejściach wisiały dobrze im znane zasłony, Paul nie potrzebował prekognicji, by wiedzieć, że ten chwilowy specyk zostanie wkrótce zburzony.

Ze względów praktycznych Paul oznajmił, że jedzie cło siczy Tabr przyjrzeć się zwiększonemu wydobyciu przyprawy na pustyni, wyrazić uznanie dla robotników i brygadzystów, pochwalić ich osiągnięcia i żałować strat. Melanz, siła napędowa Imperium, nadal płynął żyłami wszechświata.

Dajef, obecny przywódca, przejawiał wielką ochotę, by zabrać Muad'Diba na pola przyprawowe. Paul i Chani przebrali się w piśtynne stroje, wzięli fremsak i sprawdzili swoje filtrfraki. Nawet gdyby Paul miał ze sobą armię strażników, pomocników i obserwatorów, stare przyzwyczajenia nie pozwoliłyby mu na niefrasobliwość w zetknięciu z potęgą Arrakis. Na pustyni mogło się przytrafić wiele wypadków.

Dajef wybrał młodego fremeńskiego pilota, który przysiągł, że będzie walczył nawet z burzami piekieł, by chronić Muad'Diba.

— Wolalbym dzisiaj lot z mniejszymi turbulencjami — rzekł na to Paul.

Przywódca zajął w orniopterze miejsce obok młodzieńca. Opuścili dające schronienie góry i polecili nad ogromny ocean wydm. Ten naib przypominał bardziej szefa przedsiębiorstwa niż wojownika; miał wprawdzie krysnóż, ale trzymał tabliczkę do liczenia.

— Wydobycie jest teraz pięciokrotnie większe niż w szczytowym okresie panowania Harkonnenów — rzekł Dajef. — Po znalezieniu przyprawy wysyłamy minimum cztery żniwiarki. Na co najmniej sześciu planetach wytwarza się unowocześnione specjalistyczne zgarniarki i co miesiąc wchodzi do użytku nowe.

— A jak wyglądają straty spowodowane przez pogodę i czerwie? — Paul pamiętał, że te czynniki stale przeszkadzały Atrydom.

— Jesteśmy teraz w stanie wysłać w powietrze dwa razy więcej szperaczy. Latają na zwiad dalej niż poprzednio, dzięki czemu mogą wcześniej poinformować o znaku czerwia. Pozwala nam to pracować z większym marginesem bezpieczeństwa.

— Nie chcę żadnych wypadków.

Jak bardzo książę Leto nie cierpiał tracić ludzi! Paul poczuł ukłucie w sercu. Ojciec byłby przerażony tym dżihadem, w którym w jego imię zginęły już miliardy. Leto rozpaczałby nad strasznymi kosztami, ale Paul nie mógł tracić z oczu szerszego obrazu i za rozlewem krwi musiał widzieć przyszłość.

Bezpieczną przyszłość, miał nadzieję.

— Wypadki zdarzają się zawsze, Muad'Dibie — rzekł Dajef. — Jednak dzięki regularnym dostawom maszyn wprowadzamy do użytku dużo więcej sprzętu, niż tracimy na pustyni. Co najmniej o siedemnaście procent więcej.

— Przyprawa musi płynąć — powiedziała Chani.

— Musi — zgodził się z nią Dajef.

Paul obserwował przez płazowe okno ornioptera ludzi poruszających się z mrówczą wręcz pracowitością po polu przyprawowym. Pilot posadził maszynę obok pierwszej z czterech ogromnych przetwórczy przyprawy.

— Te operacje trwają zaledwie od dwudziestu minut, a już osiągnęły pełną moc produkcyjną — powiedział naib.

Paul z przyjemnością patrzył na współpracujące jak w zegarku ekipy, które w niecałe pół godziny potrafiły wznieść istne miasto, na całą tę maszynierię eksplorującą głęboką, bogatą żyłę, którą szperacze znaleźli zaledwie tego ranka.

Przed laty, podczas lotu, który doktor Kynes zorganizował dla księcia Leto, by wprowadzić go w wydobywanie przyprawy, był tylko jeden kombajn gąsienikowy. Teraz Paul naliczył sześć przypominających owady, górujących nad otoczeniem urządzeń, z których każde miało rozmiary fabryki. Ekipy robotników uwijały się w szaleńczym tempie; byli tam melanżerzy, diunidzi, operatorzy sond sejsmicznych, wiertnicy, a nawet kilku ogorzałych inspektorów KHOAM.

Oprócz wykwalifikowanych Fremenów do pracy zgłaszali się tłumnie pielgrzymi z innych planet, uważając dotknięcie naturalnego melanżu na wydmach za część świętego hadźdu. Armie robotników składały się również z więźniów i jeńców wziętych podczas dżihadu. Pokonani i indoktrynowani, przyjmowali propozycję gwarantowanej przez Muad'Diba wolności po pół roku w przetwórni przyprawy. Po tym czasie mieli zyskać przebaczenie, a nawet możliwość pozostania na Diunie. Tylko nielicznym udawało się dotrzeć do odbioru nagrody.

Paul poczuł skurcz w piersiach, kiedy uświadomił sobie jeszcze jedną różnicę między sobą a ojcem: księżę Leto czułby odrazę do wykorzystywania robotników przymusowych, szczególnie w tego rodzaju operacjach. Teraz jednak było to konieczne, by wypełnić zobowiązania wobec Gildii i dostarczyć paliwa maszynierii, która napędzała nowe Imperium Muad'Diba. „*Robimy to, co konieczne*” — pomyślał Paul. A ludzie w milczeniu domagali się tego, zmuszając się do pracy w tych ekipach, by zademonstrować swój altruizm i wykazać swoją wartość. I nadal będą to dla niego robić.

— To imponujące, Dajef — powiedział.

— Robią to, by pokazać, że wierzą w ciebie, Muad'Dibie.

— Nie zapomnij, że jesteś tylko człowiekiem, Usul — upomniała Chani szeptem Paula.

Uśmiechnął się do niej.

— Nigdy nie pozwolisz, bym o tym zapomniał, Sihaja.

Niemniej jednak trzeba mu było o tym przypominać, ponieważ spędzał całe dni w Arrakin, przyglądając się budowie swojej pretensjonalnej twierdzy, słysząc swoje imię skandowane przez miliony ust, wiedząc, że w całej galaktyce zatyka się jego sztandar na tyłu światach, że nigdy nie zdołałby ich zliczyć.

„*Jestem tylko człowiekiem* — powtarzał sobie. — *Jestem Paulem Atrydą. Będę tylko straszliwym Muad'Dibem, jeśli pozwolę sobie nim być*”.

To konkretne złożo przyprawy odkryto w części pustyni osłoniętej przez niski łańcuch skalnych wychodni, więc czerwie mogły przybyć tylko z jednej strony. Piloci szperaczy na tym właśnie odcinku skupili uwagę. Oznaczało to, że zbieranie przyprawy przebiega dużo bezpieczniej niż zazwyczaj i że proces ten będzie mógł trwać znacznie dłużej niż w innych warunkach.

Niska ściana skał nie chroniła ich wszakże przed burzą piaskową, która nagle uderzyła ze wschodu. Ciepłe prądy powietrzne znad rozpalonego piasku zmieszały się z podmuchami wiatru wiejącego wzdłuż ostrego łańcucha skalnych grzbietów i dały początek burzy.

Siedząc w zapewniającym im ochronę ornitopterze, Dajef prowadził nasłuch na swoich pasmach komunikacyjnych, kiedy nagle pojawiły się zakłócenia. Ekipy zbieraczy przyprawy ostrzegły wszystkich przed zmianą pogody, wzywając najbardziej wysuniętych robotników do powrotu do zgarniarek, ale większość z nich pozostała na stanowiskach. Gąsieniki nadal odgarniały piasek, pozyskując do ostatniej chwili przyprawę.

— Wiedzą, że tu jesteś, Muad'Dibie, zamierzają więc zdobyć się na dodatkowy wysiłek i pracować, dopóki to będzie możliwe — powiedział Dajet.

— Nie chcę tego. Zwołaj ich. Natychmiast! To rozkaz. Nie narażaj ludzi. — Paul spojrział na siedzącą obok niego Chani, a potem na zbliżające się czoło burzy. Jej też by nie naraził. — Musimy odlecieć, zanim uderzy w nas ten wiatr.

Pamiętał, jak ojciec krzyknął: „*Do cholery z przyprawą!*” Pamiętał też rozpaczliwe wysiłki podjęte dla uratowania paru zdanych na siebie ludzi...

Rozkaz Dajefa zwiększył bieganinę w tymczasowym obozie zbieraczy przyprawy, ale niektórzy robotnicy wciąż nie kwapili się do ewakuacji. Zamiast uciekać przed burzą, stali z uniesionymi pięściami obok żniwiarek i coś skandowali. Do uszu Paula dobiegło leciwie słyszalne echo ich głosów:

— Muad'Dib, Muad'Dib...

Paul uświadomił sobie ze złością i konsternacją, że samym przybyciem na inspekcję tego stanowiska dał robotnikom złudne poczucie bezpieczeństwa. Tak bardzo chcieli usłyszeć z jego ust pochwałę, że czuli głupią potrzebę popisania się przed nim. Widział już chmurę o ostrych jak brzytwa brzegach przetaczającą się przez skalny mur, brązowe smugi wirujące niczym dym nad płonąca wioską. Wiatr niósł szorstkie cząsteczki piasku z taką siłą, że mogły oddzielić ciało od kości, i ci ludzie o tym wiedzieli.

Zgarniarki opadły, by zabrać duże gąsieniki, uniosły je i ciężko odleciały przed przybierającą na sile burzą. Pilot odwrócił się do Paula i Chani.

— Muad'Dibie — powiedział — jeśli nie chcesz, bym walczył z wiatrami piekiel, musimy się stąd zabierać.

— Zrób to — rzekł Paul.

Zapiął pas i upewnił się, że Chani zrobiła to samo. Skrzydła ornitoptera zaczęły drgać i uniosły maszynę. Pchały ich już podmuchy wiatru. Kilka ostatnich pojazdów naziemnych mknęło do żniwiarek, a ich załogi krzyczały, by je zabrano. Przypominało to gigantyczną ewakuację ze strefy działań wojennych. Kiedy ornitopter wzlatywał nad wydmy, Paul patrzył w dół i słyszał chrzęst ziarenek piasku szorujących o przezroczystą osłonę.

Dajef dotknął słuchawki w uchu i kiwnął głową.

— Kierownicy ekipy wydobywczej meldują, że cały ciężki sprzęt został zabrany, Muad'Dib — powiedział. — Straciliśmy tuzin małych pojazdów terenowych, cztery koparki i dwoje sań.

— A co z tymi ludźmi? — Paul widział na grzbiecie niskiej wydmy rząd trzydziestu postaci. Ich ubrania robocze łopotwały na wietrze, kiedy przygotowywali się do stawienia czoła burzy. Unieśli ręce, wygrażając jej.

— To tylko jedna z niewolniczych brygad z Omwary. Pracowici, choć trochę niezyscyplinowani — wyjaśnił Dajef. — Nie przyłączyli się do buntownika Thorvalda, ale wstydzą się, że ich ziomkowie udzielili mu tymczasowego schronienia. Chcą udowodnić, że są lojalni wobec ciebie.

— Mogą dowieść swojej lojalności, słuchając moich rozkazów. Powiedz im, żeby zmykali w bezpieczne miejsce! Dopilnuj, żeby wiedzieli, że to rozkaz M u ad'D i ba. Niech wsiądą do ostatniej zgarniarki.

Burza piaskowa przybierała na sile. Opadła na skalny łańcuch jak kurtyna, zmiatając ludzkie ślady z pustyni. Dajef zmarszczył czoło.

— Połączenie padło — oznajmił. — Za dużo zakłóceń.

— Zmieszczą się do ornitoptera? — zapytał Paul, coraz bardziej zdesperowany. — Moglibyśmy wylądować i zabrać ich.

Zacisnął pięści, zdając sobie sprawę, że z każdą sekundą rośnie zagrożenie.

Silny podmuch wiatru uderzył w ornitopter. Maszyna przechyliła się i rzuciło ją w stronę ziemi. Przegubowe skrzydła łopotwały, by utrzymać ją w powietrzu. Kiedy pilot walczył z żywiołem, starając się nie dopuścić do katastrofy, w kokpicie rozległy się dzwonki alarmowe. Czoło burzy dotarło już do odkrywki.

Paul spojrział na Chani i podjął trudną decyzję. „*Nie narażę jej na śmierć*” — pomyślał.

— Nie zdołamy ocalić tych ludzi. Jeśli sprowadzimy transportowce na dół, by ich zabrać, stracimy też statki i wszystkich pozostałych — powiedział.

Chani miała ściągniętą twarz.

— Oni wierzą, że masz moc, by ich uratować, Usul — powiedziała. — Wierzą, że możesz zatrzymać wiatr.

„*Ale jestem tylko człowiekiem!*” — pomyślał z rozpaczą.

Rząd robotników dalej wygrażał burzy. Ornitopter zatrząsł się i pilot w końcu poderwał go, unosząc Paula i Chani poza największe zagrożenie. Paul wciąż patrzył w dół. Co ci biedni głupcy muszą teraz myśleć? Czy naprawdę wierzyli, że Muad'Dib może w każdej chwili powstrzymać wiatr? Czy będą myśleli, umierając, że ich zawiódł?

— A przyprawa? — zapytał. — Mamy pełen ładunek?

— Tak sędzę, Muad'Dibie — odparł Dajef.

Ojciec Paula zrobiłby wszystko, wszystko by zaryzykował, żeby osobiście uratować tych ludzi, choćby miało to kosztować życie wielu innych, cały zbiór przyprawy i cały sprzęt. Ale w pewnych

sprawach Paul nie był taki jak on, ponieważ był kimś więcej niż tylko księciem i musiał równoważyć potrzeby całego Imperium. A bez melanzu do oliwienia trybów tego Imperium...

Skazani na zagładę ludzie nadal tkwili na szczycie wydmy, stawiając czoło ostremu jak nóż wiatrowi. Zobaczył, że trzech z nich zachwiało się i padło, ściętych podmuchami. Pozostali zmagali się z huraganem, by utrzymać pionową pozycję, jakby chcieli coś udowodnić Muad'Dibowi... ale co? Gdyby Paul Atryda był młodszy, być może zapłakałby nad ich ślepą żarliwością, którą nazywali męstwem. Ale teraz fremeńskie wyszkolenie i złość na ich próżny gest powstrzymały łzy.

Niestety wiedział, że pozostali członkowie ekipy zbieraczy przyprawy, świadkowie tego bezcelowego, choć dramatycznego poświęcenia, wyciągną zupełnie inny wniosek. Patrząc, jak piasek i wiatr kłębią się nad opuszczoną odkrywką i pochłaniają w końcu ostatnich wyzywających burzę ludzi z Omwary, Paul był pewien, że świadkowie ich śmierci nie potraktują tego jako losu, na który zasłużyli lekceważący rozkazy Muad'Diba, lecz że będą podziwiać tych głupców jako prawdziwych wiernych. I nie mógł na to nic poradzić.

— Zabierz nas do siczy Tabr — rzekł do pilota. — Dostyc widziałem.



*Chociaż często używam noży, rzadko zabijam dwa razy w ten sam sposób. O wiele bardziej interesujące i znacznie bezpieczniejsze dla mnie jest stale obmyślanie nowych metod i kątów natarcia — ciągły proces, w którym klinga mojego umysłu staje się z każdym doświadczeniem ostrzejsza. I ten rozkoszny sekret wyboru odpowiedniego momentu i zaskoczenia! Ach, to jest temat sam w sobie. Odnosi się do istoty samokontroli.*

— hrabia Hasimir Fenring

Nawet po ponad czterdziestu latach małżeństwa hrabia Fenring nadal uważał, że jego żona Margot jest niewiarygodnie atrakcyjna... o czym przypominała mu, ilekroć go uwodziła. Dla dobra ich związku i własnego fizycznego samopoczucia Fenring nigdy nie pozwalał sobie na znużenie jej miłosnymi podchodami.

Rozkosz sprawiał mu nie tylko ciepły i podnoszący na duchu akt seksualny, ale również fakt, że w ich prywatnej rezydencji w Thalidei odkrył i wyłączył kolejne cztery urządzenia szpiegowskie Tleilaxan. Ile razy te gnomy przyglądały się, jak się kocha z żoną? Rozzłoszczony ich wścibstwem, postanowił znaleźć głównego winowajcę i udusić go, najlepiej na oczach innych podglądających ich Tleilaxan. Z drugiej strony, wiedząc co nieco o dziwacznym pruderyjnym podejściu tej rasy do seksu, doszedł do wniosku, że szpiedzy prawdopodobnie przyglądali się ich namiętności raczej z pewną dozą obrzydzenia niż z podnieceniem. Myśl o tym rozbawiła go...

Fenring nie był Adonisem. Jego wąska, szczurza twarz nie była szczególnie atrakcyjna, ale ciało miał muskularne i ładnie wyrzeźbione. Nigdy nie próbował się puszyć, by zauważały go kobiety. Jego umiejętności musiały być niewidzialne, żeby mógł niezauważony szepnąć coś na ucho właściwej osobie albo niepostrzeżenie wśliznąć się gdzieś i podsłuchać tajne rozmowy.

Gdy się upewnił, że tleilaxańskie urządzenia zostały wyłączone, on i Margot rozebrali się, przyglądając się sobie w ciepłym świetle złotych lumipaneli. Powiodła go do łóżka i zaczęli demonstrować znajomość stale rozszerzanego repertuaru dostarczania i doznawania rozkoszy. Od czterdziestu lat Fenring nie mógł się nadziwić, ile się nauczył i ile technik musi jeszcze wypróbować.

— Ach, moja droga, zawsze jesteś dla mnie cudowna — powiedział.

Pocałował ją czule. Delikatnie musnęła palcami jego ucho, tworząc niewidzialny haft z pobudzonych komórek skóry. Zadrżał.

— Dobrze do siebie pasujemy — przyznała.

Wybrali siebie zarówno z przyczyn politycznych, jak i z wzajemnego pociągu. Ich ceremonia ślubna, która odbyła się niemal równocześnie z pierwszym ożenkiem Szaddama, z Anirulą, przyciągnęła znacznie mniej uwagi i nie była widowiskowa. Mimo to ich związek trwał znacznie dłużej.

Sztylet o złotej rękojeści, który baszar Garon przywiózł jako dar pokoju od obalonego Imperatora, nadal leżał na biurku. Fenring spoglądał na niego od czasu do czasu i myślał o tym, jak gorąco Szaddam pragnie wrócić na Lwi Tron. Chociaż Paul Muad'Dib wyrządził ludzkiej cywilizacji straszliwe szkody, Fenring jakoś nigdy nie był w stanie przekonać siebie, że jego przyjaciel z rodu Corrinów jest lepszą alternatywą. Nie, hrabia i Margot mieli własne plany.

Kochając się z nią, Fenring fantazjował, ale nie o innych kobietach. Pamiętał ciepłą krew na palcach, staranny wybór właściwych narzędzi swojego fachu. Gdyby po mokrej robocie miał dość czasu, rozkoszowałby się widokiem intensywnie bordowej esencji życia swej ofiary, tryskającej z ciała i musującej w słabym świetle, jakby starała się przywrócić jej życie, ale potem krzepnącej i zastygającej. Nawet Szaddam nie wiedział, ilu ludzi zabił Fenring.

Pierwsze morderstwo popełnił w znacznie młodszym wieku, niż sobie wyobrażał Imperator. Miał wówczas zaledwie cztery lata. Cztery! Był dumny z tego osiągnięcia, ponieważ znaczyło to, że już w dzieciństwie potrafił rozpoznawać wrogów. Nastolatek, którego zadźgał, próbował go wykorzystać seksualnie. Już jako dziecko Fenring przejrzał chytre słówka i obietnice i zatopił szczyryk głęboko w brzuchu agresora. Siła woli zawsze niwelowała różnicę siły fizycznej między nim a przeciwnikiem. Mały Hasimir zadał ofierze sto ciosów, zanim się nasycił. Ów nastolatek skrywał swoje nienormalne upodobania seksualne, nikt więc nie podejrzewał czterolatka o zabójstwo.

Fenring westchnął, poczuwszy miły dreszczyk, jaki wywołało to wspomnienie. Margot trzymała go, dostosowując swoje ruchy do jego ruchów i wprawnie panując nad swoim ciałem, by równocześnie szczytowali.

— Sprawiasz, że nie mogę nawet myśleć o innych rzeczach, moja droga — skłamał Fenring.

Uśmiechnęła się.

— W ten sposób odwdzięczam ci się za to, że z takim zrozumieniem podszedłeś do obowiązku rozmnażania, który nałożyło na mnie zgromadzenie żeńskie — powiedziała. Pogładziła go po brodzie i podrapała po rosnącej tam szczecinie. — I zawsze jesteś taki czuły.

— Rozumiałem, że musisz uwieść Feyda–Rauthę. I przypuszczam, że nie było to szczególnie uciążliwe zadanie?

— Och, był nadzwyczaj pewny siebie, ale był tylko chłopcem, który lubił, gdy kobiety mówiły mu, jaki dobry jest w łóżku, zamiast pokazywać, jak być dobrym. Poza tym on już nie żyje. A z tego związku mamy małą Marie.

— Tak, hmm, my ją mamy, a nie zgromadzenie.

— Ani Tleilaxanie — dodała Margot z wyuczoną irytacją. — A teraz twierdzą, że będą mieli własnego Kwisatz Haderach. Musimy poznać ich plany.

Fenring wiedział, że musi wydobyć te informacje od Ereboama.

— Być może dzięki ich planom i twojej znajomości zgromadzenia — oraz Marie — zdołamy sprawić, że ten nowy Kwisatz Haderach będzie udanym dziełem, nie diabłem jak Muad'Dib czy ślepym zaułkiem jak ja.

— Chcę zobaczyć tego Kwisatz Haderach — rozległ się cienki głos, zaskakując Fenringa.

Hrabia wyskoczył z łóżka, gotów do ataku. Tuż przy drzwiach tkwiła na zaimprovizowanym siedzeniu mała Marie. Miała niewiivną, ale rozbawioną minę.

— Od jak dawna tutaj jesteś? — zapytał Fenring.

— Przyglądałam się i uczyłam — odparła. — Ryliście bardzo interesujący.

Fenring nigdy nie był zbyt pruderystyczny, z pewnością zaś nie była taka lady Margot, ale świadomość tego, że ich córka przyglądała się, jak się kochają, wprawiała hrabiego w zażenowanie. Było to znacznie gorsze od wścibskich oczu Tleilaxan.

— Musisz się nauczyć szanować ludzką prywatność — powiedziała jej matka.

— Nie tego mnie uczyliście. Pokazywaliście mi, jak być niewidziabną, żebym mogła szpiegować. Żle się spisałam?

Lady Margot nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. W końcu Fenring zachichotał. Od stuleci dzieci natykały się na rodziców, kiedy uprawiali oni seks, ale powinno to być przypadkowe. Nie zaplanowane.

— Dobrze się spisałaś, Marie — powiedział cierpko. — I z pewnością nauczyłaś nas, żebyśmy byli ostrożniejsi.

*Architektura naszego życia tworzy krajobraz historii. Niektórzy z nas budują wspaniale i trwale fortece, podczas gdy inni wznoszą tylko fasady.*

— z *Księgi o Muad'Dibie* pióra księżnej Irulany

„*Pretensjonalny*”. Właśnie to słowo przychodziło na myśl oprócz słów: „*okazały*”, „*bajeczny*” i „*budzący podziw*”. I wszystkie były odpowiednie. Ale Whitmore Bludd zamierzał stworzyć coś, czego nie byłyby w stanie oddać żadne słowa, ufortyfikowany pałac tak niewiarygodny, że przyszli historycy przez stulecia będą zachodzić w głowę, jak opisać to, co wznosił tutaj, w sercu Imperium Muad'Diba.

Nawet siedząc w samolocie inspekcyjnym, który wolno leciał nad placem budowy, Bludd potrzebował godziny, by okrążyć zdumiewający gmach główny i przylegający do niego zespół budynków i ogrodów.

„*Tak, zdumiewający*” — pomyślał.

Teren twierdzy obejmował przedmieścia Arrakin i sięgał aż po nieregularną linię poszarpanych skał, która tworzyła jego naturalną granicę na północy. Ale projekt nie kończył się tam. Plan Bludda wykorzystywał samo miasto i obejmował istniejące już świątynie oraz masywne, stare imperialne budowle w różnych jego dzielnicach. Kiedy projekt zostanie ukończony, pałac Muad'Diba pochłonie zakurzone miasto jak czerw kombajn do zbioru przyprawy.

Jednak z punktu widzenia Bludda praca nigdy się nie zakończy, bo zawsze będzie można pomyśleć o jakichś dodatkach: nowym skrzydle muzealnym, wyższej wieżyczce, bardziej imponującej baszcie, wtopionej w całość rzeźbie z wypolerowanego niebieskiego metalu, którego arkusze będą wyglądały jak powierzchnia wody, kiedy marszczy ją wiatr. Bludd nie zamierzał przejść na emeryturę i osiąść na wsi. Nie, było to jego szczytowe osiągnięcie, dzięki któremu zawsze będzie się o nim pamiętać.

Kiedy samolot leciał wzdłuż granicy twierdzy, przemieniony w architekta mistrz miecza wyglądał przez wypukłe okna. Na szczęście tym razem Korba zachowywał milczenie. Przywódca Fremenów Paula Atrydy stylizował się zarówno na znaczącego kapłana, jak i na ważnego administratora i nazbyt często dodawał do projektu twierdzy różne elementy według swojego widzimisię. Bluddowi nie podobało się to wtrącanie do jego pracy, ale musiał słuchać propozycji Korby. „*Polityka!*” — myślał.

Przyglądali się obaj, jak olbrzymie żurawie dryfowe podnoszą i kładą we właściwych miejscach potężne dźwigary, które następnie pokrywane są kamiennymi blokami wyciętymi lancą laserową z Muru Zaporowego. Liczba robotników zgromadzonych przez Muad'Diba i ilość materiałów sprowadzanych z innych planet przekraczały najśmielsze wyobrażenia Bludda.

— Nie potrafię obliczyć, jak bardzo Imperator będzie musiał podnieść podatki, by sfinansować realizację tego projektu — mruknął Bludd. Nikt nigdy nie zakwestionował nawet jednej pozycji w jego budżecie.

Korba tylko wzruszył ramionami.

— Jeśli Muad'Dib zażyczy sobie tego, ludzie zapłacą — powiedział. — A jeśli sami nie sięgną do kieszeni, zrobi to za nich kwizarat.

— To była luźna uwaga — rzekł Bludd. Jego towarzysz nie miał za grosz poczucia humoru.

Brygady robotników rywalizowały o to, kto szybciej wykona pracę, przy czym za osiągnięcia dostawały nagrody pieniężne, a za mankamenty wymierzano im karę. Każdego, kto zdradzał oznaki lenistwa albo pracował byle jak, poddawano publicznej chłości, w najpoważniejszych przypadkach zaś, takich jak oszustwo czy kradzież, winnych ścinano na placu centralnym, przy czym w wykonywaniu egzekucji przodował Korba. Kary te wydawały się Bluddowi zupełnie nie w stylu dawnego Paula Atrydy, ale fremeńskie tradycje były o wiele surowsze. Najwyraźniej Paul tracił wskutek tego część swojego człowieczeństwa... a przynajmniej odkrywał jego ciemną stronę.

Projektując część twierdzy, Bludd celowo wzorował się na architekturze starej szkoły mistrzów miecza na dalekim Ginazie. Obmierzli, niegodziwi Grummańczycy zniszczyli słynną szkołę podczas krwawej waśni z rodem Ekazów, a potem uczynili przedmiotem swojej wendety również ród Atrydów. Biedny grubas Riwy Dinari zaszlachtowany w dniu ślubu księcia Leto z Ilesą Ekaz. Bohaterski Dinari. Gdyby tylko mógł widzieć Bludda teraz!

— Po przeanalizowaniu twoich planów — rzekł beztrąsko Korba — zmieniłem usytuowanie paru wieżyczek, żeby znalazły się w numerologicznie ważnych miejscach. Wydałem już ekipom budowlanym nowe polecenia.

— Nie możesz tak po prostu przesunąć jakiejś części — powiedział Bludd — bo wszystko układa się w jedną architektoniczną całość.

— Wszystko układa się zgodnie z planami M u a d’D i b a. Te zmiany są konieczne z powodów religijnych. Nie rozumiesz potrzeb ortodoksji, Bludd.

— A ty nie masz pojęcia o architekturze. — Mistrz miecza wiedział, że Korba nie zmieni decyzji, ale miał dość rozumu, by nie wyzywać go na pojedynek. Chociaż był pewien, że zdołałby go pokonać, nie lekceważył wpływów i władzy przywódcy łądajkinów.

Kiedy samolot zataczał koło wokół spiralnej wieży, której konstrukcja zdawała się przeciwstawiać sile ciężenia, Korba dumiał, patrząc na drobne postaci robotników w dole.

— Nie kwestionuj moich decyzji, Bludd — rzekł w końcu. — Walczyłem u boku Muad’Diba na pustyni i stałem przy nim w siczy. Byłem jednym z jego uczniów, kiedy wyjaśniał nam zażyłości magicznych sposobów walki. Razem przelewaliśmy krew, razem zabijaliśmy Harkonnenów. Jako jeden z pierwszych zacząłem mówić na niego Usul i widziałem, jak zabił Feyda–Rautę.

Bludd nie mógł uwierzyć, że ten pustynny wojownik próbuje udowodnić mu swoją wyższość.

— Znałem Paula Atrydę, kiedy był jeszcze gołowąsem, i ocaliłem mu życie, kiedy twoja matka zeszkrobywała kupy z twoich pieluch — powiedział. — Poczytaj historię, Korba... historię Imperium. Największe uznanie zdobył Riwy Dinari, ale ja byłem z nim podczas masakry w dniu ślubu. Znam prawdę i Paul ją zna.

— Historię I m p e r i u m — powtórzył drwiącym tonem Korba. — Paul Atryda. Mówię o Muad’Dibie, nie o synu szlachcica zasiadającego w Landsraadzie. Jego życie przed przybyciem do siczy Tabr i przybraniem imienia Usul ma teraz niewielkie znaczenie.

— Nie poznasz człowieka, znając tylko połowę jego życia — rzekł Bludd z irytacją. — Czy nie dlatego księżna Irulana napisała jego biografię, którą wszyscy nosicie przy sobie jak święty podręcznik? Gdyby jego wcześniejsze życie było nieistotne, nie umieściłby mnie na tak ważnym stanowisku.

„No i co ty na to?” — pomyślał.

Gdy Korba umilkł, mistrz miecza ustawił odpowiednio temperaturę w statku powietrznym. Był w eleganckim ubraniu, nie w zakurzonym kombinezonie czy odzieży roboczej. Pojawiając się publicznie, Bludd dbał o odpowiedni strój i maniery. Te pustynne gbury mogłyby się wiele od niego nauczyć o stylu. Natomiast Korba sprawiał wrażenie, jakby nie miał ochoty zdjąć filtrfraka nawet dla potrzeb zabiegów higienicznych, i w kabinie bił od niego odór jak od niemytego zwierzęcia. Bludd zastanawiał się, czy nie pożyczyc wtyków nosowych tylko po to, by odfi Itrowy wały niemiłe zapachy.

Myślał o nieżyjącym od dawna Dinarim, czując żal z powodu przedwczesnej śmierci przyjaciela, ale i zazdroszcząc mu sławy. Chociaż otyły mistrz miecza zginął podczas wojny asasynów, okrył się wielką chwałą. Gdyby Bludd podczas masakry w dniu ślubu księcia Leto nie zawahał się ułamek sekundy, również jego zapamiętano by jako bohatera, a nie jako nieudacznika. Ilesa zginęła, a przecież powinien był ją chronić. Bez względu na to, czego dokonał w następnych latach, historia nigdy nie zapomni, że zaprzepaścił jedyną szansę, by przejść do legendy.

Tymczasem zostanie sprowadzony do przypisu w haśle o młodości Muad’Diba. Irulana właśnie opisywała tę część życia Paula i Bludd nie był pewien, czy obejdzie się z nim łagodnie w tej rzekomo obiektywnej opowieści. Była dla niego uprzejma, może więc mógłby ją przekonać, by wtrąciła tam parę dobrych słów o nim...

Wyprostował się. No cóż, mimo wcześniejszej niesławy teraz spisuje się dobrze. Ten wspaniały ufortyfikowany pałac przyćmi wszystko inne. Twierdza będzie jego szczytowym osiągnięciem, jego prawdziwą spuścizną, która przejdzie do historii. Przewyższy nawet swojego podziwianego przodka, Porce’a Bludda, który bezinteresownie poświęcił fortunę, by pomóc ludności różnych planet podczas Dżihadu Butleriańskiego.

— Wprowadzaj propozycje zmian w projekcie, jeśli musisz, ale masz obowiązek przedstawiać mi je do zatwierdzenia — rzeki. — To mój projekt i moja twierdza.

— Zapominasz się. — W głosie Korby brzmiała wyraźna groźba. — Bez względu na to, co mówisz, bez względu na to, jak się łudzisz, będzie to zawsze tw ierdza M u a d’D i b a. Tik nazwał ją kwizarat. Należy do niego i do Boga. Ty jesteś tylko pomocnikiem, jak my wszyscy. Kto będzie pamiętał o twoim udziale?

Słowa te ubodły Bludda. Wcześniej na myśl o tym człowieku odczuwał tylko irytację, teraz był na niego autentycznie zły.

— Ja wiem, co osiągnąłem — stwierdził. — Tylko to się naprawdę liczy.

— Jeśli nikt nie zna twojego nazwiska ani osiągnięć, pamięć o twoim życiu będzie równie trwała jak piasek zdmuchiwany przez wiatr.

Fremen zachichotał, ale Bludd wcale nie uważał tego za zabawne.

— A ty, Korba, nie starasz się odcisnąć swego śladu, tworząc religię wokół Muad'Diba? — odciął się. — Chodzi o władzę, którą możesz zyskać dzięki legendzie o życiu Imperatora, co? Chodzi ci tylko o to, żeby się wywyżżyć.

— Uważaj, co mówisz, człowieku, bo... — warknął Fremen, kładąc dłoń na rękojeści krysnoża, który miał u pasa.

— Jeśli wyciągniesz tę broń, przygotuj się na śmierć — rzekł Bludd. Skierował w jego stronę rękę. Spod długiego rękawa wystawały ostre jak igły groty gotowych do wystrzelenia pocisków.

Fremen zdjął z surowym uśmiechem dłoń z krysnoża i odwrócił głowę do okna.

— Najwyraźniej każdy z nas stawia na Muad'Diba — powiedział.



*Twoja uwaga, że wielu moich „sojuszników” wykorzystuje tę świętą wojnę jako pretekst do zaatakowania rywalizujących z nimi rodów i rozwiązania albo podsycenia starych waśni, jest słuszna. Powiadasz, że ten ogromny rozlew krwi nie ma nic wspólnego z moimi rządami i decyzjami, ale ja i tak biorę za to pełną odpowiedzialność. Jestem odpowiedzialny za każdą śmierć.*

— z **Rozmów z Muad’Dibem** pióra księżnej Irulany

Po powrocie z siczy Tabr Paul oznajmił, że przyjmie petentów w zbytkownej Niebiańskiej Sali Posłuchań, która nie była jeszcze ukończona.

W ostatnich latach tymczasowa sala tronowa w dawnym obozie Szaddama straciła dla niego cały powab, postanowił więc, że będzie udzielać audiencji w nowym pomieszczeniu, mimo iż Bludd nadal nie był zadowolony z jego wykończenia — z gzymsów, filigranów, kamieniarki, wspaniałych rzeźb i misternie malowanych ścian i sufitów. Mistrz miecza uparł się, że sam, bez niczyjej pomocy, dokończy część wymagających perfekcji prac.

Tylko w części niezliczonych nisz umieszczono już rzeźby, głównie posągi Paula Atrydy i jego przodków. Nad tronem wisiały tremeńskie gobeliny z barwnymi scenami z bitew stoczonych podczas dżihadu. Bludd oznajmił, że niektóre z tych scen zostaną skopiowane na freskach wokół wysokiej kopuły.

Poprzedniego dnia Paul przeszedł się po rusztowaniach wysoko nad tronem. Pracowali tam gorączkowo najlepsi artyści Imperium. Nawet teraz, kiedy udzielał posłuchania, malowali, z szacunku dla Muad’Diba porozumiewając się ściszonymi głosami.

Ślepe, samobójcze oddanie robotników z Omwary, którzy stawili czoło burzy piaskowej, by za-demonstrować swoją wiarę, wstrząsnęło nim. Ród Atrydów od pokoleń potrafił wzbudzać w swoich sługach wielkie przywiązanie, a przykładami owej bezgranicznej wierności byli Gurney Halleck, Duncan Idaho, Thufir Hawat i wielu innych. Ale ich oddanie nie miało nic wspólnego z brawurą czy lekkomyślnością. Co osiągnęli ci robotnicy, umierając na wydmach? Czy ich ofiara przysłużyła się w jakiś sposób Muad’Dibowi?

Chociaż szerzący się stale i rosnący w siłę kult, którym go otaczano, był motorem napędowym dżihadu, mógł się łatwo wymknąć mu spod kontroli. Religia mogła być nadzwyczaj skutecznym narzędziem, ale mogła też być skrajnie nieodpowiedzialna... a on był w obu przypadkach centralną postacią. Ludzie widzieli tylko jego i otaczającą każde jego działanie aurę konsekwencji.

Odziany w powłóczystą zielono-żółtą szatę, zamiast w wygodny, zakurzony filtrfrak, który nosił w siczy Tabr, Paul zajął miejsce na dużym tymczasowym tronie postawionym w trakcie budowy. W końcu sprowadzą ogromne siedzisko z hagalskiego kwarcytu, legendarny Tron Złotego Lwa dynastii Corrinów. Na razie, mimo iż ów tron przypominałby o tym, co odebrał wrogom, Paul wołał nie wstawiać do pałacu niczego, co przywodziłoby na myśl Szaddama IV. Kiedy publika zajmowała stojące miejsca według rangi i koneksji, Paul rozejrzał się po wielkiej sali.

Przez boczne drzwi weszła Chani w luźnej zielonej sukni z szamerowanym złotem kołnierzem, a za nią trzy Fremenki w jasnoszarych sukniach skrojonych tak, by można było ukryć pod nimi broń. Wkroczyła też dziarsko odziana w czerń sześćioletnia Alia i stanęła obok tronu Paula, jakby była członkinią jego ochrony.

Biorąc pod uwagę rozruchy, które często inspirowali buntownicy Thorvalda, i absurdalnie niską cenę wyznaczoną przez niego za głowy Muad’Diba oraz członków jego rodziny, Paul przydzielił Chani, Alii, a nawet Irulanie, potężnie zbudowane strażniczki. Niebawem miała przybyć z krótką wizytą jego matka; ona też otrzyma taką ochronę. Nie zamierzał podejmować żadnego ryzyka.

Znowu wrócił myślami do grupy fanatyków stojących na szczycie wydm i stawiających czoło zabójczemu wiatrowi, by pokazać swoje oddanie, udowodnić... no właśnie... co? A ludzie ci byli jego stronn i k a m i.

Usłyszał zgiełk koło masywnych drzwi w głównym wejściu i zobaczył fremeńskich strażników mocujących się z więźniami w zielonych szatach, kapłanami z odszczepieńczej sekty. Strażnicy wkrótce opanowali sytuację, chociaż zmuszeni byli do użycia paralizatorów. Paul przyglądał się bez słowa brutalnemu traktowaniu jeńców. Wiedząc, co zrobili ci kapłani, z trudem powstrzymał się przed wydaniem rozkazu ich natychmiastowego stracenia. Był pewien, że przyjdzie na to pora. Niektóre rzeczy były niewybaczalne.

Korba pomaszerował w stronę tronu po rdzawoczerwonym dywanie z włókien przyprawowych, który położono dopiero tego ranka. Wybrał na tę okazję czystą białą szatę ozdobioną szkarłatnymi symbolami, ostentacyjnie okazalszą niż zielone szaty kapłanów, których strażnicy popychali, by szli za nim. Nie wyglądał już jak fedajkin.

Pięciu więźniów miało rany cięte i sińce oraz zapadnięte i zaczerwienione oczy, które wydawały się bardziej martwe niż żywe. Tylko jeden z kapłanów, wysoki, o patrycjuszowskim wyglądem, patrzył wyzywająco. Strażnicy z nieskrywaną pogardą rzucili mężczyzn na posadzkę. Wszyscy, oprócz jednego, mieli tyle rozsądku, by pozostać tam twarzą w dół. Najbardziej buntowniczego jeden ze strażników powalił kopniędem z powrotem na podłogę.

Korba stanął u podnóża tronu i złożył wyszukany ukłon.

— Przesławny Muad'Dibie, podporo wszechświata, przyprowadzam przed twe oblicze tych oto niegodnych kapłanów starożytnej sekty Dura — powiedział. — Schwytano ich, kiedy próbowali zbeczczyć kaplicę twego ojca i skraść jego czaszkę.

Z oczami zamkniętymi jak w modlitwie — co było przedstawieniem odegranym dla przysłuchującej się w nabożnym skupieniu publiczności — wyjął z pochwy krysnóż i stanął w gotowości, niczym kat.

Paul ledwie panował nad wściekłością.

— Kapłani Dura byli niegdyś poważani w całym Imperium, przewodniczyli ceremoniom zaślubin i koronacji Imperatorów — rzekł. — A teraz usiłujecie sprofanować świątynię mojego ojca? Zbeczczyć zmarłego? Staliście się rabusiami grobów?

Korba czekał na jego znak, ale Paul wahał się, niepewny, co z nimi zrobić. Postępek kapłanów był jeszcze jednym przykładem lekkomyślnej nieodpowiedzialności wyznawców niekontrolowanej religii. Ale jak zapanować nad religią, bez względu na to, czy szerzy jego kult, czy też sięga starożytności, jak w przypadku tej sekty? Czy mogłyby w tym pomóc tolerancja i miłosierdzie? A może potrzebny jest silniejszy uścisk? Co doradziłyby mu ojciec?

Jeden z zastraszonych kapłanów, mężczyzna z wielkim brzuchem, który nadawał mu gruszkowaty kształt, podniósł się na kolana i spojrzał błagalnie na Paula. Spływający z czoła pot zalewał mu oczy.

— Panie, oskarżenia pod moim adresem są fałszywe i niesprawiedliwe — wykrztusił. — Nawet nie znam tych ludzi... należę do innego obrządku! Zmusili mnie do włożenia tych szat! Byłem na urlopie kapłańskim.

— On łże — rzekł Korba. — Ten jego rzekomy urlop był konspiracyjnym spotkaniem, na którym on i pozostali knuli spisek, by cię obalić. Każda złożona teraz przez niego przysięga wierności byłaby rzucaniem słów na wiatr.

Paul spojrział gniewnie na klęczącego.

— Tolerowałem inne religie niż moja — powiedział — ale nie będę tolerował rozpowszechniania kłamstw i zagrażających mi spisków, a także bezczeszczenia szczątków mojego ojca, czcigodnego księcia Leto Atrydy. — Poczul, że ogarnia go wielkie znużenie. — Ty i twoi towarzysze musicie zapłacić za to życiem.

Kiedy strażnicy próbowali zaciągnąć brzuchacza do pozostałych, osunął się nagle bezwładnie w ich rękach, jakby zemdlał. Korba dotknął jego szyi, a potem przyłożył ucho do jego ust.

— Ten już nie żyje — oznajmił. Szczercząc zęby jak wilk, popatrzył drwiąco na pozostałych, po czym zwrócił się do tłumów zebranych w Niebiańskiej Sali Posłuchań: — Muad'Dib zabił go jednym spojrzeniem! Nikt nie ucieknie przed wzrokiem naszego Imperatora.

Paul usłyszał, jak zebrani skandują jego imię.

Patrzący wyzywająco kapłan o wyglądzie patrycjusza podniósł się.

— Sekcja zwłok wykazałaby, że tego biedaka zabiło zatrute ostrze albo strzałka — oświadczył. — Salonowe sztuczki! — Chociaż przytrzymywali go strażnicy, wysunął się dwa kroki do przodu. — Nie ma w tobie nic świętego. Kapłani Dura nazywają cię Paulem Demonem!

Po tej zniewadze salę wypełniło dzikie wycie.

— Wyłupić mu oczy! — wrzasnęła jakaś kobieta ostrym głosem.

Jeden z pozostałych kapłanów zaczął zawodzić, ale towarzysze natychmiast go uciszyli.

Paulowi przypomniawszy wojna asasynów, która rozgorzała w czasach jego dzieciństwa, bitwy na Ekazie i Grummanie, rozlew krwi i tragedie. Przypomniał sobie też, z jaką czcią on i jego bliscy składali w grobie czaszkę księcia Leto.



„Największym błędem mojego ojca było to, że nie postępował surowo z wrogami” — pomyślał.

— Wszyscy zginiecie za zbrodnie zainspirowane przez waszą błędną religię — powiedział, spoglądając na mężczyzn w zielonych szatach i wiedząc, że Korba dopilnuje, by umierali długo i w męczarniach. — Od dzisiaj wasze zuchwałe wierzenia tracą moją aprobatę. Rozkazuję, żeby wszystkie wasze miejsca kultu zostały zrównane z ziemią. Mój kwizarat będzie odtąd kształtował na nowo wyznawców waszej religii, by znaleźli właściwą drogę. — Wstał i odwrócił się tyłem do tłumów, kończąc posłuchanie. — Nie będzie już kapłanów Dura.

Następnego dnia Paul z radością przyjął w prywatnej komnacie za tronem dwoje gości. Jednak lady Jessika i Gurney Halleck mieli ponure miny. Paul dał się objąć matce, a potem wymienił uścisk dłoni z Gurneyem. Przybyli tym samym liniowcem, on zaś bardzo się cieszył, że znowu ich widzi.

Zrzucił maskę wyniosłej obojętności i spojrzał na nich czule.

— Matko, Gurney — powiedział — brakowało mi was. Wszystko dobrze na Kaladanie? Na Giedi Prime?

Gurney wyglądał na nieco speszonego, natomiast Jessika udzieliła mu szybkiej odpowiedzi.

— Nie, Paul. Na żadnej z tych planet.

Chociaż Gurney zdumiał się, że powiedziała to bez ogródek, dodał:

— Poczyłem pewne postępy na Giedi Prime, panie, ale cała ta planeta cierpi z powodu niezabliźnionych ran. Minie wiele pokoleń, zanim jej mieszkańcy znowu staną na nogi.

Zatroskany Paul przenosił wzrok z twarzy Gurneya na twarz matki i z powrotem.

— Co się stało na Kaladanie, matko? — zapytał.

Jessika wyglądała jak prawdziwa królowa i była w każdym calu tak piękna, jak musiał ją postrzegać książę Leto.

— Doszło do demonstracji, pojawiły się zniewagi i śmiała krytyka — odparła. — Dysydenci z atrydckiej straży opanowali zamek, zmuszając mnie do szukania schronienia gdzie indziej, dopóki nie odzyskamy kontroli. Całe wsie zostały puszczane z dymem.

— Dysydenci? Z atrydckiej straży? — Paul nie wierzył własnym uszom. Zawsze zakładał, że Kaladan pozostanie bastionem stabilności, jedną z monet trzymanyh na czarnej godzinę. Miał tak wiele problemów, zwłaszcza z tym kąsającym coraz mocniej gzem Memmv nem Thorvaldem. Spojrzał na Gurneya. — Jak mogło do tego dojść?

— Pamiętają księcia Leto, mój panie — wyjaśnił Halleck. — Spodziewali się, że będziesz dokładnie taki jak on.

Muad'Dib musiał się najpierw uporać z kwestiami praktycznymi.

— Te zamieszki zostały już stłumione? — zapytał.

— Tak, ale nie rozwiązało to problemu — odparła Jessika. — Martwisz ich, Paul. Mogłeś się spodziewać, że dochowają ci wierności, ale nie zrobiłeś nic, żeby ją sobie zaskarbić. Od lat wypożyczam się w twoim imieniu, lecz uważają, że ich zlekceważyłeś i porzuciłeś. Kaladan jest ojczystym światem Atrydów, tymczasem od początku dżihadu ani razu nie złożyłeś tam oficjalnej wizyty.

Paul zaczerpnął głęboko powietrza, by stłumić ogarniającą go złość.

— W trakcie pierwszej wizyty moje armie podbiły Kaitaina. Kait a i na, matko! Muszę prowadzić wojnę. Czy oni oczekują, że wrócę na Kaladan na tańce i parady? — Przerwał, po czym uważnie na nią spojrział. — Zostawiłem cię tam, żebyś kierowała wszystkim zamiast mnie.

— To prawda — przyznała Jessika — ale nie jestem księciem Leto... Zresztą ty też nie.

— Rozumiem. — Paul starał się nie zdradzić tonem głosu, że go to ubodło. Radykalnie nastawieni kapłani Dura próbowali zbezcześcić kaplicę czaszki jego ojca, ale teraz zastanawiał się, czy on sam jako Muad'Dib nie profanuje aby pamięci Leto Atrydy.

— Powinnam jak najszybciej tam wrócić, by zapewnić pokój — powiedziała Jessika — i chciałabym zabrać ze sobą Gurneya. Ludzie go znają. Gurneya Walecznego.

— Gurney ma do wykonania ważne zadanie na Giedi Prime.

Oczy Jessiki błysnęły, a jej słowa były ostre jak brzytwa.

— Jak mogłeś myśleć, że Gurney chce być na Giedi Prime? — zapytała. — Tak słabo znasz ludzką naturę? Każdy spędzony tam dzień jest dla niego torturą.

Paul otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

— To prawda, Gurney?

Wielkolud wydawał się zakłopotany.

— Rozkazałeś mi wykonać zadanie, panie, więc zrobiłem co w mojej mocy — odparł. — Ale, prawdę mówiąc, nie ma planety w Imperium, której bym bardziej nienawidził. Dla mnie zawsze będzie to świat Harkonnenów.

Paul był do głębi poruszony.

— Przykro mi, stary druhu — rzekł. — Nie zamierzałem rozdrapywać twoich ran. Zachowasz tytuł do Giedi Prime i mam nadzieję, że samo twoje nazwisko sprawi, że przynajmniej część reform będzie trwała. Dam ci wsparcie kadrowe i finansowe, żebyś mógł kontynuować tam swoją pracę, ale na razie masz moje pozwolenie na powrót na Kaladan, by zadbać o bezpieczeństwo mojej matki.

Gurney złożył oficjalny ukłon.

— Moje serce jest na Kaladanie, na którym służyłem szlachetnemu rodowi Atrydów — powiedział.

— Bardzo dobrze, przyjacielu. Pomogłeś mnie i mojej rodzinie w tylu sprawach, że nigdy nie zdołałam ci się odwdziżyć — rzekł Paul. — A zatem leć na Kaladan. Wylecz ranę, którą niechcący zadałem swoim zaniedbaniem.

Kiedy spotkanie się zakończyło, Paul został sam w małym pomieszczeniu. Było w nim teraz tak cicho, tak nieskończenie cicho...

Martwił się, że nie zinterpretował właściwie wskazówek z wizji odległej przyszłości, według której jego wojownicy mogą doprowadzić do nowej mrocznej epoki, bardziej ponurej niż ta, w którą ludzkość wkroczyła po zakończeniu Dżihadu Butleriańskiego. Za tymi murami święta wojna ogarniała planetę po planecie. Jego legiony zostawiały za sobą zniszczenia, załamaną ludność i pozbawione przywódców rządy, nie zapewniając niczego, co mogłoby wypełnić tę pustkę. Musiał jakoś pozbierać to wszystko z powrotem.

„*To problem, z którym Aleksander Wielki nigdy nie musiał się mierzyć*” — pomyślał.

Mając się na baczności przed zdradą, Hasimir i Margot Fenriiv gowie szli za albinotycznym tleilaxanskim doktorem wąskimi, wykładanymi metalem korytarzami pod miastem Thalidei. Szare płyty upstrzone były czarnymi smugami i plamami, tam gdzie pojawiły się zacieki i pleśń. Kiedy doktor Ereboam przemykał się płataniną przejść, przywodził hrabiemu Fenringowi na myśl białego szczura poruszającego się w zawiłym labiryncie.

Uparcie stosowane przez Fenringa techniki „*perswazji*” skłoniły Ereboama do pokazania mu tego, co chciał zobaczyć, ale mimo to hrabia pozostał nieufny. Zupełnie nie wierzył temu człowiekowi. Przynajmniej mała Marie była bezpieczna — na ile to było możliwe. Została pod opieką Tonii Obregah–Xo, zamknięta w domu, z dala od wszelkich natrętów czy prób szantażu; niania z ramienia Bene Gesserit zabiłaby każdego intruza. Fenring wątpił, by po tylu latach, podczas których Tleilaxanie z trudem znosili ich obecność, któryś z nich zdobył się na tak śmiały czyn, zwłaszcza teraz, kiedy mogli tyle zyskać. Marie i ich potencjalny Kwisatz Haderach stwarzali interesujące możliwości współpracy i synergii.

A zatem niebezpieczeństwo mogło grozić raczej jemu albo lady Margot. Instykt nakazywał hrabiemu wypatrywać pułapki lub zasadzki, ale wyczuwał u Ereboama zarówno rezygnację, jak i zapał. Szli zobaczyć rzekomo udanego kandydata na Kwisatz Haderach.

Chociaż weszli do tego labiryntu po długich, obstawionych przez strażników schodach tuż przy murach Thalidei, naprzeciw głębokiego, cuchnącego jeziora, pokonali tyle zakrętów, że Fenring stracił w końcu orientację.

— Nadal jesteśmy pod miastem czy znaleźliśmy się pod dnem jeziora? — zapytał, ocierając z twarzy kroplę wody.

— Znajdujemy się w tunelach rozprowadzania powietrza i układów wentylacyjnych Thalidei — odparł Ereboam, cmoknąwszy niecierpliwie. — Proszę za mną. To już niedaleko.

Klarplazowa winda w rurze wyniosła ich na powierzchnię i powiozła przez kolejne poziomy wielopiętrowego budynku, na których uwijali się zajęci eksperymentalnymi badaniami tleilaxanscy naukowcy. Kiedy się łagodnie zatrzymała, Ereboam ruszył szybko korytarzem o białych ścianach. Na jego wąskiej, białej twarzy pojawił się rumieniec podniecenia.

— Tędy, proszę — rzekł. — Szybciej, szybciej. Będziecie pod wielkim wrażeniem.

Na końcu skapanego w cytrynowej poświacie korytarza Ereboam poddał się badaniu skanerem i otworzyły się drzwi, ukazując zasnutą szarą mgłą pomieszczenie. Weszli do środka.

Kiedy jego wzrok przystosował się do panujących tam warunków, Fenring zauważył, że ściany obite są grubą wyściółką, na której widnieją liczne ślady rozdarć i zadrapań. Ścisnąwszy dłoń Margot, przekazał jej palcem sygnał do wzmożenia czujności. Ustawiła się blisko niego, sprężając się do uderzenia, jeśli się to okaże konieczne. Hrabia wyczuł zapach środków chemicznych z domieszką medykamentów... i czegoś obrzydliwego, czego nie potrafił rozpoznać. Stężały, stykając się z jego plecami, plecy Margot. Ona też to czuła. Jakiś zwierzęcy odór.

Ereboam zniknął we mgle, ale Fenring słyszał, jak mruczy coś nabożnym tonem. Modlitwy?

— Nie ma powodu do niepokoju — powiedział głośno doktor. — Ta mgła jest specjalnie dostosowana do metabolizmu naszego obiektu. Wprawia go w senność.

Kiedy opary się przerzedziły, Fenring zobaczył, że albinos stoi obok czegoś, co na pierwszy rzut oka wydawało się bezkształtną postacią leżącą na podłodze. Potem jednak zdał sobie sprawę, że jest to człowiek o klasycznych proporcjach, przykucnięty, ze zwieszoną głową. Odziany był w beżowy strój z folii, który ciasno przylegał do ciała i ukazywał mięśnie niczym wyrzeźbione przez mistrza. Jeden z tych wypaczonych mentatów, których widział w laboratorium? Raczej nie.

Przykucnięta postać wyprostowała się, jakby się przeistaczała z poczwarki. Strój skrywał większość ciała, oprócz dłoni, stóp i głowy. Hrabia zauważył, że spojrzenie jego żony sunie po muskularnych kształtach aż po zadziwiająco przystojną twarz, orli nos i nieco wyniośle wydęte usta. Ale wzrok Fenringa sięgał poza fizyczną doskonałość tego człowieka i hrabia był pewien, że Margot też to widzi. W brązowych oczach tajemniczego mężczyzny widać było dziwną wewnętrzną udrękę.

— Poznajcie Thalla. — Głos Ereboama przepelniała duma. — Naszego Kwisatz Haderach. W szarozielonych oczach lady Margot pojawiło się nagle zainteresowanie.

— Z waszej mapy genetycznej? — zapytała.

— Wykorzystując zaawansowane techniki laboratoryjne zamiast nieprzyjemnych kaprysów nieodłącznie związanych z naturalnym rozmnażaniem ludzi, osiągnęliśmy w ciągu zaledwie kilku pokoleń o przyspieszonym dojrzewaniu to, do czego wam, Rene Gesserit, nie udało się dojść po tysiącach lat. — Mówiąc do kobiety, przybrał automatycznie protekcyjny ton.

— Hmm, to się jeszcze okaże. — Fenring obszedł powoli Thalla, szukając wad. — Wygląda... aaach... na młodszego od Paula Atrydy. Ile ma... siedemnaście, osiemnaście lat?

Ereboam uśmiechnął się.

— Metrykalnie Thallo ma dopiero dziewięć lat — odparł — ale przyspieszyliśmy jego rozwój fizyczny. Zrobił znaczne postępy. Pod pewnymi względami ma niezłą ogładę, ale pod innymi jest nieco surowy i nieokrzesany.

Ereboam wyciągnął rękę i pogładził czułym gestem Thalla po ciemnych, falujących włosach. Wzrok dziwnego stworzenia uspokoił się, kiedy doktor przemówił.

— On jest szczytowym osiągnięciem genetycznym Tleilaxan. Nasz Kwisatz Haderach ma zdolności umysłowe, a nawet dar prekognicji, które ledwie zaczynamy zgłębiać.

— Czy to umie mówić? — zapytał Fenring.

— Umie mówić lepiej niż najwięksi oratorzy w dziejach — rzekł Thallo tonem erudyty i z doskonałą dykcją. — Znam wszystkie fakty z każdej encyklopedii w Imperium. Jestem mentatem o zwiększonych zdolnościach przetwarzania informacji. Mógłbym dyskutować z wami wszystkimi równocześnie i zbić wszystkie wasze argumenty.

Ereboam wyjął z kieszeni kitla prostokątny biszkopt i dał go Thallo, jakby był on domowym zwierzakiem. Mężczyzna zaczął go chrupać, utkwivszy twardy wzrok w hrabim Fenringu.

— I pragnę poinformować tych gości — powiedział między kęsami — że nie jestem żadne to. Jestem człowiekiem.

— Kimś znacznie potężniejszym od człowieka — zapewnił go Ereboam. — Czy jest lepszy sposób na obalenie Imperatora Paula MuadDiba niż ten, który daje nam nasz nadczołwiek?

— Hmm... aaach — mruknął Fenring. — Wasz czempion wedrze się do sali tronowej i zasypie go ciasteczkami?

Thallo uśmiechnął się, chrupiąc dalej biszkopt.

*Podjęcie właściwej decyzji wymaga więcej niż pobieżnych danych. Prawidłowy wybór metody działania musi poruszyć uczucia i doznania. To proces instynktowny.*

— księżna Irulana, niepublikowane notatki

Wieczorami, z dala od publicznych występów i spotkań za zamkniętymi drzwiami, Irulana rozkoszowała się ciszą i spokojem — ale się nie odprężała. Siedziała na miękkiej, puszystej pościeli w swoim łóżku ze wspartym na czterech słupkach baldachimem, które ściągnięto tutaj z jej kabiny na statku spoczywającym na równinie pod Arrakin. Słyszała tylko dobiegające z korytarza nieliczne głosy zawsze obecnych strażniczek, które Paul kazał postawić pod jej drzwiami, a nie szum jak w ulu, który otaczał jej męża.

Była to najlepsza pora na pisanie.

Zgodnie z planem Rludda jej prywatne apartamenty zostały ozdobione ornamentami zerwanymi ze ścian jej kabiny na statku Szaddama przechwyconym pod Arrakin. Jednostka Imperatora i pokonani sardaukarzy należeli do rodu Corrinów. Był to spadek, którym — co uświadomiła sobie z wielkim smutkiem — jej ojciec od lat źle zarządzał. O niepowodzeniach Szaddama przypominał stale Irulanie los, który przypadł jej w udziale: malowanej księżnej i symbolicznej żony uzurpatora. Jednak Irulana pełniła teraz funkcję o dużo większym znaczeniu, niż miałyby na jakimkolwiek stanowisku w rodzie Corrinów.

Przed rokiem Paul pozwolił jej nawiązać kontakt z rodziną przebywającą na zesłaniu na Salusie Secundusie, chociaż Irulana nie miała wątpliwości, że jej korespondencja jest sprawdzana w celu znalezienia dowodów spisku. Można się było tego spodziewać. Dzięki wrodzonemu poczuciu prawdy Muad’Dib powinien dostrzec, że nie ma ona najmniejszego zamiaru obalić go czy zabić, by przywrócić na tron swego ojca. Nie mogła jednak winić Paula za to, że jest ostrożny.

Okryte niesławą resztki rodu Corrinów, nawet z leżącego na uboczu Salusy Secundusa, kierowały siatką szpiegów, przemytników i czarnorynkowych handlarzy, którzy mieli dostęp do skarbów ukrytych przez Padyszacha Imperatora podczas długich lat jego panowania. Mimo to jej ojciec miał prawdopodobnie ograniczony dostęp do informacji, do tego niedokładnych, o tym, co naprawdę dzieje się w spustoszonej Imperium. W przeciwieństwie do Irulany, Szaddam nigdy nie był w stanie pojąć zasięgu dżihadu.

Była pewna, że earl Memnon Thorvald kontaktował się z jej ojcem, chociaż wiedziała, że zbuntowany władca nie pała również miłością do Szaddama. W końcu jego siostra Firenza, poślubiona przez Imperatora przed wieloma laty, niedługo pożyła...

Tymczasem Irulana koncentrowała się na wiadomościach od rodziny. Były to pozornie błahe sprawy. Wensicja urodziła zdrowego syna. Wydawało się, że wydarzenie to sprawiło trochę radości ojcu, skoro nie mógł przywrócić tronu potomkowi z linii Corrinów, jakim byłby syn jej i Paula.

Irulana przesłała oficjalne, choć ciepłe, gratulacje dla siostry i podarunki dla małego Farad’na, ale odpowiedź Wensicji była zadziwiająco okrutna i oskarżycielska. Wensicja stwierdziła, że cała rodzina uważa ją za zdrajczynię, gdyż pozostaje z uzurpatorem i pisze dla niego propagandowe teksty. Nazwała to „*sypianiem z wrogiem*”.

Irulana tylko gorzko się uśmiechnęła, czytając list. „*Gdyby Wensicja wiedziała...*” — pomyślała.

Podobne uczucia żywiła do niej również słodka i niewinna Rugia. Najmłodsza siostra dodała jako *post scriptum* straszne słowa: „*Wszyscy nienawidzimy cię za to, co nam robisz! Nie wiesz, jak tutaj jest*”. To zabolalo ją najbardziej. Rugia zawsze była wobec niej serdeczna.

Skonsternowana, Irulana popatrzyła na koronkowy baldachim nad swoim łóżem i na ręcznie robione meble, na antyczne lampy z Baluta i bezcenne obrazy. Paul nie odmawiał jej żadnych luksusów, żadnych zewnętrznych oznak bogactwa i pozycji. Zona Imperatora musiała mieć takie rzeczy.

Pomimo otaczającego ją zbytku Irulana odczuwała pustkę. Próbowwała sobie wyobrazić, że znowu jest dziewczynką patrzącą z nadzieją w przyszłość, a nie samotną, bezdzietną kobietą po trzydziestce. Zgromadzenie żeńskie nadal domagało się, by zachowała swoje geny, rodząc dziecko, i ona też tego chciała, zarówno dla siebie, jak i dla Imperium, które potrzebowało dziedzica.

Jednak Paul publicznie przysiągł, że nigdy nie będzie dzielił z nią łoża, i upokarzał ją jeszcze bardziej, okazując przywiązanie do swojej pustynnej konkubiny, mimo iż Chani nie dała mu drugiego syna.

Niemniej, pisząc o życiu Paula, Irulana zaczęła rozumieć, a nawet szanować, jego związek z Chani. Łączące ich uczucie było głębokie jak piaski Arrakis, nie podlegało sprawom polityki ani żadnym innym zewnętrznym wpływom. Irulana zauważyła, jak oboje patrzą sobie w oczy i porozumiewają się bez słów. Mieli własny system komunikacji, prywatny język, którego używają tylko naprawdę zakochani. Ich związek wydawał się jedyną oznaką normalności, którą pozwalał sobie okazywać Paul.

W innych okolicznościach Irulana i Paul mogliby się zaprzyjaźnić, a nawet zostać kochankami. Teoretycznie pasowali do siebie. Na początku, zaproponowawszy sojusz przez małżeństwo jako drogę do zawarcia pokoju, przypuszczała, że jeśli tylko nadarzy się okazja, zdoła go uwieść dzięki wpojonym jej przez Bene Gesserit umiejętnościom. Ale on nie był normalnym mężczyzną i opierał się wszelkim podejmowanym przez nią próbom. Usprawiedliwiał to miłością do Chani, lecz co wspólnego z miłością miała dbałość o sprawy dynastyczne?

I dlaczego Chani nie zaszła dotąd w ciążę? Owszem, ich pierworodny syn, Leto II, zginął podczas napaści sardaukarów. Czyżby Chani bała się spróbować raz jeszcze? A może podczas porodu stało się coś, co uniemożliwiło jej ponowne zajście w ciążę? Irulana nie sądziła, by tak było, chociaż nigdy nie poruszono tego tematu.

Imperium potrzebowało następcy tronu!

Ułożyła na ogromnym łożu w zgrabnych stosach dokumenty i notatki, włącznie z szigastrunowymi szpulami zawierającymi przeprowadzone przez nią wywiady i raporty z pól bitewnych, które Korba pozwolił jej dostarczyć. Uderzyła ją ponura rzeczywistość: jej łóżko, zamiast być miejscem, w którym mogłaby począć dziecko, stało się biurkiem. Zrzuciła nagłym ruchem dziennik na podłogę. Wylądował cicho na miękkim dywanie.

Za pomocą uspokajającego ćwiczenia Bene Gesserit powstrzymała łzy. Taki upust emocji niczego by nie poprawił. Paradoksalnie, pomagało jej pisanie.

Wichry Imperium miały drobną łódką jej życia i wyrzuciły ją na wysepkę, na której miała ograniczoną swobodę ruchów i musiała powściągać emocje. Paul nie okazywał jej niechęci. Prawdę mówiąc, zazwyczaj ją ignorował i nie dopuszczał, by córka Szaddama odgrywała jakąkolwiek bezpośrednią rolę w rządzeniu. Jej pozycja poprawiła się nieco po wydaniu pierwszej książki o Muad'Dibie, ale nadal nie wiedziała, czy pozwoli jej on przedstawić w następnych książkach jej wersję prawdy. Na razie przeczytał tylko urywki pierwotnych szkiców i nie skomentował ich ani słowem, mimo iż nie ukazywały go w całkowicie pozytywnym świetle.

Interesujące.

Jego wielotomowa biografia przerosła początkowe wyobrażenia Irulany. Im więcej dowiadywała się o Paulu, tym wspanialsza stawała się potencjalna legenda o nim. I co miała z tym począć? Jej dzieła mogły rzucić światło na życie Muad'Diba, ale mogły też posłużyć zupełnie innemu celowi.

Im więcej wiedziała o jego młodych latach i o jego ojcu, księciu Leto, tym bardziej była przekonana, że Paul żyłby szczęśliwie na Kaladanie, gdyby nie ten sam kosmiczny choreograf, który wmieszał się w jej życie. Wyraźnie widziała, że w tej historii jej ojciec nie był bez winy. Szaddam dopuścił do licznych niegodziwości podczas wojny asasynów, która spowodowała tyle cierpień i wyrządziła tak wielkie szkody rodom Atrydów i EkazcSw. Później toczył polityczne gry z Harkonnenami, zastawił pułapkę na Arrakis i przytknął oko na knowania barona w zamian za obietnicę większych zysków ze sprzedaży przyprawy. Szaddam IV znacznie przyczynił się do swojej klęski.

A zatem siostry uważały ją za zdrajczynię rodu, ojciec zaś uznał, że nie jest nawet godna jego pogardy? „*Nie jestem zdrajczynią*” — pomyślała. Skoro Padyszach Imperator tak wiele razy postąpił nieuczciwie wobec Atrydów, Paul miał aż nadto powodów, by nienawidzić jego... i ją.

Prywatny dziennik stał się jej przyjacielem od serca. Spędzała z nim niezliczone samotne noce, dzieląc się ze stronami ze znakomitego przyprawowego papieru najskrytszymi myślami. A on, jak dobry przyjaciel, ukazywał jej prawdę, kiedy czytała swoje słowa, i — w tych chwilach refleksji — widziała je w innym świetle. Zaczynała dostrzegać własne wady.

Poprawiła poduszki i podniosła dziennik. Patrzyła na słowa, które napisała tego dnia. Serce bolało ją na myśl o tym, jaki wstrząs musiał przeżyć młody Paul po masakrze w dniu ślubu na zamku kaladańskim i uniknięciu zamachów na jego życie, do których potem doszło. Od tak wczesnych lat był zaledwie pionkiem na galaktycznej szachownicy. A został Imperatorem wszechświata.

Z pełnym rezygnacją westchnieniem księżna zaczęła znowu pisać w dzienniku. Przemawiał do niej, domagając się, by kontynuowała opowieść...

**CZEŚĆ IV**  
**MŁODY PAUL ATRYDA**  
**10 187 EG**





*Ci, którzy widzieli gniew Muad'Diba, przejawiający się w zachowaniach bojowników jego dżihadu, powiadają, że stał się on żądny krwi, ponieważ dużą część życia spędził wśród Fremeniów. Ale Lisan al-Gaib wszedł na tę drogę dużo wcześniej.*

*Nie można patrzeć na mężczyznę, którym jest Muad'Dib, i nie widzieć Paula, chłopca, którego ukształtowały przykre wydarzenia i doświadczenia zdrady i tragedii. Jako dwunastolatek został wciągnięty do wojny asasynów, w której brały udział przynajmniej trzy rody i która zagroziła trwałości samego Imperium. Przez lata przygotowywano go do stawienia czoła niebezpieczeństwom, co było częścią szkolenia każdego książęcego syna, i nagle to, czego go uczono, stało się rzeczywistością, gdy hrabia Moritani z Grummana przypuścił atak. Paul znalazł się w oku cyklonu i stał się celem zabójców.*

*Jednak doświadczenia te wywarły jeszcze większy wpływ na jego ojca, księcia Leto Atrydę, który nie tylko się nie załamał, ale jeszcze bardziej zahartował, nie uległ, lecz mężnie stawiał opór wrogom. Książę Leto — Czerwony Książę, Leto Sprawiedliwy — musiał co rusz walczyć z wiarołomstwem i zdradą, w których maczał palce mój ojciec, Padyszach Imperator Szaddam IV.*

*Młody Paul przyglądał się, jak na te kluczowe wydarzenia reaguje jego ojciec, postępujący — jak mogliby to nazwać niektórzy — ze skrajną bezwzględnością. Paul wyciągnął jednak z tego wniosek, że mimo podejmowania środków odwetowych książę Leto Atryda ostatecznie przegrał, bo nie był wystarczająco bezwzględny.*

— **Muad'Dib jako człowiek** pióra księżnej Irulany



Pośród chaosu i krwawej jatki książę Leto wyprowadził pospiesznie wielu gości weselnych z sali i odesłał ich w eskorcie żołnierzy na bezpieczne fregaty, które czekały w porcie kosmicznym, chociaż nie miały zezwolenia na start. Inni goście zabarykadowali się w pokojach kaladańskiego zamku.

Straszna rzeź, zabójcze latające dyski, nieudana obrona, którą próbowali zorganizować mistrzowie miecza i ludzie Leto — wszystko to trwało niespełna minutę. Kiedy umundurowani żołnierze Atrydów wpadli do sali, leżały tam już pocięte i krwawiące ofiary, niektóre pokrojone na kawałki, inne łkające ze wstrząsu i niedowierzania. Książę Rhombur spojrział na siebie i zobaczył, że oficjalny strój ma w strzępach, chociaż wydawało się, że nie odniósł żadnych ran.

Wśród rannych krążył szybko doktor Yueh, oceniając profesjonalnym okiem, którym nie sposób pomóc, a których można uratować. Najpierw zajął się arcyksięciem Ekazem i założył samozaciskającą się opaskę na kikut jego ręki.

Odcięta kończyna leżała na podłodze, sponiewierana podczas zamieszania.

— Jest zbyt uszkodzona, by można było ją przyszyć — rzekł cicho Yueh do Leto, przyjrząwszy jej się. — Ryc może Tleilaxanie mają jakiś sposób na jej odrośnięcie, ale ja się na tym nie znam. — Wskazał poobijanego Rhombura. — Mogę natomiast zrobić arcyksięciu protezę, jak księciu z rodu Verniusow. Takie umiejętności posiadam.

— Możemy porozmawiać o tym później — powiedział Leto, ocierając krew z czoła.

Za sprawą silnych środków przeciwbólowych arcyksiążę Armand był oszołomiony i półprzytomny, ale mimo to złość przedarła się przez spowijającą jego umysł mgłę. Obrócił głowę jak na nienaoliwionych zawiasach i spojrział gniewnie na popielatego i trzęsącego się Whitmore a Bludda.

— Miałeś ją chronić — powiedział.

Słowa te zraniły eleganckiego mistrza miecza głębiej niż jakikolwiek tnący dysk.

— Zawiodłem — rzekł Bludd, nie dowierzając temu, co mówi. — Jestem mistrzem miecza... a jednak zawiodłem. Powiniennem był poświęcić życie dla Ilesy. Riwy spełnił swój obowiązek.

Do Riwy ego Dinariego, który leżał na posadzce jak zaszlachtowany wieloryb, podszedł Duncan. W szerokiej piersi zabitego tkwiły tnące dyski.

— Poległ chwalebną śmiercią — powiedział Idaho. — Oto heroiczny koniec prawdziwego mistrza miecza.

Bludd patrzył z niedowierzaniem na swój wąski rapier, a potem cisnął go z obrzydzeniem na podłogę.

— Pomóż mi wynieść jego ciało, Duncan. Wydaje się, że tylko do tego się nadaję.

Książę Leto, nie pozwalając się sparaliżować smutkowi, podjął stanowcze działania i zamknął port kosmiczny w Kali. Przeprosił krótko gości i oznajmił, że dopóki nie skończy się dochodzenie, nie wystartuje żaden statek. Thufir Hawat, z opatrzoną i zabandażowaną raną na plecach, poświęcił szczególną uwagę tym, którzy wydawali się szczególnie zirytowani tą zwłoką, oraz tym, którzy wyrażali zbyt duże współczucie. Wszystkich ich poddano dodatkowemu przesłuchaniu.

Drobną pocięcią było to, że wśród czternaściorga zabitych znaleźli się słudzy i rezydenci Atrydów i Ekazów. Kiedy opadła pierwsza fala strachu, wielu szlachetnych gości dało upust oburzeniu — albo na ród Moritanich, który wciągnął ich do krwawej waśni, albo na ród Atrydów, który ich zaprosił i postawił w groźnej sytuacji. W porównaniu z Atrydami i Ekazami szlachta doznała jednak minimalnych szkód, więc jej gniew minie i nie doprowadzi do dalszych rodowych sporów.

Jednak książę Leto nie zapomni tak szybko.

Gurney Halleck i Thufir Hawat sprawdzili każdą cegłę w zamku kaladańskim, szukając innych zabójczych urządzeń. Nawet uknuwszy tak wymyślny spisek, wicehrabia mógł nie postawić wszystkiego na jedną kartę. Wielowarstwowy plan mógł być opracowywany już od miesięcy.

Książę Rhombur przysiągł, że pomoże Leto. Nie opuszczał go, posuwając się groźnie jak niszczyielski taran, chociaż ixańscy doradcy nalegali, by razem z Tessją i Bronsem schronił się na swojej fregacie i pozostał za zapewniającymi bezpieczeństwo tarczami. Ku jego wielkiej irytacji technokraci podkreślili, że ponownie znalazł się o włos od śmierci podczas zamachu na księcia Leto. Tym razem

jego ciało cyborga odniosło tylko lekkie uszkodzenia, ale gdyby składało się tylko z mięśni, krwi i kości, Rhombur mógłby tego nie przeżyć.

Gdy ixańscy doradcy nadal suszyli mu głowę, grożąc nawet, że po powrocie do domu pozbawią go władzy, Rhombur okręcił się i nie panując nad sobą, uderzył jednego z biadolących mężczyzn, Roliga Avatiego, z taką siłą, że przeleciał przez cały pokój.

— Tessja, Ronso i ja pozostaniemy tutaj, na zamku kaladańskim, przy moim przyjacielu Leto Atrydzie — oznajmił ksiązę.

Inni technokraci pomogli pozbierać się Avatiemu, patrząc na Rhombura ze zdumieniem i trwogą. Czmychnęli całą grupą na fregatę Verniusow, więcej go nie niepokojąc.

Podczas uroczystości pogrzebowej Ilesy jednoręki arcyksiązę stał oszołomiony środkami przeciwbólowymi, a po jego twarzy ciekły strumienie łez. Wydawało się, że musi dać upust żalowi, ale zamroczony, nie mógł osiągnąć karharsis. Niemniej jednak Armand Ekaz zdawał sobie sprawę z tragedii, która go spotkała, i to wystarczyło.

Leto stał obok niego na wysokim urwisku, na którym miejscowy kapłan — z rękami obandażowanymi wskutek lekkich ran odniesionych podczas masakry — wygłaszał mowę pogrzebową pozostającą w ostrym kontraście z radosnym kazaniem, jakie wcześniej przygotował. Zabezpieczone przed rozkładem ciało Ilesy trafi na Ekaza, gdzie będzie wystawione przez odpowiednio długi okres żałoby na widok publiczny, po czym spocznie w mauzoleum obok jej siostry Sanyi i wuja Theo.

— Moritani zrobił mi to zbyt wiele razy — rzekł Armand zinnym i głuchym głosem do Leto. — Przeżyłem już żałobę, ale nie wiem, czy tym razem będę w stanie.

Duncan i Bludd wzniesli prywatny stos pogrzebowy mistrzów miecza i złożyli na nim zwłoki Dinariego. Zgodnie z tradycją, mistrz miecza znajdował miejsce wiecznego spoczynku tam, gdzie poległ. Chociaż uroczystość ta była sprawą prywatną, Duncan pozwolił Paulowi stać u swego boku. Byli tam również Gurney Halleck i Thuhr Hawat. Gurney obiecał, że napisze sonet dla upamiętnienia ostatnich heroiczych czynów „*najgrubszego i najzwinniejszego*” człowieka, jakiego znał.

Whitmore Bludd tymczasem wydawał się załamany tym, że zawiódł w potrzebie, zawstydzony (i urażony) faktem, że wyszedł z masakry bez zadrapania.

Cały Kaladan był przez wiele dni zamknięty dla gości, a nawet dla tubylców, którzy w czasie tragicznego wydarzenia znaleźli się poza nim. Leto szorstko odprawił dwa przybyłe liniowce i przesłał przedstawicielom KHOAM komunikat, w którym poinformował, że nie zgadza się na lądowanie statków z ich ładowni ani na zabranie na pokład jakichkolwiek towarów czy pasażerów. Zakazane były starty i lądowania i miało tak pozostać do następnego komunikatu. Pomimo uporczywych pytań i żądań Gildii ksiązę nie udzielił jej żadnych wyjaśnień.

Goście weselni zaczęli wkrótce zdradzać oznaki niepokoju. Kilku lordów wysłało petycje na zamek kaladański, ale Leto wszystkie odrzucił, oświadczając, że nie można mu przeszkadzać podczas żałoby.

Pierwszego dnia Jessika pozwoliła mu samemu zmagać się ze smutkiem, złością i przerażeniem. Stał się twardy, ale bynajmniej nie nieczuły, i uparcie ukrywał swoje cierpienie. W końcu jednak ból, który sama czuła, sprawił, że poszła do niego. Nie mogła zostawić ukochanego samego.

Spotkała się z nim w sypialni, którą wcześniej dzielili. Przed ślubem zabrała swoje rzeczy, by przygotować komnatę dla Ilesy. Jako konkubina księcia miała wprawdzie otrzymać pomieszczenia w osobnej części zamku, ale nadal było to miejsce honorowe, odpowiadające jej pozycji.

Usiadła bez słowa obok Leto. Mimo iż jej odzież, meble i pamiątki zostały przeniesione, czuła się jak u siebie przez sam fakt, że była blisko niego. Obserwowała, jak się zmagają z widocznym na jego obliczu smutkiem, po czym skrywa go pod kamienną maską.

— Leto — rzekła w końcu — kiedy poprosiłeś mnie, bym spędzała tak dużo czasu z Ilesą, byłam zła, ale teraz cieszę się, że ją poznałam. Nabraliśmy do siebie szacunku i jestem pewna, że byłaby godną żoną Atrydy.

Leto udawał obojętność.

— Sam ledwie ją znałem — powiedział. — Owszem, zostałyby moją żoną, ale był to tylko polityczny układ. — Jego chłód nie przekonał Jessiki. — Większą złość odczuwam z powodu tego, co spotkało mojego przyjaciela Armanda. Utrata ręki jest drobiazgiem w porównaniu ze stratą córki i mistrza miecza.

Jessika wstała, widząc, że nadal chce być sam.

— Bez względu na to, co się jeszcze wydarzy, Leto, będę z tobą.

— Wiem, Jessiko — odparł. — Zawsze to wiedziałem.

Wreszcie, po czterech ponurych dniach, Leto spotkał się z Duncanem, Thufirem i Gurneyem w gabinecie wojennym Atrydów. Atmosfera w komnacie była gęsta od przepęniającej wszystkich wściekłości i żądzy mordu. Najbardziej rozsierdzony był Duncan.

— Ród Moritanich już wcześniej wypowiedział wojnę asasynów, ale ta forma konfliktu przebiega według specyficznych reguł, które wicehrabia znowu pogwałcił — powiedział. — Nie powinniśmy zginąć nikt niewinny.

— Nawet Szaddam nie może tego zbagatelizować — rzekł Thufir.

— Nie mamy żadnych kontaktów z rodem Moritanich — zauważył Leto. — Jak to możliwe, że udało im się zorganizować i przeprowadzić taki spisek w naszym domu? Ktoś musiał umieścić szpiegów wśród zamkowej służby albo w miasteczku.

— Te donice z kwiatami przysłał Prad Vidal — powiedział Gurney. — Arcyksiążę Armand powierzył mu kierowanie Ekazem podczas swojej nieobecności.

— Jeśli to on jest zdrajcą, panie, to musiał się dobrze okopać — rzekł Duncan.

— Za tą napaścią stoi Moritani! — warknął Leto. — Jeśli książe Vidal odegrał w tym jakąś rolę, to musiała być niewielka.

— Bardzo możliwe, że żaden z nich nie przypuszczał, iż arcyksiążę ocaleje — stwierdził Thuńr. — Dzięki zablokowaniu wszelkich połączeń z Kaladanem nikt inny nie wie, co się naprawdę tutaj stało.

W drzwiach z całą godnością, na jaką mógł się zdobyć, stanął Armand Ekaz. Wyglądał na słabego i zmęczonego. Miał czysty bandaż na kikucie ręki i ubrany był w prostą ekaską szatę. Jego twarz była ściągnięta, a oczy czerwone, ale spojrzenie wydawało się wyraźne i gniewne. Medycy oznajmili, że odmówił dalszego przyjmowania środków przeciwbólowych.

— Czas, bym wrócił do ojczyzny, Leto — powiedział. — Muszę pochować córkę, wzmocnić mój dom i opracować plany wojny z Grummanem. Ten zwierz Moritani nie wziął na cel Atrydów. Potraktował ten ślub jako łatwy sposób dobrania się do mnie i mojej rodziny. Ty stałeś mu po prostu na drodze. — Wyprostował się, jakby wspaniała postawa mogła usunąć ból psychiczny i fizyczny. — Nie mam już nic do stracenia, przyjmuję więc wyzwanie Moritaniego. Wicehrabia dał początek rozlewowi krwi, o którym Imperium nigdy nie zapomni.



Chociaż zanieczyszczone powietrze w Harko przyprawiało barona o kaszel, był ożywiony. Mimo skaz i odoru panującego na jego planecie Vladimir wołał ją od upalnej i pełnej kurzu Arrakis, jarmarcznego Kaitaina czy ponurego Grummana. To była jego ojczyzna.

Jechał z Piterem de Vriesem pojazdem ślizgowym z twierdzy na obiad ze swoimi bratankami Rabbanem i Feydem. Obaj młodzieńcy nadal rywalizowali o jego względy, czekając, aż wybierze jednego z nich na swojego następcę. Nie spieszył się z wyborem. Na razie żaden z nich nie spisał się wystarczająco, by go usatysfakcjonować.

W parku przeładowanym imponującymi posągami przywódców rodu Harkonnenów de Vries zauważył:

— Te ptaki znowu siadają na twojej głowie, panie.

Baron spojrział na niedawno zamówioną rzeźbę przedstawiającą go jako szczupłego i przystojnego młodzieńca, stojącego w bohaterskiej pozie z szerokim mieczem w dłoni. Pomyślał ze smutkiem o muskularnym ciele, które niegdyś, zanim ta czarownica Mohiam zaraziła go chroniczną chorobą, było dla niego źródłem wielkiej dumy. Ku jego konsternacji, po czole posągu spływały do oczu z brązu białe pasma ptasich odchodów.

— Umrze jeszcze jeden dozorca parku — powiedział rzeczowo baron.

Gdy się zbliżyli, do posągu podbiegł rozpaczliwie robotnik z drabiną i środkami do czyszczenia, ale było już za późno.

— Po namyśle — rzekł baron, widząc, jak energicznie nieszczęśnik zabiera się do spełnienia swego obowiązku — stwierdziłem, że ich problem z utrzymaniem porządku trzeba rozwiązać na wyższym szczeblu. Skażmy na śmierć również kierownika parku. Postaraj się o jakiś ptasi motyw podczas egzekucji: wyłup mu oczy narzędziem w kształcie dzioba czy czegoś takiego albo użyj przyrządu w formie szponów i rozerwij mu twarz na strzępy. To się spodoba Rabbanowi. Wspomnimy mu o tym przy obiedzie.

Jego najstarszy bratanek, potężny i bez sumienia, był znakomitym, na swój sposób użytecznym ciemiężcą i oprawcą. Jego dużo młodszy brat Feyd, chociaż miał dopiero czternaście lat, wykazywał się większą przebiegłością i sprytem. Dzięki temu był lepszym kandydatem na następcę barona... i bardziej niebezpiecznym.

— Może powinieneś kazać bratankowi zabić całą obsługę parku i zatrudnić nową — zasugerował de Vries. — I tak to zrobi, jeśli mu nie zabronisz.

Baron pokręcił głową.

— To byłoby marnotrawstwo — powiedział. — Lepiej zasiać w nich strach, ale pozostawić przy życiu tyłu, żeby wykonali swoje zadania. Nie chcę znowu widzieć odchodów na moich pomnikach.

Kiedy ślizgacz dotarł do poziomego tarasu, baron i jego mentat wysiedli. Przeszli między stołami do ogrodzonego linami miejsca z widokiem na dymiącą rafinerię oleju mineralnego, które dla nich zarezerwowano. Rabban i Feyd już tam byli.

Feyd, w pumpach z opalizującej tkaniny, krawacie i marynarce, karmił okruchami chleba gołębie podskakujące na bruku pod stołami. Kiedy jeden z ptaków zbliżył się do niego, zwalisty Rabban zerwał się z krzesła, płosząc go. Feyd spojrział na starszego brata ze zjadliwą irytacją.

Baron poprawił pas dryfowy i spnwdziwszy, czy również tam nie ma ptasich odchodów, ostrożnie usadowił się na swoim miejscu.

— Wygląda na to, że mamy problem z gołębiami i musimy się z nim uporać — zauważył.

Kiedy de Vries opowiedział im o zabrudzonych posągach, Rabban — jak było do przewidzenia — zaproponował, by zgładzić całą obsługę parku. Natomiast Feyd przedstawił inny pomysł.

— Być może, wuju, moglibyśmy zamiast tego wyplenić te ptaki.

Baron pokiwał w zamyśleniu głową.

— Podejście do problemu z odmienną perspektywą — stwierdził. — Bardzo dobrze. Tak, wypróbujemy najpierw to rozwiązanie.

Gdy podano potrawy na wypełnionych po brzegi platerach, de Vries ściszył głos, a na jego poplamionych safo ustach pojawił się uśmiech.

— Nie otrzymaliśmy jeszcze żadnych wiadomości, ale wczoraj powinien się odbyć ślub księcia Leto. Jak ślicznie musi być teraz na Kaladanie wśród kwiatów, muzyki i zabawy... z krwią ukochanych osób rozlaną na ołtarzach.

— Rozkoszne obrazy. Oczekuję nowin... i potwierdzenia. — Baron uśmiechnął się, wyobrażając sobie, co się prawdopodobnie stało. — Biedny książę Leto i jego narzeczoną leżą martwi wśród kwiatów, a wokół biegają strażnicy, szukając winnych.

— Winą za to obarczą ród Moritanich i prawdopodobnie Prada Vidala, ale nie Harkonnenów — rzekł mentat. — Nasi agenci drugiego rzutu są w gotowości, by naprawić ewentualne błędy i posprzątać, ale jeśli przystąpią do działania, nawet oni zostaną potraktowani jako zabójcy z Grummana. Na miejscu akcji nie ma żadnych odcisków palców Harkonnenów. Wszyscy uznają, że wicehrabia Moritani zaatakował jak saluski byk, by pomścić na Ekazach śmierć syna... a atrydzki książę po prostu znalazł się przypadkiem na linii ognia. Jakież to smutne! Taka tragiczna strata dla ludu Kaladanu!

— Zgrabnie ujęte. — Baron uniósł ramiona, pokazując pulchne dłonie. — Zawsze musimy mieć czyste ręce.

— Równie czyste jak od tej pory będzie twój posąg.

Baron zrobił gniewną minę po tej szyderczej uwadze i de Vries przezornie się odsunął.

— Nie mogę się doczekać wiadomości — powiedział Rabban.

— Nie wolno nam okazywać zniecierpliwienia — ostrzegł baron. — Nie rozpytujcie się. Niech wieść o tym dotrze tutaj normalnymi kanałami, rozchodząc się po Imperium. Będzie niezła wrzawa.



*Badalem zwyczajnie stworzeń na wielu planetach i na każdej okazywało się, że jest jeden element stały: drapieżniki zwykle wychodzą nocą.*

— planetolog Pardot Kynes, *Raport zoologiczny nr 7649*

Zamek kaladański spał, jakby wstrzymywał oddech. Nawet w dzień ludzie rzadko mówili głośniej niż szeptem. Chociaż wszystkie okna były otwarte, a świetliki wyczyszczone, zamek pełen był podejrzanych cieni. Zastosowano surowsze niż kiedykolwiek środki bezpieczeństwa.

W szczęśliwszych czasach księżę Leto zatrudniał całą armię służących, kucharzy, sprzątaczy i pokojówek. Chętnie gościł początkujących artystów, którzy malowali akwarelami widoki rozciągające się z wysokich balkonów. Ale to się skończyło. Kiedy Duncan Idaho obchodził korytarze z mieczem Starego Księcia, miał wrażenie, że zamek jest ranny. Wszyscy, nawet osoby o znanych od dawna twarzach, przechodzili przed wpuszczeniem do fortecy drobiazgową kontrolę. Wprowadzenie takich środków niezwykle krępowało Leto, ale Thufir Hawat postawił na swoim.

Jako chłopiec Duncan uciekł przed Harkonnenami i zaczął pracę dla rodu Atrydów w charakterze zwykłego stajennego. Widział, jak trzymane w klatkach wściekłe saluskie byki szarżowały na wszystko, co się rusza. Wicehrabia Moritani przypominał mu te rozjuszony zwierzęta. Kiedy ów zły człowiek wziął się na kogoś, atakował bez wytchnienia, trując każdego, kto stanął mu na drodze.

Duncan nie popełnił błędu, założywszy, że niebezpieczeństwo minęło. Robiąc obchód zamku, kroczył z mieczem w dłoni i czujnie się rozglądał. Otworzył drzwi do pokoju Paula, by się upewnić, że synowi księcia nic nie zagraża. Chłopiec spał, chociaż pościel na jego łóżku była skotłowana. Najwyraźniej miotał się i przewracał, jak często się zdarzało, kiedy nawiedzały go koszmary. W drugim łóżku pochrapywał cicho jego gość Bronso Vernius. Księżę Rhombur nalegał, by chłopcy spali razem i mieli na siebie baczenie.

Kontynuując obchód, Duncan wszedł do słabo oświetlonych kuchni. W plażowej skrzyni pełzały po sobie duże skorupiaki ze skrępowanymi szczypcami; nazajutrz zostaną podane na posiłek. Spiżarnie były zamknięte na klucz, drzwi do piwnicy z winem zatrzaśnięte, piec jeszcze ciepły. Personel kuchni odesłano do domów, ale wszyscy wrócą przed świtem, kiedy Gurney obejmie swoją zmianę. Trubadur i wojownik lubił tu być podczas śniadania.

Duncan popatrzył przez jedno z wysokich okien na fale bijące o czarne skały. Ocean był ciemny i niespokojny, miejscami świecił w nim fosforyzujący plankton. Skały, śliskie od rozpryskującej się o nie wody i od alg, zlewały się w jedno z murami zamku.

Idaho wydało się, że widzi jakieś kształty, cienie, które wdrapują się na mury, ale noc była bezksiężycowa, a chmury zasłaniały gwiazdy, niewiele więc mógł dojrzeć. Wbijając przez romboidalną szybę wzrok w ciemność, znowu zauważył ruch.

Od strony oceanu zamek był nie do zdobycia. Jednak w tej części znajdował się szpital, w którym spał arcyksiążę Ekaz, monitorowany przez aparaturę medyczną i regularnie doglądającego go doktora Yuego. Jeśli zamierzali go zabić asasyni, była to ich ostatnia szansa na Kaladanie. Następnego ranka arcyksiążę miał opuścić planetę.

Duncan zmienił trasę obchodu i skierował się do szpitala.

Gdy tylko uciął odgłos kroków na korytarzu, Paul otworzył oczy i odwrócił się, by przyjrzeć się synowi księcia Rhombura Verniusa. Już od lat potrafił na tyle dobrze udawać sen, że dawali mu się zwieść zarówno strażnicy, jak i najbliżsi przyjaciele.

Widział w mroku jasne oczy Bronsa leżącego na łóżku polowym obok głównego posłania. Chłopiec był na ogół małomówny i skryty, lecz Paul szybko się zorientował, że jest inteligentny i potrafi się przystosować do nowych warunków.

— Opowiedz mi więcej o Ixie — poprosił szeptem.

Głosem pobrzmiwającym tęsknotą za domem Rronso opisał podziemne jaskinie, w których zakłady przemysłowe wytwarzały cenne artykuły technologiczne, pozostawiając na powierzchni nietknięte dzikie lasy. Również ojciec opowiadał Paulowi o swoim pobycie na dworze Verniusow na Ixie. Leto i Rhombur ledwie uszli wówczas z życiem podczas niespodziewanego przejęcia planety przez Tleilaxan, co przypominało, że być w „domu” niekoniecznie znaczy być bezpiecznym.

Kiedy Bronso kontynuował szeptem swoją opowieść, Paul usłyszał odgłosy skradania się, tak delikatne, że wydawały się niemal odmianą ciszy. Korytarz powinien być pusty, jednak do jego uszu docierał stamtąd szmer bardzo ostrożnie stawianych stóp.

— Ktoś idzie tutaj — rzekł cicho.

Mimo lat treningów i przygotowywania się na niezliczone niebezpieczeństwa, które czyhały na niego jako syna księcia, Paul nigdy nie czuł się naprawdę zagrożony. Ale od jatki w dniu ślubu ojca, dokądkolwiek szedł i z kimkolwiek się spotykał, bacznie obserwował otoczenie, wypatrując najdrobniejszych niepasujących szczegółów.

Bronso natychmiast umilkł i zamienił się w słuch.

— Wraca Duncan Idaho? — zapytał.

— Nie, to nie Duncan... wiedziałbym o tym. Znajdź jakieś schronienie, dopóki nie przekonamy się, kto to jest.

— Chcesz, żebym się chował jak tchórz?

— Chcę, żebyś był bezpieczny jako gość Atrydów.

Paul ześliznął się z posłania, a Bronso ułożył koce i poduszki tak, by sprawiały wrażenie śpiącej osoby, po czym wczuł się pod łóżko. Paul nie miał czasu założyć tarczy osobistej, podpełznął więc do zbioru pamiętek, które trzymał na półce, i wybrał kawałek skały koralowej o ostrych brzegach znaleziony na plaży podczas spaceru z ojcem. Był wystarczająco ciężki, by mógł posłużyć za broń.

Po pobieżnej inspekcji Duncana drzwi sypialni pozostały lekko uchylone. Na słabo oświetlonym korytarzu było mimo wszystko dużo jaśniej niż w pokoju i ktoś się tam czaił. Paul będzie musiał działać szybko. Pamiętał radę, którą dał mu Thufir: *„Uderzaj szybko i tam, gdzie się tego nie spodziewają. Jeśli jesteś na słabszej pozycji, zaskocz przeciwnika agresją. Cały scenariusz może się zmienić w tysięcznej części sekundy”*.

W tysięcznej części sekundy... Może nie mieć więcej czasu. Trzymając ciężki fragment rafy koralowej, przykucnął obok drzwi, gdzie nikt by się go nie spodziewał, ponieważ obaj chłopcy mieli się znajdować w łóżkach. Naprężył mięśnie i czekał, przypominając sobie najczulsze punkty ludzkiego ciała.

Drzwi otworzyły się na oścież i światło z korytarza zalało sypialnię. Paul zobaczył jak w zatrzymanym kadrze muskularnego mężczyznę, który wydawał się pokryty smołą, odziany w czarny, oleście połyskujący i przylegający ściśle do ciała strój. Dostrzegłszy w dłoni obcego zakrzywiony sztylet, nie miał już żadnych wątpliwości co do jego zamiarów. Mężczyzna wśliznął się do pokoju.

Ale Paul uderzył pierwszy.

Arcyksiążę Armand spał. Yueh zaproponował kilka skutecznych leków i suplementów, by dodać mu energii i zwiększyć odporność, może nawet silną dawkę melanzu, lecz Armand odmówił ich przyjęcia. Najwyraźniej wolał niespokojny sen i koszmary. Duncan był w stanie wyobrazić sobie ból, jaki przeżywa ten szlachcic, ponieważ stracił przez Rabbana rodzinę na Giedi Prime, gdy był jeszcze chłopcem. Ale on wyleczył się z tych ran.

Pokój oświetlały panele instrumentów i monitory sprzętu medycznego. Wyczuwając, że coś jest nie w porządku, Duncan chłonał wszystkie szczegóły i czekał.

Ścisnąwszy mocniej rękojeść miecza Starego Księcia i przygotowawszy się na oślepiający blask, uderzył przyciski na ścianie i zapalił rzędy lumisfer. Zrobiwszy instynktownie unik, zobaczył trzy czarne postacie. Każda z nich pokryta była czymś, co wyglądało jak druga skóra z czarnej, oleistej substancji, która mieniła się barwami tęczy, każda też trzymała zakrzywiony sztylet będący czymś pośrednim między nożem i sierpem, zakończony ostrym jak brzytwa zadziorem. Widać było wyraźnie, że chcieli ciąć i siekać. Nie zamierzali po prostu zabić arcyksięcia Ekaza, ale pokroić go na kawałki, by przekazać w ten sposób przesłanie od rodu Moritanich.

Stawiwszy czoło zabójcom, Duncan machnął mieczem. Skoczyli na niego, poruszając się w niemal zupełnej ciszy, ale szybko i w skoordynowany sposób. Zauważył blizny na ich krtaniach i przemknęło mu przez głowę, czy nie pozbawiono ich strun głosowych, by nie mogli krzyczeć ani ujawnić żadnych informacji. Oczy napastników były wytrzeszczone, a ścięgna na ich szyjach napięte, jakby znajdowali się pod wpływem jakiegoś narkotyku.

Natarli na niego niczym wataha wilków, ale Duncanowi udało się określić i odeprzeć atak za pomocą miecza i tarczy. Uderzył mocno długim ostrzem w sztylet jednego z nich. Ten cios powinien złamać napastnikowi nadgarstek i wytrącić broń, ale asasyn utrzymał ją w czarnym, oleistym uścisku. Pozostali zaspali go gradem nerwowych cięć.

Duncan pchnął jednego w pierś i ledwie zdążył wyciągnąć miecz Starego Księcia, by sparować przechodzący przez tarczę sierpowaty sztylet drugiego. Wolną ręką chwycił zabójcę za nadgarstek i odepchnął go, po czym zadał cios. Sztych miecza zagłębił się w brzuch milczącego mężczyzny.

Chociaż ci dwaj byli śmiertelnie ranni, nie przerwali walki. Trzeci był nadal cały. Duncan musiał to szybko zakończyć.

Kucając na podłodze, Paul zmiądzzył ciężkim odłamkiem rafy prawe kolano napastnika. Usłyszał trzask kruszonej rzepki, chrzęst pękającej chrząstki i niesamowicie cichy jęk bólu.

Chociaż oleście lśniący mężczyzna z trudem utrzymywał się na nogach, najwyraźniej nie zważał na ranę. Z jego ust nie wydobyło się żadne słowo, a jedynie dźwięk podobny do szelestu papieru. Kiedy machnął wygiętym jak sierp sztyletem, Paul zrobił unik, nadal posługując się odłamkiem rafy, ale była to marna broń przeciw zwinnemu napastnikowi. Uszkodzone kolano zabójcy sprawiało, że poruszał się jak zdychający owad, ale posuwał się w głąb pokoju, znowu tnąc nożem.

Zobaczywszy łóżko, na którym rzekomo spał Bronso, intruz odwrócił się tyłem do Paula i zadał pchnięcie, kiedy ten znowu zaatakował go kawałkiem skały. Nagle łóżko Bronsa wystrzeliło do góry i chłopiec uderzył nim jak taranem, wrzeszcząc co sił w płucach. Niespodziewane pojawienie się lekkiej, prostokątnej przeszkody zaskoczyło kulejącego zabójcę. Jego sztylet przebił się przez pościel oraz poduszki i zagłębił w cienkim materacu, ale Bronso przekręcił łóżko i sparował cios.

Paul uderzył go odłupanym kawałkiem rafy w ramię, po czym krzyknął:

— Straż! Duncan! Zaatakowano nas!

Zabójca w lśniącym oleście ubraniu wyrwał z wielkim przytłumieniem siły nóż z łóżka. Paul i Bronso cofnęli się i przyjęli postawę obronną.

Zza drzwi dobiegł Paula hałas podobny do tętentu galopującego byka. Do sypialni wpadł książę Rhombur Vernius, wyrwijąc drzwi z zawiasów. Niemy asasyn obrócił się w jego stronę, a Rhombur złapał go za gardło.

Nie zamierzając się poddać, zabójca machnął zakrzywionym sztyletem w dół i rozciął wzmocnioną klatkę piersiową Rhombura, po czym dźgnął go parokrotnie w bark, starając się trafić w kręgosłup. Rhombur zwiększył nacisk, zmiądzzył przeciwnikowi krtań i rzucił go jak zepsutą lalkę na podłogę.

Ręce i nogi zabójcy drgnęły jak pod wpływem silnego wstrząsu elektrycznego i jego czarny, oleisty strój ogarnęły płomienie, spopielając ciało w zdumiewającym procesie samozniszczenia.

— Bronso, nic ci nie jest? — zapytał z niepokojem Rhombur. — Paul, co się tutaj stało?

— Jesteśmy bezpieczni — odparł Paul.

— Żaden z nas nie jest tak bezbronny, jak się wydawało temu człowiekowi — dodał Bronso.

Tumult i światło obudziły Armanda Ekaza, który nadal był osłabiony. Arcyksiążę zobaczył Duncana walczącego z zabójcami. Wiedział, że nie może stanąć u jego boku, starał mu się jednak jakoś pomóc. Oderwał od ciała przewody prowadzące do monitorów, odcinając dopływ impulsów informujących o jego funkcjach życiowych.

Z aparatury zaczęły dobiegać przenikliwe sygnały alarmowe.

Dźwięk ten wystraszył trzeciego zabójcę, z czego skorzystał Duncan i szerokim zamachem miecza pozbawił go głowy, przecinając oleisty czarny kaptur zakrywający jego włosy. Pozostali dwaj, mimo iż konali, nadal starali się dobrać do mistrza miecza.

Duncan cofnął się, zastanawiając się, ile informacji można z nich wydobyć, zanim ujdzie z nich życie. Nie miał wątpliwości, że są drugą falą asasynów nasłanych przez Moritaniego w celu zabicia arcyksięcia Ekaza. Ale jeśli na Kaladanie ukrywa się trzecia... a nawet czwarta fala?

Kiedy napastnicy wyzionęli ducha, ich czarne stroje uruchomiły procedurę zabezpieczenia. Pierwszy stanął w płomieniach bezgłowy mężczyzna. Jego samozapalający się ubiór zmienił się w stos po-grzebowy, który wypełnił oddział szpitalny gęstym, tłustym dymem i swądem piekącego się ciała. Biały płomień rozgorzały jeszcze jaśniej i skremowały szczątki, usuwając wszelkie dowody. Pozostała dwójka też spłonęła zaraz po śmierci.

Arcyksiążę opadł na poduszkę, kaszląc i z trudem wydobywając z siebie słowa.

— Jestem zbyt słaby, by walczyć... Tylko tak mogłem wezwać pomoc.

— To wszystko zmieniło. — Wściekły z powodu napaści, Duncan usłyszał krzyki w korytarzu. — Przynajmniej jesteś bezpieczny, arcyksiążę.

— Nie jestem bezpieczny — rzekł Ekaz ochryłym głosem. — Ani ty... ani żaden członek rodu Atrydów.

*Nawet jeśli stracisz cały swój majątek, dom i rodzinę... dopóki zachowujesz honor, jesteś bogatym człowiekiem.*

— książę Paulus Atryda

W pomieszczeniu rady wojennej Leto z trudem znajdował słowa, które wyraziłyby jego oburzenie.

— Jedna masakra nie wystarczyła wicehrabiemu? — powiedział. — Nie tylko pogwałcił spokój panujący w moim domu, okaleczył mojego przyjaciela, zabił wielkiego wojownika i zamordował moją przyszlą żonę, ale jeszcze teraz próbował zabić mego syna!

Arcyksiążę Armand siedział zmęczony przy stole. Kikut jego ręki był nadal owinięty bandażami, na twarzy i dłoni miał kilka zaschniętych rozcięć, niczym odznaki honorowe.

— Nie ty jesteś tego powodem, Leto — rzekł. — Wicehrabia zamierzał zaatakować mnie. Ci chłopcy byli tylko dogodnymi dodatkowymi celami.

— Nie, Armandzie, to nie był przypadek. Ten zabójca celowo odszukał sypialnię Paula. Teraz, kiedy Moritani zagiął parol na mojego syna, nie ustanie w próbach zgładzenia go. Nikt z nas nie jest bezpieczny. — Miał ponurą minę. — Nawet jeśli byłem tylko biernym widzem, już nim nie jestem. Zostałem w to wciągnięty tak samo jak ty. — Zwrócił się do swojego mistrza miecza. — Duncan, powierzam ci zadanie ważniejsze niż wszystko, co do tej pory zrobiłeś w służbie Atrydów. Myślę, że Grummańczycy mają tutaj innych asasynów. Zabierz Paula z zamku w jakieś bezpieczne miejsce, w którym go nigdy nie znajdą.

Duncan zmarszczył czoło.

— Czy istnieje takie miejsce, panie? — zapytał z powątpiewaniem.

— Wschodni Kontynent, Siostry w Odosobnieniu. Ich opactwo jest prawdziwą fortecą. Niech zostanie tam ze swoją babką.

— Minionej nocy także mój syn był celem — huknął Rhombur jak silnik parowy, który ma za chwilę eksplodować. — Nie jesteś w tej sprawie sam, Leto. Jeśli przyłączysz się do wojny asasynów, będę walczył u twojego boku, nawet gdyby technokraci woleli, żebym wrócił i nadzorował linie produkcyjne.

— Nie. To jest dokładnie to, co powinieneś zrobić, przyjacielu — rzekł Leto. — Za sprawą Moritanich ta pożoga rozprzestrzeniła się już poza ginaską szkołę i Ekaza i ogarnęła Kaladan. Jeśli zaangażujesz w to również Ixa, Imperator Szaddam raczej ukarze nas wszystkich, niż dopuści, żeby przerodziło się to w konflikt, który ogarnie cały Landsraad.

— Ale przecież nie możesz pozwolić, by mu to uszło na sucho!

— Oczywiście, że nie. Musimy przejść do ofensywy. — Leto spojrział na arcyksięcia Ekaza. — Moje małżeństwo z twoją córką nie doszło do skutku, ale nadal wiąże mnie dane słowo. Atrydzi i Ekazowie są sojusznikami nie tylko ze względów politycznych i handlowych, ale we wszystkim. Zobowiązuję się do połączenia sił zbrojnych mojego rodu z twoją armią. Moje wojsko będzie ci towarzyszyć w drodze na Ekaza, gdzie zbierzesz swoich ludzi, i wspólnie zgotujemy wicehrabiemu krwawą łaźnię. Może Bóg wybaczy Hundro Moritanemu to, co zrobił, ale ja nie.

Kiedy Leto zniósł w końcu zakaz lądowania i startowania z Kaladanu, goście weselni i szlachetnie urodzeni przybysze głośno domagali się miejsc na czekającym na orbicie statku Gildii i licytowali się o stanowiska dla swoich fregat. Jednak książę zarekwirował całą dostępną przestrzeń na liniowcu, by przewieźć flotę wojenną Atrydów na Ekaza. Pozostałym podróżnym oświadczył, że będą musieli poczekać na następną jednostkę Gildii.

Początkowo przedstawiciele Gildii Kosmicznej byli urażeni, że szlachcic z jakiejś małej planety wydaje im polecenia, ale Leto odtworzył im obrazy masakry, której dokonał wicehrabia Moritani.

— Te sprawy wykraczają poza zakres normalnych usług transportowych — rzekł, walnąwszy pięścią w stół. — Powołuję się na zasady Wielkiej Konwencji.

Thufir Hawat podał Leto konkretne argumenty prawne, ale gildianie mieli własne zasady. Kiedy przedstawiciel Gildii, który przybył z orbitującego statku, zobaczył nieprzejednane miny Leto i jednorękiego arcyksięcia, przystał na ich żądania.

— Jeśli tylko zapłacicie za przewóz wszystkich waszych statków, zabiorę was, dokąd chcecie — powiedział.

Leciał z nimi Gurney Halleck z nieodłączną balisetą, aczkolwiek Leto wątpił, czy będzie miał wiele okazji do śpiewania. Tymczasem Thufira wysłał bezpośrednio na Kaitaina, by przedstawił straszne dowody zbrodni wicehrabiego Moritaniego i zażądał sprawiedliwości albo — jeśli to możliwe — interwencji sardaukarów.

Podczas nieobecności Leto na Kaladanie miała go zastępować Jessika. Była rozdarta między chęcią towarzyszenia mu a pragnieniem pozostania, by chronić syna, chociaż Duncan zabrał już dwunastolatka i zniknął z nim przed świtem. Nie próbując zachwiać postanowieniem księcia, Jessika pożegnała go w porcie kosmicznym w Kali mocnym uściskiem, który wyrażał głębię jej uczuć.

Leto znieruchomiał na chwilę, pomyślawszy o tym, jak ślicznie wyglądała Ilesa w dniu ich ślubu. Ale teraz była przy nim Jessika, żywa i promieniejąca ciepłem. Jego twarz złagodniała, a determinacja osłabła, ale nie mógł do tego dopuścić ani w sercu, ani w umyśle. Będzie walczył obok Armanda Ekaza, bo napadnięto na jego dom, zabito Ilesę i zagrożono życiu Paula.

Leto zebrał się w sobie i postanowił, że będzie twardy jak po śmierci Victora i samobójstwie Kailei. Nie miał czasu na słabość ani wahanie z powodu miłości. Czyż nie tego nauczyły od zawsze Bene Geserit? Odsunął w końcu od siebie Jessikę, pocałował ją ostatni raz i z czekającymi na niego towarzyszami broni pomaszzerował na fregatę. Miał w tej chwili tylko jeden cel, który rysował się wyraźnie i pochłaniał go całego jak osobliwość.

Obiecane małżeństwo różniło się od wszelkich traktatów handlowych i umów biznesowych. Błąd jego ojca w postępowaniu z Heleną polegał na tym, że postrzegał on małżeństwo jedynie jako strategiczny ruch w imperialnej grze. Paulus nigdy nie zaangażował się osobiście w ten związek. Mógł być ukochanym księciem i dobrym ojcem, ale nie było z niego wielkiego pożytku jako męża.

Leto odczuł pewną ulgę, kiedy jego statki wystartowały z Kaladanu, by zniknąć w przepastnej ładowni liniowca. Zamknęły się za nimi ogromne wrota i było po wszystkim. Nie chciał ani nie potrzebował okazji do zmiany decyzji.

Leciał z arcyksięciem w głównej fregacie ekaskiej delegacji. Armand był załamany i głęboko zraniony, więc Leto pozostanie u jego boku jako przyjaciel i wierny sojusznik w czekającej ich walce ze złem.

Whitmore Bludd, blady i wstrząśnięty, siedział obok Gurneya. Elegancki strój mistrza miecza był pognieciony i w niczym nie przypominał pawiej pstrokaczyny, którą Bludd zazwyczaj się pysznił. Miał u pasa rapier, ale wydawało się, że nie ma ochoty się nim posługiwać.

Niewielką ilość prochów Riwy ego Dinariego z jego stosu pogrzebowego wsypano do sześcianu z polerowanego płazu, który miał się stać kamieniem węgielnym nowego pomnika. Arcyksiążę Ekaz obiecał już, że wzniesie wysoki monument na cześć korpulentnego mistrza miecza, który wykazał się bezinteresownym męstwem.

Bludd wzdrygnął się, spojrzawszy na przezroczysty sześcian, w którym prochy Dinariego zawieszono były jak ciemne gwiazdy w jasnej mgławicy. Arcyksiążę niemal się do niego nie odzywał, oszczędnie ignorując mistrza miecza, który mu pozostał. Nazwisko Whitmore a Bludda będzie ledwie wspomniane w historycznych opisach tego wydarzenia.

Teraz, kiedy Leto miał czas zastanowić się nad skalą rozwijającej się operacji militarnej oraz nad opłatami Gildii, dotarło do niego, ile będzie kosztowała ta toczona na pełną skalę wojna. Gdyby szalony przywódca Grummańczyków stosował się do reguł wojny asasynów, byłyby precyzyjnie ustalone cele, konkretne ofiary i nie trzeba byłoby wystawiać ogromnej floty oraz ponosić kosztów jej utrzymania.

— Mogę przez to zbankrutować, Armand — powiedział.

Arcyksiążę zwrócił ku niemu wymizerowaną twarz.

— Ród Ekazów pokryje połowę twoich wydatków — oświadczył. Zamrugał i wydawało się, że ma ciężkie powieki. — Jaka jest cena honoru?

Chociaż w ładowni liniowca nie było niczego do oglądania, popatrzył przez małe okienko na zgromadzone tam statki wojenne Atrydów, do których wkrótce dołączy jego flota.

Kiedy liniowiec dotarł do Ekaza i otworzyła się jego ładownia, by wypuścić atrydzkie jednostki stanowiące wspaniałą eskortę fregaty arcyksięcia, na łączach znajdującego się w dole pałacu zapanowało wielkie zamieszanie.

— Bludd, poinformuj ich, kim jesteśmy! — powiedział Armand, skinąwszy lekceważąco na swojego mistrza miecza. — Powiedz, że nie stanowimy zagrożenia. — Na jego twarzy nie widać było tryumfu, wydawała się raczej martwa, gdy dodał: — Chcę spojrzeć księciu Vidalowi w oczy i zobaczyć,

jak się wije. Będzie bardzo zaskoczony, widząc mnie żywego. Zastanawiam się, jakie wymyśli usprawiedliwienia.

— Będzie twierdzić, że dowody jego zdrady, które przywozimy, zostały sfalszowane — rzekł Leto.

— Może twierdzić, co chce... ale ja uwierzę tylko w prawdę.

Jednak książę Vidal nie dał im tej szansy. Na widok przeważających sił na orbicie z pałacu Ekazów znajdującego się na głównym kontynencie uniósł się rój statków. Setki ich poleciało szybko nad morzem ku kontynentowi elakkańskiemu. Gdy tylko niespodziewanie duża flota wojenna zaczęła podchodzić do lądowania, rozpoczął się masowy exodus.

Leto był w stanie zrozumieć tę panikę.

— Widząc flotę tej wielkości, muszą myśleć, że to inwazja — powiedział.

Ale czy mieszkańcy Ekaza nie mieli dość honoru, by bronić swych kobiet i dzieci, nawet jeśli sądzili, że stoją wobec przeważających sił wroga? Dlaczego uciekali jak złodzieje nocą?

— Wyjaśnię im sytuację. — Bludd skwapliwie powiedział do mikrofonu: — Powrócił arcyksiążę Ekaz i natychmiast zwołuje radę wojenną. Przywozimy smutne wiadomości.

— To arcyksiążę żyje? — zdziwił się zarządca portu kosmicznego. — Powiedziano nam, że został zamordowany z córką i dużą częścią dworu Atrydów!

Armand zrobił gniewną minę. Leto podniósł się do połowy z fotela.

— Kto wam to powiedział? — rzucił. — Jak ta informacja dotarła na Ekaza?

— Ależ oznajmił nam to książę Prad Vidal. Objął tymczasową władzę nad planetą.

Twarz Armanda pociemniała z gniewu.

— Nie było możliwości, by jakiś kurier przywiózł tę informację, panie — warknął Gurney. — Nie zezwoliliśmy żadnym statkom na start z Kaladanu. My jesteśmy pierwsi. Nikt nie mógł rozpowszechnić tej wieści.

— Vidal nie potrzebował kuriera — rzekł Leto. — Wiedział, że nastąpi atak, ale nie spodziewałem się, że postąpi tak pochopnie. Jest głupcem.

— Jest niecierpliw. Nie mógł się domyślić, że po masakrze przerwiemy wszystkie połączenia z Kaladanem albo że któryś z nas przeżyje. Wydaje się, że za bardzo palił się do zajęcia mojego miejsca, by czekać na potwierdzenie. — Armand wyrwał Bluddowi mikrofon i wydał rozkazy kierownikowi portu kosmicznego. — Natychmiast aresztować księcia Vidala. Musi odpowiedzieć na wiele pytań.

Leto widział wielkie zamieszanie w głównym pałacu, liczne statki nadal wzbijające się w powietrze i zmykające, całą flotę w chaotycznym odwrocie. Sprzymierzeńcy Vidala Mała banda, która popierała dążenia gubernatora Elakki do władzy, nie mogła stawić oporu wszystkim statkom Atrydów i wiedziała o tym.

— Chciał zawładnąć moim pałacem, ale nie zdawał sobie sprawy, że będzie musiał o niego walczyć. Teraz ucieka z powrotem na Elakkę, by się ukryć w swoich fortyfikacjach, ale niewiele mu one pomogą.

Twarz arcyksięcia świadczyła o ledwie powstrzymanej burzy.

— Zanim usuniemy zagrożenie ze strony Grummana, musimy poradzić sobie z karaluchami pod twoją wycieraczką, panie — rzekł Gurney.

Z pałacu Ekazów nadal ewakuował się strumień statków. Pędziły w stronę wybrzeża i oceanu. Armand zaciskał i rozprostowywał palce ocalałej dłoni.

— Książę Leto, każ swoim jednostkom zniszczyć te statki — powiedział. — To rozwiąże nasz problem.

Leto wyprostował się.

— Armand, byłoby to złamanie reguł wojny asasynów — rzekł. — Ogranicz do minimum szkody uboczne. Weź na cel tylko tego szlachcica. Jeśli nie rozegramy tego właściwie, może wszcząć na Ekazie wojnę domową, co zostanie potępione przez Landsraad.

Armand pokiwał wolno głową, podczas gdy jego fregata podchodziła do lądowania.

— Na to nie mogę pozwolić — odparł. — Wojna domowa opóźniłaby moje uderzenie na Grummana.





*Harkonnenowie zglądzieli moją rodzinę, ale ja ocalałem, mimo iż Bestia Rabban starał się mnie osaczyć. Podczas treningów w szkole mistrzów miecza na Ginazie stoczyłem wiele walk, a potem pomagałem żołnierzom księcia Leto odbić Ixa z rąk Tleilaxan, i też przeżyłem. Nie jestem w stanie zliczyć bitew, w których walczyłem po stronie Atrydów. Te liczby nie mają jednak znaczenia. Liczy się tylko to, że wciąż żyję i mogę bronić rodu Atrydów.*

— Duncan Idaho, *Tysiąc żywotów*

Duncan Idaho, z kędzierzawymi czarnymi włosami i charakterystycznymi rysami, był niepodobny do młodego Paula Atrydy. Nie mogli uchodzić za podróżujących razem ojca i syna, więc postanowili, że będą udawać wuja i bratanka.

Odziani byli w wygodne, ale źle dopasowane stroje, i mieli połatane worki podróżne, które kupili na targu rzeczy używanych w Kali. Duncan schował pod peleryną miecz Starego Księcia. Paulowi przyszyżono krótko włosy, a świeże strupy i zadrapania również zmieniły jego wygląd. Mistrz miecza przyjrzał mu się uważnie.

— Przebranie nie musi być idealne, ma za to odwracać uwagę — stwierdził.

Wsiedli na duży prom pasażerski, który powoli przemierzał ocean, wioząc ładunek, robotników rolnych, wczasowiczów wołających niespieszne tempo i tych, którzy byli po prostu zbyt biedni, by pozwolić sobie na lot na długiej trasie. Większość pasażerów na dolnych pokładach stanowili producenci ryżu pundi, którzy przemieszczali się z poletka na poletko na wybrzeżu kontynentu zgodnie z nastawianiem pory monsunowej. Byli niskiego wzrostu, mieli szerokie twarze o aborygeńskich rysach i mówili dialektem, którego Paul nie rozumiał.

Wielu pochodziło z plemion wciąż mieszkających w gęstych dżunglach i od setek pokoleń odizolowanych od cywilizacji. Paul czytał w książkach o tajemniczych „prymitywnych Kaladańczykach”, ale mało o nich wiedziano, gdyż atrydzcy władcy od niepamiętnych czasów prowadzili politykę nieingerowania w życie samowystarczalnych pierwotnych społeczności.

Niektórzy pasażerowie zabawiali się wędkowaniem na głównym pokładzie. Kucharz promu zarzucał sieć na rufie i z połowu przyrządzał codzienny posiłek dla wszystkich. Pasażerowie jedli przy wspólnym stole, ale Paul i Duncan trzymali się na uboczu. Rzadka potrawka z duszonych ryb i suszone kawałki paradana całkiem zadowalały Paula.

Pewnego razu sztorm przeszedł tak blisko promu, że jednostka zaczęła się kołysać w przód i w tył, ale Paul nieraz żeglował, stał więc z Duncanem na pokładzie i przyglądał się chmurom i białym grzywom fal. W oddali widział błyski. Przypomniały mu się opowieści o polujących na zagubionych żeglarzy elektrycznych stworzeniach zwanych elekranami, ale to była bardziej prozaiczna forma wyładowań, błyskawice podczas burzy, która przesunęła się na północ.

W końcu prom zacumował w największym mieście Wschodniego Kontynentu, które było niewiele większe od wioski i składało się z przystani i drewnianych domów ciągnących się wzdłuż brzegu, a oni zeszli na ląd. Paul przyjrzał się poszarpanemu łańcuchowi górskiemu, który wyrastał tuż za brzegiem.

— Udajemy się w głąb ładu, Duncan? — zapytał. — Nie widzę żadnych dróg.

— Prawdopodobnie będzie to tylko słabo przetarty szlak — odparł Idaho. — Siostry trzymają się na uboczu, ale nikt nie trwa w takim odosobnieniu, by nie można go było znaleźć.

Wieśniacy patrzyli na nich podejrzliwie, kiedy wypytywali o tajemniczy ufortyfikowany klasztor. Chociaż siostry nie cieszyły się wśród nich wielkim szacunkiem, traktowali obcych z jeszcze mniejszym entuzjazmem. Mimo to Duncan nadal na nich naciskał, utrzymując, że ma do załatwienia w klasztorze czysto prywatną sprawę. W końcu uzyskał ogólne wskazówki i mogli wyruszyć.

Podróż zajęła im dwa dni. Szli najpierw szeroką drogą, która zmieniła się w gruntową, następnie w wyboisty szlak, a wreszcie w błotnistą ścieżkę wijącą się wśród gór. Dżungla stawała się coraz gęściejsza, drzewa coraz wyższe, zbocza coraz bardziej strome.

Gdy trzeciego dnia po południu dotarli do klasztornej fortecy, wydawało się, jakby natknęli się na nią przypadkowo. Z ziemi wyrastały niczym sztuczne skały wysokie czarne nuiiry. Paul patrzył na imponujące, ostre jak brzytwa narożniki i wieżyczki strażnicze, na których widać było małe postacie. Dom Siostr w Odosobnieniu miał mało okien i jedynie wąskie szczeliny w grubych ścianach, być może, żeby ograniczyć do minimum słabe punkty twierdzy albo żeby nie dawać siostrom zbyt wielu możliwości oglądania zewnętrznego świata.

Duncan i Paul podeszli do zakratowanej, zniechęcającej przybyszów bramy.

— Od czasu do czasu muszą kogoś przyjmować — zastanawiał się głośno Paul. — Jak inaczej mogłyby zdobywać zaopatrzenie i sprzęt? Nie mogą być całkowicie samowystarczalne.

— Skoro już tu jesteśmy, ukrywanie tożsamości nie ma sensu. Jestem pewien, że obserwowano nas przez ostatnich kilka kilometrów. — Duncan odrzucił kaptur na plecy i położywszy dłoń na ramieniu młodzieńca, krzyknął w stronę bramy: — Halo!

Poza małymi postaciami w wysokich wieżyczkach nie dostrzegł żadnego ruchu, nie usłyszał żadnego dźwięku.

— Otwórzcie bramę! — krzyknął znowu. — W imieniu księcia Leto Atrydy z Kaladanu domagamy się, by nas wpuszczono!

Po chwili Paul zobaczył, że w górze coś się rusza. Jeden z kamiennych bloków nad bramą odsunął się, ukazując zakamuflowane okno.

— Księcia Leto Sprawiedliwego? Każdy może się na niego powołać — dobiegł szorstki głos.

„Męski” — stwierdził Paul. Zastanawiał się, dlaczego wejścia do wyniosłego klasztoru strzeże mężczyzna.

— Ale nie każdy może przyprowadzić tu jego syna Paula — odpowiedział Duncan. — Jest u was jego babka Helena. Nie rozpozna wnuka, bo nigdy go nie widziała, ale rozpozna m n i e.

Paul zwrócił twarz ku górze, pewien, że ukryte kamery rejestrują każdy szczegół.

— A dlaczego przeorysza miałaby chcieć zobaczyć wnuka? Wasz księżę sam jej powiedział, żeby już nigdy nie kontaktowała się z rodziną.

Paul szybko wchłonął tę informację. Przeorysza? Właściwie nie był zdziwiony. Z tego, co czytał o Helenie Atrydzie, wiedział, że była intrygantką, bardzo inteligentną kobietą o wielkich ambicjach.

— To sprawa, którą przedyskutujemy na osobności z lady Heleną — odparł Duncan. — Ona wie, dlaczego tu jest... A może powinienem to wykrzyczeć co sił w płucach?

Rozległo się mechaniczne szczęknięcie, a potem głośne buczenie i brama zaczęła się otwierać. Człowiek, który wyszedł im na spotkanie, był niegdyś przystojny — Paul widział to w jego rysach — ale teraz twarz miał pobrużdżoną i zmiętą, jakby od lat był przybity, gryziony przez smutek. O dziwo, ubrany był w wypłowiały i wielokrotnie reperowany mundur rodu Atrydów.

Duncan przyjrzał mu się i nagle zeszywniał.

— Swa in Goire — zawołał. — A więc ty żyjesz.

Chmurna mina strażnika wydawała się jego naturalnym wyrazem twarzy.

— Pozostaję przy życiu tylko dlatego, że księżę, mój pan, rozkazał, by była to część mojej kary — rzekł. — Mimo to nigdy nie odpokutuję tego, co mu odebrałem.

— Nie, ale możesz zrobić dla niego tyle, by pomóc nam przeżyć.

Duncan wepchnął Paula przez bramę i znaleźli się za grubymi murami klasztoru.

W imieniu księcia zażądali schronienia i Siostry w Odosobnieniu niechętnie im go udzieliły. Kobiety ubrane były w niewygodne czarne stroje. Wiele z nich nosiło kwefy, inne zakrywały twarze woalkami. Mało mówiły, jeśli w ogóle się odzywały, i wydawało się, że są lepsze we wznoszeniu barykad niż w budowaniu mostów.

Siostry w Odosobnieniu nie miały prawie kontaktów ze światem, chociaż znane były ze swoich ręcznie tkanych gobelinów. Powiadano, że większość kobiet trafiła tutaj z powodu urazów psychicznych, ran, których nie mogły znieść. Paul podejrzewał, że po prostu pławią się we wspólnym smutku i żyją razem dla wspólnej ochrony.

O zachodzie słońca dzwony z brązu zburzyły upiorną ciszę klasztoru, wzywając wszystkich do dużego refektarza na kolację. Posiłek był prosty — chleb, owoce, warzywa i konserwowane ryby. Pili wodę ze źródeł bijących w dżungli, skąd sprowadzano ją rurami do klasztoru.

Goire usiadł przy małym stole po przeciwnej stronie pomieszczenia, stroniąc nawet od dwójki nowych gości. Najwyraźniej nie zapraszano go do jadań z siostrami. Skazany po śmierci Victora i Kailei na pobyt tutaj, był jednym z ledwie kilku mężczyzn w klasztorze.

Duże krzesło u szczytu stołu było puste i Paul zastanawiał się, czy babka zada sobie trud, żeby się pokazać, czy też wzgardzi nimi. Chciał poznać kobietę, której imię rzadko wymawiano w zamku. Mimo iż naciskał na Duncana, Gurneya i Thufira, by dowiedzieć się szczegółów, odpowiadali mu opryskliwie i wymijająco.

W końcu wszystkie milczące siostry, jakby połączyły się telepatycznie, zwróciły głowy w stronę drewnianych drzwi na końcu refektarza. Drzwi się otworzyły i weszła wysoka, zakapturzona kobieta.

Twarz miała zasłoniętą czarną woalką, a na zawoju wokół szyi skrzyły się cekiny richeskiego haftu elektronicznego. „*Nanizane mikrofony*” — pomyślał Paul. Podeszła posuwistym krokiem do swojego krzesła i stanęła za nim sztywno. Zdaniem Paula wyglądała złowieszczo, jak Ponury Kosiarz ze starego rysunku jakiegoś przesądneho artysty. Kiedy zwróciła się twarzą do gości, Paul zauważył, że siedzący z boku Goire uciekł od niej wzrokiem.

Przeorysza zajęła miejsce bez słowa. Paul zastanawiał się, czy ma się przedstawić i zadać jej nurtujące go pytania. Duncan zacisnął spoczywającą na stole dłoń w pięść.

Po długiej, nieprzyjemnej chwili kobieta podniosła ręce w czarnych rękawiczkach do boków kaptura, zawahała się, jakby się bała, a potem odsunęła do tyłu nakrycie głowy, ukazując falujące, ciemnobrązowe, przetykane siwizną włosy. Zdjęła też woalkę i Paul po raz pierwszy ujrzał babkę ze strony ojca.

Miała szczupłą, surową twarz, ale rozpoznał w niej pewne podobieństwo do rysów ojca. Lady Helena z rodu Richese'ow wyszła za księcia Paulusa Atrydę i najwyraźniej nie zapomniała o swoim arystokratycznym pochodzeniu.

— Na razie, przy tym posiłku, przyznam, że jestem twoją babką, chłopcze — przemówiła tak, jakby odwykła od mówienia. — Ale nie oczekuj serdecznego przyjęcia ani uczyty powitalnej.

— Niemniej jednak oczekujemy uprzejmości i gwarancji bezpieczeństwa — ostrzegł Duncan.

— Uprzejmości... — Helena zastanawiała się nad tym. — Zaiste, o dużo prosisz.

Podniósł się Goire, zaskakując zebrane kobiety.

— I dasz im to — powiedział. — Mają prawo żądać tego od nas, a my obowiązek zapewnić im to.

Usta Heleny wykrzywił grymas niezadowolenia.

— Dobrze. Jesteście tutaj i dowiem się dlaczego... ale później. Na razie jedźmy w spokoju. I w milczeniu.



*Polityka to spleciona sieć, zawity labirynt, stale zmieniający się kalejdoskopowy obraz. I nie jest piękna.*

— hrabia Hasimir Fenring

Baron Harkonnen siedział na nadymanym, samoregulującym się fotelu w ostatnim rzędzie Sali Przemówień Landsraadu, czekając, aż zacznie się pyskówka, i mając nadzieję, że nikt nie wymieni jego nazwiska. Znudziło mu się czekanie na Giedi Prime na wiadomości o tragedii, do której doszło w dniu ślubu biednego księcia Leto, i o zamordowaniu jego niewinnego syna (jeśli druga fala zabójców wykonała zadanie). W końcu, nie mogąc już opanować niecierpliwości, postanowił udać się w niezapowiedzianą podróż „w interesach” na Kaitaina. Nikt nie będzie niczego podejrzewał.

I tak znalazł się w stolicy Imperium akurat wtedy, kiedy mentat rodu Atrydów Thufir Hawat i ambasador Ekaza na Kaitainie wystąpili z wnioskiem o zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia Landsraadu i z żądaniem, by sprawę osądził sam Imperator.

„Muszą być naprawdę bardzo zdenerwowani — pomyślał baron. — o rany”.

Wiadomość o masakrze szybko się rozeszła i baron był rozczarowany, że zarówno książę Leto, jak i jego syn Paul uszli z życiem. Na razie.

Tak się dogodnie złożyło, że w imperialnym mieście był również wicehrabia Moritani, jakby zjawił się tu specjalnie po to, by go oskarżono. To zarazem głupota i prowokacja, uznał baron. Z taktycznego punktu widzenia wicehrabia postąpiłby mądrze, gdyby wrócił do domu i przygotował obronę przeciw krokom odwetowym Atrydów i Ekazów, które rody te na pewno podejmą. Co robił tutaj? Baron starał się unikać spotkania z tym człowiekiem, nie wiedząc, do czego może się posunąć pełen jadu przywódca Grummana.

Szlachta zebrana w Sali Przemówień zajęła wyznaczone miejsca w atmosferze niemego oczekiwania. Wielu przybyłych było wyraźnie poruszonych tym, co usłyszeli. Uwagę wszystkich zwracał pusty fotel zarezerwowany dla przedstawiciela rodu Moritanich. Czy ten człowiek był aż tak szalony, że zignorował wezwanie Imperatora? Możliwe.

Daleko w dole Szaddam IV przywołał zebranych do porządku z mównicy stojącej na głównym podium.

— Wzywam wicehrabiego Hundra Moritaniego z Grummana, by wysłuchał wystosowanych pod jego adresem zarzutów — powiedział i podniósł rękę ku sklepieniu sali oraz zawieszanej pod nim na dryfach klar płazowej sfery.

Wewnątrz przezroczystej kuli stał wysoki, kościsty mężczyzna, który owinął się dumnie podbitą futrem żółtą szatą.

— Dlaczego zostałem aresztowany, zanim oskarżono mnie o jakiegokolwiek przestępstwo? — rozległ się transmitowany przez głośniki oburzony głos wicehrabiego. — Mam być wystawiony niczym zwierzę w zoo przed równymi sobie?

Słowa te nie zrobiły na Imperatorze żadnego wrażenia.

— To zamknięcie podyktowane jest troską o twoje bezpieczeństwo — powiedział.

— Nie potrzebuję ochrony! Domagam się natychmiastowego uwolnienia, żebym mógł stawić czoło tym, którzy mnie oskarżają.

Szaddam strzepnął jakiś pyłek z rękawa złocistej szaty.

— A może niektórzy członkowie tej izby uważają, że potrzebują ochrony przed tobą? Przeciw Grummanowi została wniesiona oficjalna skarga. — Stuknął palcem w leżący przed nim arkusz ryduliańskiego papieru krystalicznego. — Dzisiaj mamy się zająć domniemanymi uchybieniami podczas wypowiedzenia i prowadzenia wojny asasynów. Obowiązują w tej kwestii ustalone zasady i do moich obowiązków należy przypomnienie o nich... wszystkim. — Powiódł wzrokiem po sali, usłyszał — jak się wydawało — głośną zgodę, po czym polecił otworzyć przezroczystą kulę.

Wicehrabia Moritani stanął w pogniecionej szacie przed tłumem. Jego gęste włosy były rozwi-chrzone.

— A zatem porozmawiajmy o tym, co zrobiłem — powiedział. — I niech wszyscy usłyszą też o zbrodniach popełnionych na członkach mojego rodu.

Rozejrzał się gniewnie, być może szukając barona Harkonnena, ale najwyraźniej jeszcze go nie dostrzegł wśród setek przedstawicieli planet. Pomimo swej tuszy baron starał się usunąć dyskretnie w cień, zatapiając się w swoim samoregulującym fotelu.

Ambasador Ekaza wystąpiła naprzód i stanęła obok Hawata.

— Istotnie, zostały popełnione zbrodnie — powiedziała tonem erudytki. — Przedstawimy nasze dowody i niechaj Imperator i Landsraad to rozstrzygną.

Nie czekając na zachętę, zaczęła recytować długą litanię głównych wydarzeń ciągnącego się od dawna konfliktu: zatrucie lasów mgiełnicowych, mordowanie ambasadorów, dywanowe naloty na Ekaza, wycofanie wszystkich grummańskich uczniów ze szkoły mistrzów miecza na Ginazie, po czym atak z zaskoczenia, który zrównał Ginaza z ziemią, oraz zamordowanie brata arcyksięcia i jego starszej córki.

Wicehrabia Moritani słuchał tego najpierw ze stoickim spokojem, a potem z gorzkim rozbawieniem. Członkowie Landsraadu zaczęli groźnie sarkać i baron uznał, że nie wróży to dobrze.

Następnie przyszła kolej na Thufira Hawata.

— Ale to był dopiero początek, panowie — powiedział. — Te obrazy mówią same za siebie.

Szlachta siedziała w pełnym grozy milczeniu, a baron patrzył z niecierpliwym oczekiwaniem na odtwarzane dla wszystkich nagranie jatki, do której doszło w dniu ślubu księcia Leto, zakończone holograficznym obrazem wicehrabiego Moritaniego przekazującego obciążające go przesłanie. Ku wielkiej uldze barona, nikt nie wymienił jego nazwiska.

Szaddam uciszył wrzawę, która nastąpiła po tym pokazie, stukając wzmocnionym młotkiem.

— W trakcie tego sporu ród Ekazów nie dopuścił się żadnego zakazanego prawem czynu — przemówiła ponownie ambasador Ekaza, trzęsąc się z wściekłości. — Nawet we wczesnej fazie konfliktu nasz arcyksiążę, zgodnie z wymogami, zapowiedział kanły. Odpowiedzieliśmy, stosując się do zapisanych w Wielkiej Konwencji ścisłych zasad wojny asasynów. Nie zrobiliśmy niczego, co mogłoby wywołać taką straszną i irracjonalną agresję rodu Moritanich.

Wicehrabia wałną pięścią w boczne podium.

— Pozwoliliście umrzeć mojemu jedynemu synowi, odmawiając mu niezbędnego leku! — krzyknął. — Zamordowaliście Wolframa! Równie dobrze moglibyście nasłać zabójcę, który zatopiłby nóż w jego sercu! Mój biedny syn — mój jedyny dziedzic! — był niewinnym obserwatorem, który padł ofiarą nienawiści Ekazów.

Baron wydał usta, ale zachował milczenie. Ktoś mógłby zauważyć, że zabicie syna i dziedzica jest — ściśle mówiąc — absolutnie dopuszczalne według reguł wojny asasynów.

Na ekaskiej ambasador to gwałtowne wystąpienie nie zrobiło wrażenia.

— Wszyscy członkowie Landsraadu wiedzą, że arcyksiążę Armand jest wielkim humanitarystą. Proszę nam pokazać jakąkolwiek złożoną przez was oficjalną prośbę o ten lek. Udowodnij, wicehrabio, zebrany tutaj, że Ekaz kiedykolwiek odmówił wprost twojemu synowi pomocy medycznej. — Spojrzała na niego zimno. — Biorąc pod uwagę twoje zachowanie w przeszłości, jest bardziej prawdopodobne, że pozwoliłeś synowi umrzeć, by mieć pretekst do dalszych aktów przemocy.

Moritani zrobił się purpurowy z wściekłości. Nim zdążył zejść z podium, zbliżyli się sardaukarzy, gotowi ponownie zamknąć go w klarplazowej kuli, gdyby okazało się to konieczne.

Imperator Szaddam wzniósł surowo palec.

— Dość — powiedział. — To nie może się wymknąć spod kontroli.

— Spod kontroli, Wasza Wysokość? — odpowiedział silnym głosem Hawat. — Ród Moritanich zaatakował nie tylko Ekazów, ale również Atrydów i Verniusów z Ixa. Podczas masakry na ślubie mogli zginąć przedstawiciele wielu innych rodów. Wcześniej zdradziecka napaść Grummańczyków zniszczyła szkołę mistrzów miecza na Ginazie. Ile jeszcze zniszczeń i strat będziemy tolerować? Ten spór może się szybko przerodzić w pożogę, która ogarnie znacznie więcej rodów Landsraadu.

— Ja na to nie pozwolę — rzekł Szaddam surowym tonem. — Wicehrabio Moritani, rozkazuję, byś natychmiast zaprzestał swoich lekkomyślnych działań. Zapłacisz odszkodowania w wysokości, którą osobiście ustalę. I żądam, byś przeprosił arcyksięcia za zabicie jego córek. I brata. To powinno zakończyć tę sprawę.

Wicehrabia Moritani roześmiał się tylko okrutnie, zaskakując zebranych. Nawet baron zastanawiał się, co wyprawia ten człowiek.

— Och, wplątanych jest w to dużo więcej rodów niż tylko Ekazowie i Atrydzi — powiedział. — Mógłbyś się zdziwić.

Baronowi wydawało się, że patrzy wprost na miejsca Harkonnenów.

„*To niebezpieczna gra*” — pomyślał.

Moritani zrobił krok w stronę podium Imperatora, chociaż sardaukarzy nie dopuściliby go bliżej.

— Dlaczego nie wyślesz po prostu legionu sardaukarów, żeby stali mi nad głową, Wasza Wysokość? Zignoruję ich, tak jak poprzednio. — Odwrócił się tyłem do Szaddama i zaczął odchodzić zamaszystym krokiem, nie zważając na wrzawę, która wybuchła w izbie. Podniósłszy głos, rzekł gorzko: — A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę zorganizować pogrzeb... pogrzeb mojego syna.

Imperator ponownie stuknął młotkiem, ale wicehrabia się nie odwrócił.

— Hundro Moritani, otrzymujesz oficjalną naganę za niewłaściwe zachowanie — oznajmił Szaddam. — W imieniu Landsraadu i rodów, które są jego członkami, ustanawiam też nad tobą nadzór administracyjny. — Zgromadzeni przedstawiciele przyjęli tę łagodną karę za tak wyzywającą postawę pomrukiem dezaprobaty, więc Szaddam krzyknął: — Jeśli zajdzie potrzeba, ród Moritanich może zostać pozbawiony tego, co posiada. Jeszcze jedno pogwałcenie prawa i utracisz swoje lenno!

Tym razem wicehrabia powoli się odwrócił i spojrzał na Imperatora z nieskrywaniem wstrętem.

— A ile jest warte moje lenno, Wasza Wysokość? Grumman to wyeksploatowana i prawie bezwartościowa planeta, ale jest moją ojczyzną, a ja jego władcą. Będę bronił mojego ludu i honoru tak, jak uznaję za stosowne. Przyleć i przekonaj się na własne oczy, jeśli chcesz. Zobacz, jak Moritani broni swojego honoru.

Baron zdębiał. Czy ten człowiek oszalał? Po masakrze na ślubie Atrydzi i Ekazowie prawie na pewno planowali atak na Grummana, a teraz wicehrabia prowokował jeszcze Imperatora? Wydawało się, że nie dba już o nic. Czyżby naprawdę tak bardzo kochał syna? Na samą myśl o tym Vladimira Harkonnena ogarnął niepokój. Jak on — czy ktokolwiek inny — mógłby pokierować takim człowiekiem?

Wieczorem, w swojej dyplomatycznej siedzibie, baron nie zdążył nawet rozpocząć przygotowań do powrotu na Giedi Prime, gdy otrzymał niepożądaną tajną wiadomość. Włożył ozdobną łyżeczkę do filiżanki, by pomieszać kawę przyprawową, i uruchomił sprytnie ukryty projektor. Nad tacą z jedzeniem pojawiło się holograficzne ujęcie uśmiechniętego grummańskiego wielmoży. Zaskoczony, baron odepchnął posiłek, ale nie mogło to zatrzymać nagranych słów wicehrabiego.

— Jestem w drodze powrotnej na Grummana, by przygotować się do naszej wielkiej bitwy. Wspaniałej bitwy. Przyleci tam arcyksiążę z siłami Atrydów — nie oprą się przynęcie — więc moja planeta musi mieć ochronę. — Zadowolony z siebie dodał: — Oczekuję, baronie, że jako mój sojusznik przyślesz dywizję, by pomóc Grummanowi stawić opór wrogom. Nalegam na to przez wzgląd na naszą przyjaźń... i nasze sekrety.

Baron przewrócił filiżankę z kawą przyprawową, mając nadzieję, że usunie w ten sposób nagrany obraz, ale wicehrabia kontynuował złowieszcze ultimatum.

— Jak ci obiecałem, tylko sobie przypiszę zasługi za to. Nie ma potrzeby, bym ujawnił zaangażowanie Harkonnenów. Jeśli dostarczysz ludzi, by walczyli ramię w ramię z moimi, z radością pozwolę im włożyć grummańskie mundury i kontynuować naszą maskaradę. Oprócz nas nikt nie musi o tym wiedzieć. Na przygotowania wystarczą ci dwa tygodnie. Dzięki księciu Vidalowi co najmniej o tyle opóźni się atak Atrydów i Ekazów. Przyślij tę dywizję... i twojego człowieka, Rabbana, jako jej dowódcę. — Uśmiechnął się i obraz zamigotał. — Straciłem już syna. Możesz zaryzykować życie kogoś, kto jest tylko twoim bratankiem.

Z wściekłości i irytacji baron uderzył ręką obraz uśmiechającego się szyderczo wicehrabiego, ale ten nadal wisiał w powietrzu, jakby chciał przypomnieć mu, że nie jest w stanie zapanować nawet nad nim.





*Budujemy wokół nas grube forteczne mury i głębokie fosy energii psychicznej. Schronienia te służą podwójnemu celowi: niedopuszczaniu niemiłych wspomnień i zamykaniu w nich naszej winy.*

— **Księga Azhara** Bene Gesserit

Mury ufortyfikowanego klasztoru były z zimnego kamienia, ale prawdziwy ziąb w tkalni zdawał się promieniować wprost od jego babki. Lady Helena Atryda najwyraźniej chciała, by Paul czuł się niemile widziany i skrępowany, wytrącił ją więc z równowagi, nie przejmując się tym i nie okazując najmniejszego zakłopotania. Towarzysząc starszej kobiecie, nie mógł nic zyskać ani stracić i przypuszczał, że również przeorysza nie ma nic do zyskania na jego obecności. Nie oczekiwał, że nastąpi jakaś nagła zmiana i babka zaakceptuje go i pokocha.

Uraza Heleny brała się ze wspomnień o mężu Paulusie, być może również ze wspomnień o Leto, ale kiedy próbowała dać ją odczuć wnukowi, nie zrobiło to na Paulu żadnego wrażenia, zupełnie jakby nosił osobistą tarczę chroniącą go przed emocjami.

— Nasze kobiety ciężko pracują — powiedziała Helena ostrym tonem, kiedy pewnego ranka wszedł do górnego pokoju wieży i zapytał, czy może się przyjrzeć zajęciu, któremu się oddawały. — Nie wolno ci im przeszkadzać.

Paul nie wyszedł chyłkiem, jak się najwyraźniej spodziewała.

— Mają zakaz rozmawiania, babko, i żadna z nich nawet nie spojrzała na mnie, a zatem widocznie im nie przeszkadzam — rzekł. Przypatrywał się z zainteresowaniem, jak uwijają się przy krosnach. — Możesz mi wyjaśnić, co one robią?

Trzydzieści kobiet pracowało przy krosnach w rytm przesuwania się i skręcania nitek wątku i osnowy przeciąganych przez przesmyki, śmigających w tę i z powrotem czółenek. Włókna odwijane z motków i szpul mieniły się wieloma barwami.

Robotnice zbierały garście przędzy rozmaitej grubości — od cieiw kiej jak pajęcza sieć po grube sploty. Tkaczki splatały z nich różne wzory w dobrze wyćwiczonym tempie, współpracując bez słów. Dopiero po paru chwilach Paul zdał sobie sprawę, że zamiast nad jednym ogromnym arrasem pracują nad dziesiątkami gobelinów. W niektórych, niczym w tęczy, jeden kolor przechodził płynnie w drugi, natomiast w innych barwy gryzły się, nitki się przecinały i powstawały nieprawdopodobne supły.

— Czy one tkają według jakiegoś ogólnego wzoru?

— Każda siostra tworzy własne wzory. Nie rozmawiamy ze sobą, kto zatem wie, jakimi kierujemy się wspomnieniami i wizjami? — Kiedy Helena zmarszczyła czoło, jej twarz wydawała się wynędziała. — Największe zyski przynoszą klasztorowi nasze słynne tkaniny abstrakcyjne. Nie ma na nich wzorów i obrazów jak na tradycyjnych gobelinach, lecz zupełnie inne układy, które można dowolnie interpretować. KHOAM sownie nam płaci, rozprawdzając je w całym Imperium.

— A więc wasza religia jest przedsięwzięciem handlowym — stwierdził Paul, co najwyraźniej zirytowało jego babkę.

— Religia zawsze jest działalnością handlową — powiedziała. — Rozpoznajemy, jakich produktów chcą ludzie, i przyjmujemy w zamian pieniądze. Poza tym nasz klasztor jest prawie samowystarczalny. Uprawiamy większość tego, co jemy. Wiesz o tym, bo zauważyłam, że wy dwaj myszkujecie po okolicy.

Od przybycia Paul i Duncan włóczyli się po terenach należących do klasztoru i oglądali ziemie uprawne na stromych tarasach za grubymi murami. Gęsta dżungla dostarczała owoców, jadalnych liści i bulw oraz zwierzyny, chociaż Paul nie potrafił sobie wyobrazić Sióstr w Odosobnieniu na łowach. Mógł jednak polować Swain Goire.

— Nasze tkaniny podobają się również kaladańskim ludom prymitywnym.

Paul zdumiał się.

— A do czego ci ludzie ich używają? — zapytał.

Chociaż tajemnicze plemiona z głębi dżungli miały niewielki kontakt z resztą Kaladanu, Paul z fascynacją studiował księgofilmy o nich. Jego ojcem był książę z linii Atrydów, więc chciał się jak najwięcej dowiedzieć o wszystkich aspektach tego świata. Książę Leto, Paulus i ich przodkowie pozwalali ludom prymitywnym Wschodniego Kontynentu żyć własnym życiem. Stary Książę wydał oświadczenie, że jeśli kiedykolwiek prymitywne plemiona kaladańskie zechcą dołączyć do cywilizacji, będą mogły to

zrobić, ale musi się to stać z ich woli. Historia pełna była smutnych skutków narzucania nowoczesnych sposobów życia ludom, które sobie tego nie życzyły.

Helena ściągnęła brwi.

— A czy ktoś rozumie tych prymitywnych ludzi lepiej niż oni nasze abstrakcyjne tkaniny?  
— powiedziała. — Ale oni wiedzą, co w nich widzą, i to nam wystarcza.

Zdając sobie sprawę, że ją to zaskoczy, a może sprowokuje, Paul zwrócił się do niej i zapytał:

— A czy ty, babko, czujesz się odizolowana od cywilizacji? Poprosisz kiedykolwiek mojego ojca o wybaczenie, żebyś mogła powrócić do zamku kaladańskiego?

Śmiech Heleny zabrzmiał jak dźwięk tłuczonego szkła.

— A niby dlaczego miałabym tego chcieć? Mam tutaj wszystko, czego mi potrzeba, i jestem jak udzielna władczyni na swoich włościach. Dlaczego miałabym chcieć być pionkiem w czyjejś grze?

Paul spojrział na starannie założone nici osnowy. Siostra o krótko przystrzyżonych siwych włosach zręcznie wplatała w nie najpierw różowe, a potem niebieskie nici wątku, łącząc je w hipnotyczny, kalejdoskopowy wzór.

— Wszystko tutaj układa się doskonale. — Wbrew temu zapewnieniu w głosie jego babki słyhać było gorycz. — Wiodę spokojne życie. Od lat nie myślałam ani o moim synu, ani o zmarłym mężu. — Wtem Helena wyciągnęła dłonie o długich palcach i zatopiła je niczym szpony w niesplecionych jeszcze niciach. Szarpnęła i zerwała je z haczykSw krosna. — Panowała tutaj idealna harmonia, dopóki nie pojawiliście się ty i Duncan.

Milcząca siwowłosa siostra pracująca przy krośnie wyprostowała się na stołku i popatrzyła na smętne resztki swego dzieła zniszczonego przez przeorysę.

Paul przypuszczał, że gest babki to kolejna próba przestraszenia go. Zamiast sprawić jej satysfakcję spłoszoną miną, popatrzył na splątaną masę nici, ich barwy i supły.

— Skoro każda kobieta tutaj tka wzór na podstawie swoich życiowych doświadczeń — powiedział, kiwając głową w stronę beładnej płataniny — to czy nie byłaby poprawna interpretacja tego jako wzoru twojego życia?

*Trzeba przestrzegać form. Zależy od tego los naszej cywilizacji.*

— z reguł Wielkiej Konwencji odnoszących się do wojny asasynów

Po przybyciu statków oraz tysięcy dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy Atrydów arcyksiążę Armand miał do dyspozycji siły dwukrotnie większe od własnych. Połączone armie powinny wystarczyć do zgniecenia Grummańczyków.

Najpierw jednak musieli wygrać nieprzewidzianą bitwę na Ekazie. Nie mogli ryzykować utraty planety na rzecz rebeliantów podczas swojej nieobecności.

W izbie dyskusyjnej w odzyskanym pałacu Ekazów arcyksiążę wciąż drżał ze słabości spowodowanej przez smutek i poważną ranę.

— Nie mam zamiaru prowadzić wojny domowej — oświadczył głuchym głosem, który brzmiał jak podmuch zimnego wiatru.

Gurney rozparł się na rzeźbionym drewnianym krześle nie po to, by okazać beztroskę, lecz by się rozluźnić i być w każdej chwili gotowym do walki.

— Vidal planował to już od pewnego czasu — powiedział. — To oczywiste. Przeprowadzone dzisiaj rano loty zwiadowcze nad Elakką pokazały koncentrację jego sił i umocnienia obronne. Wspomnicie moje słowa: to nie stało się z dnia na dzień. Już samym tym, że żyjesz, udowodniłeś, panie, że jest on łgarzem.

Zaniepokojony Leto potrząsnął głową.

— Gdyby po prostu czekał na dogodną chwilę, jego zdrada nie byłaby tak oczywista — stwierdził.

Armand ciężko westchnął.

— Vidal beztrosko założył, że zostanie zgładzony. Jak teraz wyjaśni mój powrót, skoro oznajmił wszystkim, że zginąłem?

Gurney gromko się roześmiał.

— Jest kiepskim przywódcą, jeśli liczy na to, że wszystko będzie zawsze przebiegać zgodnie z planem.

— A teraz z tego powodu dojdzie do wielkiego rozlewu krwi. — Arcyksiążę zwiesił głowę i rozwichrzone srebrzyste włosy opadły mu na twarz. — I dlaczego poszło za nim tylu moich ludzi? Jego oszustwo jest boleśnie oczywiste. Czyżby opowiadał niestworzone historie, by zasiać wątpliwości w głowach swoich zwolenników? Czyżby sugerował im, że jestem maskaradnikiem? A może po prostu trzyma ich w niewiedzy?

— Prawdopodobnie mamy do czynienia z tym ostatnim — zastanawiał się Leto. — Ale zwykli żołnierze nie mają się borykać z zawiłościami polityki. Wykonują tylko rozkazy.

Whitmore Bludd siedział po przeciwnej stronie stołu, obok arcyksięcia, ale samotnie. Chociaż był blady, starał się nadrobić miną.

— Bez względu na koszty zmiażdżymy buntowników — powiedział nietypowym dla niego, krwiożerczym tonem. — Wkrótce Ekaz będzie ponownie pod twoją kontrolą, panie. Wtedy będziemy mogli ruszyć na Grummana. Zatknięcie głowy Hundra Moritaniego na palu jest tylko kwestią czasu. Przyrzekam ci to.

Nie podnosząc głowy, jakby była za ciężka, arcyksiążę pokiwał nią wolno.

— Tak, ale nasza droga może mieć wiele zakrętów — rzekł. — Jak zniosę krwawą kampanię przeciwko moim ludziom, którzy dali się zwieść zdrajcy?

— Może nie będziesz musiał. Proponuję, żebyśmy nie wszczynali prawdziwej wojny domowej — powiedział Leto. — Chociaż nasze połączone armie mogą pokonać buntowników, napuszczenie na siebie dzielnych ekaskich żołnierzy byłoby marnotrawstwem. Nie muszą skakać sobie do gardeł.

— A jaki mamy wybór? — zapytał arcyksiążę. — Do tej pory nasza sprawa została przedstawiona w sądzie Landsraadu. Proponujesz, żebyśmy po prostu czekali na wiadomości z Kaitaina, podczas gdy Vidal będzie umacniał fortyfikacje? Ponadto każdy dzień zwłoki pozwala wicehrabiemu Moritaniemu lepiej przygotować się na nasze natarcie na Grummana.

Leto powiódł palcami po wijących się słojach krwawej zawa.

— Sprowadziliśmy tli moją armię, by połączyła się z twoją i byśmy natychmiast ruszyli na Grummana. Vidal widział nasze przeważające siły i teraz spodziewa się, że przypuścimy zmasowany atak, zamiast dokonywać — zgodnie z wymogami Wielkiej Konwencji — precyzyjnych uderzeń. On nigdy nie opowiedział się po żadnej ze stron w tej wojnie asasynów, a jednak do niej przystąpił. Z kolei wicehrabia Moritani zlekceważył podczas tego konfliktu wszelkie reguły. — Skrzyżował ramiona na pierśsi i przybrał twardą, nieustępliwą minę. — Ale my nie musimy tego robić. Inni jawnie pogwałcili reguły, ale nie daje nam to *carte blanche* na zrobienie tego samego. Jedno przestępstwo nie usprawiedliwia drugiego, zwłaszcza jeśli chodzi o emocjonalne pułapki wyniszczającej wojny.

Gurney zorientował się, do czego zmierza Leto.

— Trzeba przestrzegać form — powiedział donośnym głosem.

Wyczerpany i pogrążony w żalobie arcyksiążę nie pojął jednak tak szybko jak on, o co chodzi księciu Atrydzie.

— Co proponujesz, przyjacielu? — zapytał.

— Skoro oni są przygotowani do totalnej wojny domowej, gotowi bronić się przed frontalnym atakiem dużych sił zbrojnych, my powinniśmy pokazać, na czym polega wojna asasynów. Użyjemy zabójców. Pozycje obronne mogą chronić przed liczną armią, ale łatwo przeniknie przez nie jeden czy dwóch asasynów.

— Ja to zrobię — rzekł Gurney. — Biblia Protestancko-Katolicka powiada: „*Albowiem mam Sprawiedliwego Pana, a wrogowie mojego Pana są wrogami Boga*”.

— To ja powinienem wytoczyć krew wroga — rzekł arcyksiążę.

— Nie możesz iść, Armand — powiedział Leto głosem pełnym współczucia, chociaż wiedział, że stwierdza to, co oczywiste. — Ja pójdę zamiast ciebie. Asasynami będziemy ja i Gurney.

— I ja — rzeki Bludd trochę za późno. — Pozwól mi, panie mój, zniszczyć naszych wrogów w obronie honoru rodu Ekazów.

Jednoręki Armand nie chciał się przyznać do słabości, ale nie mógł jej zaprzeczyć.

— Nie. Zostaniesz ze mną, mistrzu miecza — odparł. — Jesteś mi potrzebny do zapewnienia bezpieczeństwa. Nie skończyliśmy jeszcze przeszukiwać pałacu i miast. Potrzebuję cię tutaj.

Bludd sprawiał wrażenie upokorzonego tą uwagą, wnioskując — być może poprawnie, pomyślał Leto — że arcyksiążę nie chce przymknąć oczu na to, iż zawiódł w krytycznym momencie.

— Ależ, mój panie — zaoponował mistrz miecza — czy godzi się wysłać szlachcica do krwawej roboty? Książe nie powinien się wystawiać na takie niebezpieczeństwo.

— Nie powinienem — rzekł Leto — ale zrobię to. Zapytajcie obecnego tu Gurneya albo Duncana Idaho. To moi najlepsi żołnierze i najwierniejsi strażnicy, i to oni mnie szkolili.

Gurney skinął głową.

— Książe Leto jest przede wszystkim szlachcicem i rzadko pozwala sobie brać udział w walce, ale to znakomity szermierz. Nawet ze mną wygrywa jeden na dziesięć pojedynków — potwierdził.

— Cztery na dziesięć — sprostował Leto.

Blizna po krwawinie na twarzy Hallecka pociemniała od rumieńca.

— Nie mogę się spierać z moim panem — skomentował.

— Odwrócimy ich uwagę, kontynuując gromadzenie wojska i sprzętu, jakbyśmy się przygotowywali do zaatakowania Elakki — rzekł po namyśle Armand. — Będą nas śledzili szpiedzy Vidala, by się zorientować, kiedy zamierzamy ruszyć na niego. Nie będzie się spodziewał skierowanego wyłącznie przeciw niemu uderzenia dwóch osób, chociaż dokładnie tego wymagają reguły.

— Gurney i ja opracujemy plan działania i przy najbliższej sposobności przenikniemy na elakkański kontynent — powiedział Leto.

*Kiedy człowiek zostanie doprowadzony do ostateczności, co w nim przeważa — człowieczeństwo czy okrucieństwo? To cecha definiująca całą jego osobowość.*

— książkę Leto Atryda

W środku dnia Duncan stał ze Swainem Goireem na szczycie najwyższej wieży klasztoru, lustrując otaczające fortecę ze wszystkich stron stronie, porośnięte dżunglą wzgórze. Tarasowe ogrody na zboczu klasztorowego wzniesienia przepelniała bujna roślinność.

Na wieżę weszła milcząca siostra, by dosypać karmy mającym tam kolonię jastrzębiom. Uczta przygotowana dla dużych, ciemnych ptaków składała się z ziaren zboża i owoców. Duncan pomyślał, że te drapieżniki na pewno doskonale same potrafią znaleźć zdobycz w dżungli. Czyżby te kobiety starały się zrobić z nich roślinożerców? Potem jednak uświadomił sobie, że ziarno i owoce nie są przeznaczone dla jastrzębi, ale mają przywabić niniejsze ptaki, które padną ich łupem. Drapieżne ptaszyska krążyły tak wysoko nad wieżą, że wyglądały jak czarne plamki wśród chmur; inne opadały w gęstą dżunglę.

Goire opatulił się małomównością jak grubym płaszczem w zimny dzień. W młodości Duncan nie znał go zbyt dobrze, ponieważ kiedy Goire był kapitanem atrydzkiej straży, on przebywał w ginaskiej szkole. Wiedział tylko, co ten mężczyzna zrobił, i to mu wystarczyło.

— Paul bardzo mi przypomina młodego Victora — przemówił w końcu Goire. — Ma w sobie dużo z ojca.

— Ledwie znałem Victora — rzekł Duncan. — Zanim wróciłem z Ginaza, zakończył życie.

Pomimo szorstkich słów Duncana Goire, niczym szorowana przez fale skała na brzegu morza, nawet nie drgnął.

— Za to ja znałem tego chłopca dobrze. Widywałem go codziennie, aż do końca. Miałem dbać o jego bezpieczeństwo i zawiodłem.

— Paul ma mnie do obrony — oznajmił Duncan.

Oczy Goirea były znużone i zaczerwienione.

— Nie zamierzałem dopuścić do tego, by Victorowi stała się najmniejsza choćby krzywda, ale wszyscy wiemy, że dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. Liczą się tylko działania i ich rezultaty.

Umilkli na dłuższą chwilę. Obserwowali krążące wysoko jastrzębie, patrzyli na ciągnące się po horyzont pokryte dżunglą wzgórze i na puste, jeśli nie liczyć ptaków, niebo. W oddali Duncan widział małe statki powietrzne, które musiały należeć do firm na wybrzeżu.

— Przed czym właściwie bronisz Paula? — zapytał w końcu Goire. — Jaka desperacja was tutaj przywiodła? Zwykła sprzeczka nie wymagałaby tak radykalnych kroków.

Duncan opowiedział z westchnieniem o krwawej waśni wicehrabiego Moritaniego z Ekazem, w którą został wciągnięty ród Atrydów.

— A ty uważasz, że zagrożenie nie minęło? — zapytał stary dowódca straży. — Podejrzewasz, że na Paula czyhają następni asasyni?

— Z jakiegoś pokrętnego powodu, który zrodził się w jego głowie, wicehrabia Moritani chce zabić syna księcia. Paul wciąż żyje, a ja chcę, żeby tak zostało. Nie opuszczę gardy.

— Ale przecież z punktu widzenia Grummańczyków dalsze atakowanie nie ma sensu. Paul jest niewinny.

— To od początku nie miało sensu, a mimo to doszło do napaści. Zresztą Ilesa też była niewinna.

Goire skinął poważnie głową. Przyglądali się widocznym w oddali, lśniąco srebrzyście statkom, które leciały teraz w stronę klasztoru nad leśnymi bezdrożami. Oglądane z ich wysokiego punktu widokowego, nie były większe od krążących w powietrzu jastrzębi. Po paru chwilach do ich uszu dobiegł ryk silników.

Goire patrzył w napięciu.

— Nie widziałem wcześniej takich statków — powiedział. — Mamy bardzo mało...

Duncan natychmiast się zorientował, że nie są to niskoloty dostawcze.

— Zamierzają nas zaatakować! — krzyknął.

— Tak... tak. — Goire popchnął go. — Szybko! Biegnij po Paula!

Duncan puścił się pędem.

Chwyciwszy po drodze miecz Starego Księcia, Idaho wpadł jak burza do tkalni.

— Nadciągają! — zawołał. — Musimy się schronić!

Po latach szkolenia Paul nie wahał się ani chwili. Skoczył, przylączając się do towarzysza.

Nie zważając na oczywistą, nagłą potrzebę, o której poinformował mistrz miecza, Helena miała go już zbesztać za bezceremonialne wtargnięcie, kiedy pierwszy wybuch wstrząsnął boczną częścią klasztoru.

— Zarządź ewakuację! — krzyknął do niej Duncan. — Zabierz stąd siostry!

— Nie zarządzę — odparła lodowato Helena. — To nasza forteca. Nasz dom. — Duma wydawała się dla niej ważniejsza niż przeżycie. — Powiadasz, że wielki Duncan Idaho nie potrafi nas obronić tym mieczem?

Spojrząwszy na nią gniewnie, Duncan złapał Paula za ramię i pociągnął go ku drzwiom i kamiennym schodom.

— Nie przysięgałem, że będę chronił ciebie, moja pani. Wasze bezpieczeństwo jest teraz na twojej głowie. Na waszą fortecę przypuszczono atak.

— Ta wojna asasynów nie ma z nami nic wspólnego — upierała się Helena.

— Teraz ma! — zawołał Paul od drzwi. — Starają się mnie zabić. I nawet jeśli zostaniecie przypadkowymi ofiarami, i tak będziecie martwa.

Siostry beztrąsko tkwały dalej, ponieważ nie otrzymały od przeoryszy innego polecenia. W mury zewnętrzne uderzył podmuch drugiej eksplozji i całe pomieszczenie gwałtownie się zatrzęsło.

— To nie są tylko asasyni. To uderzenie militarne w pełnej skali — stwierdził Paul.

— Wicehrabia Moritani pokazał już, do czego może się posunąć. Zapewnienie ci bezpieczeństwa jest moim zadaniem. — Duncan wypchnął go przez drzwi i zbiegli krętą klatką schodową, biorąc po trzy stopnie naraz. — Musimy się stąd wydostać. Te mury nie wytrzymają długo.

Kiedy wypadli na dziedziniec, niskoloty zataczały łuk, by wystrzelić na klasztor kolejne pociski kierowane. Cała budowla dudniła pod naporem fali uderzeniowej. We wzmocnionych murach pojawiały się niczym błyskawice szczeliny. Główna wieża zatrzęsała się i osunęła w płomieniach i tumanach kurzu.

Jego babka i wszystkie te kobiety zostały w środku. Teraz wieża leżała w gruzach, zniszczona jak gobelin rozpruty przez Helenę. W mozaice ruin czerwień mieszała się z szarością kamienia. Paul szukał w sercu miejsca, w którym mogłyby się kryć przerażenie i wstrząs wywołane śmiercią lady Heleny, ale go nie znalazł.

Niskoloty uderzały z ogłuszającym hukiem i wyciem silników, po czym odlatywały, by powrócić do kolejnego ataku, a potem zaczęły lądować i wypluwać uzbrojonych mężczyzn, którzy nie nosili mundurów ani jakichkolwiek insygniów. Wiele sióstr biegało wokół z wrzaskiem. Niektóre zebrały prowizoryczny oręż i stanęły w obronie klasztoru, inne próbowały uciec, ale nie miały dokąd.

— Jeśli starają się zabić mnie i zburzyli wieżę, to skąd mogą wiedzieć, czy jestem wśród zabitych? — Paul uczeplił się kluczowego taktu.

Duncan potrząsnął głową, podnosząc miecz Starego Księcia, by ich bronić.

— Znikąd — odparł. — Musi to być jeden z wielkich spisków wicehrabiego. Nade wszystko lubi powodować zniszczenia. W chaosie rozkwita.

Podbiegł do nich bez tchu Swa in Goire, od stóp do głów pokryty kurzem. Włosy miał zlepione krwią sączącą się z rany po odłamku.

— Zabieraj Paula i uciekajcie do dżungli — powiedział.

— W którą stronę?

— W którąkolwiek, byle się stąd wydostać... to jest teraz wasz jedyny cel. — Miał dwa drągi, jeden zaostrzony jak prymitywna włócznia, drugi, krótszy, służył mu jako pałka. — Mam tarczę osobistą i to. Powstrzymam ich na tyle długo, byście zdążyli uciec.

— Huncan, nie możemy tak po prostu zbiec! — powiedział Paul, nie chcąc zostawić Goire'a, by bił się sam za nich wszystkich.

— Moim strategicznym imperatywem jest uratowanie ciebie, paniczu — odparł Duncan. — To zadanie zlecił mi twój ojciec. — W wyniku serii wybuchów skruszyły się fragmenty zewnętrznego muru. Ziały w nim teraz dziury o poszarpanych krawędziach, otwierając drogę do dzikiego lasu. Idaho uciszył Paula, popychając go ku najbliższej wyrwie. — Jeśli jedynym sposobem wykonania mojego zadania jest wykorzystanie chwilowego odwrócenia uwagi wroga albo opóźnienia jego natarcia, chwycę się tego sposobu.

Goire włączył tarczę osobistą i drgająca niematerialna bariera otoczyła go jak kokon. Miał swoją broń. Duncan był pewien, że były kapitan gwardii stara się odpokutować to, że pozwolił zabić Victora. Czy miał nadzieję, że książę Leto mu wybaczy, jeśli teraz odda życie za jego drugiego syna? Być może.

Idaho zawahał się, rozważając, czy nie zostawić Goire owi miecza Starego Księcia, ale była to jego jedyna broń i nie mógł się pozbyć najlepszego środka obrony Paula.

Goire zaszarżował z krzykiem na napastników — jeden przeciwko dziesiątkom, ale mimo to rzucił się na nich. Było to samobójstwo.

Duncan pociągnął Paula przez wyłom w murze i gruz w gęste listowie. Po raz ostatni widział Swaina Goirea, kiedy ten stał się z nadciągającymi żołnierzami, wymachując drewnianą bronią. Zabójcy otoczyli go, a oręż mieli ostrzejszy.

Paul i Duncan pobiegli na oślep do dżungli.





*Kiedy promień lasera uderzy w tarczę, niszczycielska interakcja jest zupełnie nieproporcjonalna do energii początkowej. Obie strony zostają unicestwione. Jest to doskonała metafora polityki.*

— Thufir Hawat, *Lekcje strategii*

Mały ornitopter leciał nisko i szybko nad trawiastymi wzgórzami Grummana. Wyposażony w silniki ciche jak szept i ruchome skrzydła, sunął prawie bezdźwięcznie; słychać było tylko lekki, miarowy łopot, niczym podczas przelotu dużego ptaka. Resser siedział obok wicehrabiego, który pilotował, rzekomo po to, by sprawdzić przydatność nowego modelu do zaganiania dzikich koni.

Resser nie dał się jednak na to nabrać. Wiedział, że Hundro Moritani przygotowuje się do wojny.

Grummańscy żołnierze, szorstcy i zahartowani wojownicy z wioską na stepach, harowali w szybach i tunelach kopalni soli i innych minerałów, którymi podziurawiona była ziemia pod wyschniętym jeziorem koło Ritki. Moritani zgromadził setki swoich ogierów w zagrodach za tarczami fortecy i odział je w kolczaste zbroje, chociaż miał dwukrotnie więcej koni niż jeźdźców. Resser nie rozumiał, co może zdziałać kawaleria w starciu z wojskiem wyposażonym w nowoczesną broń.

Kiedy ornitopter leciał przed siebie, zachodzące słońce zabarwiło okna fortecy na pomarańczowo, przez co wyglądała, jakby płonęła. Wicehrabia zapatrzył się na to złudzenie optyczne, poświęcając mało uwagi pilotażowi. Nagle maszynę porwał prąd zstępujący i polecieł w dół. Niemal otarli się o ziemię, zanim Moritani odzyskał kontrolę.

— Jeszcze nie czas mi umierać — powiedział rzeczowym tonem. — Ani tobie. Jeszcze nie. Mamy robotę do wykonania.

Od powrotu z Kaitaina wicehrabia był w nietypowym dla niego świetnym nastroju, mimo iż otrzymał naganę od Landsraadu i ściągnął na siebie złość Szaddama IV.

— Z całym szacunkiem, panie, ale nie rozumiem twojej taktyki — rzekł rudowłosy mistrz miecza. — Celowo sprowokowałeś Padyszacha Imperatora?

— Tak. Spodziewam się, że kiedy rozgorzeje bitwa, nasz Szaddam, powodowany ojcowską troską, szybko tu przybędzie, by nas powstrzymać przed wyrządzeniem sobie krzywdy. — Łypnął gniewnie na Ressera. — Nigdy nie zapomnij o tym, że moi przodkowie odcisnęli na wieki piętno na Salusie Secundusie i że tropili ich przeklęci Corrinowie, by się za to zemścić.

— Nie zapomnę, panie, ale nie rozumiem, co chcesz w ten sposób osiągnąć. Zarówno księżę Atryda, jak i arcyksiężę Ekaz wyszli z życiem z zorganizowanego przez ciebie zamachu. Kiedy tu rozmawiamy, na pewno łączą swoje wojska, by uderzyć na Grummana. Może zamierzałeś wszcząć wojnę asasynów, ale wyraźnie przygotowujesz się na coś więcej. Jak mamy pokonać połączone siły dwóch rodów?

Wiedział też, że w armii Atrydów będzie Duncan Idaho, jego stary przyjaciel z Ginaza.

— Och, Resser, nic nie rozumiesz! — zachichotał Moritani. — Nie musimy ich pokonać! Musimy tylko opierać się wystarczająco długo, by przybył na ratunek Imperator Corrin, a — zapamiętaj moje słowa — przybędzie. Grumman jest potężnym magnesem, który przyciągnie wszystkich naszych wrogów jednocześnie. — Nadal chichocząc, ścisnął stery i poleciał jak szalenciec ku skalistym wzgórzom za Ritką, ale Resser widział, że jego duże, kwadratowe dłonie drżą. — A potem będzie po wszystkim — podjął szeptem. — Bez względu na to, czy nasz szlachetny ród występuje pod nazwiskiem Tantor czy Moritani, nigdy się nas nie docenia. Po tym, co się stanie, już nikt nie zapomni naszego rodzowego nazwiska.

Ressera ogarnęło straszne przeczucie.

— Co zamierzasz zrobić, panie? — zapytał.

— Mój syn nie żyje, więc z nim zginie mój ród.

— Możesz mieć inne dzieci, panie. Możesz się powtórnie ożenić.

— Nie, nie, Resser. Kiedy zmarła Cilla, moją duszę spowiła ciemność. Wolfram był moim prawowitym dziedzicem, a Ekazowie pozwolili mu cierpieć i umrzeć... z czystej złośliwości! W żaden inny sposób nie możemy udaremnić spisków naszych wrogów. Moja linia skończy się w sposób, który zostanie opisany we wszystkich kronikach. A ty mi w tym pomożesz.

Mistrz miecza wziął głęboki oddech, by się skupić.

— Złożyłem przysięgę, że będę ci służył, panie — powiedział.

— Grumman stanie się grobem Moritanich i trzech naszych głównych wrogów... nawet Harkonnenów, jeśli dopisze nam szczęście. Kazałem baronowi przysłać jego prawowitego następcę, żeby poprowadził dywizję przebranych harkonneńskich żołnierzy. — Oczy wicehrabiego przybrały nieobecny wyraz. — Resser, chcę, żebyś wziął całą naszą broń jądrową i umieścił ją w przejściach podziemnych pod moją fortecą. Usuń zabezpieczenia, a kody przekaz do sali tronowej.

— Broń jądrową, panie? — Resser przywarł do fotela, kiedy ornitopter wzbił się nad dachy Ritki. Przed laty Duncan błagał go, by złamał przysięgę złożoną rodowi Moritanich i porzucił służbę u niegodziwego wicehrabiego, ale on odmówił. Choć Idaho nie mógł się pogodzić z jego decyzją, najwyraźniej rozumiał ją, ponieważ był sługą Atrydów, dobrym wojownikiem równie wiernym temu rodowi, jak Resser Moritanim. Resser dotrzymywał słowa nawet wtedy, kiedy wiedział, że jego pan łamie zasady i prowokuje wrogów.

Ale broń jądrowa?!

Wicehrabia Moritani wzruszył ramionami i beztrąsko kontynuował lot.

— Nie traktuj Wielkiej Konwencji jak świętego tekstu w rodzaju Biblii Protestancko-Katolickiej. Nie jest niczym więcej niż starożytnym porozumieniem zawartym przez przestraszonych ludzi, którzy jeszcze cierpieli z powodu ran odniesionych podczas Dżihadu Butleriańskiego. Te przestarzałe reguły już nas nie dotyczą. Przygotuj, jak ci rozkazałem, broń jądrową. — Zmrużył ciemne oczy. — A może mnie zawiedziesz? Mam ci przypomnieć, że złożyłeś mi przysięgę na krew? Przysięgę na krew!

Słowa wicehrabiego cięły Resslera jak brzytwa. Nie miał wątpliwości, że ten człowiek kazałby mu wyskoczyć z lecącego niskolotu, gdyby nie otrzymał zadowolającej odpowiedzi. Mistrz miecza nie bał się śmierci, a jedynie podjęcia złej decyzji. Może mógłby spróbować wyrwać wicehrabiemu stery i roztrząsać ornitopter o zbocze wzgórza, co prawdopodobnie byłoby najlepsze dla Imperium, ale nigdy nie pogodziłby się z myślą o zabiciu swojego pana, choćby nie wiadomo jak starał się ją zracjonalizować.

— Panie — odparł, odwróciwszy wzrok — czyż nie jestem jedynym mistrzem miecza, który został przy tobie, kiedy wszyscy pozostali zniknęli?

Z głębokim pomrukiem na znak zgody wicehrabia zmienił kurs i skierował się ku głównej fortecy w Ritce. Zapalono już światła, które rymy oznakowana była strefa lądowania. Niebo pociemniało. Resser podniósł wzrok, spojrzał na gwiazdy i wyobraził sobie mnóstwo leżących gdzieś tam spokojnych planet.

*Krew jest zawsze na twoich rękach, nawet jeśli się postarasz, by zabójstwa dokonał za ciebie ktoś inny. Przywódca, który o tym zapomina, nieuchronnie staje się tyranem.*

— książkę Leto Atryda

W gęstej dżungli Paul przyglądał się beznamiętnie, jak Duncan podwiesza ciało kolejnego tropiciela i zabójcy. Roślinność była tak zwarta, że aż trudno było oddychać. W tej sytuacji nie odczuwali potrzeby ukrywania swych zachowań, choć stale pozostawali czujni. Od niespodziewanej napaści na klasztorną fortecę zawzięcie na nich polowano. Minęło już kilka dni.

Szerokie liście tworzyły wokół nich kamuflujące ściany. Mięiste grzyby zbierały w zagłębieniach kapeluszy wodę spływającą z drzew. W powstałych dzięki temu długo utrzymujących się kałużach żyły kolonie słonowodnych krewetek. Po dnie lasu wiły się pnącza, które pięły się na grube drzewa i powalały je, tworząc płataninę gałęzi i korzeni. Można w niej było ugrzęznąć jak w pułapce.

Podczas ucieczki przez tę dżic Paul czuł się tak, jakby płynął przez podwodny labirynt liści i traw. Tarcze osobiste dawały im tutaj słabą osłonę, ale drgające pola siłowe zniechęcały przynajmniej miriady gryzących owadów.

Chociaż Duncana konsternowało używanie tak wspaniałej broni jako maczety, siekl podszyt mieczem Starego Księcia, tępiąc przy tym i wyszczerbiając jego ostrze. Bujna roślinność pleniła się tak szybko, że zarastała wyrąbaną przez niego ścieżkę, a mimo to asasynom wciąż udawało się podążać ich śladem.

Do tej pory zabił pięciu. Splątane listowie uniemożliwiało Grunv mańczykom zespołowe działanie, zabójcy nie mieli więc wyboru — musieli się rozdzielić i podchodzić ich w pojedynkę. Asasyni nasłani przez Moritaniego byli arogancy, dobrze uzbrojeni... i łatwi do pokonania.

Nadwierzony miecz Starego Księcia wciąż nadawał się do zabijania, o czym przekonała się niedawno ostatnia ofiara Duncana. Paul stał blisko niego, patrząc na ciemną krew sączącą się z ziejącej rany najemnika. Chociaż jego serce już nie pracowało, siła ciężkości wyciągała płyn z poszarpanej dziury w ciele. Podstawivszy rękę, złapał jedną z gęstych kropel krwi i zacisnął w dłoni jak szkarłatną kroplę deszczu.

— Nigdy nie przejmujesz się tym, że zabijasz tych ludzi, Duncan? — zapytał.

— Nigdy. Nie mam ani odrobiny współczucia dla ludzi, którzy próbują nas zamordować, Paul. Zabijam ich, żebyś ty nie musiał tego robić.

Szarpnął lianę i podciągnął zwłoki ponad ich głowy. Wisiały głową do dołu, bezradne, pokonane i upokorzone.

Padlinożercy szybko zrobią porządek ze szczątkami, ale mimo to inni zabójcy znajdą resztki, tak jak znaleźli szczątki poprzednich czterech. Paul zasugerował, żeby ukrywali ciała, ale Duncan stwierdził, że ci łowcy i tak je znajdą, bez względu na to, jak gęsta będzie w danym miejscu dżungla.

— Musimy zostawić wiadomość, która ich rozzłości — powiedział. — Trzeba się starać prowokować ich do popełniania błędów.

Paul spojrział na twarz zabójcy, ale nie był w stanie ujrzeć w niej człowieczeństwa. Nie chciał wiedzieć, dlaczego ten mężczyzna wybrał takie życie, co skłoniło go, by został mordercą na usługach wicehrabiego Moritaniego. Czy miał rodzinę? Czy kogoś kochał? Martwe oczy wywróciły się i schowały za powiekami. Teraz był tylko mięsem.

Zabij albo daj się zabić — nie było lepszego miejsca na tę naukę niż głębiny kaladańskiej dżungli.

Zostawivszy nieboszczyka dyndającego na gałęzi, ruszyli w dalszą drogę. Paul nie zorientował się jeszcze, dokąd prowadzi go Duncan. Mistrz miecza nie miał najwyraźniej żadnego planu poza tym, by się ukryć i zapewnić bezpieczeństwo podopiecznemu. Mimo to Paul wyczuwał, że są obserwowani. Chociaż nie wiedział, ilu jeszcze tropicieli puściło się za nimi po ataku na ufortyfikowany klasztor, był pewien, że ich liczba nie ogranicza się do tych pięciu, których Duiv can wyprawił w zaświaty.

Starcia z asasynami były zaledwie jednym z aspektów ich walki o przetrwanie. Dżungli nie obchodziło to, że jest synem księcia Leto. Kryło się w niej więcej niebezpieczeństw, niż był w stanie zliczyć. Raz spłoszyli kolczastego dzika, który zaszarżował na nich, zanim skręcił i zanurzył się w chaszczach.

Kolejnym wyzwaniem było zdobywanie jedzenia. Dżungla była tak bujna, że mogli szukać oworów, łodyg, bulw i grzybów. Zaniepokojony Duncan zaproponował, że spróbuje paru rzeczy, na

wypadek gdyby były trujące. Jednak Paul studiował w księgofilmach florę i faunę Kaladanu i zapamiętał mnóstwo gatunków jadalnych.

Z pewną ulgą znaleźli w końcu wydeptany skrawek trawy — wyraźną, ale krętą ścieżkę wijącą się przez podszyt, prawdopodobnie szlak przetarty przez zwierzynę. Paul odgadł, że musi prowadzić do strumienia albo na łąkę. Wyczerpani walką o każdy krok, wybrali drogę najmniejszego oporu.

— Ta ścieżka może nam ułatwić posuwanie się naprzód, ale wybiorą ją również nasi prześladowcy — ostrzegł Duncan.

— I korzystają z niej duże zwierzęta — dodał Paul. — Musimy się zachowywać na tyle cicho, by nie zwabić asasynów, ale jednocześnie na tyle głośno, by przepłoszyć wszelkie drapieżniki.

Wreszcie przez gęste poszycie przebiło się słońce, oświetlając wspaniałą łąkę porośniętą jasnoniebieskimi i czerwonymi kwiatami. Słychać było brzęczenie owadów zapylających rośliny. Po wyjściu z przyprawiających o klaustrofobię gąszczy Paul wziął głęboki oddech i uśmiechnął się.

Duncan zastygł w miejscu.

— Myślę, że to pułapka — powiedział.

Paul włączył już tarczę, a jego dłoń spoczęła na rękojeści sztyletu u pasa. Duncan machnął mieczem. Panowała zupełna cisza, tylko wysokie drzewa na polanie cicho szeleściły liśćmi.

Rozległa się seria głuchych uderzeń, kiedy z gałęzi zaczęły spadać zawieszona za stopy zwłoki z bezwładnie opuszczonymi rękami. Spadały jak złożona bogom ofiara, po czym zatrzymywały się z szarpnięciem na lianach i kołysały niczym makabryczne owoce, jakby niezdarnie, ale w działający na nerwy sposób naśladowały to, co Duncan zrobił ze swoimi ofiarami. Na drzewach dyndało sześciu kolejnych tropicieli i asasynów.

Duncan rozejrzał się ostrożnie, wypatrując jakichś cieni czy sylwetek.

— Nikogo nie widzę — powiedział.

Paul stał nieruchomo, wyężając wszystkie zmysły i badając najdrobniejsze szczegóły otaczającego ich świata. W końcu udało mu się dostrzec postaci poruszające się wśród pierzastych liści gigantycznych paproci.

— Kaladańscy ludzie pierwotni — szepnął. — Widzę ich.

Nieznacznym gestem wskazał dwóch muskularnych, prawie nagich mężczyzn przyczajonych w cieniu liści.

Czytał o nich wystarczająco dużo, by zapamiętać parę słów i zwrotów używanych przez kupców z wybrzeża, którzy kontaktowali się od czasu do czasu z żyjącymi w głębi dżungli plemionami. Przeszukał umysł i w końcu wykrzytał słowa oznaczające w języku tubylców przyjaciela i bezpieczeństwo. Nie był pewien, czy potrafią oni dostrzec różnicę między nim i Duncanem a grummańskimi asasynami i czy w ogóle ich to obchodzi. Być może zabijali po prostu każdego, kto wtargnął do ich lasu.

On i Duncan stali bez ruchu na skraju polany. Zabici asasyni zwisali na pękających powoli lianach. Niektórzy nie żyli już od paru dni. Paul zastanawiał się, od jak dawna ci prymitywni ludzie ich zabijali. Celowo lub niechcący zapewnili bezpieczeństwo jemu i Duncanowi.

W końcu z drzew rosnących wprost nad nimi zsunęły się zwinnie z szelestem gałęzi i głuchymi uderzeniami stóp trzy postacie. Nawet Paul, mimo wyostrzonych zmysłów, nie zauważył, że się tam kryją. Stanęło z nimi oko w oko troje muskularnych, wytatuowanych tubylców.

Była wśród nich smukła stara kobieta o włosach barwy soli z pieprzem. Wokół oczu miała ciemne obwódki namalowane sokiem z jagód. Jej włosy zdobił niczym żywy ornament duży jak dłoń Paula żuk o szafirowym pancerzu. Jego nogi poruszały się i drgały.

— Przyjaciel — rzekł ponownie Paul.

Dziesiątki kaladańskich prymitywnych ludzi zeskoczyło z drzew na łąkę. Paul widział, że Duncan jest gotów walczyć z nimi, jeśli to będzie konieczne, ale sam wyłączył tarczę osobistą, zdjął dłoń ze sztyletu i wznosił ręce.

Najwyraźniej jednak tubylcy dostrzegli i pojęli różnicę między grummańskimi zabójcami a ich niedoszłymi ofiarami. Zaprowadzili Paula i Duncana do osady złożonej z chat podobnych do gniazd, zrobionych z traw, trzciny i wierzbowych witek. W ciepłym klimacie, przy obfitości owoców i zwierzyny na Wschodnim Kontynencie, tubylcy nie potrzebowali stałych schronień.

Wysoka kobieta z żukiem we włosach była najwyraźniej przywódczynią. Paulowi brakowało słów, by się z nią porozumieć, ale mimo to zarówno on, jak i Duncan zrozumieli, że są mile widziani i mogą się czuć bezpiecznie. Przywódczyni miała sękatą pałkę o rękojeści wygładzonej przez pot ściekający z wielu

dłoni. Jej drugi koniec, z poszarpaną linią osadzonych w drewnie ostrych zębów, sprawiał, że wyglądała na straszłą broń.

Na ognisku z polan piekła się tusza jakiegoś zwierzęcia, napelniając powietrze aromatycznym dymem. Przez ostatnich kilka dni Paul jadł tylko owoce i jagody, więc mięso pachniało kusząco. Przywódczyni pokazała, by wzięli sobie po kawałku. Musieli oddzierać gorące mięso gołymi rękami.

Paul nie bardzo wiedział, jak on i Duncan dopasują się do tych ludzi. Tak mało rozumieli. Jak długo potrwa ich gościnność? Uciekali już kilka dni, a wątpił, czy zdoła przekonać członków plemienia, by zaprowadzili ich z powrotem do cywilizacji.

Tubylcy odcięli ciała zabójców i pociągnęli je przez las. Kiedy dotarli do osady, mężczyźni i kobiety rzucili się na zwłoki i pozbawili je cennych rzeczy, jakby była to jedna z ich codziennych czynności. Zwinnymi rękami zdjęli ubrania, buty i pasy z ekwipunkiem. Nie spotkali się wcześniej z noktowizorami, komunikatorami ani skomplikowaną bronią. Sprzeczali się o te przedmioty, widząc w nich raczej niepojęte obiekty niż coś użytecznego.

Niektóre kobiety włożyły poplamione krwią tuniki martwych asasynów. Ściągnięte z nich spodnie i kurtki powiesiły obok utkanych przez Siostry w Odosobnieniu gobelinów o zawiłych wzorach. Paul był zdziwiony, widząc, jak dbają o tkaniny.

Zastanawiał się też, co tubylcy zamierzają zrobić, kiedy zwalili zwłoki asasynów — wszystkie nieprzyzwoicie nagie — na stos. Czy rozpalą ognisko, by się ich pozbyć? Obawiał się, że żyjące w dziczy plemiona mogą praktykować — czego wcześniej nie odnotowano — rytualny kanibalizm i zjadać ciała poległych wrogów.

Duncan badał zabrany łowcom sprzęt, starając się na jego podstawie zdobyć jakieś informacje. Większość tych urządzeń pochodziła z Ixa i najwyraźniej została kupiona na czarnym rynku. Ubrania asasynów miały ledwie dostrzegalne, ale niewątpliwe cechy wskazujące, że są to wyroby grummańskie.

— Wicehrabia nigdy nie bał się brać odpowiedzialności za wyrządzone przez siebie szkody — zauważył Paul. — Jest z tego dumny.

— To prawda, ale dlaczego tak bezczelnie się z tym afiszuje? — zastanawiał się Duncan. — Co ma nadzieję osiągnąć? Czyżbyśmy ułatwiali mu zadanie? Musi wiedzieć, że gdy aż tak rażąco złamie reguły, Imperator będzie musiał zareagować.

Patrząc na jedno z ciał na stosie, Paul dostrzegł czerwoną bliznę na mięśniu lewego ramienia. Ten sam znak widział na wszystkich zwłokach.

— Duncan, co to jest? — zapytał.

Idaho wbił czubek noża w miękkie jeszcze ciało i przekręcił ostrze. Wyjął coś, co wyglądało jak małe metalowe pająk z długimi, włóknistymi nogami, które zagłębione były w tkance mięśniowej. Podniósł go.

Mimo iż przedmiot był pokryty krwią, Paul wyraźnie widział, co to jest. Urządzenie do namierzania.

— Założyli swoim asasynom elektroniczne urządzenia naprowadzające — powiedział.

Tubylcy, zwłaszcza siwowłosa przywódczyni, przyglądali się z zaciekawieniem poczynaniom Duncana i Paula, nie pojmując, dlaczego kroją ramiona poległych wrogów. Być może przypuszczali, że jest to jakiś rytuał zwycięstwa w rodzaju tych, które sami pielęgnowali.

Duncan zwalił trupa ze stosu i pochylił się nad następnym. Znalazł tę samą bliznę po zabiegu chirurgicznym i wbił w nią nóż.

— Pospiesz się, Paul! — zawołał. — Musimy usunąć te urządzenia, zanim będzie za późno. Ktoś musi je już namierzać.



*Najdrobniejszy przeoczony szczegół może sprawić, że zawiodą największa armia i najstaranniejszy plan taktyczny.*

— Thufir Hawat, *Lekcje strategii*

Kontynent elakkański spowiała gęsta, normalna o tej porze roku mgła, a wraz z nią wśliznęli się Leto i Gurney.

Powstające codziennie opary dostarczały wilgoci mgielnicom. Ich podobne do koszy rozgałęzione konary rosły w górę, tworząc misterne gniazda. Mgielnice były delikatnymi roślinami, reagującymi na najmniejsze zmiany środowiska. Przed laty, jeszcze zanim urodził się Paul, na Elakkę sprowadzono podstępna zarazę, która zdziesiątkowała te wrażliwe drzewa. Obwiniony został o to ród Moritanich, co rozпалиło zarzewie waśni.

Mgielnice uważano bardziej za elakkańską tormę sztuki niż za niezwyklego przedstawiciela flory. Artyści wybierani w całym Imperium ze względu na swoje zdolności telepatyczne pielęgowali drzewa od stadium pędów, nadając za pomocą ukierunkowanej, skupionej wizji specyficzne formy gałęziom, rzeźbiąc drzewa w fantastyczne kształty.

Vidal zbudował swoją pałacową twierdzę w pierwotnym siedlisku potężnych mgielnie. Wysokim konarom nadano kształt wspaniałej rezydencji umieszczonej dziesięć metrów nad ziemią. Siedem ogromnych pni rosło w kręgu, a konary i gałęzie tych drzew tworzyły labirynt, w którym znalazło się dość pomieszczeń dla elakkańskiego księcia i jego rodziny.

Mgielnicowa forteca Vidala oddalona była o ponad kilometr od zgrupowania jego statków wojennych, koszar i namiotów zbuntowanych żołnierzy oraz całej zebranej przez niego broni defensywnej. W gęstej porannej mgle splątane gałęzie wyglądały jak zatopione w bawelnie szpony szkieletów.

— Prawdziwi strażnicy Vidala nie staliby, gapiąc się jak turyści — ostrzegł Gurney księcia, kiedy ten, zadarłszy głowę, przyglądał się niesamowitemu widokowi.

Leto powlókł się obok towarzysza, nie zwracając na siebie uwagi.

Obaj byli w mundurach zdjętych z elakkańskich buntowników, których zabito podczas próby ucieczki z pałacu arcyksięcia. Dopasowanie mundurów do figur Leto i Gurneya zajęło pałacowym krawcom zaledwie pół dnia. W tym czasie specjaliści od dokumentów przerobili identyfikatory martwych żołnierzy.

Kluczową rolę w przeniknięciu na teren wroga odegrało szczegółowe odwzorowanie terenu, które pozwoliło Leto i Gurneyowi przejść przez dziką, rzekomo nieprzebytą krainę przylegającą do fortecy Vidala. Arcyksiążę Armand, zwolennik nie tylko handlu, ale i nauk przyrodniczych, przed wieloma laty przeprowadził pomiary i sporządził mapy całego Ekaza, zwłaszcza żyznych lasów chmurowych i dolin na kontynencie elakkańskim. Dzięki tym mapom o dużej rozdzielczości obu mężczyznom udało się przedostać przez najgęściejsze zagajniki i skalne kotliny oraz przebyć zalesione wąwozy przejściami, o których nie wiedział prawdopodobnie nawet Prad Vidal. Po ogromnym powalonym pniu przeszli nad wąskim parowem i znaleźli się pod mgielnicową fortecą.

Było tuż przed świtem. Wiszący wysoko księżyc nadawał mgłę srebrzystą barwę. Teren wokół siedziby Vidala patrolowało parami dwudziestu strażników.

Zbliżywszy się do pierwotnego siedliska drzew, Leto i Gurney poszli dalej razem, z gotową do użycia bronią u boku, udając dwóch strażników na patrolu. Z ważnymi minami mijali inne pary szorstkich żołnierzy.

Obeszli krąg siedmiu drzew, wypatrując dogodnej okazji. Gurney stanął na czatach, a Leto szybko ukląkł przy jednym z pni, sięgnął do małego plecaka i wyjął srebrzysty wypukły dysk, z którego wystawały dwa ostre zęby. Przycisnął dysk do mgielnicy i wbił jego zęby w korę. Zaczęło mrugać zielone światelko.

— W porządku, Gurney, idźmy dalej.

Leto umieścił srebrzysty dysk również na następnym pniu, potem na kolejnym i tak dalej, dopóki nie zainstalował urządzeń na wszystkich siedmiu mgielnicach.

Tymczasem Gurney prześledził w myślach schemat obchodu pozostałych patroli.

— Za trzy minuty, panie, powinni się znaleźć w najbardziej oddalonych od siebie miejscach — powiedział.

Czekali, a mgła najwyraźniej gęstniała. Leto trzymał włącznik i kiedy Gurney skinął głową, wcisnął guzik.

Pojemne kondensatory wyzwoliły niemal bezgłośnie potężną falę elektryczności statycznej, która popłynęła przez pnie. Olbrzymie mgielnice, tak wrażliwe, że można było sterować ich wzrostem za pomocą słabej energii telepatycznej, były zupełnie bezbronne wobec potężnego uderzenia. Gibkie, splecione w gniazdo gałęzie zadrgały niczym odnóża zdychającego owada, po czym ścisnęły się, tworząc pręty klatki.

— Jak więzy szigastrunowe — zachichotał Gurney. — Im bardziej się szarpiesz, tym mocniej się zaciskają.

Żywe ściany mgielnicowej fortecy przemieniły jej pomieszczenia w więzienne cele. Chociaż te elakkańskie drzewa reagowały na wszelkie zakłócenia splątaniem i kurczeniem koron, nie były bynajmniej wiotkie. Włókna ich gałęzi były mocne jak plastalowe kable. Kiedy mniejsze pomieszczenia skurczyły się, niektóre śpiące osoby zostały zmiażdżone. Słychać było krzyki tych, które się powoli dusiły.

Jednak Prad Vidal i jego rodzina żyli. Zaciskając dłonie na dwóch wygiętych nad nim gałęziach i przystawiając twarz do małego otworu, elakkański przywódca wrzasnął:

— To próba zabójstwa!

W dole biegali strażnicy, starając się zlokalizować punkt wyprowadzenia ataku.

Armand Ekaz dał Leto i Gurneyowi specjalistyczny sprzęt używany przez ekaskich robotników leśnych. Włożywszy przylepne buty i rękawiczki z ostrymi jak igły szponami, wspinali się teraz niczym chrząszcze, niewidzialni w gęstniejącej mgle. Musieli działać szybko i śmiało.

Vidal zauważył dwóch wspinających się mężczyzn w elakkańskich mundurach i wyciągnął rękę przez otwór w zaciśniętych gałęziach.

— Uwolnijcie mnie! — krzyknął. — Macie nożyce?

Zawisnąwszy na wbitych w pień szponach, Leto i Gurney zatrzymali się. Zamiast odpowiedzi Leto wyjął kolistą piłę diamentową do przecinania twardych gałęzi.

— Dobrze, pospieszcie się! — zawołał Vidal, kiedy ją zobaczył.

Gurney podjął wspinaczkę, ale Leto dał mu szybki znak.

— To moje zadanie — powiedział.

Kiedy uruchomił piłę, jej wirujące diamentowe zęby zostały wzmocnione gorącym polem laserowym. Książę Elakki wyciągnął ku niemu rękę. Było jasne, że nie rozpoznał ani Leto, ani Gurneya w ich elakkańskich mundurach.

— Szybko! — ponaglał ich. — Musi za tym stać ten oszukańczy arcyksiążę.

— Bardzo dobrze znam arcyksięcia — rzekł monotonnym głosem Leto.

Widząc, jak Vidal rozpaczliwie wyciąga rękę, Leto nie mógł się opędzić od strasznych obrazów z dnia ślubu. Myślał o swoim okaleczonym przyjacielu Armandzie i Riwym Dinarim, grubym mistrzu miecza, który zginął, gdy potężnym ciałem zasłonił swego pana. I o Ilesie, słodkiej Ilesie, zaszlachtowanej w momencie, który powinien być najszczęśliwszym w jej życiu. A także o innych zabitych i o wielu rannych.

Ten, kto polecił to zrobić, był potworem, zwierzęciem.

— Arcyksiążę Ekaz jest moim przyjacielem! — krzyknął. — Jego córka zostałaby moją żoną, ale nie żyje.

Leto nie pokochał jej, ale mógł pokochać. To wszystko zmieniało.

Vidal wydał stłumiony okrzyk, kiedy zobaczył, że ostrze coraz bardziej zbliża się do niego. Uświadomiwszy sobie nagle, kto znajduje się naprzeciwko, z trudem łapiąc powietrze, cofnął się do skurczonego pokoju.

Diamentowe ostrze wchodziło w splątane gałęzie jak w masło. Leto prawie nie czuł oporu.

Pomimo wściekłości i smutku żaden Atryda nie przekroczyłby pewnych granic. Książę Leto wywodził się z długiej linii dumnej szlachty. Wykorzystał piłę tylko do tego, by wyciąć w gałęziach mgielnicy wejście dla siebie i Gurneya. Wepchnęli się do środka ramię przy ramieniu, Leto z wciąż pracującą piłą w ręku.

Uwięziony w swojej sypialni Vidal nie był nawet w stanie krzyknąć.

Leto pamiętał o niebezpieczeństwie grożącym jego rodzinie, jego synowi i dziedzicowi, Paulowi. Za tymi oburzającymi działaniami stali Grummańczycy, ale to książę Elakki uknuł ów spisek i umieścił



sześciokątne dyski tnące w terakotowych donicach. To on ponosił odpowiedzialność za krwawą jatkę w dniu ślubu. Sam przystąpił do wojny asasynów.

Jednak Leto nie chciał podążać za swym wrogiem w tę otchłań moralną. Mógłby z zemsty odciąć rękę Vidalowi, mógłby go torturować, ale nie byłoby to honorowe załatwienie sprawy. Przestrzeganie reguł cywilizacji nie było słabością. Trzeba przestrzegać form. Należało zaspokoić pilne potrzeby, zakończyć wojnę, ocalić wiele ludzkich istnień.

— Na mocy Wielkiej Konwencji, ustalonych zasad rozwiązywania konfliktów między rodami Landsraadu — zaintonował Leto — dokonam niniejszym twojej egzekucji. — Vidal zwinął się i próbował odpowiedzieć na atak, ale Leto ciągnął: — W ten sposób położę kres waśni na Ekazie.

Zrobił, co trzeba było zrobić, bez radości, bez satysfakcji. Wcisnął guzik, a latające ostrze wyszło naprzód i z plaśnięciem pozbawiło Vidala głowy.

— Miejmy nadzieję, że żołnierze na dole zastosują się do reguł kanly, chociaż nie przestrzegał tych zasad ich pan — powiedział Leto.

Obaj zrzucili elakkańskie mundury i dumnie wypięli piersi z herbowym jastrzębiem Atrydów. Leto miał poza tym na ramieniu opaskę, którą dał mu arcyksiążę Armand.

Na dole panowało zamieszanie, strażnicy nadal biegali, spodziewając się frontalnego natarcia. Niektórzy wspinali się na mgiełnice, wycinając sobie nożami drogę do pomieszczeń, w których darły się wniebogłosy uwięzione ofiary.

Gurney chwycił bezgłowe ciało Vidala i wyrzucił je przez otwór w ścianie. Gdy tylko spadło na ziemię, kilku strażników wrzasnęło z przerażenia.

— Jestem księżem Leto Atryda! — Mgła, zdawało się, wzmacniała jego głos. Uniósł za włosy głowę Vidala jak trofeum. — Na mocy reguł Wielkiej Konwencji wyeliminowałem wroga Ekaza, człowieka, którego wasz prawowity arcyksiążę ogłosił buntownikiem i zdrajcą. Dopadliśmy tylko winnego... zgodnie z regułami! Jeśli opuścicie broń i przestaniecie walczyć, nikt z was nie poniesie odpowiedzialności za udział w buncie. Nikt z was nie stanie przed sądem. Jeśli jednak będziecie próbowali przeciwstawić się rozkazom waszego prawowitego arcyksięcia, unicestwimy was całą potęgą militarną Ekazów i Atrydów.

Kiedy Leto to mówił, mgła zaczęła się przersedzać. Wysunął przez otwór odciętą głowę, by wszyscy mogli ją zobaczyć w świetle poranka. Zwrócone w górę twarze strażników były blade, ich oczy rozszerzone, usta otwarte ze zdumienia. Ze stłumionym przekleństwem Leto cisnął między nich głowę Vidala. Pokoziółkowała w powietrzu i uderzyła o ziemię z przyprawiającym o mdłości odgłosem. Strażnicy odskoczyli.

— Księżę Prad Vidal konspirował przeciw waszemu arcyksięciu i przeciw rodowi Atrydów, wspierając prawdziwego wroga Ekaza, wicehrabiego Hundra Moritaniego. Zamordowali Ilesę Ekaz przed ślubnym ołtarzem. Odpowiedzialny za to był Vidal.

Żołnierze mruczełi. Wydawało się, że nie są pewni, co zrobić.

— Jesteście głupcami?! — ryknął w końcu Gurney. — Arcyksiążę potrzebuje was i waszych mieczy do walki z rodem Moritanich. Kogo wolicie zabijać, waszych braci czy Grummańczyków?



*Kiedy już zdecydujemy się walczyć, pojawia się następne pytanie: Uderzamy i wycofujemy się czy uderzamy i przemy naprzód?*

— Thufir Hawat, zbrojmistrz rodu Atrydów

Późnym popołudniem skończyło się ucztowanie pierwotnych mieszkańców Kaladanu. Ogień przygasał, a upieczone zwierzę zostało obrane z mięsa do kości.

Paul nie mógł się jednak odprężyć. Wyczulony na wszystko, co się wokół niego dzieje, dostroił zmysły do normalnego życia w dżungli, znanych mu już odgłosów, ruchu liści i owadów. Kiedy zastanawiali się z Duncanem, co robić dalej, wyczuł nagle subtelną zmianę, ledwie dostrzegalne zakłócenie rytmu lasu. Zmarszczył czoło.

To samo wyczuli tubylcy i natychmiast zareagowali. Przywódczyni chwyciła swoją maczugę i wysokim głosem wydała jakiś rozkaz.

Duncan stanął w postawie obronnej.

— Paul, włącz tarczę osobistą! — powiedział. — Natychmiast!

Kiedy lekkie brzęczenie bariery ochronnej stłumiło subtelne odgłosy dżungli, Paul wyciągnął sztylet. Przywołał w myślach liczne techniki walki nożem, w których niemiłosiernie szkolili go Thufir, Gurney i Duncan. Nigdy jeszcze nie zabił człowieka, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu, chyba że ktoś najpierw zabije jego. Przygotował się do walki.

Wiedział, że odnaleźli ich następnymi asasyni.

Pocisk wystrzelony między drzewa otaczające polanę wybuchł z niezbyt imponującym, głuchym dźwiękiem, po którym rozległy się syk wydobywającego się pod dużym ciśnieniem gazu i pstryknięcie. Paul usłyszał oba, oddzielone zaledwie ułamkiem sekundy, odgłosy i natychmiast zrozumiał, co to za broń. Był to pocisk zapalający. W pierwszej fazie energia kinetyczna wypychała z niego i rozpraszała gęstą mieszaninę paliwa i powietrza, tak by wypełniła ona jak największą przestrzeń, w drugiej następował zapłon tej chmury.

Przez polanę przetoczyły się niczym kaladański huragan pomarańczowe płomienie, ogałając w jednej chwili gałęzie skórzastych drzew i paproci. Gaz szybko się spalił, a tarcza Paula ochroniła go przed krótkim, ale niszczyliem wstrząsem termicznym, jednak fala ognia skosiła większość nieosłoniętych tubylców, zostawiając tylko zwęglone szczątki. Wystarczył najslabszy oddech, by spalić płuca. Niektórzy ocalali chwytały powietrze jak wyciągnięte z wody ryby, ale z ich ust wydobywał się tylko dym.

Większość pięknych gobelinów utkanych przez Siostry w Odosobnieniu spaliła się w wyniku bombardowania i pozostały z nich skręcone, dymiące płachty. Jedna z kobiet, z osmaloną skórą, owinęła się w tkaninę, by zdusić ogień.

Nad sklepieniem dżungli pojawiło się na platformie dryfowej trzech umundurowanych na czarno mężczyzn polujących na swoją zwierzynę. Nie byli już skradającymi się zabójcami, przeciwnie — prowadząc ogień, wrzeszczeli:

— Za ród Moritanich!

Strzelili do Paula i Duncana, ale pociski odbiły się od ich tarcz. W tej chwili asasyni najwyraźniej nie dbali o to, kogo upolują.

Tubylcy, których nie zabił pocisk zapalający, zaczęli się zbierać z bronią w rękę. Pobiegli ku trzem napastnikom, ale ponieważ nie mieli tarcz, zostali szybko zastrzeleni. Kule podziurawiły ich ciała.

Paul nie był wychuchanym i rozpieszczonym książęciem, którego trzeba było bez przerwy bronić. Zauważył niezdecydowanie na twarzy Duncana i szybko je zinterpretował. Mistrz miecza nie wiedział, w jaki sposób zapewnić młodzieńcowi bezpieczeństwo — walczyć czy uciekać. Paul zdecydował za niego. Pozostało tylko trzech asasynów.

— Musimy walczyć, Duncan — powiedział. — Będziemy bezpieczniejsi, jeśli ich powstrzymamy.

— Wedle rozkazu, paniczu — rzekł Duncan z gorzkim uśmiechem.

Krzycząc do siebie w języku walki Atrydów, popędzili naprzód.

Pchnięciem miecza tak wściekłym, że klinga przebiła tułów i wyszła z ryłu ciała, Duncan wysłał w zaświaty asasyna, który wcześniej wzniósł okrzyk za swojego wicehrabiego.

Paul nie miał czasu podziwiać mistrzowskiej parady, bo drugi asasyn odrzucił bezużyteczną już broń miotającą i wyciągnął zakrzywiony sztylet przypominający rybacki nóż do patroszenia. Stawiwszy

czoło napastnikowi, Paul przyjął prawidłową pozycję. Ścisnął sztylet, a tarczę obrócił, by przyjąć na nią uderzenie haczykowatego ostrza.

Zabójca odziany był w workowaty, elastyczny strój z kapturem, który spowijał całe ciało. Kiedy Paul machnął sztyletem, z łatwością przeciął szarą, oleistą tkaninę. Nie była to zbroja, lecz ubiór chroniący przed ogniem. Trzej zabójcy musieli się spodziewać, że będą brodzić w piekle. Prawdopodobnie mieli więcej bomb zapalających na platformie.

Paul sparował sztyletem cios wymierzony zakrzywionym nożem, obrócił się i rzucił naprzód, mając nadzieję, że zdoła ciąć drugi raz, ale odkąd zabójca zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z bezradnym młokosem, walczył z większą werwą.

Skupiając uwagę na własnej walce, Paul nie mógł się przyjrzeć Duncanowi. Cały wszechświat skurczył się do niego i jego przeciwnika. Nie czuł żadnego oporu przed zabiciem wroga. Masakra w dniu ślubu i próby zgładzenia go, które po niej nastąpiły, nie zostawiły miejsca na wątpliwości. Wiedział, że nie zawaha się, jeśli tylko nadarzy się okazja. Po to tyle lat ćwiczył.

Widząc Paula zmagającego się z napastnikiem, Duncan uderzył swojego przeciwnika tarczą z taką siłą, że ten aż się zachwiał. Mistrz miecza okręcił się i obezwładnił rywala Paula jednym ciosem wyszczerbionego miecza. Mężczyzna wydał stłumiony jęk i padł. Duncan rozpląszczył go kopnięciem i zabił shtychem, po czym odwrócił się do ostatniego asasyna.

Trzej łowcy byli źle przygotowani na zgrany opór. Myśląc, że całą robotę wykona za nich pocisk zapalający, przybyli tylko po to, by zabrać ciała.

Spostrzegłszy, że został sam, ostatni zabójca wyciągnął drugi sztylet i skoczył na Duncana. Machając mieczem Starego Księcia tak szybko, że zdawał się otoczony wirującą stalą, Idaho pchnął przeciwnika w brzuch.

Myśląc, że jest już po walce, Paul schował sztylet do pochwy.

Ale nasłany przez Moritaniego zabójca — czy to pod wpływem środków pobudzających, czy też adrenaliny i żądy krwi — spojrzał tylko na długą klingę przeszywającą jego brzuch i dalej parł do przodu, jakby miecz nie istniał. Uniósł oba sztylety niczym ołowiane ciężarki i przeniknął wolno przez tarczę Duncana.

Idaho mocował się z bronią, która ugrzęzła w ciele zabójcy, obracając ją i starając się wyrwać, ale tamten był już za blisko. Mistrz miecza szarpnął rozpaczliwie za rękojeść. Generator jego tarczy wyłączył się.

Paul ponownie wyjął sztylet i skoczył ku nim.

Nadziany jak na rożen asasyn skrzywił się i rzucił do przodu, wyginając ostrze. Paul nie mógł go dopaść wystarczająco szybko.

Nagle jednak za zabójcą wyrosła niby zjawa srebrnowłosa przywódczyni plemienia i machnęła nabijaną kłami zwierząt maczugą. Pod wpływem tego ciosu czaszka napastnika rozłupała się z odgłosem pękającego przejrzałego paradana.

Duncan i Paul użyli swoich pakietów medycznych, by udzielić pomocy ocalałym tubylcom, ale i tak płomienie i pociski zabiły trzy czwarte plemienia.

Paul rozejrzał się oburzony i wyczerpany.

— Duncan, skoro to my byliśmy celem, dlaczego zabili tak wielu tych ludzi? — zapytał.

— Ta napaść świadczy o ich desperacji — odparł Idaho. — Powiedziałbym, że ci trzej byli ostatnimi z polujących na nas zabójców, ale nie możemy być tego pewni.

— Nadal więc będziemy się ukrywać?

— Moim zdaniem to najlepsze wyjście.

Podobnie jak w przypadku poprzednich, zabójcy nie mieli żadnych znaków, dzięki którym można by ich było łatwo zidentyfikować. Ojciec Paula, Gurney i arcyksiążę Armand powiodą wkrótce swoje siły do szeroko zakrojonego ataku na Grummana, a tymczasem on i Duncan czaili się w dżungli.

Kiedy Paul znowu się odezwał, w jego głosie brzmiał rozkazujący ton, którego nauczył go ojciec, wzmocniony jeszcze umiejętnością wpojoną mu przez matkę za pomocą ćwiczeń Bene Gesserit.

— Duncan, wrócimy do zamku. Ukrywając się tutaj, wcale nie jestem bezpieczniejszy, niż gdybym został z ojcem. Jestem następcą książęcego tronu Atrydów, musimy więc wziąć w tym udział. Nie odwrócę się plecami do walki... czy do wojny.

Idaho zaniepokoił się.

— Nie mogę ci jeszcze zapewnić bezpieczeństwa, paniczu, a te powtarzające się ataki dowodzą, że zagrożenie nie zniknęło — powiedział.

— Zagrożenia są wszędzie, Duncan. — Choć Paul nie był wysoki ani muskularny, czuł się jak dorosły książę. Wydarzenia ostatniego tygodnia zupełnie go zmieniły. — Sam to widziałeś... zostając tutaj, wcale nie jestem lepiej chroniony. Mimo naszych wysiłków, by się schować w najbardziej odludnych miejscach, asasyni stale za mną podążają. Pomyśl też o tych, którzy przez nas zginęli: o tych tubylcach, o Siostrach w Odosobnieniu, o Swainie Goirze. Jaki jest sens nadal się ukrywać? Wolę stanąć obok ojca.

Paul widział, że Duncan zмага się ze sobą. Wiedział, co Idaho chce zrobić. Musiał go tylko przekonać, że to decyzja do przyjęcia.

— Zawsze pamiętaj o honorze, Duncan — powiedział. — Członkowie rodu Atrydów powinni walczyć razem. Znasz lepszy sposób przygotowania mnie na to, co przyniesie przyszłość?

W końcu mistrz miecza przeciągnął dłonią po swych kędzierzawych czarnych włosach.

— Bez wątpienia wolałbym być na polu bitwy na Grummanie. Nasze wojska mogą cię chronić równie dobrze jak ja.

Paul uśmiechnął się i wskazał ruchem głowy wyszczerbioną i zgiętą broń, która należała niegdyś do Starego Księcia.

— Poza tym, Duncan, potrzebujesz nowego miecza.



**CZĘŚC V**  
**IMPERATOR MUAD'DIB**  
**10 198 EG**





*Niektórzy przywódcy tworzą wielkie dzieła, by ich zapamiętano, inni muszą niszczyć, by odcisnąć swoje piętno na historii. Natomiast ja... ja będę robił jedno i drugie.*

— z *Rozmów z Muad'Dibem* pióra księżnej Irulany

Whitmore Bludd — architekt i mistrz miecza — patrzył z podziwem na szczegółowy model budowli, jakby sam nie mógł uwierzyć, czego dokonał. Uśmiechnął się do Paula.

— Twoja wspaniała twierdza, panie, nie zostanie nigdy ukończona, i to celowo. Twoi następcy będą widzieli w tym pałacu symbol twojej pracy, która się nigdy nie zakończy. — Zwinnym ruchem dłoni wyłamał sobie palce. — Mimo to oświadczam z dumą, że jestem zadowolony z części, którą nazywam pierwszym etapem.

Na zajmującej stół konferencyjny projekcji holograficznej główna część ogromnej fortecy, już i tak wielkości małego miasta skupionego wokół dawnej rezydencji w Arrakin, prezentowała się solidnie i okazałe. Półprzezroczyste elementy przedstawiały gmachy, które Bludd chciał jeszcze dobudować. Zaproponował dodatkowe skrzydła wielkości dzielnic, wieże tak wysokie, że na ich szczytach panowałyby inna pogoda niż na dole, i labirynt korytarzy, w którym (jak żartowali niektórzy) można by się było poruszać tylko z pomocą nawigatora Gildii.

Paul skrzywił się sceptycznie.

— Mistrzu Bludd — powiedział — taka rzecz doprowadziłaby do bankructwa KHOAM. Myślisz, że zasoby finansowe mojego Imperium są nieograniczone?

Mistrza miecza ponownie się do niego uśmiechnął.

— Ależ tak, panie. Przedstawiam ten model nie po to, by prosić o więcej pieniędzy czy robotników, lecz by zasugerować spektakularną uroczystość... coś w rodzaju wspaniałego otwarcia. — Włączył urządzenie sterujące hologramem i wszystkie proponowane przez niego dodatki zniknęły. Pozostała tylko istniejąca już budowla. — Pomyśl o wielkiej gali. Przybędą, by okazać ci posłuszeństwo, przedstawiciele wszystkich światów podbitych w czasie dżihadu.

W pomieszczeniu byli też Chani i Korba. Oboje zmarszczyli czoła, starając się przetrwać propozycje fircykowatego mężczyzny i ich konsekwencje. U szczytu stołu, jeszcze mniejsza przy holograficznym modelu, siedziała Alia.

— Myślę, że po prostu usiłujesz się popisać swoim dziełem, mistrzu miecza — powiedziała.

Bludd sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Jak zawsze, dziecko, przejawiasz talent do trafiania w sedno. — Lekceważącym gestem rozłożył ręce. — Naturalnie, jestem dumny z mojego dzieła. Możesz sobie wyobrazić lepszy sposób na utrwalenie mego miejsca w historii? Chciałbym, żeby po śmierci pamiętano mnie nie tylko jako towarzysza moich starych przyjaciół, Riwyego Dinariego i Duncana Idaho, lecz również stawiano obok mego sławnego przodka, Porcea Bludda, a może nawet Joola Noreta, założyciela ginaskiej szkoły mistrzów miecza.

— Jeśli znajdą się tutaj ci wszyscy gubernatorzy planet i przedstawiciele Landsraadu, niezwykle trudno będzie zapewnić bezpieczeństwo — rzekł cicho Korba. — Wielu z nich gardzi tobą, Usul.

Paul żałował, że nie ma przy nim Stilgara, ale naib dowodził Fremenami ścigającymi kolejną grupę zagorzałych zwolenników Thorvalda. Spojrzał z chmurną miną na Korbę.

— Chcesz powiedzieć, że w takiej sytuacji chronienie mnie byłoby niemożliwe? — zapytał.

Teraz Korba wydawał się urażony.

— Oczywiście, że nie, Usul — odparł.

— Czy przy swoim darze jasnowidzenia nie mógłbyś rozpoznać wszystkich zagrożeń i usunąć ich? — zapytał Bludd.

Paul westchnął. Każda bitwa, każdy kryzys, każde niepowodzenie (które wierzący w niego postrzegali jako „próby”, nie jako błędy) przypominały mu o tym, jak niepewna jest jego wiedza. Rok po roku, w miarę jak dżihad stawał się coraz gorszy, a on nie widział jego końca, uparcie trzymał się drogi, która kiedyś wydawała się straszna, ale wyraźna.

W ostatnich dniach powracał stale sen, który wprowadzał go w konsternację — żywy obraz wyrzeźbionej z drewna ryby skaczącej nad brązowymi, również drewnianymi falami. Symbol jego spędzonego

na Kaladanie dzieciństwa, które teraz okazało się nieprawdziwe? Czy to on był tą rybą? Nie miał pojęcia, co znaczy ten sen.

— Moje wizje są niedoskonałe i niepełne, Whitmore — odparł. — Widzę morze wydm na pustyni, ale nie zawsze znam ruchy poszczególnych ziaren piasku.

Mimo to, gdy tylko Bludd zasugerował zorganizowanie uroczystości, Paul wyczuł gwałtowne i chaotyczne zderzenie różnych wersji przyszłości, przy czym w wielu z nich kryło się poważne niebezpieczeństwo dla niego. Niektóre przedstawiały drogę do męczeństwa. Ale wiedział też, że bez względu na koszty, ludzkość musi przetrwać i przygotować się do jeszcze bardziej niewiarygodnej bitwy w dalekiej przyszłości. Sięgając wzrokiem tak daleko, musiał jednak uważać, żeby nie wpaść do dołu, który znajdował się tuż przed nim.

Sam fakt, że tak wielu ludzi wierzyło w niego i zanosilo do niego modły, że wierzyli, iż Muad’Dib wszystko widzi i wszystko wie, paradoksalnie upośledzał jego dar widzenia przyszłych wydarzeń. Niemniej przyszłość zawsze stała przed jego oczami, na przemian zasłonięta albo ukazana w drobnych szczegółach. Dokądkolwiek prowadziło go przeznaczenie, nie mógł przed nim uciec. Drogę, którą obrał, wyznaczały jego działania i los.

Podjął decyzję.

— Tak — rzekł. — Nadszedł czas, by oznajmić o moich zwycięstwach i dać zmęczonym ludziom okazję do świętowania. Poślijcie po Irulaną. Powiedzcie, że jest mi potrzebna.

Księżna zamykała się w prywatnych apartamentach, więc niektórzy wzięli ją na języki i plotkowali, że skoro nie dzieli łoża z Muad’Dibem, znalazła sobie kochanka. Bardziej wierzący uważali, że Irulana po prostu medytuje w samotności nad swoim nabożnym podziwem dla Muad’Diba.

Paul wiedział jednak, że Irulana poświęca większość czasu pracy nad następnym tomem jego obszernej biografii. Przeczytał pierwszą wersję części rozdziałów i zauważył tu i ówdzie błędy oraz zmyślenia, które miały stworzyć jego obraz jako mesjasza. Przeinaczenia te prawie zawsze odpowiadały jego celom, rzadko więc prosił, by zmieniła to, co już napisała. Uśmiechnął się, myśląc o tym.

„Bierze ziarna prawdy i tworzy z nich rozległe pustynie”.

Kazał swoim szpiegom uważać na wszelkie wywrotowe rozprawy lub odezwy, które mogłyby rozpowszechnić wśród ludności. Na razie nie znaleźli niczego, co mogłoby stanowić powód do niepokoju. Paul nie sądził, by Irulana starała się wzniecić rewolucję, po prostu dlatego, że dla niej nie miałoby to sensu. Chociaż nie ufał jej całkowicie, w pewnych sprawach mógł na niej polegać. W takich jak ta.

Odpowiadając na jego wezwanie, księżna stawiała się w sali konferencyjnej, w której nadal mienił się model twierdzy wzniesionej przez Bludda, chociaż żyłasty mistrz miecza wyszedł już, by rozpocząć przygotowania do uroczystości. Armia robotników dopieści teraz wszystkie pomieszczenia, wyczyści i wypoleruje wszystkie kąty, płyty i płaskorzeźby, chociaż Bludd upierał się, że własnoręcznie wykończy ozdoby w Niebiańskiej Sali Posłuchań, twierdząc, iż nikt inny nie potrafi tego zrobić tak perfekcyjnie jak on (w czym nie zgadzał się z nim Korba).

Irulana związała długie jasne włosy w praktyczny, bynajmniej nie ekstrawagancki węzeł. W tej fryzurze podobała się Paulowi bardziej niż w oficjalnym uczesaniu. Popatrzyła badawczo niebieskimi oczami na obecnych w sali.

— Wezwałeś mnie, mężu? — zapytała.

— Mam dla ciebie, Irulano, nowe zadanie, do którego się świetnie nadajesz — odparł. — Będzie to wymagało kontaktów z prominentnymi niegdyś rodami Landsraadu. — Wyjaśnił jej, że zamierza przyjąć propozycję Bludda i zorganizować ceremonię z okazji ukończenia pierwszej części twierdzy. — Pomóż mi zebrać ich tutaj. Sprowadź przedstawicieli wszystkich światów Imperium.

Kiedy przemówił Korba, akcentował z żarem każde słowo.

— Uroczystości te zmuszą też wszystkich przywódców do wykazania, że są lojalni wobec Muad’Diba. Mój kwizarat pomoże dopracować szczegóły. Nazwiemy to w i e l k i m hołdem. Wszyscy będą musieli go złożyć. Obecność będzie obowiązkowa.

— Nawet dla mojego ojca, z Salusy Secundusa? — zdziwiła się Irii’ lana.

Paul zabębnił palcami po stole.

— Szaddam IV jest jednym z moich poddanych — odparł. — Nie jest z tego zwolniony.

Irulana zrobiła minę, jakby obliczała coś w myślach.

— Mogę ci pomóc napisać zaproszenia i wysłać wezwania, które nie zostaną zlekceważone, ale masz świadomość, ile będzie cię kosztowała taka ekstrawagancja? — powiedziała. — Dodatkowo

związane z tym za^ mieszanie, zapewnienie bezpieczeństwa, ruch statków w portach kosmicznych? Czy Gildia będzie mogła się zająć szczegółami transportu?

— Gildia się tym zajmie — rzekł Paul. — A lordowie sami pomogą mi pokryć wszystkie koszty. Przedstawiciel każdej planety przybędzie na Diunę z pełną ładownią wody.

W oczach księżnej pokazało się zdziwienie, a potem podziw.

— Sprytna sztuczka — przyznała. — Coś takiego nie nadweręży kieszeni żadnego planetarnego władcy, a Fremeni będą zachwyceni. Doskonały symboliczny gest.

— Symboliczny i praktyczny. Rozdamy wodę wszystkim ludziom w Arrakin — powiedziała Chani. — Pokaże to hojność Muad'Diba.

Irulana złożyła mu lekki ukłon.

— Natychmiast napiszę do ojca i przygotuję pisma, które kurierzy Gildii dostarczą szlachcie z Landsraadu i innym dygnitarzom.

Paul nie miał wątpliwości, że każde podpisze: „*Księżna Irulana, córka Szaddama IV, żona Imperatora Paula Muad'Diba Atrydy*”. I to jej się należało.



To od hrabiego Hasimira Fenringa mój ojciec nauczył się wykorzystywać ludzi jako kartę przetargową.

— z *W domu mojego ojca* pióra księżnej Irulany

— Panie, przynoszę wiadomość od twojej córki, księżnej Irulany.

Odziany w szary mundur sardaukara baszar Zum Garon trzymał w jednej ręce swoją oficcerską czapkę, a drugą, z cylindrem z wiadomością, wyciągał do Szaddama, który właśnie skończył śniadanie z Wensicją i jej mężem. Znajdowali się w surowym salonie jego prywatnej rezydencji. Służący wyniósł na ten czas dziecko, gdyż zamieszanie wokół niego nie pozwalało Szaddamowi jeść w spokoju.

— A na jakiej podstawie wnioskujesz, że chcę się dowiedzieć, co u niej słychać? — Szaddam skinął na Wensicję, by odebrała przesyłkę. — Wolałbym dostać wiadomość od hrabiego Fenringa.

Siedzący zbyt blisko Wensicji Dalak pojaśniał.

— Panie, chciałbyś, bym napisał do mego kuzyna? — zapytał. — Może tym razem uda mi się go przekonać, żeby do nas wrócił. Chętnie spróbuję.

Wensicja spojrzała pochmurnie na męża.

— Przestań przeceniać swoje znaczenie i wpływy — powiedziała. — To już się staje nudne. Hrabia Fenring ledwie cię pamięta.

W minionym półroczu Dalak dwukrotnie opuszczał Salusę, twierdząc z pewną siebie miną, że uda mu się odnaleźć kuzyna i porozmawiać z nim. Jednak w obu przypadkach napotkał „*niespodziewane trudności*” i nie zdołał dotrzeć do Tleilaxan, nie wspominając o znalezieniu Fenringa, chociaż zdawało się, że baszar Garon nie miał takich kłopotów. Wracał speszony jak dziecko i tylko wzruszał ramionami z zażenowania.

Jednak Szaddam odkrył, jaki interes miał Dalak w tych niezwykłych wyprawach. Mizdrzący się mąż Wensicji nie był takim głupcem, jak się wydawał — miał w sobie więcej z Fenringa. Szaddam zamierzał się zająć jego grzeszkami na swcSj spostSb...

Wensicja podejrzliwie oglądała cylinder.

— Ma osobistą pieczęć Irulany i pieczęć Imperatora — stwierdziła.

— To oficjalna przesyłka — powiedział Garon, wciąż stojąc na baczność. — A co do hrabiego Fenringa, panie, to nie udało mi się przekonać go, by zmienił zdanie. Przesyła wyrazy szacunku wraz z tysiącem przeprosin, ale okoliczności nie pozwalają na jego powrót na Salusę.

— A przekazał jakąś odpowiedź na błagania swojego kuzyna? — Szaddam popatrzył znacząco na Dalaka, ten zaś aż się skulił.

— Ani słowem nie wspomniał o jakichkolwiek kontaktach z mężem Wensicji, panie. Ale będę na niego naciskał podczas każdej wizyty na planetach Tleilaxan. Zgodnie z twoim życzeniem, zaczęli tworzyć dla ciebie prywatną armię.

— Bez względu na to, czy kuzyn zdoła go przekonać, czy nie, nasze plany są coraz bliższe realizacji. Hasimirowi nie uda się uniknąć zaangażowania. Wiem to.

Wydawało się, że Dalak pragnie zmienić temat.

— Myślałem, że Irulanie nie wolno się mieszać do spraw oficjalnych — powiedział, po czym zerknął przez ramię żony na zapieczętowany cylinder. — Czyżby Paul miał w końcu zamiar przysłać żołnierzy i ekipy robotników, by zaczęli prace nad przekształcaniem tej planety? Chciałbym, żeby nasz mały Farad'n dorastał w gościnniejszym miejscu.

Wensicja złamała pieczęcie i przeczytała list.

— Muad'Dib zamierza się pochwalić swoją nową twierdzą, która jak utrzymuje, przewyższa rozmiarami i wystawnością stary pałac Imperatora na Kaitainie.

Opuściwszy gorzko kąciki ust, Szaddam spojrzał przez wzmocnione okno na zdewastowany krajobraz.

— Wszystko przewyższa to, co mam teraz — powiedział.

— Prosi o przysłanie przedstawiciela każdego świata i każdego rodu, włącznie z Corrinami z Salusy Secundusa. Wspaniałomyślnie złagodzi nawet zakaz podróżowania, przez który nie mogłeś się stąd nigdzie ruszyć. — Wensicja podniosła wzrok. — To coś więcej niż zaproszenie, ojcze. To wezwanie. Masz obowiązek stawić się osobiście albo wysłać swojego przedstawiciela na ceremonię wielkiego hołdu. Musisz też przywieźć w darze dla Imperatora pełną ładownię wody.

— Ja jestem Imperatorem. — Szaddam zrobił tę uwagę z przyzwyczajenia, bez zbytniego przekonania.

— Ma to być dar dla Muad'Diba. Są tu podane szczegóły dotyczące minimalnej ilości wody.

— Dano mi do zrozumienia, że takie same listy zostały wysłane do wszystkich przywódców planet. Nie radzę ignorować tego wezwania — rzekł baszar Garon. — Fanatycy Muad'Diba skorzystają skwapliwie z każdego pretekstu, by cię zabić i tym samym wypełnić ród Corrinów.

Szaddam wiedział, że dowódca sardaukarów ma rację.

— Czy jest tam dokładnie określone, kto ma w tym wziąć udział? Może wystarczy jakikolwiek przedstawiciel? — Jego wzrok spoczął na tym tchórzliwym mężu Wensicji. Szczupły, drobny mężczyzna zawsze ubierał się w jedwabie i koronki, paradował jak księżę na balu kostiumowym, nie zważając na surowe otoczenie ani na trudne położenie teścia. — Może już czas, żebyś nam się w końcu na coś przydał, Dalak. Udziel mi rady w rodzaju tych, jakie dawał mi hrabia Fenring. Zabij paru moich wrogów, tak jak on. Poleć tam jako mój przedstawiciel i znajdź sposób, żeby zgładzić Muad'Diba.

— Panie? — Twarz Dalaka przybrała barwę białego sera. — Nie masz innych ludzi do tego zadania?

— Nikogo, bez kogo mógłbym się obyć tak jak bez ciebie. — Szaddam patrzył z zadowoleniem na minę zięcia, który był tak wstrząśnięty, jakby nikt jeszcze tak otwarcie go nie znieważył. — Jaki z ciebie pożytek, Dalak? Flasimir mógłby to zrobić z łatwością. Córka mówiła mi, że natychmiast po przebudzeniu przeglądasz się w lustrze stojącym u stóp łóżka. To takich mam teraz najlepszych sprzymierzeńców? Nic dziwnego, że ród Corrinów jest w takiej niełasce.

Dalak zeszytniał, otaczając się cienką i kruchą skorupą dumy.

— Dbam o siebie, żeby się dobrze prezentować na twoim dworze — powiedział. — Robię to dla ciebie, Wasza Wysokość. I zrobiłbym wszystko, co rozkażesz. To mój obowiązek. Przyświeca mi jeden cel: przywrócenie chwały rodowi Corrinów.

— Aha, przywrócenie chwały rodowi Corrinów. Być może mogę ci pomóc. — Szaddam wysłał sygnał i przez boczne drzwi weszło czterech jego służących, popychając kilka dużych skrzyń spoczywających na dryfach.

— Skrzynie te zawierają część najpiękniejszych i najcenniejszych skarbów rodowych Corrinów — wyjaśnił Szaddam. — Teraz zostały nam przywrócone. W jakiś dziwny sposób zniknęły z naszych piwnic i skrytek. Skarby te znalazły drogę na czarny rynek.

Po spanikowanym wyrazie twarzy Dalaka były Imperator widział, że człowiek ten dokładnie wie, co jest w skrzyniach.

— Cie... cieszę się, że wróciły do prawowitych właścicieli — wybąkał mąż Wensicji.

Szaddam wstał od stołu i podszedł do niego.

— Było to dość trudne... i kosztowne — powiedział. — Jestem jednak pewien, że możesz zwrócić te wydatki ze środków na twoich prywatnych rachunkach.

Wensicja spojrzała na męża, jakby był gnijącą masą mięsa.

— Ukradłeś i sprzedałeś ruchomości Corrinów? — spytała z pogardą.

— Oczywiście, że nie! — Oburzenie Dalaka nie było przekonujące. — Nie miałem nic wspólnego z czymś takim.

— Wiemy teraz, dlaczego miał takie problemy z dotarciem na światy Tleilaxan i skontaktowaniem się z hrabią Fenringiem. Był zbyt zajęty innymi sprawami.

— Nie! Całkowicie temu zaprzeczam. Gdzie dowody?

— Żaden lojalny poddany nie powinien potrzebować innego dowodu niż słowo Imperatora. — W istocie rzeczy Szaddam miał dosyć dokumentów, pokwitowań i nakręconych z ukrycia transakcji. Nie mogło być wątpliwości co do winy Dalaka. Spojrzał na baszara Garona. — Masz przy sobie jakąś dodatkową broń, którą mógłbyś pożyczyć temu młodzieńcowi? — zapytał. — Jeden z tych sztyletów czy pistoletów, które trzymasz w butach i w rękawach? A może ten mały pistolet na igły z trucizną, który nosisz w kieszeni na piersiach? Wydaje się, że to odpowiednia broń dla mojego zniewieściałego zięcia.

Garon sięgnął posłusznie za pazuchę i wyjął małą broń, niepewny, co Szaddam zamierza. Pistolet strzałkowy był płaski i nie większy od połowy jego dłoni.

Dalak był przerażony. Hrabia Fenring nigdy by się tak nie zachował, nawet w najtragiczniejszych okolicznościach.

— Panie, to nieporozumienie — powiedział. — Mogę udowodnić moją wartość. Pozwól mi porozmawiać z kuzynem. Potrafię go przekonać do powrotu na Salusę. Wiem, że potrafię! Zrobię, co zechcesz.

— Skoro Dalak jest takim wiernym poddanym — rzekł Szaddam do baszara — najlepiej daj mu tę broń. Może będzie jej potrzebował, służąc mi.

Garon bez pytania wręczył śmiertcionośny przyrząd Dalakowi, ten zaś wziął go z ociąganiem. Szaddam zauważył, że baszar położył dłoń na rękojeści miecza, by w razie potrzeby szybko go dobyć.

„*Na sardaukarze zawsze można polegać*” — pomyślał.

— Najpierw parę podstawowych informacji. — Obalony Imperator udzielał lodowatym tonem instrukcji zięciowi. — Aby wystrzelić z tej broni, unieś jednym ze swoich wypielęgowanych paznokci tę pokrywkę i naciśnij przycisk, który jest pod nią. Widzisz teraz, skąd wylatują strzałki?

Dalak patrzył niezadowolony na przedmiot w swoim ręku.

— Eee... tak. Ch... chcesz, żebym kogoś z tego zabił, Wasza Wysokość? Kto cię drażni?

— Nie celuj w niewłaściwym kierunku. — Szaddam przemawiał do niego jak do dziecka. — Masz odwagę tego użyć?

Dalak przełknął z trudem ślinę, spojrzął na żonę, a potem rzekł z udawaną brawurą:

— Jeśli rozkażesz, Imperatorze.

Wydawało się, że myśli, iż się z tego wywinie.

— Dobrze. — Szaddam zerknął ze współczuciem na córkę, ale była raczej zaintrygowana niż przestraszona. Chociaż aż do dzisiaj nie powiedział Wensicji o kradzieżach Dalaka, rozmawiali już o nim i doszli do wniosku, że wcale nie jest takim głupim pochlebcą, jak się wydaje. — A teraz podnieś pokrywkę spustu, wymierz pistolet w swoją głowę i strzel.

— Panie! — Dalak patrzył gniewnie jak uparty mały chłopiec. — To jakaś próba?

— Tak, próba. Dowiodłeś już swoich wad i swojej winy. Możesz dowieść swojej wierności? — Szaddam obrócił się do dowódcy sardaukarów. — Baszarze Garon, jesteś gotów oddać życie, jeśli będzie tego wymagał ród Corrinów?

— Zawsze, panie.

— A zatem zwykły żołnierz jest wierniejszy niż mój zięć. Wensicjo, źle wybrałaś sobie męża.

— Miał być kimś więcej, niż jest — rzekła Wensicja.

— Twój ślub z nim miał być znakiem pokoju dla hrabiego Fenringa, ale najwyraźniej na Hasimirze człowiek ten nie robi większego wrażenia niż na mnie. Dlatego nie widzę wielkiego sensu w trzymaniu go tutaj. Dalak spełnił swój obowiązek, zapłodniwszy cię, żebyś dała mi w końcu dziedzica. — Popatrzył na skrzynie z odzyskanymi rodowymi skarbami. — Ale nie zniosę zdrady i pogardzam złodziejami.

Młodzieniec był zarówno zły, jak przestraszony.

— Jeśli tak traktuje mnie rodzina Imperatora, to z przyjemnością opuszczę Salusę Secundusa — powiedział.

— Opuścisz, ale nie w taki sposób, jaki byś wolał. — Udając przerażenie, Szaddam kiwnął głową do przyglądającego się wszystkiemu ze stoickim spokojem dowódcy sardaukarów. — O rany, baszarze! Ten człowiek celuje do mnie! Obroń nas przed tym fanatykiem! Zabij go!

Dalak rzucił pistolet strzałkowy, jakby broń go parzyła, i podniósłszy ręce, zaczął się cofać.

— Nie jestem uzbrojony. Nie stanowią zagrożenia — powiedział.

Baszar Garon wyciągnął z wahaniem swój miecz z pochwy. Dobrze naostrzony brzeszczot lśnił w świetle zalewającym pokój.

— Jesteś pewien, panie? — zapytał. — Wolałbym skąpać oręż we krwi wrogów na polu bitwy niż w krwi tego nieuzbrojonego głupca.

— Ale zrobisz, co ci rozkażę?

— Oczywiście — odparł Garon, chociaż nie wyglądał na zadowolonego.

— Och, dosyć tego! — Wensicja chwyciła pistolet z podłogi i nie mrugnawszy nawet, wypuściła grad strzałek w pierś męża. Na jego koszuli wykwitły małe plamki czerwieni. Zawodząc, osunął się na kolana. Nachyliła się nad jego popielatą twarzą, jakby chciała złożyć ostatni pocałunek na jego policzku.

— Kiedy Farad n podrośnie, powiem mu, jakim walecznym i silnym mężczyzną był jego ojciec i jak zginął, broniąc nas. Czasami historia wymaga takich zmyśleń. Powiemy, że przez strażników przedarł się jeden ze zbuntowanych więźniów, a ty nas wszystkich ocaliłeś.

Dalak już nie słuchał. Przewrócił się na podłogę i skonał.

— To dużo łatwiejsze niż rozwód. — Wensicja rzuciła pistolet na zwłoki.

Szaddam, przyglądając jej się z zaskoczeniem i podziwem, pomyślał, że ta córka lepiej nadaje się do rządzenia niż jej starsza siostra Irulana.

Kiedy Garon wsunął do pochwy czysty miecz, Szaddam zauważył, że żołnierz jest zatroskany tym, czego był świadkiem.

— Przepraszam za tę przykrość, baszarze, ale to było nieuniknione — powiedział. — Chodziło o posprzątanie domu.

Dowódca o pobrużdżonej twarzy skłonił głowę na znak, że rozumie.

— Nadal pozostaje do załatwienia sprawa przedstawiciela na ceremonię wielkiego hołdu dla Muad'Diba, panie — przypomniał.

Szaddam zastanawiał się chwilę, czy nie wysłać tam trupa Dalaka. To dopiero byłaby zniewaga!

— Czy w tym wezwaniu jest mowa, że mój ambasador musi być żywy? — zapytał.

— Ja polecę — powiedziała Wensicja nieco zbyt ochoczo. — Jako córka Szaddama Corrina IV przemówię w twoim imieniu.

Do pokoju wpadła z dzieckiem na rękach Rugia, chociaż jej nie wezwano. Gryzaka, który Farad'n miał w ustach, sama kiedyś używała; ozdobiony był herbem ze złotym lwem. Ujrzawszy trupa na podłodze, o mało nie upuściła dziecka.

— Och! — wykrzyknęła. — Co się stało biednemu Dalakowi?

— Straszny wypadek — odparła Wensicja. — Zamknij, proszę, drzwi.

Rugia zrobiła to. Młoda kobieta o jasnobrązowych oczach obeszła nerwowo zwłoki i podała chłopca Wensicji.

— Twój biedny mąż! Nie powinniśmy kogoś wezwać?

— Nie można już nic zrobić. — Wensicja odgarnęła ciemne włosy dziecka z jego oczu. — Dopóki nie wydam ci instrukcji, nie możesz z nikim o tym rozmawiać. Ale najpierw musimy zdecydować, kto uda się na to przyjęcie.

Twarz Rugii wyrażała dezorientację.

— Wydajemy przyjęcie? — zapytała.

Szaddam uśmiechnął się do niemowlęcia.

— Być może powinniśmy wysłać małego Farad'na — rzekł. — Nikt nie zinterpretowałby opacznie tego przesłania.

Wensicja potrząsnęła gwałtownie głową.

— Farad'n jest twoim jedynym dziedzicem, ojcze! Byłby zbyt bezbronny na Arrakis. Irulana mogłaby go nawet zabić z zawiści, ponieważ sama nie może urodzić dziedzica.

Szaddam chodził w tę i z powrotem przed oknami, po czym stanął i skupił wzrok na Rugii. Na najmłodszej i najmniej wartej z jego potomstwa z Anirulą. Była potulna i miała pusto w głowie. Przed klęską, którą poniósł na Arrakis, liczył na to, że wyda ją za potomka jakiegoś ważnego rodu zasiadającego w Landsraadzie, ale od zesłania na Salusę grono kandydatów do jej ręki skurczyło się do mężczyzn pokroju Dalaka Zora-Fenringa.

Były Padyszach Imperator uśmiechnął się do siebie. Może Rugia przydałaby mu się w końcu na coś. Wysłanie na wielki hołd najmłodszej i najmniej przez niego cenionej córki byłoby też jasnym przesłaniem dla Muad'Diba.



*Wiara w to, że kogokolwiek da się całkowicie kontrolować, jest złudzeniem.*

— księżna Irulana, osobista uwaga

Poznawszy kandydata doktora Ereboama na Kwisatz Haderach, hrabia Fenring przez kilka tygodni usiłował dowiedzieć się więcej o tym, jak Tleilaxanie stosowali procedury wypaczania, by kontrolować Thalla. Hrabia i lady Margot z depczącą im po piętach Marie weszli za badaczem do pełnego egzotycznej maszynerii ośmiokondygnacyjnego budynku o organicznym wyglądzie.

W komorze laboratoryjnej, w owalnej kapsule przymocowanej do długiego metalowego ramienia potężnej maszyny, wirował obiekt doświadczalny. Kapsuła poruszała się w górę i w dół, do środka i na zewnątrz oraz wokół, poddając znajdującą się w niej osobę bardzo dużym przyspieszeniom i przeciążeniu.

Marie wpatrywała się w urządzenie.

— Chciałabym tego spróbować — powiedziała.

W lady Margot natychmiast odezwały się opiekuńcze uczucia.

— Nie teraz, drogie dziecko. To nie jest bezpieczne.

— Nigdy nie poddaliśmy naszego Kwisatz Haderach żadnym niebezpiecznym procedurom.

— Spojrzenie różowawych oczu Ereboama podążało za obracającą się i kołyszącą kapsułą. — Jest to głównie odwirowywanie połączone z precyzyjnymi uderzeniami starannie wymierzonych dawek energii, które przenikają do pewnych obszarów przesyconego endorfinami mózgu. Możecie uznać to za proces sortowania i segregowania. Technika ta izoluje określone części mózgu, zamyka nieproduktywne drogi nerwowe i synapsy, a otwiera inne. Mamy dane, które potwierdzają, że wystawienie na takie bodźce potęguje sprawność umysłową i fizyczną. Ta technika sprawdza się od stuleci.

Jednak Fenring miał wątpliwości. Być może Thallo rozwijał się według starannie opracowanego schematu genetycznego, ale nie był godzien takiego podziwu jak doskonała córeczka lady Margot. Hrabia zmierzwił z uśmiechem złote włosy dziewczynki, której błyszczące inteligencją oczy wciąż spoglądały badawczo na wszystko, co ją otaczało.

Kiedy Ereboam wyłączył maszynę, z kapsuły wyłonił się gibki i muskularny Thallo nadal odziany w beżowy kostium. Nie sprawiał wrażenia ani trochę dezorientowanego po pobycie w wirówce. Gdy utkwiał wzrok w Marie, odpowiedziała mu nieustępliwym spojrzeniem bładoniebieskich oczu. Wydawało się, że przeleciała między nimi dziwna iskra.

Thallo zbliżył się. Ciągłe patrzyli sobie w oczy. Tleilaxański kandydat na Kwisatz Haderach był dużo wyższy od Marie i zachowywał się swobodnie, niemal kpiąc z obecnych swą postawą.

— Mogliby nas uczyć razem — zasugerowała Marie.

Biorąc pod uwagę intensywne szkolenie, jakiemu on i jego żona poddawali już dziewczynkę, Fenring nie miał nic przeciwko temu, by do arsenału Marie dodać jeszcze jeden atut. Jeśli miało jej się powieść — z tleilaxańskim Kwisatz Haderach czy bez niego — musiała być najdokładniej wyszkoloną osobą w Imperium.

Ereboam uznał, że to intrygujący pomysł.

— Żyjecie wśród nas od lat, hrabio, więc miałem okazję dobrze przyjrzeć się waszej Marie — powiedział. — Jest jedną z najbardziej interesujących osób, jakie widziałem. Mogłaby być dobrym katalizatorem dla Thalla.

— I odwrotnie — stwierdził hrabia.

— Obserwują wszystko, co robimy. — Thallo zakrył dłonią usta i był na tyle ostrożny, by nie wskazać kiepsko zamaskowanej płytki obserwacyjnej wysoko na ścianie ich sali ćwiczeń. — Ukrywają się tam, kilku naraz. Tik więc obserwatorzy wpływają na przebieg swojego eksperymentu. Okropnie marna jakościowo nauka.

Marie spojrzała w tamtą stronę, nie dbając o to, czy zauważą to wszechobecni Tleilaxanie. W ciągu sześciu lat życia przywykła do tego, że ktoś — czy to rodzice, czy Tonia Obregah-Xo, czy niewidzialni szpiedzy — stale ją śledzi. Zwykle nawet nie myślała o tym. Nie było żadnej reakcji ślepego okienka obserwacyjnego.

Trzymając nadal dłoń przy ustach, Thallo uśmiechnął się do niej.

— Nie widzą wszystkiego, choć przekonani są, że widzą — powiedział. — Wprowadziłem przerwę w działaniu kamer, dodałem indukcyjne urządzenie poddźwiękowe.

Zaintrygowało to Marie.

— Potrafisz manipulować ich urządzeniami? — zapytała.

— Myślę, że nauczyli mnie wszystkiego, ale ja sam nauczyłem się dużo więcej. — Spojrzał z lekką drwiną na okienko obserwacyjne. — Manipulując ich technologią, mogę manipulować nimi. — Wydawał się zmartwiony. — Uważają, że jestem doskonały, ale nigdy nie doceniają tego, co potrafię zrobić. Nawet nie widzą sprzeczności w swoich działaniach.

— A jesteś doskonały?

Ściszył głos, ujawniając sekret.

— Nic nie może być doskonałe. To zniewaga dla wszechświata. — Odwrócił się tyłem do okienka obserwacyjnego i wolno podwinął rozciągliwe rękawy. Jego blade ręce szpeciły wyraźne czerwone cięcia przeplatające się ze starszymi ranami, które już się zagoiły.

Marie pochyliła się niżej z szeroko rozwartymi oczami.

— To był wypadek?

— Mam ich więcej pod ubraniem. — Poglądził się po piersi i po nogach. — Skazy demaskują mit doskonałości. — Zachichotał. — Doktor Ereboam wie o tym, ale ukrywa to przed innymi mistrzami. Stara się chować przede mną ostre przedmioty, ale zawsze znajduję jakąś alternatywę. Na przykład twoje paznokcie. Moje przycięli, ale mógłbym skorzystać z twoich.

— Chcesz, żebym pomogła ci się okaleczyć? — Była zaintrygowana, zaintrygowana.

— Nie teraz. — Poruszając się z niesamowitą szybkością i gracją, zaprowadził ją na metalowe schody sięgające kładki biegnącej wokół sali. Zatrzymał się na wprost nieprzezroczystego okienka obserwacyjnego i wbił w nie wzrok, jakby mógł zajrzeć do środka.

Przycisnąwszy twarz do szyby, Marie starała się dostrzec choćby zarysy obserwatorów po drugiej stronie, ale widziała tylko ciemność. Thallo, napiąwszy mięśnie, nacisnął dłonią szybę. Ta nieco się ugięła, ale nie pękła. Dziewczynka zastanawiała się, co myślą o tym obserwatorzy.

Szybko znudziwszy się tą zabawą, przeleźli przez rury i kable na suficie i zawisli wysoko nad podłogą. Chociaż upadek z takiej wysokości na pewno spowodowałby poważne obrażenia, a nawet śmierć, nie wbiegli spanikowani strażnicy ani badacze, by ich powstrzymać.

— Nie boję się — powiedział Thallo. — Mistrzowie nie pozwolą, żeby stała mi się krzywda.

Ku przerażeniu Marie, beztrąsko zeskoczył z rury i poleciał ku znajdującej się dziesięć metrów niżej podłodze. Jednak nim zdążył się roztrzaskać, jego upadek zamortyzowało ratunkowe pole dryfowe i łagodnie opuściło się z nim na podłogę. Zastanawiała się, kiedy i jak odkrył tę niespodziewaną siatkę bezpieczeństwa i czy spadł przez przypadek... czy próbował się zabić.

Rez chwili wahania skoczyła i gdyby nie system bezpieczeństwa, byłby to skok samobójczy. Kiedy podniosła się, zachwycona, zobaczyła, że Thallo siedzi na podłodze i wygląda, jakby wyparowała z niego cała niedawna euforia.

— Jestem tylko kandydatem — powiedział. — Mają nadzieję, że doprowadzą mnie do doskonałości, ale jeśli zawiodę, spróbują jeszcze raz. I kolejny.

— W czym miałbyś zawieść? — Marie usiadła obok niego. — Co planują z tobą zrobić?

— Mam być ich Kwisatz Haderach. — Jego brązowe oczy błysnęły. — Kiedy dają mi duże dawki melanzu, czasami mam wielorakie wizje przyszłości ludzkości. Jedna z nich zawsze się krystalizuje, staje jaśniejsza, jak słońce przebijające się przez mgłę, i widzę siebie jako Imperatora znanego wszechświata. Tego właśnie chcą: żebym został ich marionetką, kiedy obalę Muad'Diba.

— To bardzo ambitne. — Ani przez chwilę nie wąpiła w słowa Thalla. Jej rodzice mówili, że chcą, żeby to ona zasiadła na tronie Muad'Diba, dlaczego więc współpracują teraz z Tleilaxanami? Czy spodziewają się, że któregoś dnia Marie zostanie małżonką Thalla?

— Ale ponieważ widzę przyszłość, wiem, że mi się to nie uda. Dlatego nie jestem doskonały.

Głos Thalla ucichł, a jego ramiona opadły, jakby czuł na nich ogromne brzemie.

Pod wpływem impulsu Marie wyciągnęła rękę i przejechała paznokciami po jego twarzy, zostawiając zadrapania, których nie mógł zakryć kostium foliowy. Thallo cofnął się.

— Jesteśmy przyjaciółmi — powiedział.

Parę chwil później spadł do laboratorium doktor Ereboam z n> dzicami dziewczynki.

— Dlaczego mu to zrobiłaś? — zapytał groźnie albinos, chwytając Thalla za głowę i oglądając głębokie zadrapania na jego policzku. Wytarł krew i popsikał skaleczenie jakimś płynem.

— Tylko się bawiliśmy — odparła słodkim głosem Marie. — Zrobiłam to przypadkowo.

Wymieniła spojrzenia z matką, która zmarszczyła z dezaprobatą brwi. Lady Margot nauczyła córkę używać paznokci jako jednej z technik walki Bene Gesserit.

— To był przypadek — potwierdził Thallo.

— Obetnij córce paznokcie — zażądał doktor Ereboam.

— Nie obetnę — sprzeciwiła się jej matka.

— Przecież nie jest w stanie wyrządzić Thallowi krzywdy, hmm? — rzekł Fenring. — Jeśli ma być waszym Kwisatz Haderach, nie powinien się obawiać małej dziewczynki.

Marie zrobiła najbardziej niewinną, anielską minę, na jaką mogła się zdobyć.

W następnych dniach pozwolono Marie i Thallowi spędzać regularnie razem czas. Tleilaxanscy badacze sporządzili „interaktywne scenariusze”, jak to nazwali, zgodnie z którymi niekiedy umieszczali ich w laboratorium, innym razem zaś ich kontakty były bardziej przypadkowe i niereżyserowane.

Bawili się, biegając po pokojach i korytarzach, a nawet jedli wspólnie. Podczas jednego z takich posiłków Marie zaczęła rozrzucać jedzenie, udając dziecko, które dostało napadu złości. Chciała zgorszyć obserwatorów. W powietrzu fruwały kluski, kawałki mięsa, owoce, napoje i plastikowa zastawa. W końcu, śmiejąc się, usiadła z Thallem wśród bałaganu na podłodze i... ukradkiem wcisnęła mu do ręki mały przedmiot.

— Masz. Matka dała mi to do samoobrony — szepnęła, zakrywając dłonią wargi. — Możesz tego użyć do robienia sobie tych różnych drobiazgów. Nie pozwól mistrzom zapanować nad sobą.

Był to wielofunkcyjny scyzoryk, który miał małe ostrze, zapalniczkę do powodowania drobnych oparzeń i długą nić, którą można było wystrzelić i użyć jako elektronicznego bata. Thallo mógł w zaciszu swojego pokoju do woli ciąć się, przypalać i biczować, dopóki ktoś go nie powstrzyma.

Skinąwszy z wdzięcznością głową, schował scyzoryk do kieszeni.

— Pewnego dnia wykonam ekstrawagancki gest, który naprawdę zmartwi mistrzów — szepnęła do niej. — Chcę, by żalowali, że mnie w ogóle stworzyli. Jako moja przyjaciółka — moja najlepsza przyjaciółka — powinnaś mi pomóc.



*Mając ogromne bogactwa i władzę, mój ojciec mógł wysłać z Kaitaina wielkie armie, przed którymi drżały całe światy, i nakazać egzekucję każdego ambasadora, który go uraził. Wolał, żeby się go bano niż kochano, i dotyczyło to również rodziny. Odizolowana z siostrami w pałacu imperialnym, postrzegalam Szaddama IV jako wyniosłego człowieka, który o wiele bardziej wolałby mieć synów.*

— z *W domu mojego ojca* pióra księżnej Irulany

Brak pompy przy powitaniu zenująco małego statku z Salusy Secundusa był afrontem dla rodu Corrinów. Mimo to Irulana z własnej inicjatywy wyruszyła przywitać przedstawiciela, którego Szaddam IV przysłał na ceremonię wielkiego hołdu. Była pewna, że ojciec nie zjawi się osobiście.

Szykując się do wyjazdu z twierdzy do portu kosmicznego, postanowiła zrobić to bez przesadnego ceremoniału i przywdziała zwykłe szaty. W końcu Paul najwyraźniej lubił chodzić między ludźmi, pozwalając się ogarniać szerokim rzeszom i udając, że jest jedną z tworzących je osób, jak wtedy, kiedy wyruszył na swoją głupią, kaskaderską wyprawę i walczył jako zwykły żołnierz na Ehknocie. Uważał, że zbliża go to do poddanych.

Ale Irulana nie chciała przedzierać się bez ochrony przez ciżbę, tam gdzie było pełno kurzu i unosił się smród niemytych ciał, który przy każdym oddechu zatykał jej nos. Była córką jednego i żoną drugiego Imperatora i upierała się przy podtrzymywaniu pozorów wielkości swego rodu, mimo iż nikt nie zwracał na to uwagi. Czasami uważała, że zostały jej tylko pozory.

Zdecydowała się na ciemnoniebieską suknię zamiast atrydziej zieleni lub bieli, po czym splotła włosy w prosty węzeł. Zanim opuściła prywatne skrzydło pałacu, wezwała żołnierzy i poprosiła kilku dworzan, by ponieśli od bramy kolorowe, imponujące sztandary i szli przed nią ulicami, jak jej się należało. Chociaż byli to żołnierze Muad'Diba i jego sztandary, mogli posłużyć również jej.

Nie było to wspaniałe widowisko, na jakie zasługiwali Corrinowie, ale musiało to wystarczyć, gdyż nadmierna ostentacja mogłaby zostać poczytana za zniewagę. Nie czuła się dobrze, obnosząc się z przepychem i bogactwem Muad'Diba, podczas gdy reszta jej rodziny przebywała na zesłaniu na zniszczonej planecie. Wiedziała już, że krewni uważają ją za zdrajczynię, ponieważ pogodziła się ze swoją sytuacją. Nie chciała jeszcze bardziej ich zrażać.

W ruchliwym porcie kosmicznym na równinie pod Arrakin liniowiec Gildii wypływał liczne fregaty dyplomatyczne, które przybyły na wezwanie Muad'Diba. Panował niewiarygodny zgiełk i zamieszanie. Ten chaos byłby obrazą dla jej ojca, który dużą część życia spędził na manewrach, kierując regimentami sardaukarów.

Fregata za fregatą czekały na swoją kolej w strefie rozładunku, a tymczasem służba bezpieczeństwa lustrowała je z zewnątrz, po czym wchodziła na pokład i przeprowadzała kontrolę pasażerów i ich bagaży. Załogę każdego statku poddawano długiemu przesłuchaniu, nim pozwalano jej zająć się swoimi sprawami.

Matka Przełożona z Wallacha IX zaproponowała przysłanie dziesiątek Prawdomówczyń do pomocy przy przesłuchaniach, rzekomo jako dowód lojalności Bene Gesserit. Siostry te potrafiłyby wykryć kłamstwo każdego, kto chciałby ukryć swoje motywy przed strażnikami kwizaratu. Ale Paul odrzucił tę ofertę, twierdząc, że nie darzy czarownic większym zaufaniem niż potencjalnych zamachowców.

Fregaty dyplomatyczne nie zostały ustawione na wybrukowanej przestrzeni w żadnym szczególnym porządku. W pierwszym roku swego panowania Paul powiększył dziesięciokrotnie teren lądowiska w porcie kosmicznym i poszerzył je jeszcze raz, kiedy pozyskiwał statki na potrzeby dżihadu. Na pokładzie każdej jednostki w porcie znajdował się teraz przynajmniej jeden przedstawiciel każdego z zasiadających w Landsraadzie rodów, które uznały władzę Paula.

Muad'Dib oficjalnie zażądał, by każdy statek złożył daninę wody. Wszędzie kręcili się kapłani kwizaratn, sterując ruchem naziemnych cystern. Wypompowywały one wodę z ładowni i napełniały nią duże, ozdobne zbiorniki, z których po otworzeniu kurków zostanie podczas uroczystości rozdana ludziom.

W końcu Irulana wypatrzyła, poznawczy ją po wyblakłym, ledwie widocznym lwie, herbie jej rodu, fregatę Corrinów. Przez tysiące lat herb ten zdobił niewiarygodnie okazałe budowle i dodające ducha sztandary, a teraz był żalonym wspomnieniem przeszłości. Statek nie zwracał szczególnie uwagi. Paul nakazał traktować przedstawiciela Corrinów nie jako członka rodziny Imperatora, ale jako rzecznika pośledniego rodu z Salusy Secundusa.

Na fregatę weszli już agenci służby bezpieczeństwa i Irulana widziała, że prawie zakończyli inspekcję. Ładownie statku opróżniono z wody. Chociaż Salusa Secundus był planetą zniszczoną podczas dawnej pożogi i panowały na nim surowe warunki, woda nie była tam szczególnie rzadkim dobrem. Na pewno nie tak rzadkim jak na Arrakis.

Irulana poleciła zagrać fanfary i poprosiła grupę witających, by podnieśli proporce i zrobili dla niej przejście. Jej strażnicy byli pod bronią. Kiedy otworzył się luk pasażerski i wysunęły schodki, ruszyła naprzód. Wszędzie stali gapie, przyglądając się paradzie obcych przybywających z odległych planet. Do tej pory zobaczyli już tyle przylotów, że wyglądali na znudzonych, ale trzymane przez orszak Irulany sztandary Muad'Diba rozbudziły ich ciekawość.

W końcu w towarzystwie dziesięciu nieuzbrojonych sardaukarów pojawiła się przedstawicielka Salusy Secundusa. Wyglądała jak porzucone dziecko, miała bladą skórę, duże, okrągłe ze zdziwienia oczy i mysiobrazowe włosy, zupełnie inne niż gęste złote loki Irulany i bujne kasztanowe sploty Wensicji. Sprawiała wrażenie przytłoczonej sytuacją.

— Rugia! — krzyknęła Irulana, budząc popłoch wśród swojej eskorty. W panującym hałasie pracownicy arrakińskiej służby bezpieczeństwa przyjrzeni się tylko przelotnie Irulanie i pozwolili jej przejść.

Kiedy jej drobna siostra zeszła ze schodów, ciężko oddychała i z miernym skutkiem starała się zapanować nad przestraszoną miną. Wybrała na tę okazję jedną ze swoich najwspanialszych dworskich sukien, którą wzięła ze sobą, udając się z Kaitaina na wygnanie. Sztywny, wyszywany szlachetnymi kamieniami kołnierz sięgał ponad jej głowę. Wydymające się spódnice obszyte były pryzmatyczną koronką, na cienkiej szyi miała naszyjnik z hagalskich szmaragdów, a górę sukni ozdobioną perłami z Mallabora, które wyglądały jak morska piana. Mimo sztywnego stroju Rugia sprawiała wrażenie, jakby chciała z powrotem zaszyć się na bezpiecznej fregacie.

Irulana pocałowała siostrę w policzek. Chociaż Rugia była mniej więcej w tym samym wieku co Paul Atryda, wydawała się dużo młodsza i bardziej niewinna. Z powodu niskiej pozycji nawet wśród córek Szaddama została tylko pobieżnie przeszkolona przez Bene Gesserit. Zarówno na Kaitainie, jak i później, na Salusie Secundusie, żyła pod kloszem. Irulana natychmiast zrozumiała przesłanie obalonego Imperatora: „*Nie będę sobie zawracał głowy wysyłaniem kogoś znaczniejszego. A zatem drwię z twojego wyzwania, Muad'Dibie*”.

„*Niebezpieczna gra*” — pomyślała Irulana, martwiąc się o bezpieczeństwo ojca i niepokojąc, że może planować coś jeszcze głupszego.

Wzięła siostrę za drobną rękę — zbyt drobną. Tę dziewczynę wychowano tak, by prowadziła dworskie życie w starym Imperium. Nie nadawała się do niczego innego i ta sytuacja wyraźnie ją przerastała.

— Zaopiekuję się tobą, siostrzyczko. Muad'Dib zapewnił ci ochronę. — Irulana niemal spodziewała się, że siostra odsunie się od niej jako od „*zdrajczyni rodu Corrinów*”, ale Rugia kurczowo trzymała jej dłoń. — Mamy dla ciebie apartament w nowej twierdzy, w moim prywatnym skrzydle — powiedziała z uśmiechem.

— A pokoje dla moich sardaukarów? — zapytała Rugia drżącym głosem. — Ojciec powiedział mi, żebym się od nich nie oddalała.

— Dla nich też mamy kwatery — odparła Irulana i pomyślała, że wspaniała twierdza Muad'Diba mogłaby pomieścić całą ludność Salusy Secundusa i jeszcze zostałyby dużo miejsca.

— Ojciec nie jest z ciebie zadowolony, Irulano.

— Wiem. Będziemy miały czas, żeby o tym porozmawiać.

Rugia zebrała całą odwagę. Puściła rękę Irulany, zamiast za dłoń wzięła ją pod ramię i wyszły z portu kosmicznego. Podążał za nimi orszak sardaukarów.

— Myślałam, że na Salusie Secundusie jest źle. — Rugia popatrzyła na pełne kurzu ulice i zmarszczyła nos pod wpływem unoszącego się na nich smrodu. — Ale tutaj jest dużo, dużo gorzej.

Jericha miała imponujące góry — szare, urwiste szczyty pokryte lśniącem śniegiem — które dostarczały zbyt wielu kryjówek buntownikom Thorvalda. W ciągu pięciu lat od rozpoczęcia dżihadu Stilgar widział wiele rzeczy przekraczających najbardziej nieprawdopodobne wyobrażenia z czasów, kiedy był fremieńskim naibem. W siczy Tabr uważał się za mądrego i potężnego człowieka, ale nigdy nie wytknął nosa poza ojczystą planetę. Wtedy wystarczała mu Diuna.

Kiedy jednak Muad’Dib poprosił go, by zrobił więcej, nie mógł mu odmówić.

We wstępnych meldunkach informowano Stilgara o trudnych warunkach, z którymi przyjdzie się zmierzyć jego żołnierzom, gdy przekroczą linię drzew i znajdą się na smaganym wiatrem pustkowiu, gdzie powstańcy Thorvalda ukryli skład broni. Śmiał się z ostrzeżeń przed pogodą. Ziąb, śnieg, zawieje — to wszystko nie mogło być gorsze od burz paskowych, które musiał znosić przez większość życia.

Zbliżał się dzień wielkiego hołdu i do Arrakin przybyło już ponad tysiąc przedstawicieli, by złożyć Muad’Dibowi przysięgę wierności i pokazać, że są jego pokornymi sługami. Stilgar pragnął wrócić do Arrakin, stanąć u boku Paula i być pierwszym, który go uściska, ale wymogi dżihadu nie zelżały z powodu ceremonii i uroczystości. Bez względu na to, co nakaże Muad’Dib, walka nie osłabnie. Na razie Stilgar miał zadanie do wykonania.

Dziwięciu ocalałych szlachciców, którzy przyłączyli się do wznieconego przez Thorvalda powstania, przesłało na kresowe światy wyzywające oświadczenia. Thorvald zwołał spotkanie przywódców opozycji i dostarczył im zaszyfrowane współrzędne miejsca.

Paul miał autentycznie smutną minę, kiedy wysyłał Stilgara i specjalne zgrupowanie uderzeniowe na Jerichę.

— Wszyscy inni w Imperium muszą udowodnić, że są wobec mnie lojalni, Stil, ale nie ty i nie Gurney Halleck — powiedział.

Do tego ważnego zadania Stilgar wybrał swoich najlepszych tremeńskich wojowników, włącznie z Eliaszem, jednym z najdzielniejszych komandosów śmierci Muad’Diba. Jednak większość jego armii stanowili Kaladańscy wyszkoleni i przysłani przez Hallecka. Jericha obfitowała w wodę, więc po niepokojących stratach na mokradłach Beli Tegeuse Stilgar zażądał żołnierzy lepiej radzących sobie w środowisku, w którym mogli się znaleźć.

Droga do składu broni rebeliantów w górach była powolna i męcząca. Dzięki świetnemu taktycznemu posunięciu zwolennicy Thorvalda uzyskali i rozmieścili potężne dryfowe unieruchamiacze, niebezpieczny i drogi wytwór ixanskiej technologii dostępny tylko na czarnym rynku. Unieruchamiacze gasiły silniki niskolotów zwiadowczych i statków szturmowych. Ku swej konsternacji Stilgar przekonał się o tym, kiedy wysłał pierwszy oddział, by odszukał i zniszczył enklawę rebeliantów. Wszystkie statki pierwszej fali uderzeniowej rozbiły się o strome zbocza, zanim zdołały choćby raz strzelić.

Tak więc Stilgar zmuszony był zaplanować inny sposób dotarcia do przeciwnika. Skoro wobec unieruchamiaczy nie można było polegać na standardowych statkach powietrznych ani nawet na ornitopterach, postanowił skorzystać z bardziej tradycyjnego środka transportu. W małych wioskach w tundrze — których mieszkańcy entuzjastycznie przysięgli wierność Muad’Dibowi, gdy tylko zobaczyli jego przeważające siły — zdobyli ruk–jaki, mocne, kudłate i cuchnące zwierzęta juczne. Mogły one nieść ludzi i sprzęt i nie zwalniały (ani nie przyspieszały) kroku bez względu na ładunek. W imieniu Muad’Diba Stilgar zarekwirował całe stado oraz niezbędną uprząż, siodła, pasy i baty.

Na ruk–jakach jego oddział mógł pokonać zieloną dolinę ze strumieniem i dostać się przez nagie skały na wysoką przełęcz, podążając szlakiem, którego obrania przez Stilgara buntownicy w twierdzy Thorvalda nawet nie podejrzewali. Opierając się na raportach wywiadii, Stilgar nie miał wątpliwości, że jego Indzie zmiażdżą wroga. Nie potrafił tylko powiedzieć, kosztem życia ilu swoich ludzi to osiągnie.

Zostawiając prawie opustoszałe wioski w tundrze, po tym jak ich mieszkańcy udzielili im pomocy, ludzie Stilgara wyruszyli na poszukiwanie składu broni. Ruk–jaki były głupimi, krnąbrnymi zwierzętami, a ich zmierzwiona sierść schronieniem dla kłuszących owadów, które najwyraźniej przedkładały ludzką krew nad zwierzęcą. Niektóre były uparte i złośliwe i często tak głośno dawały wyraz swojemu niezadowolaniu, że Stilgar wątpił, iż uda mu się niepostrzeżenie dotrzeć do celu.

Po całodziennym mozolnym wspinaczce po stromych zboczach dotarli w końcu do drugiej doliny, która ciągnęła się jeszcze wyżej, między granie. Górski potok, który zbierał kilka dopływów, był szeroki i głęboki, wezbrany po wiosennych roztopach.

— Nie jestem pewien, czy uda nam się przepawić — powiedział Burbage, najwyższy rangą wśród kaladańskich żołnierzy, podoficer. — Normalnie nie polecałbym przepawy jeszcze przez miesiąc czy dwa, dopóki woda nie opadnie. To nieodpowiednia pora.

— Muad'Dib nie może się orientować w następstwie pór roku na wszystkich planetach Imperium — odparł Stilgar. — Przysłał nas tutaj, byśmy zniszczyli gniazdo żmij. Chciałbyś mu powiedzieć, że musi poczekać?

Burbage wydawał się bardziej skonsternowany niż przestraszony. Dotknął długiej, cienkiej blizny na twarzy.

— To pozostałość rany, której doznałem, walcząc po stronie księcia Leto podczas wojny asasynów. Stawiałem wówczas czoło szarżującym ogierom wicehrabiego Moritaniego. Wykonywałem rozkazy Atrydów na długo przed tym, jak panicz Paul stał się człowiekiem, którego nazywacie Muad'Dibem. Znajdę drogę.

Kaladańczyk pogonił swoje zwierzę, żeby podeszło do brzegu strumienia, który był teraz rzeką. Prąd był zwodniczo wolny, jedynie tu i ówdzie na powierzchni rozchodziły się wachlarzowato zmarszczki. Mimo to Stilgar słyszał głuchy szmer żywiołu ocierającego się o nabrzeżne skały.

— Głęboka i zimna — stwierdził Burbage i podniósł głos, zwracając się do kaladańskich żołnierzy: — Ale umiem pływać i nie przeszkadza mi to. Przepawiamy się?

Jego ludzie przyjęli te słowa aplauzem, a ich pewność siebie dodała Stilgarowi otuchy.

Ruk-jak Burbagea wskoczył z pluskiem do wody. Pozostali kaladańscy jeźdźcy poszli za przykładem dowódcy, wydając radosne okrzyki, jak gdyby przyłączali się do zabawy. W ciągu paru chwil w głębokim i szerokim strumieniu znalazły się dziesiątki zwierząt. Początkowo brodziły, idąc pod prąd, ale szybko straciły grunt pod nogami i zaczęły płynąć.

Stilgara i jego Fremenów porwał nurt i zaczął znosić w dół doliny. Kiedy byli w połowie przepawy, znaleźli się przy śliskich, pokrytych algami skałach tuż pod powierzchnią, gdzie spokojnie płynąca woda zamieniała się w kipiel.

Część Kaladańczyków przedostała się na drugą stronę, inni spadli ze swoich zwierząt i byli przemoknięci. Brnęli ze śmiechem do brzegu, wciągając w dzikich harcach do wody tych, którzy już się przepawili. Ci żołnierze wychowali się nad wodą i nauczyli się pływać równie dobrze jak chodzić.

Tymczasem Stilgara silny i szybki nurt przejmował lękiem. Elias ześliznął się z ruk-jaka i mimo iż rozpaczliwie młócił rękami, prąd zniósł go na sterczące tuż pod powierzchnią głazy. Uczepił się ich i wzywał pomocy, zamiast spróbować dostać się na drugi brzeg.

Burbage krzyknął, żeby przygotować liny i wyciągnąć Fremena. Stilgar próbował zbliżyć się do Eliasa, by mu pomóc, ale jego wierzgający ruk-jak pośliznął się i poszedł pod wodę, a naib wraz z nim. Chciał wezwać kogoś na pomoc, ale zachłysnął się wodą. Zaczął kaszleć i krztusić się. Ciężki plecak ciągnął go na dno.

Ruk-jak starał się zrzucić jeźdźca i juki. Najpierw spadły toboły, które uniósł prąd. Stilgar nie zdołał niczego złapać, nie mógł nawet utrzymać się w siodle. Nagle znalazł się obok zwierzęcia, w przesiąkniętym i ciężkim ubraniu. Czuł, jak wokół piersi zaciska mu się zimna obręcz. Szedł na dno, nadal krztusząc się i kaszląc. Odkąd się zachłysnął, nie udało mu się zaczerpnąć powietrza. Strumień był tak głęboki i tak lodowaty.

Zobaczył nad sobą światło i rozpaczliwie usiłował popłynąć ku niemu, ale coś chwyciło go mocno za ramię, jak szpony podwodnego potwora. Gałąź. Zaczepił się o nią tak, że nie mógł się wydostać na powierzchnię. Rozpaczliwie potrzebował powietrza. Walcząc o nie, zapomniał wszystko, czego Gurney Halleck nauczył go o pływaniu. Poczuł, jak coś rozdziera mu skórę. Pasek plecaka, który zahaczył o znajdującą się pod wodą kłodę.

Musiał zaczerpnąć tchu. Straszny uścisk miażdżył mu płuca. Pociemniało mu w oczach. Musiał zaczerpnąć tchu. Nie mogąc już tego znieść, wyciągnął ręce do słońca nad głową i próbował się uwolnić, ale w końcu otworzył usta, żeby się nie udusić.

Jednak zamiast powietrza wciągnął zimny płyn i wszystko zasnęła czerń.

Ocknął się, wymiotując mającą posmak żółci wodą. Na jego brzuch naciskał mocno Burbage, usuwając siłą płyn z płuc.



Stał nad nim z bardzo zmartwioną miną poobijany i przemoczony Elias. Kiedy naib wziął w końcu kilka wdechów, jego towarzysz powiedział:

— On będzie jak Enno, Fremen, który zginął od nadmiaru wody i powrócił do życia.

— Dzisiaj nie utonie żaden żołnierz — rzekł Burbage, kiwnąwszy głową.

Stilgar próbował powiedzieć, że nic mu nie będzie, ale znowu wymiotował, przekręcił się na brzuch i ponownie wypluł wodę. Drżały mu ręce i nogi. Brakowało mu słów, by wyjaśnić, co zobaczył w świetle i w wodzie. Zapamiętał, co ujrzał w czeluściach śmierci, ale obraz ten szybko się zamazywał. Zaczynało go ogarniać ciepłe, mrowiące zdumienie.

Burbage wysłał już ludzi w górę i w dół strumienia, by odzyskali tyle plecaków, ile się da. Siedemnaście ruk-jaków utonęło, a pozostałe, mokre i oszołomione, kręciły się na obu brzegach.

— Będzie nam brakowało broni i zaopatrzenia. Musimy się pospieszyć, żeby się dostać do tego składu — powiedział Burbage. — W przeciwnym razie skończą nam się żywność i opał, zanim tam dotrzemy. Miejmy nadzieję, że przywódcy rebeliantów są dobrze zaopatrzeni.

Stilgar podniósł się. Słońce wydawało mu się jaśniejsze, a wysychająca na skórze woda i wstrętny smak w ustach mów iły mu, że żyje. Wiedział, że był o krok od śmierci i że gdyby ci ludzie go nie wyciągnęli, byłoby już po nim. To, że wciąż żył, było boskim zrządzeniem. Miał jeszcze przed sobą pracę dla Muad'Diba.

Nadal nieco zdezorientowany, przypomniał sobie, jak po raz pierwszy składał przysięgę wierności młodzieńcowi, który w końcu został przywódcą Fremenów i władcą całego Imperium. Było to w dużej sali, pełnej krzyczących i wiwatujących Fremenów... Wyciągnął krysnóż, zwracając go czubkiem w stronę tłumu.

Jaskinię zalał ryk wielu osób skandujących: „*Ja hja chauhada! Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib! Ja hja chauhada!*”

„*Niech żyją wojownicy Muad'Diba!*”

Paul wziął jego krysnóż, kazał mu klęknąć i powtarzać:

„*Ja, Stilgar, przyjmuję ten nóż z rąk mojego księcia. Poświęcam to ostrze życiu mego księcia, a śmierci jego wrogów, dopóki w naszych żyłach płynie krew*”.

I popłynęło dużo krwi.

Ale teraz, kiedy był o włos od utonięcia, Stilgar doznał olśnienia, może nawet objawienia. Widział na własne oczy zielone lasy i bagna. Widział morze i rwące rzeki. Niedługo znajdzie się w pokrytych śniegiem górach. Jednak Muad'Dib omal nie stracił przez przypadek swego sługi. Naib wiedział, gdzie jest jego miejsce.

Fremen poza pustynią był wyrwany ze swojego żywiołu. Stilgar musiał służyć Muad'Dibowi na Di-unie. Został mianowany gubernatorem Arrakis i Muad'Dib zaproponował mu stanowisko ministra. Jego miejscem nie było już pole bitwy. Teraz to wiedział. Bardziej przyda się w Arrakin, podczas politycznych potyczek.

Po wykonaniu zadania wróci do Muad'Diba... i znajdzie sposób, żeby pozostać z nim na Arrakis.



— Chociaż jestem mała, mogę cię pobić. — Marie uśmiechnęła się do Thalla. — Ich mogłem przekonać, że jesteś doskonała, ale ja wiem, że masz słabe punkty.

Ugięła nogi i przyjęła pozycję do walki, przez co wydawała się jeszcze mniejsza. Mniej groźna i zwodniczo łagodna. Podobnie jak jej rywal na trawiastym boisku, była w zakrywającym całe ciało foliowym kostiumie i boso.

— Wyglądasz jak nieszkodliwe dziecko — odparł — ale nie popełnię już błędu i nie zlekceważę cię.

Było wczesne, zimne popołudnie, wiatr znad zanieczyszczonego jeziora w Thalidei uginał wierzchołki drzew. Tleilaxanie włożyli ciepłe kapelusze. Pomimo iluzji wolności instruktorzy Thalla i obserwatorzy zawsze byli w pobliżu. Przyglądało im się z przeciwległych stron boiska dwóch techników laboratoryjnych, dyktując uwagi do lśniących w słońcu kamer z mikrofonami w klapach kurtek.

Thallo, pewny siebie, górował jak posąg nad Marie. Poruszał się tylko na tyle, by nie stracić jej z oczu, gdy go okrążała.

— Posiniaczyłaś mnie wczoraj — powiedział — ale to się już nie powtórzy.

— Ucieszyłeś się z tych sińców. — Wymierzyła mu wtedy kilka silnych kopniaków w łydki i Thallo pokuśtykał do budynku laboratorium, nie będąc w stanie ukryć bólu. Natychmiast podbiegli do niego technicy, by założyć przyspieszające gojenie plastry, ale doktor Ereboam uparł się, że sam się nim zajmie, i przegonił wszystkich — włącznie z Marie — nim zdjął z niego beżowy kostium foliowy.

Marie domyśliła się prawdy: Ereboam znał skłonność Thalla do samookaleczania się i starannie ukrywał ten takt przed swoimi kolegami, więc nie mógł pozwolić, by ktokolwiek zobaczył świeże stupy i stare blizny. Dziewczynka zastanawiała się, jak często tajemniczy i skryci Tleilaxanie okłamują się wzajemnie.

Tego dnia ograniczony zakres ruchów Thalla świadczył o tym, że nogi nadal go bołą. Mimo to niespodziewanie skoczył na nią, wyprowadzając cios wyprostowanymi palcami, ale szybko się odsunęła i jego ręka minęła ją o centymetry. Nie poczuła nawet podmuchu powietrza.

Dzięki urozmaiconemu, intensywnemu treningowi Marie uważała, że jest zbyt trudnym przeciwnikiem dla tego nieprzystosowanego tworu Tleilaxan. Mimo to nadal bawiła się — i walczyła — z nim, pilnie go obserwując i stale się ucząc, a Thallo uczył się od niej.

Byliby znakomitym zespołem bojowym.

Wykorzystując metody percepcji, których nauczyła ją matka, Marie zaczęła rozumieć Thalla. Miał wyjątkowe umiejętności walki i bogatą wiedzę encyklopedyczną, ale Tleilaxanie traktowali go jako okaz, cenny obiekt eksperymentalny, dziecko. Czasami dla zabawy grał rolę dziecka. Wybuchy aktywności i gry były dla niego jedynie przerywnikami, po których często popadał w depresję, jakby osuwał się w czarną otchłań. Teraz też się w niej pograżał, widziała to.

Wymierzyła stwardniałą stopą kopnięcie w jego gołe nóżki. Zrobił unik i cofnął się. Pomimo wysiłków nie udało jej się ani razu go dotknąć, i to nawet wtedy, kiedy była pewna, że ciosy go dosięgnęły.

— Musisz się bardziej postarać! — zadrwił z niej Thallo. Wydawało się, że jego głos dochodzi ze wszystkich stron, jakby niósł go powiew wiatru wokół niej. Czyżby robił to, żeby odwrócić jej uwagę?

Marie wykonała serię przewrotów, śmigając obok niego, i zaszła go od tyłu. Kiedy odwrócił się do niej twarzą, wylądowała na rękach i skoczyła na niego całym swym drobnym ciałem. Bene Gesserit dowiodły skuteczności tej techniki zwanej uderzeniem pocisku. Walnęła go w środek brzucha... i wylądowała oszołomiona na trawie, przeleciawszy przez jego ciało.

Thallo śmiał się z jej zdumienia.

— Jestem dla ciebie za szybki! — Jego usta się poruszały, ale głos znowu dochodził z niewłaściwej strony. — Jestem Kwisatz Haderach. Mogę zrobić wszystko.

Marie otrzepała się i zerknęła na obserwatorów, których miny świadczyły o konsternacji.

— Jak to zrobiłeś? — zapytała cicho.

Jego twarz pozostała chłodna jak porcelanowa maska.

— Czy magik zdradza sekrety swoich sztuczek? — odparł.

— Najlepszej przyjaciółce zdradziłby.

— Przyjaciele. — Miał zakłopotaną minę. — Nie mogę powiedzieć ci tutaj — szepnął.

Stał jak posąg, zadumany, zgłębiając swoje wnętrze. Co myślał? Czy przeprowadzał mentackie kalkulacje? Jego twarz była teraz — co dla niego nietypowe — bez wyrazu i chociaż patrzył na Marie, zdawało się, że jej nie widzi. A potem drgnęła, jakby przez jego psychikę przepływały jakieś prądy. Marie zauważyła, jak cicho zrobiło się na boisku. Obserwatorzy po drugiej stronie niebieskawego trawnika wstrzymywali oddech.

— Chodź ze mną. — Przyjąwszy nagle dziecienną osobowość, Thallo krzyknął: — Bawimy się w chowanego!

Po tych słowach pomknął jak strzała. Biegąc za nim, Marie słyszała, że technicy laboratoryjni starają się dotrzymać im kroku i wzywają innych. Spostrzegła, że do akcji włączył się strażnik, pędząc ku nim z prawej strony.

Dzięki długim, muskularnym nogom i sportowym zdolnościom Thallo bez trudu wysforował się przed strażnika i techników. Marie trzymała się tuż za nim, kiedy zbiegli po krótkim zboczach i wpadli do porośniętego mchem tunelu pod kładką dla pieszych.

W cieniu Thallo dał susa w prawo i zniknął jej z oczu. Skoczyła do kolejnego tunelu, ale ku swojemu zdumieniu usłyszała jego głos z tyłu:

— Nie tędy! Tutaj, szybko!

Zdezorientowana, odwróciła się i zobaczyła go w słabym świetle, w wejściu do innego tunelu. Ziemia pod Thalidei była podziurawiona nimi jak sito, ale Thallo nie mógł przecież poruszać się tak szybko.

— Jak się tam dostałeś? — zapytała.

— Znowu magia. — A potem Thallo dodał szeptem: — Tam, na górze, to był po prostu zaawansowany obraz holograficzny. Przyswoiłem sobie ich technologię i wykorzystuję ją lepiej, niż potrafią sami Tleilaxanie. To dlatego nie mogłaś mnie dotknąć. Cały czas czekałem tutaj.

W drugim końcu tunelu błysnęło światło i wcisnęli się tam strażnicy, próbując ze złością ich odnaleźć. Nie domyślali się, co Thallo zrobił z ich systemami.

— Mogę przechytryć każdy z ich systemów zabezpieczeń i podglądu — ciągnął chłopak z podnieceniem. — Tym razem dam im się złapać, ale tylko dlatego, że nie jestem jeszcze gotowy.

— Do czego?

— Nie mamy dużo czasu. Będąc tak bliski doskonałości, wyraźnie widzę, ile mi brakuje. Doktor Ereboam wie, że nie jestem nieskazitelny Kwisatz Haderach. Gdy tylko zdadzą sobie z tego sprawę inni mistrzowie, zakończą ten eksperyment. Będzie to też koniec doktora Ereboama. A potem spróbują jeszcze raz.

Z różnych stron w ciemnych tunelach pojawili się z krzykiem i lampami ci, którzy ich szukali. Przybrawszy znowu pokorną minę niedojrzałego młokosa, Thallo wyszedł im naprzeciw z rękami podniesionymi w udawanym geście poddania.

Tego wieczoru Thallo zablokował system bezpieczeństwa, a potem użył tej samej sztuczki z Marie, zostawiając w łózkach ich obrazy holograficzne. Chociaż dziewczynkę niepokoiło to, że musi się prześlizgnąć obok niczego niepodważających rodziców, stwierdziła, że jest to mądra inwestycja, bo dowie się dzięki temu, co zamierza zrobić jej rzekomy przyjaciel.

„Informacja jest najlepszym środkiem obrony” — pomyślała. Zanim zwierzy się matce i ojcu, musi zrozumieć, na czym polega gra Thalla.

W bezksiężycową noc para towarzyszy zabaw wysliznęła się do pogrążonej we śnie Thalidei. Znaleźli sobie miejsce w szkielecie opuszczonego budynku na brzegu cuchnącego jeziora i przegadali większość nocy. Kiedy patrzyli za siebie na mrugające światła miasta, Marie nadal starała się zrozumieć młodzieńca, a może nawet — zgodnie z tym, czego nauczyli ją rodzice — ukształtować jego psychikę z nadzieją, że uda jej się wzbudzić w nim lojalność wobec niej zamiast lojalności wobec Tleilaxan.

Ten kandydat na Kwisatz Haderach miał większy potencjał, niż początkowo myślała. Może naprawdę, jak twierdził, potrafił zajrzeć w nieprzeniknioną przyszłość i wiedział, że skazany jest na porażkę. Ale jeśli tak było, to w odniesieniu do niej był ślepy i miał słaby punkt, który zamierzała wykorzystać. Thallo chciał się wymknąć ze szponów Tleilaxan i Marie pomoże mu w tym.

*Zagrozenie jest stałym elementem mojego życia, ale wskazanie jakiegoś konkretnego niebezpieczeństwa można by porównać do próby wyodrębnienia jednego trzasku z zakłóceń, w których ginie odbierany sygnał.*

— I tom *Życia Muad’Diba* pióra księżnej Irulany

Ceremonię wielkiego hołdu zaplanowano jeszcze staranniej i z większą dbałością o szczegóły niż jakiegokolwiek uderzenie podczas dżihadu. Kiedy nie przebywała z Rugią, Irulana doglądała przygotowań, doradzając czasami to i owo. Całą ogromną twierdzę udekorowała armia ochotników, których umyto i ubrano w nowe uniformy dworskiej służby. Na wychodzących na północ skalnych urwiskach zawieszono wielkie flagi.

Mieszkańcy Arrakin, od żebraków przez kupców do strażników miejskich, ubiegali się o możliwość wykonania najprostszych nawet prac fizycznych, by móc kiedyś powiedzieć, że i oni brali udział w tym wielkopomnym wydarzeniu. Doszło nawet do walk na noże między osobami starającymi się o ograniczoną liczbę miejsc dla służby.

Jeszcze bardziej wzmocniono ochronę Paula. Przed dopuszczeniem do udziału w ceremonii wszystkich przedstawicieli Landsraadu powtórnie przesłuchano, by wyeliminować potencjalne zagrożenia. I faktycznie, fedajkini Paula odkryli dwie nieudolne próby przemycenia broni do Niebiańskiej Sali Posłuchań. Niedoszli zabójcy nie wzięli pod uwagę wielkości pomieszczenia, w którym miał ich wszystkich przyjąć Muad’Dib. Ich broń nie miała dostatecznego zasięgu, by pociski doleciały do Imperatora, chyba że posadzono by ich w pierwszych rzędach, lecz żaden z podejrzanych szlachciców nie był na tyle ważną osobistością, by znaleźć się w innym miejscu niż z tyłu sali. Teraz, zamiast uczestniczyć w ceremonii, czekali w głębokich kamiennych lochach na dalsze przesłuchanie.

Irulana zadbała o to, by jej siostra Rugia dostała jedno z miejsc dla najznakomitszych gości, w pierwszym rzędzie, przed inkrustowanym kamiennym podium. Imperator Muad’Dib miał siedzieć na nowym tronie z elakki, zrobionym specjalnie na tę okazję. Powiedział, że ten gatunek drewna przypomina mu wojnę asasynów sprzed lat.

Paul kazał ustawić dwa mniejsze krzesła po obu stronach tronu, jedno dla Irulany, która była żoną tylko z nazwy, drugie dla Chani, wybranki jego serca. Stopień niżej, z przodu, stało dziecinne, lecz równie ozdobne krzesło dla Alii. Muad’Diba otaczały trzy wyjątkowo potężne kobiety.

Paul wydał pozornie absurdalny rozkaz, by ze względów bezpieczeństwa nikt w ogromnej sali nie miał tarczy osobistej. Już od wieków strach przed niszczycielskimi skutkami interakcji między rusznicą laserową i tarczą był kamieniem węgielnym wszystkich form prowadzenia wojen. Nikt nie złamałby tych zasad, wiedząc, że wybuch zabiłby nie tylko cel, ale również atakującego, i spowodował niewyobrażalne straty wśród osób postronnych.

Ale emocje, fanatyzm i nienawiść wywołane przez jego dżihad usunęły wiele z tych zakazów. Strzeliwszy ze sprytnie ukrytej — nawet małej — rusznicy laserowej do osoby w tarczy, jeden zamachowiec mógłby obrócić w pył cały ogromny pałac Muad’Diba wraz z nim i jego rodziną oraz dużą część Arrakin. Akt niewyobrażalnej kiedyś przemocy był teraz zupełnie realny. Podczas ceremonii hołdu nie będzie więc żadnych tarcz osobistych.

Niebiańska Sala Posłuchań była ogromnym, sklepionym pomieszczeniem — szczytem myśli architektonicznej i ostentacji. Wychowana w pałacu Imperatora na Kaitainie, Irulana nie sądziła, że ten rozmach wywrze na niej wrażenie, ale to, co zobaczyła, nawet jej nie mieściło się w głowie. Każdy, poczynając od najbiedniejszego grabarza, a na najbogatszym monarsze, władcy podbitego świata kończąc, czuł się tam drobnym pyłkiem. Tak, dzieło Whitmore’a Bludda przekraczało wszelkie oczekiwania.

Paul zamierzał w trakcie ceremonii pochwalić przed tymi wszystkimi ludźmi mistrza miecza, który stał się architektem, chociaż Bludd, nieco zakłopotany, twierdził, że jego dzieło przemawia lepiej niż jakiegokolwiek słowa.

— Jak mógłbym wymagać zachwyty zebranych, skoro cieszę się twoim uznaniem i mogę się pochwalić tą wspaniałą twierdzą? — powiedział. Mimo to widać było, że pławi się w blasku podziwu.

Ściany wokół tronu z elakki składały się z powtarzających się jak w kalejdoskopie łuków wielkości przegródek na listy, umieszczonych naprzemiennie z małymi witrażowymi oknami przeróżnych geometrycznych kształtów. Irulana wiedziała, że zaprojektowano to tak, by ukryć kamery monitorujące

i czujniki. Bludd otaczał swoje dzieło wielką tajemnicą, niczym dziecko pracujące z zapalem nad szczególnym projektem. Siedział teraz na honorowym miejscu w pierwszym rzędzie, tuż poniżej Irulany, w tak olśniewającym stroju, że przypominał jej pawie, które puszyły się niegdyś w pałacowych ogrodach na Kaitainie. Miał swój cienki rapier i szeroki uśmiech.

Siedzący obok Korba wydawał się pogrążony w modlitwie. Stanowczo sprzeciwił się uznaniu jego wkładu w to dzieło. Nie chciał, by z pałacem kojarzono kogokolwiek oprócz Muad'Diba.

Kiedy w końcu zaczęła się ceremonia, Irulana czuła się mała i przytłoczona widokiem setek przedstawicieli szlacheckich rodów, którzy odpowiedzieli na wezwanie Muad'Diba, oraz niezliczonych tysięcy wiernych, którzy napłynęli do ogromnej twierdzy. Gdy urzędnicy Muad'Diba odnotują nazwiska wszystkich ambasadorów i porównają je z listą oczekiwanych gości, Imperator będzie wiedział, kto nie posłuchał rozkazu. I zaczną się operacje karne.

Tłum ucichł, a Irulana spojrzała na Rugię czekającą w morzu innych przed tronem. Przebywając z Irulaną na Arrakis, Rugia zaczęła rozkwitać. Każdego dnia wzrastała jej pewność siebie. Mimo to Irulana zdziwiła się, że po raz pierwszy za jej pamięci młodsza siostra jest piękna. We wspaniałym stroju rodowym okryła się dumą jak szatą. Lękliwość i nieśmiałość, które przejawiała po przylocie, zniknęły bez śladu. Zachowanie Rugii świadczyło o tym, że jest córką Imperatora.

Irulana zerknęła na Chani. Zauważyła, jak spokojna i piękna jest Fremenka. Wychowana w świecie polityki, księżna gotowa była pogodzić się z rzeczywistością. Wiedziała, że Paul wybrał ją po to tylko, by zalegitymizować swoje rządy, a łożę dzielił ze swą pustynną konkubiną. Oczywiście Muad'Dib mógł mieć wszystko. Nikt nie ośmieliłby się zwrócić mu uwagi, gdyby wziął sobie dwie żony albo tuzin kochanek. Irulana nie dbała o to, czy całą miłością obdarzy tę Fremenkę, ale Chani, jak wilczyca, nie miała ochoty dzielić się z iiv ną swoim mężczyzną.

Dzięki architekturze dźwięki z sali były tłumione. Ściany wokół wielkiego tronu i w całym pomieszczeniu wykonano z materiałów, które pochłaniały szmer tłumu.

Kiedy Paul wstał, zebrani umilkli, jakby odjęło im mowę.

— Po wojnie nastaje pokój. — Jego głos wzmocniły setki przemyślnie rozmieszczonych głośników. — Przybyło ponad ośmiuset przedstawicieli wraz ze świtami, by mi się pokłonić i ponieść sztandar Muad'Diba. Moje zwycięstwo jest nieuniknione... i wołałbym to dokończyć bez rozlewu krwi. — Przerwał, a widzowie zachowali milczenie, wpatrując się w jego usta.

W chwili ciszy Irulana usłyszała złowrogi szum. Dotarł on również do uszu Chani, która obróciła się, próbując ustalić źródło tego dźwięku. Irulana dostrzegła kątem oka ruch i zdała sobie sprawę, że zaczynają się otwierać dziesiątki przegródek w sklepieniu. Z małych, czarnych otworów dobiegało brzęczenie. Mistrz miecza Bludd poderwał się już na nogi i krzyknął ostrzegawczo.

Do sali wleciały niczym rój rozwścieczonych os groty-gończaki.

Bucząc na małych polach dryfowych, grot–gończaki buszowały jak drapieżne węgorze. Kiedy namierzyły cele, przyspieszyły. Były to cylindry długości dłoni, z zatrutymi igłami na czubkach.

Zdjęty lodowatym przerażeniem, Paul uświadomił sobie, że widział to już we śnie — wielu małych napastników, niezliczone kłujące igły, tysiąc bolesnych śmierci. Jego wizje były często dezorientujące, rzadko dosłowne. A teraz przypomniał sobie jeszcze jeden niedawny sen, który zaskoczył jak zapadka w skomplikowanym zamku: wyraźny widok szczegółowo oddanych rzeźbionych przedstawień na ścianach sali audiencyjnej stopił się nagle z drewnianą rybą wyskakującą z drewnianych fal... a obraz ten stał się tak ostry, że Paul wiedział już, gdzie go widział — na wezglówiu swego łóżka w arrakińskiej rezydencji.

Na wezglówiu, które opadło i zza którego wyłonił się pierwszy grot–gończak. To właśnie mówił jego sen, ale nie udało mu się go właściwie zinterpretować. W każdym razie nie w porę.

Naliczył co najmniej tuzin pocisków i natychmiast zorientował się, że jest to zmodyfikowana wersja nielegalnie produkowanego ixańskiego modelu, z układem samonaprowadzania i programem likwidacji celu uruchamianym przez podstawowe bodźce. Chociaż działały na tych samych ogólnych zasadach, wyglądały inaczej niż ten, który wyłonił się zza wezglowia łóżka. Tamten był zwykłym kawałkiem metalu, te były bardziej złożone, chociaż ich prymitywne oprogramowanie namierzało wszystkie żywe istoty, a nie konkretne jednostki. Ale kaladański rekin smoczy też był prymitywny, a mimo to niezwykle groźny.

Dochodzące jak przez mgłę odgłosy złowieszczych ruchów, krzykliwe stroje osób zebranych w sali, wspaniała uroczystość — wszystko to ułożyło się w umyśle Paula w straszne *deja vu*: dzień ślubu jego ojca, latające dyski o ostrych jak brzytwa krawędziach, mistrz miecza Dinari i jego bohaterska śmierć, okaleczony arcyksiążę Armand. Ilesa, taka piękna w ślubnej sukni... a potem pokryta krwią.

„Chani!” Ta myśl zelektryzowała go. Nie mógł pozwolić, by wydarzyło się to ponownie.

Cztery grot–gończaki wystrzeliły razem w stronę tronu. Szybkim, desperackim ruchem zmusił Chani, by przywarła do podłogi, mimo iż przyjęła pozycję do walki.

— Nie podnoś się! — krzyknął i pchnął Irulanę w bok.

Schowała się pod swoim przewróconym krzesłem, natomiast Alia zbiegła susami po schodach.

Pierwszy grot–gończak wbił igłę w środek tronu, na którym zaledwie parę sekund wcześniej siedział Paul.

Reagując bez wahania, z bocznych naw wypadli fedajkini, by własnymi ciałami chronić Muad'Diba. Bludd wskoczył na podium i zbijał rapierem wirujące pociski.

Ale i Paul chciał je powstrzymać. Nadlatywały tak szybko, że nie mógł uniknąć kilku naraz. Jeden przemknął ze świstem pod jego pachą. Uchylił się gwałtownie w lewo, by nie dosięgło go żądło. Dwóch tedajkinów zagrodziło drogę następnym, przechwytyjąc je własną piersią. Leżeli teraz, zwijając się z bólu pod wpływem trucizny z igieł. Za parę chwil będą martwi.

Paniczne zachowania i mnóstwo osób w okolicach tronu utrudniały pociskom znalezienie celów. Wystrzelono ich co najmniej dwadzieścia i wiele z nich utkwilo już w ciałach ofiar.

Rapier Bludda strącił z metalicznym brzękiem przypominającym dźwięk kamertonu jeden z grotów–gończaków. Mistrz miecza stał przed Irulaną, która kulila się pod przewróconym krzesłem. Nadleciał kolejny pocisk, a Bludd unieszkodliwił go szybkimi jak mgnienie oka cięciami cienkiej klingi.

Nie rozumiejąc natury zagrożenia, przerażona publiczność zaczęła uciekać z Niebiańskiej Sali Posłuchań. Ci, którym przypadły miejsca w pierwszych rzędach, puścili się co sił w nogach, przedzierając się przez ciżbę w ogromnym pomieszczeniu.

Z ozdobnych otworów wyleciały następne grot–gończaki, a ich lala zbliżała się do Paula. Chani leżała sztywno na podłodze, wiedząc, że każdy ruch przyciągnie szukające ofiar pociski. Kiedy jednak został trafiony stojący w pobliżu fedajkin i padł obok niej, instynktownie przewróciła się na plecy, starając się mu pomóc.

Paul dostrzegł, że jeden z gończaków zmienia trajektorię lotu i kieruje się w stronę Chani, ale stał się nadnaturalnie wyczulony na wszystkie ruchy wokół siebie. Gwałtownie skoczył, by go złapać. Wiedząc, że utrudni mu to pole dryfowe, wściekle zacisnął wokół niego dłoń.

Poczuł bolesne, parzące ukłucie. Mentacka ocena podpowiedziała mu natychmiast, że cylindryczny trzon grot–gończaka ma pośrodku pierścien z krótkich, cienkich igieł, również nasączonych trucizną.

Chociaż ich śmiertelne końce wbiły mu się w dłoń, ścisnął pocisk jeszcze mocniej i roztrzaskał jego czubek o wypolerowany kamień podium.

Czuł już truciznę w swoim krwiobiegu, ale mógł ją zneutralizować. Dzięki opracowanym przez Bene Gesserit metodom kontroli komórkowej, które posiadał, zidentyfikował zabójcze związki chemiczne, określił ich toksyczność i zmienił molekuly. Trwało to tylko chwilę, ale nie miał nawet tyle czasu. W jego stronę pędziły następne grot-y-gończaki.

Teraz wszakże nie był już podatny na tę truciznę; jego organizm wytworzył antidotum. Poderwawszy się na nogi, chwycił następny grot-gończak, który zabręczał tuż przed jego twarzą. Zanim roztrzaskał go o podłogę, znowu poczuł ukłucia.

Obracając się, by znaleźć następny cel, Paul uświadomił sobie jednak, że drugi pocisk zawierał inną truciznę niż pierwszy. Była równie zabójcza, a zmiana jej składu chemicznego wymagała od niego nowego wysiłku. Każda z tych toksyn zabiłaby normalnego człowieka, więc Paul musiał się dodatkowo postarać i przeciwdziałać skutkom dwóch trucizn, nie jednej.

Nagle zrozumiał, że ktoś przygotował ten atak precyzyjnie, biorąc pod uwagę jego zdolności. Musiał być to zatem ktoś, kto dobrze znał szczególne umiejętności Imperatora.

Tajemniczy przeciwnik nie zlekceważył Paula Muad'Diba Atrydy. Do próby zabicia go doszło, kiedy był z tymi, których kochał, co zmusiło go nie tylko do walki o własne życie, ale również do chronienia ich wszystkich. Znalazł się w obliczu zagrożenia tak chytrze i pokrętnie obmyślonego jak te, wobec których stawał podczas treningów z Duncanem Idaho i Thufirem Hawatem w dzieciństwie. Gdyby nie pomoc Bludda, Irulana na pewno by już nie żyła.

Paul wirował jak derwisz, chwytając gończaki, zderzając je ze sobą, zbijając na podłogę, podskakując z wyciągniętymi rękami, by je złapać, zanim trafią Chani, Irulanę, Alię czy nawet Bludda. Jego tron najezony był zbłąkanymi grotami-gończakami, a każdy pocisk, który złapał, zawierał inną truciznę. To wszystko stawało się coraz bardziej złożone.

Był wyczerpany, jego ciało domagało się odpoczynku po wysiłku włożonym w walkę i unieszkodliwianie toksyn.

W powietrzu brzęczało teraz więcej grotów-gończaków, niż mógł zatrzymać, może nawet sto. Otrzymał wiele trafień w dłonie, ramiona i pierś. Ledwie był w stanie się skupić, zmuszony poświęcić większość energii na przeciwdziałanie gromadzącym się w krwiobiegu niebezpiecznym związkom. Na podium i widowni leżały stosy ciał. Tłum wrzeszczał wniebogłosy.

Z głębi sali, działając znowu jako fedajkin, a nie kapłan, Korba wydawał rykiem rozkazy. Poleciał żołnierzom strzelać do kasetonów na suficie, by zapobiec napływowi kolejnej fali pocisków. Ktoś — Bludd? — wcisnął na Paula tarczę osobistą i włączył ją; pole wyhamuje grot-y i łatwiej będzie je chwycić. Bludd włączył też swoją tarczę — najwyraźniej przyniósł ją wbrew wyraźnemu zakazowi Paula. W tej chwili wyglądało to nie na niesubordynację, lecz na niezwykle przecucie.

Ludzie Korby, także w tarczach, brodzili wśród ciał, usuwając pałkami, fragmentami tkanin i dłońmi w rękawiczkach grot-y-gończaki. Ponad połowa z nich zginęła, ale mimo to ich towarzysze kontynuowali wysiłki.

Chociaż trudno mu się było skoncentrować, Paul spostrzegł w końcu, że zagrożenie się zmniejsza, mógł więc włożyć więcej energii w powstrzymanie przetaczających się przez jego organizm fal trucizny. Odzyskawszy wreszcie świadomość, stwierdził, że leży obok podnóżka tronu. Ciężko oddychając, zdał sobie sprawę, że atak ustał.

Czy na pewno? Wyczuwał coś jeszcze, kolejne czające się niebezpieczeństwo, jak pulsowanie z tyłu głowy.

Podeszła do niego Chani. Wyglądała na wyczerpaną, ale oczy miała jasne, a skórę zaróżowioną. Chociaż jej ubranie było w strzępach, a włosy w nieładzie, nie została draśnięta.

— Usul, jesteś ranny! — krzyknęła.

— Będę żył. — Zaniepokojony, rozejrzał się po poboju. Większość ludzi ewakuowano z Niebiańskiej Sali Posłuchań, do której przeciskało się więcej strażników i personel medyczny. Ci z zebranych, których dopadły grot-y-gończaki, albo już nie żyli, albo konali, a wielu zostało rannych po wybuchu paniki.

Paul starał się uspokoić, ale nie mógł się pozbyć przecucia, że zagrożenie jeszcze nie minęło. Wszystkie grot-y zostały zneutralizowane, skąd więc brało się to wrażenie nadciągającego kolejnego niebezpieczeństwa?



Dzwoniło mu w głowie i trudno mu było jasno myśleć. Chociaż jego organizm unieszkodliwił toksyny, ich następstwa go wycieńczyły.

Chani usiadła obok niego i wzięła go w ramiona, dodając mu siły i otuchy. Nagle w jego umyśle, jak niespodziewany skok napięcia w sieci, rozległo się ostrzeżenie. Nie rozumiał tego, ale nie mógł zignorować. Nie kwestionował tego, co czuł.

Ostatkiem sił chwycił Chani i zaczął się odsuwać od tronu. W tej samej chwili zaskoczył ich mistrz miecza.

— Panie! Padnij! — krzyknął Bludd i pchnął ich tak mocno, że cała trójka stoczyła się z podwyższenia, na którym stał tron. Spadli na makabryczną poduszkę ciał rozsiansych wokół nich na podłodze.

Ułamek sekundy później pod tronem z elakki wybuchła mała bomba i przez podium przetoczyła się pulsująca ognista kula.



*W dążeniu do perfekcji kryje się arogancja. Gdy ktoś chce stworzyć doskonałe dzieło, a otrzymuje tylko niewolne od wad człowieczeństwo, spowodowane tym rozczarowanie rodzi złość i udowadnia, że ci, którzy do tego dążą, też są tylko ułomnymi ludźmi.*

— **Diunariusz Muad'Diba**

— Dzisiaj będziemy mieli nową rozrywkę. — Cichy głos Thalla drżał z podniecenia, kiedy chłopak spotkał się z Marie w jednym z wyznaczonych im pomieszczeń treningowych. Tleilaxańscy obserwatorzy uważali najwyraźniej spędzany przez tych dwoje wspólnie czas za konstruktywną „zabawę”, ale doktor Ereboam stawał się coraz bardziej nerwowy, widząc stres, w jakim żył jego kandydat na Kwisatz Haderach. Thallo coraz bardziej przypominał pustkę w ludzkim ciele i dawał niewiele odpowiedzi na pytania, które rodził.

— Jaką rozrywkę? — Marie rozejrzała się, ale nie zauważyła niczego niezwykłego w małym pokoju laboratoryjnym. Wzdłuż ścian stały symulatory interaktywnych gier i egzotyczne maszyny do ćwiczeń. Wiedziała, że za jedną z ciemnych, lustrzanych płytek kryją się zawsze obecni obserwatorzy. Chociaż miała rozpromienioną dziecięcą minę, była czujna i strzegła się tego, co może zrobić Thallo.

Ignorując obserwatorów za lustrami, wziął ją za rączkę i wyprowadził na korytarz.

— Chcę cię mieć przy sobie — powiedział. — To szczególny dzień. Długo na to czekałem.

Pomaszerował z nią w kierunku posterunku kontrolnego, gdzie siedziało dwóch czujnych Tleilaxan, ale kiedy Thallo i Marie zbliżyli się do nich, lawendowe światła skanera przygasły i wyłączyły się. Kandydat na Kwisatz Haderach i dziewczynka przeszli obok pozornie uważnych strażników z klasy średniej, którzy chyba w ogóle ich nie widzieli.

Przejawiana przez Thalla zdolność manipulowania tleilaxańską technologią i spostrzeżeniami strażników wydawała się niemal nadprzyrodzona.

— Mistrzowie wiążą ze mną tak wielkie nadzieje, ale mają najwyraźniej małe oczekiwania. Nie domyślają się nawet połowy moich umiejętności. — Jego doskonałe usta skrzywiły się w uśmiechu. — Jak można stworzyć Kwisatz Haderach i założyć, że będzie pasował do wąsko zakreślonych parametrów?

Minęli drugi posterunek, ale — tak jak poprzednio — nie zostali zauważeni. Przy wyjściu Thallo dotknął płytki identyfikacyjnej na ścianie i ciężkie drzwi uniosły się, umożliwiając im przejście. Zgiął rękę.

— Wiem o Thalidei dużo, dużo więcej, niż się kiedykolwiek domyślą — powiedział.

Nieufność Marie wzrosła, kiedy wśliznęli się do wysokiego pomieszczenia — najwyraźniej strefy, do której wstęp był zabroniony. Jej towarzysz zaniknął za nimi drzwi i wzmocnił je drugą, cięższą płytą.

— No to teraz jesteśmy zabarykadowani — powiedział Thallo. — Zabezpieczyliśmy się.

— Przed czym?

Wszystkimi zmysłami wyczuwała zagrożenie... ale ze strony Thalla.

— Zeby spokojnie wykonać nasze dzieło. — Jego zwykle opanowana twarz przybrała wyraz maniakalnej ekscytacji. — Dzięki prekognicji, którą obdarzyli mnie Tleilaxanie, wiem, że jestem skazany na klęskę. Jednak sposób, w jaki ją poniosę, jest pod moją kontrolą. A skoro mam ich zawieść, mogę to zrobić widowiskowo. — Dotknął swego przedramienia, gdzie przez ubranie zaczęła przesiąkać krew ze szczególnie głębokiego rozcięcia. — Najlepiej pamięta się bolesne lekcje.

Marie zobaczyła z zaskoczeniem, że w pomieszczeniu znajduje się dziewięć elektronicznie zamkniętych komór, a w każdej z nich trzymana jest identyczna na pierwszy rzut oka wersja Thalla. Wszyscy byli młodymi, muskularnymi mężczyznami o doskonałych kształtach.

— Poznaj moich braci — powiedział. — To moi zastępcy przygotowani przez mistrzów.

Identyczni Thallowie, uwięzieni w swoich celach jak w klatkach, patrzyli na nich błagalnie. Wyglądali na całkowicie świadomych swojej sytuacji; każdy czekał na swoją kolej.

— Widzisz, mają nadzieję, że zostaną odrzucony i oni będą następnymi. Wbrew temu, co twierdzi doktor Ereboam, Tleilaxanie są jeszcze dalecy od uzyskania swego nadczłowieka.

— Zamierzasz ich uwolnić?

Widząc dziewięć klonów, Marie zastanawiała się, ile wersji Thalla wypróbowano, po czym się ich pozbyto. Czy on też tkwił wcześniej w jednej z tych komór, patrzył błagalnie, liczył dni i czekał? Ilu kandydatów na Kwisatz Haderach uznano już za nieodpowiednich i zabito?

Poruszając się z kocią gracją, Thallo wskoczył na antresolę nad komorami. Marie poszła za jego przykładem. Nie okazywała dręczącego ją niepokoju i patrzyła na uwięzione klony, które gapiły się na nich, śledząc każdy ruch Thalla. Kandydat na Kwisatz Haderach stał przed skomplikowanym panelem sterowniczym. Miał nieobecny wzrok, jak gdyby te złożone przyrządy wprowadziły go w trans.

Marie stanęła obok niego, milcząca i skupiona.

— Przez całe życie — powiedział Thallo cichym, smutnym głosem — mistrzowie skanowali mi mózg, poddawali analizom chemicznym, wypaczali moje myśli, rejestrowali ruchy i słowa. — Na jego twarzy zastygł grymas, ale Marie już wcześniej widziała jego nagłe zmiany nastroju. Trzymał ręce nad panelem sterowniczym, jakby czuł ciepło unoszące się z obwodów.

Marie sprężyła się, gotowa do działania.

— Jestem kimś więcej niż klonem, kimś więcej niż gholą — powiedział — kimś dużo większym niż człowiek. Doktor Ereboam wtopił w mój mózg specyficzne wspomnienia molekularne z komórek historycznych postaci, które — jak sądzi — pomogą mi się stać ich wszechmocną marionetką. Wyczuwam, że jestem Gilbertusem Albanssem, który założył zakon mentatów. Jestem Joolem Norettem, największym mistrzem miecza w dziejach Ginaza. Jestem też następcą tronu Raphaellem Corrinem i tysiącami innych osób.

— Wolę Thalla jako towarzysza zabaw — odparła Marie celowo niedojrzałym głosem. — Wezwijmy doktora Ereboama. On może poprawić ci samopoczucie. Albo pozwólmy mojej matce wypróbować techniki Rene Gesserit.

— Nie chcę czuć się lepiej. Chcę złożyć oświadczenie. Jak inaczej sprawić, żeby Tleilaxanie ujrzeli, co stworzyli, żeby się przekonali, jaka rozpiera ich pycha, skoro wierzą, że taka skażona rasa mogłaby stworzyć istotę doskonałą, a potem nią kierować?

Próbowała odwrócić jego uwagę.

— Możemy stąd uciec — powiedziała. — Możemy się wydostać z Thalidei, z tej planety, zobaczyć całą galaktykę. Tylko my dwoje.

— Bez względu na to, dokąd się udam, tutaj pozostanę więźniem. — Dotknął palcem czoła. — Fizyczna ucieczka nie pomoże tej części, która jest we mnie. Albo która będzie w nich. — Wskazał klony w celach.

Marie usiłowała odciągnąć go od panelu sterowniczego.

— Nie podoba mi się ta zabawa — zaprotestowała.

— Zabawa? Możesz to tak nazywać, jeśli chcesz. Teraz zobaczysz, jak wygram. — Kiedy jego palce tańczyły po przyciskach, uwięzione w komorach kopie Thalla wrzeszczały upiornym chórem. Od tego przenikliwego krzyku Marie rozbolały uszy. — Tleilaxanie mają wielką wprawę w zabijaniu. Prowadzą liczne eksperymenty. Widziałas ich katalog trucizn? — Wrzask podniósł się o ton, a z oczu i nosów kopii zaczęła płynąć krew. Nie było widać, by zadawanie im takich cierpień sprawiało Thallowi przyjemność albo go przygnębiało. — Czynniki wpływające na ich układ nerwowy powinien działać szybko. Już to widziałem.

Kopie Thalla rzucały się w drgawkach, drapały wygięte, ale nieprzenikalne płazowe ściany komór, a potem osunęły się martwe i leżały skulone niczym marnie przechowywane marionetki.

— Dlaczego ich zabiłeś? — Marie była raczej zaciekawiona niż zmartwiona.

Porcelanowa twarz Thalla zarumieniła się z podniecenia.

— Wyzwoliłem ich — odparł. — Teraz wyzwolę siebie... i ciebie, Marie. Wiem, że rodzice mają wobec ciebie niemożliwe do spełnienia oczekiwania.

— Nie! — Położyła dłoń na jego ramieniu. — Nie chcę tego.

Ale jego palce znowu śmigały z zawrotną szybkością po przyciskach, uruchamiając głęboko ukryty podprogram. Maszyna zaczęła dudnić i prychać. Podłoga i kładka wibrowały.

— Tleilaxanski program stworzenia Kwisatz Haderach nigdy nie będzie doskonały — rzekł Thallo.

— Ja też nie jestem doskonała — powiedziała Marie — ale mimo to mogę zrobić, co trzeba. Rodzice wyszkolili mnie. Sam jesteś znakomicie wyszkolony. Pomyśl o tym, co możemy zrobić razem. — Zniżyła głos. — Pomyśl o tym, co możemy zrobić...

— Już to zrobiłem. Włączyłem biogeneratory we wszystkich laboratoriach w Thalidei i otworzyłem kanały systemu dystrybucji powietrza, które przebiegają pod ulicami i budynkami. Wprowadzam do nich bardzo skuteczną, natychmiast zabijającą toksynę. Przygotowano ją dla niejakiego

Thorvalda, który miał jej użyć przeciw Muad'Dibowi. Jednak Thorvald nigdy jej nie dostanie. Cały ładunek zostanie błyskawicznie rozpylony w mieście. Tleilaxanie mają powody, by szczerzyć się swoimi truciznami. Ta jest tak zabójcza, że najmniejsza jej ilość powali najpotężniejszego człowieka. — Uśmiechnął się, dotykając konsoli i rozkoszując się wibracjami. — W tej chwili zwiększa się ciśnienie w dużych jej zbiornikach, by się jak najdalej rozeszła. — Poklepał ją po zeszywniałym ramieniu. — Ona wszystko wymaże, wszystko oczyści. Ryć może prądy powietrzne zanoszą ją aż do Bandalongu, zanim straci moc.

Marie spojrzała na przyciski.

— Wyłącz to! — Zmieniła ton i włożyła w słowa całą siłę nacisku, na jaką mogła się zdobyć, próbując użyć Głosu. — Wyłącz to!

Thallo przerwał na sekundę, a potem nieporuszony, popatrzył na nią. Westchnął lekko i dalej tłumaczył jej jak nauczyciel:

— Zostało nam jeszcze trochę czasu, ale nikt nie zatrzyma tego, co zamierzam zrobić. Pracuję nad tym od miesiący. Zacząłem, zanim cię poznałem.

Marie słyszała wyjące na zewnątrz syreny.

— A co stanie się ze mną? — zapytała swoim najmiłszym tonem. — Nie chcesz chyba zrobić mi krzywdy, Thallo, prawda? Jestem twoją przyjaciółką!

— Właśnie dlatego zabrałem cię tutaj. Zawarliśmy pakt. Możemy pokrzyżować mistrzom szyki i zlikwidować ich program Kwisatz Haderach. — Pogładził ją po złocistych włosach. — Nigdy już inni nie będą kontrolować żadnego z nas.

— A kto mówi, że pozwalam się kontrolować? — Głos Marie był zimny i wyrachowany. — Nie widzisz? To ja manipuluję n i m i.

Nie chciał jej słuchać.

— Czynniki paralizujący układ nerwowy wypełnia już rury w całej Thalidei — powiedział. Jego głos zdawał się dochodzić z daleka.

Marie słyszała mężczyzn walących w drzwi laboratorium i krzyczących pełnymi napięcia głosami przez interkom. Słyszała też wiertarki i narzędzia do rozcinania metalu.

— Nie dostaną się do nas na czas. — Thallo zrobił błogą minę. — W końcu znalazłem wewnętrzny spokój i jest ze mną moja najbliższa, najdroższa przyjaciółka.



*Zaufanie jest luksusem, na który nie mogę już sobie pozwolić. Doświadczylem w życiu zbyt wielu zdrad.*

— z *Rozmów z Muad'Dibem* pióra księżnej Irulany

Tuż po ataku, do którego doszło w Niebiańskiej Sali Posłuchań, Irulana pragnęła ciszy, ale słyszała tylko straszne wrzaski i jęki. Zdała sobie sprawę, że się wolno obraca, z trudem chłonąc wszystko wzrokiem. Ogromna sklepiona sala wyglądała, jakby przeszła przez nią kurzawa Coriolisa.

Jako córkę Imperatora od najmłodszych lat przygotowywano ją na nagłe ataki. Ojciec udaremnił wiele prób zamachów, a hrabia Hasimir Fenring pokrzyżował zapewne szyki jeszcze liczniejszej rzeszy asasynów, o których nigdy nawet się nie dowiedziała. Przez swój džihad Paul Muad'Dib stał się celem większej agresji, niż kiedykolwiek wzbudzał Szaddam IV.

Patrzyła, jak po wybuchu bomby pod nowym tronem Paul zbiera się z podłogi i podnosi Chani. Ocalił ich Bludd. Jego ceremonialny strój i poszarzała skóra usiane były czerwonymi plamkami i drobnymi rozcięciami. Trzymając Chani za ramiona, Paul szybko, ale dokładnie ją obejrzał.

— Nie jesteś ranna? — zapytał. — Nie dosięgła cię trucizna?

Spojrzenie Chani stwardniało.

— Mam tylko sińce i zadrapania, Usul.

Dotknął jej skóry, jakby tylko rzuciwszy okiem na świeże rany, był w stanie stwierdzić, czy zostały zakażone. Odsunęła jego rękę.

— Nie teraz — powiedziała. — Mamy tutaj wiele pracy.

— Alia! — krzyknął Paul, rozglądając się. — Jesteś bezpieczna?

W odpowiedzi dziewczynka pojawiła się. Wyglądało na to, że nic jej się nie stało.

— Wysłałam z tego obronną ręką — odparła — ale ochraniający mnie fedajkini nie mieli tyle szczęścia.

Również Bludd podniósł się i otrzepał. Wyglądał na wycieńczonego. Wspaniały ubiór żylastego mistrza miecza był w strzępach, a na jego lewym ramieniu widać było głębokie rozcięcie. Słaniając się na nogach, spojrzął na Irulanę.

— Przynajmniej... tym razem ocaliłem księżnę. — Dotknął krwawiącej rany i z powrotem osunął się na kolana. — Ale obawiam się, że musiał mnie drasnąć jeden z grotów-gończaków. Czuję się bardzo... dziwnie.

Paul zawołał medyka i znajdujący się najbliżej lekarz ruszył pospiesznie ku niemu, przekraczając leżące na posadzce ciała.

— Ten człowiek został trafiony zatrutym pociskiem... Ratuj go! — rozkazał Muad'Dib.

— Ależ, panie, nie znając trucizny, nie jestem w stanie znaleźć antidotum!

Paul wymienił energicznie jedenaście trucizn, które zidentyfikował w grotach, by lekarze wiedzieli, od czego zacząć leczenie Bludda. Sanitariusze szybko ponieśli bezwładnego mistrza miecza ku punktowi opatrunkowemu poza salą.

Po ewakuacji ogromnego pomieszczenia stało się jasne, że więcej ludzi, których ciała rozrzucone były na podłodze, zostało stratowanych niż zabitych przez grot-y-gończaki. Irulana naliczyła dziesiątki zwłok, głównie w pobliżu podium.

Paul stał ze zwężonymi oczami i miną, na którą strach było spojrzeć. Nigdy jeszcze nie widziała w jego wzroku takiej wściekłości i żądz mordy. Podszedł do niej.

— Irulano, nie jesteś ranna? — zapytał.

Zbadała się już metodami Bene Gesserit i stwierdziła, że ma tylko drobne zadrapania i draśnięcia.

— Nie ja byłam celem — odparła. — Ochronił mnie twój mistrz miecza.

W głowie Irulany trwała już gonitwa myśli o konsekwencjach zamachu. Ceremonia wielkiego hołdu zgromadziła przedstawicieli wszystkich potężnych domów. Ile zginęło tutaj — choćby jako przypadkowe ofiary — głów szlchetnych rodów? Spowodowana tym falą uderzeniową zatrzęsie Landsraadem! Chociaż Muad'Dib przeżył, zamachowiec zadał mu potężny cios, dowodząc, że osławiona służba bezpieczeństwa Imperatora jest nieudolna. Czyżby tak naprawdę właśnie o to mu chodziło? Aby wykazać, ile warte jest ślubowanie Muad'Diba, że zapewni spokój w galaktyce? Nie potrafił uchronić nawet tych, którzy znaleźli się w jego bezpośrednim otoczeniu.

Lustrując ciała zaścielające podłogę przed podium, Irulana dostrzegła powyginane ręce i nogi, makabrycznie skręcone postacie i lśnienie wspaniałej niebieskiej tkaniny. Rugia! Zamarło jej serce. Zeskoczyła z podium, przeszła między zwłokami i pospieszyła tam, gdzie posadzono jej siostrę. Młoda kobieta była taka dumna, że jako oficjalna przedstawicielka Salusy Secundusa znalazła się na zaszczytnym miejscu blisko tronu Imperatora.

— Rugia! — krzyknęła Irulana. Nadstawiła uszu, by usłyszeć odpowiedź, choćby jęk bólu. Panująca w sali cisza była straszniejsza niż przedtem krzyki.

Zdeterminowana, nie chcąc przyznać przed sobą, że wie, co znajdzie, zaczęła szukać dziewczyny, najmłodszej ze swoich czterech sióstr. Właściwie nigdy Rugia nie była jej bliska; trzynastoletnia różnica wieku między nimi była zbyt duża. Jeszcze przed narodzinami Rugii Irulana ukończyła dużą część podstawowego szkolenia i weszła w wir kaitaińskiej polityki. Obserwowała manipulacje ojca, gry, które prowadził, zawierając lub zrywając sojusze, próby zabójstw i jego wyraźnie odczuwalną pogardę dla „bezużytecznych” córek. A ponieważ Rugia była najmłodsza, Szaddam nie ukrywał, że uważa ją za najmniej wartościową.

Irulana ponownie krzyknęła jej imię. Kontynuując poszukiwania, potknęła się o ciało mężczyzny z opadniętą szczęką, o szklistych oczach i z jaskrawymi chusteczkami do nosa powtykanymi do kieszeni niczym oznaki jego godności. Obróciła ze złością zwłoki szlachcica, jakby celowo położył jej się na drodze.

Pod nim leżała drobna jak dziecko Rugia. Irulana chwyciła siostrę za ramiona, podniosła ją i przyłożyła palce do jej szyi, rozpaczliwie starając się wyczuć tętno.

— Och, Rugio! Droga Rugio! — zawołała.

Potrząsnęła dziewczyną. Z martwych ust Rugi i ciekła krew, jej serce nie biło. Miała półotwarte oczy, ale nawet nie mrugnęła. Zawodząc, Irulana przytuliła siostrę, której głowa zwisała bezwładnie na jej ramię. Rugia nigdy nie zdawała sobie sprawy, jakim była pionkiem.

Paul stanął w głównym przejściu, między rzędami foteli, otoczony tuzinem ocalałych fedajkinów, włącznie z Korbą. Zaczęło się już śledztwo i ludzie Korby przeczesywali salę, szukając ocalałych i sprawcy zamachu. Inspektorzy wydłubywali pęsetami dowody ze szczątków tronu z elakki i z rozbitych grotów-gończaków.

— Dowiedzcie się, kto to zrobił! — Głos Paula przeciął powietrze jak arktyczny wiatr. — Nie obchodzi mnie, ile to zajmie czasu ani ile osób będziecie musieli przesłuchać. Przynieście mi odpowiedź. Dowiedzcie się, kto jest za to odpowiedzialny... a ja już się z nimi rozprawię.

— Muad’Dibie, możemy być pewni, że to ma coś wspólnego z Memnonem Thorvaldem — zasugerował Korba.

Ale Paul nie był o tym przekonany.

— Niczego nie możemy być pewni — powiedział.

Przepełniona żalem Irulana spojrzała na niego.

— Obiecałeś mojej siostrze bezpieczeństwo — wyrzuciła z siebie oskarżycielskim tonem. — Przysiągłeś, że będziesz ją chronić. Dałeś słowo Imperatora.

Tuliła w ramionach ciało Rugii, jakby było dowodem jego kłamstw. Przez kilka minionych lat tuliła w sobie wszelkie uczucia dla Paula, ale nie chciała zapanować nad emocjami, które czuła teraz.

Paul nie miał dla niej żadnej odpowiedzi. Tik wielu ludzi nienawidziło Imperatora Muad’Diba.



*Każdego ranka, kiedy otwieram oczy, moje myśli kierują się od razu ku agresji.*

— laboratoryjne nagrania tleilaxanskiego kandydata na Kwisatz Haderach

W ciągu tych wszystkich lat, które spędził wśród Tleilaxan, hrabia Fenring nie widział ich jeszcze tak rozgorączkowanych. W całym mieście rozbrzmiewało upiorne wycie syren, niosąc się echem ponad wezbranymi wodami jeziora. Lady Margot spojrzała na niego.

— Marie... m u simy znaleźć Marie! — dała wyraz zaniepokojeniu, które ją nagle ogarnęło.

Parę minut później do drzwi ich kwatery załomotał umundun> wany oficer służby bezpieczeństwa i zażądał, by natychmiast udali się z nim do głównego kompleksu budynków laboratoryjnych Ereboama. Bez wyjaśnienia, o co chodzi, wepchnął ich pospiesznie na tylne siedzenie pojazdu naziemnego. Fenring wyczuwał jego niecierpliwość, ale wiedział, że ten funkcjonariusz ze średniej klasy nie odpowie na żadne pytania.

Pojazd pędził wąskimi ulicami, a Fenringa zdjął strach, że ten nagły stan wyjątkowy może mieć coś wspólnego z ich tóreczką. Ze wszystkich stron dochodziły dźwięki alarmów, a na budynkach migotały różnobarwne światła stawiające mieszkańców w stan pogotowia. Hrabia podejrzewał, że kryzys spowodowała albo Marie, albo Thallo.

W wejściu do centralnego laboratorium powitał ich udręczony Ereboam.

— Wasze dziecko i Thallo zabarykadowali się w jednym z pomieszczeń! — Albinos z rozwichrzonymi śnieżnobiałymi włosami był jeszcze bledszy niż zwykle. Na jego skórze koloru zsiadłego mleka widać było różowe plamki świadczące o tym, że nie posiada się ze złości.

Wrzeszczał, żeby przekrzyczeć panujący wokół zgiełk. — Unieszkodliwili systemy zabezpieczeń, po czym dostali się do składu nowego gazu paraliżującego układ nerwowy i całkowicie go opróżnili. Gazu jest tyle, że wystarczy do zabicia wszystkich żywych istot w Thalidei. Zniszczą nasze programy, owoce naszych badań, pozbawią nas życia! Dlaczego wasza córka chce to zrobić? Jaki spisek uknułicie, Fenringowie?

— Marie nie wie nic o waszych systemach zabezpieczeń ani maszynierii — odkrzyknęła lady Margot, kiedy wbiegli za nim do budynku. — To wasz Thallo jest mózgiem tego.

Widać było, że Ereboam nie chce w to uwierzyć.

Dotarli do pomieszczenia, którego drzwi próbowali przewiercić niemrawi robotnicy z niższej kasty. Obok inna grupa starała się zburzyć ścianę, odpalając ściśle odmierzone ładunki wybuchowe, ale uniemożliwiały jej to własne systemy zabezpieczeń. Fenring widział, że na razie udało im się zrobić jedynie niewielkie wgłębienie w drzwiach. W drodze było więcej sprzętu, ale hrabia wątpił, czy zdążą z tym na czas.

— Porozmawiajcie z córką przez interkom. Każcie jej przestać! — Ereboam włączył system łączności. — Dowiedźcie się, jak zdeprawowała naszego kandydata na Kwisatz Haderach.

— Aaach, uważam, że Thallo jest bardzo nie zrównoważony bez jakichkolwiek działań ze strony Marie — rzekł Fenring.

— To niemożliwe. On jest bez skazy.

— Jest tak doskonały, że za chwilę zabije trującym gazem nas wszystkich... włącznie z naszą córką. — Lady Margot podeszła szybko do interkomu. — Ale spróbuję.

Zdenerwowani Tleilaxanie usuwali jej się z drogi. Niektórzy piorunowali ją wzrokiem z tego tylko powodu, że była kobietą. Kiedy przemówiła przez interkom, hrabia Fenring rozpoznał rozkazujący ton Głosu Bene Gesserit. Lady Margot dokładnie wiedziała, jak manipulować córką.

— Marie! — rzekła. — Jeśli tam jesteś, natychmiast otwórz drzwi.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Może nie mogła.

Fenring bardzo się niepokoił o bezpieczeństwo Marie. Mimo iż nie była jego biologiczną córką, od chwili narodzin on był jej ojcem.

I wiązał z jej szczególnymi zdolnościami tyle nadziei i planów.

„Potrzebujemy jej” — pomyślał.

Marie słyszała wezwanie dochodzące przez interkom zza zamkniętych pancernych drzwi i zwróciła uwagę na rozkazującą intonację, ale matka nauczyła ją nie tylko rozpoznawać Głos, ale i opierać mu się. Nawet jej niania Tonią nie mogła jej do niczego zmusić, a teraz Marie sprzeciwiła się nakazowi lady Margot. Musiała to zrobić. Pozostając blisko Thalla, miała przynajmniej szansę zapobiec katastrofie.

Ale pokonanie bardzo zaawansowanego kandydata na Kwisatz Haderach wymagało od niej wspięcia się na szczyt możliwości. Wiedziała, że będzie to znacznie trudniejsze od wszystkich dotychczasowych surowych ćwiczeń. Po to się urodziła i po to ją szkolono.

Thallo był wyraźnie przekonany, że Marie nie może go powstrzymać. Wyraz jego klasycznie urodziwej twarzy świadczył, że nie posiada się z zachwytu, zahipnotyzowany kolorowymi wzorami na panelu sterowania. Jego palce tańczyły po przyciskach, wprowadzając modyfikacje oraz wyłączając systemy zabezpieczeń i blokady, by sprężony gaz paraliżujący układ nerwowy dotarł do wszystkich wylotów systemu rozprowadzania powietrza w mieście, z których zostanie jednocześnie wypuszczony.

Jej matka i Fenring nadal krzyczeli i błagali ją przez interkom, rozpaczliwie pragnąc jakiegokolwiek reakcji.

Marie powoli i cicho usunęła się poza zakres widzenia peryferyjnego stworzonej przez Tleilaxan nieprzewidywalnej istoty, by móc zniecka na nią skoczyć. Zastanawiała się, czy nie zdjąć butów, bo jej stwardniałe stopy były zabójczą bronią i mogła nimi zadać śmiertelny cios. Był to efekt szkolenia Bene Gesserit. Ale bioreaktory zbliżyły się już do punktu, w którym nie wytrzymają przeciążenia, liczyła się więc każda sekunda. Strumienie toksycznego gazu zabiją wszystkich. Nie mogła pozwolić, by Thallo zauważył, że rzuca się do ataku.

„*Nie ma oczu z tyłu głowy — pomyślała — a jego zdolność jasnowidzenia, jeśli w ogóle ją ma, również najwyraźniej nie pomaga mu mnie dojrzeć*”.

Niemniej jednak Thallo miał znakomity słuch, jego reakcje były zdumiewająco szybkie... i był zdecydowany zginąć w ogromnej katastrofie.

Natomiast Marie była równie zdecydowana zachować życie.

Została jego przyjaciółką, pokazała temu „*doskonałemu*” Kwisatz Haderach, że nie tylko on czuje się wyobcowany i osamotniony. Trenowała z nim, toczyła pozorowane walki, była biegła w opracowanych przez Rene Gesserit technikach zabijania, a pod okiem hrabiego Fenringa posiadała umiejętność skrytobójczego uśmiercania. Nie była dzieckiem — była groźnym przeciwnikiem. Nawet zabicie Kwisatz Haderach nie przerastało jej zdolności.

Zebrawszy całą energię, przywołał wszystkie umiejętności, których ją nauczono, Marie wyszła jak pocisk. Zobaczyła, że drgnął mięsień na jego karku. Zaczął się obracać z oszałamiającą szybkością. Marie przewidziała jednak jego reakcję; prawdę mówiąc, zaplanowała swoje poczynania z myślą o niej. Jego ręka poruszyła się jak błyskawica, ale zawahał się ułamek sekundy, albo nie chcąc się oderwać od panelu sterowania... albo bojąc się, że zrobi jej krzywdę.

Marie uderzyła go w szyję wyprostowanymi palcami obu stóp. Usłyszała trzask pękających kości.

Głowa Thalla opadła do przodu pod ostrym, nienaturalnym kątem. Uderzył twarzą w panel, a potem osunął się na podłogę. Kiedy jego palce ześliznęły się z przycisków, Marie odsunęła ciężkie ciało niedoszłego Kwisatz Haderach. Nie przejmując się już nim, skoncentrowała się na rzędach guzików. Miała tylko parę chwil na zahamowanie strumienia gazu.

Stojąc na korytarzu, hrabia Fenring usłyszał serię podziemnych wybuchów wstrząsających miasmem. Do jego uszu dobiegł stłumiony huk, potem zaś następny, dużo bliżej.

— Za późno! — jęknął Ereboam.

Ale dudnienie najwyraźniej się oddalało, złowrogie pomruki nagle wyzwolonej energii zamierały. Fenring spojrzał na żonę i zobaczył w jej oczach miłość i strach. Uniósł brew i popatrzył na badacza.

— Może powinienes się dowiedzieć, co się właściwie dzieje, hmmm? — spytał ostro.

Tleil axanscy naukowcy ruszyli do paneli przekazujących najnowsze dane z układów zabezpieczeń. Kiedy dostali wyniki, zaczęli trajkotać przez komlinie. Doktor Ereboam rozejrzał się ze zdziwieniem. Miał potargane włosy.

— Słyszeliście eksplozje — powiedział — ale były to wybuchy... ukierunkowane. Gaz paraliżujący układ nerwowy został wtłoczony do jeziora i wskutek reakcji z wodą stanie się obojętny. — Obrócił się w stronę hrabiego i lady Margot. — Thallo zapobiegł katastrofie!

— Mimo to nie radziłbym wychodzić przez pewien czas na zewnątrz bez masek — powiedział Fenring, nadal walcząc z głębokim niepokojem. — Jesteś pewien, że woda jeziora zneutralizuje ten związek?

— Trucizny z samej swej istoty łatwo wchodzi w reakcje z innymi związkami. Niektóre woda aktywaije, inne zmienia w nieszkodliwe substancje.

Nie dane mu było kontynuować wykładu, bo otworzyły się ciężkie drzwi i z pomieszczenia wyłoniła się Marie. Mimo drobnej postaci wyglądała na silną. Za jej plecami tkwiło w przezroczystych komorach dziewięć martwych klonów Thalla, a na biegnącym nad nimi pomoście leżał rozciągnięty nieudany Kwisatz Haderach z głową zwisającą na złamanym karku jak kwiat na zwiotczącej łodydze. Dziwne, ale na twarzy miał spokojny uśmiech.

Marie uściskała rodziców, po czym spojrzała na nich niewinnie.

— Mój przyjaciel się zepsuł, a mnie nie udało się go naprawić — oznajmiła. — Coś było z nim nie w porządku.



*Jeden twierdzi, że jest moim przyjacielem. Drugi deklaruje się jako mój wróg. Dlaczego przy całej mojej zdolności jasnowidzenia tak trudno mi odróżnić jednego od drugiego?*

— z *Rozmów z Muad'Dibem* pióra księżnej Irulany

Korba rozpoczął śledztwo w sprawie próby zamachu z wielkim zapalem, dokładnie tak, jak oczekiwał od niego Paul.

Mistrz miecza Bludd, który niewątpliwie został bohaterem, dzielnie zasłoniwszy własnym ciałem Irulanę i zepchnąwszy z podwyższenia Paula i Chani, dzięki czemu ochronił ich przed skutkami wybuchu bomby ukrytej w tronie, omal nie umarł od trucizny z grota-gończaka. Kiedy odzyskał siły na tyle, że mógł ustać na nogach, opuścił ambulatorium i udał się do swojej kwatery, by w pełni dojść do siebie.

Tymczasem Paul zamknął się w swojej ogromnej twierdzy — nie dlatego, że ogarnął go strach czy paranoiczny lęk, lecz że przepełniała go taka wściekłość, iż nie mógł za siebie ręczyć. Choć przed ceremonią nawiedzały go mroczne sny, jego dar jasnowidzenia nie zdołał zapobiec zamachowi. Taki zuchwały, nienawistny atak, bez liczenia się z niewinnymi ofiarami!

Tak samo musiał się czuć książę Leto, kiedy masakra w dniu ślubu wciągnęła go w krwawą wojnę asasynów. To dlatego jego ojciec stał się tak twardym i nieczułym człowiekiem — była to reakcja psychologiczna, która uodporniła go na tragedie. W owym czasie Paul nie zdawał sobie sprawy z rozmiaru kłopotów ojca, ale teraz doskonale go rozumiał.

Śledczy rozebrali Niebiańską Salę Posłuchań do gołych murów. Analizowano ślady chemiczne. Skontrolowano dzienniki pracy, by odkryć, kto mógł zorganizować taki spisek. Zmowa musiała mieć szeroki zasięg, bo zbyt wiele fragmentów zostało idealnie dopasowanych. Niestety, rozkazawszy żołnierzom strzelać do kasetonów, z których wylatywały groty-gończaki, Korba mimowolnie przyczynił się do zniszczenia części dowodów.

Mimo to udało się ustalić, że trop od zmodyfikowanych narzędzi zamachu prowadzi do wygnanego z ojczyzny ixanskiego kupca, który dostarczył Muad'Dibowi wielu technologicznych zabawek. Jednak statek owego człowieka został ostatnio — co było niewątpliwie korzystne dla spiskowców — zniszczony podczas potyczki na Crellu.

Przesłuchano wielu nowych służących zatrudnionych dla potrzeb ceremonii wielkiego hołdu i niestety wysoki procent nie zniósł agresywnie prowadzonego śledztwa. Korba był pewien, że musieli coś ukrywać, chociaż żaden nie ujawnił jakichkolwiek użytecznych informacji.

Mimo wyrzutów sumienia Paul pozwolił na kontynuowanie bezlitosnych przesłuchań. Niewinne ofiary? Już i tak było ich wiele, a będzie jeszcze więcej. Rozważał nawet skorzystanie z pomocy Prawdowóczyń, ale ostatecznie nie zdecydował się na to, ponieważ nie był całkowicie pewien, że zgromadzenie żeńskie nie maczało palców w zamachu.

Ale komu mógł zaufać? Miał zaledwie garstkę oddanych powierników — Chani, Stilgara, Alię. Mógł też ufać matce i Gurneyowi Halleckowi, ale oboje byli daleko, na Kaladanie. Może również Korbie i Bluddowi. A Irulanie? Nigdy nie darzył jej zaufaniem, ale też nie budziła jego nieufności. Podczas zamachu straciła siostrę, a zmysł prawdy mówił mu, że go nie oszukiwała. Czyżby był to nieudolny spisek Corrinów, w którym najmłodszej córce Szaddama przypadła rola baranka ofiarne go? A może było to dzieło nieznanego dotąd spadkobiercy Harkonnenów?

W umyśle Paula pojawiały się inne nazwiska i pytania, ale odepchnął je od siebie. Nie chciał się posunąć zbyt daleko na tej drodze, bo paranoja mogła doprowadzić go do szaleństwa.

*„Muszę być teraz czujniejszy niż kiedykolwiek — pomyślał. — Trzeba ustanowić nowe środki bezpieczeństwa, by wytrącić moich wrogów z równowagi”.*

Nie było żadnym zaskoczeniem, że z ogólnej wrzawy na plan pierwszy wybiło się dostarczone przez zakamuflowanych pośredników ponowione oświadczenie Memnona Thorvalda, w którym przypisywał sobie zorganizowanie tej masakry. Siedząc w bazie ukrytej na jakiejś planecie, wyrażał zadowolenie i chwalił się, że zdołał przeniknąć przez służbę bezpieczeństwa Muad'Diba i uderzyć blisko tych, których Muad'Dib kochał. Jednak zbyt wiele szczegółów w tych buńczucznych zapewnieniach nie zgadzało się z faktami, a jego twierdzenia pełne były sprzeczności. Wydawało się, że przynajmniej w tym przypadku Thorvald po prostu korzysta z okazji, starając się spożytkować tragedię w pałacu Imperatora. Wiele wskazywało na to, że przywódca buntowników nie zna się na tyle dobrze na rzeczy, by uknuć i przeprowadzić tak skomplikowany spisek.

Ten, kto przygotował zamach, musiał wiedzieć nie tylko o latających dyskach, które stały się narzędziami ataku w dniu ślubu Leto, ale również znać Paula na tyle dobrze, by wybrać akurat g r o t y–g o ń c z a k i, broń, której użyto podczas próby zgładzenia go w rezydencji arrakińskiej, kiedy po raz pierwszy przybył na Diunę. Tym razem zamachowiec zabezpieczył się: na wypadek gdyby jeden grot–gończak zawiódł, przygotował ich więcej, dzięki czemu atak mógł się powieść, zwłaszcza że było wiele trucizn. Ten spiskowiec — czy spiskowcy — całkiem dobrze zdawał sobie sprawę ze zdolności Muad’Diba.

Ale nie na tyle dobrze, by go zabić.

Już samo ukrycie tylu grotów–gończaków i umieszczenie bomby pod tronem z elakki wymagało niczym nieskrępowanego dostępu do tej części budowy. Zajawszy się tym, kwizarat Korby ujął wszystkich robotników, którzy pracowali przy realizacji tego projektu, i przesłuchał ich z większym fanatyzmem niż finezją. Dziwnym zbiegiem okoliczności wielu podejrzanych zginęło ostatecznie na ulicach Arrakin w wyniku rabunków lub napaści. Ci, którzy pozostali przy życiu, przeszli dokładne śledztwo.

Kiedy podejrzania padły na samego Korbę, gwałtownie zaprzeczył, jakoby miał jakkolwiek udział w przygotowaniu zamachu. Dokumenty i zeznania świadków potwierdziły, że narzucił wiele zmian w szczegółowych planach twierdzy, niektóre w ostatecznej chwili. Podczas prac budowlanych domagał się zmian w architekturze, które wydawały się dyktowane kaprysem albo dyktatorskimi zapędami. W świetle ostatnich wydarzeń były podwójnie podejrzane i nasuwały przypuszczenia, że mogły posłużyć do zamontowania grotów–gończaków i bomby pod tronem.

Dowiedziawszy się o tych zarzutach, Paul przypomniał sobie, jak podczas harkonneńskiej okupacji złapał z Fremenami na otwartej pustyni Gurneya Hallecka z grupą przemytników. Kiedy Gurney wyjawiał mu, że części tych ludzi nie można ufać, Paul polecił Korbie dokładnie ich przeszukać. Okazało się, że faktycznie niektórzy mężczyźni byli przebranymi sardaukarami, ale jakimś trafem Korbie nie udało się znaleźć u nich broni ukrytej pod sztucznymi paznokciami u stóp, szigastrunowych garot we włosach ani sztyletów w filtrfrakach. Było to skandaliczne niedopatrzenie. Czyżby już wtedy było to z jego strony celowe uchybienie?

Przysłuchując się, jak Korba urażonym głosem odrzuca oskarżenia, Paul pomyślał, że protestuje zbyt gorąco. Czy było możliwe, że Fremen chciał zrobić z Muad’Diba męczennika i wykorzystać to jako trampolinę do zdobycia większej władzy religijnej? Doszedł do wniosku, że tak. Korba był do tego zdolny.

A mimo to zmysł prawdy przekonał w końcu Paula, że ten człowiek nie kłamie.

Kiedy śledztwem objęto samego Bludda, Paul wiedział, że Korba robi to tylko dlatego, żeby nikogo nie pominąć. Mistrz miecza rzucił się do walki, nie zważając na własne bezpieczeństwo, ocalił Irulanę, osłonił Paula przed wybuchem i omal nie zmarł z powodu rany zadanej zatrutym grotem.

Mimo to, wbrew zakazowi Paula, przyniósł na ceremonię tarczę osobistą. Wyczuł też, że pod tronem ukryta jest bomba. A może wiedział o tym?

Paul poczuł zimny dreszcz.

O dziwo, dochodzący do zdrowia mistrz miecza nie zadał sobie nawet trudu, by zaprzeczyć swojemu udziałowi w spisku, gdy Korba odwiedził go w jego kwaterze i postawił mu zarzuty.

— Spodziewałem się, że porozmawiasz ze mną wcześniej. Mogłeś sobie oszczędzić sporo kłopotów. — Prychnął. — I uratować życie tym wszystkim niewinnym biedakom, których przesłuchałeś. Zanim powiem coś więcej, domagam się widzenia z Paułem Atrydą.

Bludd odziany był w swój najwspanialszy, przeznaczony na największe gale strój. Chociaż Korba, nieświadomie naśladowując wyznaczającego modę mistrza miecza, sam zaczął nosić wykwinną odzież szytą przez krawców z innych planet, rozkazał rozebrać i przeszukać fircyka tak dokładnie, jak zrobiliby to ze schwytanym sardaukarem.

Korba rozkoszował się odrywaniem rękawów i kołnierza, pruciem materiału i rozcinaniem bryczesów Bludda. Wreszcie mistrz miecza został nagi. Jego jędrne ciało pokrywała szachownica bandaży założonych na różne rany. Obchodząc się z nim szorstko, strażnicy przeczesali mu włosy w poszukiwaniu szigastrunowych garot, sprawdzili, czy nie ma ukrytej w zębach broni, za pomocą której mógłby dokonać samobójczego ataku, i poddali jego pot analizie w poszukiwaniu specjalnie dobranych neurotoksyn. Zerwali mu nawet paznokcie z palców rąk i nóg, by się upewnić, że nie ma pod nimi cienkiej jak wafelek broni.

Mistrz miecza zniósł potworny ból bez jednego choćby jęku. Wydawał się raczej zniecierpliwiony i urażony.

— Nie ma się czego obawiać z mojej strony — powiedział, ale nie wierząc jego słowom, szukali dalej.

W końcu posiniaczonego i zakrwawionego, ale nadal idącego — mimo chromania — z pewną gracją Bludda przywieziono przed oblicze Muad'Diba. Zamiast odświętnego stroju zdrajca miał jedynie zwykłą przepaskę na biodrach. Na jego bandażach pojawiły się jasne plamy świeżej krwi z ran, które się ponownie otworzyły. Uśmiechnął się smutno do Paula.

— Przepraszam, że nie prezentuję się okazalej, panie. Mój ubiór zniszczyli twoi zeloci. Ale to nieważne. — Wzruszył ramionami. — Dzięki tej szmacie wróciłem do korzeni. Czuję się jak młody mistrz miecza podczas treningu na Ginazie, trochę jak Duncan Idaho.

Paul podniósł się. Był zmęczony i wściekły; w takim samym stopniu jak zemsty pragnął zrozumieć motywy zdrady Bludda.

— Nie zaprzeczasz, że to zrobiłeś? — zapytał.

— A po co? Mógłbyś wykryć kłamstwo już w chwili, w której bym je wypowiedział. Ach, żałuję, że do tego doszło. To nie jest to, co zamierzałem zrobić.

— Wyjaw nam nazwiska wszystkich członków spisku! — krzyknął Korba, wysuwając się naprzód. — Jak daleko sięga? Ile osób na dworze Muad'Diba jest zdrajcami?

Bludd zmierzył Fremena miażdżącym spojrzeniem.

— Nie potrzebowałem nikogo — odparł. — To mój spisek, wyłącznie mój. Chciałem zostać bohaterem i udało mi się. Wszyscy widzieli, jak uratowałem ciebie. — Spojrzał na Paula. — A także Chani i księżną.

Korba stanął twarzą w twarz z prawie nagim mężczyzną w więzach.

— Nie mogłeś tego zrobić sam — powiedział. — Nikt by nie mógł.

— Może zwykły człowiek nie, ale mistrz miecza tak. Zaplanowałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach, bez niczyjej pomocy — rzekł Bludd, po czym zaczął opowiadać ze swadą o całym spisku, przedstawiając detale każdej fazy operacji, której przygotowanie — krok po kroku, jednej części po drugiej — zajęło mu wiele miesięcy.

Korba parsknął z niedowierzaniem, słuchając tych niedorzecznych przechwałek, ale Paul uświadomił sobie, że Bludd nie przesadza. Mistrz miecza coraz bardziej się rozkręcał i najwyraźniej był pod wrażeniem własnej pomysłowości, chociaż nieco zażenowany, że to wyjaśnia.

— Zostałem przyłapany z ręką w cudzej kieszeni, więc mnie macie — rzekł na koniec. — Przypuszczam, że moja służba dla ciebie, panie, dobiegła końca? Musisz przyznać, że wykonałem świetną robotę, pracując nad twoją twierdzą.

Paul był autentycznie skonsternowany.

— Ale dlaczego obróciłeś się przeciw mnie? — zapytał. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak zdezorientowany. — Co miałeś do zyskania? Czym cię uraziłem? Co mogło wzbudzić w tobie tak wielką nienawiść?

— Nienawiść? Ależ nie czuję do ciebie nienawiści, panie. Zawsze byłeś dla mnie niezwykle dobry i traktowałeś mnie sprawiedliwie, nigdy więc nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. — Westchnął i Paul w końcu odkrył głęboko ukrytą zadrę, którą człowiek ten nosił w sercu od wielu lat, ranę, która nigdy się nie zagoiła. — Ale historia była wobec mnie mniej sprawiedliwa. Chciałem znaleźć się w niej.

— Wytłumacz się, człowieku — warknął Korba.

— Przeżyłem życie jako wielki mistrz miecza i dokonałem wielu mężnych czynów. Potraficie je wymienić? — Uniósł brwi, spojrzał ze znużeniem na Korbę, potem na strażników i z powrotem na Paula. — No dalej, musicie pamiętać przynajmniej niektóre. Którekolwiek. Ty na pewno, panie. A może pamiętasz tylko Riwy ego Dinariego, który zginął, chroniąc arcyksięcia Armanda podczas ataku w dniu ślubu twego ojca? Ale nie biednego mistrza miecza Bludda, któremu nie udało się ocalić Ilesy. — Spuścił głowę. — Straciłem wtedy szansę. Zawiodłem i zostałem odsunięty, natomiast Riwy odszedł w blasku chwały jako prawdziwy bohater. Prawdę mówiąc, został gwiazdą wszystkich historycznych relacji. Czytałeś je, panie?

— Byłem tam. Nie muszę ich czytać — odparł Paul.

— Walczyłem obok ekaskich i atrydzkich żołnierzy na Grummanie. Pomogłem w ostatecznej rozgrywce z wicehrabią Moritanim, ale czy ktoś o tym pamięta? Przez te wszystkie lata, kiedy

arcyksiążę Armand kurczowo trzymał się życia, byłem wiernym sługą Ekazów i, jak widać, niczego nie dokonałem! Dla ciebie nadzorowałem wznoszenie najwspanialszego dzieła architektury w dziejach ludzkości, ale zawsze będzie ono zwane twierdzą M u a d'D i b a. W tym Korba ma rację. Znajdę się tylko w przypisie.

W jego oczach pojawiły się łzy, ale nie wzbudziły one w Paulu ani odrobiny współczucia.

— Domagam się wspaniałego końca, który zostanie opisany w podręcznikach historii, nie osunięcia się w niepamięć — ciągnął Bludd. — Bez względu na to, co zrobiłem wcześniej, to wydarzenie powinno być postrzegane jako najwspanialszy czyn w mojej karierze mistrza miecza. — Rozejrzył się, jakby oczekiwał braw. — Twoja tajna policja może się odprężyć, panie. Zapewniam cię, nie kierowały mną żadne polityczne względy. Cała twoja służba bezpieczeństwa ze swoimi środkami prewencyjnymi i sprawdzianami wypatrywała wroga z zewnątrz, wyobrażając sobie pobudki, którymi może się kierować, i eliminując wszelkie zagrożenia, jakie byłeś sobie w stanie uświadomić. A co było motywem mojego działania? Chciałem tylko uwagi, uznania, szacunku. — Uśmiechnął się i ściszył głos. — Mimo wszystko muszę wyznać, że cieszę się, widząc cię żywym. I przypuszczam, że w końcu nie zostanę zapamiętany jako bohater. No cóż, lepiej odejść w sławie niż w niesławie, ale z dwojga złego lepiej odejść w niesławie, niż zostać całkiem zapomnianym.

— Na jakiej podstawie sądzisz, że nie nakazę wymazać twojego nazwiska z zapisków historycznych, jak zrobiono niegdyś z rodem Tantorów po zagładzie Salusy Secundusa? — Złość nadała głosowi Paula groźny ton.

Bludd skrzyżował żyłaste ramiona na piersi.

— Na takiej, Paulu Atrydo — odparł — że bez względu na to, co pisze księżna Irulana, masz zbyt duży szacunek dla historii. — Przeciągnął dłonią po gołej piersi, jakby wyobrażał sobie, że wygląda zmarszczki nieistniejącej koszuli. — Oczywiście skazesz mnie na śmierć. Nie mogę nic na to poradzić.

— Jesteś skazany na śmierć — powiedział Paul jakby po namyśle.

— Muad'Dibie, nie wierzę, że on działał sam! Taki złożony spisek? — zaprotestował Korba. — Ludzie nigdy w to nie uwierzą. Jeśli stracimy tylko tego jednego człowieka, potraktują to jako symboliczne wymiężenie kary, może nawet zobaczą w nim kozła ofiarnego. Będą przekonani, że nie udało nam się znaleźć prawdziwych sprawców zamachu.

Bludd roześmiał się sarkastycznie.

— A zatem ukarzesz przypadkowe osoby, bo jesteś zbyt ograniczony, by uwierzyć, że tego, co zrobiłem, mógł dokonać tylko jeden człowiek obdarzony talentem i wyobraźnią? — rzekł. — To do ciebie podobne.

Paul czuł za duże zmęczenie i odrazę, by dalej zajmować się tą sprawą.

— Kontynuuj śledztwo, Korba — powiedział. — Sprawdź, czy mówi prawdę. Ale nie przeciągaj tego zbyt długo. W Arrakin panuje za wielkie zamieszanie i chcę położyć temu kres.

Odprowadzono skutego Bludda. To dziwne, ale wyglądał na zadowolonego, a nawet sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło.



*Jednostki mogą być honorowe i bezinteresowne, ale w tłumie ludzie zawsze będą się domagać więcej — więcej jedzenia, więcej bogactw, więcej sprawiedliwości i więcej krwi.*

— przeprowadzona przez Bene Gesserit analiza ludzkiego zachowania, archiwa Wallacha IX

Plac przed twierdzą Muad'Diba był tak wielki, że mógłby pomieścić ludność małego miasta, ale zabrakło na nim miejsca dla wszyst' kich, którzy głośno domagali się, by ich wpuścić, bo chcą być świadkami egzekucji Whitmore a Bludda.

Stojąc tuż przed wejściem na znajdujący się wysoko balkon — zaprojektowany przez samego Bludda tak, by Imperator mógł stać ponad poddanymi i przemawiać do rzesz — Paul przyglądał się tłumowi falującemu jak piasek na bezkresnych diunach. Słyszał jego złorzeczenia i krzyki, wyczuwał nagromadzony gniew, który mogła rozpaścić drobna iskra.

Martwiło go to, ale nie był w stanie odmówić im tego widowiska. Jego Imperium opierało się na pasji i religijnej żarliwości. Ci ludzie przysięgli oddać za niego życie, obalali rządy planet w jego imię. Udając dzielnego bohatera, zdrajca Bludd próbował wyrządzić krzywdę ich ukochanemu Muad'Dibowi, czuli więc rozpaczliwą potrzebę zemsty. Paul nie miał wyboru — musiał przyznać im do niej prawo. Mimo prekognicji nie był w stanie przewidzieć szkód, jakie by wyrządził, gdyby ośmielił się przebaczyć Bluddowi. Gdyby się ośmielił! Był władcą Imperium, a jednak nie mógł swobodnie podejmować decyzji.

Strażnicy opróżnili środek placu, by można było przyprowadzić skazanych. Funkcjonariusze w tarczach osobistych używali pałek, powstrzymując napierającą ciżbę, ale było to jak próba zmiany kierunku wiatru podczas szalejącej burzy piaskowej. W gorączce, która ogarnęła tłum, niektórzy zwracali się przeciwko sobie, reagując przesadnie na niezamierzone popchnięcie czy kuksaniec.

„*To beczka prochu*” — pomyślał Paul. Teraz widział, że uzależnił ich od przemocy tak, jak oni byli uzależnieni od przyprawy. Jak mógł oczekiwać, że zwyczajnie przystaną na pokój? Tłum w dole był miniaturą całego jego Imperium.

Fedajkini wyprowadzili Bludda i dziesięciu innych mężczyzn z więziennego poziomu twierdzy. Skazańcy w ciężkich łańcuchach posuwali się z trudem.

Na ich widok tłum zareagował rykiem, który przetoczył się przez plac niczym fala. Znajdujący się na przedzie szeregu więźniów Bludd starał się iść sprężystym krokiem, chociaż był poważnie pobity, a stopy miał tak opuchnięte i obolałe, że ledwie je stawiał. Kroczący za nim byli rzekomo jego współnikami i mieli jakiś udział w masakrze.

Dwóch z tej dziesiątki było rzeczywiście nieudolnymi zamachowcami, którzy knuli spisek w celu zabicia Muad'Diba, ale zostali zatrzymani we wczesnej fazie jego realizacji. Pozostałym ośmiu Korba wyznaczył rolę kozłów ofiarnych, ale dla Paula było jasne, że dowody przeciwko nim zostały sfabrykowane, a ich zeznania wymuszone. Zauważył ze smutkiem, ale bez zdziwienia, że byli to rywale Korby, ludzie, którzy przeciwstawiali się jego władzy. Zrobiło mu się niedobrze.

„*A więc zaczyna się...*” — pomyślał.

Kamienna trybuna na placu, pod balkonem, stała się miejscem zgromadzeń kapłanów, głosicieli nowin i oratorów sławiących Muad'Diba. Teraz przekształcono ją w miejsce kaźni.

Chociaż Bludd kulał, zachowywał pozory gracji i męstwa, tymczasem trzech skazańców, którzy szli za nim, potykało się albo stawiało opór i trzeba ich było ciągnąć. Mężczyźni ci zapewniali o swojej niewinności (być może zgodnie z prawdą) gestami, wyrazem twarzy i jękami bólu. Ale ryk tłumu zagłuszał ich słowa.

Gdy tylko wciągnięto mistrza miecza na trybunę, ciżba znowu ryknęła, a jej nieartykułowane wycie zaczęło z wolna przybierać kształt przepelnionych nienawiścią, skandowanych słów:

— Bydlę Bludd! Bydlę Bludd!

Połowa skazanych padła na kolana, ale nie mistrz miecza, który stał z wysoko uniesioną brodą. Pozostali odwrócili z przerażenia głowy.

Bludd wyprostował wyzywająco ramiona i spojrzał na tłum. Długie pukle jego srebrzystozłotych włosów powiewały w podmuchach gorącego wiatru. Nawet teraz mistrz miecza, któremu zależało na tym, by historia nie zapamiętała go jako bełkoczącego ze strachu tchórza, najwyraźniej traktował to jako część widowiska. Z męznym uśmiechem wypinał pierś. Jeśli ma się okryć niesławą, zrobi to z prawdziwą ekstrawagancją.

Paul pozwolił, by emocje tłumu rosły. W końcu, przeszedłszy gładko przez służbę chroniącą pomieszczenie przed utratą wilgoci, pojawił się na balkonie w żółtym blasku słońca. Wiele twarzy w tłumie zwróciło się ku niemu z uniesieniem. Długą chwilę nic nie mówił, tylko chłonał pulsujący napływ emocji i pozwalał widzom chłonać swój widok. Krzyki przeszły w kakofonię i Paul wznosił ręce, by tłum się uciszył.

Mógł mówić normalnie, nawet bez potrzeby korzystania z ustawionych wokół placu wzmocniaczy, ale krzyknął:

— Wymierzę sprawiedliwość!

Nawet Bludd obrócił się do niego. Wydawało się, że mistrz miecza chce mu zaszalować, ale miał związane ręce.

Paul postanowił, że nie będzie wygłaszał długiej, pompatycznej mowy. Tłum wiedział już, o jaką chodzi zbrodnię i kogo uznano za winnego.

— Jestem Muad'Dib i ofiarowuję wam ich w darze. — Wskazał Bludda i resztę. — Wy wymierzycie sprawiedliwość.

Strażnicy zdjęli Bluddowi i pozostałym więźniom kajdany, te zaś upadły z hałasem na trybunę. Wiedząc, co nastąpi, zniknęli szybko w tłumie. Machnąwszy lekceważąco ręką, Paul wszedł z powrotem w cień i usunął się z widoku, jakby umywał w tej sprawie ręce. Ale nadal przyglądał się temu, co się działo na placu.

Tłuszcza zawahała się, niepewna, co zrobić, nie mogąc uwierzyć w to, co powiedział Muad'Dib. Dwóch skazanych podjęło próbę ucieczki. Bludd stał na trybunie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i czekał.

Tłum runął naprzód jak miążdżąca wszystko na swej drodze tala. Ludzie wyli i czepiali się siebie, by dostać się bliżej trybuny. Paul patrzył z odrazą, jak rozrywali Bludda z dziesięcioma innymi nieszczęsnymi kozłami ofiarnymi.

W cieniu obok niego stanęła Chani, która wśliznęła się tam niepostrzeżenie. Miała mroczną minę i twarde wzrok. Czuła fremeńską żądzę krwi, chciała widzieć ból zadawany tym, którzy targnęli się na życie jej i jej ukochanego. Mimo to na widok takiego okrucieństwa i fanatyzmu na jej twarzy pojawiła się odraza.

Paul dokładnie wiedział, co tutaj stworzył. Długo zmuszony był odwoływać się do przemocy, by osiągnąć to, co trzeba było osiągnąć. A przemoc była potężnym i skutecznym narzędziem. Ale wydawało się, że ten śliski instrument przekręcił się w jego rękach i że teraz to on stał się narzędziem przemocy. Jakaś ciemna strona jego osobowości nie była pewna, czy zdoła zapanować nad tym, co uwolnił. I czy w ogóle tego chce.

*Prawdziwej moralności i honoru nigdy nie da się ująć w paragrafy prawa, przynajmniej takie, które uwzględniałyby każdą ewentualność. Szlachcic musi być zawsze przygotowany na wybór najlepszej drogi i na uniknięcie dzięki temu bocznych, pogrążonych w mroku ścieżek oraz duchowych ślepych zaułków.*

— następca tronu Raphael Corrino

— Są całkiem dobrymi wojownikami — przyznał baszar Zum Garon, patrząc na grupę gholi, którą Tleilaxanie zaprezentowali na zadaszonej arenie w Thalidei. — Nie mogą się absolutnie równać z moimi sardaukarami czy z fedajkinami Muad'Diba, ale widzę u nich duże umiejętności. Imperator Szaddam może uznać, że nadają się do jego tajnej armii.

— Ach, hmmm — powiedział hrabia Fenring, który siedział obok Margot w części przeznaczony dla widzów. — Ten brodaty wykonał całkiem zgrabną ripostę. — Przyglądali się, jak stu umundurowanych żołnierzy toczy ćwiczebne walki z użyciem symulatorów broni, które zostawiały na ciałach przeciwników ślady pokazujące „zabitych” i „rannych”. Używali namiastek mieczy, głuszków, noży, strzałek i broni miotającej.

— A ten w czerwonym nawet przywoicie dźgnął przeciwnika, ale wszyscy oni spóźniają się o pół kroku — zauważyła lady Margot.

Doktor Ereboam pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Kiedy skończymy ich udoskonalanie, będą mogli z powodzeniem stawać i przeciw sardaukarom, i przeciw fedajkinom, bo zostali stworzeni z tego samego materiału. W ich umysłach nie zachowały się wspomnienia z poprzedniego życia, ale ich ciała pamiętają szkolenie, które przeszły. Nasi żniwiarze z pól bitewnych zbierają komórki poległych wojowników, a nawet nietknięte ciała, jeśli da się je naprawić. Te ghole mają takie same odruchy mięśniowe i wybitne umiejętności jak najsłynniejsi wojownicy. Oni są tymi najsłynniejszymi wojownikami.

— Hmmm, pozwalam sobie wyrazić opinię, że żołnierz, który nie przeżyje bitwy, nie jest... aaach... na mocy definicji najlepszym wojownikiem.

Badacz albinos zmarszczył brwi.

— To najlepsi z najlepszych, którzy nie tylko mieli ponadprzeciętne umiejętności, ale zginęli, dzielnie stawiając czoło przeciwnikom — powiedział. — Z tych wskrzeszonych wojowników można stworzyć dla Imperatora Szaddama wspaniałą armię, armię, o której istnieniu Muad'Dib nie ma najmniejszego pojęcia. Nie ma ich na listach płac, ich nazwiska zostały wymazane. Jeśli przemycimy ich na Salusę Secundusa, będzie się wydawało, że wzięli się znikąd.

Garon pokiwał poważnie głową.

— Poinformuję Imperatora o waszej ofercie — rzekł. — Są gholami, więc żaden z nich nie boi się śmierci. Tak, faktycznie mogą być nieustraszeni.

Chociaż Fenring nie miał najmniejszej ochoty brać udziału w jakimkolwiek spisku Szaddama, który — tak jak wszystkie poprzednie — na pewno się nie powiedzie, musiał przyznać, że ten daje pewne nadzieje. Obawiał się jednak, że obalony Imperator nigdy naprawdę nie zrozumie, jak odmiennym od innych i potężnym wrogiem jest Muad'Dib, którego fanatyczne armie są pozbawione instynktu samozachowawczego.

Hrabia Fenring i lady Margot wiedzieli, że plany, które wiążą z Marie, mają dużo większe szanse powodzenia niż irytujące spiski Szaddama, których celem było przywrócenie go do władzy. Mimo tak młodego wieku Marie przechytrzyła i pokonała obłąkanego Thalla. Klęska ta skonsternowała Tleilaxan, ale Fenring nie potrzebował do odniesienia sukcesu ich nieudanego kandydata na Kwisatz Haderach.

Tak, dziewczynka znakomicie rozwijała swoje umiejętności.

Patrzył, jak pośrodku areny pojawiła się imitacja miasta; spod podłogi wyrosły fasady budynków. Ghole podzielili się na dwa oddziały odróżniające się pasami — żołnierze jednego mieli niebieskie, ich przeciwnicy czerwone — po czym przystąpili do walki na ulicach, strzelając do siebie zostawiającymi ślady strzałkami. Żaden nie wypowiedział nawet słowa.

— Moja Marie mogłaby pokonać całą tę grupę — mruknął hrabia Fenring. — Musisz się lepiej postarać, doktorze.

Ereboam roześmiał się drwiąco.

— Z tyłoma wyszkolonymi przeciwnikami byłaby bez szans — powiedział.

— Och, miałyby całkiem dużą szansę — zgodziła się z mężem lady Margot. — Być może w twierdzeniu, że zdołałyby zabić stu takich wojowników, jest trochę przesady, jestem jednak pewna, że mogłyby wyeliminować tuzin.

— Tak — rzekł Fenring, poprawiając się. — Niech będzie piętnastu.

Baszar Garon wydawał się do głębi poruszony tą sugestią.

— Ta mała dziewczynka? — spytał z niedowierzaniem. — Przeciw zaprawionym w walce wojownikom? Przecież ona nie może mieć więcej niż siedem lat.

— Aaach, ma szczęście — powiedział Fenring. — Nie chodzi tutaj o jej wiek, ale o poziom jej umiejętności. — Ściszył głos, dodając groźną nutę. — Może to ją powinienem posłać na dwór Szaddama. Nasz drogi Imperator przekonałby się, że ją jest dużo trudniej zabić niż mojego drogiego kuzyna Dalaka.

Nie darzył męża Wensicji wielką miłością, nawet nie znał go zbyt dobrze, ale ten dureń był członkiem rodziny Fenringów. Kiedy Garon poinformował go o „*nieszczęśliwym wypadku*”, w którym Dalak zginął — najpierw przekazując mu łgarstwo Szaddama, a potem mówiąc prawdę o niegodnym czynie Imperatora — hrabia bardzo się zirytował. Nie mógł zignorować tej zniewagi, nawet przez wzgląd na ich rzekomą przyjaźń od dzieciństwa. Jeśli chodziło o baszara, raziło go wiele ostatnich postępków Szaddama, a zamordowanie Dalaka było tylko jednym z nich.

Dla Fenringa był to jeszcze jeden powód, by nie pomagać Szaddamowi i, jeszcze jeden powód, by gardzić nieudolnością tego człowieka. Miał ochotę rozszerzyć cel swojego spisku i zlikwidować nie tylko Muad’Diba, ale również Corrinów. Wybić ich do nogi. Spalić ich planety. Zetrzeć z mapy wszechświata.

Może później. Z Marie na tronie zrobi się to. Wszystko w swoim czasie. Prawdziwym wrogiem był Muad’Dib. Szaddam był... nieistotny.

— A może pozwolimy dziecku zademonstrować swoje zdolności w starciu z gholami doktora Ereboama? — rzekł Fenring, celowo drażniąc albinosa. Musiał jakoś dać upust przepelniającej go wściekłości. Marie czekała w pobliżu, siedząc samotnie w pokoju zabaw. Od zabicia Thalla nie miała się z kim bawić.

— Naprawdę chcesz wystawić waszą dziewczynkę przeciwko tuzinowi wyćwiczonych żołnierzy? — zapytał z niedowierzaniem Garon.

— Przeciw piętnastu — poprawił go Fenring. W czasie treningów Marie udowodniła już, że potrafi sprostać nawet większemu wyzwaniu. — Hmmm, tak, to powinna być wystarczająca liczba.

Oczy Marie błysnęły groźnie, kiedy wprowadzono ją na małą, zadaszoną arenę. Powiedziano jej, że nadeszła pora na zabawę. Uśmiechając się do niej, Fenring poczuł przypływ adrenaliny. Był całkowicie pewien swojej słodkiej córeczki.

Lady Margot wydawała się równie podekscytowana.

— Teraz zobaczycie, co potrafi dziecko Bene Gesserit doprawione radami mojego męża i szczyptą tleilaxanskich technik wypaczania — powiedziała. — Ma dużo bogatszy zasób umiejętności niż jakikolwiek asasyn przed nią.

Piętnastu wybranych przez Ereboama umundurowanych gholi posłano już na arenę i — na naganie Fenringów — wyposażono w prawdziwą broń. Hrabia pogładził Marie po jasnowłosej główce i wręczył jej sztylet.

— To wszystko, co powinno być ci potrzebne, hmmm? — rzekł, po czym pochylił się i pocałował ją w czoło.

— To wszystko, czego potrzebuję.

Margot pocałowała córkę w policzek przed wysłaniem jej na arenę. Naprzeciw Marie stanęli muskularni, dojrzały żołnierze, patrząc na dziewczynkę z zakłopotaniem, kiedy zatrasnęły się drzwi i obserwatorzy pozostali za ogrodzeniem.

— Teraz — rzekła Margot, używając nieustępliwego, rozkazującego Głosu — zgaście światła. Będzie walczyła w kompletnych ciemnościach.

— Hmmm... aaach, tak — zgodził się z nią Fenring. Jego oczy błyszczały. — Dzięki temu wyzwanie będzie trudniejsze.

Hrabia widział, że baszar Garon z niepokojem słucha dobiegających z areny odgłosów walki — świstu strzałek, okrzyków zaskoczenia i bólu wydawanych przez ghole. Kilku wrzasnęło, umierając. Nadal panowały ciemności.

Uśmiechnął się pod nosem i ucisnął dłoń lady Margot spoczywającą na jej łonie. Poczuł, że ma przyspieszony puls.

— To tylko trochę kontrolowanej agresji — rzekł do dowódcy sardaukarów, jakby chciał uśmierzyć jego obawy.

— Ale ich jest wielu, a ona jest taka mała — odparł baszar.

Nadal słyhać było krzyki mężczyzn, a potem zapanowała niesamowita cisza. Trzydzieści sekund później zapaliły się światła.

Na arenie stała Marie, patrząc na łożę widzów. U jej stóp leżało piętnaście nieruchomych ciał — najlepszych wojowników, jakich mogli wystawić Tleilaxanie. W jakimś momencie dziewczynka odrzuciła sztylet; jej ręce, stopy i twarz usiane były plamkami krwi. Hrabia Fenring nadal nie mógł się nadziwić, jak drobna i niewinna wydaje się jego córka. Rozpierała go duma.

— Zdumiewające — rzekł Garon.

— Strata naszych najlepszych gholi — dodał gorzko doktor Ereboam.

— Może powinniście zacząć od nowa, z lepszym materiałem genetycznym — powiedziała lady Margot z nutą sarkazmu.

Fenring przyglądał się pozostałym mistrzom tleilaxanskim konferującym w swoim brzydkim, sekretnym języku. Nie obchodziło go, co mówią. Dostatecznie dużo ujawniała mowa ich ciał.

Marie działała z zabójczą precyzją, czerpiąc z bogactwa udzielonych jej nauk. Hrabia zastanawiał się z dreszczykiem strachu, czy nie pokonałaby nawet jego. Obrócił się do żony i zobaczył, że jej oczy skrzą się od łez. Od łez szczęścia, pomyślał.

— Marie jest gotowa — powiedziała krótko.



*Uważa się, że zapisany „fakt” jest z natury rzeczy prawdziwszy niż plotka czy pogłoska, ale nie ma żadnych podstaw, by uznawać fizyczne dokumenty za prawdziwsze od opowieści naocznych świadków.*

— Gilbertus Albans, *Dysputy mentata o historii*

Imperium nie mogło się otrząsnąć z szoku spowodowanego przez akt przemocy w Niebiańskiej Sali Posłuchań, a będąca nań reakcją złość ludzi przejawiała się w coraz brutalniejszych najazdach na nowe planety. Dżihadyści domagali się w imieniu Muad’Diba surowej kary i płaciło za to wiele niewinnych populacji.

Co gorsza, Irulana widziała, że Paul przymyka oczy na ten niepotrzebny rozlew krwi.

Nikt ważny nie zwrócił uwagi na śmierć jej siostry. Rugia była po prostu jedną z osób na liście ofiar i tylko nieliczni zauważyli, że to najmłodsza córka Padyszacha Imperatora, człowieka nazywanego niegdyś „*Władcą Miliona Planet*”. Światło historii skupiało się tylko na Muad’Dibie i stale rosnącej przemocy wokół niego. Ród Corrinów był wart jedynie przypisu do historii... czego mistrz miecza Bludd przysiągł uniknąć.

Ale Irulana nie mogła zapomnieć, jak trzyma w ramionach ciało siostry, i pozwoliła sobie na przypływ nienawiści do Paula, bo nie obchodziła go jej żałoba. Nawet jej nie zauważył.

Zajęty rozprawą z kolejnymi planetami i zwiększaniem bezpieczeństwa po zamachu, Paul nie dostrzegł jej bólu. Jakież stał się twardy! Jak brutalny i nieugięty! Być może były to cechy, które powinien mieć czczony jak bóg przywódca galaktyki... ale nie cechy, którymi powinien się odznaczać człowiek. Nic nie mogła poradzić na to, że była zgorzkniała.

Według doniesień jej ojciec zawodził z żalu, kiedy dotarła do niego smutna wiadomość. Niewielu ludzi oszukał swoimi krokodylimi łzami, ale na pewno zyskał trochę współczucia. Biedny Szaddam wysłał posłusznie najmłodszą i „*najukochańszą*” córkę na ceremonię wielkiego hołdu, a Muad’Dib pozwolił, by ją zabito! Ojciec miał z pewnością dość sprytu, by wykorzystać tę tragedię dla nabrania rozmachu, być może jako atut w kolejnej rozgrywce, w której stawką była władza.

Księżna podejrzewała, że wysłał już emisariuszy z misją odnalezienia earla Thorvalda i, powołując się na rodzinne koneksje, prosił za ich pośrednictwem brata swojej „*drogiej, ale niestety utraconej*” piątej żony, Firenzy, o wsparcie. Może nawet uda mu się je uzyskać, przynajmniej na pewien czas.

Irulana ponownie zapanowała nad emocjami, wykorzystując szkolenie Bene Gesserit, by znaleźć równowagę między swymi sprzecznymi rolami. Nie pozwalano jej wywierać bezpośredniego wpływu na rząd. Nie była prawdziwą żoną Paula. Nie była jego oblubienicą.

Ale wciąż była jego oficjalną małżonką i córką Imperatora.

Paul znał jej wartość, doceniał zarówno jej zdolności pisarskie, jak i znajomość polityki. Już prawie skończyła opis jego ciężkich przeżyć we wczesnej młodości, podczas wojny asasynów, i jak Szeherezada będzie nadal starała się pozostać niezastąpiona. Jego następcy zapragną zrozumieć jego życie, jego filozofię, jego wizję, w której widział ich przyszłość, przyszłość Diuny i wszystkich zasiedlonych planet. W końcu jego matka była Bene Gesserit. Bardzo dobrze znał wartość mitu.

Apartamenty Irulany, z przyległymi gabinetami, solarium i otoczonym murem ogrodem pełnym sukulentów, zostały tak zaprojektowane, by panowały w nich warunki sprzyjające pisaniu. Miała dobre światło, pomieszczenia do medytacji, sekretarzy, jeśli ich potrzebowała, i nikt jej nie przeszkadzał. Z rozkazu Muad’Diba dostarczano jej historyczne dokumenty oraz usilnie namawiano przyjaciół Atrydów, naocznych świadków wydarzeń, a nawet dawnych rywali, do udzielania księżnej wywiadów.

Irulana obiecywała sobie, że pewnego dnia opowie też o własnym wychowaniu w domu Imperatora i znajdzie jakiś sposób, by upamiętnić biedną Rugię. Z każdym dniem następny rękopis był coraz bliższy ukończenia...

Do ogrodu, w którym siedziała przy małym stoliku otoczonym szigastrunowymi szpulami i ich czytnikiem, księgofilmami i arkuszami papieru przyprawowego do sporządzania notatek, wmaszerowało trzech łedajkinów. Podniosła głowę i ze zdumieniem zobaczyła, że idzie ku niej Paul.

Poza milczącymi strażnikami nie było innych świadków spotkania, uznała więc, że nie musi zachowywać się nazbyt oficjalnie.

— Mężu, twoja wizyta w moim prywatnym skrzydle jest dość nieoczekiwanym wydarzeniem — powiedziała.

— Poświęcałem za mało uwagi twojemu pisaniu — rzekł głosem płaskim jak miecz sardaukara. — Panuje wielki niepokój, więc z niecierpliwością czekam na wydanie kolejnego tomu. Muszę jednak uważać na to, co publikujesz. Tym razem przeczytam twoje dzieło dokładnie.

— Żeby je ocenzurować? — Udała oburzenie, ale nigdy nie spodziewała się, że ukończy pracę bez ingerencji.

— Żeby się z nim zapoznać. Dobrze wiesz, co powinnaś napisać, a czego nie. Na tyle ci ufam.

Stanął przed nią i czekał, ani trochę nieodprężony, a ona siedziała, otoczona pisarskimi akcesoriami. Trzej strażnicy byli zdecydowanie niezadowoleni, że nie padła przed nim na ziemię. Uśmiechnęła się na myśl o tym.

— Sądzę, że powinieneś mianować mnie swoim oficjalnym ministrem propagandy — powiedziała.

— Już pełnisz tę funkcję... i robisz to dobrze. — Jego oczy zwięzły się. — Chociaż nie jestem całkowicie pewien, dlaczego to robisz. Jesteś ga n i m ą, nagrodą, którą wygrałem w bitwie. Nie możesz szanować mnie jako męża, ale nie sądę, byś pragnęła władzy dla samej władzy. Z jakich naprawdę działasz pobudek?

— Jestem dziejopisarką, mężu.

— Żaden kronikarz nie pisze bez programu. Właśnie dlatego nigdy nie przedstawia się obiektywnej prawdy. Chcesz, bym wierzył, że jesteś wobec mnie lojalna — kosztem własnej rodziny i zgromadzenia żeńskiego — i całym sercem przyjmujesz swoją rolę? Nie masz żadnych ukrytych zamiarów, nie knujesz żadnej intrygi?

Irulana spojrzała na notatki, by zdołać uporządkować myśli.

— Sam odpowiedz sobie na to pytanie, Paulu Atrydo — odparła. — Postąp jak mentat. Dlaczego miałabym pozostać skrycie wierna rodowi Corrinów i ojcu? Poniósł klęskę. Dlaczego miałabym się stosować do tajnych instrukcji Bene Gesserit? One też poniosły klęskę. Gdzie mogę najwięcej zyskać? Jako twoja lojalna żona. Spójrz na mnie, zadaj sobie to pytanie i sam zdecyduj, w kogo powinienam zainwestować.

Patrzyła, jak podąża za logiką tego wyводу.

Pochylił się nad stołem, wziął kilka kart ze stosu zapisanego przez nią papieru, przebiegł je wzrokiem, przy czym jego oczy poruszały się z szybkością elektryczności statycznej. A potem wziął cały rękopis.

— Niedługo wyjeżdżam — powiedział. — Czuję potrzebę... oddania się medytacjom w jakimś ustroniu. Tymczasem przeczyta to Korba.

Irulana uśmiechnęła się do niego smutno.

— Korba widzi to, co chce widzieć — rzekła.

Paul wręczył rękopis jednemu ze strażników, ten zaś wziął go tak, jakby to było święte słowo albo obciążające dowody.

— Owszem, jest przewidywalny — zgodził się z nią. — Ale dlatego użyteczny.

„*Tak jak ja*” — pomyślała Irulana.



**CZĘŚĆ VI**  
**MŁODY PAUL ATRYDA**  
**10 187 EG**



*W dżunglach Kaladanu Paul Atryda poznał wartość zaciekłości, nauczył się, że lepiej naciskać przeciwnika, niż pozwolić mu się ścigać. Z naszej obecnej perspektywy trzeba to postrzegać jako jeden z czynników, które spowodowały, że stał się najagresywniejszym władcą w długiej historii Imperium. Pogodził się z koniecznością tropienia i zabijania wrogów bez odrobiny współczucia czy żalu.*

*Podczas swojej pierwszej wyprawy wojennej, kiedy to dołączył do ojca na polach bitewnych Grummana, Paul zobaczył, jak przemoc zaraża ludzi irracjonalnością, jak nienawiść może wziąć górę nad rozsądkiem. Wtedy też zrozumiał, że najgroźniejszym wrogiem nie jest ten, który ma najwięcej broni, lecz ten, który ma najmniej do stracenia.*

— z *Historii dzieciństwa Muad'Diba* pióra księżnej Irulany



*Nie dzięki ostremu brzeszczotowi miecz jest dobrą bronią. Staje się nią dopiero w rękach tego, kto go dzierży.*

— kredo mistrzów miecza

Dołączywszy z Duncanem do atrydzkich oddziałów stacjonujących na Ekazie przed wyruszeniem połączonych sił na Grummana, Paul prężył dumnie pierś w nowym mundurze. Po przetrwaniu w dzikich ostępach Kaladanu dołożył starań, by godnie zaprezentować się ojcu i nie wyglądać jak fircyk czy kadet, który nigdy nie miał brudu pod paznokciami. Paul już dawno zauważył, że żaden z weteranów, takich jak Duncan czy Gurney, nie wygląda, jakby miał mundur wprost spod igły. Sprawiali wrażenie zaprawionych w bojach zawodowców, a ich broń nosiła ślady zużycia i częstego czyszczenia. Nie lśniła, ale doskonale nadawała się do tego, czemu miała służyć.

Poszli obaj na lądowisko za pałacem Ekazów, gdzie armie obu rodów przygotowywały się do pierwszego uderzenia na Moritanich. Połączonych sił było aż nadto, by zmiażdżyć przywódcę Grummana i pomścić tych, którzy zginęli w wyniku jego bezlitosnego spisku.

Paul i Duncan znaleźli Leto stojącego w cieniu prywatnej fregaty Atrydów. Młodzieniec nie mógł się doczekać, kiedy opowie ojcu o tym, co przeszedł. Zastanawiał się, czy księżę uroni choćby łzę, gdy dowie się o śmierci matki...

Leto dokonywał przeglądu oddziałów z miejsca u podnóża trapu fregaty. Paul od razu zauważył, że ojciec ma jeszcze bardziej podkrążone oczy niż wtedy, kiedy się z nim rozstawał. Po śmierci Victora i Kailei oraz tragedii, którą przeżył jego przyjaciel Rhombur, rany w sercu księcia nigdy się na dobre nie zabiły. Otworzyło je na nowo zamordowanie Ilesy. Przyjrzawszy się bacznie ojcu, Paul spostrzegł, że jest znękany. On też przeszedł ciężkie próby na Ekazie.

Objął Paula, ale wydawało się, że nie chce okazać, jaką ulgę i radość odczuł na jego widok. Uśmiechnął się za to do mistrza miecza.

— Duncan, zapewniłeś bezpieczeństwo mojemu synowi — powiedział.

— Wedle rozkazu, panie — odparł Idaho.

Wśród panującego zgiełku, który czynili żołnierze sprawdzający broń i wchodzący na fregaty, Paul i Duncan opowiedzieli o swoich przygodach. Potem Leto opowiedział im, jak własnoręcznie zabił Prada Vidala. Wydawało się, że wcale nie jest z tego dumny.

— O to chodzi w wojnie asasynów, Paul — podsumował. — Śmierć spotyka tylko tych, którzy wojują, a nie niewinnych ludzi.

Podszedł do nich Armand Ekaz w towarzystwie dwojga ubranych na szaro przedstawicieli Gildii, mężczyzny i kobiety, którzy jednak wyglądali równie beczliwie.

— Leto, musimy załatwić formalności. — Pusty rękaw kaftana arcyksięcia był przypięty do jego piersi niczym medal za męstwo. Władca Ekaza doszedł do siebie na tyle, że mógł już wykonywać swoje obowiązki. — Musimy wypełnić formularze i podpisać umowy.

— Tak, przestrzegamy wszystkich zasad — rzekł gorzko Leto. — Konwenansów ludzi cywilizowanych.

Przedstawiciele Gildii spojrzeli spod zmrużonych powiek, a kiedy przemówili, w ich głosach nie było słyhać nawet śladu emocji, jakby pozostały z nich tylko łupiny ciał.

— Trzeba przestrzegać zasad — stwierdziła z naciskiem gildianka.

— I przestrzegamy ich — odparł nieco dwornie Leto.

Paul wiedział, że ojciec chce jak najszybciej załadować fregaty na liniowiec i polecieć na Grummana. Podniósł głowę i spojrzął na Gurneya Hallecka, który — stojąc we władze — patrzył gniewnie na biurokratów. Kiedy pochwycił wzrok Paula, na jego szerokiej twarzy pojawił się uśmiech.

— Wszystkie niezbędne dokumenty zostały złożone w Landsraadzie, a ich kopie wysłane do centrali Gildii Kosmicznej na Węzle — powiedział arcyksiężę Armand. — To prawidłowa z prawnego punktu widzenia akcja wojskowa.

— Thufir Hawat przedstawił naszą sprawę Imperatorowi, to samo zrobiła też ambasador Ekaza — dodał Leto. — Szaddam IV publicznie napiętnował wicehrabiego Moritaniego, a więc pośrednio uznał zasadność naszych skarg.

— Kiedy Bóg rzuca swoją kostką, lepiej trzymać się z dala — odezwał się Gurney. Paul nigdy wcześniej nie słyszał tego cytatu i zastanawiał się, czy Halleck nie wymyślił go na poczekaniu.

— A teraz, z Bożej łaski i w imię wendety, zamierzamy uderzyć na Grummańczyków. — W słowach Gurneya kryło się niewypowiedziane wyzwanie, jakby chciał sprowokować gildian, by spróbowali ich powstrzymać.

Dziwnie podobni do siebie przedstawiciele po prostu się skłonili i cofnęli o krok.

— Tak jest. Możecie wydać bitwę rodowi Moritanich, ale Imperator zastrzega sobie prawo do ingerencji, jeśli dojdzie do wniosku, że to konieczne.

— Do ingerencji? — zapytał Leto. — A może do interwencji?

Przedstawiciele Gildii nie odpowiedzieli na to pytanie.

— Możecie załadować wasze siły militarne na liniowiec — oznajmił gildianin, po czym oboje szybko się oddalili.

Arcyksiążę Armand wydał swoim oddziałom rozkaz, by zaokrętowały się na fregaty. Gurney związał się jak w ukropie, kierując operacją i krzycząc tak, że zagłuszał nawet grzejące się silniki statków.

Jednak Duncan pozostał obok księcia ze smutną, nawet zawstydzoną miną. Rozwinął pakunek, który miał pod ramieniem, i pokazał wysłużoną rękojeść i uszkodzoną klingę miecza Starego Księcia.

— Panie, to był oręż twojego ojca — powiedział. — Kazałeś mi nosić go z czcią i używać w obronie rodu Atrydów. Robiłem to, ale obawiam się, że... — Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa więcej.

— Duncan wielokrotnie go użył, by mnie uratować — rzekł Paul.

Leto popatrzył na słynny miecz, którym Paulus Atryda posługiwał się podczas widowisk na Kaladanie i w legendarnych bitwach w trakcie powstania ekaskiego u boku ojca Rhombura. Duncan wiele lat nosił tę broń, walczył nią i szkolił Paula.

Chichot księcia był zaskakującą reakcją na ponurą postawę Duncana.

— Ta broń służyła nam aż nadto, Duncan — powiedział. — Kiedy wrócimy do zamku kaladańskiego, zostanie złożona z wszelkimi honorami na spoczynek. Na razie jednak potrzebuję twojego walecznego ramienia i ostrego brzeszczota w twojej dłoni. Jesteś ginaskim mistrzem miecza w służbie Atrydów. Najwyższy czas, byś miał własny miecz.

Uśmiechając się niepewnie, Duncan spojrzał na Paula, a potem znowu na Leto.

— Nowe ostrze przed bitwą na Grummanie — rzekł. — Tak, panie, będzie to piękny chrzest dla tej broni.

Dziwnie cichy mistrz miecza Bludd uważnie przejrzał zbrojownię i muzealne skrzydło pałacu arcyksięcia, nim znalazł miecz, który uznał za odpowiedni dla Duncana Idaho. Uparł się, że musi to być arcydzieło metalurgii i płatnerstwa, które nigdy jeszcze nie zostało użyte w bitwie.

Fircyk przyniósł z powagą lśniąca broń. Kiedy do nich podszedł, najpierw zgiął klingę, a potem zrobił nią kilka szybkich, fachowych pchnięć w każdą stronę.

— Nada się — powiedział. — Sam go wypróbowałem.

Gdy podał go księciu, który następnie przekazał broń Duncanowi, zdawał się mieć łzy w oczach.

— Po zwycięskim powrocie na Kaladan nasi najlepsi płatnerze umieszczą na rękojeści herbowego jastrzębia — rzekł Leto. — Ale ten oręż już jest twój, Duncan. Zrób z niego dobry użytek w obronie Atrydów.

Duncan skłonił się, po czym przyjął miecz.

— Zanim nadejdzie ta chwila, naznaczę go potem, panie — powiedział. — Będę go używał z honorem.

— I nadal masz obowiązek chronić życie mojego syna. — Leto przybrał poważny ton. — Wyruszamy na wielką bitwę, nie mogę więc pozwolić, byś walczył byle jakim mieczem.

Paul widział, jak wokół nich unoszą się z lądowiska wojskowe statki — fregaty, transportery, jednostki bojowe — i lecą w stronę liniowca. Gurney Halleck, ktcsry pojawił się, by być świadkiem krótkiej ceremonii, skinął z uznaniem głową na widok nowego miecza.

— Myślę, że któregoś dnia Gurney powinien napisać balladę o Duncanie Idaho — rzekł Paul.

— Duncan musi się najpierw czymś wyróżnić, szczeniaku — odparł z uśmiechem Halleck. — Nie mogę pisać pieśni o wszystkich przeciętnych wojownikach.

— Duncan nie jest i nigdy nie będzie przeciętny — stwierdził Paul.

*Ci, którzy szukają sławy i chwały, najmniej na nie zasługują.*

— Rheinvar Wspaniały, kuglarz (i rzekomo maskaradnik)

Chociaż baron zżymał się, że wicehrabia Moritani, stosując bezczelny szantaż, zapędził go w ślepy róg, starał się usilnie znaleźć rozwiązanie, które nawet w tej sytuacji byłoby korzystne dla Markon\*nenów. Hundro Moritani dowiódł, że jest wybuchowy, skłonny do przemocy, nieprzewidywalny i niegodny zaufania, które to cechy były bardzo dobrze znane baronowi, ale teraz zwróciły się przeciw niemu. Nie chciał tracić swojej dywizji w nierozważnych walkach na Grunmanie, w beznadziejnej bitwie, której nie można było wygrać. Żołnierzy można było oczywiście zastąpić nowymi, ale nie byli oni tani.

Strategia wicehrabiego była głupia, niezręczna i prowokacyjna, a Vladimir Harkonnen pozwalał mu robić, co mu się podobało, dopóki Moritani ryzykował własne gardło. Teraz jednak zmuszał on barona do udziału w tym szaleństwie i do posłania swego następcy w paszczę lwa.

Glossu Rabban był pierworodnym synem pobłażliwego brata barona, Abulurda. Jako że Rabban był starszy od Feyda, a obaj byli jedynymi bezpośrednimi spadkobiercami Harkonnenów, baron nie miał wyboru i musiał mianować jednego z nich swoim następcą. Rabban spodziewał się, że to on zostanie na–baronem, ale Feyd najwyraźniej dużo bardziej nadawał się do tej roli i był znacznie inteligentniejszy.

Tak więc między braćmi trwała rywalizacja, która mogła się zakończyć morderstwem, a Rabban na pewno nie cofnąłby się przed zabiciem Feyda, żeby zapewnić sobie tytuł. Baron przestrzegł go przed takim pochopnym czynem, ale Rabban był często głuchy na przestrogi i głos rozsądku.

Być może jednak ultimatum Moritaniego stwarzało możliwość zgrabnego rozwiązania tego problemu. W końcu ród Harkonnenów nie miał tak naprawdę wyboru.

Baron zwlekał, jak długo się dało, ale wreszcie wezwał do siebie Rabbana. Zdjął pas drytowy i wyciągnął się we wzmocnionym, suto wyściełanym fotelu. Rabban wmaszerował do pokoju z taką miną, jakby się spodziewał, że dostanie reprimendę za kolejną błędną decyzję.

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość, bratanku. — Vladimir podniósł z uśmiechem karafkę z brandy z Kirany i nalał po kieliszku dla siebie i dla krzepkiego młodzieńca. — Wznieśmy toast. Śmiało, nie jest zatruta.

Widać było, że Rabban jest zdezorientowany i podejrzliwy. Mimo to skosztował brandy, a potem pociągnął tęgi łyk.

— Czynię cię dowódcą dywizji harkonneńskich żołnierzy — oznajmił baron. — Polecisz na Grummana, gdzie pomożesz naszemu sojusznikowi, wicehrabiemu Moritanemu, walcząc u jego boku.

Rabban wyszczerzył zęby w uśmiechu jak głupiec.

— Cała dywizja na polach bitewnych Grummana, stryju? — powiedział. — Przeciw Atrydom?

— Tak, będziesz walczył przeciw Atrydom. — Baron delektował się tą myślą tak samo jak smakiem swojej brandy. — Udział Harkonnenów musi być utrzymany w ścisłej tajemnicy, bo inaczej będą poważne konsekwencje. Widziałem Imperatora podczas przesłuchania Moritaniego w Landsraadzie. Nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że potajemnie pomagamy rodowi Moritanich. Będziesz nosił grummański mundur, podobnie jak reszta naszych żołnierzy.

— Nie zawiodę cię, stryju.

Baron starał się zachować nieprzenikniony wyraz twarzy.

„*I tak nie wiążę z tobą żadnych oczekiwań, więc nie mogę się na tobie zawieść*” — pomyślał.

Pociągnął łyk brandy i uśmiechnął się. Na wszelki wypadek polecił zaufanym oficerom, by mieli oko na jego bratanka i dopilnowali, żeby nie popełnił żadnego poważnego błędu. Rabban, który osuszył już swój kieliszek, wydawał się rozczarowany, że baron nie napełnił go ponownie.

— No to leć. Żołnierze dostali już rozkazy. Musicie odlecieć natychmiast, żeby dostać się na Grummana przed naszymi wrogami. Jeśli dotrzecie tam za późno, nie będzie z kim walczyć.

Stojąc na suchych wzgórzach obok Ritki, Bestia Rabban podniósł brodę, wciągnął haust cuchnącego powietrza i patrzył z dumą, jak jego harkonneńscy żołnierze maszerują na brzeg wyschniętego morza. Wszyscy byli odziani w żółte mundury Moritanich, z wywatowanymi ramionami i metalowymi opaskami na nich. Przyglądając im się, Rabban pomyślał, że jego przebrana dywizja porusza się w bardzo dyscyplinowany sposób, natomiast żołnierze z Grummana wydają się niesforną bandą barbarzyńców. Ale przynajmniej byli muskularni, zahartowani w trudnych warunkach i zdeterminowani do walki.

Kiedy nadciągnie nieprzyjaciel, ukształtowanie terenu określi przebieg bitwy. Ritka, otoczona z trzech stron stromymi wzgórzami, była chroniona z tyłu i z boków. Rozmieszczone wokół fortecy tarcze będą chroniły ją przed bombardowaniem z powietrza i ostrzałem, ale mogła przez nie przejść piechota. Przed Ritką rozpościerało się wyschnięte morze, które przed wiekami pokonywały statki zmierzające do portu. Teraz była to otwarta dolina, jedyna droga dla nacierającej armii. Po drugiej stronie skalnej niecki mogły wylądować poza zasięgiem grummańskich armat wojenne fregaty Atrydów i Ekazów. Stamtąd przypuszczają frontalny atak.

Przywódca Grummana, o potarganych włosach i z niezwykle jasnymi oczami, siedział na potężnym czarnym ogierze zakutym w kolczastą zbroję. Rudowłosy mistrz miecza Resser jechał obok niego na innym wierzchowcu. Moritani chrząknął z uznaniem, kiedy między szeregi jego żołnierzy napłynęła masa harkonneńskich oddziałów.

— Baron Harkonnen dotrzymał zobowiązań naszego sojuszu. Wkrótce nadciągnie wróg, a pamięć o starciu z nim przetrwa stulecia. — Spojrzał tęsknie na otwartą równinę, jakby wyobrażał sobie zbliżającą się wspaniałą bitwę. — Nie wątpię, że przybędzie też z interwencją Imperator. Szaddam nie omieszka skorzystać z szansy, by udowodnić swą męskość.

— Nie potrzebuję udowadniać mojej — rzekł drwiąco Rabban.

— Chełpienie się odwagą, a wykazywanie się nią to dwie różne rzeczy — zauważył chłodno Resser. — Liczymy na to, że poprowadzisz harkonneńskich żołnierzy i powstrzymasz inwazję tak długo, jak zdołasz. Będziemy musieli stawić czoło przeważającym siłom.

— Nie tylko powstrzymam tych ludzi, ale zamierzam ich pokonać — powiedział Rabban.

— Możesz spróbować — rzekł cierpko wicehrabia. Wyciągnął rękę po gruby hełm zwieńczony pękiem czarnych piór, który podał mu żołnierz. Potem włożył go Rabbanowi na głowę i cofnął o krok swojego rumaka. — Teraz jesteś wodzem mojej armii.

Hełm był ciężki i Rabban był pewien, że wspaniale się w nim prezentuje.

— Brom, chodź tutaj! — krzyknął Moritani. Podeszedł do nich brodaty, szeroki w barach wojownik, niemal tak wysoki jak ogromny wierzchowiec wicehrabiego. — Brom jest porucznikiem, Rabban. On i jego ludzie będą wykonywali twoje rozkazy podczas bitwy. Odpowiadasz za nich. Jesteś sercem, które pompuje czerwoną krew w ich żyły.

Grummański oficer wyglądał na urażonego wybraniem Rabbana na dowódcę, ale gdy wicehrabia spiorunował go wzrokiem, cofnął się z nieprzeniknioną miną.

— Mam wielkie plany, Rabban, a ty jesteś ich kluczową częścią. Daję ci konia i dowództwo — powiedział Moritani. — Mój mistrz miecza zostanie ze mną w fortecy, za tarczami. Będziesz miał zaszczyt znaleźć się na pierwszej linii, ale musisz prowadzić wojsko według moich rozkazów.

— Dopóki będę mógł być w gąszczu walki z Atrydami — odparł Rabban. Nie mógł się doczekać armii przeciwnika.



*Jaki jest sens bycia Imperatorem znanego wszechświata, skoro ludzie nie robią tego, co im każę. Bardzo mnie to martwi, Hasimir.*

— Padyszach Imperator Szaddam IV, list do hrabiego Hasimira Fenringa

— To już się za długo ciągnie — powiedział Szaddam, patrząc na ostatnie doniesienia. — Okazywałem wielkoduszność, dobroć i łagodność. Nie obchodzi mnie, jakie łapówki wręczył wicehrabia Moritani urzędnikom Lwiego Tronu. Nie dam się dłużej obrażać.

U jego boku na przestronnym tarasie wschodzącym na wspaniałe, rozległe miasto stołeczne na Kaitainie stał Hasimir Fenring. Hrabia kiwnął głową.

— Hmm, panie, zastanawiałem się, kiedy przekroczy to granice twojej cierpliwości — powiedział. — I... aaach... co z tym zrobisz? Jak proponujesz zareagować na to rażące nieposłuszeństwo Grummaiv czyków?

Szaddam odprawił konkubiny i spędził wiele godzin w prywatnych apartamentach. Ostatnio zaczął też tracić zainteresowanie nową żoną, Firenzą, co było zdecydowanie złym znakiem, z pewnością dla niej. Zamiast przebywać w jej towarzystwie, wolał przyglądać się z balkonu metropolii. Chociaż samo miasto było zaledwie drobną częścią światów i ludów, którymi władał, imponujący widok pozwalał mu pamiętać o własnym znaczeniu. Dobrze było zebrać pewność siebie przed podjęciem radykalnych, ale koniecznych działań.

— Imperium funkcjonuje w siatce asekuracyjnej praw i zasad. Każdy, kto próbuje przerwać oka tej siatki, zagraża nam wszystkim. — Szaddam uśmiechnął się do siebie. Podobało mu się to. Słowa te były spontaniczne, ale dobitne; któregoś dnia będzie musiał użyć ich w jakimś oświadczeniu. — Przed laty na Grummanie stacjonowali sardaukarzy, by trzymać tego wariata Moritaniego w ryzach, ale gdy tylko opuścili planetę, wrócił do dawnych szaleństw. Najwyraźniej wicehrabia nie boi się mojego wojska tak, jak powinien.

— Co gorsza, panie, nie boi się ciebie tak, jak powinien.

Szaddam obrócił się gwałtownie do przyjaciela. Ocena Fenringa była absolutnie prawidłowa. Miał pochmurną minę.

— Wobec tego musimy z nim coś zrobić, Hasimir. Wezmę tylu sardaukarów, ilu zmieści się na naszych fregatach, i osobiście polecę na Grummana. Tym razem rozbiję tam obóz i zarządzimy okupację planety. Pozbawię wicehrabiego tytułów i znajdę kogoś, kto przejmie siridar lenno rodu Moritanich.

Fenring wydał usta i zabębnił palcami po wypolerowanej złotej balustradzie.

— Hmm, może być trudno znaleźć kogoś, kto chciałby wziąć Grummana — powiedział. — Wszystkie zasoby naturalne planety zostały wyczerpane. Nawet Moritani starają się od pewnego czasu pozbyć obciążeń finansowych.

— A zatem przydzielimy ją komuś, kogo nie lubimy! Tak czy inaczej, chcę stamtąd wyrzucić Moritanich i zamierzam zrobić to osobiście. Muszę pokazać Landsraadowi, że Imperator zwraca uwagę na każde uchybienie przeciw jego dobremu imieniu.

Fenring nie odniósł się do tego z takim entuzjazmem czy zachwytem, jakiego Szaddam od niego oczekiwał. Dźwięki i zapachy nocnego miasta opływały obu mężczyzn niczym idące do głowy opary.

— Czy zastanawiałeś się, panie, aaach, że może właśnie tego chce wicehrabia? Nęci cię, popycha, jakby miał nadzieję, że przybędziesz tam osobiście, zamiast pozwolić komuś ubrudzić sobie ręce w twoim imieniu.

Szaddam prychnął.

— W tak ważnej sprawie nie scedowałbym odpowiedzialności na nikogo, nawet na ciebie, zaufany przyjacielu — odparł. — Kiedy wylądujemy tam z całą potęgą Imperium, wicehrabia Moritani ukorzy się przede mną, błagając o wybaczenie.

Fenring zainteresował się nagle holograficznymi płomieniami, które buchnęły z wieży w oddali jak iluzoryczna pochodnia, by Szaddam nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

— Aaach, być może oczekujesz trochę za dużo — powiedział.

— To niemożliwe. Jestem Imperatorem.

Pomimo nijakiej reakcji hrabiego Szaddam cieszył się, że podjął tę decyzję. Nie będzie to zwykła kampania wojskowa, lecz zapierające dech w piersiach wydarzenie, autentyczny spektakl zorganizowany

z całą pompą, na jaką było stać Corrinów. Da to wicehrabiemu Moritaniu — i wszystkim rodom Landsraadu — cenną lekcję posłuszeństwa.

*Paula ukształtował ojciec, tak jak księcia Leto jego ojciec Atryda. Z pokolenia na pokolenie przekazywano sobie w ich rodzie poczucie honoru i sprawiedliwości. Stało się to dla Paula źródłem jeszcze większej tragedii. Powinien był o tym wiedzieć.*

— Bronso z Ixa, *Prawdziwa historia Muad'Diba*

Wiodąc swoje wojsko przeciwko rodowi Moritanich, księżę Leto przypomniał sobie, co powiedział mu ojciec, kiedy on sam miał zaledwie siedem lat: „*Prawo nie jest kłębkiem szpagatu, który rozwija się, aż nic z niego nie zostanie*”.

W owym czasie nie rozumiał, co Paulus ma na myśli, ale ta seena pozostała w jego głowie. Stopniowo Leto poznawał różnicę między szlachebnymi rodami a tymi, które uzależniały etykę od sytuacji i hołdowały warunkowej moralności. Dla Atrydów prawo Imperium naprawdę coś znaczyło. Dla innych rodów nie. Moritani należeli do tej drugiej kategorii.

Teraz z mostka statku flagowego, gdzie stał z synem, Leto patrzył na poranne niebo, na którym gęsto było od statków desantowych z żołnierzami Atrydów i Ekazów, armatami i innym sprzętem dalekiego zasięgu. W powietrzu śmigały statki klasy *Jastrzęb*, przeprowadzając loty zwiadowcze przed zmasowanym atakiem.

Ritka była surowym, ufortyfikowanym miastem na brzegu dawno wyschniętego morza, u podnóża urwistych wzgórz.

— Nie bardzo jest tutaj o co walczyć — zauważył Duncan.

— Nie jesteśmy tu, by podbijać, lecz by dokonać zemsty — rzekł Leto.

— Patrzcie, kryje się za tarczami domów! — przekazał ze swojego statku arcyksiężę Ekaz.

— Nie spodziewałem się po nim niczego innego.

Leto widział, że Ritkę osłaniają potężne bariery ochronne, drgające poła siłowe, dzięki którym twierdzy nie mógł zaszkodzić ogień dział ani bombardowanie z powietrza.

— Zmusza nas do konwencjonalnego natarcia lądowego z użyciem tarcz osobistych — powiedział. — Do walki wręcz na wielką skalę.

— Dobra, staromodna rzeź — rzekł Gurney. — Jeśli właśnie tego chce, będzie ją miał.

Paul lustrował teren, myśląc o studiach z taktyki pod okiem Thutira Hawata.

— Dno wyschniętego morza jest ogromnym lądowiskiem, na którym możemy posadzić wszystkie nasze statki, wylądować pojazdy i sprzęt oraz uporządkować szyki — powiedział.

Kilka grummańskich dywizji utworzyło linię obronną na brzegu morza koło Ritki, gdzie wojownicy zamierzali stawić opór nieprzyjacielowi. Większość stanowiła piechota, ale część siedziała na ogromnych koniach bojowych — słynnych ogierach rodu Moritanich.

— Wybrali pole bitwy — stwierdził Leto. — Wygląda na to, że chcą mieć dużo miejsca. To dobrze, nam też jest to na rękę.

— To zbyt łatwe — ostrzegł Duncan. Siedział z Gurneyem nad oświetlonymi konsolami, przeglądając wstępne raporty zwiadowców. — Zbyt oczywiste.

— Mógłby to być podstęp, żeby zwabić nas bliżej, ale wicehrabia Moritani nie jest subtelnym człowiekiem — odparł Leto. — Przejdź na bezpieczną linię i przypomnij oficerom i pilotom, żeby byli niezwykle ostrożni. — Obrócił się do syna, który z zapalem studiował szczegóły na monitorze. — To twoja pierwsza wojna, Paul. Bez względu na to, co się wydarzy, możesz się tutaj wiele nauczyć. Mam nadzieję, że będzie to dla ciebie ważna lekcja. Są pewne reguły postępowania, konwencje wojny.

— Prawo nie jest kłębkiem szpagatu — mruknął Paul, jakby odczytał wcześniejsze myśli ojca.

Leto uśmiechnął się. Zawsze zdumiewała go intuicja chłopca, zwłaszcza w sytuacjach, kiedy znajdował się pod presją. Pomimo niebezpieczeństw, którym będą prawdopodobnie musieli stawić czoło, księżę uważał, że postąpił słusznie, pozwoliwszy synowi towarzyszyć sobie podczas bitwy. Czasami najlepiej było się uczyć pod ogniem. Wiedział, że kiedyś może go zabraknąć, by pokierować Paulem, tak jak śmierć jego ojca zmusiła go do przedwczesnego przyjęcia odpowiedzialności za ojczystą planetę. Grumman będzie poligonem doświadczalnym, a chłopiec któregoś dnia zostanie znakomitym i czciwym księciem.

Po oficjalnym wypowiedzeniu wojna asasynów nakładała na jej uczestników ścisłe ograniczenia co do materiału i metod, których mogli używać. W ostatecznym rozrachunku sprowadzała się do walki

wręcz, z założenia między mistrzami, co ograniczało liczbę niewinnych ofiar wśród osób postronnych. Ale ród Moritanich złamał już tak wiele zasad, że Leto nie mógł liczyć na to, iż podczas nieuchronnej rozprawy wicehrabia będzie przestrzegał jakichkolwiek ogólnie przyjętych konwencji. Nawet Padyszach Imperator nie będzie mógł przymknąć oka na tak jawne pogwałcenie prawa Imperium.

Książę Leto patrzył, jak po przeciwnej stronie wyschniętego morza ląduje druga fala statków desantowych, z których wysypują się żołnierze i wytaczają działa. Położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

— Patrz uważnie, Paul — rzeki. — Moglibyśmy mieć tutaj nieuczciwą przewagę, ale nie będziemy stosowali żadnej taktyki, której nie zaakceptowałyby nasi honorowi przodkowie.

— Nawet jeśli wicehrabia zastosuje ją pierwszy? — zapytał.

— Będziemy się trzymali własnych zasad, nie reguł kogoś innego.

Paul w dalszym ciągu przyglądał się przygotowaniom, wysadzaniu żołnierzy i wyładunkowi sprzętu.

— W tej sytuacji będzie to dla nas utrudnienie, mimo iż siły Atrydów i Ekazów najwyraźniej mają przewagę — stwierdził.

— Kodeks etyczny nigdy nie jest utrudnieniem — powiedział Leto. Odwrócił się do Duncana. — Przełącz mnie na główny kanał. Czas zaczynać.

Przed księciem pojawiła się drgająca bańka. Przemówił do niej, wysyłając ultimatum bezpośrednio do Ritki.

— Wicehrabio Hundro Moritani, na mocy reguł kanly i prawa Imperium żądamy, byś ustąpił i niezwłocznie się poddał. Gwarantujemy ci, że zostaniesz potraktowany sprawiedliwie. W przeciwnym razie twoja klęska będzie pewna i szybka.

Na otwartym kanale pojawiły się zakłócenia, a potem obraz mistrza miecza wicehrabiego, Hiiha Resslera, który był blady, ale wyglądał na zdeterminowanego. Duncan był wyraźnie zaskoczony widokiem byłego przyjaciela z ginaskiej szkoły, ale nie przerywał mu.

— Wicehrabia Moritani odrzuca wasze żądanie i oskarża was o pogwałcenie reguł wojny asasynów. Dokonaliście bezprawnego militarnego wtargnięcia na niezawisłą planetę, czego kategorycznie zabrania Wielka Konwencja.

— Nam cytujesz jej postanowienia?! — krzyknął arcyksiążę Ekaz, włączając się ze swojego statku flagowego. — To już nie jest wojna asasynów... wy przekształciliście ją w otwarty konflikt.

Jakby dla podkreślenia tego faktu, z wyrzutni umieszczonych tuż przed drgającymi tarczami fortecy wicehrabiego odpalono salwę pocisków. Stojące na lądowisku fregaty Atrydów i Ekazów również miały włączone tarcze, więc pociski odbiły się od nich, nie czyniąc żadnych szkód, ale z szeregów żołnierzy zajmujących pozycje do ataku podniósł się krzyk oburzenia.

Kiedy tylko wystrzelono pociski, obraz Resslera zniknął. Był to raczej wyzywający gest niż próba zadania przeciwnikowi jakichkolwiek strat, ale pokazywał, do czego posuną się Grummańczycy.

Leto, pełen złości i oburzenia, wydał rozkaz do natarcia.

*Próba zaplanowania każdego szczegółu wielkiej i złożonej bitwy jest jak sporządzenie mapy wi-  
atrów — spodziewaj się chaosu, nieprzewidywalności i zaskakujących zdarzeń. To wszystko, co musisz  
wiedzieć.*

— Jool Noret, pierwszy mistrz miecza

Z bezpiecznego miejsca u podnóża wzgórz Rabban przyglądał się imponującemu, dobrze skoor-  
dynowanemu lądowaniu armii wroga. Zdumiewała go sama liczba fregat wojennych. Cóż to był za  
wydatek! Wiedział, ile kosztowało stryja wysłanie zaledwie jednej harkonneńskiej dywizji na Grummana.  
Rody Atrydów i Ekazów musiały zapłacić co najmniej dziesięć razy więcej.

Wskazywało to, jak bardzo rozwścieczył księcia Leto i arcyksięcia Armanda atak w dniu ślubu.  
Rabban nie mógł powstrzymać uśmiechu. Niedobrze, że ród Harkonnenów nie mógł publicznie przyznać,  
że też za tym stoi, ale Rabban widział mądrość stryja w tym, że pozwolił Grummańczykom wziąć winę  
na siebie.

Prowokacja na pewno się udała... chociaż chciałby wiedzieć więcej o planach Moritaniego.  
Zakładał, że Vladimir wie, o co naprawdę chodzi wicehrabiemu.

W hełmie z czarnym pióropuszem, który wskazywał, że powierzono mu dowództwo armii  
obrońców, Rabban siedział w siodle i patrzył na pole bitwy. Miał napięte mięśnie i rwał się do walki, ale  
musiał pozwolić grummańskim wojownikom przyjąć główny impet uderzenia. Potem sam ruszy w bój.

Pierwsza ruszyła armia ekaska, zostawiając za sobą rój fregat i osłoniętych tarczami żołnierzy.  
Płaska równina wyznaczy granice pola bitwy. Żołnierze Atrydów będą drugą falą natarcia.

Rabban umieścił połowę swojej kawalerii na skalistym brzegu, gdzie mieli trzymać straż. Za nim  
i na zboczach nieprzenikalne tarcze otaczały fortecę wicehrabiego. Rabban i jego ludzie mieli rozkaz  
czekać, pozostawać na widoku jako obrońcy Ritki, ale nie posuwać się ani o krok w stronę nieprzyjaciela.

Jego koń był potężny, niespokojny i kręcił się nerwowo. Rabban dotknął przycisków na łęku i  
wysłał sygnał do odpowiedniego ośrodka w uwarunkowanym mózgu rumaka, zmuszając zwierzę, by  
stało nieruchomo. Nie miał ani czasu, ani cierpliwości, by poznać swojego wierzchowca, musiał więc  
trzymać go pod kontrolą. Obok Brom i pozostali porucznicy siedzieli na własnych tresowanych ogierach.

Maszerujący w szyku bojowym po dnie wyschniętego morza żołnierze ekascy i atrydscy mieli tar-  
cze osobiste. Rabban zacisnął grube usta, zastanawiając się nad dogodną taktyką. Wystarczyłby jeden  
strzał z rusznicy laserowej, by spowodować quasi-jądrowy wybuch, który zmiotłby z powierzchni ziemi  
całą tę armię. Ale Rabban nie posunąłby się tak daleko, nawet gdyby udało mu się samemu uniknąć  
skutków eksplozji. Taka taktyka sprowokowałaby potem zbyt wiele pytań.

Używane przez obie strony tarcze sprawiały, że broń miotająca i materiały wybuchowe, podobnie  
jak ataki powietrzne, były nieprzydatne, a zatem bitwa będzie wyglądała niemal tak jak średniowieczne:  
miecz przeciw mieczowi, pojedynki jeden na jednego, wymagające od przeciwników siły i umiejętności.  
Rabban już wyobrażał sobie zgiełk i brzęk broni.

W miarę jak pierwsze linie ekaskich żołnierzy zbliżały się powoli do Ritki, coraz bardziej się nieci-  
erpliwił i zaciskał pięści. Wicehrabia kazał mu czekać, w szczególności zaś zabronił posyłać żołnierzy do  
walki. Do kiedy? Nikt mu tego nie powiedział. Rabban mruknął z odrazą. Zlekceważenie tak znakomitej  
okazji wydawało się głupotą. Po co tracić tyle czasu i pozwolić im się zbliżyć bez stawiania oporu?

— Nasze oddziały mogłyby już teraz nawiązać walkę! — powiedział. — To przecież bitwa,  
prawda?

Zanim jednak zdążył wydać rozkaz, Brom rzekł głębokim, ostrzegawczym głosem:

— Czekaj na właściwy moment. Jeszcze nie teraz.

— Ależ to szaleństwo. Jaki moment jest właściwy? Spójrz na nich!

— Wicehrabia zna swój plan. Nie jest sprawą wojownika rozumieć pana, ale po prostu  
słuchać i czekać na sygnał.

Rabban zazgrzytał zębami, pamiętając doskonale, że ten nieprzewidywalny Moritani nie jest jego  
panem.

Usłyszał donośne dźwięki rogów, przenikliwe gwizdy i zdumiewające odgłosy metalu zgrzytające-  
go o metal, nawet huk małych wybuchów. Brom wskazał ręką obszerne, pokryte brezentowymi dachami  
zagrody i stajnie, w których trzymano cenne ogiery genga. Z zagród runęły strumienie wściekłych bestii  
uzbrojonych w szpikulce i ostre jak brzytwa klingi. Uwolnione ogiery kręciły się po niskich wzgórz-

ach, po czym ruszyły niepowstrzymaną masą przez suchą równinę wprost na nacierającą armię nieprzyjaciela. Krzyżący i poganiający je wojownicy zawrócili do stajni, pozwalając rumakom kontynuować dziki galop.

Rabban się tego nie spodziewał. Zachichotał i spojrzął na Broma.

— Tak, teraz się cieszę, że poczekałem — powiedział.

Kiedy oddziały Atrydów maszerowały za ekaską armią, Paul niósł miecz oraz sztylet. Szedł między Duncanem i Gurneyem, którzy nadmiernie troszczyli się o jego bezpieczeństwo. Po rozprawieniu się z tropiącymi ich asasynami na Kaladanie młodzieniec nalegał, by ojciec — mimo obaw — pozwolił mu wziąć udział w bitwie.

— Jeśli masz zostać księciem, Paul, musisz nauczyć się dowodzić — powiedział Leto. — Musisz widzieć całą bitwę i znać swoje miejsce. Nie jesteś zwykłym żołnierzem.

— Ale nie jestem jeszcze księciem, ojcze — rzekł Paul. — Zawsze mówiłeś, że nim zdobędę prawo podejmowania decyzji, w wyniku których ci ludzie będą mogli stracić życie, muszę zrozumieć, przez co przechodzą. W tej bitwie chodzi bardziej o honor niż o sławę czy podbój. Czyż nie na tym właśnie zależy rodowi Atrydów?

Leto zmuszony był się z nim zgodzić.

— Gdybym w to nie wierzył, nigdy bym ci nie pozwolił przylecieć na Grummana — powiedział ze słabym uśmiechem. — Dobrze, ale Duncan i Gurney nie mogą spuścić cię z oczu.

Paul wiedział, że jest równie dobrym wojownikiem jak większość żołnierzy Atrydów, a pozostali dwaj mężczyźni ręczyli za niego. Nie wątpił jednak, że ojciec będzie go bacznie obserwował z jednostki dowodzenia.

Teraz maszerowali przez dziewicze pole bitwy, po śladach wydeptanych przez tyle stóp i tak daleko za żołnierzami w tarczach, że Paul wątpił, czy w ogóle zobaczy jakieś starcie.

Mimo to, kiedy ściana oszalałych koni bez jeźdźców runęła na wojsko niczym niespodziewany szwał, zrobił się taki zamęt, jakby bitwa zamieniła się w pogrom.

— Nie ustępować! — ryknął Gurney, wymachując mieczem.

Duncan przysunął się bliżej Paula, gotów użyć nowego miecza.

— To szaleństwo — powiedział — pędzące konie nie przebiją się przez nasze tarcze!

Paul szybko zdał sobie sprawę, jaki jest prawdziwy cel tego posunięcia.

— Tak, ale łamią nam szyk i osłabiają impet natarcia — rzeki.

Porządnie uformowane szeregi zostały nagle rozbite. Na żołnierzy wpadły setki ogierów, waląc ostrymi jak noże kopytami i przewracając ich razem z tarczami. Kurz wzbijany podczas tej szaleńczej galopady przesłaniał widok.

Błyski elektryczności statycznej pokazywały obszar chroniony tarczą Paula.

— Paul, trzymaj się blisko mnie! — wrzasnął Gurney, przekrzykując zgiełk.

Przed chłopakiem stanął dęba dropiaty koń o dzikich oczach. Paul rzucił się w bok, akurat kiedy ostre kopyta uderzyły w tarczę i ześliznęły się po niej, nie czyniąc mu krzywdy. Mimo to jeden z metalowych szpikulców sterczących ze zbroi rumaka przeszedł częściowo przez barierę ochronną i Paul musiał się obrócić, by się na niego nie nadziać. Obok niego Duncan starał się utrzymać na nogach.

W tarcze uderzyły następne tabuny koni i wielu żołnierzy na widok nacierających na nich potworów wpadło w panikę. Cięli konie mieczami, zabijając część z nich, a inne raniąc. Pokaleczone rumaki wpadły w szal, zaczęły zderzać się i zadawać sobie szpikulcami kolejne rany.

Paul nadal kucał, nie bardzo wiedząc, jak walczyć z takim przeciwnikiem. Pewna liczba koni bojowych przedostała się przez tarcze i zabiła zasłaniających się nimi żołnierzy. Niektórzy nacierający wzywali dowódców i próbowali stawiać opór, ale — ogólnie rzecz biorąc — dobrze wyszkolone jednostki poszły w rozsypkę. Tylko nieliczni słyszeli we wrzawie rozkazy.

Chociaż oszalałymi końmi nikt nie kierował, zdawało się, że napływają bez końca. Zabito dziesiątki ogierów, zanim przez pole bitwy przewaliła się ich fala.

— Atrydzi, Atrydzi, do mnie! — wrzeszczał Gurney co sił w płucach. — Formować szyk!

Paul ledwie widział przez wzniecone kopytami na suchej równinie tumany kurzu. Był pewien, że nie jest to jedyna sztuczka, jaką ma w zanadrzu wicehrabia Moritani.

Z błogim zadowoleniem Rabban przyglądał się chaosowi ze swojego punktu obserwacyjnego. Setki zakutych w zbroje koni wdarły się w szeregi nieprzyjaciela, czyniąc w nich kompletny zamęt. Wiedział, co musi teraz zrobić. To dlatego wicehrabia kazał mu czekać.

Nadeszła chwila, by przejąć inicjatywę.

— Wysyłam nasze armie do ataku, zanim zdążą ponownie uformować szyk — powiedział. Brom spiorunował go wzrokiem.

— Wicehrabia kazał nam czekać na sygnał.

— Ja tutaj dowodzę i dostrzegam okazję, której wicehrabia nie przewidział! — warknął Rabban. Uruchomił nadajnik i wydał żołnierzom rozkazy. — Naprzód, na wroga! Nie będziemy mieli lepszej szansy.

— To niemądre, Rabban! — zaproponował Brom, podnosząc pięść w rękawicy. — Wypełniamy rozkazy wicehrabiego.

— Wasz wicehrabia mnie uczynił dowódcą. Albo wykonasz moje polecenia, albo zginiesz z mojej ręki. — Harkonnen wskazał ogarniętą chaosem armię nieprzyjaciela. — Czy to nie oczywiste? Spójrz!

Grummańczyk przyłożył z ociąganiem dłoń do napierśnika i odwrócił wzrok.

Rabban rozkazał dwóm harkonneńskim oficerom dołączyć do żołnierzy. Wykonali natychmiast polecenie, odjeżdżając galopem. Parę chwil później przebrana dywizja harkonneńska i grummańscy wojownicy wydali bojowy okrzyk i rzucili się na suchą równinę, która niegdyś była dnem płytkiego morza.

Ekascy żołnierze zobaczyli nacierające oddziały i nie potrzebowali rozkazów, by wiedzieć, jak zareagować. Podnieśli z wyciem broń i ruszyli na spotkanie z wrogiem.

Rabban zerknął na chronioną tarczą forteczną wieżę, wiedząc, że Moritani musi przyglądać się temu z zainteresowaniem i najprawdopodobniej pochwała jego szybką decyzję. Pokierował niespokojnego konia w dół, na skraj pola bitwy.

Brom pojechał za nim.

— Jeśli nalegasz, byśmy podjęli teraz walkę, wodzu, powinniśmy sami wziąć w niej udział, jak na prawdziwych dowódców przystało — powiedział.

— Zgadza się.

Ruszyli obaj, z pięćdziesięcioma wybranymi wojownikami Moritaniego, których rozlokowano wokół nich, ku brzegowi wyschniętego morza, gotowi przyłączyć się do głównych sił po pierwszym starciu z wrogiem. Trzon ich wojsk pędził pełnym galopem na nieprzyjaciela.

Spod ziemi dobiegły odgłosy wybuchów. Równina zaczęła się zapadać nie tylko pod armią ekaską, ale również pod pędzącymi ku niej grummańskimi jeźdźcami. Rabban nie wierzył własnym oczom.

— Co się, do diabła, dzieje?! — krzyknął.

Osunęła się cała duża część dna wyschniętego morza i ukazały się setki podziemnych tuneli i sztolni. Rabban wiedział, że ród Moritanich wydobywał minerały, ale teraz wydawało się, że ktoś wysadził ściany nośne tworzących istny ul chodników i szybów.

W jednej chwili do tuneli runęła, ponosząc śmierć, ponad połowa żołnierzy Moritaniego i Harkonnenów i tyle samo Ekasczyków, pochłoniętych przez ziemię pola bitwy.

Rabban był oszołomiony. Kto mógł spowodować te eksplozje? Miał pustkę w głowie. Czyżby cały ten scenariusz był pułapką zastawioną przez wicehrabiego, by wciągnąć wroga na równinę? I nagle zrozumiał logikę tego posunięcia.

Rozwścieczony, że Moritani trzymał tak istotne informacje w tajemnicy przed nim, odwrócił się, by spojrzeć na Broma, ale na twarzy wojownika zobaczył tylko nienawiść i żądzę mordu. Brom wyciągnął miecz.

— Co to? — zapytał Rabban, wskazując zapadniętą równinę. — Musiał to zrobić wasz wicehrabia! Nie tylko wrogowi, ale własnym żołnierzom! Powinien był ostrzec...

— Wicehrabia wiedział, co robi — przerwał mu Brom. — Dał ci instrukcje. Nie posłuchałeś ich.

Rabban cofnął wierzchowca, ale wokół niego zaczął się zacieśniać krąg grummańskich żołnierzy.





Długo trwało, zanim umilkł huk wybuchów i opadł kłębiący się kurz. Wrzaski rozlegały się jeszcze dłużej. Upewniwszy się, że Paulowi nic się nie stało, Duncan Idaho próbował ogarnąć rozmiary katastrofy, która pochłonęła pierwsze szeregi ekasko-atrydzkiej armii. Pod nacierającymi siłami zarwały się stropy setek tuneli; zasadzka była prymitywna, ale skuteczna. Z rumowiska dobiegały jęki i krzyki oraz rżenie i łoskot kopyt, kiedy ostatnie oszalałe ogiery uciekały galopem. Niektóre wpadały w ziejące w ziemi dziury.

Zszokowany Gurney stał obok Duncana z twarzą ściągniętą złością.

— To było celowe — powiedział. — Coś jak wilcze doły, z ładunkami wybuchowymi założonymi tak głęboko, by nie odnalazły ich nasze wykrywacze.

— Ale wpadła w nie również ich kawaleria — zauważył Paul. — Nie rozumiem, dlaczego Grummańczycy to zrobili. Szarżując na nas, stracili tyle samo sił co my. Ci wszyscy ludzie... ci wszyscy ludzie... — Patrzył z poszarzałą twarzą na pobojowisko. — Zupełnie jakby dowódcy wicehrabiego nie wiedzieli, co ma się wydarzyć.

Na polu bitwy ekasky i atrydscy dowódcy wykrzykiwali rozkazy, starając się przegrupować ocalałych i na powrót sformować szyk. Żołnierze sojusznicznych armii zebrali broń i ponownie ruszyli do natarcia przez niebezpieczny teren. Byli rozszoszczeni i szmer ich głosów szybko przeszedł w ryk oburzenia.

Unoszący się nad polem bitwy statek dowodzenia księcia Leto podleciał szybko nad jego skraj. Duncan, trzymając blisko siebie Paula, poszedł na spotkanie z nim.

— Twój syn jest bezpieczny, panie — zawołał, przekrzykując hałas silników. — Jest tutaj z nami.

Leto otworzył wąż poruszającej się na drytach jednostki.

— Paul, wejdź na pokład. Szybko — rozkazał nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Młodzieniec pozwolił się wciągnąć do statku. Najwyraźniej miał już dosyć bitwy.

Kiedy kurz się przeredził, Gurney spojrzał na brzeg wyschniętego morza, tam gdzie nieopodal osłoniętego tarczami ufortyfikowanego miasta siedział na wysokim ogierze dowódca sił grummańskich w hełmie zwieńczonym czarnym pióropuszem. To właśnie on dał rozkaz do nieudanej szarży, podczas której jego jeźdźców pochłonęło zapadające się dno.

Gurney widział go teraz na zboczu wzgórza pośród innych żołnierzy.

— Panie — powiedział — gdybyśmy dosiedli z Duncanem motocykli zwiadowczych, moglibyśmy przeciąć drogę ich dowódcy i wziąć go do niewoli. Może złamałoby to opór Grummańczyków.

— Wydaje się, że już stracił połowę oddziałów — dodał Duncan.

Księżę Leto, z ręką spoczywającą opiekuńczo na ramieniu syna, zmarszczył brwi.

— Nawet gdyby się wam udało, nie sądzę, by życie jeńców przedstawiało dla wicehrabiego jakąkolwiek wartość — zauważył.

Ale Gurney błysnął zębami w dzikim uśmiechu.

— Po tym, co się właśnie stało, poprawi to nasze morale i być może jednym śmiałym posunięciem zakończymy starcie. Wicehrabia Moritani, zamiast kryć się w fortecy, będzie musiał z niej wyjść i sam przejąć dowodzenie swoimi oddziałami.

Duncan uniósł nowy miecz.

— Zgadzam się z Gurneyem — powiedział.

— Jesteście moimi najlepszymi wojownikami. — Leto wziął głęboki oddech. — A zatem ruszajcie i pokażcie temu grummańskiemu dowódcy, co znaczy zemsta Atrydów. — Kazał przyprowadzić dwa szybkie motocykle zwiadowcze do pogoni przez równinę.

Na widok zgrabnych pojazdów Duncan skinął z uznaniem głową.

— Ten watażka jest na koniu. Znajdziemy się przy nim raz-dwa. — Uśmiechnął się do Gurneya. — Mój nowy miecz jest spragniony krwi.

Rozszoszczeni wojownicy grummańscy otoczyli Rabbana. Pięciu spieszonych muskularnych mężczyzn trzymało ostre miecze. Brom patrzył na niego gniewnym wzrokiem z siodła.

— To droga wojownika — powiedział. — Krew armii jest krwią jej dowódcy.

Pomimo skłonności do przemocy Rabban nie rozumiał grummańskiej filozofii ani nie dbał o nią.

— Sprawdźcie, ilu naszych żołnierzy ocalało! — krzyknął, próbując zachować dowodzenie. — Brom, zbierz pozostałych wojowników! Stawimy opór. Wicehrabia ma inną broń, której może użyć, jeśli zdecyduje się nas wesprzeć.

Grummańczycy zacieśniali krąg i wyglądało na to, że lada chwila skoczą na niego.

— Ta bitwa jest już przegrana — rzekł Brom. — Stawimy opór, ale twoja głowa trafi na pikę i stamtąd będzie nas obserwować. Może twoja szkaradna twarz wystraszy wroga.

Ogier Rabbana znowu się rzucił i zaczął cofać.

— Krew armii jest krwią jej dowódcy — powtórzył inny wojownik, wysuwając się naprzód z bronią w dłoni.

— Nie możecie mnie zabić! Jestem dziedzicem rodu Harkonnenów!

— Jesteś przegrany. — Brom uniósł miecz. — 1 poprowadziłeś nas do przegranej.

Rabban włączył tarczę osobistą w samą porę, by osłonić się przed ciosem. Kiedy runęli na niego pozostali wojownicy, okręcił wierzchowca, rozpaczliwie stukając dłonią w przyciski kierujące jego zachowaniem. Zwierzę pomknęło jak strzała. Brom ruszył w pogoń, a pozostali Grummańczycy pobiegli za nimi z wyciem.

Rabban uciekał, wiedząc, że znajduje się na nieznanym terenie. Za pomocą przycisków skierował zbrojnego rumaka w górę stromego zbocza, a potem wokół ufortyfikowanego miasta, szlakiem wijącym się wśród karłowatych, wiecznie zielonych drzew, które nie dawały dobrej osłony.

Kiedy wyruszał na tę wojnę asasynów, zamierzał popisać się przed stryjem i żywił nadzieję, że wróci na Giedi Prime jako zwycięski generał. Teraz będzie miał szczęście, jeśli w ogóle uda mu się ująć z życiem. Nie wiedział, czy lepiej byłoby stawić czoło gniewowi barona, czy śmierci na tym odległym świecie.

Ogier galopował po poszarpanym stoku z zadziwiającą gracją i lekkością. Rabban czuł prężące się pod siodłem mięśnie rumaka, który najwyraźniej wcale się nie męczył, mimo iż pędził pod górę. W pewnym miejscu droga się rozwidła. Genga pomknął w prawo, do wyższego zagajnika, który dawał nieco lepsze schronienie. Sforsował wąski strumień i nadal się wspinał.

Rabban skierował się między skały, podążając wśród splekanych wzgórz wąską doliną, której dnem płynął strumień. Znalazł ścieżkę wydeptaną przez zwierzynę i pokłusował nią; musiały ją przetrzeć dzikie konie schodzące do wodopoju. Ciężko dyszał, chociaż całą pracę wykonywał jego wierzchowiec, wspinając się ku szczytom wzgórz, które pokrywał gęszcz spletanymi drzew. Im dalej jechał wzdłuż strugi, tym więcej napotykał strumyków wpadających do głównego nurtu i zmieniających ją we wzburzony strumień, który wyżłobił głęboki wąwóz.

Rabban był tak obolały, że z trudem trzymał się w siodle. Gdzieś za nim znajdował się Brom, który na pewno wezwał innych grummańskich żołnierzy, by kontynuowali pościg. Ogier przedzierał się przez odnogi głównego koryta tworzące boczne parowy. Rabban obejrzał się, spodziewając się ujrzeć rozwścieczonych grummańskich wojowników depczących mu po piętach.

Kiedy usłyszał warkot motocykli zwiadowczych wroga, było już za późno, by się ukryć.

Z doliny wypadło dwóch mężczyzn w atrydzkich mundurach na maszynach, które pędziły tak, że prawie nie dotykały ziemi. Rabban okręcił się i szarpnął do tyłu, chwytając łęk siodła. Jego palce szukały przycisków kierujących układem nerwowym rumaka, ale koń już sam planował ucieczkę. Stał dęba. Nie mogąc się utrzymać, Rabban wypadł z siodła, runął ciężko na skalną ścieżkę i potoczył się po zboczu. Zwierzę skoczyło i po paru sekundach Rabban znalazł się sam.

Motocykle zwiadowcze Atrydów przeleciały z wyciem silników nad rozszerzającym się wąwozem i skierowały się ku niemu.

— Na siedem piekieł, on wygląda jak Bestia Rabban! — zawołał Gurney. — Rabban poniżał Gurneya w zagrodach dla niewolników, oszpecił go na całe życie i zabił jego siostrę. — Czy to możliwe, że to on?

Zgarbiony nad motocyklem, Duncan widział to samo. Sam miał w dzieciństwie ciężką przeprawę z tym człowiekiem; ledwie udało mu się ująć z życiem z polowań organizowanych przez Rabbana w katakumbach Baronii i w niebezpiecznych ostępach wokół stacji straży leśnej.

— To Rabban — potwierdził, odsuwając na bok rozliczne pytania, które natychmiast pojawiły się w jego głowie, na przykład o to, dlaczego bratanek barona Harkonnena jest na Grummanie oraz

w jakim stopniu Harkonnenowie zaangażowali się w wojnę asasynów. W tej chwili interesowało go tylko jedno: schwytanie tego człowieka. — No i sytuacja się odwróciła... teraz to my polujemy na niego!

Po upadku z konia Rabban pozbierał się i co sił w krzepkich nogach ruszył w górę długiego zbocza. Kierował się ku skalnym wychodniom nad huczącym wodospadem, gdzie mógł znaleźć schronienie. Bez wątpienia zamierzał się ukryć jak szczur.

Duncan i Gurney pędzili na pojazdach zwiadowczych w górę zbocza, szybując tuż nad ziemią. Postawili motory na płaskim kamieniu i dalej ruszyli pieszo. Kiedy Duncan ujrzał wciśnięty w szczelinę zwieńczony pękiem czarnych piór hełm Rabbana, który go porzucił, dobył miecza. Słyszał, jak Bestia biegnie w niewielkiej odległości przed nimi, potracając kamienie i brnąc po skalnej półce.

Ścigający postanowili obejść z dwóch stron pokryte mchem głazy, które sterczały w górę, tworząc istny labirynt. Duncanowi wydawało się, że czuje w powietrzu woń strachu. Oblizął wyschnięte wargi. Grummański kurz miał zasadowy posmak. Wcześniej Idaho pochłonięty był przebiegiem bitwy — nagła zmiana taktyki wicehrabiego wstrząsnęła nim — ale teraz nie mógł się skupić na niczym oprócz wspomnień z dzieciństwa, na przerażeniu i wściekłości, które odczuwał, kiedy gonił go Rabban z towarzyszami łowów. Ledwie uszedł z życiem, przechytrzywszy go... ale ilu ludzi padło ofiarą tego łotra w następnych latach?

Zbyt wielu.

Przyspieszył, wiedząc, że Gurney Halleck nienawidzi tego zwyrodnialca tak samo jak on. Choć byli przyjaciółmi, Duncan nie chciał odstąpić przyjemności zabicia go nawet serdecznemu druhowi.

Występy skalne sprawiały, że Rabban mógł uciekać tylko w jednym kierunku, a biegnąc, wybierał na pewno najłatwiejszą drogę. Ilekroć Duncan skręcał za wyniosłą iglicę, spodziewał się tam czyhającego na niego wroga.

Wreszcie droga skończyła się w rumowisku potężnych głazów. Duncan minął uschnięte drzewo, okrążył wysoką skałę i znalazł się przed półką skalną położoną dwanaście metrów nad gardzielą, przez którą strumień rwał ku suchym równinom. Rabban stał na końcu półki, spoglądając z przerażeniem w otchłań. Odwrócił się ku prześladowcy, rozpaczliwie ściskając bojowy nóż, którego wysadzana szlachetnymi kamieniami rękojeść wydawała się dłuższa niż ostrze i który był raczej nieporęczną ozdobą niż zabójczą bronią.

Duncan uniósł miecz i podszedł bliżej. Czuł śmiertelny spokój.

— Wolalbym cię rozplatać, Rabban — powiedział — ale jeśli wybierzesz upadek z tej skały, to i tym się zadowolę.

Harkonnen plunął na niego, ale ślina przylgnęła do wnętrza jego tarczy osobistej, a potem zaczęła ściekać po niewidzialnej barierze.

— Nie poznajesz mnie, co? — zapytał Duncan, myśląc, że być może Gurney wywarłby większe wrażenie na Bestii. — Jest tutaj! — krzyknął i zerknął szybko przez ramię, kiedy nadbiegł jego towarzysz.

Rabban wykorzystał to, że Duncan na chwilę odwrócił od niego uwagę, i skoczył z wyciągniętym nożem.

— Nie muszę cię pamiętać — burknął. — Mogę cię zabić.

Duncan z łatwością sparował cios, a Rabban nie wziął poprawki na tarczę przeciwnika i jego sztylet odbił się od niej. Idaho był znacznie bieglejszy w walce wręcz. Jego ostry jak brzytwa miecz wbił się w ramię wroga. Trysnęła struga krwi.

Rabban warknął i ponownie machnął nożem, ale ostrze zsunęło się po brzeszczocie miecza. Duncan naparł tarczą na tarczę przeciwnika.

— Pokonałem cię drugi raz — powiedział — ale dziś nie jestem już dzieckiem.

Pięta Rabbana ześliznęła się ze skały, a jego blisko osadzone oczy szeroko się rozwarły, kiedy stracił równowagę. Idaho instynktownie wyciągnął rękę, by go chwycić, ale Rabban poleciał w dół i wpadł do spienionej wody.

Gurney krzyknął rozczarowany. Obaj mężczyźni patrzyli, jak Bestia młóci bezradnie rękami w rwącym nurcie, mija o włos mokre, ciemne głazy i spada, koziołkując, w kipiel gardzieli. Jego tarcza nadal drgała, chroniąc go przed skałami, ale nie przed utonięciem.

— No i jak go teraz wyciągniemy? — zapytał Duncan z odrazą.

— Może tam w dole jest wielki wodospad — rzekł Halleck. — Miejmy taką nadzieję.

Usłyszeli pełne złości krzyki i tętent koni. Ouncan dojrzał grunv mańskich wojowników wspinających się na wzgórze i wysypujących z bocznego wąwozu.

— Musimy się zbierać — powiedział.

Gurney skinął głową.

— Księżę musi się dowiedzieć, że również Harkonnenowie maczają w tym palce — rzekł.

— Wolałbym mieć na dowód tego głowę Rabbana, ale księciu wystarczy nasze słowo. —

Duncan spojrział na świeżą plamę na swym mieczu. — Przynajmniej zakrwawiłem ostrze.

— Wytrzymaj krew o rękaw. Może da się zrobić jej analizę.

*Kiedy zbliżyły się siły Moritaniego, Duncan i Gurney wrócili do pojazdów zwiadowczych i włączywszy silniki odrzutowe, wylecieli z wąwozu. Oddalając się, wypatrywali pośród skał poobijanego ciała Rabbana, ale ku swojemu rozczarowaniu, nigdzie go nie dostrzegli.*

— arcyksiążę Armand Ekaz

Stacjonując na skraju zapadniętej równiny, książe Leto i arcyksiążę Armand zażądali szybkiej oceny pola bitwy z dryfowego statku zwiadowczego. Największe straty poniosły oddziały ekaskie, ponieważ tworzyły czoło nacierających armii; w ziejące szyby i tunele wpadły całe dywizje. Idące w straży tylnej wojsko Atrydów pozostało prawie nietknięte i teraz ruszyła naprzód armia kaladańska, by wesprzeć Ekasczyków maszerujących dalej na Ritkę.

Arcyksiążę sprawiał wrażenie zdruzgotanego tą nową tragedią, ale czerpał też chyba ponurą satysfakcję z faktu, że straty Montaniego były równie duże. Czy kawaleria wicehrabiego nie wiedziała, co robi?

Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że — jak pokazały sondy zwiadowcze — resztki grummańskiej kawalerii i piechota zwróciły się przeciw sobie i zabijały żołnierzy, którzy mieli takie same żółte mundury, jakby strony reprezentowały rywalizujące klany czy grupy wojskowych.

— Nie rozumiem tego — rzekł Leto — ale to ułatwia nam walkę.

— Musimy wkroczyć w ten chaos, przyjacielu — oznajmił Armand gniewnym głosem ze swojego statku dowodzenia. — Obie strony zostały zdziśiatkowane, ale to tylko zmniejsza skalę bitwy, natomiast nie usuwa jej powodów. Wicehrabia dodał naszym żołnierzom bodźca do walki.

Obok ojca Paul studiował zmieniające się przewidywania taktyczne i oceny uzbrojenia. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało. Nie pojmował, jaka jest prawdziwa strategia czy cel Moritanich. W tej układance najwyraźniej brakowało czegoś ważnego.

„*Nie mamy istotnej części danych — pomyślał. — Na to liczy wicehrabia*”.

— W tej twierdzy, za tarczami budynków, musi się coś kryć — rzeki. — Plan Moritaniego musi się opierać na czymś więcej. Inaczej jego działania nie mają sensu.

— Zgadzam się, Paul. Nie wierzę, że pokazał nam już wszystkie swoje atuty. — Książe Leto na przemian spoglądał na instrumenty i patrzył przez okno powiększające. — Musimy być ostrożni.

Kontynuując marsz ku granicom Ritki, połączone siły trzymały się bliżej skalnego brzegu dawnego morza, by uniknąć rozpadlin. Zwiadowcy kreślili mapy terenu, unieszkodliwiając miny i inne pułapki, które spowolniały wojska. Leto był nie tyle zdziwiony desperackimi poczynaniami Hundra Moritaniego, ile zaniepokojony tym, że w znacznej mierze miały one na celu opóźnianie natarcia, a nie zwycięstwo. Wiedział, że również Paul to dostrzega. Czyżby Moritani zamierzał prowadzić wojnę na wyniszczenie zamiast wojny asasynów?

Akurat gdy książe nad tym rozmyślał, arcyksiążę Armand przesłał meldunek jego oddziałów przednich.

— Siły grummańskie wycofują się na nowe pozycje wokół Ritki, wzmacniane przez odwody, które do tej pory kryły się w bunkrach. Ich dowódcy przysięgają, że będą walczyć do ostatniej kropli krwi.

— Zanim przedostaniemy się przez tarcze i wkroczymy do miasta, dojdzie tutaj do rzezi. — Leto potrząsnął z frustracji głową.

Duncan i Gurney wrócili z pościgu za dowódcą w hełmie z czarnymi piórami bez tchu, zakurzeni i ze zdumiewającą wiadomością. Kiedy opisali, jak odkryli, że w walce brał udział Rabban, księciu Leto ścisnął się ze złości żołądek.

— To Harkonnenowie, panie — powiedział Idaho. — Jeśli nie zadeklarowali uczestnictwa w wojnie asasynów, czekają ich surowe sankcje, kiedy wieść o tym dotrze do Imperatora.

— Na rękawie Duncana jest krew Rabbana — dodał Gurney. — Możesz ją dać do zbadania DNA?

— Nie tutaj i nie teraz — rzekł Leto. — Może później, ale nie udowodnimy w ten sposób, skąd wzięliśmy tę krew. Mogą powiedzieć, że wszystko sfabrykowaliśmy, że krew mamy skądinąd. Ale zobaczymy.

Gurney potrząsnął głową.

— Jeśli nie będziemy mieli dowodu, baron wszystkiego się wyprze — powiedział. — Ale co widzieliśmy, to widzieliśmy.

Kiedy twarz jego ojca się zachmurzyła, Paul doszedł do szybkiego wniosku.

— Może właśnie dlatego grummańscy żołnierze walczą ze sobą... nie wszyscy są ludźmi Moritanich. Niektórzy mogą być przebranymi żołnierzami Harkonnenów i z jakiegoś powodu obie strony zwróciły się przeciw sobie.

— Nie mam żadnych wątpliwości, że chłopak ma rację — rzekł Gurney. — Wykonują za nas pracę.

Nadal zaniepokojony, Leto patrzył, jak atrydzkie i ekaskie oddziały prą do pierwszego starcia z okopanymi przed tarczami Ritki ocalałymi żołnierzami Moritaniego.

— Najpierw zwycięstwo — powiedział. — Kiedy się z nimi rozprawimy, będziemy mieli dość czasu, by poszukać dodatkowych dowodów przeciw Harkonnenom.

— Jesteś pewien siebie, ojczu.

Leto spojrział na Paula.

— Staram się nie zaczynać bitwy, jeśli nie jestem pewien zwycięstwa.

Minęło siedem godzin i słońce zaczęło się chować za góry, malując suche, skaliste wzgórza paletą barw. Chociaż siły Moritaniego utrzymywały pozycje wokół ufortyfikowanego miasta, oddziały atrydzkich i ekaskich komandosów szukały słabych punktów i przejść do Ritki, by dostać się do systemu kontroli tarcz i wyłączyć je.

Wtedy jednak przybył liniowiec i wszystko się zmieniło.

Olbrzymi statek Gildii zatrzymał się na orbicie Grummana i wypuścił setki fregat wojennych, które ruszyły na planetę w pełnym szyku bojowym. Napływ nowej broni i żołnierzy zmieniłby stosunek sił tak bardzo, że wojna szybko by się zakończyła.

Leto zamarło serce. Zrozumiał, dlaczego wicehrabia Moritani przeciąga walną rozprawę — musiał wiedzieć, że przybędą posiłki, i chciał się utrzymać tylko do czasu ich dotarcia.

— Możliwe, że Harkonnenowie zdecydowali się odkryć karty — powiedział. — To może być cała armia Giedi Prime.

Po kilku pilnych wezwaniach atrydzki statek dowodzenia otrzymał w końcu odpowiedź. Kiedy otworzył się kanał komlinii, Leto zobaczył ze zdziwieniem holograficzny obraz dobrze mu znanej osoby — księcia Rhombura z Ixa.

— Pomyślałem, że może potrzebujesz pomocy, Leto, sprowadziłem więc całe wojsko Verniusow — oznajmił. — Te sukinsyny próbowały zabić również Bronsa.

— Rhombur, twój widok raduje moje serce — rzekł książę Leto.

— Tessja zawsze mi to mówi. Musiałem pójść na liczne ustępstwa wobec tych przeklętych technokratów, ale jestem tutaj. Po tym, co dla mnie zrobiłeś, nie mogłem ci nie pomóc...

Pod grummańskimi żołnierzami ugięły się nogi, kiedy niespodziewanie bitwa przybrała niekorzystny dla nich obrót. Rhombur sprowadził swoje fregaty i jego żołnierze wsparli armie Atrydów i Ekazów. Zanim podobny do cyborga ixański książę wszedł na unoszący się nad polem bitwy atrydzki statek dowodzenia, zjawił się tam arcyksiążę Armand. Uścisnął u włazu dłoń przyjaciele, a gdy ruszyli na mostek, Rhombur zaczął się rozwódzić syntetycznym głosem o nowych ixańskich technologiach, dzięki którym będą mogli się przebić przez tarcze domowe Moritaniego. Na jego pokrytej bliznami twarzy pojawił się uśmiech.

— Przed śniadaniem będziemy w sali tronowej wicehrabiego — zapewnił.

Nagle na ekranach na mostkach wszystkich jednostek dowodzenia pojawiła się twarz i potężny głos zagłuszył paplaninę na wszystkich częstotliwościach.

— Tu Padyszach Imperator Szaddam IV. Rozkazuję przerwać wszelkie działania wojenne. Muszę zapobiec przerodzeniu się tej wojny asasynów w konflikt, który mógłby ogarnąć planety wszystkich rodów zasiadających w Landsraadzie. — Jego twarz promieniowała zadowoleniem z siebie i pewnością. — Przybyłem osobiście — ciągnął — przyjąć kapitulację rodu Moritanich. Wicehrabia przesłał już prośbę, bym pozwolił mu stanąć przede mną i poddać się wyrokowi Imperatora. To jedyny sposób, żeby uniknąć dalszego rozlewu krwi.

Patrząc przez przednie okno swego statku dowodzenia, Leto ujrzał inny statek lądujący obok jednostek Rhombura. Były na nim szkarłatno-złote znaki rodu Corrinów.

*Rodzaj ludzki wiązą nie tylko geny, ale również powszechnie przyjęte normy zachowania. Tych, którzy z własnej woli nie stosują się do reguł cywilizacji, nie można uważać za prawdziwych ludzi.*

— aksjomat Bene Gesserit

Kiedy na Grummanie zaświtał ranek, na szarym niebie nad planetą, na której zapanował narzucony siłą pokój, wisiała armada statków wojennych Corrinów. Przed wielką bramą prowadzącą do Ritki zebrali się delegaci szlachty i urzędnicy Landsraadu z Padyszachem Imperatorem chronionym przez sardaukarów w imponujących szarych mundurach. Potężna forteca leżała przed nimi bezradna i bezbronna jak pokorny suplikant. Wicehrabia Hundro Moritani zmuszony został do uległości.

W nocy obrońcy Ritki wycofali się do miasta, a wicehrabia wyłączył tarcze i pozwolił wkroczyć dygnitarzom Corrinów i przywódcom wrogich armii. Stali oni teraz przed ogromnymi drewnianymi wrotami, ozdobionymi herbami rodu Moritanich, które przedstawiały zwieńczone szpikulcami końskie łby. Nad nimi wznosiły się przednie mury starożytnej fortecy, z wieżyczkami, blankami i basztami. W podmuchach zimnego wiatru łopotały żółte flagi.

Paul stał z ojcem, jednorękim arcyksięciem Ekazem i podobnym do cyborga księciem Ixa w delegacji obcoświatowych armii, czekając, aż otworzą się ozdobne podwoje. Nocą umyli się i przebrali w galowe mundury, z herbami rodów na klapach i kołnierzach. Pusty rękaw Armanda przypięty był do pierśi jego kurtki medalem z klejnotem rodu Ekazów.

Paul zauważył, że twierdza wygląda na starą i nadkruszoną. Najwyraźniej w ciągu wieków musiała przetrwać wiele oblężeń. Na wrotach, pod herbami, rzeźbione płyciny przedstawiały przewagi wojenne z długiej i burzliwej historii Moritanich. Paul znał już część z nich ze swoich studiów. Rzucił się jednak w oczy brak przedstawień współczesnych potworności, haniebnych czynów, których dopuścił się wicehrabia wobec Ginaza i Ekaza.

Kiedy czekali na wejście, Paul zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie stał tak blisko Szaddama IV. Musiał przyznać, że Padyszach Imperator, otoczony oznakami swej władzy, ma majestatyczny nimb potężnego człowieka. Czy rzeczywiście panował nad milionem planet, czy była to tylko hiperbola? Imperator wydawał się zadowolony i sprawiał wrażenie, że chce jak najszybciej zakończyć „*przykre nieporozumienie*” wywołane przez Moritaniego i wrócić na Kaitaina. Zarówno on, jak i jego świta byli wyraźnie przekonani, że spory można rozstrzygnąć na gruncie prawnym, ale założenie to było słuszne dopóty, dopóki wszystkie strony przestrzegały tych samych zasad.

— Nie sądzę, by to się odbyło tak gładko i zgrabnie, jak się spodziewa Imperator — rzekł cicho Gurney. — Wicehrabia nie kończy konfliktów przez podpisywanie papierów.

Na podstawie tego, co do tej pory widział, Paul nie mógł się z nim nie zgodzić. Czuł skurcz w żołądku i widział napięcie na twarzy ojca.

Natomiast przyjrawszy się grupie czekających, zobaczył, że wiele długoletnich sług imperialnych, niższej rangi obserwatorów z ramienia Landsraadu i przedstawicieli różnych komisji jest bardzo przejętych. Wydawali się pełni podziwu dla Szaddama, który potrafił rozwiązać ten problem samą swoją obecnością. Sardaukarzy pozostawali czujni i trzymali palce na spustach broni o dużej sile rażenia.

Przy zgrzytliwych dźwiękach dziwnych grummańskich rogów ciężkie podwoje otworzyły się i mężczyźni w żółtej liberii poprowadzili z ponurymi minami gości do sali przyjęć władcy planety. Pośrodku niej stał samotnie wicehrabia Hundro Moritani w grubych warstwach futer i wspaniałych, kolorowych tkanin. Miał mokre od potu czoło, zaczerwienione oczy, wymizerowaną twarz i sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Masywny tron na przeciwnym końcu sali był ostentacyjnie pusty.

Szaddam IV wszedł majestatycznie, za nim zaś podążyła jego świta. Imperator zlustrował pomieszczenie pogardliwym wzrokiem, marszcząc brwi na widok topornego tronu i wypłowiałych obić na ścianach.

— Nie jest to odpowiednie miejsce dla ceremonii przyjęcia kapitulacji i ogłoszenia moich dekretów, ale nie zamierzam tutaj długo pozostać po jej zakończeniu — powiedział.

Partia Atrydów weszła za Imperatorem, ale Duncan zgubił krok, kiedy zauważył rudowłosego młodego człowieka, który stał na baczność obok pokonanego wicehrabiego.

— Witaj, Duncanie Idaho — rzekł Hiih Resser. — Stary przyjacielu.

Paul słyszał opowieści o towarzyszu Duncana, który został na Ginazie, kiedy innych uczniów z Grummana wyrzucono ze szkoły mistrzów miecza. Dzięki naukom ojca rozumiał, że zawile i delikatne

kwestie honoru mogą zmusić człowieka do dotrzymania przysięgi, nawet jeśli złożyło się ją niegodziwcowi.

— Żałuję, że nie przeszedłeś wraz ze mną na służbę Atrydów — rzekł Idaho. — Wolałbym walczyć u twego boku zamiast przeciwko tobie.

— Nie mogłem dokonać takiego wyboru — powiedział Resser.

— Nie będzie już żadnych walk — przerwał im kategorycznym tonem Szaddam i usadowił się na tronie Grummanów, by przewodniczyć ceremonii. — Kazałem sporządzić stosowne dokumenty. — Skinął na sługę, który szybko podszedł do tronu i wręczył mu proklamację na arkuszu o złożonych brzegach.

Wicehrabia usiadł na krześle nieopodal tronu, za przysadzistym biurkiem. Wyglądało ono na miejsce dla szambelana albo skryby, który zapisywał dokumenty Moritanich. Przywódca Grummańczyków zajął je bez dyskusji. Resser stanął sztywno za swoim panem.

— Będę musiał przeczytać postawione przez Waszą Wysokość warunki, zanim je przyjmę — powiedział Moritani z lekką drwiną.

— To nie będzie konieczne. — Szaddam pochylił się do przodu. — Te warunki nie podlegają negocjacom.

Rhombur wyglądał na zadowolonego z konsternacji pokonanego wodza. Wydawało się, że Armanda Ekaza, który stał obok Ixanina, tylko gniew chroni przed rozpadnięciem się na kawałki. Książę Leto pozostał nieufny i uważnie obserwował sytuację.

Jeden z sardaukarów podał imperatorski pergamin wicehrabiemu, a ten położył go na biurku. Paul wyczuwał emanujące z tego człowieka podniecenie, które sprawiało, że jego ruchy były rwane i gorączkowe. Stojący za nim Resser wyglądał tak, jakby dostał mdłości.

Grummański przywódca przeczytał dokładnie dokument.

— Mam podpisać to nazwiskiem Moritani? — spytał. — A może, ponieważ jest to kolejne posunięcie Corrinów w celu odebrania mojej rodzinie wszystkiego, powinienem się podpisać jako spadkobierca rodu T a n t o r ó w?

Zamiast dramatycznej reakcji Imperatora i reszty obecnych, której najwyraźniej spodziewał się wicehrabia, rozległy się tylko pełne zdziwienia pomruki i szepty.

— Tantorów? — zapytał Szaddam. — Co masz na myśli?

Wicehrabia otworzył pokrywkę panelu ukrytego w blacie biurka i natychmiast umieścił palce na oświetlonych przyciskach.

Podejrzewając zdradę, ruszyli ku niemu biegiem sardaukarzy, gotowi bronić Imperatora. Resser wyciągnął miecz i stanął przed wicehrabią. W odpowiedzi Duncan wyjął swój oręż.

— Stać! — ryknął wicehrabia. — Albo wszyscy zginiecie w atomowym błysku, zanim nadejdzie chwila, w której ma się to stać.

Szaddam podniósł się z topornego tronu.

— Broń jądrowa? — powiedział. — Nie ośmieliłbyś się jej użyć.

Oczy Moritaniego zapłonęły wściekłością.

— T a n t o r by się ośmielił — odparł. — I przed wiekami Tantorowie ośmielili się to zrobić. Kiedy moi przodkowie zostali zdradzeni przez Corrinów, zapędzeni w ślepy róg i nie mieli wyboru ani szansy przeżycia, wykorzystali broń jądrową, którą posiadali, i zniszczyli prawie całe życie na Salusie Secundusie.

— Tantorowie? — Szaddam nadal mówił tonem, który świadczył, że jest zdezorientowany. — Tak się nazywali? Nieważne. Zostali wytropieni i zabici, ich ród przestał istnieć, a z historii Imperium wymazano wszystkie wzmianki o nich.

— Nie. Ci, którzy przeżyli, zasiali nasienie i pojawiliśmy się znowu.

Podźwignęliśmy się i stali rodem Moritanich. Ale teraz nasz świat jest już wyeksploatowany, a mój syn Wolfram nie żyje. To koniec naszych nadziei na przyszłość. Nie zostało nam już nic, tak jak tobie, Szaddamie Corrinie. Wiedziałem, że postanowisz interweniować tu osobiście. — Dłoń wicehrabiego spoczywała nieruchomo na konsoli, jego palce zaś na przyciskach. — Tutaj, w Ritce, zgromadzona jest cała broń atomowa mojego rodu, a większość jej zapasów mój mistrz miecza umieścił w katakumbach pod waszymi stopami. — Wydał długie westchnienie, które brzmiało jak wyraz ekstazy. — Po prostu chciałem, żebyście dowiedzieli się o tym przed końcowym błyskiem chwały. Wysłałem już wiadomości



do członków Landsraadu. Historia nigdy nie zapomni nazwy rodu, który spowodował zagładę Corrinów. Raz na zawsze położę mu koniec.

W tej samej chwili Szaddam wydał krzykiem rozkaz i sardaukarzy skoczyli naprzód. Paul widział jednak, że nikt nie zdąży powstrzymać zagłady.

Z zamkniętymi oczami i spokojnym uśmiechem wicehrabia nacisnął guziki.



*Szlachetny przywódca musi być surowy, a jednocześnie być sercem i uczynkiem sprawiedliwy. Odnosi się to tak samo do Imperatora, jak do szlachetki, a nawet do ojca.*

— **Zasady przywództwa**, wykład księżnej Irulany w Arrakińskiej Akademii Wojennej

Paul krzyknął do ojca, starając się po raz ostatni nawiązać z nim kontakt, ale błysk, który miał ich wszystkich spalić, się nie pojawił. Zdumiony Moritani patrzył na panel, który właśnie zgasł.

Duncan skoczył w stronę biurka z uniesionym mieczem, ale między nim a wicehrabią wyrósł nagle Hiih Resser. Jednak zamiast go zaatakować, były towarzysz wyciągnął ku niemu swój oręż w geście podania się.

— Nie ma potrzeby, Duncan — powiedział. — Już po wszystkim.

Na wicehrabiego runęli sardaukarzy, powalili go na podłogę i odciągnęli od konsoli. Rzucił się i wyrwał, ale nie mógł się równać z żołnierzami elitarnych jednostek Imperatora.

— Honor nie wie, co to polityka, a jedynie, co znaczy posłuszeństwo — powiedział ze smutkiem Hiih Resser, oddając miecz zwrócony rękojeścią w stronę Duncana Idaho. — On był moim panem, przysięgam mu wierność. Sumienie jednak nie pozwalało mi zgodzić się na to, co zamierzał uczynić, wziąłem więc sprawy w swoje ręce.

— Co zrobiłeś? — zapytał Duncan.

— Rozmieściłem ładunki jądrowe wokół miasta, jak rozkazał wicehrabia. Ale nie mogłem pozwolić, by je odpalił i spowodował spektakularną zagładę, którą zaplanował. Byłaby to niewybaczalna zbrodnia na Imperatorze, mieszkańcach Grummana i was wszystkich, których przecież tak bardzo już skrzywdził. — Wziął głęboki oddech i jego wstrząśnięta twarz nieco się rozpogodziła. — Zatem unieszkodliwiłem połączenia z zapalnikami.

— Zdradziłeś mnie! — wrzasnął Moritani. — Złamałeś przysięgę, że oddasz za mnie życie! Resser obrócił się do wicehrabiego.

— Nie, panie — rzekł. — Przysięgam słuchać twoich rozkazów i co ważniejsze, przysięgam, że będę cię bronił. Umieściłem ładunki jądrowe, tak jak rozkazałeś. Potem, zapobiegając temu, byś zabił siebie, całą tę szlachtę i samego Imperatora, ocaliłem ci życie. Nie splamiłem honoru.

— Słuchajcie wszyscy — przemówił z namaszczeniem Padyszach Imperator Szaddam IV. — Niechaj będzie wam znana nasza wola i postanowienie naszego imperatorskiego majestatu.

Odesławszy dwór na statek flagowy, siedział w dekadencjach, szamerowanych klejnotami szatach na przenośnej kopii Lwiego Tronu. Jego ponure spojrzenie przesunęło się po szlachcie zebranej w Sali o metalowych ścianach, po jeńcach i obserwatorach. Szaddam puszył się, jakby grummańska wiktoria była wyłącznie jego zasługą.

Czując się źle w tym miejscu, Paul stał z Duncanem, Gurneyem, arcyksięciem Armandem i księciem Rhomburem obok ojca. Wszyscy byli w strojach galowych.

Natomiast wicehrabia Moritani miał zmięte szaty, rozwichrzone włosy i przekrwione oczy, w których widać było zarówno szaleństwo, jak i przebiegłość. Sam wygląd tego człowieka wprawiał Paula w zażenowanie. Chociaż Hundro Moritani był szlachcicem, przed oblicze Imperatora przywlekli go sardaukarzy. Przywiązali go do metalowego krzesła ostro kontrastującego ze wspaniałym tronem, na którym siedział Szaddam IV.

Jego ręce skrępowano w nadgarstkach szigastruną, nogi przykuto do nóg krzesła. Zakucie szlachcica w kajdany było czymś niesłychanym, ale uparł się przy tym dowódca straży przybocznej Imperatora.

Ród Atrydów, podobnie jak arcyksiążę Ekaz, miał uzasadnioną urazę do wicehrabiego, ale Paul był pewien, że Szaddam zaspokoi przede wszystkim własne pragnienie zemsty. Potomkowie renegatów Tantorów? Ilu ludzi ucierpiało z powodu nienawiści tego szaleńca wywołanej wydarzeniem sprzed tysięcy lat? Jak można było szukać zemsty po takim czasie? Ale z drugiej strony Atrydzi i Harkonnenowie nienawidzili się od tyłu tysiącleci, że przyczyny tej waśni niemal zatarły się w mroku dziejów.

W końcu wyglądający na zmęczonego, ale pogodzonego z losem Hiih Resser stanął sam pośród tłumu, jak wyspa na morzu. Tuż przed spotkaniem z Imperatorem poprosił Duncana, by dał mu swój nóż bojowy. Chociaż niechętnie, Idaho spełnił jego prośbę.

— Nie zamierzasz chyba zrobić niczego głupiego, co? — zapytał.

Rudowłosy mistrz miecza długo się wahał, po czym pokręcił głową.

— Nie to, co myślisz, Duncan — odparł.

Sztychem odpruł z kołnierza przedstawiające końskie łby insygnia i rzucił je na podłogę. Następnie odciął z ramion i rękawów oznaki swojej szarży.

Widząc, co zrobił jego mistrz miecza, związany wicehrabia splunął na podłogę.

Aby zwrócić uwagę wszystkich obecnych w królewskiej sali statku flagowego, Imperator uniósł wysadzaną kamieniami szlachetnymi łaskę, która była oznaką jego władzy, i stuknął nią w podłogę. Stuknięcie poniosło się głośnym echem.

— Wicehrabio Hundro Moritani — powiedział — za twoje zbrodnie można ci wymierzyć cały szereg kar. Wystąpiłeś otwarcie przeciw rodowi Corrinów i naszej osobie, przeto powinienem rozkazać natychmiast cię zgładzić. Wziąwszy jednak pod uwagę wszystkie konsekwencje, jakie musisz ponieść, doszedłem do wniosku, że egzekucja nie musi być pierwszą z nich. — W oczach Szaddama migotały iskierki złości i okrutnego humoru. Moritaniemu zakazano się odzywać i zagrożono zakneblowaniem, jeśli nie posłucha. — Przede wszystkim — ciągnął Szaddam — pozbawiam cię ziem, tytułów i majątku: posiadłości na Grummanie, poddanych, akcji KHOAM, inwestycji, a nawet garderoby. — Uśmiechnął się. — Zapewnimy ci odpowiedni strój w więzieniu imperialnym na Kaitainie. Pięćdziesiąt procent twojego majątku przejdzie na własność korony. Druga połowa — otworzył w dobronliwym geście dłoń — zostanie rozdzielona między pozostałe skrzywdzone rody — Ekazów, Atrydów i Verniusow — proporcjonalnie do strat, które przez ciebie poniosły.

Imperator kiwnął głową, zadowolony ze swojej hojności. Paul zauważył jednak, że jego ojciec zeszytniał. Również Rhombur nie wyglądał na w pełni zadowolonego, jakby uważał, że nagroda pieniężna za udzielenie pomocy przyjacielowi jest zniewagą.

Szaddam rozsiadł się wygodniej na tronie.

— Co do Grummana i władzy siridara, nadajemy je jako nowe lenno rodowi Ekazów. Wszystkie bogactwa planety i jej zasoby naturalne należą teraz do ciebie, arcyksiężę. Możesz eksploatować ten świat i ciągnąć z tego zyski.

Armand stał w milczeniu, z kamienną miną.

— Dziękuję, panie — rzekł w końcu bez krzty radości.

Planeta z doszczętnie wyeksploatowanymi kopalinami, o lichych glebach, na których ledwie co rosło, i biednej, chorej i umęczonej ludności nie była żadną nagrodą. Raczej kamieniem u szyi.

— Wicehrabio Moritani — odezwał się ponownie Szaddam — rezerwuję sobie prawo nakazania twojej egzekucji w dowolnym czasie. Jednak, dbając o ducha harmonii w Imperium, proponuję dostarczyć cię niezwłocznie fregatą więzienną na Kaitainę, gdzie staniesz przed sądem Landsraadu. O twoim losie postanowią przedstawiciele szlachty, stanu, do którego należysz.

— Z niecierpliwością czekam na to, kiedy będę mógł przemówić w swojej obronie — warknął wicehrabia, nie mogąc się już powstrzymać. — Jestem pewien, że zarówno ciebie, jak i członków Landsraadu bardzo zainteresuje to, co mam do powiedzenia... na właściwym forum. Nigdy nie sądz, że ktokolwiek, nawet sam Imperator, wie o wszystkim, co się dzieje w Imperium.

Paul przyglądał się badawczo wyzywającemu grummańskiemu możnowładcy, jego ruchom i minom, i uważnie słuchał jego głosu. Moritaniego spowijała otoczka szaleństwa, przez co trudno było odczytać jego zamiary, ale młodzieniec nie wyczuwał w jego zachowaniu ani brawury, ani blefu. Wicehrabia naprawdę miał coś więcej do powiedzenia. Była to jakaś zagmatwana sprawa.

Oczy Szaddama zwięzły się, zrobił wyrachowaną minę.

— Nie możemy się doczekać twoich zeznań, chociaż być może inne wysokie rody nie są nimi zbyt zainteresowane — powiedział.

Paul spojrział na Duncana, przypomniawszy sobie o jego spotkaniu z Bestią Rabbanem tutaj, na Grummanie. W końcu uśmiechnął się też ze znużeniem księżę Leto. Żaden Atryda nie byłby rozczarowany, gdyby się okazało, że za te haniebne akty ponosi winę baron. Upadłby nie tylko ród Moritanich, ale dostałoby się również Harkonnenom. Przy odrobinie szczęścia Vladimir Harkonnen znalazłby się w celi sąsiadującej z celą wicehrabiego.

Imperator kiwnął z zadowoleniem głową.

— Moja praca tutaj jest zakończona — rzekł. Gestem nakazał wyprowadzić wściekłego wicehrabiego, po czym klasnął i zapowiedział przyjęcie dla uczczenia końca wojny asasynów i zapobieżenia o wiele większemu, międzyplanetarnemu konfliktowi.

*Ludzie słabi postrzegają groźby jako najwyższy przejaw siły. Tymczasem ci naprawdę potężni widzą w nich jeszcze jeden wyraz słabości.*

— baron Vladimir Harkonnen, *Rady dla asasynów*

Baron był wściekły i dawał to odczuć Rabbanowi. Czuł również dziwne zdenerwowanie, ale starannie ukrywał je przed swoim niewydarzonym bratankiem.

Zaledwie dwa dni wcześniej otrzymał zwięzły, zagadkowy liścik podpisany przez księcia Leto Atrydę.

„Ufamy, że twojemu bratankowi Rabbanowi goi się rana od miecza. Szkoda, że nie mogliśmy spędzić z nim więcej czasu na Grummanie”.

Pismo nie zawierało żadnych dodatkowych wyjaśnień i baron czuł złowieszczy ciężar w piersi. A zatem Rabban został rozpoznany. Atryda wiedział, że Harkonnenowie maczali palce w tym konflikcie... chociaż najwidoczniej nie miał na to dowodów. W przeciwnym razie liścikowi towarzyszyłoby wezwanie do sądu Landsraadu. Tak więc Leto po prostu chciał, by ród Harkonnenów wiedział, że on wie.

Było to wprawdzie irytujące, ale nieszkodliwe. Niech Atrydzi zamartwiają się, że nie mogą nic zrobić w tej sprawie. Jeśli na podstawie tak wątplych przesłanek ogłoszą kanły, baron odegra rolę pokrzywdzonej strony.

Tego popołudnia Bestia wrócił w końcu na Giedi Prime, przepchnął się przez pałacowych strażników i bezzwłocznie stanął przed stryjem. Mimo wszystkich swoich jaskrawych wad człowiek ten miał również pewne zalety. Zdawał sobie na przykład sprawę, jakim jest kłopotem dla barona, i wiedział, że jego los spoczywa w jego rękach.

Świadczyło to o minimalnej choćby inteligencji. Najwidoczniej reszta przebranych harkonneńskich żołnierzy zginęła.

Rozczochny i bez tchu, Rabban zjawił się w gabinecie barona. Z boku głowy, gdzie medyk wygolił jego rudawe włosy, by opatrzyć ranę, miał przesiąknięty krwią opatrunek, przez który wyglądał na poturbowanego. Rana na ramieniu była ciasno owinięta plasterem gojącym. Czyżby była to rana od miecza, o której wspomniał Leto?

— Drzę z niecierpliwości, by usłyszeć o twoich przygodach — rzekł baron pełnym sarkazmu basem, kiedy usadowił się za swoim ciemnym, bogato rzeźbionym biurkiem.

Do gabinetu wszedł wolno Feyd, również ciekaw relacji o eskapadach starszego brata. Smukły młodzieniec patrzył pogardliwie na muskularnego tępaka, który przestępował nerwowo z nogi na nogę. Feyd wyciągnął się na kanapie, skąd mógł się wygodnie przyglądać.

Urywany, niekiedy przeczącymi sobie zdaniem Rabban wyjaśnił, że został sam na sam z przepelnionymi żądzą mordy grummańskimi wojakami, którzy — wściekli z powodu zawinionej przez siebie klęski — chcieli jego głowy. Opowiedział też, jak zginęła cała dywizja przebranych harkonneńskich żołnierzy, albo w rozpadlinach na polu bitwy, albo z rąk mściwych barbarzyńców Moritaniego, i jak ścigali go ludzie Atrydów, ale udało mu się ujść, odniósłszy tylko małą ranę. Potem opisał, jak po przybyciu statków Verniusow, a następnie imperialnej delegacji ukrył się w magazynie i ledwie uniknął schwytania.

Bestii nie brakowało pomysłów ani wyobraźni. Mimo to twarz barona pociemniała.

— Widzieli cię żołnierze Atrydów — powiedział. — Rozpoznali cię.

— Skąd wiesz...

Baron walnął potężną pięścią w biurko, po czym pokazał mu liścik od księcia Leto.

— Rozumiesz, że gdyby cię pojmano albo gdybyś zostawił jakiegokolwiek dowody zaangażowania Harkonnenów w tę wojnę, znaleźlibyśmy się w niewyobrażalnych opałach?

Rabban nie dał się zbić z pantałyku.

— Nie zostawiłem żadnych dowodów, stryju. Gdyby atrydzki książę miał jakiś w rękę, przysłałby nie tylko ten liścik.

Baron uśmiechnął się lekko, zaskoczony wnikliwą uwagą bratanka. Feyd prychnął, ale powstrzymał się od komentarza.

— Na szczęście — kontynuował Rabban — Imperator przywiózł taką armię służących, że udało mi się zabić jednego z nich i wziąć jego uniform i plaketkę identyfikacyjną. W zamieszaniu po zajęciu Ritki wtopiłem się w służących, poleciałem na Kaitaina, a stamtąd dostałem się tutaj.

— A więc mimo wszystko potrafisz się wykazać sprytem! — powiedział Feyd swoim najbardziej irytującym tonem.

Z głosu Rabbana zniknęło drzenie. Zastąpiła je pewność siebie.

— Myślałem, że raczej dobrze się spisałem — powiedział.

— Dobrze się spisałeś, uciekając stamtąd. Nie spisałeś się dobrze, jeśli chodzi o zadanie, które ci zleciłem. Słyszałeś ostatnie obwieszczenie Imperatora?

— Słyszałem, że ród Moritanich został pozbawiony tytułu i planety.

— To nie jest ważne — rzekł Feyd, robiąc minę, jakby wiedział trochę za dużo. — Wicehrabiego Moritaniego umieszczono na fregacie więziennej i wysłano na Kaitaina, żeby oskarżyć go przed sądem Landsraadu. Przysiągł, że wyjawí wszystkie swoje sekrety.

Rabban zaczerwienił się.

— Chcesz powiedzieć, że wyjawí związek z nami? — zapytał.

— Och, nie, oczywiście, że nie — odparł baron z lekkim sarkazmem. — Skoro wszystko stracił, jest w niełasce, a jego życie wisi na włosku, powinniśmy oczekiwać, że dotrzyma naszych sekretów, bo jesteśmy przecież takimi dobrymi przyjaciółmi. — Spojrzał spode łba na Rabbana, a ten odwrócił wzrok.

Rabban myślał prosto; dla niego liczyły się konkretne działania, które nie łączyły się w ciągi przyczynowe. Jeśli wrzucił kamień do stawu, nie spodziewał się, że zobaczy kręgi na wodzie. Miał swoje zalety, chociaż baron rzadko go za nie chwalił. Miał różne przydatne cechy. Bywały sytuacje, w których niezbędne było użycie brutalnej siły, a na tym polu niewielu mogło się z nim równać. Co ważniejsze, nie miał wygórowanych ambicji. Nie był na tyle chytry, by brać na siebie większą odpowiedzialność. Ze strony tego bratanka baron nie musiał się obawiać ciosu sztyletem w plecy albo trucizny w napoju.

Natomiast Feyd miał ostry i bystry umysł. Często przeskakiwał z tematu na temat, ale niczym zręczny żongler, nigdy nie tracił kontroli nad żadnym z nich. Chytry? Tik, być może. I, mimo młodego wieku, zaczynał już okazywać zniecierpliwienie czekaniem na to, kiedy zostanie oficjalnie mianowany dziedzicem rodu Harkonnenów. Baron dostrzegł to w poważnym wyrazie jego twarzy, bystrym spojrzeniu i wyraźnej chęci uczenia się.

Ale czy temu młodzieńcowi można było zaufać?

— Moritani nie ma żadnego interesu w osłanianiu nas — zauważył Feyd. — Prawdę mówiąc, ma aż nadto powodów, by wyolbrzymić nasz udział.

Patrząc na Rabbana, baron pozwolił, by starszy bratanek jeszcze parę chwil się martwił, po czym uspokoił go.

— Na szczęście nie jest to tak wielki problem, by nie dało się tego naprawić — powiedział. — W istocie rzeczy, podczas gdy ty wracałeś niespiesznie do domu, podjąłem kroki, by temu zaradzić.

Dowiedziawszy się, że stryj ma jakiś plan, Rabban wyglądał na uradowanego jak dziecko. Nie musiał nawet czekać, aż baron wyjaśni im, co przedsięwziął. Wystarczyło mu proste zapewnienie, że wszystko będzie dobrze.

Baron wyjął z biurka dokument, cienki zwój filmpapieru.

— Oto dostarczona przez kuriera oficjalna wiadomość o tragicznym i tajemniczym wypadku — powiedział. — Fregata więzienna przewożąca wicehrabiego Moritaniego była w tranzycie na liniowcu Gildii, przycumowana obok innych statków pasażerskich, a nawet ostatnich jednostek Imperatora wycofujących się z Grummana. Jak wiecie, liniowce nie zwiększają ciśnienia w ładowniach. Niestety, w wyniku osobliwego wypadku rozszczelniły się śluzy powietrze fregaty więziennej i wicehrabia znalazł się w próżni. Obawiam się, że nie pożył długo. Kiedy znaleziono jego ciało, było rozdęte i zamrożone. Widok jego twarzy musiał być naprawdę odrażający.

— Ty to zaaranżowałeś, stryju? — spytał entuzjastycznym tonem Rabban.

Baron spojrzał na niego gniewnie.

— To był wypadek — zarzął Feyd.

— Widzę, że mnie podziwiasz, Feyd — rzekł baron, kiwając głową. — Pewnego dnia, chociaż nie nastąpi to tak szybko, będziesz taki jak ja.

Odpowiedź Feyda była szybka i zaskakująca.

— Ale ufam, że nie taki gruby.

*Podczas dojrzewania młodego człowieka do największej zmiany osobowości dochodzi, gdy odkrywa on, że jego ojciec jest niedoskonałym śmiertelnikiem.*

— tom II *Życia Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

Po pogrążonej w nocy stronie Kaladanu liniowiec wypuł transportowce piechoty i statki myśliwskie, za którymi ukazała się rodowa fregata Atrydów. Pełen szacunku dla tych, którzy tak dzielnie walczyli w jego sprawie, książę Leto uparł się, że najpierw odeśle do domu wszystkich żołnierzy.

— Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę twoją matkę, zwłaszcza po tym, co przeszliśmy — rzekł Leto, siedząc z Paulem przy szerokim oknie obserwacyjnym. — Ona... może tchnąć we mnie ducha. W tej chwili czuję się odrętwiały.

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, książę wstał, skinął na syna, by poszedł za nim, i ruszył korytarzem biegnącym wzdłuż skierowanej w stronę gwiazd burty fregaty, która właśnie wchodziła w atmosferę Kaladanu. Minęli szereg okienek, przez które widać było światła pozycyjne znikających w dole jednostek eskorty.

— Wiem, jak się czujesz, ojcze — rzekł Paul. — Wiele się nauczyłem z tego, co przeżyłem. Nade wszystko mam nadzieję, że nigdy już nie zobaczę bitwy.

— Możesz mieć taką nadzieję, ale obawiam się, że to niemożliwe — powiedział Leto. — Jesteś książęcym synem. Nawet jeśli nie będziesz szukał zwady, nie unikniesz jej.

Atrydzka fregata przebiła się przez ostatnie warstwy chmur zakrywających planetę i Paul ujrzał w dole mrugające światła nadbrzeżnych wiosek oraz jasny krąg będącego ich celem portu kosmicznego w Kali. Kapryśny podmuch wiatru zakolysał statkiem i Leto oparł się o ścianę, by niespodziewany ruch nie pozbawił go równowagi. Chwiejąc się na boki, fregata przedzierała się przez czoło burzy. W strumieniach pędzonego przez wiatr deszczu mignęły Paulowi zarysy zamku kaladańskiego, a także pierwsza grupa statków lądujących już w porcie i zajmujących wskazane stanowiska niczym pionki na ogromnej grze planszowej.

Duży ekran na grodzi pokazywał rejestr statków; ilekroć jeden z nich siadał bezpiecznie na ziemi, bursztynowy punkt obok jego nazwy zmieniał kolor na zielony. Książę przekazywał oficerom instrukcje przez komlinię i otrzymywał od nich meldunki. Z ulgą i zadowoleniem stwierdził, że wszystkie wróciły cało do domu.

Ich rodowa fregata zatoczyła koło nad portem kosmicznym i skierowała się na główne lądowisko. Paul widział przez okno wzburzone morze bijące o nadbrzeżne skały. Flota rybacka wróciła przed zachodem słońca do portu, uchodząc przed sztormem, i chociaż łodzie zostały przycumowane do pirsów, kołysały się ciężko na talach i uderzały w pale. Paul wiedział, że dobrzy ludzie z Kaladanu przetrwają łatwo każdy sztorm. Pogoda zawsze będzie tu kapryśna, ale nie osłabiało to ich miłości do ojczystej planety.

Fregata siadła ze wstrząsem na płycie i pokołowała do dużego hangaru, gdzie znalazły schronienie pozostałe jednostki. Kiedy Paul wysiadł z ojcem ze statku i stanął na posadzce mokrej od wody spływającej z gładkiego kadłuba, czekała już na nich lady Jessika. Wilgotne pasma jej brązowych włosów i krople deszczu na płaszczu świadczyły o tym, że w drodze do hangaru dopadła ją ulewa.

Leto przyciągnął ją bez ceregieli i łagodnie pocałował.

— Przykro mi, że znalazłaś się tu podczas burzy — powiedział.

— Trochę zmoczył mnie deszcz. Nic wielkiego — stwierdziła.

Stali objęci, niewiele mówiąc, chociaż Paul wiedział, że mają sobie dużo do powiedzenia. W okresie, w którym Leto zaręczony był z llesą Ekaz, Jessika była jak pozbawiona steru łódź na otwartym morzu. Masakra w dniu ślubu i wojna asasynów przetoczyły się przez ich związek niczym sztormowa fala. Teraz oboje musieli zdecydować o naprawieniu szkód. Żadne nie było już takie samo jak przedtem.

Zmagając się z myślami, Leto patrzył na nią swoimi stalowoszarymi oczyma, a Jessika po prostu czekała. Paul obserwował rodziców.

— Nie będzie lepszej okazji, by to powiedzieć, Jessiko, a i nasz syn powinien to usłyszeć — rzekł w końcu jego ojciec. — Jestem zmęczony polityką i waśniami i już nigdy nie przyjmę od żadnego rodu propozycji ożenku. — Ujął jej dłoń. — Ty jesteś moją jedyną panią i zawsze byłaś moją jedyną miłością. Chociaż nie mogę się z tobą ożenić, nigdy nie zgodzę się pojąć za żonę innej kobiety.

Jessika wydawała się podenerwowana.

— Nie możesz mi składać takich obietnic, Leto — powiedziała. — Musisz próbować trzymać inne rody w niepewności co do twoich matrymonialnych zamiarów. Musisz przynajmniej zadbać o to, by twój ożenek był otwartą sprawą, ponieważ jestem tylko konkubina.

— Moja kochana, znaczysz dla mnie dużo więcej. — Wyciągnąwszy rękę do Paula, objął go. — I jesteś matką naszego syna, następnego księcia.



**CZEŚĆ VII**  
**IMPERATOR MUAD'DIB**  
**10 198 EG**



Przeniósłszy się z noszącej wciąż ślady zamachu Niebiańskiej Sali Posłuchań do pierwotnej sali tronowej, Imperator Paul Muad'Dib udzielał audiencji, siedząc na ogromnym fotelu z hagalskiego kwarcytu. Codziennie słuchał chwytających za serce skarg wielu wiernych poddanych, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by ulec ich narzekaniom na niedolę. Owszem, część z nich przygniotły jego rządy, ale nie mógł zająć się o wszystkich, nie mógł się wczuć w ból każdej z miliona jednostek z osobna. W pewnym sensie ich cierpienie było niezbędne dla dalszego istnienia ludzkości. Dar jasnowidzenia zmuszał Paula do patrzenia na szerszy obraz i utrzymywania stałego kursu. To było owo większe, straszliwe przeznaczenie, jedyna droga, którą mógł poprowadzić ludzkość do ostatecznego wyniku. Musiał być Muad'Dibem, nawet jeśli oznaczało to, że będzie się wydawał surowy i zimny.

Księżę Leto Atryda, a przed nim Stary Księżę Paulus, bardzo lubił spotykać się z ludźmi w cztery oczy. I jeden, i drugi uważał bezpośrednie kontakty z poddanymi za istotny element sprawowania władzy. Jednak po wstrząsających czynach, których dopuścił się Bludd, i odkryciu kolejnych spisków, które na szczęście zduszono w zarodku, udzielanie posłuchań wydawało się Paulowi wyczerpującym, irytującym i niebezpiecznym zajęciem. Poprzedni kaladańscy książęta władali jednym ludem i jedną planetą, natomiast on musiał dźwigać na swoich barkach ciężar odpowiedzialności za tak wiele planet, że bez odwołania się do swego mentackiego wyszkolenia nie mógłby nawet wymienić ich nazw.

Postanowił, że przekaże więcej swych obowiązków Alii. Jego siostra najwyraźniej miała inny stosunek do własnego sumienia, jakiś sposób szufladkowania tego, co trzeba było zrobić. Dzięki swoim dawnym żywotom i zapamiętanym z nich doświadczeniom mogła rządzić twardą ręką. A ponieważ dziwność dziewczynki przerażała ludzi, będą ją postrzegali raczej jako kapłankę niż władczynię. Alia mogła to wykorzystać.

Pewnego ranka, zanim do pilnie strzeżonej sali wpuszczono pierwszą grupę suplikantów, przed Paulem pojawiła się Irulana, prosząc o posłuchanie. Stojący obok tronu Stilgar i Alia spojrzeli na nią ze zwykłą podejrzliwością, lecz Paul lepiej rozumiał jej motyw i ufał, że zachowa się zgodnie z ustalonymi regułami.

Miała zatroskaną i skonsternowaną minę.

— Mężu — powiedziała — kurier Gildii dostarczył mi wiadomość. To zaadresowana do mnie prośba o wstawiennictwo. — Ze zmarszczonymi brwiami podała mu cylinder.

Zaintrygowany, wziął przesyłkę. Zauważył pieczęcie o zawitym wzorze, które Irulana już złamała. Kiedy czytał zawartość, księżna wyjaśniła Stilgarowi i Alii:

— Lady Margot Fenring prosi o przysługę.

— Lady Margot? — zapytała Alia, czerpiąc ze wspomnień własnych i matki. — Od lat nie mieliśmy od niej wiadomości.

Hrabia i jego żona, którzy początkowo towarzyszyli Szaddamowi IV, przebywającemu po bitwie pod Arrakin na wygnaniu na Salusie Secundusie, po krótkim pobycie opuścili tę planetę i zniknęli; widocznie nie darzyli obalonego Imperatora wielką miłością. Paul wiedział, że hrabia jest niebezpiecznym człowiekiem, intrygantem, który mógł w tej dziedzinie stawać w szranki z najbardziej makiawelicznymi z Bene Gesserit czy Harkonnenów.

Przeczytał wiadomość, czując, że jego piąty zmysł — prekognicja — ostrzega go, ale w jego umyśle nie pojawiła się żadna wyraźna wizja. Hasimir Fenring — nieudany owoc jeszcze jednej podjętej przez Bene Gesserit próby wyhodowania Kwisatz Haderach — zawsze był dla niego nieprzeniknioną postacią.

— To dziwne, że znaleźli schronienie wśród Tleilaxan — powiedział. — Nie przewidziałem tej prośby. Zapomniałem, że lady Margot ma córkę.

— A czego chce od ciebie ta kobieta, Usul? — zapytał Stilgar.

Po tym, jak o mało nie utonął na Jerisie, wierny naib powrócił na Arrakis i wybrał służbę u boku Muad'Diba jako sekretarz stanu, doszedł bowiem do wniosku, że bardziej nadaje się do kierowania ludźmi niż do walki na odległych planetach. Paul musiał przyznać mu rację.

Imperator odłożył cylinder z listem.

— Prosi, by mogła przysłać tutaj swoją córkę Marie — odparł. — Chce, by się wychowywała i uczyła na naszym dworze.

Irulanę wyraźnie zaniepokoił ten pomysł.

— Nie rozumiem, dlaczego tego chce — powiedziała.

— Ciekawsze jest, dlaczego jesteś wobec niej podejrzliwa, zamiast popierać jej prośbę — odezwała się Alia. — Hrabia Fenring był bliskim przyjacielem twojego ojca, a lady Margot jest znaczącą Bene Gesserit. Czy nie była serdeczną przyjaciółką twojej matki, lady Aniruli?

— I twojej — odgryzła się księżna. — Ale zawsze martwią mnie rzeczy, których nie rozumiem.

— Czy hrabia Fenring jest biologicznym ojcem tego dziecka? — zapytał Paul.

— Lady Margot nie sugeruje, że jest inaczej, ale nie potrafię powiedzieć, czy nim jest czy nie.

— A czy to, że hrabia Fenring nie towarzyszy już Szaddamowi, znaczy, że naprawdę się poróżnili, czy też jest częścią jakiejś intrygi? — dodała Alia. — Nasi szpiedzy donoszą, że hrabia najwyraźniej czuje do Szaddama sporą antypatię. Czy rzeczywiście doszło między nimi do rozdźwięku, czy to tylko mydlenie oczu?

Paul pamiętał straszną zniewagę wyrządzoną przez Imperatora Fenringowi tuż po bitwie pod Arrakin i wyraźny chłód, który hrabia okazał byłemu władcy, a także dziwną świadomość braterstwa łączącego go z nieudanym Kwisatz Haderach. Chociaż byli do siebie zupełnie niepodobni, mieli wspólne pewne wyjątkowe cechy.

— Salusa nie jest miłym miejscem — rzekł Stilgar. — Tak przynajmniej słyszałem.

— Dla hrabiego Fenringa wygody niewiele znaczą — powiedział Paul. — Przez lata służył na Arrakis jako imperialny minister do spraw przyprawy. Podejrzewam, że opuścił Salusę Secundusa nie dlatego, że chciał mieć wspanialszy pałac, lecz że nie mógł już znieść Szaddama.

Twarz Irulany stężała.

— Mój ojciec często podejmował działania, zanim poznał wszystkie fakty — powiedziała. — Po prostu oczekiwał, że reszta Imperium nagnie się do jego woli bez względu na to, czy jego decyzje będą mądre i racjonalne. Nierzadko działał bez konsultacji z hrabią Fenringiem i w rezultacie ponosił kompletne fiasko. Hrabia miał już dość sprzątanego bałaganu po ojcu.

Paul pochylił się z westchnieniem do przodu i oparł łokcie na kolanach.

— Pozostaje pytanie: Jak mamy odpowiedzieć na tę prośbę? — rzekł. — Lady Margot pragnie przysłać tu córkę na szkolenie i niewątpliwie po to, by nawiązała znajomości. Dziewczynka ma dopiero sześć lat. Czy rzeczywiście działają z tak prostych pobudek jak chęć zaskarżenia sobie moich względów, skoro opuścili Szaddama IV?

— Zgodnie z brzytwą Ockhama może to być właściwa odpowiedź — zauważyła Irulana. — Często sensowne jest najprostsze wyjaśnienie.

— Tam gdzie sprawy mają związek z Bene Gesserit, brzytwa Ockhama jest tępa — powiedziała Alia. — Z gwaru w mojej głowie wiem, że zawsze intrygują i spiskują.

Paul znowu podniósł przezroczyście kartki i odczytał słowa, które odcisnęła na nich lady Margot:

*„Imperatorze Paulu Muad'Dibie Atrydo!*

*Pokornie i z szacunkiem proszę o przysługę. Mój mąż wybrał schronienie wśród Tleilaxan, ale jestem przekonana, że nie jest to otoczenie, w którym powinna zostać wychowana nasza córka. Mizoginiczna kultura tleilaxańska jest w moich oczach naganna. Jeśli jej towarzystwo okaże się dla Ciebie do przyjęcia, proszę, by Marie mogła przybyć na Twój dwór w Arrakin i spędzić tam resztę czasu, w którym kształtować się będzie jej osobowość”.*

Paul odłożył kartki.

— Następnie lady Margot przypomina mi, zupełnie niepotrzebnie, że to ona zostawiła mojej matce w oranżerii arrakińskiej rezydencji ostrzeżenie o ukrytym zagrożeniu ze strony Harkonnenów. Zarówno co do tego, jak i co do prawdziwości tej informacji nie ma żadnych wątpliwości.

— A zatem masz wobec niej dług wody — powiedział Stilgar. Stary przywódca zmarszczył czoło i pogładził w zamyśleniu czarną brodę. — Mimo to nie rozumiem, dlaczego daje nam tak ważną zakładniczkę.

— Ten kij ma dwa końce — rzekł Paul. — Możemy trzymać tę dziewczynkę jako zakładniczkę, ale jednocześnie wpuścimy na nasz dwór potencjalnego szpiega.

— Ależ to mała dziewczynka — powiedziała Alia, pozwalając pozostałym dokonać porównań i dojść do własnych wniosków. Następnie usiadła ze skrzyżowanymi nogami na stopniu Lwiego Tronu i wygładziła swoją czarną abę. — Chciałabym mieć towarzyszkę zabaw, bracie.



*Coraz częściej potrafię patrzeć na siebie tylko oczami potwora.*

— **Muad'Dib i dżihad** pióra księżnej Irulany

Paul nie spał dobrze siedem nocy z rzędu i nie mógł ukryć tego faktu przed Chani. Wstała w nieruchomych ciemnościach, wyszła na balkon i stanęła obok niego. Paul przeszedł przez służbę wilgoci, ale był tylko w luźnej, lekkiej tunice i tracił wodę w suchym powietrzu. Nie włożył filtrfraka. Chani też go nie włożyła.

„*Kiedy zapomniałem o podstawowych lekcjach, których udziela Arrakis? — pomyślał. — Czy to, że jestem Imperatorem, znaczy, że woda nic mnie nie kosztuje?*”

Słuchając niemilkącego szumu rozległego miasta, chłonał wibracje powietrza, mieszaninę zapachów wciąganych z każdym oddechem, nieprzefiltrowanych przez wtyki nosowe. Arrakin przypominało mu ul pełen niezliczonych kręcących się owadów, które potrzebowały kogoś, kto za nie myślał, podejmował za nie decyzje i kierował nimi.

Podniósł głowę, zobaczył gwiazdy i wyobraził sobie wszystkie leżące tam światy, wszystkie nadal toczące się bitwy. Z lekkim uśmiechem przypominał sobie coś, co Irulana dodała do jednej ze swoich opowieści, oczywiście, ale tworzące mit zmyślenie, według którego w chwili śmierci księcia Leto po nieboskłonnie nad jego rodzowym pałacem na Kaladanie przemknął meteor...

— Co noc widzę, jak się zamartwiasz, ukochany, i sprawia mi to ból — powiedziała Chani.

Odwrócił się do niej i przeciągle westchnął.

— Martwią mnie ludzie, Sihaja — rzekł. — Od dzieciństwa wiedziałem, że to musi nastąpić, i chciałem, by mi zaufali, by przyłączyli się do mnie w tej podróży, by ze mną współpracowali, zamiast zmuszać mnie, żebym stał się tyranem. Teraz słuchają mnie nie dlatego, że to, co robię, jest konieczne dla dobra ludzkości, lecz dlatego, że tak nakazuje im Muad'Dib. Gdybym o dowolnej porze dnia wyszedł na ulice, utworzyłby się tłum skandujący: „*Prowadź nas, panie! Prowadź nas!*” Czy tego właśnie potrzebuje ludzkość? Niebezpieczeństwa, jakim grozi poleganie na charyzmatycznym przywódcy?

— Może sam potrzebujesz przewodnika, Usul — powiedziała cicho Chani, odgarniając jego ciemne włosy za ucho. — Wskazówek Szej-huluda. Może musisz sobie przypomnieć, co znaczy być Fremenem. Jedź na pustynię, wezwij czerwia i odbądź własny hadżdż.

Pocałował ją w usta.

— Jak zawsze, pomagasz mi widzieć wyraźnie — powiedział. — Tylko na pustyni człowiek może myśleć spokojnie.

Dokładnie tego potrzebowali zarówno Paul Atryda, jak i Muad'Dib.

Zostawiwszy Alię jako swą namiestniczkę, dał jej władzę podejmowania odpowiednich decyzji i sprawowania koniecznych funkcji i wyznaczył Stilgara na jej doradcę i obrońcę (nie żeby jakiegoś potrzebowała). zaproponował Chani, że weźmie ją ze sobą, ale ona, przyjrzawszy się długą chwilę jego twarzy, nie przyjęła zaproszenia.

— Potrzebujesz samotności i spokoju, Usul — powiedziała. — Ty i pustynia macie sobie dużo do powiedzenia.

Czasami myślała w sposób, który nie przyszedł mu do głowy, tak jakby jej umysł wypełniał ważną część naczynia jego życia. Ich związek wykraczał daleko poza więzy łączące mężczyznę i kobietę, pokrewne dusze czy jakąkolwiek inną wspólnotę, o której mówiły komunały. Uczucia, które do siebie żywili, rozciągały się na całe eony ludzkiej egzystencji.

Kiedy wstało słońce, ornitopter zabrał go za rozerwany Mur Zaporowy, za rowy z wodą, które powstrzymywały czerwie, i wylądował na skraju ogromnej, otwartej pustyni. Niestety, mimo iż zamierzał udać się tam sam, bez ceremonii, podążyła za nim wkrótce świta asystentów, doradców i zwykłych gapiów. Korba przekazał mu wiadomość, że wezwał ich, by zgotowali mu przyjęcie z należną Muad'Dibowi pompą.

Ignorując ich i rozmyślając o swoich zmartwieniach, odwrócił się plecami do niepożądanego tłumu i odszedł między diuny, gdzie mógł przywołać czerwia. Zerknął przez ramię i ku swej konsternacji zobaczył osiem ornitopterów i pewnie setkę ludzi, z których część odziana była w pustynnym stylu, a część nosiła szaty kapłanów kwizaratu. Co najmniej jedna trzecia z nich nie miała nawet filtrfraków.

„*Korba nie powinien był tego robić*” — pomyślał.

Odkąd to ludzie wyruszali na pustynię tak, jakby się wybierali na paradę? Poczul, że czystość piasków należy już do przeszłości. Fremeni byli tak zachwyceni niekończącym się ciągiem zwycięstw dżihadu, że nawet nie spostrzegli, kiedy stracili swoje dziedzictwo, kiedy zatracili własne dusze.

Wbił dudnik, nakręcił zegarowy mechanizm i ustawił wahadło na rytmiczne uderzenia. Choć robił to już wiele razy, nadal przejmowało go to nabożnym podziwem. Był obcoświatowcem, a mimo to został jeźdźcem czerw, który sprawdził się wśród Fremenów. Wielokrotnie najeżdżał Harkonnenów, ale wtedy, inaczej niż teraz, wróg był jasno określony, podobnie jak zwycięstwo.

Paul wyznaczał coraz większe nagrody za schwytanie lub zabicie earla Memnona Thorvalda, który uciekał się do coraz bardziej desperackich środków i stosował niespodziewanie brutalną taktykę, czym przypominał Paulowi pokonanego wicehrabiego Hundro Moritaniego. Ale fedajkini najwyraźniej cieszyli się z tego, że mają tak wytrwałego wroga. Spajała ich nienawiść do niego.

Niektórzy obserwatorzy stojący za nim obok ornitopterów oklaskiwali jego odtwarzane z pamięci czynności, jakby dawał dla nich pokaz. Dudnik nadal wysyłał rytmiczne sygnały. Paul czekał, nasłuchując szelestu piasku rozsuwanego przez olbrzymiego czerw, wypatrując lekkiego falowania wydm wywołanego przez przemieszczającego się pod nimi potwora.

Dudnik pulsował.

Odległa publiczność zaczęła mruczeć, zaskoczona tym, co widziała. W końcu sprężyna mechanizmu zegarowego się rozwinęła i dudnik umilkł. Nie przybył żaden czerw. Powiedzą, że to zły omen.

Paul podniósł przeciwwagę, nakręcił ponownie przyrząd i wbił go głębiej w piasek, po czym uruchomił synkopujący mechanizm. Był zakłopotany. Tak wiele osób dopatrywało się ukrytego znaczenia we wszystkim, co robił. Muad'Dib nie chciał tego.

Słyszał ciągły szmer tłumu zastanawiającego się, czy Szej-hulud nie opuścił Muad'Diba. Zaczęła go ogarniać złość — nie tylko na nich, ale również na siebie. Szej-hulud nie występował dla publiczności!

A potem, zanim dudnik umilkł po raz drugi, zauważył lekkie poruszenie diun. Czerw mknął w stronę źródła dźwięków, jego drogę znaczyło na pustyni płytkie koryto. Paul czuł, że przyspiesza mu puls.

Zobaczył to też Korba, a zebrani wokół niego ludzie wydali głośny okrzyk radości. Głupcy! Czyniony przez nich hałas przyciągnie uwagę stworzenia, a niska bariera skał, na której stali, nie powstrzyma dużego czerw.

Paul chwycił liny, haki stwórcy i rozwieracze. Kiedy rozstąpił się piasek i wystrzeliła z niego duża, okrągła głowa, cofnął się i z głośnym, daleko niosącym się brzękiem stuknął hakami, starając się odwrócić uwagę bestii od gapiów, które w końcu umilkły, zdjęci przerażeniem.

— Szej-huludzie! Do mnie! — krzyknął, po czym ustawił odpowiednio stopy, mierząc wzrokiem tempo zbliżania się czerw, i we właściwej chwili zaczepił hak za krawędź jednego z pierścieni. Ścisnął mocno linę i wdrapał się na stworzenie po jego usianym kamykami boku.

Czerw był zaledwie średniej wielkości, ale Paul nie wątpił, że gapie opiszą go jako największego z kiedykolwiek widzianych na Diunie. Mimo niezbyt imponujących rozmiarów bestia spełni jego oczekiwania. Nie obejrzawszy się nawet za siebie, Paul wciągnął się na grzbiet czerw. Wyćwiczoną ruchem włożył rozwieracze między pierścienie, rozsunał je, obnażając wrażliwe ciało pod nimi, i stuknął czerwem laską w łeb. Zakotwiczywszy się za pomocą haków i lin, obrócił bestię i pomknął na wydmy, wzbijając tumany piachu i kurzu.

Samotność, upał i zapach siarki oraz cynamonu, który przywarł do stworzenia, dodawały mu otuchy. Jednak nawet w głębi pustyni nie mógł się pozbyć wrzaskliwego towarzystwa sumienia. Mijały kilometry, ale Paul Atryda nie mógł zostawić z tyłu dręczących go demonów.



Kiedy jej brat udał się na pustynię, Alia zasiadła na tronie, który był dla niej o wiele za duży. Z powodu drobnego ciała i niewinnego wyglądu była wcieleniem dramatycznej sprzeczności — gromadzonej przez pokolenia mądrości i surowej ręki prawa w niepozornej postaci.

Ludzie postrzegali Muad'Diba jako istotę o boskich cechach, ale część tego religijnego splendoru sphywała na Alię. Suplikanci stawali przed nią, nie wiedząc, na jaki z jej zmiennych nastrojów trafią, świadomi, że podejmują ryzyko.

Przybyło dwóch legatów z Alahira, świata, który niedawno się poddał. Zjawili się w sztywnych, oficjalnych uniformach, które sprawiały wrażenie niesamowicie ciepłych i potwornie niewygodnych, zaprojektowanych z myślą o chłodzie panującym na ich planecie, nie o suchym i gorącym klimacie Diuny. Przynieśli dary i poprosili o posłuchanie u Jego Świątobliwości Imperatora Muad'Diba. Kiedy im powiedziano, że go nie ma, podeszli niepewnie do jego siostry Alii, by się przedstawić. Ujrzawszy na tronie dziewczynkę, zapłonęli oburzeniem, przekonani, że to celowa zniewaga wyrządzona ich światu i przywódcy.

— Przelecieliśmy liniowcem wiele układów gwiazdnych, by się zobaczyć z Imperatorem — rzekł jeden z nich.

Alia nawet nie poruszyła się na tronie.

— Mówię w imieniu brata — rzekła. — Albo porozmawiacie ze mną, albo z nikim.

Główny przedstawiciel Alahira miał długą, chudą szyję i wysoki, piskliwy głos.

— Ale przysięgliśmy wierność — powiedział. — Jesteśmy wiernymi poddanymi Jego Świątobliwości. Mamy prawo widzieć się z nim.

Alia odprawiła gestem i paroma lakonicznymi słowami obu mężczyzn pod silną strażą Fremenów. Mimo protestów odprowadzono ich do fregaty, którą skierowano z powrotem na liniowiec. Z rozkazu Alii mieli odbyć długą podróż na swoją planetę, zanim pozwoli im wrócić i ponownie stanąć przed sobą, tym razem z większą pokorą. Wysłała z nimi czterech ponurych fremeńskich strażników, którzy mieli dopilnować, by faktycznie wrócili do domu i postawili stopy na Alahirze.

Niektórzy czekający na audiencję przyjęli surowe traktowanie posłów chichotem. Inni, widząc, że dziewczynka jest w złym humorze i nieskłonna do ustępstw, wymknęli się chyłkiem bez dawania upustu swoim żalom. Ryc może innym razem Alia kazałaby strażnikom pójść za nimi i dowiedzieć się, z jakimi sprawami przyszli, ale teraz założyła, że stwierdzili, iż kwestie, które chcieli przedstawić, są zbyt błahe. Pragnęła — dokładnie jak brat — by tak samo ulotnili się inni i sami rozwiązali swoje problemy.

Następnym petentem był sterany mężczyzna o twarzy poranej głębokimi bruzdami, które świadczyły, że miał ciężkie życie. Wydawało się, że całe jego ciało składa się ze stwardnień i odcisków, ale trzymał się dumnie i z poczuciem własnej wartości, którym otaczał się niczym zbroją. Chociaż nie był gładko ogolony, włosy miał schludnie zaczesane do tyłu i związane na karku. Jego ubiór był ubogi, lecz starannie połatany i pocerowany; tylko bystre oczy Alii dostrzegły ślady znoszenia. Nie był to człowiek niedbający o swoją powierzchowność.

On był oskarżycielem, a dwaj pozwani przez niego wyglądali na dużo bardziej niechlujnych, mimo iż byli lepiej ubrani i spryskali się wodą kolońską. Ogorzały mężczyzna o pobrużdżonym obliczu wystąpił naprzód i zsalutował, jakby Alia była Paulem. Spodobało jej się to.

— Wiernie walczyłem w dżihadzie Muad'Diba — powiedział. — Stawałem na polach bitewnych pięciu planet, włącznie z Ehknotem. Przeszedłem w stan spoczynku z wyróżnieniem i emeryturą. Powinna mi była wystarczyć na utrzymanie domu w Kartagin i moich żon, dopóki nie założyłbym warsztatu kamieniarskiego. Ale ci ludzie — łypnął gniewnie na pozwanych — zabrali mi wszystkie pieniądze.

— Tak, stracił pieniądze, lady Alio, ale ja zyskałem je uczciwie! — krzyknął pulchniejszy z dwóch mężczyzn.

Alia zwróciła się do skarżącego, by uzyskać więcej informacji.

— Grałem z nimi — powiedział. — Graliśmy w kości tarota i wszystko mi odebrali.

Teraz Alia zmarszczyła brwi.

— Kiedy uprawia się hazard, ryzykuje się stratę — rzekła. — Na tym to polega.

— Kiedy uprawia się h a z a r d, pani Alio, zna się reguły i oczekuje się uczciwej gry. A ci dwaj oszukiwali.

— To, że przegrałeś, nie znaczy, że oszukiwali — zauważyła Alia.

— Oszukiwali. Przysięgam na mój honor, na moje życie... na moją wodę!

Alia poprawiła się na tronie.

— Powiadasz, że ci mężczyźni cię oszukali. Oni zaprzeczają. Jak mam ustalić, kto mówi prawdę? — zapytała.

W rzeczywistości mogła to stwierdzić. Nawet gdyby nie posiadała zdolności wyczuwania prawdy, wiedziałaby, że dwaj bardzo zdenerwowani pozwani coś ukrywają, natomiast oskarżyciel mówi z pełnym przekonaniem o swojej krzywdzie i pała słusznym oburzeniem.

Zeskoczyła z tronu i zbiegła po kamiennych stopniach jak mała dziewczynka, by ich zdezorientować.

— Zagram z tymi ludźmi — powiedziała. — Pokażcie mi kości tarota, których używaliście. — Wyciągnęli z ociąganiem kostki, a ona usiadła w kucki na podłodze. — Podejdźcie tutaj, zagramy.

Oskarżeni wyglądali na bardzo zdenerwowanych, ale nie mogli jej odmówić.

Trzymała pięć kostek w małej dłoni. Każdy bok każdego z sześcianów przedstawiał inny obrazek, który miał symboliczne znaczenie, wykraczające daleko poza potrzeby samej gry. Kostki nie były z żadnej strony zauważalnie cięższe, ale wiedziała, że zostały w jakiś sposób spreparowane, by dawać przewagę właścicielom. Reguły nawet podstawowej gry w kości tarota były skomplikowane, lecz Alia знаła je na wylot. Rzuciła pierwsza, zanim mężczyźni zdążyli zaprotestować, i uzyskała dwie buławy, kosę, gwiazdę i dzbanek do wody.

— Złowróźbny omen! — oświadczył jeden z mężczyzn, jakby z przyzwyczajenia. — Teraz pozwól nam postawić pieniądze.

Alia nie miała najmniejszych wątpliwości, że kostki tak zaprojektowano, by pierwszy rzut był korzystny dla gracza i skusił go do podniesienia stawki. Kanciarze. Obaj oskarżeni drżeli i byli szarzy na twarzach. Postawili skromne sumy, a potem rzucili kości, potwierdzając wróżbę z pierwszego rzutu. Nie wiedzieli, czy mają przegrać, czy starać się wygrać, ale ponieważ Alia domagała się od nich coraz wyższych stawek przed entuzjastyczną widownią, nie mogli się po prostu poddać. Nie zgodziła się też, by się wycofali.

Oskarżyciel stał cały czas z ramionami skrzyżowanymi na piersi, patrząc spode łba na grę, natomiast niektórzy ludzie z tłumu zagrzewali Alię do walki i proponowali swoje rady.

Chociaż Alia nie mogła zapanować nad mechaniką rzutów, zaczęła stopniowo uświadamiać sobie, jak oszuści interpretowali wyniki i manipulowali nimi. Sama знаła dużo bardziej interesujący sposób oszukiwania. Dzięki przeblyskom jasnowidzenia potrafiła określić, jak ułoży się większość kostek. Mimo iż ich środki ciężkości zostały nieznacznie przesunięte, by — padając — tworzyły niespodziewane układy, często udawało jej się przewidzieć, które kostki ma odłożyć, a które rzucić, śmiało więc licytowała. „Szczęście” dopisywało jej w bardziej konkretny sposób, niż byłby sobie w stanie wyobrazić jakikolwiek hazardzista.

Prerażeni oskarżeni nie mogli przerwać gry. Widownia mruczała z uznaniem, ale bez zdziwienia, kiedy Alia wygrywała raz za razem, osiągając wyniki odmienne od tych, których można by się spodziewać po rzutach niespreparowanymi kostkami. W miarę upływu czasu co bardziej spostrzegawczy widzowie zaczęli się orientować, że ci mężczyźni w jakiś sposób przerobili kości, a mimo to Alia miesza im szyki. Fakt, że wygrywała, zmuszał ich do ciągłego podnoszenia stawek i zastawiania coraz większych części swego majątku. Strażnicy dbali o to, by nikt nie wyszedł z sali.

W końcu obaj podnieśli ręce.

— Jesteśmy zrujnowani, lady Alio — powiedzieli, szlochając. — Zabrałaś nam cały majątek. Nie mamy już czego postawić.

— Macie swoje życie — zauważyła. — Chcecie o nie zagrać?

— Nie! Błagamy cię!

Pozwoliła im więc się chwilę, po czym wstała.

— W porządku, kończymy tę grę — oznajmiła. — Odprowadzą was strażnicy, którzy dopilnują, byście wypłacili to, co jesteście mi winni. — Niektórzy widzowie zachichotali po tym wyraźnie szyderczym stwierdzeniu, bo dowody na to, że kości zostały spreparowane, były dość oczywiste. Alia obróciła się do oskarżyciela i spojrzała na jego zmartwioną minę. — Z mojej wygranej oddam ci połowę tego,

co straciłeś... ale tylko połowę. Reszta trafi do imperialnego skarbcza. — Podniosła głos. — Całe życie jest grą hazardową, a przeciwnicy nie zawsze będą grali zgodnie z przejrzystymi i jasno określonymi regułami. Jeśli weźmiecie w niej udział, musicie być gotowi na przegraną.

Weteran wydawał się bardzo usatysfakcjonowany jej oryginalnym sposobem wymierzania sprawiedliwości. Każdy z tej trójki opuścił salę innym wyjściem, Alia zaś wróciła na wysoki tron...

Wkrótce otrzymała wiadomość, że lady Margot i jej córka wylądowały w arrakińskim porcie kosmicznym i są w drodze do twierdzy Muad'Diba. Stilgar i Irulana omówili już z nią, jak najlepiej przyjąć gości.

Lady Margot nie przybyła z wielką świtą. Jako niezbyt ważna podróżna przyleciała ze światów Bene Tleilax liniowcem zatrzymującym się po drodze na Diunę na Richese, Węzle i wielu innych niczym się niewyróżniających planetach. Stilgar wprowadził ją do sali tronowej, a petenci rozstąpili się, robiąc im przejście.

Margot Fenring była piękną kobietą wyszkoloną w wykorzystywaniu swojego wyglądu i osobistego magnetyzmu do celów Bene Gesserit. Alia zastanawiała się jednak, czyje cele chce osiągnąć dzięki tej wizycie. Jej matka dokonała innego wyboru. Czy lady Margot zadowalała rola pionka w grze Bene Gesserit? I jaka jest w tej grze rola małej Marie? Bez wątpienia miało to coś wspólnego z planami eugenicznymi.

Alia spojrzała na nie z promiennym uśmiechem i jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Marie. Wyglądała bardzo młodo, lecz Alia wiedziała, że sama tak wygląda w oczach obcych.

— Stawiamy się przed tronem Imperatora — powiedziała żona hrabiego Fenringa, składając lekki ukłon.

Pełniący funkcję szambelana Stilgar podszedł do podwyższenia.

— Nie podoba mi się ta czarownica ani jej córka — przemówił do Alii kątem ust w chakobsa, starożytnym języku ludu pustyni, chociaż Margot Fenring rozumiała go równie dobrze jak Alia.

— Przedstawiłeś już jasno swoje uczucia, Stilgar. — Alia podniosła głos, by usłyszeli ją wszyscy w sali. — Wyjdzie mi na dobre, jeśli będę miała na dworze kogoś w moim wieku. Księżna Irulana lamentuje, że powinnam częściej zachowywać się jak dziecko.

Zeszła na dół, by powitać Marie, która miała jasne, błyszczące wielką inteligencją oczy, piękne rysy i nieskazitelne maniery.

— Nie ma teraz tutaj mojego brata — rzekła Alia do lady Margot. — Nie wiemy, kiedy wróci, ale z radością witam was na naszym dworze. Udzielam ochrony tobie i twojej córce.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości — powiedziała Margot. Był to dość zaskakujący tytuł, ale Alia go nie zakwestionowała.

Zwróciła się do dziewczynki.

— Bardzo mi miło gościć cię tutaj, Marie. Będziemy miały razem dobrą zabawę. — Wskazała najwyższy stopień, tuż pod tronem. — Chodź, usiądź koło mnie i patrz, jak wymierzam mieszanię fremieńskiej i atrydzkiej sprawiedliwości.



„Ze wszystkich śmierci jedna jest najgorsza” — pomyślał. Była to śmierć jego imienia, honoru rodu, wszystkiego, co ważne dla niego jako człowieka i przywódcy.

Paul siedział samotnie, ze ściągniętą maską filtrfraka, patrząc na morze wydm błękitnymi w błękicie oczami Fremena. W zaciemnionej strefie nadal utrzymywał się chłód nocy, ale szybko zniknie wraz z budzącym się dniem. Noc spędził bez ruchu na dużym, płaskim kamieniu, chłonąc intensywny aromat niesionej przez wiatr pylistej przyprawy. Al-Lat, złote słońce, właśnie wschodziło za skarpa, ale nie czuł jeszcze jego ciepłych promieni. Chłód pustyni przeniknął go do kości, wkraść się też w jego myśli.

Chociaż jego ciało prawie się nie poruszyło, umysłem wybiegł daleko.

Droga, którą wybrał dla ludzkości, była trudna. W jego imię zabito już miliardy ludzi — część słusznie, część nie. Przez kosmos rozchodziły się, jedna po drugiej, fale przemocy, kiedy przemierzały go legiony jego wojowników, tropiąc wszelkich — prawdziwych i wydumanych — wrogów Muad’Diba. To, że pozwalał, by w jego imię siano tak okropne zniszczenia, zostawiło niezatarty ślad w jego duszy. Ale takie było jego straszliwe przeznaczenie.

Pamiętał radość z powrotu z Grummana, kiedy był chłopcem, zapach kaladańskich mórz i krzyk mew. Nie tak dawno był dumnym synem szlachcica, spadkobiercą tradycji Atrydów, któremu przeznaczona była godność księcia.

„Jak mogłem tak łatwo zapomnieć o Kaladanie — zastanawiał się — wyrzucić z pamięci ludzi, których mój ojciec tak bardzo kochał? Nikt nie powinien uważać się za tak ważną osobę”.

Ouncan Idaho i Thufir Hawat daliby mu lekcję pokory. Czy sam Gurney machnął na niego ręką, porzucając szerzący się niepohamowanie dżihad, by znaleźć odrobinę spokoju na Kaladanie?

Paul czuł się, jakby spadał z urwiska, pociągając za sobą wszystkich swoich zwolenników i wszystko, co kochał. Usłyszał ostry, niepokojący krzyk ptaka. Podniósłszy głowę, ujrzał na rozjaśniającym się niebie dwa zataczające koła sępy, które przyglądały mu się z zainteresowaniem. Kiedy zobaczyły, że się poruszył, machnęły skrzydłami i odleciały. Paul nie był martwy, ale w środku umierał.

Ciszę zakłócił dobiegający z dala mechaniczny dźwięk i Paul spostrzegł ornitopter lecący łukiem na wschód. Mając słońce z tyłu, pilot starał się pozostać niezauważony. Niewątpliwie fedajkini ustalili miejsce, w którym znajdował się Muad’Dib, i obserwowali go, by się upewnić, czy jest bezpieczny.

„Nikt nie zostawia mnie w spokoju” — pomyślał.

Pobudki, które powodowały Korbę, były oczywiste i krzepiąco zrozumiałe. Przywódca fedajkinów wykorzystał Paula dla zdobycia władzy i stworzenia własnej religii... ale prawdą było też to, że Paul wykorzystał jego i jemu podobnych, którzy dzięki nowemu porządkowi chcieli zyskać znaczenie. Rozniecając płomień świętej wojny, boski Imperator zamierzał przeprowadzić czystkę w Imperium, wypełnić stare zwyczaje i utworować drogę do przyszłości, w której nie będzie wojen. Jednakże wielu innych w dziejach ludzkości mówiło to samo na usprawiedliwienie swoich czynów...

Obierając tę straszną, ale konieczną drogę, od początku wiedział, że nie zdoła pozostać nieskazitelnym bohaterem. Jeszcze nigdy jedna osoba nie skupiała w swoim ręku tak absolutnej władzy. Tego, że zostanie znienawidzony, nie da się uniknąć, zwłaszcza jeśli zrobi to, czego wymagały jego wizje.

W ogniskach rebelii w Imperium, w płomieniach, które buchały bez względu na to, jak usilnie jego żołnierze starali się je ugasić, widział już punkt zwrotny. Należało się spodziewać oporu i chociaż Memnon Thorvald nie poczynił sobie szczególnie umiejętnie ani skutecznie, jego działania ciągle przypominały, że nie wszyscy czczą piach, po którym stąpał Muad’Dib. Zamachy i spiski będą się pojawiały, dopóki będzie rządził, a pewnego dnia płomień buntu wzniosą się ponad emanujące z niego światło. Zapłonienie stos grzebalny Atrydów.

W końcu ci, którzy ocaleją i odrodzą się z popiołów, spiszą historię i bez względu na to, ile tomów o Imperatorze Paulu Muad’Dibie zostawi Irulana, zostanie napiętnowany i okrzyknięty potworem... dopóki nie pojawi się ktoś jeszcze gorszy. Czy to będzie jego prawdziwa spuścizna? Westchnął ciężko, z rezygnacją. Chani wiedziała, jak nad tym boleje. Dopóki niektórzy zdawali sobie sprawę, dlaczego Muad’Dib zrobił to, co zrobił, nie wszystko było stracone.

Będąc teraz sam, Paul zaczął się zastanawiać, czy nie powędrować w głąb pustyni i nie zniknąć. Miał wystarczające umiejętności, by bez końca wymykać się fedajkinom. Nie potrafił jednak znieść myśli o tym, że zostawi Chani i nigdy już jej nie zobaczy. Nie mógł obrać tej drogi.

Promienie słońca rozgrzały piaski przyprawowe wokół niego. Ich intensywny cynamonowy zapach przeniknął do jego mózgu i wzmógł jego świadomość. Przed oczami przesuwały mu się wielorakie przyszłości. Zdolność jasnowidzenia nigdy go nie opuszczała, przejawiając się czasami jako szept, czasami zaś jako krzyk przestrzegający przed tym, co może się zdarzyć. Widział niezliczone kręte drogi, a wejście na którąkolwiek z nich mógł zapoczątkować nawet najdrobniejszy, pozornie niewiele znaczący czyn.

Widział maszerujące armie w mundurach wszystkich możliwych barw i fasonów, z różnoraką, ociekającą krwią bronią, przewalające się przez rozległe sektory przestrzeni kosmicznej. Ledwie dostrzegał pośród nich własne legiony, tak małe w porównaniu z mrocznymi kształtami przyszłości rodzaju ludzkiego.

Przez przesycony melanzem umysł Paula przebiegały, zderzały się i splątywały miriady możliwości, po czym splotły się w jedną pewną drogę. Memnon Thorvald. Paul widział liniowce Gildii krążące ukradkiem między planetami, zabierające zgromadzone w tajemnicy floty wojenne rodów Landsraadu i przewożące je na punkt etapowy na orbicie planety zbuntowanego earla. Rozpoznawał żółte barwy Thorvaldów, sztandary KHOAM, Gildii Kosmicznej, a nawet herby ze złotym lwem i niebieskim gryfonem na garstce jednostek. Chociaż rody Corrinów i Harkonnenów zostały zniszczone na początku dżihadu Muad'Diba, ich zawzięte resztki nadal stawiały mu opór.

W tej wizji Thorvald uzyskiwał schronienie i ochronę od wspieranej przez KHOAM Gildii; obie organizacje uważały, że spowodowana przez dżihad zawierucha psuje handel. Normalna wojna stwarzała handlowemu konglomeratowi liczne okazje do robienia interesów, ale fanatycy Paula nie byli przewidywalni. Wyrządzali szkody bez rekompensaty w postaci zwiększonych zysków.

Paul nagle z r o z u m i a ł, co się zmieniło. Zjednoczone przeciwko niemu rody ośmielił przeprowadzony przez Bludda w Niebiańskiej Sali Posłuchań zuchwały atak z użyciem grotów-gończaków. Thorvald nadal chełpił się, że to on tego dokonał, chociaż nie miał z tym nic wspólnego.

Nie zadowolając się już rolą dokuczliwych os, buntownicy zebrali siły do wspólnego uderzenia. Starannie wybrali cel, którego zniszczenie zraniłoby Muad'Diba do głębi.

Zamierzali obrócić w perzynę Kaladan.

Wiedział, że wszystkie statki przenoszone przez dwa liniowce Gildii zostaną wypuszczone nad oceaniczną planetą. Thorvald rzuci do walki swą najbardziej niszczycielską broń, mierząc głównie w zamek kaladański, lady Jessikę, Gurneya Hallecka i Kałę. Wszystko, co Paul pamiętał z dzieciństwa i kochał, wszystko, co było tak drogie księciu Leto, zostanie zmiecione z powierzchni ziemi.

„Zamierzają zniszczyć Kaladan!” — pomyślał ze zgrozą.

Starął się otrząsnąć z tej wizji, z tego koszmaru. W klepsydrze przyszłości przesypanywał się piasek, nie mógł więc siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się pozostałym szczegółom. Musiał to powstrzymać.

Przez kilka długich chwil nie otwierał oczu, niczego nie słyszał i niczego nie czuł. W końcu spojrzął w jasnym blasku słońca na wydmy i zobaczył na niebie szukający go ornitopter. Podniósł się i dał pilotowi znak. Czas przestać się ukrywać.

Trząśnięcie ze wściekłości.

Dzięki swemu niezwykłemu przygotowaniu Alia natychmiast zorientowała się, jak szczególnym dzieckiem jest Marie. W jej zachowaniu było coś innego, coś dziwnego.

Kiedy lady Margot odleciała do męża, zostawiając córkę pod opieką Muad'Diba, Alia zagłębiła się w Innych Wspomnieniach, gdy tylko stały się dla niej dostępne. Przejrzała szkolenie Rene Gesserit w przeszłości swej matki oraz część wzajemnie powiązanych fremeńskich istnień, które Jessika otrzymała od starej Sajjadiny Ramallo. Znała sztuczki, których zgromadzenie żeńskie używało do kształtowania osobowości młodej dziewczyny, a lady Margot Fenring była w nich mistrzynią. Rez wątpienia musiała się podzielić tą mądrością z córką. W dodatku Marie wychowywała się pod uciskiem Tleilaxan, Alia zaś, mimo swych wrodzonych przeszłości, nadal nic nie wiedziała o tych zamkniętych światach ani o skrytym społeczeństwie tleilaxańskim.

Przed kilkoma miesiącami księżna Irulana doradziła jej, żeby stworzyła sobie własne dzieciństwo, i Alia postanowiła tego spróbować. Teraz, kiedy miała towarzyszkę zabaw, starała się odgrodzić od wewnętrznych głosów i zignorować te niezliczone istnienia oraz ich nieustanne, często sprzeczne, rady. Czasami udawało jej się to, czasami nie. Zazwyczaj głosy milkły.

Alia odkryła, jak może zapewnić sobie dziecięce przeżycia. Tak samo Marie.

— Ja też nigdy nie miałam towarzyszek zabaw w moim wieku — powiedziała druga dziewczynka. — Ryliśmy sami wśród Tleilaxan, a oni nie płodzą dzieci... w normalny sposób.

Alia pamiętała niezliczone narodziny, nawet własne. Ale to, że Tleilaxanie rozmnażają się inaczej, zaintrygowało ją.

— A więc jak to robią? — zapytała.

Marie tylko wzruszyła ramionami.

— Nie chcieli nam powiedzieć — odparła.

Alia doszła do wniosku, że być może będzie musiała rozwikłać tę tajemnicę.

Spędzały razem wiele czasu, myszkując po twierdzy lub bawiąc się w chowanego. Kompleks, w którym mogły się ukryć, był tak rozległy, że szybko przestało to być rozrywką, ustaliły więc, że ograniczą teren zabawy do pewnych skrzydeł dla gości i sal bankietowych. Lubiły też płatać figle amazonkom, wytrenowanym przez Fremenów strażniczkom, którym polecono strzec Alii, a których liczba stale się zwiększała. Niepewne, jak mają traktować dziewczynki, reagowały one na te psikusy wielkim zakłopotaniem.

Kiedy dziewczynki poczuły się swobodniej w swoim towarzystwie, Marie zaczęła nalegać na Alię, by opowiedziała jej, jak wyglądało jej życie we fremeńskiej siczy, jak to jest mieszkać w jaskiniach i codziennie nosić filtrfrak.

— Pokażę ci grę, w którą często bawią się fremeńskie dzieci — powiedziała Alia z błyskiem w oku. — Spodoba ci się.

Marie ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu.

— Spróbujmy — powiedziała.

Hare, niegdyś żonę Dżamisa, wygrał w pojedynku z nim młody Paul Atryda, a następnie pojął ją Stilgar. Była doskonałą Fremenką, wyniesioną przez naiba do godności jego pierwszej żony. Pomimo tradycji, którym hołdowała, i przesądów, którym ulegała, Hara była jedną z nielicznych osób w siczy, których nie przerażało dziwne dziecko, jakim była Alia. Zamiast nazywać ją Złym Duchem i mruczeć, że powinna zastać wydana na śmierć, otaczała dziewczynkę opieką i miłością.

Kiedy Stilgar powrócił z pól bitewnych džihadu, zadowolony, że znowu jest na czystej pustyni, Hara była dla niego źródłem siły i opoką, na której się wspierał. Nie była bynajmniej potulna; prawdę mówiąc, napełniała strachem każdego Fremena i Fremenkę, którzy ośmielili się wejść jej w paradę. Teraz podeszła do Stilgara z miną groźną jak kurzawa Coriolisa.

— Alia zniknęła — oznajmiła. — Razem z tym dzieckiem Fenringów. Podejrzewam zdradę.

— Zawsze podejrzewasz zdradę, Haro — rzekł. — Znasz Alię lepiej niż ktokolwiek i wiesz, że potrafi sama o siebie zadbać.

Hara tupnęła.

— Ale nie znam tej drugiej dziewczyny. Ona może być bronią zaprogramowaną przez Tleilaxan, hrabiego Fenringa czy któregoś z wrogów Muad'Diba.

Stilgar spojrział jej w oczy i zobaczył w nich autentyczny niepokój, a Hara nie ulegała łatwo panice.

— Przeszukałam już miejsca, w których przypuszczalnie mogłaby być — powiedziała. — Wysłałam również na poszukiwania domowników i powiedziałam im, żeby odłożyli wszystkie obowiązki, dopóki te dzieci się nie znajdą. — Stilgar poczuł się tak, jakby na jego sercu zaciskała się zimna obręcz, kiedy Hara dodała: — Gdy Muad'Dib wróci z pustyni, nie chciałabym być w skórze tego, który powie mu, że jego siostra zaginęła.

— Wezwę strażników i fedajkinów. Jestem pewien, że Chani ich poprowadzi.

Prawie cały dzień chmury zrozpaczonych poszukiwaczy przetrząsały wszystkie korytarze, skrzydła i pomieszczenia rozległej twierdzy Muad'Diba. Odkryto dowody przestępstw i nieostrożności, liczne ukryte krypty i mnóstwo materiałów, których można było użyć do szantażu, a które natychmiast przejął Korba i zamknął w archiwach kwizaratu.

Ale nie znaleziono Alii i Marie. Obie po prostu zniknęły.

Grupy szperaczy przeczesaly odległe dzielnice Arrakin, wchodząc siłą do mieszkań, przewracając do góry nogami magazyny kupców i myszkując po miejscach kultu niezliczonych sekt, które pojawiły się jak grzyby po deszczu, by czcić Muad'Diba. Znalazły wiele rzeczy, ale ani śladu zaginionych dzieci.

Stilgar odchodził od zmysłów, spodziewając się w każdej chwili żądania okupu albo, co gorsza, głowy Alii przysłanej w paczce do twierdzy. Polecił skarbnikowi Imperatora, by wyznaczył zapierającą dech w piersiach nagrodę za informacje o miejscu pobytu Alii, i ogłosił to w całym Arrakin. Nad pustynię poleciały w szyku zwiadowczym ornitoptery wyposażone w najnowszy sprzęt do wykrywania ludzi. Ale wiejący nieustannie wiatr szybko zatrze wszelkie ślady, jakie mogły zostawić dzieci.

W końcu Stilgar otrzymał wiadomość od ubogiej rodziny, która mieszkała w jednej z nędznych wiosek u podnóża Muru Zaporowego, w osłoniętej kotlinie, gdzie wiatr nanosił piasek, a promieniowanie po odpalonych przez wojska Muad'Diba bombach atomowych nadal utrzymywało się na ledwie tolerowanym przez żywe organizmy poziomie. Często widywano tam dzieci bawiące się na skraju pustyni. Rodzina ta doniosła, że zauważyła dwie nieznanne dziewczynki.

Stilgar rozkazał sprowadzić jej członków do twierdzy, by otrzymali nagrodę, jeśli ich informacje się potwierdzą. Wsiadł do małego ornitoptera i zajął miejsce za sterami. Kiedy wielocłonowe skrzydła maszyny zaczęły drgać, nie czekał, aż pozostali zwiadowcy wgramolą się do swoich statków. Wystartował z lądowiska w twierdzy, zanim tamci uruchomili silniki. Po chwili reszta jednostek wzbila się w powietrze i podążyła za nim. Skoncentrowali się na przeszukiwaniu wskazanego obszaru. Rój ornitopterów leciał nad wydrami, wypatrując jakichkolwiek oznak obecności ludzi.

Stilgar przeleciał kilka kilometrów, chociaż był pewien, że Alia miała dość rozsądku, by nie odejść za daleko w głąb pustyni. Z drugiej strony, to dziecko było absolutnie nieprzewidywalne. Mimo iż nie miał na to dowodów, wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że Alia wie, jak przywołać czerwia, i udała się na przejażdżkę na otwarty blech. W takim wypadku mogła wziąć ze sobą Marie, być może po to, by odnaleźć Paula na trasie jego długiej pielgrzymki. Dziewczynki mogły uważać, że to niezła zabawa.

Wreszcie dostrzegł dwie małe postaci skulone na piasku. Wiatr ucichł, a ślady ich drobnych stóp biegly niczym ścieżka wydeptana przez stonogę szczytem wydmy, po czym schodziły do płytkiej doliny.

Ornitoptery wylądowały jak oddział szturmowy w pełnym składzie i dziewczynki wstały, zasłaniając oczy i uszy przed wzbijającym przez nie piaskiem i hukiem ich silników. Stilgar wyskoczył z maszyny, zanim jej przegubowe skrzydła przestały machać. Ruszył wielkimi krokami naprzód, a na jego twarzy malowała się złość zmieszana z ulgą.

Dzieci miały laski, literjon wody, łremsaki, filtrnamiot i inne podstawowe rzeczy umożliwiające przeżycie kilku dni na pustyni. Marie podniosła laskę, na której końcu wił się galaretowaty stwór.

— Cześć, Stilgar — powiedziała Alia beztrąsko, jakby przybył tu z tymi wszystkimi ornitopterami tylko po to, by przywieźć dzieciom talerz polanych miodem ciasteczek przyprawowych. — Łapiemy trocie piaskowe, jak tremeńskie dzieci.

Marie bawiła się prymitywnym stworzeniem, rozciągając jego błoniaste ciało. Stilgar podszedł z tak wściekłą miną, jakby chciał uderzyć Alię, ale porwał ją w ramiona i uściskał niezgrabnie jak niedźwiedź.

— Nie rób tego nigdy więcej, dziecko! — powiedział.

Teraz, kiedy przestał się zamartwiać, poczuł dziwne zadowolenie z powodu tego incydentu, jakąś szczególną satysfakcją, której początkowo nie potrafił wyartykułować. W końcu uświadomił sobie, że ta



pochojna decyzja, ten głupi wybryk, była czymś, co mogłoby zrobić normalne dziecko. Być może mimo wszystko Alia uczyła się jakąś niewielką częścią swej osobowości, jak być zwykłą dziewczynką, a to wcale nie było złe.

Ale nie była normalnym dzieckiem. Zresztą jej nowa towarzyszka zabaw też nie.



*Nasze tajemnice nie są już tak bezpieczne jak niegdyś. Stare środki bezpieczeństwa już nie wystarczają. Muad'Dib ma atut potężniejszy od siatki szpiegów — zdolność jasnowidzenia.*

— raport Gildii Kosmicznej dla KHOAM

Wracając ze swej pustynnej pielgrzymki, Paul szedł ulicami Arrakin nierozpoznany przez nikogo w zakurzonym, tradycyjnym stroju. Słyszał pomruk tłumów i czuł zewsząd napór anonimowych ludzi. Uczucie samotności i spokoju, którego doznawał na pustyni, szyl> ko się ulotniło. Jak tylko znajdzie się w twierdzy, poddani zaczną się domagać posłuchania we wszystkich tych rzekomo niezwykle istotnych sprawach, które pozostawały w zawieszeniu podczas jego nieobecności.

Musiał jednak zająć się ważniejszymi sprawami — powstrzymać Memnona Thorvalda, zanim przywódca buntowników przypuścił atak na Kaladan. Żyli tam ludzie Paula. Ludzie księcia Leto, ludzie Atrydów. Mogli myśleć, że o nich zapomniał, ale udowodni im, że tak nie jest.

Paul Muad'Dib wszedł do twierdzy niezapowiedziany i znużony, jego twarz, dłonie i filtrfrak pokrywały drobny piasek i kurz. Chociaż nie posiadał się ze złości z powodu tego, co ukazało mu się w wizji, i doskwierała mu świadomość, że musi pokrzyżować nienawistne plany Thorvalda, postanowił najpierw zobaczyć się z Chani. Musiał dać przynajmniej przez chwilę odpocząć myślom, zanim znowu rzuci się w wir walki.

Powitała go w ich apartamentach, uradowana jego widokiem. Chwilę później do komnaty weszła Irulana i Paul pomyślał, że sieć jej informatorów jest godna podziwu. Nikt inny nie wiedział o jego powrocie.

— Irulano — zwrócił się do niej, ponieważ ona jedna była pod ręką—wezwij Chatta Skoczka. Powiedz mu, że żądam, aby natychmiast stawił się tu przedstawiciel Gildii, ktoś, kto może zabrać mnie na jakikolwiek liniowiec, który akurat jest na orbicie, bym mógł porozmawiać bezpośrednio z nawigatorem. — Pozwolił, by w jego głosie pojawił się wzbierający gniew. — Jeśli w ciągu godziny nie pojawi się tutaj nikt, kto ma do tego odpowiednie upoważnienia, w przyszłym roku standardowym zmniejszą Gildii przydział przyprawy o pięć procent, a za każdą następną godzinę spóźnienia o kolejnych pięć procent.

Irulana była wstrząśnięta.

— Ależ, mężu, nie prezentujesz się odpowiednio... ten brudny strój, ten filtrfrak — zaoponowała. — Nie możesz się spotkać z ambasadorem tak ubrany.

— Muad'Dib robi, co chce — powiedziała Chani głosem lodowatym jak polarny wiatr. Zesztywniała, gdy tylko Irulana weszła. — Nie prezentuje się odpowiednio? Przed kim? Wszyscy przychodzą do niego. Wszyscy składają mu pokłon.

— Łatwiej się koncentruję, mając pył na dłoniach i tiltrak na grzbiecie — rzekł Paul. — Poślij po przedstawiciela Gildii i skieruj Stilgara do sali tronowej, jeśli jeszcze nie jest w drodze do niej.

Zanim Muad'Dib i Chani dotarli do sali posłuchań, wieść o gniewie Imperatora rozniosła się po twierdzy. Administratorzy pospieszyli dowiedzieć się, czym mogą mu służyć, natomiast pozostali (albo bardziej bojaźliwi, albo rozsądniejsi) woleli się nie pokazywać.

Była już tam Alia z Marie Fenring. Dziewczynki uśmiechały się tajemniczo.

— Mój brat jest na kogoś bardzo zły — szepnęła Alia do towarzyszki.

Kiedy do upływu czasu, w którym miał się stawić, brakowało zaledwie dwóch minut, do sali posłuchań wpadł bez tchu, potykając się, chudy mężczyzna o zapadniętych policzkach. Towarzyszył mu spokojny, niemal ponury Chatt Skoczek, łącznik Paula z Gildią. Odziany w szary strój Gildii Kosmicznej mężczyzna przedstawił się jako Olar i złożył przesadny ukłon przed ogromnym szmaragdowym tronem.

— Imperator Muad'Dib zażądał, bym przyszedł? — ni to stwierdził, ni to zapytał.

— Imperator Muad'Dib żąda dużo, dużo więcej. Muszę pomówić z tobą, z waszą Gildią... i z nawigatorem tam, w górze. — Paul wskazał palcem sufit. — Sprowadź mi prom. Nie mam czasu na rozmowy przez pośredników czy dyplomatów?.

Przedstawiciel Gildii spojrzał na niego ze zdumieniem. Chatt zachowywał kamienny spokój, podobnie Stilgar. W przedłużającej się ciszy Marie zaczęła chichotać. Olar przełknął ślinę raz, potem drugi.

— Stanie się według twego rozkazu, panie — rzekł.

Gildia zazwyczaj uciekała się do wymówek, że nikt nie może widzieć nawigatora, że bezpieczeństwo jej liniowców jest dobrem nadrzędnym i że tylko niektórzy rzecznicy mogą się wypowiadać w imieniu Gildii. Chociaż wielu nawigatorów było na tak wysokim poziomie rozwoju intelektualnego, że porozumiewanie się z prymitywnymi ludzkimi umysłami sprawiało im trudność, Paul wiedział, że na pewno zrozumieją, co on ma im do powiedzenia. Olar zawiezie go na liniowiec.

Bez dalszej zwłoki Paul wymaszerował z sali tronowej, skinąwszy na przedstawiciela Gildii, by poszedł za nim.

— Stilgar, będziesz mi towarzyszył — powiedział. — To sprawa wojskowa. Mogę potrzebować twojej wiedzy i rady.

Olar był typem ambasadora, który odpowiadał Paulowi. Mimo iż na usta cisnęły mu się różne pytania, a wyraz jego twarzy zdradzał, że jest zaniepokojony, był na tyle mądry, by nie mówić głośno wszystkiego, co mu przyszło do głowy. Inni, bardziej gadatliwi dyplomaci prosiliby o wyjaśnienia i bez względu na to, na czym polegałby problem, zasłanialiby się wymówkami i przepraszaali, że nie mogą nic na to poradzić.

Ale ci gildianie dobrze wiedzieli, co zrobili — świadomie wspomogli żądnych krwi buntowników i mieli im asystować podczas potwornego ataku na świat, który był ojczyzną Paula. Widząc, w jakim nastroju jest Muad'Dib, Olar doszedł do wniosku, że nie otrzyma żadnych odpowiedzi, a pytania tylko pogorszą sytuację.

Kiedy prom znalazł się na liniowcu i zacumował, wysunął się trap, żeby Paul mógł wejść na pokład. Na drugim końcu trapu stali ludzie z ochrony Gildii z bronią u boku i blokowali przejście.

— Usunąć się i odłożyć broń w obecności Muad'Diba! — warknął Stilgar.

Za ochroniarzami stał jak cień inny przedstawiciel Gildii, również w szarej szacie.

— Przyjmij moje przeprosiny, panie — powiedział. — Ze względów bezpieczeństwa Gildia Kosmiczna przyjęła zasadę, że nikt z zewnątrz nie może niepokoić nawigatora na pokładzie liniowca. Wszystkie sprawy trzeba przedstawiać właściwym urzędnikom. Jako najwyższy rangą przedstawiciel Gildii na tym liniowcu z przyjemnością zajmę się tym, co niepokoi Imperatora.

— A zatem możesz iść z nami, ale to ja będę rozmawiał z nawigatorem — rzekł Paul.

— Panie, być może nie wyraziłem się dostatecznie jasno... — zaczął gildianin. Ochrona nawet się nie ruszyła.

— To mój statek, podobnie jak wszystkie jednostki Gildii — przerwał mu Paul. — Poinstruuw swoich ochroniarzy, żeby natychmiast się usunęli, i powiadom nawigatora, że ma mnie oczekiwać, chyba że wolałby spędzić resztę życia, oddychając resztkami oparów przyprawy, które pozostaną w jego zbiorniku, bo jeśli mi się sprzeciwi, nie pozwolę, żeby choć odrobina melanzu opuściła Arrakis.

— To niezwykle żądanie, ale Imperator Muad'Dib tak rzadko stawia nam żądania — wtrącił się Olar. — Proponuję, byśmy wysłuchali tego, co ma do powiedzenia.

Urzędnik Gildii, który prawdopodobnie był wyższy rangą od Olara, zachmurzył się, ale skinął na ochroniarzy, by się rozstąpili. Paul przeszedł między nimi ze Stilgarem, który trzymał się o krok za nim. Gildianin zaprowadził ich na pokład nawigatora.

Nawigator był niezwykle istotą zamkniętą w zbiorniku wypełnionym gęstym pomarańczowym gazem, który mimo uszczeltek czuć było na zewnątrz. Pachniał melanzem. Obłok gazu skrywał część zniekształceń ciała tej istoty — jakoś powiązanych ze spotęgowaniem jej zdolności umysłowych — ale Paul dostrzegł przez gruby płaz jej nieproporcjonalnie wielką głowę kołyszącą się na cienkiej jak łądyga szyi. Nigdy jeszcze nie widział sternika, ale nie mógł teraz tracić czasu na gapienie się na niego.

— Berik — powiedział Olar — nasz Imperator Muad'Dib chce...

— Wiem o spisku Memnona Thorvalda przeciwko mojej ojczystej planecie, Kaladanowi, i o tym, że Gildia jest z nim w zмовie — wtrącił! Paul bez zbędnych wstępów.

— Panie, nic nam o tym nie wiadomo — rzeki Olar.

— Gildia Kosmiczna jest lojalna wobec Muad'Diba — poparł go drugi urzędnik, którego nazwisko było dla Paula bez znaczenia. — Wiemy, że kontrolujesz wydobycie przyprawy, a zatem cały ruch w przestrzeni kosmicznej, który jest dzięki niej możliwy. Dlaczego mielibyśmy wspierać rebelię?

Co ciekawe, Berik, nawigator Gildii, nie powiedział ani słowa.

— Dzięki zdolności prekognicji widziałem statki wojenne Thorvalda przewożone przez dwa liniowce Gildii. Widziałem też, że ten statek przewoził żołnierzy i broń dwunastu innych zbuntow-

anych wielmożów, którzy zawarli sojusz z Thorvaldem. Tak więc wiem, że Gildia nie tylko jest tego świadoma, ale chętnie z nim współpracuje.

— Być może... wizja... błędna — przemówił w końcu Berik zniekształconym głosem przez głośniki zamontowane w zbiorniku.

— A czy twoja wizja jest błędna, kiedy wybierasz bezpieczną drogę dla statku? — rzucił Paul w ripostę.

— Nie... m oj a — odparł Berik. — Ale jasnowidzenie jest... — Jego niesamowity głos ucichł. Najwyraźniej nawigator postanowił nie podążać żadnym konkretnym torem rozumowania.

Paul popatrzył na grubościenną komorę. Woń przetworzonej przyprawy była tak silna, że kręciło się od niej w głowie. Faktycznie, wobec stałego obcowania nawigatora ze splątanymi liniami czasu pro-rocza moc wizji Paula wydawała się niewielka. Musiał przyznać, że jego prekognicja nie zawsze była doskonała. Jednak w tym przypadku wywołana przez melanz wizja ukazała mu wszystkie statki Thorvalda i wszystkich jego żołnierzy. Nie miał cienia wątpliwości, że zobaczył atak, do którego zamierzali przystąpić.

Wiedział o tym.

— Chciałbyś, żebym opisał każdy z tych statków? — zapytał. — Mam wymienić nazwy wszystkich planet, z których zabrały żołnierzy? Gildia z własnej woli zapewniła transport tym, którzy przewożą powstaniu przeciw mnie. Wszyscy sprzymierzeńcy Thorvalda znajdą się na dwóch konkretnych liniowcach. Zamierzają napaść na Kaladan... na Kaladan! Chcą wziąć moją matkę i Gurneya Hallecka jako zakładników albo zabić ich... a wy współpracujecie z nimi.

Śłuchając tych oskarżeń, Stilgar napinał się jak ciasno zwijana sprężyna; wyraźnie nie podobał mu się ten nawigator. Spojrzenie błękitnych w błękitnie oczu naiba przesunęło się to w lewo, to w prawo, a jego dłoń zacisnęła się na rękojeści krysnoża — gotów był zabić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zarówno Olar, jak i drugi urzędnik Gildii, który się nie przedstawił, gwałtownie zaprzeczali zarzutom, ale Paul nie chciał ich słuchać.

— Oto rozkazy waszego Imperatora — powiedział. — Liniowce wiozące Memnona Thorvalda i jego flotę zostaną wyprowadzone w głąb kosmosu. Tam nawigatorzy opróżnią ładownie. Całkowicie. Każdy statek wroga, wraz ze wszystkimi żołnierzami na pokładzie, ma być pozostawiony własnemu losowi. Zostawcie ich w próżni, bez nadziei znalezienia drogi do domu, bez dodatkowych zapasów jedzenia i powietrza.

— Panie, to oznacza śmierć ich wszystkich! — zaskowyczał Olar.

— Owszem, to oznacza śmierć ich wszystkich... na początek. Stil, chcę, żebyś przygotował atak na ojczystą planetę Thorvalda. Weź tyle broni, ile będziesz potrzebował, tyle, by uczynić z tego świata jałowy glob. Wszyscy jego mieszkańcy mają zginąć.

— Jałowy glob? — Stilgar otworzył, po czym zamknął usta, nie wiedząc, co powiedzieć. — Czy to naprawdę konieczne? — zapytał w końcu.

Paul widział po oczach tego człowieka pustyni, że myśli on w tej chwili o tym, jak długo jego lud pielęgnował z wielkim trudem życie na Diunie, urzeczywistniając sięgającą w odległą przyszłość wizję Pardota Kynesa i jego syna Lieta. Jak Muad'Dib mógł w ogóle sugerować zniszczenie flory i fauny na całej planecie? I to teraz, kiedy włożono tyle pracy w odtworzenie ekosystemu Arrakis?

Ale Thorvald chciał napaść na Kaladan. I na matkę Paula. Kiedy uciekali przed asasynami przez dżunglę na Kaladanie, Duncan Idaho powiedział Paulowi: „*Nie mam ani odrobiny współczucia dla ludzi, którzy próbują nas zamordować*”

Co gorsza, gdyby potworna napaść na Kaladan się powiodła, ośmieliliby to innych wrogów i zachęciło ich do wzięcia na cel osób, o które troszczył się Imperator, a które łatwiej było osiągnąć niż jego: Chani, Alię, Stilgara, a nawet Irulanę.

Paul nie mógł do tego dopuścić. Trzeba dać wrogom nauczkę — nauczkę, która położy kres przemocy.

„*Niech sprawcy poczują ból, który chcieli mi zadać*” — pomyślał.

— Jałowy glob, Stil — odparł. — Gildia zapewni transport tylu statkom, ile zdecydujesz się wysłać. I dopiero kiedy się to stanie — odwrócił się tyłem do nawigatora w zbiorniku — zastanowię się, czy wybaczyć wam brak rozważań.

Olar przełknął dwukrotnie ślinę.

— Chyba nie mówisz poważnie, panie — powiedział. — Wyrzucić te statki w głębi przestrzeni kosmicznej, zniszczyć całe życie na planecie...

— Pięć lat temu — przerwał mu Paul — kiedy znalazły się tu oddziały Imperatora, zagroziłem, że zniszczę całą przyprawę na Arrakis, żeby postawić na swoim. Dlaczego miałbym teraz używać mniejszych gróźb? Jeśli ma tak być, moi Fremeni nie będą mieć nic przeciwko temu, by zostać na Diunie, bez handlu przyprawą, zupełnie odcięci od reszty wszechświata. Potrafią przetrwać i przetrwają. Nie obchodzi ich, czy przetrwa jeszcze ktoś inny.

W końcu Rerik zgodził się.

— Stanie się, panie, wedle twojego rozkazu — zakomunikował ze zbiornika.

Paul ucieszył się, że ten nawigator miał dość rozsądku, by się bać Muad'Diba.

*Kiedyś szamotałam się w moim małym ciele, wiedząc, że inni uważają mnie za niewinną i niegroźną. Nie doceniali mnie. Nie doceniał mnie mój dziadek z linii Harkonnenów i zabiłam go gom dżabbarem. Teraz, kiedy ludzie patrzą na mnie z lękiem, mam inny problem. Zaczynają wierzyć, że jestem doskonała, nieomylna i wszechmocna.*

— Alia, list do lady Jessiki przebywającej na Kaladanie

W prywatnych pokojach Alia trzymała jadowite skorpiony w terrarium głównie dlatego, by chronić innych przed ich kolcami. Od czasu do czasu, przy zamkniętych drzwiach i grodziach wilgoci, otwierała zbiornik i wypuszczała je. Smyrgały w rogi pokoju i pod łóżko. Niektóre lubiły nawet wspinać się na kamienne bloki ścian, jakby próbowały się wyrwać na wolność i uciec na pustynię.

Od czasu wyprawy na otwarte wydmy, gdzie łapały trocie piaskowe, Alię i Marie pilnowano dokładnie. Na szczęście miały mnóstwo innych zajęć, którym mogły się oddawać. Przed kilkoma dniami powróciły do chowania się w poszczególnych częściach rozległej twierdzy, przy czym każda posługiwała się logiką i pracą detektywistyczną, by odkryć, gdzie mogła się schować druga. Amazonki dawały im pewną swobodę poruszania się po tortecy i wydawało się, że łatwiej im zaakceptować to dziecięce wcielenie Alii niż przerażająco inteligentnej istoty.

Tego dnia zamknęły się w komnatach Alii, gdzie mogły rozmawiać i bawić się bez natrętnych strażniczek. Wypuściwszy znowu skorpiony, Alia usiadła na posłaniu. Stworzenia przelazły przez koce i wspięły się na jej ręce i nogi. Niektóre znalazły się w jej włosach.

Alia położyła się na plecach i rozluźniła, pozwalając skorpionom wędrować po swoim ciele.

— Nawet jeśli mnie ukłują, trucizna na mnie nie podziała — oświadczyła. — Jestem Matką Wielebną. Umiem panować nad procesami chemicznymi w moim ciele.

Wzięła jednego pajęczaka i położyła na dłoni. Jego długi odwłok zadrżał, jakby stworzenie groziło, że ją ukłuje, ale nie zrobiło jej krzywdy.

Marie usiadła na łóżku obok niej. Skorpiony uciekły, ale potem odwróciły się i ostrożnie zbliżyły.

— Wypuszczam je tylko dla własnej zabawy — ostrzegła Alia. — Jeśli zostaniesz ukłuta, jad może się okazać dla ciebie zabójczy. Musisz uważać.

— Uważam i nie boję się. — Marie podniosła jedno ze stworzeń z koca na posłaniu. Łagodnie złożyła jego odnóża i postawiła pajęczaka na swoim przedramieniu. Podrażniony skorpion zakołysał odwłokiem w tył i w przód, po czym podniósł szczypce i stanął w pozycji bojowej. — Mnie też nie ukłują.

Alia przyglądała się z zaciekawieniem, nie ruszając się, by nie przestraszyć skorpiona. Ten, który był w jej włosach, kręcił się, jakby szukał miejsca na gniazdo, a potem ruszył do przodu, by popatrzeć przez grzywkę.

Marie wzięła drugiego skorpiona i posadziła go na nodze. Zafascynowana Alia równo oddychała.

— Nie ukłują mnie — powtórzyła Marie z całkowitą pewnością siebie.

I nie ukłuły.





*Niechaj na Muad'Diba spłyną wszystkie błogosławieństwa, tak jak Jego błogosławieństwa spływają niczym chłodna woda na wiernych. Jego Świątobliwość miłuje piękno i czystość. W Nim wszyscy będziemy bezpieczni. Muad'Dib Obrońca.*

— hymn fremeński

Przedstawiciel Gildii Olar miał poważny i nieprzenikniony wyraz twarzy, kiedy wysunął w stronę Paula cylinder — nośnik holograficznego nagrania — w ozdobnej i kosztownej tubie.

— Muad'Dib wydał rozkaz i nie zażądał od Gildii Kosmicznej potwierdzenia, że został wykonany — powiedział. — Przyjmujemy to jako dowód jego zaufania.

— Nie wątpię, że wykonaliście moje polecenia — rzekł Paul, który siedział na ciężkim krześle z polerowanego wiatroglazu.

Skoro Imperator nie wykonał żadnego ruchu, dar Gildii przyjął Stilgar i oglądał go z zaciekawieniem.

Znajdowali się z Irulaną i Chani w małym pomieszczeniu o grubych ścianach, w którym zbierała się rada wojenna. Chociaż Paul wyczuł, że Olar ma dla niego wiadomość wielkiej wagi, postanowił przyjąć go w tym surowym, pozbawionym okien pokoju zamiast w ogromnej sali posłuchań, gdzie ochrona co rusz przeszukiwała petentów i widzów, sprawdzając, czy nie mają ukrytej broni. W twierdzy i na ulicach Arrakin rozchodziły się już plotki, że gildianin wrócił.

Olar cofnął się z szacunkiem o dwa kroki.

— A zatem potraktuj to, panie, nie jako dowód, lecz po prostu jako ciekawostkę — powiedział. — Imperator powinien dowiedzieć się z pierwszej ręki o absolutnej klęsce swoich wrogów.

Stilgar włożył cylinder do odtwarzacza. W powietrzu przed nimi zaczęły się rozwijać obrazy zarejestrowane przez nawigatora odległego liniowca Gildii. W polu widzenia pojawiła się rozgwieżdżona pustka przestrzeni kosmicznej i otwierające się wygięte drzwi statku Gildii, za którymi znajdowała się ogromna ładownia. Następnie setki statków wojennych zostały zrzucone z kołysek i wystrzelone bezładnie w próżnię, jakby liniowiec wypluł je ze swego brzucha. A potem statek odpłynął niczym wielki metalowy wieloryb, zostawiając rozproszone i zdezorientowane mniejsze jednostki.

Z komlinii dochodził gwar głosów pozostawionych własnemu losowi załóg i pasażerów. Sypały się żądania, prośby, przekleństwa. Jeden z obrazów pokazywał samego Thorvalda — bladego, z wielką, przetykaną siwizną brodą.

— Zapłaciliśmy wam! Domagamy się przewozu! — wrzeszczał earl, trzęsąc się z wściekłości.

Liniowiec nie odpowiadał.

— Gdzie jesteście?! — krzyknął Thorvald.

Ale liniowiec nie reagował na jego wołanie, tylko coraz bardziej się oddalał, aż w końcu skupisko statków buntowników stało się jedynie rojem migoczących światełek, nieróżniących się od gwiazd, z których układów pochodziły ich załogi.

Obraz zatarł się i zniknął.

— Są na ogromnym pustkowiu przestrzeni kosmicznej — rzekł Olar — osiemnaście parseków od najbliższego układu gwiazdowego. Nikt oprócz tego nawigatora Gildii nie jest w stanie ich odnaleźć.

— Na jak długo wystarczą ich układy podtrzymywania życia? — zapytała Irulana.

— Najwyżej na kilka dni. Spodziewali się krótkiej podróży.

Paul zmarszczył czoło, przeprowadzając w myślach obliczenia.

— Oczekajcie dwanaście dni, a potem każcie waszym nawigatorom sprowadzić te statki — powiedział. — Kiedy wrócicie z ciałami, ze wszystkimi ciałami, dam Gildii wysoką nagrodę w melanżu.

Olar skłonił się, ale wcześniej na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

Paul widział po zaciętej minie Chani, że poddałaby tego człowieka, który wyrządził tyle szkód dżihadowi i jej ukochanemu, wymyślnym fremeńskim torturom, ale widział już dosyć aktów okrucieństwa i nie chciał niepotrzebnie dodawać do nich nowych.

Zwrócił się do swojego sekretarza stanu.

— Stilgar, dopilnuj, żeby to nagranie rozpowszechniono wśród moich poddanych. Wielu z nich od dawna pragnie krwi Thorvalda. — Następnie spojrzął na Irulanę. — Przygotuj również cylinder do wysłania wiadomości na Kaladan — powiedział. — Obawiam się, że podeptałem uczucia jego mieszkańców. Chcę, żeby dowiedzieli się pewnych rzeczy.

Kiedy przybył kurier z zabezpieczonym cylindrem z wiadomością i dołączonym do niej holograficznym nagraniem z liniowca, Jessika stała w wysokiej wieży zamku kaladańskiego. Długą chwilę zwlekała ze złamaniem pieczęci. Martwiła ją myśl, że tak naprawdę nie zna własnego syna, że nie potrafi odgadnąć, czego Paul (a może bezpieczniej byłoby myśleć o nim jako o M u a d'D i b i e?) zażąda od niej. Jakie ma plany wobec Kaladanu? A jeśli wzywa ją do powrotu na Arrakis i nalega, by była u jego boku?

1 co by się stało, gdyby odmówiła?

Z przyzwyczajenia wymruczała *Litanie przeciw strachowi*, po czym otworzyła cylinder. Pominęła krótkie, oficjalne pismo od Irulany i usiadła na ławie w okiennym wykuszu, by odczytać słowa, które Paul napisał w atrydzkim języku walki na arkuszu papieru przyprawowego.

„*Matko, nie zapomniałem o Kaladanie. Zamieszkujący go ludzie, jego lądy i oceany są mi wciąż drogim. Zrobiłem, i będę nadal robił, wszystko co w mojej mocy, by ich chronić*”.

Poczuła skurcz w żołądku, gdy przeszła do opisu spisku Thorvalda, którego celem było zniszczenie Kaladanu. Skurcz się nasilił, gdy obejrzała nagranie tego, co zrobił... a potem przeczytała o jego dalszych zamiarach.

W końcu zacisnęła usta i pokiwała głową. Tak, syn prosił ją, nie wyrażając wprost tej prośby. Chciał, by ludzie się dowiedzieli. Najpierw pokaże wiadomość Gurneyowi, a potem spełni życzenie Paula.

Zgodnie z sugestią Stilgara ekspedycję karną na Ipyra — ojczystą planetę Memnona Thorvalda — przeprowadziła flota Atrydów. Zamierzając napaść na Kaladan, Thorvald chciał zadać cios Paulowi, a więc ród Atrydów odpowie straszliwym uderzeniem. Wieść o karze wymierzonej Ipyrowi rozejdzie się po wszystkich planetach Imperium.

Liniowiec przewiózł sto największych i najpotężniejszych atrydzkich statków załadowanych po brzegi bronią, materiałami wybuchowymi, bombami chemicznymi z bardzo toksycznym gazem, defoliantami i bombami zapalającymi dużego zasięgu. Paul nigdy wcześniej nie wydał tak przerażającego rozkazu. Zamienić świat w jałowy glob! Nie wystarczyło mu pokonanie ludzi Thorvalda, ich eksterminacja. Musieli... z n i k n ą ć.

Jednostki Atrydów nie wysłały żadnego ostrzeżenia, nie wdały się w negocjacje, nie miały zmiłowania nad ludnością Ipyra. Wyłączono wszystkie kanały łączności oprócz bojowych, by nikt nie słyszał krzyków przerażenia, wołania o litość, jęków ani dzwoniącej w uszach ciszy, która potem nastanie. Potężnie uzbrojone statki ruszyły w dół, biorąc na cel wszystkie osiedla na planecie, i rozpoczęła się zagłada.

Z wiwatów, które dochodziły zza murów stadionu w Kali, Jessika wywnioskowała, że jej oświadczenie było dokładnie tym, co ludzie chcieli usłyszeć. Stojąc w rzadko teraz wykorzystywanym amfiteatrze, który Stary Książę, Paulus, zbudował z myślą o swoich widowiskowych walkach z bykami, Jessika przemawiała czystym głosem. Obok niej stał Gurney Halleck w swoim najlepszym czarnym atrydzkim mundurze.

— Niech nikt nie sądzi, że mój syn zapomniał o swoim ukochanym Kaladanie — mówiła. — Galaktyka zna go jako Imperatora, natomiast Fremeni wysławiają go jako swego Muad'Diba. Jest przywódcą największego dżihadu, jaki ludzkość widziała od ponad dziesięciu tysięcy lat... ale jest też moim synem. I synem szanowanego przez was księcia Leto.

Wznosząc gromkie okrzyki, ludzie wymachiwali zielonymi proporcami.

Gurney wydał szorstki pomruk na znak zgody, po czym wysunął się do przodu i opowiedział, jak Thorvald zamierzał wysłać statki na Kaladan, spalić wioski i wyrznąć ich mieszkańców, zadać wielkie straty ojczystemu światu Atrydów.

— Ale mój Paul was ocalił — podjęła Jessika. — Ochronił Kaladan. Nie pozwoli, by spotkała was jakakolwiek krzywda.

Na arenie rozstawiono olbrzymie rzutniki i pokazano obrazy pozostawionych samym sobie i skazanych na zagładę statków buntowników dryfujących w przestrzeni kosmicznej z kurczącymi się zapasami powietrza, jedzenia i wody. Do tej pory wszyscy, którzy byli na ich pokładach, powinni już umrzeć, a ich ciała zostały zapewne sprowadzone przez jednostki Gildii.

— Paul nigdy nie zapomni o Kaladanie. — Głos Jessiki był teraz łagodny. — Imperator nigdy nie zapomni o ludziach, których znał, będąc chłopcem, którzy pomogli mu stać się mężczyzną. Nie może być po prostu waszym księciem, ale to nie znaczy, że odwrócił się od was. Paul was ochroni. Miłuje wszystko, co jest piękne na Kaladanie, i będzie was otaczał swym łagodnym ramieniem.

Uśmiechnęła się błogo. Ludzie najwyraźniej czuli ulgę, byli zadowoleni. Tak, zawsze wiedzieli, jak bardzo przywiązany jest do nich i do Kaladanu ród Atrydów, jak łaskawy potrafi być książę. Będą o tym pamiętali.

Bombardowanie Ipyra trwało trzydzieści trzy standardowe godziny. Statki bojowe przemierzały w tę i z powrotem przestrzeń nad planetą, zużywając całą zmagazynowaną na nich broń, a kiedy skończyły, nie ostał się żaden budynek, żadne miasto ni wieś nie ocalały z pożogi, żadne pole nie nadawało się do obsiania. Po lasach zostały tylko osmalone kikuty drzew i popiół. Niebo pokrywała chmura żrącego dymu i kwaśnych wyziewów. Oceany przemieniły się w brunatne, trujące, spienione kloaki zabójcze dla wszystkich — lądowych i morskich — form życia. Od wybuchów potężniejszych bomb zapaliła się nawet atmosfera.

Jednostki krążyły jeszcze dwa dni na niskiej orbicie, nasłuchując, czy nie ma komunikatów od kogoś, kto ocalał, wypatrując jakichkolwiek oznak życia i bezlitośnie biorąc na cel nieliczne punkty, które nie zostały kompletnie zniszczone. Archiwa pokładowe i biblioteki obrazów stu statków wypełniły nagrania całkowitej zagłady.

Ryc może na Ipyrze już nigdy nie powstaną warunki niezbędne do podtrzymania życia. Była to nowa rana zadana galaktyce, rana, która nigdy nie zostanie zignorowana ani zapomniana.

Było to przesłanie od Muad'Diba.



*Chociaż Matki Wielebne sprawiają na osobach z zewnątrz wrażenie jednomyślnych, ich organizacja nie jest bynajmniej spójna, zwłaszcza odkąd plan wyhodowania od dawna oczekiwanego Kwisatz Haderach zakończył się niepowodzeniem. Dlatego zgromadzenie wzięło poprawkę na wewnętrzne tarcia i napięcia i opracowało plany awaryjne. Tylko tak daleko może sięgać surowa kontrola.*

— archiwa Wallacha IX

Dzięki swojemu prywatnemu źródłu Irulana dowiedziała się o rychłym przybyciu z Wallacha IX delegacji Bene Gesserit, ale nie udało jej się ustalić charakteru tej misji. Wiedziała tylko tyle, że kobiety te chcą bez uprzedzenia stanąć przed nią. Przygotowała się na tę wizytę. Aby nie zdradzić, że ma na Wallachu IX informatorki, będzie musiała okazać zaskoczenie, kiedy się pojawią.

Trzy Matki Wielebne wysokiego szczebla weszły śmiało do ogromnej twierdzy, jakby podstawy ich potęgi były równie mocne jak przed obaleniem Szaddama IV. Paul wyraźnie zakazał swojej nemezis, Gaius Helenie Mohiam, kiedykolwiek postawić stopę na Diunie, ale pozostałym członkiniom zgromadzenia pozwalał się poruszać względnie swobodnie, chociaż ich znaczenie polityczne znacznie spadło. W odróżnieniu od Padyszacha Imperatora, nie potrzebował osobistej Prawdomówczyni, z wyjątkiem Alii i być może swojej matki, nie zwracał się też do Matek Wielebnych po radę.

Irulana wiedziała, że Bene Gesserit muszą cierpieć z powodu radykalnego osłabienia ich wpływów. Czy będą żądały, by pomogła im wrócić do łask Imperatora? Uznała, że nigdy do tego nie dojdzie. Muad'Dib poznał zgromadzenie żeńskie aż nazbyt dobrze.

Bez wątpienia będą mówić do niej szeptem i posługiwać się tajnym językiem migowym, by wplątać ją w jakąś intrygę. Chociaż została wychowana i wyszkolona przez Bene Gesserit, doszła do wniosku, że mimo tysięcy lat badań ludzkiej natury nawet one nie w pełni pojmują, kim jest i co może zrobić Muad'Dib. Nie do niej należało pouczanie ich.

Może da tym trzem egzemplarz pierwszego tomu *Życia Muad'Diba* swojego autorstwa...

Włożywszy elegancką dzienną suknię, zajęła się zwykłymi obowiązkami w prywatnej części twierdzy. Przeprowadziła inspekcję małej, białej altanki, którą postawiono w wielkiej oranżerii, pośrodku labiryntu utworzonego z żywopłotu. Było to idealne miejsce do pisania i kontemplacji. Promienie słońca wpadały ukośnie przez wysoko umieszczony szklany dach, a wśród gałęzi drzewa dostrzegła błysk obiektywu jednego z wszechobecnych urządzeń obserwacyjnych.

Wskutek nalegań Paula Korba przeczytał już szkic dzieła, nad którym obecnie pracowała, zapisując na marginesach liczne uwagi krytyczne i zastrzeżenia, ale po prawdzie nie znalazł niczego, co by go szczególnie oburzyło. Nie spodziewała się, że znajdzie. Była dostatecznie doświadczoną pisarką, by stworzyć dzieło składające się z wielu subtelnych warstw. W istocie rzeczy, Korba wydawał się zadowolony z książki i niecierpliwie czekał na następny tom.

Rzemieślnik nadawał małej ogrodowej konstrukcji ostatni szlif, mocując wybrane przez nią dekoracyjne listwy. W młodości miała na Kaitainie prywatne miejsce podobne do tego. Żywiła nadzieję, że tutaj, na tej obcej planecie, na której ludzie musieli się odgradzać od natury, uda jej się chociaż częściowo odtworzyć atmosferę mniej burzliwych czasów.

Rzemieślnik był już dość wiekowym mężczyzną o twarzy poranej głębokimi bruzdami, śnieżnobiałych włosach i zwisających brwiach. Jego kombinezon był znoszony i wystrzępiony, ale względnie czysty. Skończył pracę i zaczął zbierać narzędzia, kładąc troskliwie każde z nich w odpowiednie miejsce. Wyprostował się i spojrzął na nią badawczo, oczekując pochwały.

— Nigdy nie widziałam bardziej fachowo wykonanej roboty — powiedziała. — Muad'Dib będzie zadowolony.

Wątpiła, by Paul kiedykolwiek zauważył tę altankę. Ogród mogła urządzać według własnego uznania — było to jej królestwo, mała namiastka władzy. Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech, skłonił się z szacunkiem i odszedł.

Czekała. Już niedługo.

Usłyszała szelest sukien za środkowym żywopłotem — to przybywały bez zapowiedzi wysłanniczki zgromadzenia, pokonując kręte ścieżki między ścianami z krzewów. A zatem udało im się obejść strażników, chociaż labirynt nieco je spowolnił. Obróciwszy się ku trzem Matkom Wielebnym, kiedy się wreszcie pokazały, zobaczyła, że starają się nie wyglądać na podenerwowane.

— Ależ to siostry! — zawołała Irulana. — Nie spodziewałam się was!

— A my nie spodziewaliśmy się, że będziemy musiały pokonać taki szpaler, żeby uzyskać posłuchanie u jednej z naszych siostr — powiedziała ta, która stała w środku, kobieta o owalnej twarzy wyglądająca na dwadzieścia parę lat.

Irulana знаła już jej tożsamość — była to Matka Wielebna Genino. Jej młodsze towarzyszkę nosiły imiona Naliki i Osted. Wszystkie wyglądały na zbyt młode, by być po agonii przygotowawczej, ale miały to już za sobą, były silne i zaliczały się do wybranych osobistych doradczyń samej Matki Przełożonej.

Irulana nie okazała im współczucia.

— Jestem żoną Imperatora Muad'Diba — powiedziała. — Jak dobrze wiecie, środki bezpieczeństwa są konieczne. Gdybyście powiadomiły mnie wcześniej o swoim przylocie, mogłabym się postarać, żebyście dotarły tu z mniejszymi problemami.

— Chciałyśmy zachować... dyskrecję — powiedziała grubokoścista Naliki. Po przejściu przez zawiły labirynt była zarumieniona.

— Ach, wobec tego należy się spodziewać pewnych komplikacji — skwitowała to Irulana. — Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogły porozmawiać. Jestem ciekawa, w jakiej sprawie przyleciałyście.

Poprowadziła je po trzech stopniach do otwartej altany, gdzie wszystkie usiadły na ławkach.

— Jesteś jeszcze piękniejsza, niż słyszałam. — Genino przeszła do komplementów. — Krew Corrinów, gracia wyuczona w zgromadzeniu żeńskim i pewność siebie z racji małżeństwa z Imperatorem.

Małe, ciemne oczy tej kobiety wiele skrywały, ale nie wszystko.

Irulana wygładziła fałdę eleganckiej sukni, po czym złożyła ręce na podółku.

— Tak rzadko przyjmuję wizyty Rene Gesserit — powiedziała. — Co was sprowadza na Arrakis?

— Na pewno musiałaś się domyślić — rzekła Osted. Była najniższa z delegatek, miała krótko obcięte kasztanowe włosy i za duży nos, który umniejszał jej urodę.

— Mam tutaj sporo zajęć. — Irulana pozwoliła, by do jej głosu wkradło się zniecierpliwienie. — Wyjawcie mi, proszę, cel waszej wizyty.

— Nie należy marnować czasu — powiedziała Genino. — Szkoła Matek Wielebnych skierowała tu naszą trójkę, byśmy pomogły wyszkolić Alię Atrydę i Marie Fenring. Przez wzgląd na możliwości, jakie dają im ich linie rodowodowe, nie można dopuścić, by ich kontakty z innymi w młodzieńczych latach były przypadkowe. Dopilnujesz, byśmy uzyskały odpowiedni dostęp do dziewcząt.

Księżna najeżyła się. Paulowi absolutnie by się to nie spodobało.

— Ich szkolenie jest już dość zaawansowane — powiedziała. — Osobiście zajmuję się Alią, a teraz również Marie. Wasza pomoc nie jest potrzebna.

— Nie zdajesz sobie sprawy ze znaczenia córki Margot Fenring — ostrzegła ją Osted.

— Powiedziała mi o tym sama lady Margot, kiedy przywiozła tutaj dziecko. Wiem, że zgromadzenie starannie śledziło wychowanie Marie wśród Tleilaxan. A co do Alii... mogłaby wiele nauczyć całą waszą trójkę.

Z ręką w fałdach sukni Genino przekazała jej wiadomość palcami, przypuszczając, że Irulana nie może mówić swobodnie, gdyż są obserwowane przez kamerę. Ale księżna odwróciła wzrok, odrzucając tę formę komunikacji.

— Obserwowanie ważnych osób jest normalną praktyką — powiedziała Genino ze sfrustrowaną miną.

— Córka Atrydów jest Złym Duchem — dodała Naliki. — Nie możemy pozwolić, by przednarodzona zakłóciła delikatną równowagę edukacji Marie. Musimy interweniować.

Irulana przyjęła ten komentarz z uśmiechem.

— Niewiele widzę delikatności w Marie Fenring — odparła. Od początku podejrzewała, że to dziecko nie przybyło do Arrakin w całkiem niewinnym celu. Przypuszczała, że prośba o zgodę na wychowanie jej na dworze Imperatora ma coś wspólnego ze szpiegowaniem dla zgromadzenia żeńskiego, z odczuwanym przez siostry głodem informacji.

— Mimo to trzeba właściwie pokierować relacjami Marie i Alii — powiedziała Genino.

— Wy macie nimi kierować? — zapytała Irulana. — A czy lady Margot zgodziła się na to? Przed wylotem z Arrakis nie wyraziła potrzeby ani chęci sprowadzenia dla Marie nauczycielek spośród Bene Gesserit.

— W tej sprawie życzenia biologicznej matki są bez znaczenia — stwierdziła Naliki.

Irulana dokładała wszelkich starań, by zachować obojętny wyraz twarzy. Miała do czynienia z typową dla Bene Gesserit arogancją.

— Muad'Dib nie pozwala nikomu wtrącać się do wychowania swojej siostry Alii ani córki lady Margot, którą powierzono naszej opiece.

— Ale ty możesz na niego wpłynąć — powiedziała z przebiegłą miną Osted. — Zapewnienie dziewczynkom szkolenia Bene Gesserit to spełnienie drobnej prośby. Jak mógłby odmówić?

— Jak mało wiecie o Muad'Dibie! Wszelkie próby kierowania nim są z góry skazane na niepowodzenie.

— Nie zapominaj, że powinnaś okazywać zgromadzeniu posłuszeństwo! — krzyknęła Genino, podnosząc się z ławki. — Przez szacunek dla twojej pozycji byliśmy uprzejmie, ale nie popełnij błędu. Nie myśl, że jest to sprawa do dyskusji. Rozkazujemy ci, byś wykonywała nasze polecenia.

Podniosła się również Irulana, nie udając już, że Bene Gesserit są przez nią mile widziane.

— Rzeczywiście nie jest to sprawa do dyskusji, nie będę więc już z wami polemizowała — rzekła. — Wysiadłyście z bagażami? Jeśli tak, każę je odesłać do portu kosmicznego. Radzę wam odlecieć stąd wieczornym promem, byście nie ściągnęły na siebie niezadowolenia Imperatora. Matka Wielebna Mohiam otrzymała już zakaz pojawiania się tutaj. Chcecie, żeby rozciągnięto go na wszystkie członkinie zgromadzenia?

— Nie damy się przepędzić! — Złość i zaskoczenie Genino były tak wielkie, że częściowo straciła nad nimi kontrolę.

Irulana była zdumiona i obserwowała tę reakcję z wielkim zaciekawieniem. Najwyraźniej Marie Fenring była dla zgromadzenia żeńskiego ważniejsza, niż wyjawiała lady Margot.

Usłyszała kroki po drugiej stronie żywoplotu. Znajome kroki.

— Ach, nadchodzi Imperator... musiał zostać powiadomiony o waszym przybyciu. Możecie same przedstawić mu waszą prośbę, jeśli chcecie.

Paul wyłonił się z labiryntu odziany w uroczyste zielono-żółte szaty. Wyglądał, jakby przed chwilą oderwano go od obowiązków, a wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył o irytacji. Podszedł wielkimi krokami wprost do altanki.

— Dlaczego nie zostałem natychmiast powiadomiony o tym, że do Arrakin przybyły Matki Wielebne? — zapytał.

Irulana złożyła mu oficjalny ukłon. Parę sekund później zrobiły to pozostałe kobiety. Genino szybko odzyskała głos.

— Przybyłyśmy z wizytą do księżnej Irulany, szlachetny panie — oznajmiła.

— Nie przyleciały na moje zaproszenie i zaraz odlatują — powiedziała cicho Irulana, po czym uśmiechnęła się chłodno do trzech Bene Gesserit. — Domagały się wpływu na kształcenie Alii i Marie.

— Nie ma mowy. — Paul nie zawahał się ani przez chwilę. — Zabraniam.

— Najwyraźniej lady Margot Fenring też nic nie wiedziała o ich zamiarach — dodała Irulana.

Trzy Matki Wielebne wydawały się zaskoczone obojętnym zachowaniem Irulany. Ale jej priorytety nie były już takie same jak ich. Opracowując dzieje Paula Muad'Diba Atrydy, zaczęła poznawać inne ciągi przyczynowo-skutkowe — i dowiadywać się o poważnych potknięciach zgromadzenia żeńskiego — co sprawiło, że zastanawiała się nad jego mądrością. Odkryła, że Bene Gesserit nadawały części historycznych zapisów taki sens, jaki uznawały za stosowny, ukrywając swoje błędy i ubarwiając sukcesy. Pewne takty były w ich rękach plastyczne jak glina. Zresztą sama postępowała podobnie, snując opowieść o swym sławnym mężu.

— Nie mamy najmniejszego zamiaru się wtrącać, panie — powiedziała Genino. — Jesteśmy tu tylko po to, by zaproponować...

— Byłoby mądrze z twojej strony, gdybyś się zastanowiła, zanim coś jeszcze powiesz — przerwał jej z groźną miną Paul. — Dzięki zmysłowi prawdy słyszę twoje kłamstwa tak wyraźnie, jakbyś je wykrzykiwała.

Poruszając się niezdarnie, cała trójka pospiesznie się oddaliła. Irulana uświadomiła sobie, że jest dziwnie rozbawiona, chociaż serce waliło jej na myśl o tym, co ośmieliła się zrobić. Jakież będą tego reperkusje, tu i na Wallachu IX! Słuchała ich kroków, dopóki nie zagłębiły się w labirynt.

— Ależ będą gadać, kiedy wrócą do szkoły Matek Wielebnych! — rzekła do Paula.

— Nie boję się ich gadania. — Spojrzał na nią i powiedział z niezwykłą dla niego szczerością: — Ja sam, podobnie jak hrabia Fenring, pokrzyżowałem im plany eugeniczne. Z racji swego wyposażenia genetycznego jego córka Marie jest przypuszczalnie bardzo dla nich cenna.

Irulana skinęła głową.

— Chciałabym za twoim pozwoleniem powiadomić lady Margot Fenring o tym incydencie — powiedziała. — Być może stanie się dzięki temu naszą większą sojuszniczką. Był to w końcu atrozność wobec Marie, tak samo jak wobec Alii.

Przez chwilę przyglądał się jej badawczo.

— Zdumiewasz mnie skalą swej złożoności, Irulano — rzeki w końcu.

— Dziękuję, panie.

— Tak, wyślij list do Fenringów i napisz im, co próbowały tutaj zrobić Bene Gesserit. Jestem ciekaw, jak zareagują. — Obrócił się na pięcie i odszedł.

Zostawszy sama pośrodku labiryntu, Irulana wykonała ćwiczenie oddechowe prana i bindu, by się uspokoić.



Podczas wielu lat małżeństwa Margot Fenring widziała już nieraz męża w złym nastroju, ale nigdy jeszcze tak rozsierzonego jak teraz. Otrzymana od Irulany wiadomość o podjętej przez Matki Wielebne próbie wtrącenia się do szkolenia Marie sprowokowała go do wygłoszenia długiej tyrady:

— Nieudolność Bene Gesserit mogła zagrozić naszym subtelnym planom. Co one sobie myślały? Teraz, kiedy Paul Atryda wie o zainteresowaniu zgromadzenia żeńskiego Marie, może zacząć zadawać niewygodne pytania. Musimy szybciej zrealizować nasz plan.

Sama Margot miała siostronom za złe, że chciały się w to wmieszać. Czy oboje z mężem nie przedstawili Matce Wielebnej Mohiam sprawy wystarczająco jasno, kiedy polecili na Wallacha IX? Teraz będą musieli działać jeszcze jawniej, by zgromadzenie nie pomieszało im szyków.

— Trzeba dostosować nasz plan do okoliczności, kochana, a nagle pojawiła się wyjątkowa okazja — powiedział hrabia. — Możemy wykorzystać tę sytuację jako katalizator. Skoro Irulana poinformowała nas o tym skandalu, po prostu musimy odwiedzić Arrakin, by się przekonać, że naszej Marie nic się nie stało. — Jego przesadnie duże oczy zaśniły. — Hmm, aaach. Tak, Imperator nie odmówi nam tego przywileju. Naszej biednej, drogiej córeczce zagrażają wścibskie czarownice. — Pocałował żonę w policzek. — Natychmiast zorganizujemy sobie lot na Arrakis.

Kiedy hrabia wysiadł z lady Margot w porcie kosmicznym nieopodal ogromnej stolicy Imperium Muad'Diba, nie potrzebował żadnych przypomnień o planie. W trakcie podróży mieli aż nadto czasu, by omówić wszelkie jego niuanse, różne ewentualności oraz sposoby, w jakie — zależnie od rozwoju sytuacji — powinni się zachować.

Mimo to Fenring nie mógł zaprzeczyć, że nie może się doczekać, kiedy znowu zobaczy córkę. Musi już być gotowa.

Spojrzeli na blanki i parapety potężnej twierdzy, która rozłożyła się na północnych przedmieściach Arrakin. Warowny kompleks, w którego środku znajdowała się stara rezydencja, ciągnął się aż pod urwiska Muru Zaporowego. Tak wiele się zmieniło, odkąd Fenring mieszkał tutaj! Nadal trwała jego rozbudowa i nad niektórymi częściami obwarowań górowały olbrzymie żurawie drytowe.

Margot musiała zauważyć lekkie drżenie tej jego ręki, którą głównie posługiwał się w walce — napięcie mięśni, przygotowanie. Kiedy dotknęła tego przedramienia i nawiązała z hrabią kontakt wzrokowy, poczuła, że jego puls nieco zwalnia.

— Hmm, pozwolę, żebyś mówiła za nas oboje — powiedział.

Owszem, utkali osnowę zabójczego planu, ale Imperium pełne było planów i niewidzialnych powiązań. Oboje byli bardzo zaskoczeni, kiedy się dowiedzieli o próbie zamachu na Imperatora podjętej podczas ceremonii wielkiego hołdu, i to nie przez któregoś z licznych wrogów Muad'Diba, ale przez rzekomo wiernego mistrza miecza. Hrabia uznał, że to zabawne. Knuto tyle spisków, że wcześniej czy później któraś próba musiała się powieść. Paul Atryda był niczym pretensjonalny, otaczany powszechną pogardą mistrz karnawałowego widowiska, tyle że w skali galaktycznej.

Chociaż była to pewna niedogodność dla niego i jego ukochanej żony, Fenring nie przyjął ze smutkiem odsunięcia Szaddama od władzy. Tak samo powitałby z zadowoleniem położenie kresu krótkim, straszny rząd Muad'Diba. Kiedy ucichłaby wywołana przez to zawierucha, postaraliby się, by na tron powołano kogoś sprawniejszego i... mającego większy majestat. Ostatecznie, bez względu na to, kto by na nim zasiadł, potrzebowałby szerokiego poparcia i sieci zabezpieczeń, by utrzymać władzę.

Paul Atryda powinien był zwrócić się po radę przede wszystkim do niego.

Podszedł do nich jeden ze strzegących portu żołnierzy, który wyglądał jak ruchomy posąg. Zagroził im drogę i podniósł sztywno rękę, zatrzymując ich, a jednocześnie trzymał drugą w pobliżu wiszącego u pasa krysnoża. Na jego ogorzalej, jakby wyrzeźbionej przez burzę piaskową twarzy nie widać było żadnych emocji.

— Powiedzcie, w jakiej sprawie przybyliście do miasta Muad'Diba — zażądał.

— Nie ma potrzeby zachowywać się impertynencko — stwierdziła lady Margot. — Sprawdzono nas na promie. Nasza córka jest gościem Imperatora, a przylecieliśmy tu w reakcji na pilną wiadomość od księżnej Irulany.

— Hmmm, traktuj nas z należnym szacunkiem — rzekł Fenring z groźnym błyskiem w oku. — Jestem hrabią i członkiem Landsraadu, a to moja żona.

Margot zorientowała się, że mąż prowokuje zarozumiałego brutala, ale było już za późno, by coś zrobić. Kiedy żołnierz zaczął wyciągać krysnoż z pochwy, Fenring skoczył na niego i uderzył mocno w nadgarstek. Palce Fremena rozwarły się akurat w chwili, kiedy wydobył broń, i sztylet padł ze stukotem na płytę portu. Drugi cios, w łokieć, sparaliżował całą jego rękę, a oszałamiająco szybkie kopnięcie w kostkę podcięło mu nogę i potężny mężczyzna padł jak kłoda. Wtedy Fenring wymierzył precyzyjne uderzenie krawędzią dłoni w skroń przeciwnika, a następnie walnął go łokciem w twarz. Żołnierz jęknął i zwiotczał, krwawiąc z oka. Fenring cofnął się z zadowoloną miną.

— Aaach, widzę, że to jeden z najlepszych wojowników Muad’Diba — powiedział.

— No cóż, mój drogi, przynajmniej przyciągnęliśmy ich uwagę — stwierdziła Margot, kiedy dotarli do nich tupot stóp i krzyki pozostałych żołnierzy.

Płynnym ruchem hrabia Fenring przykucnął z podniesionym z płyty krysnożem w rękę, gotów stawić czoło biegnącym ku nim mężczyznom. Margot stanęła za nim, zwrócona doń plecami i też przyjęła bojową postawę. Był to jeden z branych przez nich pod uwagę scenariuszy i miała nadzieję, że wszystko potoczy się tak, jak przewidywali. Mogli odgrywać role wielce obrażonych sposobem, w jaki Muad’Dib traktuje swoich gości, i spodziewać się, że później nieco rozluźni się otaczająca ich ochrona.

A nawet gdyby do tego nie doszło, była pewna, że przeżyją tę drobną konfrontację.

Strażnicy, tuzin mężczyzn z dobytą bronią długą, pistoletami, miotaczami strzałek i mieczami, otoczyli ich ostrożnie kołem. Pomimo ich umiejętności bez tarcz osobistych Fenring i lady Margot stanowili łatwy cel. Ale nim zaatakują szlachcica i jego damę, żołnierze będą potrzebowali rozkazów z góry.

— Hmmm, stokrotnie przepraszam — rzekł hrabia Fenring, podnosząc ręce w geście podania. — Ten człowiek obraził moją żonę, a ja, aaach, jestem nadopiekuńczy. Całkowicie ponoszę za to winę.

Stojący za nimi żołnierz — który sprawdził Fenringów przed opuszczeniem przez nich promu — konferował cicho z wyższym oficerem. Gburowaty dowódca skinął głową, co — jak się wydawało — zmniejszyło odrobinę napięcie. Spojrzał z pogardą na rannego, który starał się pozbierać z ziemi. Później zmierzył Fenringów wzrokiem od stóp do głów.

— Żaden żołnierz, który daje się tak łatwo pokonać zwykłemu... gościowi, nie ma czego szukać wśród strażników Muad’Diba. Jest zwolniony ze służby. — Dał znak ręką i fedajkini odłożyli broń. — Pozwólcie, że zaprowadzę was do twierdzy. Będziecie mogli sami przedstawić księżnej Irulanie swoją sprawę.

Fenring uśmiechnął się szeroko, kiedy Margot wzięła go pod rękę, i poszli za oficerem.

Irulana, ze stojącą z boku służbą, przyjęła Fenringów w zwieńczonych łukiem drzwiach swojego skrzydła twierdzy. Wysoka i elegancka najstarsza córka Szaddama IV ubrana była w długą, głęboko wyciętą z przodu suknię z czarnego parajedwabiu, której góra i sięgające do łokci rękawy wyszywane były małymi, lśniącymi hagalskimi szmaragdami. Na ciasno upiętych jasnych włosach miała diadem z ognistych diamentów. Najwidoczniej przywdziała jeden ze swoich najlepszych dworskich strojów, jakby znowu znalazła się w pałacu Imperatora na Kaitainie.

Powitawszy gości, poprowadziła ich obok biurka zawalonego notatkami. Fenring zerknął z zainteresowaniem na jedną ze stron, lecz Irulana szybko skierowała go ku stołowi, na którym postawiono obfity lunch.

— Zjecie ze mną lekki posiłek? — zapytała. — Wezwałam już Marie, ale jak widzicie, twierdza jest ogromna.

— Jesteśmy, hmmm, spragnieni widoku naszej drogiej córki — rzekł Fenring i pochylił się nad zamkniętą wazą, ale spod pokrywki nie wydobywał się żaden zapach. Znowu zerknął na biurko, ciekaw, nad czym pracuje Irulana. Czyżby pisała kolejny z tych swoich pn> pagandowych traktatów?

— Bardzo zaniepokoiła nas wiadomość o podjętej przez zgromadzenie żeńskie próbie przejęcia kontroli nad jej szkoleniem — powiedziała Margot. — Zdecydowaliśmy się wysłać Marie tutaj, bo nie chcieliśmy, by uległa całkowicie indoktrynacji Bene Gesserit. Ale wygląda na to, że nawet na dworze Imperatora nie jest w stanie przed nimi uciec. Jest bezpieczna na Arrakis?

Księżna wsunęła się z gracją na krzesło u szczytu długiego stołu zasłanego białym obrusem, na którym piętrzyła się srebrna zastawa.

— Chociaż ty i ja jesteśmy Bene Gesserit, lady Margot, nawet my musimy przyznać, że czasami zgromadzenie przekracza granice — powiedziała. — Jeśli chodzi o edukację waszej córki, to problem przestał istnieć, bo przemówił Muad'Dib. — Na wspomnienie o tym na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. — Szkoła Matek Wielebnych popełniła wielki błąd, obrażając go. On szybko o tym nie zapomni.

Służący zdjął wieko wazy, ukazując gęstą, ciemną zupę.

— Kaladańska zupa z dzika — wyjaśniła księżna. — Ulubione danie mojego męża.

Chociaż goście skosztowali ją i wyrazili uznanie, Irulana nie tknęła swego talerza.

— Nawet bez nadzoru Bene Gesserit pozostają pytania dotyczące waszej córki i nauk, które już otrzymała — ciągnęła. — To dziecko wykazuje pewne niezwykle oznaki. Jak je szkolono?

Fenring wymienił szybkie spojrzenia z żoną.

— Tylko, aaach, tak, jak było trzeba, jak wydawało się nam właściwe. Ma szerokie podstawy w wielu dyscyplinach. — Przeciągnął palcem po brzegu pustego kielicha. — Kierując się chęcią chronienia dziecka, nauczyłem ją tego, co znam, podobnie moja żona. A Tleilaxanie mieli pewien interesujący... aaach, dodatek, który wzięliśmy pod uwagę.

Margot, zaniepokojona, że hrabiemu mogło się coś wymknąć, spojrzała na Irulanę i zapytała:

— Jakiego rodzaju niezwykle oznaki zauważyłaś? Czy Marie zn> biła coś złego?

— Ależ nie. W ciągu tych kilku zaledwie miesięcy ona i Alia bardzo się do siebie zbliżyły. A Alia, jak wiecie, urodziła się w niezwyklej okolicznościach.

— Zły Duch — rzekła Margot, po czym skrzywiła usta w uśmiechu. — Kolejna etykieta pochopnie przyklejona przez nadgorliwe Bene Gesserit. Sugerujesz, że Marie też jest przednarodzona?

Irulana pokręciła głową.

— Nie, ale wydaje się w każdym calu podobna do Alii i jest równie bystra. Od początku nie byliście ze mną całkowicie szczerzy.

— Nasza córka jest szczególnym dzieckiem — powiedziała Margot.

Hrabia uśmiechnął się.

— Aaach, hmmm. Wygląda mi na to, że te dwie dziewczynki pasują do siebie jako towarzyski zabawy. Nie moglibyśmy prosić o nic lepszego.

Parę chwil później do apartamentów Irulany wbiegła mała Marie. Była w różowo-białej odświętnej sukience obszytej koronkową falbanką i białych butach, które głośno stuknęły o podłogę. Jej rodzice podnieśli się, a ona podeszła najpierw do hrabiego i objęła go.

— Dziękuję, że wysłaliście mnie do Arrakin — powiedziała. — Wszyscy dobrze mnie tu traktują, a ja byłam grzeczna.

— Miło nam to słyszeć, kochanie.



*Paul Atryda, podobnie jak Czerwony Książę, jego ojciec, dopuszczał do kręgu najbliższych osób niebezpiecznych ludzi. Będąc ryzykantem, twierdził, że to najlepszy sposób na wyostrzenie zmysłów.*

— tom I *Życia Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

— Twoja córka jest interesującym dzieckiem, hrabio Fenring — rzekł Paul, prowadząc gościa wiodącymi do podziemi schodami.

— Ma niezwykle geny — odparł Fenring, nie rozwijając tematu. — Miło mi, że tak jak my, uważasz, iż jest wyjątkowa.

Robotnicy odkryli to stare przejście podczas robienia wykopów pod mury twierdzy. Znajdowało się poniżej fundamentów arrakińskiej rezydencji i było tak dobrze ukryte, że nie znaleziono go, badając dawno temu teren w poszukiwaniu pułapek Harkonnenów. Paul wątpił, by Fenring wiedział o jego istnieniu, chociaż tunel był nieporównywalnie starszy niż stojący nad nim budynek. Odkrycie to nasunęło mu przypuszczenie, że pod starożytną budowlą mogą się znajdować inne przejścia. Powietrze tutaj było czyste i chłodne, stopnie wytarte wieloma stopami chodzącymi po nich w zamierzchłych czasach. Przed tysiącami lat.

Fenring zszedł ostrożnie kilka stopni, rozglądając się swymi nadmiernie dużymi oczami. W żółtym świetle założonych niedawno na ścianach tuż nad schodami luminówek mężczyzna o wąskiej twarzy, zawsze czujny, wyglądał jak żerujące nocą zwierzę.

Rano Paul wezwał niezwłocznie hrabiego i zabrał go do podziemi pod wschodnim skrzydłem twierdzy, z dala od strażników i podsłuchujących.

— Wątpicie, że potrafię się sam obronić... nawet przed kimś takim jak on? — zapytał Paul zaniepokojonych fedajkinów, a ci zaraz wycofali swoje obiekcje. Mimo to, jeśli chodziło o tego człowieka, prekognicja Paula była beznadziejnie zawodna.

Hrabia Hasimir Fenring. Cieszył się złą sławą niebezpiecznego osobnika, ale Paul zawsze zachowywał cień współczucia dla tego człowieka, który służył niegdyś Szaddamowi IV, wyczuwając niejasno, że ma z Fenringiem więcej wspólnego, niż którykolwiek z nich sobie uświadamia.

— Wiem, kim jesteś, hrabio... kim miałaś być zgodnie z zamiarami Bene Gesserit. Wyczułem pewne rzeczy już w chwili, kiedy pierwszy raz ujrzałem cię w obecności Padyszacha Imperatora. W dużym stopniu jesteś podobny do mnie.

— Hmm. A mianowicie?

— Obaj jesteśmy nieudanymi, przynajmniej w oczach zgromadzenia żeńskiego, Kwisatz Haderach. Od ciebie nie dostały tego, czego chciały, a mnie nie są w stanie kontrolować. Nie dziwi mnie, że są tak zafascynowane twoją córką.

— Aaach, kto zrozumie niezliczone plany eugeniczne czarownic?

— Kto zrozumie wiele rzeczy, które musimy robić? — dodał Paul.

Po stłumieniu rebelii Thorvalda i przerażającej zemście na jego ojczystym świecie Paul zmuszony był obrócić w perzynę jeszcze dwie planety i zgładzić całą ich ludność. Wyjałowienie... gorsze nawet od tego, co się zdarzyło niegdyś na Salusie Secundusie, gorsze od tego, co wicehrabia Moritani chciał zrobić z Grummanem. Paul uświadomił sobie, że nie ma prawie żadnego poczucia winy z powodu tego, co uczynił.

„Czyżbym tak się już przyzwyczył do uśmiercania i niszczenia?” Na myśl o tym przez jego pierś przeszła fala chłodu.

Pamiętał, jak zabił w pojedynku Dżamisa; był to pierwszy człowiek, któremu odebrał życie. Był wstrząśnięty, ale dumny z wyczynu, dopóki matka nie obudziła w nim poczucia winy, które spadło na niego jak młot.

„No, i co też czuje morderca?” — zapytała.

Za bardzo się oswoił z tym uczuciem. Muad'Dib mógł bez namysłu kazać unicestwić światy i nikt tego nie kwestionował. Paul, człowiek, nie mógłby nigdy pozwolić sobie o tym zapomnieć.

Skoro hrabiego Fenringa również przygotowywano do tego, że ma zostać Kwisatz Haderach, skoro on też miał być pionkiem... to być może mieli obaj podstawy do zrozumienia, którego Paul nie znajdował u nikogo, nawet u Chani.

Dotarłszy do podnóża schodów, Paul stanął u wejścia do tunelu wykutego w skale.

— Pomimo mitologii, która powstała wokół mnie, nie jestem bogiem, hrabio Fenring. — Wskazał w lewo, gdzie odnogę tunelu oświetlały lumisfery podskakujące pod wpływem lekkich zawirowań powietrza.

— Każdy z nas może, hmmm, dużo się dowiedzieć o drugim. I być może dzięki temu również o sobie. Chciałbyś, żebyśmy zostali, aaach, przyjaciółmi? Zapomniałeś, że Szaddam kazał mi walczyć z tobą po bitwie pod Arrakin?

— Pamiętam, że odmówiłeś. To różnica między pragmatyzmem a lojalnością, hrabio. Widziałeś, kto jest zwycięzcą, a kto pokonanym, i dokonałeś wyboru.

— Tak, hmmm, ale z własnej woli zgodziłem się towarzyszyć Szaddamowi na wygnaniu i byłem z nim, dopóki nie poczułem potrzeby, by ruszyć dalej. Nie chcieliśmy, by nasza córka wychowała się na Salusie Secundusie.

Minęli zakręt, za którym korytarz się zwężał.

— Zmieniają się wszystkie stosunki, hrabio Fenring, a my, ludzie, musimy się do nich przystosować albo zginąć.

— Przystosować się albo zginąć? — Hrabia spojrział ostrożnie najpierw w jedną stronę tunelu, potem w drugą. — Hmmm, aaach, masz tutaj izby przesłuchań?

— Wszystkim Imperatorom są one potrzebne — odparł Paul. — Corrinowie na pewno takie mieli.

— Hmmm, oczywiście. Jestem pewien, że intrygi, które snuje się w twojej twierdzy, niezbyt się różnią od tych, które kiedyś snuto na Kaitainie. — Fenring chrząknął, jakby coś suchego zaległo mu w gardle.

— W rzeczywistości jest pewna różnica, hrabio, ponieważ jestem w takim samym stopniu Frememem, jak Atrydą. Moje działania określa tak samo pustynia, jak błękitna krew i mam coś więcej niż politykę: mam religię. Chociaż nie chcę tego, jestem obiektem kultu. I podobnie, moi wojownicy nie są tylko żołnierzami. Postrzegają siebie jako misjonarzy.

Paul zatrzymał się przed małym, ciemnym otworem i wcisnął guziki mechanizmu, który zamknął za nimi metalowe drzwi, odcinając całkowicie dostęp światła. Słyszał w ciemnościach oddech Fenringa i czuł zapach jego przenikniętego strachem potu.

„*Mimowolna utrata wilgoci*” — pomyślał.

Dopiero po krótkiej przerwie otworzył drugie drzwi i wkroczyli do większego pomieszczenia, w którym na ich przybycie zareagowały lampy, rozbłyskując przyćmionym światłem.

— W pewnym sensie cofamy się w czasie — rzekł Paul. Czekał, aż Fenring zauważy otaczające ich malowidła i napisy, dziwne wzory na wszelkich możliwych powierzchniach: na suficie, podłodze i na ścianach. — To starożytne stanowisko Muadru, dawno pogrzebane. Prawdopodobnie istnieje dłużej niż Fremeni na Diunie.

— Bajeczne. Jakież masz szczęście, że znalazłeś takie stanowisko. Wygląda na to, że przez te wszystkie lata, które spędziłem w rezydencji, nie miałem pojęcia o skarbach kryjących się pod moimi stopami.

Usłyszawszy to, Paul drgnął, jakby włączył się w nim, ale nie zadzwieczał dzwonek alarmowy. Jego zmysł prawdy. Czy miało to coś wspólnego z niezdolnością ujrzenia Fenringa w wizjach, jakimś zderzeniem aury otaczającej jednego niewydarzonego Kwisatz Haderach z aurą drugiego? A może wynikało to stąd, że hrabia skłamał, mówiąc, iż nic nie wiedział o tym stanowisku Muadru? Ale jeśli tak, to dlaczego miałby ukrywać tę wiedzę?

Fenring uważał, żeby nie uszkodzić żadnego malowidła.

— Aaach, myślę, że za bardzo się interesowałem oczywistym skarbem, jakim jest melanz — powiedział.

Paul nie starał się ukryć nabożnego podziwu w głosie.

— To pomieszczenie jest drobnym śladem, jaki pozostał po rasie, która na długo przed zen-sunnickimi Wędrowcami zasiedliła liczne planety. Najwyraźniej przybyli na Diunę, zanim stała się taką pustynią. Niektóre legendy sugerują nawet, że sprowadzili czerwie z jakiejś innej planety, ale trudno powiedzieć. Bardzo mało o nich wiemy.

— Twoje imię pochodzi z języka Muadru?

— Wydaje się, że między Fremenami i Muadru jest jakiś związek językowy, ale ta druga rasa zniknęła w różnych miejscach w całej galaktyce, co zdaje się świadczyć o jakimś kataklizmie, który ich wszystkich pochłonął.

Przedziwna para obeszła podziemną komorę, przyglądając się dokładnie rysunkom, cytrom i innym wytworom sztuki. Były tam barwne malowidła wykonane nieznanymi pigmentami i ryty w zimnej skale.

— Hmm, może minąłeś się z powołaniem, panie. Mógłbyś zostać archeologiem zamiast Imperatorem. — Fenring sam się z tego roześmiał.

— Ludzie znają mnie z mojego dżihadu, ale lubię myśleć, że odkopuję prawdę ludzkości, wydobywam to, co trzeba znaleźć, i oczyszczam z tego, co musi zostać usunięte. Zawsze szukając prawdy, zawsze na nią wskazując. — Paul zamknął komorę i poprowadził Fenringa drogą, którą przyszli. — Otacza mnie tyle legend i opowieści, ale ile z nich jest naprawdę prawdziwych? Kto wie, co się naprawdę dzieje w danym momencie historii, nawet jeśli samemu się to przeżywa?

Fenring podskoczył.

— Zauważyłem przypadkiem, aaach, że księżna Irulana pisze jeszcze jeden tom stale powiększającej się twojej biografii, panie. To rewizja historii?

— Tylko kolejna część opowieści o mnie. Ludzie się tego domagają. Miliardy mówią o mnie jako o bohaterze, ale opowieść o mnie nie jest kompletna. Podejrzewam, że tak jak o tobie. Jesteśmy do siebie podobni, nieprawdaż, hrabio Fenring? W każdym z nas jest dużo więcej, niż mówią o nas ludzie.

— Każdy z nas ma swoje tajemnice — rzekł enigmatycznie hrabia.

Paul nie miał żadnych złudzeń co do swego gościa. Gdyby odpowiadało to jego potrzebom, Fenring mógł się łatwo zwrócić przeciwko niemu. Z drugiej strony, Imperator mógł wykorzystać człowieka z takimi ukrytymi umiejętnościami i zręcznością, jakie miał Fenring.

Hrabia niewątpliwie umiał się poruszać w kręgach elity. Zamiast wrócić na kamienne schody, którymi wyszliby na światło dzienne, Paul poprowadził go innym korytarzem.

— Dokąd, hmmm, teraz idziemy?

Paul otworzył inne drzwi.

— To jedna z moich prywatnych piwnic — powiedział. — Chciałbym wypić z tobą butelkę kaladańskiego wina.

— To dużo lepsze niż izba tortur — rzekł Fenring.





*Ludzkie ciało i ludzka dusza potrzebują różnych rodzajów pokarmu. Bierzmy udział w uczcie, na którą składają się wszystkie rzeczy.*

— następca tronu Raphael Corrino, *Wezwanie do Kuglarzy*

Miało to być kameralne przyjęcie dla Paula i Fenringów, z udziałem Chani, Irulany i dwóch dziewczynek, ale nic, w czym uczestniczył Imperator Muad'Dib, nie mogło być nieoficjalne.

Alia wiedziała, że miejsca przy stole wybrano bardzo starannie. Paul i Chani będą siedzieć obok siebie u szczytu stołu, Alia przy bracie, po jego prawej stronie, potem mała Marie, a dalej hrabia Fenring i lady Margot, dostatecznie daleko od Paula, gdyby podjęli jakąkolwiek próbę wystąpienia przeciwko niemu. Po lewej stronie najbliższej szczytu stołu usiądzie Irulana, naprzeciw Alii i Marie, dalej Stilgar, a na końcu Korba, skąd będą uważać na hrabiego i jego żonę.

Sprawdzono całe pomieszczenie, szukając chemicznych środków wybuchowych w rodzaju bomby, która eksplodowała pod tronem Muad'Diba, metalowych przedmiotów, jakiegokolwiek broni, automatycznych narzędzi zabójstw. W kuchni stali ponurzy fremeńscy strażnicy, nadzorując przygotowywanie każdej potrawy. Nad stołem unosiły się wykrywacze trucizn. Wszystkie sztuce i przybory były małe i tępe, co minimalizowało wykorzystanie ich jako potencjalnej broni.

Od ataku przeprowadzonego przez Bludda z użyciem grotów-gończaków Stilgar upierał się, by Paul i jego ludzie mieli zawsze przy gościach tarcze osobiste, nawet podczas posiłków, chociaż sprawiały one, że noszącym je osobom jadło się trochę niezgrabnie.

Korba uważał, że zdolność prekognicji, którą miał Paul, choć kapryśna, przewyższa nawet najbardziej przesadne środki bezpieczeństwa. Podczas planowania uczy powiedział:

— Muad'Dib, jeśli istnieje jakieś zagrożenie, ostrzegłaby nas przed tym twoja prorocza moc.

— Tam gdzie w grę wchodzi hrabia Fenring, Korba, wszystko jest dla mnie mało wyraźne — uciął Paul.

Chociaż w sali rozstawiono fedajkinów, Stilgar nie mógł sobie pozwolić, by być po prostu gościem przy stole. Przysiągł, że wystąpi w roli przybocznego strażnika Paula. Zawsze podejrzliwy wobec hrabiego, osobiście przesukał ubiór Marie i bacznie przyjrzał się każdemu przedmiotowi, który Fenring i jego żona, Bene Gesserit, przynieśli, ale nie znalazł ani broni, ani trucizny, ani w ogóle niczego niezwykłego.

Uczestnicy przyjęcia spotkali się w dawnej sali jadalnej starej arrakińskiej rezydencji. Było to miejsce o znaczeniu historycznym — po przybyciu na Arrakis spożywał tam z rodzicami posiłki brat Alii, nim zdrada Harkonnenów wszystko zmieniła. Ani w życiu Alii, ani w życiu jej brata nie było prostej linii łączącej tamte czasy z obecnymi. Kiedy służba zrobiła ostatni szlit stołu bankietowego, Alia stanęła za krzesłem, czekając na wejście swego znakomitego brata.

Po przylocie rodziców Marie na Arrakis jej styl zabawy podczas improwizowanych gier uległ subtelnej zmianie i Alia zaczęła się zastanawiać, czy jakoś jej nie pohamowali albo nie onieśmielili.

— Boisz się, że zabiorą cię z powrotem na Tleilaxa? — zapytała ją w pewnej chwili szeptem.

— Nigdy nie wrócę do Tleilaxan — odparła Marie takim tonem, jakby stwierdzała fakt, a nie wyrażała sprzeciw.

W oznaczonym czasie do sali weszli Paul i Chani i zajęli miejsca u szczytu stołu. Zamiast oficjalnych strojów mieli na sobie czyste, lecz proste ubrania noszone na pustyni. Pod peleryną Paula widać było czarną tunikę ozdobioną czerwonym herbowym jastrzębiem Atrydów, którą Paul niewątpliwie wybrał z myślą o hrabim. Spod peleryny, również u Chani, wystawała też tarcza, ale nie była włączona.

Hasimir i Margot Fenringowie — nie całkiem niekształtny mężczyzna i piękna uwodzicielka ze zgromadzenia żeńskiego, która wyraźnie go uwielbiała — wkroczyli do sali ramię w ramię. Alia zastanawiała się, jak bardzo zawiódł w przypadku Fenringa plan eugeniczny Bene Gesserit, jak bliskim jest pod względem zdolności odpowiednikiem jej brata. Wyczuwała, że to człowiek bardzo niebezpieczny. Z drugiej strony musiała się zgodzić z Paulem — byłby cennym sojusznikiem.

W sukni z popielatego i czarnego elfjedwabiu lady Margot wyglądała olśniewająco. Na białej, gładkiej szyi miała długi sznur dużych lawendowych diamentów, których kolor podkreślała lśniąca suknia. Środki ostrożności były tak daleko posunięte, że Stilgar zbadał nawet żyłkę, na którą nanizane

były diamenty, by się upewnić, że zrobiona jest z dających się rozerwać włókien, a nie z szigastruny czy jakiegoś innego materiału, który pozwoliłby wykorzystać ją jako garotę.

Marie szła tuż przed rodzicami, zachowując nieznośnie krępujące maniery, chociaż widać było, że rozsadza ją energia. Na jej ustach igrał szelmowski uśmiech.

Alia postanowiła włożyć na tę okazję swą ulubioną czarną abę, która nadawała jej paradoksalnie wygląd zarówno dziecka, jak i fremeskiej matrony. Natomiast Margot Fenring dołożyła starań, by ubrać Marie jak ideał córki — we wspaniałą sukienkę z drogiego materiału, obrzeżoną wielorybim futrem i koronką, która stanowiła żywy kontrast ze strojem Alii. Jej złote włosy ujęte były w przypominającą mgielkę siatkę drobnych kamieni szlchetnych. Alia ledwie poznała swoją towarzyszkę.

Fenring położył łokcie na stole, pochylił się do przodu, oparł brodę na złączonych dłoniach i spojrział, omijając wzrokiem dziewczynki, w stronę Paula.

— Hmm, panie, zanim zacniemy, mam dla ciebie prezent — oznajmił. — Mogłem dać ci go wcześniej, ale czekałem... aaach... na odpowiednią chwilę. — Potarł gładko wygoloną brodę i popatrzył krępującym wzrokiem na drugą stronę stołu. — Ma go twój człowiek, Korba.

Korba był całkowicie zaskoczony. Kiedy Paul na niego spojrział, fedajkin klasnęła i stłumionym głosem wydał polecenie jednemu ze strażników, ten zaś zaraz wybiegł z sali.

Alia nachyliła się do Marie.

— Co to jest? — zapytała. — Co przywieźli?

Fenringówna zerknęła na nią.

— Coś interesującego — odparła.

W końcu dwóch mężczyzn wniosło zawinięty w tkaninę pakunek.

— Mam nadzieję, że obchodziliście się z tym ostrożnie — powiedziała lady Margot.

— Powierzono to mojej opiece — zachnął się Korba. Umieścił paczkę przed Paulem i odwinął czarny materiał, ukazując nóż o wysadzanej szlachetnymi kamieniami rękojeści. Ostrze zdawało się promieniować światłem.

Paul zachmurzył się.

— Przywiozłeś mi sztylet? Cóż to za przesłanie?

— To broń o historycznym znaczeniu, panie. Może przypominasz sobie, że to ten sam sztylet, który nosił Imperator Szaddam, a potem podarował go twemu ojcu, księciu Leto, po pomyślnym przejściu przez niego procesu konfiskacyjnego. W końcu Leto zwrócił go. — Po chwili dodał: — To ten sam sztylet, którego Szaddam użyczył Feydowi–Raucie do pojedynku z tobą.

— Mam się w tym doszukiwać jakiegoś głębszego znaczenia? — zapytał Paul, marszcząc brwi.

— Dobrze wiesz o moich, aaach, tarcjach z Szaddamem — odparł Fenring. — Próbując przeciągnąć mnie na swoją stronę, przesłał mi w podarunku ten sztylet z nadzieją, że wrócę na Salusę Secundusa i będę mu towarzyszył.

— A ty dajesz go mnie?

Hrabia Fenring uśmiechnął się.

— To moja odpowiedź dla obalonej Jego Wysokości, Szaddama Corrina IV.

Paul podał broń Chani. Przyjrzała jej się uważnie i położyła na stole między nimi.

Marie wierciła się na krześle. Lady Margot pochwyciła jej wzrok i ostro na nią popatrzyła. Alia szukała w tym jakiegoś ukrytego znaku, ale wydawało się, że to tylko karcące spojrzenie zniecierpliwionej matki.

Wniesiono pierwsze danie, które wydzielalo intrygujący, smakowity aromat.

— Hmm, pachnie cudownie. — Fenring podniósł kawałek mięsa. — Co to jest?

— Pieczony wąż jaskiniowy w pikantnym sosie — odparła Chani, pozwalając hrabiemu wydobyć z tego dowolne subtelne znaczenie.

Przed każdym z gości stał duży puchar wody z kawałkami cydrytu. Importowane oliwki podano z pociętą zieloną sałatą. Towarzyszyły im krążki portyguli w wodzie różanej. Alia wiedziała, że Fenringowie doskonale zdają sobie sprawę z hojności, jaką okazywał im Paul, częstując taką ilością płynów, mimo to lady Margot wzięła ledwie łyk wody.

— Kiedy ród Atrydów objął w posiadanie Arrakis — zadumał się Paul — mój ojciec wydał ucztę, by przedstawić się ważnym osobistościom w mieście i, jestem tego pewien, wywęszyć naszych po-

tencjalnych wrogów. — Zerknął na wysadzany szlachetnymi kamieniami nóż obok swojego talerza. — A ty, hrabio Fenring, jesteś moim wrogiem?

— Nie sędzę, panie.

— Zdajesz sobie sprawę, że mam zmysł prawdy?

— Zdaję sobie sprawę z tego, aaach, kiedy mówię prawdę, a kiedy nie.

— Może ukrywasz teraz prawdę?

Fenring nie odpowiedział, a Paul czujnie mu się przyglądał. Coś wyczuwał, ale co?

Alia nadal jadła, lecz obserwowała reakcje siedzących przy stole. Marie z jakiegoś powodu zachichotała.

Szefowie kuchni wybrali na główne danie rybę maślaną z rusztu, jedną z ulubionych przez Paula kaladańskich potraw. Gurney Halleck przysłał mu niedawno transport tej ryby o delikatnym smaku, którą teraz podawano przyrządzoną w tradycyjny chłopski sposób. Małymi, zręcznymi palcami Marie zdjęła łuski i skórę, obnażając blade mięso, jakby była znakomitą preparatorką.

Fenring podniósł zakrzywioną, ostrą ość.

— Można się tym łatwo zakrztusić — powiedział. — Mam nadzieję, że nie muszę odbierać tego jako groźby? Nikt oprócz Szaddama nie podałyby nigdy tak niebezpiecznego posiłku.

Był to kiepski dowcip, ale lady Margot i Korba zachichotali.

— Mój ojciec miał powody obawiać się zamachów — rzekła Irulana. — Zamiast konspirować z tobą, hrabio Fenring, powinien był włożyć więcej wysiłku w umocnienie swojego Imperium. — Alia była zaskoczona pobrzmiewającą w jej głosie gorczyzą. — Wiele jego najbardziej kłopotliwych pomysłów narodziło się z twojej inicjatywy.

— Hmm? Twoja ocena, księżno, jest bardzo niesprawiedliwa i nie ma pokrycia w faktach. Gdyby drogi Szaddam częściej słuchał moich pomysłów, zamiast postępować według własnego uznania, miałby o wiele mniejsze kłopoty.

Marie dalej bawiła się rybą. Próbowwała przekroić łyżką o zaokrąglonym trzonku twarde warzywo — karłowatą, słodkawą rzepę ekaską. Warzywo spadło nagle z talerza pod stół. Dziewczynka zanurkowała, by je podnieść, jakby miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej *faux pas*. Alia ukryła rozbawienie.

— Szaddam został całkowicie rozbrojony — powiedział Paul. — Większość jego sardaukarów przysięgła mi wierność. Na wygnaniu pozostaje z nim, w charakterze sił policyjnych, tylko jeden legion złożony głównie ze starszych mężczyzn, którzy szykują się do przejścia w stan spoczynku.

— Hmm, uważam, że jesteś zbyt ufny, panie. Sardaukarzy są żołnierzami, którzy przysięgali na własną krew, że będą bronić Imperatora.

— Zapominasz, hrabio Fenring, że teraz Imperatorem jest M u ad'D i b — powiedziała Chani groźnie.

Lady Margot zerknęła pod stół, by zobaczyć, co robi jej córka.

— Sromotna klęska z rąk moich Fremenów była śmiertelnym ciosem dla ich wiary w siebie — ciągnął Paul. — Prawo zwycięzców jest proste: dowiodłem, że jestem przywódcą ludzkiej watahy, muszą więc w geście poddania nadstawić mi swoje gardła. A pokonani się do tego stosują.

Wyczekawszy na chwilę, kiedy — jak myślała — nikt na nią nie patrzył, również Alia wśliznęła się pod stół.

— Marie, co robisz? — zapytała.

Tamta spojrzała na nią jak wąż. Oderwała od nogi stołu coś niewiele grubszego od nici, za to długości jej przedramienia. Knykcie miała owinięte elastyczną taśmą. Ti została ukryta wśród pęknięć i rzeźbionych ozdób pod brzegiem stołu bankietowego. Zobaczywszy Alię, Marie włączyła miniaturowe źródło energii, dzięki czemu przedmiot, który trzymała, wydłużył się i zeszywniał.

Alia natychmiast go rozpoznała. Był to sztylet igłobiczowy, przemycane z Ixa narzędzie zamachowców, zrobione ze splecionych ostrych włókien krimskelli. Jako że broń była pochodzenia organicznego, nie zostawiała śladów chemicznych, które namierzyłyby wykrywacz trucizn albo materiałów wybuchowych. Marie mogła ją tam umieścić podczas jednej z ich zabaw.

Myśli Alii podążyły tym tropem, odkrywając szczegóły od dawna planowanego morderstwa. Marie była kukułczym jajem umieszczonym w gnieździe Paula, arrakińskiej twierdzy.

— Paul! Stilgar! — krzyknęła.

Rzuciła się na Marie, ale tamta wcisnęła przycisk ukryty w jednej z gałek wyrzeźbionych w brzegu stołu, uruchamiając pułapkę. Spośród kamiennych bloków ścian obok głównego wejścia dobiegł trzask i wydobyły się, wystrzelone przez mechanizm sprężynowy, dwa obłoki pyłu. Kiedy te dwa strumienie obojętnych cząsteczek zetknęły się, doszło do reakcji chemicznej, w wyniku której pomieszczenie wypełniła chmura cuchnących żółtych wyziewów, przesłaniając wszystko.

Ktoś parę razy krzyknął. Początkowo brzmiało to jak wrzask kobiety, lecz Alia szybko uświadomiła sobie, że to głos Korby.

Dym ze sprytnie umieszczonych urządzeń, które nie zawierały ani wyzwalaczy chemicznych, ani wykrywalnych zapalników, zdezorientował strażników. Pobiegli w złą stronę. To opóźnienie reakcji i odwrócenie ich uwagi trwało zaledwie kilka sekund, ale Marie nie potrzebowała więcej. Była już przecież pod stołem i nagle jej mała, ale śmiertelnie niebezpieczna postać wyrosła między nim a Paulem. Muad'Dib odsunął się, przyjmując pozycję obronną.

Marie parła naprzód. Była silniejsza, niż na to wyglądała, i wciskała się we włączoną już tarczę Paula, wpychając przez nią śmiertelnie niebezpieczny igłobicz. Zwolniła, wykorzystując jej opór. Cienki czubek broni prześlizgnął się przez zaporę jak igła strzykawki ze środkiem do eutanazji.

Już w pierwszej chwili tego zamieszania lady Margot Fenring rozerwała płynnym ruchem swój naszyjnik i wsyłała lawendowe diamenty do stojącego przed nią pucharu. Natychmiast po zetknięciu się z wodą z tleilaxanskich kamieni szlachetnych uwolniły się związki chemiczne, którymi je nasyciono — silny, choć o krótkotrwałym działaniu, gaz paraliżujący niewykrywalny dla znajdujących się w sali urządzeń. Zarówno ona, jak i hrabia Fenring wzięli już antidotum. Chlusnęła zawartością pucharu na Korbę i Stilgara, akurat kiedy obaj się poderwali. Część oparów dosięgła nawet Irulaną.

Alia widziała, jak Paul chwyta Marie za mały nadgarstek i odciąga jej dłoń, by uchronić się przed wbiciem cienkiego, ostrego końca igłobicza w czoło. Do tej pory podłączone do sztyletu źródło energii zdążyło już wytworzyć znaczny ładunek elektrostatyczny i wystarczyłby jeden impuls, by usmażyć mózg jej brata.

Po drugiej stronie sali nadal rozprzestrzeniał się żółty dym. Ludzie krztusili się nim. Strażnicy przewracali się jeden na drugiego. Stilgar i Korba, oszołomieni gazem, osunęli się na krzesła. Irulana ledwie się poruszała.

Hrabia Fenring przystąpił już do działania. Przedarłszy się przez przesłaniający wszystko dym, dotarł do grubej ściany w miejscu, gdzie kamienne bloki, które nawet przy najbardziej drobiazgowej inspekcji wydawały się idealnie dopasowane, tworzyły ką. Wiedział, którą spoinę nacisnąć. Lico bloku przesunęło się lekko w lewo, a potem w górę i ukazał się inny mechanizm, którego części wykonane były z tego samego rodzaju kamienia. Pociągnął dźwignię i otworzyło się przejście do starożytnych tuneli pod rezydencją.

Wiele lat przed atrydzką okupacją hrabia Fenring odkrył sieć niesamowicie starych chodników pod fundamentami i w kluczowych miejscach zbudował wejścia do niej. Wiedział, że przez wszystkie następne lata te punkty dostępu nie zostały odkryte.

Teraz zapewniało to im doskonałą drogę ucieczki po zamordowaniu Muad'Diba. Zgodnie z planem tak starannie obmyślonym przez niego i lady Margot, na zewnątrz czekał już na nich uzbrojony statek, którym dostaną się na liniowiec, a po zagięciu przestrzeni — na wolność.

Udało mu się przekupić właściwych ludzi, co było tym łatwiejsze, że Imperator Muad'Dib był powszechnie znienawidzony, nawet przez wiele najbliższych mu osób. Również pomoc Gildii Kosmicznej okazała się nie do pogardzenia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa hrabia, Margot i Marie wypełnią próżnię, która powstanie po śmierci Paula, albo znajdą kogoś, kto będzie mógł to zrobić. Nawet jeśli się tak nie stanie, bez charyzmatycznego przywódcy džihad i ten fanatyczny rząd strawią się od środka.

Ale najpierw Muad'Dib musi zginąć.

Jednak kiedy Marie rzuciła się na Paula, przewagę dawały jej głównie zaskoczenie i zdrada. Gdy Paul odparł jej pierwszy atak, spod stołu wychynęła Alia i jak mangusta skoczyła na byłą towarzyszkę zabaw.

Oderwawszy się od Paula, Marie zamachnęła się igłobiczem na Alię, lecz ta zwinnie się odsunęła. Alia przewyższała przeciwniczkę umiejętnościami walki, ale nie miała broni. Marie wyprowadziła pchnięcie i cienkie jak włos ostrze przecięło ze świstem powietrze tuż obok siostry Paula.

— Zabawmy się, Alio — powiedziała.

Chociaż jej mięśnie, sparaliżowane przez gaz, ledwie reagowały na polecenia, Irulana odczołgała się na bok. Stilgar leżał z głową i rękami na stole, tak jak padł. Patrzył w pełni świadomy, a całe jego ciało drgało, kiedy usiłował się podnieść. Chani trzymała krysnoź i wyglądała równie onieśmielająco jak fedajkin.

Alia wskoczyła na stół, starając się umknąć poza zasięg igłobicza. Marie podążyła za nią, okręcając się, wymachując biczem i strącając kopnięciami zastawę. Siostra Paula robiła uniki. Było oczywiste, że mała zabójczym chce z nią szybko skończyć. Tak wiele się zdarzyło w ciągu zaledwie kilku sekund.

— No i kto jest teraz skorpionem? — zaśmiała się Marie.

Alia zrobiła kolejny krok i posłała kopnięciem w stronę Marie talerz z częściowo zjedzoną rybą. Mała Fenringówna odchyliła się w bok, nie spuszczając twardego wzroku z tej, którą chciała dopaść. W tym momencie Alia dostrzegła ozdobny sztylet Imperatora obok talerza brata. Chwyciła go z szybkością błyskawicy i skoczyła na przeciwniczkę. Machnęła nim pod igłobiczem, przecinając ścięgna nadgarstka.

— Ja też potrafię ukłuć — powiedziała.

Ręka Marie natychmiast odmówiła posłuszeństwa i śmiercionośna broń zawisła na opasce wokół jej knykci. Tylko syknąwszy z bólu, dziewczynka zeskoczyła ze stołu i rzuciła się na współsparaliżowaną Irulanę, wybierając najbliższą ofiarę.

Jednak Alię ogarnęła ślepa furia. Głosy Innych Wspomnień wyły jak żądna krwi tłuszczu. Uniosła sztylet z wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią i zatopiła go w plecach Marie. Cios był celny — ostry sztych przebił serce przeciwniczki.

— Marie! — krzyknął Fenring, odwracając się od wejścia do tunelu i skacząc przed siebie.  
— O nie, moja córko!

Alia wstała, pozostawiając nóż wbity w drgające plecy zdrajczyni.

— Nigdy nie byłaś moją przyjaciółką — powiedziała.

Korba, nadal siedząc na krześle, na które bezradnie opadł sparaliżowany gazem, i zaczynając dopiero dochodzić do siebie, patrzył na nią z nabożnym lękiem i podziwem.

— Ten nóż — rzekł niewyraźnie, ledwie poruszając ustami. — Święta Alia od Noża.

Porwana wichrem rozgrywających się wokół niej wydarzeń, Alia uświadomiła sobie, że stoi oto na progu własnej legendy.



*Kto może pokochać potwora? To łatwe, jeśli pozwolisz, by miłość klóciła się z rozsądkiem.*

— raport Rene Gesserit o Złym Duchu

Paul wyłączył tarczę i podszedł do ciała Marie Fenring. Alia gapiała się na wysadzaną szlachetnymi kamieniami rękojeść sztyletu wystającą z pleców byłej towarzyszkii zabaw, jakby nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zrobiła.

Chani stała z krysnożem w dłoni, sprężona jak wąż, gotowa do odparcia ataku na Paula.

— Stilgar, żyjesz? — zawołała.

— Żyję — odparł naib, chociaż poruszał się jak w półśnie. — Ta trucizna działała tylko chwilowo.

Hrabia Fenring padł na kolana. Wyglądał na zdruzgotanego.

— Marie! — zawodził. — Moja kochana Marie!

Kiedy podniósł ciało córki i ścisnął je w ramionach, zgarbił się i zaczął się cały trząść. Przez otwór w ścianie za nim widać było starte stopnie schodów prowadzących do labiryntu chodników pod twierdzą. Równie przybita żona klęczała obok niego. Wydawało się, że porzucili myśl o ucieczce.

W głowie Paula tłukły się myśli o niebezpieczeństwie, ale ślepa plamka w jego jasnowidzeniu nie pozwalała mu dostrzec szczegółów. Chociaż wiedział, że hrabia jest niegodnym zaufania krętaczem, chciał wierzyć, że z tym drugim potencjalnym Kwisatz Haderach łączy go jakaś więź.

A jednak cały czas był celem spisku Fenringa, który tykał jak bomba zegarowa. Hrabia musiał wiedzieć, że jest to ryzykowna próba, ale nie zawahał się wysłać własnej córki za linie wroga i użyć jej jako broni, która miała nie tylko zniszczyć Paula, ale również powstrzymać džihad. Czyżby ten człowiek wychowywał Marie od niemowlęctwa w tym tylko celu? Jaki ojciec mógł tak postąpić? Paul zdawał sobie sprawę, jak zareagowałby książę Leto, gdyby Harkonnenom udało się zabić jego syna.

Lady Margot była blada i sztywna, jakby zrezygnowała z wszelkich typowych dla Rene Gesserit prób zapanowania nad swoimi emocjami. Paul widział rozdzierający serce żal matki, ale jeszcze bardziej wczuwał się w boleść hrabiego Fenringa. Riły od niego, niczym z kipiącego garnka, szczerze, autentyczne uczucia.

— Użyłeś dziecka jako pionka w zamachu — powiedział Paul. — Własnego dziecka!

— Och, Hasimir nie jest jej ojcem, Paulu Atrydo. — W głosie lady Margot pobrzmiwał szydery ton. — Znałeś jej ojca. Był nim Feyd-Rautha Harkonnen.

Paul spojrział na nią z zaskoczeniem.

W tej samej chwili hrabia Fenring rzucił się jak sprężona do uderzenia żmija. Miał wyćwiczone mięśnie dzięki latom praktyki najbardziej zaufanego zabójcy w służbie Imperatora. Wyszarpnął sztylet z ciała Marie i zatopił go po rękojeść w piersi Paula.

— To jeden z moich planów awaryjnych — powiedział.

Paul zatoczył się do tyłu. W jego świadomości każda chwila rozszczępiła się na milion nanosekund. Przed oczami rozpostarły mu się wszystkie wydarzenia, tak wyraźnie jak elementy układanki z Chusuka. Albo ten plan został opracowany w najdrobniejszych, wydawałoby się niemożliwych do przewidzenia szczegółach, albo Fenring uwzględnił tyle odstępstw od niego i alternatywnych posunięć, że wszystkie możliwości zbiegły się w tym kluczowym punkcie.

Ostrze sztyletu rozwarło w piersi Paula ziejącą otchłan bólu. Usłyszał przeraźliwy krzyk Chani:

— Uuusssuul!

Krzyknęła ponownie, ale tym razem ledwie ją słyszał, jakby rozdzielała ich cała galaktyka.

Rozciągając krwią, Muad'Dib padł na podłogę, jak gdyby staczał się w przepaść.





*Moja Sihaja jest wodą mego życia i dla niej bije me serce. Miłość do niej jest kotwicą, która chroni mnie przed sztormami historii.*

— Paul Muad'Dib, wiersz miłosny do Chani

W zamieszaniu, które potem powstało, sala trzęsa się od krzyków i wrzasków. Hrabia Fenring odskoczył od Paula w chwili, gdy ten padł. Nadal trzymając sztylet Imperatora, zabójca włączył swoją tarczę i wycofał się w róg pomieszczenia. Starał się dotrzeć do wejścia do podziemi, ale Fremeni zagrodzili mu drogę. Stał więc plecami do ściany i przygotował się do obrony. Do męża dołączyła lady Margot, również gotowa na śmierć. Chociaż nie miała broni, była Bene Gesserit biegłą w sztuce zabijania.

Naparli na nich wstrząśnięci i rozwścieczeni strażnicy, za nimi zaś Stilgar, który jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. Korba nadal usiłował podnieść się z krzesła.

— Brać go żywcem! — krzyknęła Irulana trzęsącym się głosem, któremu starała się nadać władcze brzmienie. Wzięła głęboki oddech, zmuszając mięśnie do poddania się jej woli. — Jeśli go zabijecie, nie dowiemy się, jakie jeszcze uknuł spiski! Nie dajcie się zwieść, że to jego jedyny plan.

Stilgar nie potrzebował rozkazów księżnej.

— Nie zabijemy go... przynajmniej na razie i zbyt szybko. — A potem jego głos przeszedł w warkot. — Po egzekucji Whitmorea Bludda tłuszcza polubiła takie widowiska. Nie odmówię jej tej satysfakcji.

— Z niecierpliwością oczekuję twoich zabaw w przeszukiwanie — powiedział drwiąco Fenring. — Może wymienimy się radami na temat poszczególnych technik? — Stojąc w ochronnym kręgu tarczy, przerzucał zakrwawiony sztylet z ręki do ręki.

Chani czuła się odrętwiała. W sali nadal kłębił się dym, a na podłodze leżał Paul i wykrwawiał się na śmierć. Rozpaczliwie pragnąc ocalić mu życie, przycisnęła dłonie do rany. Przez jej palce ciekła krew.

Paul Atryda mógł być pod wieloma względami Fremenem, ale nie miał wynikających z przystosowania się do pustynnych warunków cech genetycznych, dzięki którym krew szybko krzepła.

— Wezwijcie medyków! — krzyknęła. — Wojskowego chirurga! Lekarza Suka! Szybko!

Z sali wybiegło dwóch strażników. Stilgar i tedajkini nie pozwolą hrabiemu uciec.

— Może powinniście się zaopiekować Muad'Dibem, hmmm? — rzekł Fenring drwiącym tonem. — Może ma dla was jakieś ostatnie słowa.

Chani musiała powstrzymać upływ krwi.

— Usul, ukochany, jak mogę ci pomóc? — zapytała. — Jak mogę dać ci siłę?

Ścisnęła jego dłonie i poczuła lekkie ich drgnięcie, słaby skurcz palców, jakby starał się coś jej zasignalizować. Może lekarze będą w stanie mu pomóc, jeśli zjawią się w porę. Ale jeśli Paul umrze, zanim zdążą dowieźć go do sali operacyjnej...

Zmagał się, walczył ze śmiercią. Chani wiedziała, że odkąd odkrył, iż jest Kwisatz Haderach, dowiedział się wielu rzeczy o swoim ciele, ale wątpiła, czy ma wystarczające umiejętności, by poradzić sobie z tak poważną, bezsprzecznie śmiertelną raną.

Obok niej klęczała Alia, ale nawet ze swoimi Innymi Wspomnieniami i niezwykłą wiedzą nie mogła pomóc.

— Mój brat jest na krawędzi śmierci — powiedziała tonem szczególnego lęku. — Powinam była ocalić mu życie.

— Nadal mogłybyśmy uratować mu życie, gdyby udało nam się powstrzymać krwawienie, gdybyśmy mogły zatrzymać czas... — Nagle Chani wyprostowała się. — Alio! Biegnij do mojego pokoju! Zamknięty słoń obok stołu przy oknie. Jako Sajjadina, strażniczka rytuału, trzymam w nim Wodę Życia. Przynieś ją dla Muad'Diba.

Alia, chociaż zdumiona, była już na nogach.

— Trans... trans mojego brata. — Olśniło ją. — Tak, musimy go teraz wywołać.

Wybiegła jak wiatr.

Chani pamiętała, jak Paul chciał się głupio wykazać, nie tylko przed Fremenami, stając się jeźdźcem czerwi, ale również robiąc to, co udawało się tylko najpotężniejszym kobietom. Uwierzywszy, że jest Kwisatz Haderach, zażył nieprzemienioną truciznę, wydzielinę topionego czerwia. Zaledwie odrobinę.

— Jedną kroplę — rzekł. — Taką maleńką... jedną kropelkę.

Jednak i ta odrobina wystarczyła, by zapadł w śpiączkę tak głęboką, że przez wiele tygodni leżał jak trup, w pozorowanej śmierci. W końcu, z pomocą Chani i Jessiki, udało mu się wyjść z tego stanu, a kiedy się ocknął, miał już zdolność wykrywania trucizn i przekształcania ich w nieszkodliwe związki. Ale wymagało to wielkiego wysiłku i świadomej woli.

Wróciła pędem Alia. Ściskając kurczowo płazowy pojemnik, przemknęła obok dwóch medyków z apteczkami, którzy dopiero wchodzili do sali. Alia ubiegła ich, padła na kolana przy Paulu i podała słoję Chani. Kiedy Fremenka zdjęła wieko, rozszedł się gorzki, alkaliczny zapach tak mocny, że gryzł w oczy. Woda Życia była chyba najsilniejszą znaną ludziom toksyną. Ale teraz jej właśnie potrzebował Muad'Dib.

Chani musnęła palcem powierzchnię cieczy, wydobyla jedną jej kroplę i jak w pieszczocie, przesunęła nim pełnym miłości gestem po ustach Paula. Wiedziała, że gdyby dała mu za dużo, jego organizm nie zdołałby się przeciwstawić temu związkowi. Paul zapadłby w jeszcze głębszą śpiączkę, a jego serce przestałoby pracować.

Po tym pocałunku trucizny poczuła, że jego ciało sztywnieje. Krwotok ustał, ale nie słyszała już oddechu. Jego powieki były nieruchome.

Jeden z lekarzy Akademii Suka odsunął ją szorstko na bok.

— Pani, musisz pozwolić nam się nim zająć — powiedział. — Jesteśmy dla niego jedyną szansą.

Drugi wyczuł zapach trucizny.

— Co to jest? — zapytał ostro. — Zabierzcie to! Nie używamy ludowych tremeńskich leków.

Pierwszy lekarz potrząsnął głową.

— Stracił zbyt dużo krwi. Nie przeżyje. — Obaj uklękli, zbadali tętno, podłączyli monitory i cicho wymienili parę zdań. — Przybyliśmy za późno. On umrze.

Od strony strażników dobiegły jęki rozpaczki, Stilgar wyglądał, jakby miał lada moment wybuchnąć. Irulana płakała, a Chani zastanawiała się, czy jej łzy są prawdziwe.

Szukając w sobie spokoju, Chani powiedziała do lekarzy:

— Jesteście w błędzie. Muad'Dib wyliże się z tego, ale jego życie znajduje się pod progiem czułości waszych instrumentów. — Kiedy przed kilkoma laty przydarzyło mu się to samo, wielu Fremenów również uważało, że jest martwy. — Dzięki Wodzie Życia kupiłam wam czas. Zastosujcie swoje leki, opatrzcie ranę.

— Pani, nie ma sensu...

— Róbcie, co kazałam! Jego organizm wie, jak zwalczyć skutki śpiączki. Pospieszcie się, zanim minie dogodna chwila.

Lekarze zabrali się do pracy na podłodze sali jadalnej. Wezwali pomocników, zamówili więcej narzędzi chirurgicznych, nawet krew do transfuzji, która nic by nie dała, gdyby serce Paula nie chciało jej przetaczać.

Irulana była bezradna i zła, przepełniała ją żądza zemsty. Uczestnicząc w tych kluczowych wydarzeniach, czuła się jak osoba z zewnątrz. Chani, Alia i Stilgar utworzyli kordon wokół rannego Imperatora i nie dopuszczali jej do niego. Nie rozumiała mistycznego fremeńskiego rytuału, który zastosowała Chani, podając Paulowi truciznę, ale nie protestowała. Na pewno już bardziej mu to nie zaszkodzi.

Nie śmiała też podejść bliżej do hrabiego i lady Margot, naprzeciw których stał teraz tuzin strażników czekających na jakikolwiek pretekst, by ich zaatakować. Wątpiła, czy tych dwoje pożyje jeszcze godzinę, jeśli Paul umrze, i nie miała najmniejszego zamiaru stawać w ich obronie.

Lekarze Akademii Suka starali się opatrzeć zadaną sztyletem ranę za pomocą środka zasklepiającego ściany komórek i medykamentów odtwarzających tkankę mięśniową, które podawali narzędziami chirurgicznymi dużo bardziej precyzyjnymi niż ixanski igłobicz.

Irulana nie wiedziała, jak długo potrwa pełna napięcia cisza.

— To robota raczej dla grabarza niż dla lekarza — mruknął jeden z medyków.

Minęła prawie godzina, a oni nie dostrzegli żadnych oznak życia. Mimo to pracowali gorączkowo, chcąc zrobić co tylko w ich mocy.

Teraz wszystko zależało od Paula.

Widok cierpienia męża oszołomił i przygnębił Irulanę. Matka i wszystkie nauczycielki Bene Geserit byłyby zaskoczone jej automatyczną reakcją. Zastanawiała się, gdzie się podziała ta sprytna intrygantka, którą niegdyś była.

W chwili przerażenia przemknęło jej przez myśl, że może naprawdę go kocha. Jednak nie było to uczucie, które komukolwiek by wyjawiała... pewnie nawet jemu, jeśli przeżyje. Traktował jej przywiązanie gorzej niż przywiązanie domowego zwierzęcia. Ale miłość? Nie była pewna.

To były jej zmartwienia, ale uświadomiła sobie ze zgrozą, jaki zamęt powstałby po śmierci Muad'Diba. Skoro tyle frakcji — włącznie, oczywiście, z jej ojcem, który za wszelką cenę starał się powrócić do władzy — walczyło o tron, galaktyka musiałaby się pograżyć w jeszcze jednej strasznej wojnie domowej. Czy w tej sytuacji, przy trwającym dżihadzie, ludzkość zdołałaby przetrwać?

Serce jej męża drgnęło tak nagle i niespodziewanie, że wprawiło to w popłoch dwóch lekarzy Akademii Suka. Potem nastąpiła parę chwil ciszy i jego serce uderzyło po raz drugi.

A potem trzeci. Przerwy między uderzeniami stawały się coraz krótsze i w końcu ekrany monitorów pokazały wolny, ale stały rytm.

Imperator Muad'Dib powrócił do życia, chociaż nadal był słaby. Po tych ciężkich przejściach Irulana sama czuła się słaba; gwałtownie waliło jej serce. To był Muad'Dib — oczywiście przeżył!

Otworzył oczy i to jej wystarczyło. Otarła łzy, ale znowu napłynęły. Łzy szczęścia? Doszła do wniosku, że tak, ale oprócz tego były to łzy złości, że ktoś ośmielił się wystąpić przeciw jej mężowi.

Kiedy Paul w końcu usiadł, jego czarna tunika była rozdarta i przesiąknięta krwią. Hrabia Fenring wyłączył swoją tarczę i poddał się. Przygarbiony, podał sztylet ręką do przodu.

— Wydaje się, że nic nie zyskam przez dalszy opór, hmmm? — powiedział.

Korba, odważniejszy teraz, wyrwał sztylet z ręki Fenringa. Podbiegli strażnicy i pojмали hrabiego oraz lady Margot, skrupowali ich szigastrunami i wywlekli z sali. Podczas zamieszania Korba schował ukradkiem ozdobny sztylet Imperatora w rękawie.

Irulana spostrzegła to, ale wiedziała, że nie stwarza to żadnego niebezpieczeństwa. Zastanawiała się, gdzie w końcu wyląduje ta przechodząca z rąk do rąk broń, czy zostanie przechowana jako relikwia, czy też sprzedana jakiejś szczególnie pobożnej (i bogatej) osobie.

Paul uparł się, że wstanie. Pomogli mu lekarze, ale wołał się oprzeć na Chani. Drugą rękę złożył na ramieniu Alii. Irulana stała wyprostowana, ciesząc się, że Paul żyje.

Złapawszy oddech, przemówił zaskakująco silnym głosem:

— Znajdźcie zastępcze... kwatery dla hrabiego i jego żony. Nie muszą czuć się w nich bardzo wygodnie, ale niech nie stanie się im żadna krzywda... dopóki nie wydam dokładnych poleceń.



Hrabia Fenring stał w kajdanach, otoczony przez czterech krzepkich strażników, u stóp Lwiego Tronu. Jego eleganckie niegdyś spodnie i marynarka były teraz zmięte i pobrudzone ziemią, a biała jedwabna koszula rozdarta i zakrwawiona po napaści na Paula.

Paul cudownie wyzdrowiał — a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Irulana pracowała już nad opowieścią, która umocni jego mit. Ludzie uwierzą w to, bo przecież spodziewali się czegoś takiego po Muad'Dibie. Stanie się to częścią otaczającej go i nieprzerwanie rosnącej legendy. Księżna siedziała obok tronu Paula z przyborami do pisania na kolanach, ale naoczni świadkowie wydarzeń już wyszli.

Po spożyciu dużej ilości melanzu znalazł w sobie dość energii, by zasiąść następnego ranka na tronie i wysłuchać petentów — wszystko po to, by dowieść, że Muad'Dib jest w stanie kierować swoim świętym Imperium. Prekognicja i zwykły zdrowy rozsądek mówiły mu, jaki zapanowałby chaos, gdyby jego zwolennicy postanowili zemścić się na wszystkich domniemanych wrogach.

Wiedział, że musi żyć — nie dla siebie, ale dla przyszłości ludzkości. Pamiętał, kim był, kiedy w tym samym, jakże wówczas odmiennym, pomieszczeniu zabił Feyda-Rauthę: zdeterminowanym młodzieńcem, który miał zwycięstwo w dłoni, a Imperium u swych stóp. Podporządkował się wówczas najwyższemu nakazowi, choć wiedział, że wznosi się przed nim pogrążone w ciemnościach strome zbocze. Nikt nie byłby wtedy w stanie odgadnąć, kim stanie się Paul Muad'Dib. Nikt — ani jego matka, ani Gurney, ani Szaddam. Ani nawet Chani, która najlepiej go rozumiała.

Od początku swoich rządów mógł zapewnić Imperium wspaniały, ale krótkotrwały dobrobyt. Mógł też stać się bezwzględny tyranem. Mógł podjąć decyzje, które wyeliminowałyby wrzenie w najbliższej przyszłości i doprowadziły od ogólnego pokoju, mógł sprawować władzę w taki sposób, że pokochaliby go wszyscy poddani. Gdyby pokierował tym inaczej, historia przedstawiałaby go w korzystnym świetle... przez kilka pokoleń, może nawet przez tysiąclecia.

Ale to był ślepy zaulek.

W głębi serca wolałby żyć spokojnie z Chani. Gdyby miał możliwość wyboru, zostałby kimś takim jak książę Leto Atryda, kochanym przez wszystkich, sprawiedliwym wobec wszystkich, mądrym i poważanym za to, kim naprawdę jest. Zamiast tego, słuchając tylko siebie i kierując się prekognicją, poświęcił osobiste szczęście i terażniejszość, by ocalić przyszłość. I tak Paul stał się nie tym, kim chciał być, lecz kim być musi i jakim potrzebny był ludzkości.

Jako Muad'Dib wziął na siebie winę za to, że zginęły miliardy ludzi, by ocalały biliony. I tylko on o tym wiedział. Nie mógł obwinić o to nikogo innego, pogodził się więc z tym brzemieniem i zahartował, by kontynuować to, co trzeba było zrobić.

Teraz miał osądzić hrabiego Hasimira Fenringa, serdecznego przyjaciela obalonego Imperatora Szaddama IV. Ten człowiek próbował go zabić.

— Aaach, hmmm, przypuszczam, że znaczy to, iż nie proponujesz mi znowu swojego najlepszego wina? — Fenring mówił zuchwale i z beczelnym humorem, ale jego zachowanie zdradzało niepewność. Spoglądał wielkimi oczami to na fedajkinów, to na Stilgara, to na żądną krwi Chani. Wydawało się, że zastanawia się, ktc zada mu śmiertelny cios.

Przez chwilę Fenring skupiał wzrok na Alii, która siedziała w czarnej szacie na dolnym stopniu podwyższenia. Wyglądała jak kat w miniaturze, jakby czekała tylko na rozkaz brata, by wykonać wyrok. Machała, niby od niechcenia, nogą. Była to dziecięca poza, podobna do tej, którą przyjęła, gdy na tym samym tronie siedział Szaddam IV, tuż przed tym, jak zabiła z zaskoczenia barona Harkonnena.

W pewnym sensie wyglądała trochę jak mała Marie...

— Tutaj, na Diunie, woda jest cenniejsza od wina — rzekł Paul. Wyjął zatyczkę z inkrustowanego szlachetnymi kamieniami dzbanka, który stał na małym ozdobnym stoliku obok tronu z hałaskiego kwarcytu. Napełnił mały kieliszek, drugi zaś dla Fenringa. Chani zaniósła go hrabiemu.

Patrząc na niego podejrzliwie, Fenring podniósł zakute w ciężkie kajdany ręce i z dzielną rezygnacją przyjął kieliszek.

— A zatem zdecydowałeś się na truciznę, hmmm? — powiedział i powąchał zawartość.

Paul pociągnął łyk ze swojego kieliszka.

— To czysta woda. — Wziął jeszcze jeden łyk, by pokazać hrabiemu, że płyn jest nieszkodliwy.

— Dobrze wiadomo, że Muad'Dib potrafi przekształcać trucizny. To taka sztuczka, prawda?

— To nie jest trucizna. Przysięgam na mój honor... na honor Atrydy. — Paul spojrział Fenringowi w oczy. — Napij się ze mną.

Alia też napełniła kieliszek i pociągnęła z niego z wyraźną lubością.

Fenring popatrzył chmurnie na płyn.

— Służyłem wiele lat na Arrakis, więc znam wartość wody. — Wypił trochę, po czym pozwolił, by kieliszek upadł z brzękiem na podłogę.

Paul wziął jeszcze jeden łyk.

— To była woda wydestylowana z ciała Marie — powiedział. — Chciałem, byś się ze mną napił.

Niedbałym ruchem wylał resztę na podwyższenie, na którym stał tron, i odstawił kielich do góry dnem.

Zgiąwszy się wpół na skutek nagłego przyływu mdłości, hrabia zadrżał, a potem szarpnął kądzanami, jakby sięgał po broń, której nie miał.

Do sali wprowadzono lady Margot Fenring i ustawiono obok męża. Za nią stanęli Korba i Stilgar. Flrabia natychmiast zrobił zmartwioną minę, jakby przejmował się losem żony bardziej niż własnym. W tradycyjnej czarnej sukni Bene Gesserit lady Margot nadal nosiła się z dumą członkini wysokiego rodu, chociaż nie miała okazji o siebie zadbać.

Na znak Paula Alia zeskoczyła z podwyższenia i stanęła przed matką Marie, która spojrzała na nią z kamienną miną. Dziewczynka trzymała długą igłę, zabójczy gom dżabbar. Margot Fenring zeszywniała, ale Alia jej nie dźgnęła. Jeszcze nie.

Nie okazując śladu słabości pomimo doznanych obrażeń i parniętając, jak jednoręki arcyksiążę Armand Ekaz uparł się, że wyruszy na wojnę z Grummańczykami po masakrze w dniu ślubu, Paul podniósł się z tronu i zszedł z podwyższenia na wypolerowaną podłogę. Jego ruchy były wolne, przemyślane i wskazywały na zabójcze zamiary. Stanął wprost przed Fenringiem.

Wyjął krysnóż i skierował sztych w stronę hrabiego. Strażnicy odsunęli się. Fenring zeszywniał, wszystkie jego mięśnie skamieniały. Patrzył za Paula, jakby widział tam czekającą go śmierć.

— Proszę, nie zabijaj go — powiedziała lady Margot.

— I tak zginiemy — rzekł Fenring na poły do niej, na poły do Paula. — Tłum rozerwie nas na strzępy, jak mistrza miecza Bludda. — Lekko drżąc, spojrział na Paula. — Czy to by coś dało, gdybym padł na kolana i błagał, żebyś ją oszczędził? Przed laty ocaliła ci życie, ostrzegając ciebie i twoją matkę o zdradzie Harkonnenów.

— Twoja zdrada unieważniła ten dług wody — wtrącił ostro Stilgar.

Fenring zachowywał się, jakby nie słyszał naiba.

— Jeśli błaganie mogłoby pomóc, ukorzyłbym się w każdy sposób, żeby ocalić życie żony.

Paul nie odpowiedział. Obszedł hrabiego, zastanawiając się, gdzie zadać śmiertelny cios.

— Wiesz, że jestem bardziej winny niż ona — ciągnął Fenring, paplając w nietypowy dla niego sposób. — Nie działałem z lojalności wobec Szaddama, nie był to też żaden spisek Bene Gesserit, który zainicjowała moja żona. Kiedy twierdzę, że gardzę Szaddamem, mówię szczerze, bo jego głupota zniszczyła wszystkie zobowiązania, jakie wobec niego kiedyś miałem. Pozbawił Imperium szansy, by stało się silne i trwałe. Wyobraź sobie skalę jego nieudolności: rządy Szaddama były tak znenawidzone, że wielu woli od nich nawet fanatyzm twoich zwolenników!

Paul uśmiechnął się bezlitośnie, ale nic nie powiedział. Nadal chodził wokół hrabiego, to przystając, to podejmując krążenie.

— To nie było nic osobistego, zapewniam cię. Moja nienawiść do ciebie i do twego panowania wynika z czysto logicznych pobudek. Dla dobra ludzkiej cywilizacji musiałem wyciąć szczególnie agresywną postać raka. Po usunięciu Muad'Diba Marie, ja lub jakaś marionetka miałyby szansę przywrócić stabilność i wspaniałość.

— Wiedziałeś, że Marie ma niewielkie albo żadne szanse powodzenia — przemówił w końcu Paul — a jednak poświęciłeś ją ze świadomością, że być może pojawi się dla ciebie okazja, kiedy będziesz udawał żalobę po jej śmierci.

Oczy Fenringa błysnęły złością.

— Niczego nie udawałem!

— Nie udawał! — krzyknęła Margot.

Alia machnęła przed nią goniącym dzabbarrem.

— Podstęp w podstępie i dokładnie w chwili mojej słabości omal ci się udało — rzekł Paul, nie spuszczać wzroku z hrabiego.

— To ty jesteś potworem, nie ja — rzekł Fenring, nadal zachowując się wyzywająco. Potem obrzucił żonę długim spojrzeniem. — Zegnaj.

— I ty, kochany — powiedziała, patrząc na zatrutą igłę w ręku Alii.

Paul wiedział, że gdyby sytuacja była odwrotna, Fenringowie nie ułaskawiliby ani jego, ani Alii. Fremeńska strona jego natury domagała się krwi i wiedział, że Alia pragnie tego samego. Jej oczy prosiły o pozwolenie na cios goniącym dzabbarrem.

Przystanął, nadal trzymając mlecznobiałe ostrze. Zastanawiał się, co począłby w takiej sytuacji jego ojciec. Leto Sprawiedliwy. Przypomniał sobie słowa, które wypowiedział ojciec przed skazaniem Swaina Goire'a na wygnanie: „*Skazuję cię na życie. Na życie z tym, co zrobiłeś*”.

Kiedy Paul pomyślał, jak często podejmował inne decyzje niż te, które podjąłby ojciec, zalała go fala smutku. Nie spodziewał się, żeby Fenring, który dopuścił się tylu aktów przemocy, zadreślał się poczuciem winy. Hrabia nie był Swainem Goireem. Ale egzekucja była zbyt łatwym rozwiązaniem, a Paul miał już dosyć barbarzyństwa.

Bez ostrzeżenia przeciągnął krysnożem po gardle Fenringa. Było to precyzyjne cięcie, zadane ze ścisłą kontrolą nad mięśniami.

— Nie! — krzyknęła lady Margot, rzucając się mimo krępujących ją kajdan w stronę męża.

Hrabia zatoczył się, podnosząc skute ręce i łapiąc się za szyję. Ale kiedy je odjął, miał na nich tylko małą szkarłatną plamkę.

— Zgodnie z tradycją wyciągnięty krysnoż musi posmakować krwi — powiedział Paul. Wytarł spokojnie obie strony ostrza z zęba czerwia o marynarkę Fenringa, po czym wsunął je do pochwy.

Hrabia dotknął ostrożnie gardła czubkami palców. Był zdumiony. Precyzyjny cios rozciął jedynie płytko skórę. Drobne krople krwi utworzyły na jego gardle czerwony naszyjnik.

— Jeszcze nie nadszedł dzień twojej śmierci — rzekł Paul. — Ilekroć zobaczysz w lustrze tę drobną bliznę, pamiętaj, że mogłem cię głębiej. — Przeniósł uwagę na żonę szlachcica. — Lady Margot, straciłaś córkę i jest to wystarczająco straszna kara za twoją zbrodnię, bo wiem, że naprawdę kochałaś Marie. Twoim nieszczęściem jest to, że kochasz tego mężczyznę, który zasługuje tylko na pogardę. — Trzymając wysoko głowę, wrócił na szmaragdowozielony tron, po czym podniósł rękę w geście nakazującym wyprowadzenie więźniów. — W minionych wiekach powiadano, że na rodzie Atrydów, na moich starożytnych przodkach, ciąży klątwa. Teraz to ja rzucam klątwę. Baczenie tego słuchajcie! Zsyłam was oboje na Salusę Secundusa, gdzie będziecie się dusić z Szaddamem Corrinem. Na zawsze. Oby wasza nienawiść do niego rosła z każdym dniem!





*Ile w legendzie Muad'Diba jest taktów, a ile zabobonnego mitu? Wiem na pewno, ponieważ to ja zebrałam te informacje i napisałam tę opowieść. Tak czy inaczej, prawda o Muad'Dibie jest zdumiewająca.*

— księżna Irulana, obowiązkowy raport przesłany na Wallacha IX

Siedziała w prywatnych apartamentach, przy wygodnym biurku, pogrążona w myślach. Te wspaniałe pomieszczenia nie wydawały jej się już więzieniem ani miejscem przechowywania zapomnianych przedmiotów. Choć Paul nie chciał dzielić z nią łoża, stała się kimś więcej niż tylko trofeum zdobytym w bitwie pod Arrakin, kimś więcej niż nominalną żoną. Mimo przeszkód piętrzących się na jej drodze zdobyła wysoką pozycję w rządzie Muad'Diba, a może również w historii. Nawet Chani nie mogła odgrywać tej szczególnej roli.

„*Opowieść w równym stopniu co wydarzenia kształtuje ten, kto ją snuje*”. Irulana pamiętała o tym starym aforyzmie Bene Gesserit, podobnym do starego powiedzenia kuglarzy. Miała w rękach — i w piórze — moc wpływania na to, co będą wiedziały przyszłe pokolenia albo... co będą myślały, że wiedzą.

Mieszkając we wspaniałej twierdzy Muad'Diba, czuła, że różne osoby przeciągają ją na swoją stronę. Jej ojciec i reszta skazanego na wygnanie rodu Corrinów oczekiwali od niej lojalności, więc wyrzekli jej się, kiedy przedłożyła męża nad własny ród. Podobnie zgromadzenie żeńskie nadal nie mogło uwierzyć, że je opuściła i odrzuciła żądanie sióstr — cały czas żyjących nadzieją, że ich od dawna oczekiwany Kwisatz Haderach nie wymknie im się na zawsze spod kontroli — by starała się wywierać wpływ na Imperatora.

Sama już nie była pewna, wobec kogo powinna być lojalna. Wszyscy czegoś od niej chcieli. Wszyscy czegoś potrzebowali. Zaczynała wierzyć, że najbardziej potrzebuje jej mąż... na swój sposób.

Paul Muad'Dib zginął od poważnej rany zadanej sztyletem i po wrócił z tamtego świata. Irulana starała się wyobrazić sobie, jak to opisze w kolejnym tomie jego monumentalnej biografii.

„*Napiszę, że Muad'Diba nie można zabić* — pomyślała. — *A ludzie w to uwierzą. Uwierzą mi*”.

Jak mogliby nie uwierzyć?

Paul nigdy nie twierdził, że ją kocha, nigdy nie okazał jej choćby odrobiny uczucia, chociaż nauczył się szanować jej wiedzę i doświadczenie. Jego widok, leżącego w kałuży krwi, martwego, wstrząsnął nią bardziej, niż była sobie wcześniej w stanie wyobrazić.

W jej umyśle pojawiały się już odpowiednie słowa. Pozostanie tutaj i będzie pisać. Niech o wszystkim zadecyduje historia.

Ze świętej łaski Muad'Diba.



# SPIS TREŚCI

PAUL Z DIUNY 1

CZEŚĆ I IMPERATOR MUAD'DIB 10 194 EG Rok po upadku Szaddama IV 5

CZEŚĆ II MŁODY PAUL ATRYDA 12 LAT 10 187 EG 111

CZEŚĆ III IMPERATOR MUAD'DIB 10 197 EG Cztery lata po rozpoczęciu dżihadu 181

CZEŚĆ IV MŁODY PAUL ATRYDA 10 187 EG 263

CZEŚĆ V IMPERATOR MUAD'DIB 10 198 EG 337

CZEŚĆ VI MŁODY PAUL ATRYDA 10 187 EG 421

CZEŚĆ VII IMPERATOR MUAD'DIB 10 198 EG 477

SPIS TREŚCI 565

Thank you for evaluating ePub to PDF Converter.

That is a trial version. Get full version in [http://www.epub-to-pdf.com/?pdf\\_out](http://www.epub-to-pdf.com/?pdf_out)